



JERZY JĘDRZEJEWICZ

NOCE  
UKRAIŃSKIE  
*albo*  
RODOWÓD  
GENIUSZA



JERZY JĘDRZEJEWICZ



NOCE  
UKRAIŃSKIE  
*albo*  
RODOWÓD  
GENIUSZA



LUDOWA SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA



Jerzy Jędrzejewicz, tłumacz i eseista, laureat pięciu nagród literackich, przełożył ponad czterdzieści tomów z klasycznej prozy rosyjskiej, ukraińskiej, włoskiej i niemieckiej, w tym L. Tolstoja *Za co?*, I. Turgieniewa *Szlacheckie gniazdo*, F. Dostojewskiego *Idiota*, A. K. Tolstoja *Księżę Srebrny*, M. Gorkiego *Baśnie włoskie*, H. Heinego *Szkice z Anglii*, M. Kociubyńskiego *Fata morgana* i T. Szewczenki *Przejażdżka z przyjemnością i nie bez morału*.

Ze współczesnej literatury przetłumaczył m. in. cykl autobiograficzny K. Paustowskiego oraz powieść W. Niekrasowa *Kira* i L. Leonowa *Mrs. Eugenia Iwanowna*.

Przekładał też wiersze poetów rosyjskich, ukraińskich i gruzińskich, jak A. Fiet, S. Jesienin, M. Ti-



JERZY JĘDRZEJEWICZ

NOCE UKRAIŃSKIE ALBO RODOWÓD GENIUSZA



**Taras Szewczenko. Fotografia z roku 1860**

JERZY JĘDRZEJEWICZ

NOCE UKRAIŃSKIE  
albo  
RODOWÓD GENIUSZA



opowieść o Szewczence



ŁUDOWA SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA

Opracowanie graficzne:  
BARBARA KASTEN-PSZCZÓŁKOWSKA

LUDOWA SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA  
1966

*Wielkości! komu nazwę twą przydano,  
ten tęgich sił odżywia w sobie moce  
i duszą trwa, wielekroć powołaną,  
świecącą w długie narodowe noce.*

St. Wyspiański





## PROLOG

### PRZEDWIOŚNIE

W drugiej połowie marca tysiąc osiemset dwudziestego piątego roku na prawobrzeżnej naddnieprzańskiej Ukrainie panowały dokuczliwe śloty. Zima była ostra i długa, a teraz, o przedwiośniu, raptem się wszystko odmieniło, powiał ciepły wiatr południowy, zrobiła się odwilż. Kruki i orły siadały na mogiłach, mokły na deszczu i bez ustanku krakały, jakby chcąc jeszcze większy deszcz z nieba wywołać. Krasnopiersie gile i brunatno-żółte jemioluchy skakały po gałęziach drzew, a trznadłe cisnęły się jak zwykle do obór pomiędzy bydło.

W Kiryłówce, leżącej na połowie drogi pomiędzy Czerkasami a Humaniem, rano dwudziestego pierwszego marca nie różnił się niczym od innych ranków z całego minionego tygodnia. W nocy hulała wichura i cięła mokrym śniegiem, który szybko topniał, napełniając rowy i doły brudną, mętną wodą. Ludzie idący z rana do zwykłych zajęć bąbrali się w błocie.

W jednej z chat, na skraju wsi, za szybkami małego okna przez całą noc migotał płomień świecy. Już dzień się zaczął, a w oknie dalej błyszczało wątłe światło.

Była to stara, uboga chata, wychodząca przycółkiem na ulicę. Do zagrody prowadziła furtka w płocie, spoza którego wyglądało kilka stuletnich grusz i jabłoni. Na chacie brązowiła się słomiana strzecha i czerniał gruby komin. Do furtki przylegały koślawe wrota; tuż obok nich rosła wierzba z uschniętym wierzchołkiem. Za wierzbą stała kłunia, czyli stodoła, a dalej po pochyłości wzgórzka pięł się sad wiśniowy. Między jego drzewami widniała spora pasieka.

Za sadem rozpostarła się lewada, za lewadą dolina, a w dolinie ciekł wąziutki strumyk, obsadzony zaroślem brzoźtów, kalin i rokit. Jeszcze dalej, za wzgórzkiem, ciągnął się płat pola, obramowany smugą sosnowego lasu.

Do ścian chaty od spodu przywarły niskie przyźby. Nad przyźbą od strony podwórza zwieszał się niski daszek.

Wnętrze składało się z podłużnej sionki, obszernej, ale niezbyt widnej izby, pobielonej kredą, oraz małej komory. W kącie głównym wisiał obraz, osłonięty ręcznikiem wyszywanym czerwoną i granatową włóczką, a przed obrazem płonęła świeca. Pod oknem stał nieduży stół, opodał zaś bodnia, czyli beczka z wiekiem. Ławki były czyste, ziemia dobrze ubita i zamazana gliną. Na policach sprzęt wszelki, starannie ustawiony. Skrzynia wzorzysta w jednym kącie. Na przypiecku dzieża chlebna. Pęki ziół rozmaitych u belki pułapu.

W komorze na posłaniu ze słomy przykryty baranim tułubem leżał chłop pańszczyźniany Hryhorij Szewczenko.

Jakoś pod koniec listopada wyruszył z wałką czumacką do Kijowa i w drodze powrotnej, w grudniu,

gdy nagle chwyciła zima, przeziębił się i zachorzał. Przywieziono go prawie bez czucia, bez sił.

Dwa miesiące tak leżał; kaszlał, dusił się, charkał i życie z niego powoli uchodziło.

Czumacy, którzy z nim razem wrócili, opowiadali o mrozach i zadymkach śnieżnych, jakie ich w czasie podróży gnębiły. Hryhorij wytrzymałby to wszystko, gdyby był lepiej odziany. Ale ta baranica, którą miał na sobie, dawno już grzać przestała: dziura koło dziury, łąta na łącie.

Hryhorij Szewczenko nigdy nie zapominał o dzieciach. Sobie wszystkiego odmawiał, ale im, jeżeli tylko mógł, niczego nie żałował.

I teraz, kiedy powrócił z Kijowa, każde otrzymało od niego hostyneć. Najpierw oczywiście zostały obdarowane dzieci drugiej żony — Stepanko, Jawdocha i Oksana. Potem dopiero własne. Jaryna dostała pierśnik nadziewany marchwią, niewidoma Maryjka — z pierwszego małżeństwa — makagigę, Josyp — pszenny placuszek w kształcie kogucika, jednoroczna Maria — od drugiej żony — grzechotkę. Najstarszy syn, Mykyta, dostał prawdziwą piłkę stolarską.

Jedenastoletniego Tarasa ojciec obdarował na ostatku. Przywołał syna i kazał mu wyjąć z podróźnej torby płaski pakunek, zawinięty w szmatkę.

— Lubysz rysuwaty — powiedział.

Taras rozwinął szmatkę i ujrzał barwny obrazek przedstawiający Kozaka na koniu, z piką w rękę i rusznicą przy siodle. Koń pędził galopem, a Kozak śmiał się szczerząc białe zęby.

— Ce Kozak Mamaj — objaśnił ojciec.

Taras był tak przejęty, że słowa nie mógł wymówić.

Koło południa wiatr ucichł, chmury się rozsunęły, wyrzało blade słońce. Smutny dzień marcowy nieco się wypogodził. Resztki śniegu zaczęły szybko tajać.

Przyszedł dziadek Iwan.

— Pomahaj Boh! — pozdrowił obecnych.

— Dobrydeń, didusiu! — odpowiedział za wszystkich Taras.

Macocha obrzuciła go nienawistnym wzrokiem.

— Wynesy pomyji! — burknęła.

Chłopiec wziął oburącz wiadro z pomyjami i wyszedł na dwór. Kiedy wrócił do izby, zobaczył, że dziadek siedzi pod piecem na ławie, a ojciec rusza głową i obziera się, jakby kogoś szukał.

Taras chciał podejść do ojca, ale macocha znowu krzyknęła:

— Prynesy wody!

Taras przyniósł pełne wiadro wody. I teraz chciał podbiec do ojca, ale znów usłyszał:

— Sidaj, żery! Czoho płutajeszsia!

Taras usiadł na podłodze obok miski z barszczem, z której jedli Jaryna, Maryjka i Josyp. Troje dzieci macochy siedziało przy stole.

Dziadek niecierpliwie poruszył się i mruknął coś pod nosem. Taras usłyszał tylko:

— ...hrim-baba!

Nie wiadomo, co by jeszcze dla Tarasa wynikło ze złych zwyczajów macochy i oburzenia dziadka, ale skrzypnęły drzwi i weszła Kateryna Krasicka, najstarsza córka gospodarza, która od ślubu, to znaczy od dwóch lat, mieszkała z mężem we wsi Zielona Dąbrowa, w sąsiedztwie Kiryłówki. Tuż po Katerynie zjawił się Mykyta.

Chory jakby tylko na to czekał. Wsparł się na rękę

i patrzył w stronę córki. Kateryna podbiegła do ojca, ucałowała go i, nachylona nad nim, słuchała, a on szeptał:

— Zwy... dida... ditok...

Młoda kobieta skinęła ręką. Wstał z ławy dziadek i zbliżył się do syna. Dzieci Hryhorijsa zostawiły miskę na podłodze i przyfrunęły za dziadkiem. Tylko macocha ze swoją trójką zatrzymała się opodal.

Na twarz chorego padł już cień wieczności. Twardy chłop ukraiński zachował jednak dość siły na tę ostatnią chwilę, by spełnić swój najświętszy obowiązek: rozporządzić mieniem i pożegnać bliskich.

Mówił cicho, z przerwami, niezbyt wyraźnie, tak że dziadek i Kateryna musieli dobrze wsłuchiwać się w jego słowa. Wymieniał wszystkie dzieci po kolei, błogosławił i każdemu wydzielił cząstkę spuścizny. Chatę oddał Mykycie, jako najstarszemu, remanent, czyli inventarż — Josypowi, skrzynię z mizerną chudobą po matce — córkom. Żonie zostawił grosiwo odłożone na czarną godzinę i nakazał, aby zajęła się pogrzebem.

Tarasa wymienił na ostatku.

Z miłością wpatrzył się w syna i głosem nadspodziewanie mocnym powiedział:

— Synowi mojemu Tarasowi z spadszczyny pisła mene niczoho ne treba. Win ne bude abyjakoju ludy-noju; z joho wyjde abo szczoś duże dobre, abo wetyke łedaszczo; dla nioho moja spadszczyna abo niczoho ne znaczytyme, abo niczoho ne pomoże.

I kierując spojrzenie na dziadka, dodał jeszcze, ale już całkiem cicho:

— Taras... powynnen... uczytysia...

W chwilę później głowa opadła mu na piersi. Z gar-

dła dobyło się rżęzenie. Chłop ciężko westchnął i ucichł na zawsze.

Przyszli sąsiedzi. Przyszedł diak cerkiewny, Piotr Bohorski, wysoki, barczysty drażał, cuchnący tytoniem i wódką, który rok temu nastał do Kiryłówki.

Macocha nakryła stół obrusem i postawiła butelkę gorzałki oraz wielką miche warenyków, potem zwróciła się do diaka:

— Ta jakszczo wasza łaska, pane diacze, to proszu.

Diak nie dał się namawiać.

Gdy sobie podjadł i podpiał, zaczął śpiewać psalterz. Śpiewał czysto i ładnie, dźwięcznym i grzmiącym basem, chociaż mu trochę przeszkadzała czkawka.

Dziadek marszczył się gniewnie, a wreszcie ujął płaczącego Tarasa za rękę i wyprowadził na dwór.

Na wierzchołku wierzby siedziała sroka białoboka i zanosila się piskliwym skrzekotem.

Poszli między gołymi drzewami sadu na szczyt wzgóрка, a stamtąd w stronę dziadkowej chaty. Zachodnie słońce siało czerwonawy blask i ożywiało szary krajobraz przedwiośnia. Tylko bór sosnowy w od dali ciemnił się jak wieniec na skroniach śmierci.

Taras szedł i myślał o tym, co mu powiedział ojciec. Łykając gorzkie łyzy, zapytał dziadka:

— A czy ja budu malarem?

Dziadek popatrzył na niego i odrzekł:

— Budesz.

Blask słońca stał się jaskrawszy i silniej zapachniało stepowe przedwiośnie.

## CZĘŚĆ PIERWSZA

### OBŁOKI NAD KIRYŁÓWKĄ

#### I

Ta część Kijowszczyzny, która leży na prawym brzegu Dniepru, jest najrdzenniejszą i najślawniejszą dzielnicą Ukrainy. A ze wszystkich jej powiatów zwinogródzki powiat wyróżnia się różnorodną i malowniczą przyrodą. Nie ma on charakteru wybitnie stepowego jak inne dzielnice ukraińskie; pasma wzgórków przecinają go wszerz i wzdłuż, a liczne jary i ukryte w nich lasy, bajraki, przepysznie rzeźbią i urozmaicają teren. W dawnych wiekach zalesienie powiatu przedstawiało się jeszcze wspanialej. Na „dzikich polach” pełno było dąbrów i czarnoleśnych gajów.

Przez ziemię zwinogródzką z północy na południe płynie rzeczka Zgniły Tykicz, przyjmując z lewej strony Wełniankę, Berezankę, Bojarkę, Szpołę i inne, a z prawej Pohiblak z Czerninem, Boświnkiem i Skopilkowem, Buzankę z Szubina, Zwinogródkę, Tykicz Górski i Wielką Wyś.

Tędy biegł ongiś słynny Czarny Szlak. Wynurzywszy się z Czarnego Lasu nad Dnieprem, pomiędzy ujściami



Sokołówki i Nosakówki, na wierzchowisku Ingulca wchodził w wododział Dniepru i Bohu, szedł naprzód pomiędzy Lasem Łebedyńskim a Romczynem i Werbiczem, potem wkraczał na grzędę między dopływy Rosi i Zgniłego Tykicza i docierał do Białej Cerkwi. Stąd jedno ramię szlaku kierowało się w stronę Polesia, a drugie ku Wyżynie Machnowieckiej, znowu dzieląc się na kilka odnóg, z których główna wiodła aż do Lwowa.

Cały ten obszar od dawien dawna tworzył ogromną scenę tragicznego teatru dziejów.

Zwinogródka i Biała Cerkiew, z ich zamkami, stanowiły bramę do całej prawobrzeżnej Ukrainy. Wedle jednej z gadek ludowych Tatarzy „zaglądali tutaj bez ustanku jak psy do kuchni”.

Wszystkie niemal osiedla i miasteczka otaczające Zwinogródkę od północy, wschodu i południa — Lisianka, Korsuń, Kaniów, Olszana, Czerkasy, Horodyszcze, Czehryń i Humań — wymieniane są aż nadto często w kronikach i latopisach ruskich.

Południowo-wschodnia część kijowskiej ziemi wraz z sąsiednim Nizem Dnieprowym była kolebką narodu ukraińskiego. „Tu — jak powiada historyk — w bezgranicznym stepie ukraińskim wykwitło życie kozackie i zajaśniało w dziejach czerwienią krwi, jak bodiak kolczasty, raniący wprawdzie, ale piękny i woniejący razem; woniejący zapachem miodu, zapachem odurzającym jak miód wytrawny przodków naszych.”

Tu w szesnastym i siedemnastym wieku rozegrały się wojny kozackie, upamiętnione nazwiskami mężnych pułkowników i hetmanów, takich jak Kosiński, Nalewajko, Łoboda, Pawluk, Ostranica i najznakomitszy z nich wszystkich — Bohdan Zenobiusz Chmielnicki.

Tu w roku tysiąc siedemset sześćdziesiątym ósmym,

pod koniec istnienia polskiej Rzeczypospolitej szlacheckiej, mającej wówczas władzę nad tą ziemią, rozszalała się krwawa koliszczyzna.

Wokół miasteczek Lisianki i Olszany rozłożyły się liczne i ludne wioski: Moryńce, Chłipniówka, Hudzówka, Kiryłówka, Pedynówka, Wierzbówka, Woronówka, Zielona Dąbrowa i inne.

Mieszkańcy tych wiosek, mimo częste zawieruchy wojenne, w ciągu kilku wieków mieli się całkiem dostatnio. Korzystali z wielorakich swobód, ich obowiązki na rzecz panów feudalnych nie były zbyt uciążliwe; oprócz pracy rolniczej zajmowali się czumactwem, pasiecznictwem i sadownictwem, czerpiąc z tych źródeł pokaźne zyski. Znaczną część mieszkańców Ukrainy Naddnieprzańskiej stanowili wolni Kozacy. Ale nawet tak zwani chłopci pospolici i pidsusidky, czyli podnajemcy, żyli w warunkach o wiele korzystniejszych niżli ich bracia polscy i moskiewscy.

Dopiero w wieku osiemnastym ta sytuacja fatalnie się zmieniła. Wzmógł się i do granic niebywałych doszedł ucisk pańszczyźniany. To, co w swoim czasie lud ukraiński wywalczył sobie w krwawych zapasach ze szlachtą polską, zaczął teraz szybko tracić wskutek ciemnościelskiej polityki caratu, wspomaganej przez całą prawie górę kozacką, obojętną na pragnienia i potrzeby ludu.

Piotr Pierwszy wysłał dwanaście tysięcy Kozaków do kopania Kanału Ładoskiego, a gdy hetman nakaźny Pawło Połubotok upomniał się o prawa przyrzeczone Ukrainie i Ukraińcom, wtrącono go do twierdzy Petropawłowskiej, gdzie umarł po latach męczarni.

A było to tylko jedno ogniwo długiego łańcucha bezwzględnych posunięć, za pomocą których carat zamierzał wyniszczyć Kozaczyznę.

Rozbiory Polski jeszcze bardziej pogorszyły sytuację włościan ukraińskich; wpadli pod prawo noszące wszelkie cechy niewolnictwa.

W roku tysiąc siedemset siedemdziesiątym piątym z rozkazu Katarzyny przy użyciu siły zbrojnej zniesiono Sicz Zaporoską, a większość Kozaków przesiedlono na północny Kaukaz. Na ich miejsce sprowadzono kolonistów niemieckich. W osiem lat później przywiązano chłopów do gleby, zabraniając im przenoszenia się z jednej wsi do drugiej. Zaczęto ich oddawać w żołdacy. Szeroko praktykowany system kar cielesnych wytworzył nieustanną szkołę dzikości i okrucieństwa. Z roku na rok wzrastała nędza ludności wiejskiej. Tłumienie dążeń narodowych doszło do szczytu.

Wiek dziewiętnasty zastał chłopów ukraińskich w stanie najcięższej niewoli.

Jednak w pamięci ludu nie zatarły się owe swobody, jakie istniały za czasów hetmańskich. I lud ukraiński, bardziej niż którykolwiek inny, zachował w sobie ducha niezawisłego i zdolny był przy lada okazji rozpłomić się w imię wolności.

W początkach osiemnastego wieku, parę lat po bitwie pod Połtawą, do Kyrilówki przywędrował młody Ukraińiec imieniem Andrij i niebawem ożenił się z Eufrozyną Szewcówną, córką Iwana Szewca, znanego majstra w robieniu butów.

Ponieważ Andrij zamieszkał u teścia jako przyjmak, więc zgodnie ze zwyczajem został nazwany Szewczenką.

Miał trzech synów. Jednemu z nich, Iwanowi, zostawił w spadku chatę.

Iwan urodził się około roku tysiąc siedemset czterdziestego drugiego. Był trzykrotnie żonaty. Z pierwszą

żoną, Horpyną, miał siedmioro dzieci — czterech synów i trzy córki.

Najstarszy syn, Hryhorij, przyszedł na świat około roku tysiąc siedemset osiemdziesiątego pierwszego. A w roku tysiąc osiemset drugim ożenił się z Kateryną, córką Jakyma Bojko ze wsi Moryńce. Młodzi małżonkowie zamieszkali w ojcowskiej chacie w Kiryłówce. Zapewne ciasno im było z ojcem, trzema braćmi i trzema siostrami. A gdy się narodziła jedna córka, potem druga — musieli pomyśleć o innym mieszkaniu.

Kiryłówka i Moryńce należały do klucza olszańskiego, stanowiącego własność generała i senatora Wasilija Engelhardta. Ten zrusyfikowany Niemiec, spowinowacony z wszechwładnym faworytem Katarzyny księciem Potemkinem, spędzał schyłek życia w Olszanie. Gospodarkę w kluczu prowadzili rządcy. Któremuś z nich naraził się mieszkaniec Moryńców niejaki Kopij, chłop zadziorny i przedsiębiorczy, stale podejrzewany o różne sprawki złodziejskie. Kopija oddano do wojska. Jego chata stała pustką. Hryhorij Szewczenko wyprosił u rządcy zgodę na zajęcie tej chaty i w roku tysiąc osiemset dziesiątym przeniósł się z Kiryłówki do Moryńców. Tegoż roku zmarła mu druga córka, Maria, dziecko dwuletnie, ale w roku następnym miał już pierworodnego syna Mykytę.

Hryhorijowi nieźle się mieszkąło w Moryńcach, chociaż po jakimś czasie zaczął doznawać pewnych trudności, których powodem był właśnie prawy właściciel chaty.

Kopijowi udało się uciec z wojska. Wrócił w rodzinne strony. Dobrał sobie watahę takich jak on sam młójców i usadowił się w nieprzebytych lasach, które podówczas otaczały Olszanę, Kiryłówkę i Moryńce. Często po nocy nachodził Hryhorija Szewczenkę i pobierał od niego daninę w naturze — za korzystanie

z chaty. Przyjdzie, bywało, zapuka do okna, a gdy gospodarz zapyta: „Chto i czoho treba?“, odpowie: „Ja, Kopij, ot chto! Z towarzystwom pryjuszow do tebe w hosti. Zabraw jesy mij grunt i chatu, tak teper hoduj nas.” W ciągu niedługiego czasu Kopij wyprowadził od Szewczenki dwanaście owiec i krowę.

Jednakże ludzie nie mieli Kopija za bandytę. Ponieważ często napadał na pańskie dwory, więc z tej racji uważano go nawet za mściciela krzywdy chłopskiej.

Niebawem wszakże znalazł się na Ukrainie człowiek, który rzeczywiście i przez długie lata brał ciężką pomstę na panach — bez wyboru, Polakach, Rosjanach i Ukraińcach — za wszystko, co złego ludowi czynili.

Były to lata niezwykłych wydarzeń. W roku tysiąc osiemset dwunastym pożar olbrzymiej wojny ogarnął imperium carów. W pożarze tym spłonęła Moskwa. W rok później wielotysięczna armia, złożona z chłopów rosyjskich, ukraińskich i białoruskich, ubranych w carskie mundury, maszerowała przez całą Europę, ze wschodu na zachód, ku Francji.

W tym samym roku na Podolu wybuchła jedna z większych ruchawek chłopskich, która wkrótce urosła do rozmiarów powstania. Na jego czele stał prosty wieśniak ze wsi Hołowczyńce w powiecie lityńskim, Ustym Karmaluk. I on również oddany był w służbę za krnąbrne postęпки. I również uciekł z wojska. Zalety osobiste, przede wszystkim odwaga i wytrwałość, zrobiły z niego bohatera na miarę postaci historycznych. Lud ukraiński uwielbiał go i układał o nim pieśni.

W przeciwieństwie do wielu innych watażków, Karmaluk nie zabijał nikogo, poprzestając na podpalaniu

budynków dworskich, zwłaszcza gorzelni. Czasami stosował kary cielesne. A zdobyte pieniądze i ruchomości rozdawał biednym.

W Europie szerzyła się wówczas nie tylko pożoga wojenna, a w Rosji nie tylko wybuchały ruchawki wieśniacze. Wszędzie rodziły się również i dojrzewały nowe idee, nowe teorie, ukazujące ludziom perspektywę lepszego, szczęśliwszego życia. Pokrzywdzone i poniżone warstwy społeczne znajdowały orędowników swojej sprawy, apostołów postępu, którzy gotowi byli prowadzić je do walki z tyranią i uciskiem. Podbite narody chwyciły za oręż, aby wywojować sobie niepodległość. Płomień romantyzmu, podsycany wichrem historii, oświetlał pola bitewne i barykady na ulicach miast.

W Rosji, gdzie absolutyzm monarchów wytworzył najokrutniejsze metody rządzenia, również nie brakło zapaleńców marzących o moralnej i ustrojowej przebudowie państwa. Niemal nazajutrz po pokoju paryskim grupa młodych patriotów rosyjskich, której przewodził adiutant generała Wittgensteina porucznik Paweł Pestel, założyła tajną organizację pod nazwą Związek Ocalenia. Celem związku było przeprowadzenie reformy konstytucyjnej i zniesienie poddaństwa włościan.

Zarówno chłopscy partyzanci Karmaluka, jak i szlachecy spiskowcy Pestela, mogą być nazwani dziećmi tysiąc osiemset dwunastego roku.

Tego samego dnia, kiedy wojska rosyjskie oblegały Paryż, kiedy korpus generała Rajewskiego szturmował Romainvillé i Belleville, a dwa inne korpusy wdierały się już na Montmartre, w ubogiej chacie wiejskiej

w Moryńcach żona Hryhorija Szewczenki powiła czwarte z kolei dziecko — syna, któremu potem miejscowy swiaszczennik, Aleksy Bazaryński, dał na chrzcie świętym imię Tarasa.

Było to dnia dziewiątego marca tysiąc osiemset czter nastego roku.

## II

Musiały jednak Hryhorijowi Szewczence dokuczyć nocne odwiedziny Kopyja, skoro w tysiąc osiemset piętnastym roku przeniósł się znów z rodziną do Kiryłówki i zamieszkał u ojca.

W następnym roku przyszła na świat Jaryna, dwa lata później — Maria, a po sześciu latach — Josyp.

Zaraz po urodzeniu Jaryny kupił Hryhorij chatę od niejakiego Teternika, za dwieście rubli asygnacyjnych. W tej chacie upłynęło dzieciństwo Tarasa.

Owo sielskie dzieciństwo, mimo surowość życia pańszczyźnianego, więcej miało blasków niż cieni. Przynajmniej dopóki żyła matka Tarasa, która go odumarała, gdy mu poszło na dziesiąty rok.

Jeżeli Tarasowi pierwsze lata dziecięce upłynęły dosyć szczęśliwie, zawdzięczał to przede wszystkim rodzicom, a zwłaszcza matce.

Ojciec Tarasa był człowiekiem cichym, pracowitym i niegłupim; zwiedził spory kawałek świata, umiał czytać i pisać, co podówczas w środowisku wiejskim stanowiło nie lada rzadkość. Kochał swoje dzieci; w miarę sił i możliwości dbał o nie, a o Tarasa chyba najbardziej się troszczył, starał się udostępnić chłopcu naukę i rozwinać jego umysł. Niewątpliwie on pierwszy poznał się na synu i dostrzegł w nim znamiona niepospolitych uzdolnień.

A o matce Tarasa można by wiele dobrego napisać.

Była to jedna z tych matek, które dzieciom bez rezerwy poświęcają wszystko, całe swoje życie; które niczego nie znają prócz wyrzeczeń i trudów ponad siły. Matka Tarasa harowała od świtu do nocy — to w gospodarstwie, to na pańszczyźnie, to przy dzieciach (a miała ich sześcioro!). Spalała się w tej pracy jak świeca na wietrze. I przedwcześnie zgasła. W chwili śmierci, w roku tysiąc osiemset dwudziestym trzecim, skończyła dopiero trzydzieści dziewięć lat. Syn ją uwielbiał i ciężko przeżył jej odejście.

Taras dużo też zawdzięczał siostrze Katerynie. Gdy matka wychodziła z domu albo chorowała, Kateryna w jej zastępstwie prowadziła gospodarstwo, gotowała strawę, tudzież opiekowała się całą, tak liczną gromadką siostr i braci, chociaż na dobrą sprawę sama jeszcze potrzebowała opieki. Szczególnie zaś kochała Tarasa. Była mu najczulszą piastunką; była mądrą i cierpliwą towarzyszką jego dziecięcej doli i niedoli.

Taras w ogóle miał szczęście do siostr, bo i dwie młodsze od niego siostry, Jaryna i Maryjka, okazywały mu zawsze dużo serca. Dzięki nim Taras przetrwał niejedną ciężką chwilę w swoich dziecinnych latach.

Mniej pomyślnie układały się jego stosunki z braćmi. Starszy, Mykyta, odznaczał się charakterem bezwzględnym. Nie bawił się w sentymenty. Często bijał Tarasa.

Może właśnie dlatego wrażliwy chłopiec już na progu życia znieawidził przemoc.

A naturę miał bardzo wrażliwą.

Poczucie godności osobistej i umiłowanie swobody wyrabiał w nim dziadek.

Był to człowiek ze wszech miar godny uwagi. Pamiętał czasy, kiedy na dzikich polach harcowały kozackie konie, a ludzie ukraiński umieli się zbrojnie dopominać



o swoje prawa i walczyć z ciemżycielami. Był świadkiem i uczestnikiem ruchów hajdamackich osiemnastego wieku. Brał udział w zdobyciu Humania. Widział na własne oczy Gontę i Żelaźniaka.

Dziadek był z gruntu dobry i łagodny. Przy tym nie brakowało mu nie tylko wrodzonej mądrości, wspaniałej różnorodności doświadczeń, ale i znacznej jak na wieśniaka ogłady. Umiał czytać i pisać. Wnuka swojego, Tarasa, prawdziwie kochał. O żadnym ze swoich potomków nie myślał tyle, co o nim. |

Taras powoli odkrywał świat. Jak wszystkie dzieci wiejskie, jak najbliższe rodzeństwo, gdy tylko nauczył się chodzić, przeważną część dnia spędzał samopas — na podwórzu, w lewadzie albo na ulicy. Sad wiśniowy przy ojcowskiej chacie rósł na zboczu wzgórka. Kiedy chłopiec pewnego razu wdrapał się na wzgórek, dostrzegł wiele innych wyniosłości. Ujrzał rozległe pola, parowy i lasy. Jedna wyniosłość szczególnie go uderzyła, gdyż miała równiejszy niż inne kształt. Taras nawet się nie domyślał, że widzi starożytny kurhan. Coś go pociągnęło w tamtą stronę. Gdy doszedł na miejsce, zobaczył wiatrak i ciemne wejście do pieczary. Po drugiej stronie wzgórza leżała wieś. Była to Pedyńówka.

Taras przekonał się, że oprócz jego rodzinnej wioski istnieją na świecie jeszcze inne osiedla ludzkie. Odkrycie to przejęło go do głębi. Odtąd nie mógł się już oprzeć pokusie odkrywania coraz to nowych miejsc. A zarazem wszystko sobie usiłował wytłumaczyć, każdą rzecz chciał sprawdzić.

Pilnie przypatrywał się wszystkiemu. Gdy leżał na wznak na wzgórku, wzrok jego tonął w niebieskich przestworach. Zachwycały go i przerażały. W głowie

mu się kręciło od tego lazurowego świata. A nuż spadnie na ziemię?

Kiedy usłyszał od ludzi, że niebo wspiera się na wielkich żelaznych słupach, postanowił zobaczyć je na własne oczy.

Kończył już szósty czy siódmy rok. Wymknął się na znaną sobie drogę do Pedynówki, dotarł do kurhanu, minął go i poszedł dalej. W pewnej chwili poczuł zmęczenie. Chciał wrócić do domu, ale zmylił kierunek. Znalazł się na wielkim gościńcu. Nawet się nie domyślał, że tędy biegnie Czarny Szlak. Gościńcem jechały wozy czumackie, zaprzężone w woły. Zobaczyli czumacy małego wędrownika i spytali:

— A kudy ty jdziesz, parubcze?

— Do domu.

— Deż twoja chata, neboracze?

— U Kyryliwci.

— Tak czohoż ty jdziesz na Morynci?

— Ja na Kyryliwku jdu.

— A koły tak, to sidaj na mażu, my dowezemo tebe do domu.

Posadzili go na wozie, dali mu bat do ręki — niech czumakuje. Gdy dojechali do Kiryłówki, Taras poznał swój dom i zawołał:

— Onde, onde nasza chata!

— A koły ty baczysz 'wze swoju chatu, to jdy sobi z Bohom.

Kateryna już dawno wyglądała braciszka; przesuwała sad i lewadę, nigdzie go nie było. Strach ją ogarnął.

Gdy zobaczyła główkę chłopca w przełazie, poskoczyła ku niemu i uściskała go ze łzami w oczach:

— Oj ty, przybłudo!

Nakarmiła go, umyła i położyła spać. Potem długo stała nad nim, czekając, aż zaśnie.

Ośmioletni Taras był jasnowłosym chłopcem, trochę klockowatym, ale ruchliwym i zręcznym. „Win duże motornyj i prowornyj” — mówili o nim ludzie.

Nigdy w miejscu nie usiadł — żywe srebro.

Z tym wszystkim już podówczas zwracał uwagę swą niezwykłością. Pojętny, dociekliwy, spostrzegawczy, lubił wdawać się w gawędy ze starszymi. Rówieśników trochę sobie jakby lekcewał.

Ale stopniowo nabierał skrytości i przekory, a przede wszystkim stawał się nieufny w stosunku do ludzi. Coraz bardziej zamykał się w sobie — niewątpliwie pod wpływem bolesnych doświadczeń, jakich mu nie szczędziło życie.

Beztróskie lata dziecinne, spędzane pod okiem kochającej matki, skończyły się bezpowrotnie, odkąd poszedł do szkoły.

Najpierw dziadek Iwan zaczął mu pokazywać litery: — Az! Bułky! Wiedzi.

I chłopiec w krótkim czasie poznał alfabet.

Potem ojciec oddał go na naukę do diaka kiryłowskiego Pawła Rubana, przezwanego „ślepy m Sowhyrem”. Bo trzeba dodać, że w Kiryłowce żył wtedy również stary żołnierz-inwalida, nazwiskiem Sowhyr. Obaj byli do siebie podobni jak dwie krople wody. Ale tylko Ruban patrzył zezem i na tym zezowatym oku miał bielmo.

Na całej Zwinogródzczyźnie istniały podówczas tylko dwie szkoły państwowe — w Lisiance i Złotopolu. Dzieci chłopskie tam nie przyjmowano. Mogły one chodzić tylko do szkół „diakowskich”. Prawie w każdej wsi ukraińskiej była taka szkoła, a właściwie zwyczajna chata na majdanie, czyli na placu przy cerkwi. Chata dzieliła się na dwie połowy: w jednej mieszkali diacy — przycet cerkownyj, a w drugiej odbywały się lekcje. Przez całą izbę stał długi stół, przy którym siedzie-

li szkolari i wszyscy razem głośno się uczyli. Każdy z nich musiał własnym przemyśleniem zdobyć pęk różeg wiśniowych albo brzozowych i przynieść do szkoły, po czym cierpliwie czekał, aż go nauczyciel tymi różgami oćwiczy. Delikwent podczas tej operacji powtarzał głośno trzecie przykazanie: „Pamiętaj, abyś dzień święty święcił”. Odbywało się to bowiem regularnie co tydzień, w sobotę, jeżeli rzecz prosta nie zaszły okoliczności, w mniemaniu diaka, uzasadniające nadprogramową porcję razy. Sowhyr był olbrzymiego wzrostu i ręki nie żałował. Szczerze przy tym sądził, że działa dla dobra swoich wychowanków; w gruncie rzeczy miał gołębie serce. Ale taka to już była w państwie carów epoka: wszystko się tam wówczas działo przy akompaniamencie knuta.

Dzieci zapoznawały się najpierw z abetką, czyli alfabetem, później składały słowa. Taras, który już znał litery, szybko wybił się w gromadce uczniów kiryłowskich na pierwsze miejsce. Po dwóch latach, kiedy już biegle czytał, a psalterz umiał na pamięć, starodawnym zwyczajem postawił kolegom miskę kaszy z paroma miedziakami i zabrał się do nauki pisania.

Trudno powiedzieć, żeby niechętnie się uczył, ale metody pedagogiczne ślepego Sowhyra mogły obrzydzić wiedzę najpilniejszemu dziecku. Taras często często umykał ze szkoły do domu lub do któregoś z kolegów, albo krył się gdzieś w haszczy nadrzecznej i zawzięcie rysował, czym się dało, kredą, węglem, ołówkiem, i gdzie się dało, na ścianach, na deszczułkach lub zgoła na ziemi, rzadko zaś na zdobywanych z trudem skrawkach papieru. Nie mógł się nasycić tą robotą, ciągle mu było mało.

Obudziła się w nim ta żyłka nie wiedzieć jak i kiedy. W każdym razie bardzo wcześnie. Zapewne już w maleńkości widział, jak sąsiedzi we wsi ozdabiali ścia-

ny chat, a zwłaszcza piece, podobiznami zwierząt i ptaków. Zwyczaj ten był rozpowszechniony na całej Ukrainie. Siostra Kateryna wymalowała kiedyś na ścianie ich chaty zgrabnego koguta.

Taras bardziej cenił i podziwiał inne dzieła sztuki. Trafiały mu do rąk obrazki rodzimych malarzy, z których słynął cały powiat zwinogródzki. Bardzo mu się na przykład podobał święty Jan w mundurze grenadiera, z naszywkami za wysługę lat na rękawie. Albo męczennik Mykyta z ceglastą twarzą i czarnymi jak węgle oczyma.

Spośród owych zwinogródzkich bohomazów największym wzięciem cieszyli się diacy: w Lisiance, Tarasówce i Chlipniówce.

Taras wciąż przemyślał nad tym, jak by się do któregoś z nich dostać na praktykę.

Myśl o wnuku i jego zamiłowaniach malarskich trapiła również dziadka Iwana.

Najszczęśliwsze chwile spędzał Taras w towarzystwie ojca i dziadka na rozmowie i czytaniu. Dziadek czasem opowiadał o swojej kozackiej młodości, pełnej szczeru oręża i ciekawych przygód. Ojciec zaś niekiedy wyjmował ze skrzyni książkę. Miał ich dwie: *Kijowski Pateryk* i *Mineje*. Czytał na głos, a chłopiec przenosił się myślami w inny, cudowny świat, w którym działy się niezwykle rzeczy i żyli nadzwyczajni ludzie.

Taras później z trudem powracał do rzeczywistości. Ale i rzeczywistość zaczęła wkrótce przynosić Tarasowi dużo niezwykłych wrażeń.

Ojciec Tarasa, zajmując się czumactwem, wiele podróżował. Czasem zabierał z sobą syna. To również było szczęście — i ojca, i syna.

Jedną z pierwszych podróży odbyli wkrótce po śmierci matki. Pojechali wiosenną porą do Elizawetgradu — przez Olszanę, Moszny i Śmiłę.

W Olszanie zatrzymali się na krótki popas. Z daleka obejrżeli drewniany pałacyk swojego didycza Engelhardta, stojący w rozległym ogrodzie. Ojciec tylko splunął; dał wołom obroku i ruszyli dalej.

Za Olszaną, kiedy wyjechali z lasu, znaleźli się na równinie, wyglądającej dosyć stepowo. Już ze znacznej odległości zobaczyli Moszny, ale dopiero o zachodzie słońca dotarli do miasteczka, które przedstawiało się dosyć niepozornie: na rynku trochę niziutkich domostw, kilka żydowskich sklepików i mały, schludny kościółek. W tej miejscowości, położonej nisko nad bagnem Irdynia i pokrytej chylącymi się od wiatru trzcinami, mieszkańcy ogromnie cierpieli od drobnych owadów, których całe chmury przylatywały wieczorem od wody. Twarz Tarasa niebawem obrzękła od ukąszeń tych dokuczliwych stworzeń, mimo to chłopiec nie tracił humoru.

Przenocowali, a następnego dnia o południu już byli wśród zielonych dębów Dubijówki, przed samym zaś zmierzchem w — Białozorze.

Tam znów stanęli noclegiem, a skoro świt ruszyli w dalszą drogę. Długo jechali przez dębowy las, który później przeszedł w sosnowy. Okolice stawała się coraz niższa i piaszczystsza. Sosny przemieszały się z brzoźami. Przebyli długi most na Taśminie. Zobaczyli miasteczko, a w nim przedziwnie piękny kościółek.

Za Śmiłą kraj znów przemienił swoje oblicze. Znów był równy i pusty. Grom wiosniany rozlegał się od czasu od czasu głucho i daleko, a potem słońce patrzyło na okolicę, na rozrzucone tu i ówdzie lewady i pola, co ginęły w żółtym oddaleniu. Czasami pod błękitną kopułą nieba przeciągał stepowy orzeł.

Zaraz za miastem przyłączył się do nich niemłody już wieśniak, idący w tę samą stronę. Opowiadał im dawne dzieje tego stepu i sąsiednich lasów. Nigdy jednak nie mówił „hajdamaky”, tylko „dawniszni młodci”.

Tak dotarli do Tykicza. W dolinie nad rzeką leżał Nowomirgorod. Przeszli rzekę w bród, wydostali się na górę i znów przed sobą zobaczyli bezkresny step. Na lewo od drogi majaczyło coś jakby lasek.

— Ce Dewjata Rota — objaśnił wieśniak. — Nowa Serbia.

Taras popatrzył na niego ze zdziwieniem.

Wieśniak smutnie pokiwał głową. Zaczął opowiadać, jak to rząd carski zasiedla Ukrainę sprowadzając obcych: Niemców, Bułgarów, Serbów. Generał Arakczew zakłada kolonie na wzór wojskowy. Nazywa je rotami. Koloniści muszą odbywać musztrę. W miastach jest pełno Lachów, Żydów i Moskali.

— A de nasi kozaky? — spytał Taras.

— W lochu — odpowiedział wieśniak i wskazał kurhan, który mijali.

Przed samym Elizawetgradem wieśniak pożegnał się i skręcił na boczną dróżkę. Słysząc było, jak śpiewał:

Oj posijaw kozak hreczku,  
Na duboczku, na werszczuku;  
Zirwałasia szura bura,  
Kozakowi hreczku zdula.

Kiedy indziej znowu Taras wybrał się z ojcem i dziadkiem Iwanem na Humańszczyznę.

Pojechali przez Hudzówkę i Chlipniówkę do Lisianki, a stamtąd przez Talne do Humania.

Ta okolica Ukrainy była mniej malownicza, nader jednostajna; wioski zawsze położone w jarach, każda ze swoim stawem i rosnącymi nad nim wierzbami.

Spotykali po drodze ciemno ubrane proszczalnice, które dążyły do Ławry Kijowsko-Pieczarskiej.

Dziadek mówił:

— Nechaj Boh pomahaje!

A one odpowiadały:

— Nechaj probude z wamy blahodat' Hospodnia i wsich Joho swiatych.

Tarasowi wydawało się, że od kobiet pachnie ładanem, którym kadzą umarłych.

Nie dojeżdżając do Humania, na skrzyżowaniu dróg zobaczyli karcznię. Na facjacie budynku jakiś domorosły artysta wymalował Kozaka z oseledcem, w czerwonych hajdawerach i żółtych butach, siedzącego okrakiem na beczce i trzymającego w jednej ręce kufel, a drugą wskazującego na kran beczki, z której lał się trunek. Nad tym obrazkiem widniał złocisty napis: „Prybuwajcie, kozaky, propywat' szostaky”.

Karczmarz o lisiej fizjonomii, w czarnych pludrach i białych pończochach stał na ganku i uprzejmym gestem zapraszał przejeżdżających do wnętrza domu.

Dziadek mruknął:

— Dołotce zjiw, a swerdłykom dywyt'sia!

Krzyknął na woły. Po pewnym czasie podróżni zatrzymali się koło strumyka i zrobili popas.

— Chleb, sól i woda — kozacka wygoda — powiedział ojciec.

W Humaniu trafili na jarmark. Ukraińskie jarmarki odznaczały się tym, że wszystko tam grało i śpiewało, tworząc ze zwykłego targu jakieś radosne święto czy zabawę.

Na placu targowym, niedaleko od szkoły bazylińskiej i kościoła, pod gołym niebem, rozbite były liczne kramy, w których sprzedawano paciorki, wstążki, zieloną baję na jupki, kratowane zapaski i wiele innych



różności. A w tym całym barwnym rozgardiaszu bezustannie dzwoniły i brzęczały bandury i teorbany.

Dziadek odnalazł w ciżbie jarmarcznej paru znajomych, którzy wyglądali na jego rówieśników. Usiedli wszyscy razem opodal placu pod rozłożystą akacją i jeśli gawędzić o tym, co się tutaj w Humaniu działo przed półwiekiem. Niebawem zebrała się dokoła nich spora gromadka przygodnych słuchaczy.

Starzy rozmawiali spokojnie, prawie obojętnie, a jednak czuło się w ich słowach dawne uniesienia; jak gdyby odgrzebywali żar ukryty pod warstwą popiołu. I czuło się, że gdyby tak znów powiadał wiatr od Zaporozża, gdyby zabrzmiały pieśni na dawno nie słyszana nutę, żar buchnąłby płomieniem jak w owe szumne lata.

Ślepy bandurzysta, siedzący w pobliżu z chłopczykiem-prowodyrem, brzęknął na strunach i zaśpiewał:

Oj, Moroże, Morozenku,  
Ty sławnyj kozacze!  
Za toboju, Morozenkom,  
Ukrajina płacze.

Długo snuli starzy swoje opowieści. W tym, co mówili, nie przebijają ani skrucza z powodu rozlanej krwi, ani pogarda dla pokonanych.

Dziadek, syn i wnuk przejeżdżali potem przez Zofijówkę, odległą o ćwierć mili od miasta. Widzieli słynne ogrody, które przed paroma dziesiątkami lat możnowładca polski, Szczęsny Potocki, kazał założyć dla swojej żony, pięknej Greczynki.

Ogrody leżały w rozległej dolinie, zroszonej wieloma strumieniami. Całą okolicę zdołały malownicze urwiska i granity skał. W jednym miejscu, na stoku wzgórza, w sposób niepojęty urządzone było jezioro. Wypływająca z niego woda tworzyła kaskadę, która w słońcu

połyskiwała tęczą barw. Pośrodku doliny rozpościerało się jeszcze większe jezioro, a na jego brzegach wśród gęszcza zamorskich krzewów i roślin wznosiły się posągi i świątynie.

Dziadek opowiadał, ile ta iharaszka, jak się wyraził, kosztowała potu i krzywdy ludzkiej. Malownicze urwiska wykonane były rękami chłopów pańszczyźnianych; granity sprowadzano z odległych stron. Przy urządzeniu sztucznego jeziora natopiło się dużo ludzi.

Dziadkowi, który to wszystko widział na własne oczy, cienie tych uroczych gajów wydawały się straszne, a wody z krwią zmieszane.

Dziadek nie posiadał się z oburzenia. Iskry mu leciały z oczu. Ręka widocznie go świerbiła. Był jeszcze co się zowie krzepki mimo swoich osiemdziesięciu lat.

### III

Na początku stycznia tysiąc osiemset dwudziestego trzeciego roku do chaty Hryhorijs Szewczenki przyszło dwóch starych wieśniaków. Widać było, że nietutejsi. Hryhorijs w mig się połapał, co to za jedni; posadził ich na poczesnym miejscu, na pokuciu. Przywołał żonę.

Kiedy już wszystko się wyjaśniło, zgodnie z tradycją, przywołano najstarszą córkę Szewczenków, Katrusię.

Po krótkiej rozmowie z gośćmi Katrusia wyniosła na dużym drewnianym talerzu dwa płócienne ręczniki, a ojciec tymi ręcznikami przewiązał na krzyż obydwóch swatów.

Potem z podwórza wszedł do izby wysoki, postawny młodzieniec i nisko pokłonił się gospodarzom. Był to Antoni Krasicki ze wsi Zielona Dąbrowa.

Katrusia przyczepiła mu do rękawa czerwoną chustkę. Zrękowiny zostały dokonane.

Wkrótce potem odbyło się wesele i Katrusia przeniosła się do domu nowo poślubionego męża.

Taras utracił tkliwą opiekunkę. Wszyscy w domu odczuli nieobecność Katrusi. Szczególnie matka Tarasa, która teraz nie miała się kim wyręczać w gospodarstwie.

Żona Hryhorija Szewczenki była zaharowana: odrabiała pańszczyznę za siebie i za męża-czumaka, jednocześnie pracowała na swoim gruncie, a przy tym wszystkim wychowywała pięcioro dzieci, z których najstarszy, Mykyta, skończył dopiero dwanaście lat, szybko więc sterwała siły i zdrowie. W pół roku zaledwie po zamążpójściu Katrusi rozstała się z tym światem.

Taras utracił drugą oporę w życiu. Wprawdzie miał ojca, ale ojciec po śmierci żony sam się znalazł w trudnym położeniu i z konieczności zdecydował się na drugi ożenek. Ten krok ojca okazał się dla Tarasa najfatalniejszy w skutkach.

Na Ukrainie wdowiec żenił się zazwyczaj z wdową. Hryhorij Szewczenko przy pomocy siostry, Ołeny, znalazł w Moryńcach wdowę z trojgiem dzieci, Oksanę Tereszczenko. Wzięli ślub i zamieszkali razem w Kiryłówce. W rok później urodziła im się córka Maria. W kupionej od Teterinka chacie mieszkało teraz jedenaście osób.

Bezpowrotnie skończyło się dzieciństwo Tarasa opromienione miłością matki i najstarszej siostry. Zaczęły się trudne lata chłopięce, w których dane mu było wycierpieć tyle upokorzeń, znieść tyle różnych utrapień i przykrości, że się tego nie da opisać.

Stepan, najstarsze dziecko Oksany Tereszczenko, był chłopcem złym i do reszty zepsutym przez matkę. Zarówno on, jak i jego matka, znienawidzili Tarasa od



Popiersie kobiety. Taras Szewczenko. Ołówek, 1830



**Portret Pawła Engelhardta. Taras Szevczenko. Akwarela, 1833**

początku. Macocha z byle powodu tłukła pasierba, a jej synek dokuczał mu w najbardziej przemyślny sposób. Poza tym stale odbywały się bójkki dwóch gromadek dzieci — wdowca i jego drugiej żony. W chacie Hryhorijszewczyńki zrobiło się piekło.

On sam, widząc to wszystko, po prostu umykał z domu, wyjeżdżał. Czasem zabierał z sobą Tarasa.

Ledwo Taras wziął się do nauki pisania, a tu w szkole nastąpiła zmiana.

Ślepy Sowhyr nie był diakiem stycharnym, czyli wyświęconym; funkcje cerkiewne pełnił prawie samowolniczo. W roku tysiąc osiemset dwudziestym czwartym konsystorz kijowski przysłał nowego diaka, Piotra Bohorskiego. Syn popa, Bohorski kształcił się przez parę lat w seminarium duchownym w Kijowie, ale doszedł tylko do klasy retoryki, gdyż za dużo czasu poświęcał na grę w kości i pijaństwo.

Był to chłop na schwał, o głowę wyższy od Rubana, przystojny, barczysty, młody. Obowiązki szkolne traktował jako rzecz wielce przykrą i uciążliwą; na wszystkie sposoby wykręcał się od nich. Wśród mieszkańców Kyryłówki zasłynął wkrótce jako „pjanycia pacze wsich pjanyc na switi”. Rękę miał jeszcze cięższą niż Ruban. Za to śpiewał pięknym, grzmiącym jak trąba archanielska głosem.

Jego uczniowie, którym prócz chłosty i połajanek niewiele użyczał, rozlecieli się niebawem jak stado wróbli.

Taras, najpilniejszy i najcierpliwszy ze szkolarów, tak samo, choć ze smutkiem, opuścił kiryłowski przybytek wiedzy, zabierając swój kałamarz, kredę i tabliczkę.

Tymczasem ojciec późną jesienią wybrał się do Kijowa, wrócił stamtąd chory i w marcu tysiąc osiemset dwudziestego piątego roku umarł.

Trudne życie Tarasa stało się jeszcze trudniejsze.

Przez pewien czas przebywał u stryja Pawła, który wziął bratanka niby na wychowanie, ale go tak nie-miłosiernie bił i tak ciężko kazał mu pracować, że Taras nie wytrzymał i uciekł z powrotem do macochy. Bądź co bądź był tam w ojcowskiej chacie i miał obok siebie młodsze siostrzyczki.

Znęcanie się Oksany i jej dzieci nad Tarasem doprowadzało wrażliwego i ambitnego chłopca do wybuchów, które jeszcze pogarszały jego sytuację. A Taras odznaczał się nieustępliwym i wojowniczym charakterem. Potrafił hardo odpowiedzieć macosze, a na jej Stepanku brał odwet przy każdej sposobności.

Starszy brat Mykyta terminował już u stelmacha i nie zajmował się domem. Najmłodszego Josypa wziął do Moryńców dziadek Jakym Bojko. Troska o pozostałe rodzeństwo — dziewięcioletnią podówczas Jarynę i sześciioletnią Maryjkę — spadła na Tarasa. Okazało się jednak, że to rodzeństwo może jemu również być bardzo pomocne.

Pomiędzy Tarasem a dwiema siostrzyczkami nawiązało się najserdeczniejsze porozumienie, utajone, rzecz prosta, przed macochą. Obie dziewczynki, jak mogły, pomagały bratu w borykaniu się z przeciwnościami losu.

Jaryna była pełna wdzięku, wечно roześmiana i rozśpiewana. Maryjka odznaczała się nie mniejszym wdziękiem; niestety, była niewidoma: jako dwuletnie dziecko chorowała na jaglicę i straciła wzrok.

Nie na długo przed śmiercią Tarasowego ojca dziadek Iwan ożenił się po raz trzeci. Miał wtedy przeszło

osiemdziesiąt lat. Sam dobrze nie wiedział, gdzie i kiedy się urodził. Pamiętał tylko, że aż do późnego wieku męskiego był wolnym człowiekiem, a w czasach koliszczyzny słuchał tylko Boga i swoich pułkowników. Bóg i pułkownicy razem prowadzili go na Humań.

Dziadek kochał wnuka Tarasa miłością głęboką i mądrą, chociaż nigdy o tym nie mówił. Bolało go to, że Taras przerwał naukę w szkole. Starał się nakłonić chłopca, aby się zapisał znowu w poczet szkolarów diaka Bohorskiego. Macocha nie stawiała przeszkód.

Bohorski przyjął Tarasa na tak zwanego szkolara-popychacza. Taras miał się uczyć, a zarazem spełniać wszelkie posługi domowe i gospodarskie. Nosił więc wodę, sprzątał, palił w piecu, doglądał trzody, młócił proso, jęczmień i owies. Diak zaś po pijanemu tłukł go niemilosiernie.

Kiedy się Taras na swoją dolę uskarżał dziadkowi i groził, że się utopi, dziadek mówił: „E ni, choć jakyj hirkyj swit, a treba żyty, poky ne pomresz.” I podsycał w chłopcu nadzieję lepszego jutra: byle zdobyć naukę. A do tego potrzebne jest wytrwanie. Więc radził chłopcu: „Byj lychom o zemlu jak szweć mokroju chalawoju o ławu.”

Z nauką u diaka Bohorskiego nie szło Tarasowi łatwo; zajęty ciężką pracą, niezbyt regularnie bywał na lekcjach. Chciwy wiedzy, i tu się sporo nauczył. Bohorski bądź co bądź parę lat spędził w seminarium. No i miał trochę książek, które dawał uczniom do czytania.

Jedną z nich, ozdobioną pięknymi „kunsztykami”, Taras szczególnie sobie upodobał. Był to rodzaj kalendarza, zawierającego różne bajki i opowiadania.

W chwilach trzeźwości diak opowiadał uczniom różne ciekawe historie, na przykład o wędrownym poecie-filozofie, który żył w siedemnastym wieku i nazywał się Hryhorij Skoworoda. Diak czytał uczniom wiersze



tego poety, a Taras, któremu bardzo przypadły do gustu, skrętnie je zapisywał.

Postać Skoworody stała mu się bliska. Pokochał tego człowieka, który tak pięknie sławił ziemię ojczystą, żałował biednych, a szydził z możnych.

Dziadek, jak mógł, starał się ulżyć doli nieszczęśliwego wnuka. Pod różnymi pozorami wyciągał go od diaka, aby dać chłopcu wytchnienie.

Raz udało mu się zabrać Tarasa i Jarynę na proszcę do monasteru Motroneńskiego.

Podróż odbyli piechotą. Dziadek szedł sam, podpierając się grubym posochem, Jaryna dreptała tuż za nim, a Taras niecierpliwie wyprzedzał ich oboje.

Droga prawie cały czas biegła lasami, złożonymi z dębów, lip, grabiny i klonów. Teren był nierówny, pagórkowaty. Gdzieniegdzie tylko rozpościerały się żółte golizny, zarośnięte burzanem. Niebo nad nimi wyglądało jak błękitny klosz.

Monaster stał w pobliżu Łebedyna. Był to niewielki, posepny budynek, pamiętający jeszcze kozackie czasy. Tuliła się do niego cerkiewka z jedną pozłacaną banią, na której sterczał ogromny krzyż.

Zjechało tu teraz dużo pątników. Cały majdan koło cerkwi zapchany był wozami i ludźmi. Przed bramą każdego przybysza witał chór żebraków. Opodal kupcy prawosławni rozłożyli swoje runduki, czyli stragany ze „świętymi” towarami i jedzeniem.

Uwagę Tarasa przyciągnęły kolorowe obrazki. Na jednym z nich poznał dzielnego Kozaka Mamaja. Przypomniał sobie podarunek ojca z ostatniej wyprawy czumackiej. I zapłakał.

Dziadek zauważył to i pociągnął go w stronę cmentarza. Działy się tam bardzo dziwne rzeczy. Na mogi-

łach siedzieli ludzie, starzy i młodzi, mężczyźni i kobiety z dziećmi. Jedni posilali się, drudzy rozmawiali, a jeszcze inni grupkami otaczali kobziarzy, mówiących śpiewnym głosem i dzwoniących w struny swych instrumentów.

Jeden z kobziarzy śpiewał dumę o Aleksieju, popowiczu pyriatyńskim:

Na mori syniomu, na kameni bilomu  
Jasnyj sokił kwyłyt', prokwylaje,  
Na synie more pylno pohladaje,  
Z moria dobyczy wyżydaje, wyhladaje.

Dziadek zaczął Tarasowi opowiadać o cmentarzu. Tu w grobach leżą kolije, hajdamackie zuchy. Tu zwożono i grzebano zabitych. Nasamprzód odprawiano panachydę, przykrywano zwłoki czerwoną kitajką i chowano. Na nagrobkach są wyrzyte imiona i nazwiska.

Tu, do tego monasteru, przyszedł pewnej nocy Maksym Żeleźniak i postrzygł się w czerńce. Był przez długi czas posłusznikiem, czyli nowicjuszem i ściągnął wielu innych mołojców, którzy tak samo przychodzili i wstępowali do zakonu. I zebrala się ich cała wataha.

I znowu pewnej nocy zjawił się u bramy monasteru ślepy kobzarz, zwany Wołochem, i zaczął brząkać na bandurze. Obudzili się zuchy, zebrali w cerkwi, poświęcili noże i poszli Czarnym Szlakiem — wojować Lachów.

Przechodzili przez Kiryłówkę. I wtedy przyłączył się do nich młody syn szewca, imieniem Iwan. Zdobywał razem z nimi Lisiankę i Humań.

— Och, i distałosia todi lacham — zakończył dziadek i w zamyśleniu pochylił głowę.

Jakby uderzając w ton jego dumań, brzęknął w struny i rozżalił się śpiewem inny jakiś lirnik:

Łety' oreł ponad morem po wysokij wysokosti,  
Płacze kozak starisińkyj da po swojij mołodosti...

Ale już trzeci odezwał się na inną zupełnie nutę  
i jakby żarem omusnął słuchaczy:

Sława ne wmre, ne polaże!  
Bude sława sławna!  
Pomiż kozakamy,  
Pomiż družiamy,  
Pomiż łycariamy,  
Pomiż dobrymy mołodciamy!

Dzwony już dzwoniły na wieczernię, kiedy dziadek  
Iwan, Taras i Jaryna opuszczali monaster.

Powietrze było świeże, nasiąkłe wonną wilgocią, ro-  
sa obfita wisiała na listkach drzew, lekka, przejrzysta  
mgielka unosiła się nad stawami; ptactwo jakieś tu  
i owdzie odzywało się na przyjscie nocy.

Stanęli w najbliższej wsi u znajomego pałamarza.

Izba była duża, z sosnową podłogą. Przy drzwiach  
woda święcona i kropidło. Pałamarz umoczył kropidło  
i na znak cześci podał dziadkowi.

Na jednej ścianie wisiały obrazy święte, w ramach  
złoconych i srebrzonych. Na drugiej — dwie krzywe  
szable i rusznica, a nad nimi jaskrawy wizerunek Ko-  
zaka Mamaja. Taras przymrużył oczy, żeby z nich nie  
spłynęły łzy.

Głowę miał nabitą wrażeniami. Zasnął twardo, przy-  
kryty ciepłą skórą końską, niewyprawną, z włosiem.

Śniła mu się bujnorodna ziemia ukraińska, ojczyzna  
wojen i pieśni.

Znów popłynęły ciężkie dni i tygodnie w najmach  
u diaka.

Bohorski coraz mniej się udzielał swoim wychowan-

kom i coraz rzadziej bywał trzeźwy. Znalazł sobie kompana w osobie drugiego diaka, Jonasza Łymara, i zaczął jeszcze okrutniej pić.

Zauważywszy, że Taras umie znacznie więcej niż inni uczniowie, mianował go swoim zastępcą z tytułem „konsula”. Konsul w chwilach wolnych od pracy gospodarskiej przesiadywał w klasie, odrabiając z uczniami lekcje. Do jego obowiązków należało również wymierzanie kolegom sobotniej chłosty.

Taras wciąż był głodny, diak bowiem nie dawał mu prawie nic do jedzenia. Toteż chłopiec od razu wpadł na pomysł wyzyskiwania swoich konsulskich uprawnień: pobierał od delikwentów sobotnich opłatę w naturze, w zamian za co łagodniej się obchodził z ich skórą. Gdy w porę nie dostał haraczu, umyślnie wolno wymawiał słowa przykazania: „Pamiętaj... abyś... dzień... święty... święcił...” — i przez ten czas okładał opieszalca, ile wlaźło.

Bohorski wyręczał się również Tarasem, gdy chodziło o czytanie psalterza nad umarłymi. Taras czytał pięknie. Ludzie z chęcią korzystali z jego usług, dawali mu jeść, a ponadto nieźle płacili. Ale diak zabierał prawie wszystko, zostawiając chłopcu zaledwie drobną cząstkę „na bubłyky”.

Tak więc odżywianie się Tarasa zależało od wysokości zebranej w szkole daniny i od ilości nieboszczyków.

Gdy uczniowie nie przychodzili na lekcje albo gdy we wsi przez dłuższy czas nikt nie umarł, Tarasowi kiszki przysychały do krzyża.

Kiedy nie miał innego wyjścia, łapał cichcem kury i gęsi sąsiadów, wymykał się po nocach na kurhan pod Pedynówką; w pieczarze rozpalał ognisko, gotował strawę, posilał się i wypoczywał.

Dym wychodzący z pieczary nasunął ludziom przypuszczenie, że musi tam grasować „neczysta syła”. Wie-

śniacy nakłonili popa, żeby wypędził stamtąd złe duchy.

Poszedł pop z Kiryłówki, Iwan Nesterowski, z gromadą wiernych, pokropił wodą święconą wejście do pieczary i odprawił modły, a potem wezwał obecnych, aby weszli do wnętrza i sprawdzili, czy wszystko jest w porządku. Ponieważ nie było chętnych, ludzie zebraли trochę pieniędzy na zapłatę dla śmiałka.

Wtedy, oczywiście, zgłosił się Taras. Ludzie z początku nie chcieli chłopaka puścić w obawie, aby go diabeł nie porwał do piekła. Ale w końcu się zgodzili:

— Nechaj lize, wono szcze małe, do joho neczysta syła ne prystane.

Taras udał, że nie zna wnętrza pieczary; kazał się przywiązać do długiego sznura i ciągnąć z powrotem, gdyby go, co nie daj Boże, diabli chwycili w szpony. Posiedział trochę w pieczarze, uprzątnął ślady swojego kucharowania i wrócił ze zwycięską miną, oznajmiając, iż złe duchy opuściły pieczarę. Zarobił wtedy ładne parę groszy.

Tarapaty chłopca jeszcze się zwiększyły, odkąd Bohorski na dobre pokumał się z macochą. Oksana była od diaka starsza o kilkanaście lat, ale to nie przeszkadzało ich zażyłości.

Taras cięty w mowie, powściągać języka nie umiał, często więc uszczypliwymi powiedzeniami narażał się diakowi i macosze. Oboje go za to nie lubili i przy każdej okazji tłukli.

Kiedy diak siedział u Oksany i popijał horiłkę, Taras przebywał w szkole; kiedy zaś diak powracał do szkoły, Taras uciekał na pole, zanurzał się w burzany i bodziaki albo krył się w ogródku u sąsiada, Żelecha. Krył się tak czasami po kilka dni. Siostra Jaryna, idąc do krynicy po wodę, zanosila mu kawałek chleba. Niekiedy sam podkradał się pod chatę, a ociemniała Maryjka,

dziwnym wiedziona przecuciem, wychodziła na dwór i, słysząc szept braciszka, nieomylnie kierowała się w jego stronę i wręczała mu przygotowany z wczasu chleb.

Jeżeli Tarasowi udało się zdobyć kilka groszy i kupić papieru, leżał w krzakach i rysował.

Taras szczególnie lubił rysować węglem na ścianach. W domu, u macochy, i w szkole nie mógł tego robić, gdyż mu nie pozwalano. Szukał więc wytrwale innych możliwości i w końcu je znalazł. Jeden z kolegów szkolnych Tarasa, niejaki Honczarenko, opowiedział swoim rodzicom o jego rysunkach. Zaprosili chłopca do chaty i wkrótce wszystkie ściany mieli pięknie ozdobione dziełami młodocianego artysty.

Razu pewnego do chaty Krasickich w Zielonej Dąbrowie zapukał Taras. Gdy tylko wpuszczono go do izby, położył się w kącie na podłodze i zasnął kamienym snem.

Siostra z żalnością patrzyła na brata. Był oberwany i brudny, wynędziały do ostateczności. Jego włosy roily się robactwem.

— Oj ty, prybłudo! — powiedziała Kateryna, gdy Taras się obudził po kilku godzinach. Dała mu gorącej wody do mycia i czystą koszulę.

Taras opowiedział jej, że uciekł od diaka Bohorskiego.

Diak znów się upił. Nielitościwie obił go różgą. Dopełniła się miara bólu i goryczy chłopca. Taras zawsze głęboko odczuwał wszelką niesprawiedliwość, a z trudem znosił każde upokorzenie. Żył w nim pamięć czułych pieczęt matki i dobroci ojca. Miał dziadka, od którego przejął poczucie własnej godności. Nie mógł więc nadal godzić się z despotyzmem i okrucieństwem diaka.

Jak wszystkie natury głęboko czujące i wrażliwe, kiedy już zbrakło mu cierpliwości, za brutalne postęпки diaka odplacił aktem bezlitosnej zemsty. Widząc, że diak leży pod stołem nieprzytomny, tą samą różgą, którą czuł jeszcze na swojej skórze, wysmagał go ze wszystkich sił. Po czym zebrał swoje skromne manatki i opuścił szkołę na zawsze.

Nie mógł się przy tym oprzeć, aby nie przywłaszczyć sobie owej książeczki z kunsztstkami, którą tak lubił.

Po pewnym czasie wyruszył Taras do Lisianki, do tamtejszego diaka, jednego z trzech sławnych na cały powiat „bohomasów”. Wiedział tylko jedno: musi zgłębić tajemnice sztuki malarskiej. Postawił sobie taki cel i zmierzał do niego z prawdziwie chłopskim uporem.

Lisianka leżała nad Zgniłym Tykiczem, oddalona od rzeki o dobre kilka stajań. Taras od razu poznał w gęstwie lisiańskich grusz i jabłoni domek, którego szukał. Był tu przecież z ojcem. Poznał domek diaka po sadzie dereniowym, malowanych na pąsowo oknach i zielonym dachu.

Diak przyjął go życzliwie. Ale już nazajutrz przekonał się, że ojciec Jefrem — takie diak nosił imię — niczym się nie różni od diaka Bohorskiego.

Nowy nauczyciel kazał chłopcu wiadrami nosić z Tykicza wodę i rozcierać na blasze farbę, którą nazywał miedzianką. Upijał się tak samo jak inni diacy i podobnie jak oni nie szczędził Tarasowi szturchańców i różeg.

Taras, widząc, że się tu niczego nie nauczy, pomny na gorzkie doświadczenia w Kiryłówce, po trzech dniach „praktyki” opuścił ojca Jefrema.

Był to dla chłopca zawód bardzo ciężki, ale Taras nie dał za wygraną. Prosto z Lisianki powędrował aż

do Steblowa nad Rosią. I tu jednak spotkało go niepowodzenie: tamtejszy malarz nie chciał go przyjąć, miał bowiem dużo zajęcia we dworze, u państwa Hołowińskich.

Przechodząc koło dworu chłopiec zatrzymał się, uderzony niezwykłym widokiem. Rosła tam ogromna lipa, pod której konarami mogło się zmieścić chyba ze sto osób. Jej wierzchołek, rzekłbyś, dotykał nieba. Wśród gałęzi uwijało się ćwierkające ptactwo. Zieleń liści nosiła już jesienną pozłotę. Drzewo było tak piękne, że Tarasowi lzy stanęły w oczach.

Niebawem chłopiec spróbował szczęścia po raz trzeci. Udał się do diaka w Tarasówce. Postanowił teraz zacisnąć zęby i znosić cierpliwie wszelkie przykrości, byle tylko zajrzeć w tajniki sztuki i zostać „choczymalarem”.

Nabrał otuchy, gdy ujrzał sioło, rozległe, schłodne, z obrośniętymi wierzbami stawem pośrodku, a na majdanie cerkiew ze lśniącą od złota kopułą, niebieskimi ścianami i żółtą dzwonnica. Widać było, że cerkwią opiekuje się artysta.

Diak-malarz wysłuchał Tarasa i powiedział:

— Pokaży meni, chłopcze, dołoniu liwoji ruky.

Taras pokazał dłoń lewej ręki.

Diak patrzył, patrzył, aż wreszcie rzekł:

— Niczoho putnioho z tebe ne wyjde, neprydatnyj ty ni do maluwannia, ni do bondarstwa, ni nawit' do szewstwa. Idy sobi het' od mene!

W Tarasa jakby grom uderzył. Takiego wyroku się nie spodziewał. Zgasła nadzieja, która go krzepiła w chwilach najtrudniejszych i dodawała mu chęci do życia.

Wracając do Kiryłówki, gdzie go czekały kłótnie



i bójkę z macochą i jej dziećmi, i rozmyślając o swej przyszłości, Taras doszedł do wniosku, że najlepiej zrobi, jeśli zostanie pastuchem gromadzkim. Przynajmniej będzie mógł całutkie dni spędzać poza domem. To właśnie uznał za rzecz najważniejszą.

Ale gdy już ostatecznie rozważył i powziął ten zamiar, natychmiast sobie powiedział:

— Ni, a wse taky ja budu malarem!

#### IV

Były to — jak się wyraził pewien historyk — „czasy zamieszania pojęć społecznych w Europie”. I czasy ogólnego spiskowania. Nastąpiły one po wielu zawiedzionych nadziejach, po upadku Napoleona, kongresie wiedeńskim i restauracji we Francji.

Zrodziła się wtedy idea narodowości, a z nią nierozwalnie się spłotła idea rewolucji — narodowej i społecznej.

Rozpowszechniała się — jeżeli można to tak nazwać — moda na dawność i na ludowość. Rozwijały się badania folklorystyczne. Gromadzono i wydawano pieśni ludowe. Zdumiewające postępy czyniła archeologia.

Na wschodzie Europy cieszyło się wzięciem i różnie przybierało kształty hasło wzajemności słowiańskiej.

Szerzyły się utopie socjalistów o radykalnej przebudowie życia społecznego. Fourier był chyba jednym z najpopularniejszych ludzi na świecie.

W polityce żywy obieg miały różne pomysły federacyjne.

Narody uciśnione widziały w tych pomysłach drogę do wyjścia ze stanu niewoli.

Narodom uciśnionym przewodzili uczeni i poeci.

Wszędzie działała masoneria. I kwitła romantyczna miłość.

W roku tysiąc osiemset dwudziestym czwartym w Wilnie za udział w tajnym stowarzyszeniu studenckim skazano na deportację w głąb Rosji kilkunastu młodych Polaków. Trzej z nich, Adam Mickiewicz, Franciszek Malewski i Józef Jeżowski, w październiku wyjechali do Petersburga. Tam poznali się i zaprzyjaźnili z młodym poetą rosyjskim Konradem Rylejewem. W końcu stycznia roku następnego wygnańcy polscy ruszyli do Odessy. Po drodze zatrzymali się w Kijowie.

Rok rocznie w lutym odbywały się słynne kontrakty kijowskie. W roku tysiąc osiemset dwudziestym piątym zjazd był wyjątkowo duży. Dawno nie widziano w mieście takiego ruchu i gwaru.

Niemало się do tego przyczynił głośny mariaż w świecie arystokracji: Maria Rajewska, córka generała, bohaterka wojen z Napoleonem, wyszła za mąż za księcia Sergiusza Wołkońskiego, przedstawiciela jednej z najświetniejszych rodzin rosyjskich. Dwudziestosześcioletni marszałek gubernialny szlachty kijowskiej, hrabia Gustaw Olizar, miał wskutek tego zamążpójścia serce tak zranione, że wyjechał na Krym, kupił niewielką posiadłość, zamknął się i układał melancholiczne elegie.

Książę i hrabia należeli do tej samej loży masonskiej, która od niedawna istniała w Kijowie i nazywała się Lożą Zjednoczonych Słowian. Olizar pełnił w niej nawet funkcje prezesa. Należeli do niej głównie Ukraińcy i Polacy. Ale było też trochę Rosjan.

W Kijowie Mickiewicz zaprzyjaźnił się z rodziną Holiwińskich. Przez nich poznał księcia Antoniego Ja-

blonowskiego, o którym w kołach filareckich szeptano sobie na ucho, że bierze udział w konspiracji patriotycznej. Książę robił niesympatyczne wrażenie, był oschły i wyniosły, ale wszyscy traktowali go z respektem, gdyż miał nazwisko i majątek.

Niedługo potem odbyło się poufne spotkanie spiskowców rosyjskich i polskich. Pierwszych reprezentował podpułkownik Paweł Pestel, drugich — książę Antoni Jabłonowski. Miejsca na rozmowę użyczył w swoim mieszkaniu książę Sergiusz Wołkoński. Była to kontynuacja narad, jakie rok przedtem, również na kontraktach w Kijowie, zapoczątkowali Michał Bestużew-Riumin ze strony rosyjskiej i podpułkownik Seweryn Krzyżanowski ze strony polskiej. Omawiano między innymi sprawę przyszłości Ukrainy. Ale do porozumienia w tej sprawie nie doszło.

Mickiewicz niebawem wyruszył dalej. Po drodze odwiedził Hołowińskich w Steblowie nad Rosią. Tam go zachwycała rosnąca przed domem olbrzymia lipa, nie mniej wspaniała i poetyczna niż litewski Baublis.

Ze Steblowa pojechał do Elizawetgradu do hrabiego Witta, który był szefem osad wojskowych na południu Rosji tudzież kuratorem Liceum im. Richelieugo w Odessie. Mickiewicz miał w tej szkole objąć posadę nauczyciela.

Rozmawiając z Wittem, przypatrywał mu się i nie mógł wyjść ze zdziwienia: ten przedwcześnie zestarzały brzydał, niski, chuderlawy, o świdrujących oczach, był synem pięknej Greczynki, która później wyszła za Szczęsnego Potockiego i dla której magnat polski założył słynną Zofijówkę pod Humaniami.

Mickiewicz słyszał, że Zofijówka kosztowała z górą piętnaście milionów złotych. Nie wiedział jednak, że taką samą albo większą nawet kwotę zdefraudował ze skarbu państwa generał Witt, aby otoczyć przepychem

swoją przyjaciółkę, hrabinę Sobańską, królującą w salonach odeskich. Nie wiedział też poeta o wielu innych rzeczach.

W drugiej połowie lutego Mickiewicz był już w Odessie, a w marcu pisał stamtąd do Odyńca, skarżąc się na zimna i słoty, jakich tu o tej porze nie pamiętano.

Niebawem pochłonał go wir uciech światowych; olśniła go uroda Karoliny. Latem odbył w jej towarzystwie przejażdżkę na Krym. Z Odessy do Sewastopola płynęli jachtem, noszącym nazwę „Karolina”. Kupił go Witt specjalnie na tę podróż. Oprócz generała pojechał z nim rodzony brat Sobańskiej, hrabia Henryk Rzewuski. No i nieodstępny Aleksander Boczniak.

W Arteku krymskim Mickiewicz i Rzewuski odwiedzili Gustawa Olizara, w Symferopolu zaś Gribojedowa.

Gribojedow poznał Mickiewicza z generałem Orłowem, usuniętym z wojska za liberalne poglądy. Michał Orłow był żonaty z najstarszą córką generała Rajewskiego, Katarzyną.

U Orłowa spędzono przemiły wieczór. Gribojedow grał *Sonatę księżycową* Beethovena.

Pod koniec wieczoru przyszli dwaj młodzi, sympatyczni oficerowie, kuzyni generałowej, Lichariow i Podzio.

Nie mówili o niczym wyraźnie; jednak z tonu ich na poły żartobliwych wypowiedzi, półsłówek i spojrzeń Mickiewicz wywnioskował, że biorą udział w jakimś spisku. Nie wiedział jednak, co się podówczas działo w Petersburgu i na Ukrainie. I nie znał właściwych funkcji urzędowych generała Witta i jego arystokratycznej przyjaciółki. Tylko Boczniaka miał w niej jakimś podejrzeniu.

Zresztą Mickiewicz dawał się wtedy unosić fali namiętnego uczucia do Karoliny Sobańskiej i — pisał wiersze.

W tych samych letnich miesiącach Puszkina z nakazu cara odbywał areszt domowy we wsi Michajłowskoje, wzbogacał swoją wiedzę o folklorze rosyjskim i pisał wiersze. Zaczął też pisać artykuł *O narodowości w literaturze*. Wyraził tam następującą myśl:

„Narodowy charakter twórczości pisarza jest jej walorem, który może być należycie oceniony tylko przez współrodaków — dla innych walor ten albo nie istnieje, albo nawet może się wydać czymś ujemnym”.

W życiu Puszkina był to okres najwyższych uniesień wolnościowych.

W lipcu tegoż roku w żytomierskim mieszkaniu hrabiego Piotra Moszyńskiego, marszałka szlachty tamtejszej, odbyła się sesja słowiańska, w której wzięli udział przywódcy spiskowców rosyjskich: Sergiusz Murawiew-Apostoł i Michał Bestuzew-Riumin. Z Petersburga przyjechał Konrad Rylejew. Polską konspirację patriotyczną poza gospodarzem i kilkoma innymi osobami, reprezentował znowu podpułkownik Krzyżanowski. Znowu mówiono o Ukrainie.

W konferencji wziął udział dopuszczony do tajemnic spiskowych młody, dwudziestoczteroletni poeta, „gente Ruthenus, natione Polonus”, jak sam o sobie mawiał — wnuk konfederata barskiego, rozsiekanego przez Moskali, syn żołnierza z insurekcji kościuszkowskiej, Tymko Padurra.

Skończył właśnie Liceum Krzemienieckie, w którym miał takich zdolnych kolegów, jak Maurycy Gosławski, Tytus Szczeniowski i Tomasz August Olizarowski. Kilka lat przedtem, w Winnicy, siedział na jed-

nej ławie gimnazjalnej z Sewerynem Goszczyńskim. A znał się i przyjaźnił również z „wieszczem Miodoboru” Tymonem Załborowskim, tudzież, z „osobliwym dyletantem”, Zorianem Dołęgą-Chodańskim. Tak jak oni wszyscy, zbierał pieśni i podania gminne, lubił — wedle własnego wyrażenia — „wsłuchiwać się w jęk liry ukraińskiej”. A w swoich poezjach, pisanych przeważnie po rusku, sławił dawny obyczaj kozacki, opiewał wspólne walki Polaków i Ukraińców z Moskwą i Tatarami. Zamierzał odtworzyć wierszem dzieje Ukrainy. Temu przedsięwzięciu poety dali swoje błogosławieństwo najwybitniejsi pisarze polscy — Alojzy Osiański, Joachım Lelewel oraz Julian Ursyn Niemcewicz.

Padurra cieszył się poparciem wielu wpływowych osobistości. Lubił go i cenił książe Roman Sanguszko, a hrabia Wacław Rzewuski — „Emir”, „Złota Broda” albo „Rewucha”, jak go powszechnie zwano — po prostu za nim przepadał.

Padurra, rzec można, w czepku się urodził.

Podczas wspomnianej sesji wygłosił na temat Ukrainy tak porywające przemówienie, że Murawiew-Apostoł w dowód uznania ofiarował mu pierścień żelazny, godło braterstwa i przymierza spiskowców rosyjskich, polskich i ukraińskich. Mimo to rozwiązanie sprawy ukraińskiej postanowiono odłożyć na czas późniejszy.

Murawiew-Apostoł oraz jego współtowarzysz Bestuzew-Riumin uprosili jednak Padurrę o napisanie pieśni-pobudki, która zagrzewałaby masy ludowe ukraińskie do walki z caratem. Poeta chętnie spełnił tę prośbę. Napisał wiersz po ukraińsku i sam go niezwłocznie przetłumaczył na język polski.

Ostatnia strofa pobudki brzmiała po polsku:

Czas już odbić, wielki czas,  
Knut od grzbietu, łańcuch z nóg!

Czas! — wołają do nas — czas!  
Dzieje, kości, łyzy i krew.  
Hej! Kozacze, na wrogą!  
Hurrahà! hurrahà!

Pieśń nosiła tytuł *Ruchawka* i szybko zdobyła sobie rozgłos w szerokich kołach buntowniczo nastrojonej młodzieży Wołynia i Podola. Tu i owdzie śpiewali ją nawet wieśniacy.

Nie mniejszym powodzeniem cieszyły się rzewne liryki Padurry, opiewające jego miłość do Ukrainy. Wiersze te, rzecz prosta, nie były drukowane — krążyły w odpisach.

Niejedna łyza upadła na kartkę papieru, na której czerniały żałobne litery elegii:

A ty jak wyjdziesz z posered myru,  
I dern zalaże na hrud',  
Eh! czy na hrib twij, pro twoju liru,  
Zhadaje w myri chto-bud'?

Może ne bude komu zhadaty...  
Może i diżdu kołyś...  
No ty, Wkrajino, ty meni maty,  
Szcze i za hrobom prysnyś!

Z uczonych i światłych Rosjan owego czasu najżywiej interesował się Padurrą metropolita kijowski Eufemiusz Bołhowityn, zbieracz starożytności ukraińskich i jeden z pierwszych na Ukrainie archeologów, który nawiasem mówiąc, po kądzieli ród swój wywodził od Mazepianki. Jemu to właśnie Padurra zawdzię-

---

<sup>1</sup> A ty jak wyjdiesz ze świata żywych || I darń przywali ci pierś, || Czy o twym grobie, o twojej lirze, || Wspomni na świecie kto bądź?... || Może nie będzie miał mnie kto wspomnieć... || Może doczekam się wraz... || Lecz ty, Ukraino, ty matka moja, || Za grobem śnij mi się wciąż!

czał głębokie, źródłowe obeznanie się z dziejami Kozaczyzny.

Padurra bywał częstym gościem u metropolity. Nawet przemieszkiwał u niego po kilka tygodni. Tam poznał księcia Sergiusza Wołkońskiego oraz jego brata, Mikołaja Repnina, generała, który był podówczas gubernatorem połtawskim, a nieco wcześniej piastował godność wicekróla Saksonii.

Generał Repnin słynął z kultury osobistej, waleczności, zainteresowań intelektualnych, demokratyzmu i ukrajinofilstwa. Rdzenny Rosjanin, ożeniony z Ukrainką, Razumowską, wnuczką ostatniego hetmana, nie miał w sobie nic z szowinistycznej azjatyckiej pychy rosyjskich wielmożów spod znaku Piotra i Katarzyny. Ukraińców popierał wszędzie, jak tylko mógł; toteż w końcu musiał opuścić Połtawę.

Dopóki jednak sprawował tam rządy, wciąż dużo robił dla polepszenia losu miejscowej społeczności ukraińskiej, coraz bardziej odczuwającej na sobie żelazną łapę carskiego centralizmu. Kierownikiem kancelarii gubernialnej mianował księżę Repnin młodego Ukraińca, historyka, badacza dziejów Kozaczyzny, Dmytra Bantysza Kamieńskiego.

Księżę Repnin troskliwą opieką otaczał teatr połtawski. Dzięki jego staraniom wzniesiono nowy gmach teatralny i zewsząd ściągano aktorów. Na czele teatru za wolą księcia stanął głośny pisarz ukraiński Iwan Kotlarewski.

W Charkowie mieszkał wówczas drugi pisarz ukraiński, Hryhorij Kwitka, bardziej znany jako Hryćko Osnowjanenko. Pisał komedie i opiekował się miejscowym teatrem, w którym grała trupa niejakiego Sztejna. Wybił się w tej trupie jeden młody aktor, nazwi-



skiem Michał Szczepkin, chłop z pochodzenia, poddany obywatelki ziemskiej Anny Volkenstein.

Książę Repnin sprowadził charkowską trupę na gościnne występy do Połtawy. Zachwycił się talentem Szczepkina, wzruszył jego dołą. Urządzono na rzecz młodzieńca przedstawienie — coś w rodzaju benefisu. Książę Potemkin zapłacił za fotel siedemset rubli. Sam Repnin zapłacił trzysta. Zebrano siedem tysięcy dwieście siedem rubli. Resztę — do ośmiu, których zażądała pani Volkenstein — dołożył gubernator. I Szczepkin uzyskał wolność.

Mniej więcej wtedy, gdy w Żytomierzu toczyły się obrady sesji słowiańskiej, w Połtawie odbywał się gubernialny zjazd szlachty. Jednocześnie pod przewodnictwem Kotlarewskiego i w jego mieszkaniu obradowała ukraińska łoża masonska „Miłość prawdy”. Jeden z jej członków, potomek starej kozackiej rodziny, Wasyl Łukaszewicz, znał się dobrze z księciem Sergiuszem Wołkońskim i został przez tegoż wciągnięty do spisku, którym kierowali Murawiew-Apostoł i Bestużew-Riumin.

Gości, którzy przychodzili na zebranie, witał w przedpokoju wygalowany ochmistrz i każdemu zadawał to samo pytanie:

— Gdzie słońce wschodzi?

Każdy odpowiadał:

— W Czehryniu.

Wtedy go wpuszczano.

Było to hasło i odzew, o podwójnym, symbolicznym znaczeniu.

Łoże masonskie już od siedmiu lat były zabronione w imperium.

Gubernator wiedział o posiedzeniu łoża połtawskiej. Miejscowy isprawnik bywał u Kotlarewskiego w domu, a ten, poczciwina, nie krył się z niczym, o konspi-

racji nie miał pojęcia. Książę Repnin dobrze znał lojalność wszystkich członków loży wobec Petersburga. Ludzie ci chętnie wspominali „dawne dobre kozackie czasy”, ale nazbyt wierzyli w potęgę caratu, aby snuć plany jakiejś irredenty. Byli to najspokojniejsi obywatele państwa, a ich „małoruskie” ciągotki najzupełniej tłumaczyły się gustami modnego podówczas romantyzmu.

Najniebezpieczniejszy wydawał się isprawnikowi Wasyl Łukaszewicz. Policjant czuł pismo nosem. Ale gubernator nakazał zostawić w spokoju i Łukaszewicza: nie brał poważnie spiskowej działalności ziemian, помещczyków.

Jeszcze przedtem, na wiosnę, gruchnęła wieść niespodziewana, poruszyła wieśniaków na całej Ukrainie: z Sybiru uciekł słynny watażka chłopski Ustym Karmaluk, skazany na dożywotnią katorgę. Była to już trzecia jego ucieczka z więzienia.

W ciągu dwunastu lat nieprzerwanej walki ze sługami cara w obronie chłopów Karmulak zdołał stać się postrachem jednych, a bożyszczem drugich. Imię jego obrosło legendą.

Co ciekawsze, postać Karmuluka stała się popularna nawet w wielu zaściankach szlacheckich. Bądź co bądź watażka ten walczył z caratem i odznaczał się, jak powiadano, niezwykłą rycerskością. A że temu czy owemu posesjonatowi kazał sypać różgi, to dobrze robił — wielcy panowie mieli na swoim sumieniu niejedną krzywdę ludzką.

W niezliczonych odmianach, po ukraińsku i po polsku, szerzyła się śpiewka, ułożona przez nieznanego poetę:

Za Sybirem słońce wschodzi;  
Chłopcy, baczność dajcie!

I nadzieję w Karmaluku  
Całą pokładajcie!

. . . . .  
Zwą mnie ludzie rozbójnikiem,  
Mówią, że morduję;  
A ja przecie nie morduję,  
Gdyż ludziom współczuję.

Oj, ja ludzi nie zabijam,  
Inne widzę cele.  
Co nabieram u bogaczy,  
Tym biednych obdzielę.

Młode szlachcianki z upodobaniem nuciły piosenkę,  
w której Karmaluk występował jako wyśniony ro-  
mantyczny kochanek.

Zozuleńka w polu kuka,  
Nie ma mego Karmaluka,  
Nie ma, nie ma i nie będzie.  
Oj, jak cicho, smutno wszędzie...  
Leci konik na munsztuku,  
Przybądź, przybądź, Karmaluku!...

Właściciele ziemscy na Podolu, skąd Karmaluk po-  
chodził i gdzie miał wielu zwolenników, na wieść o je-  
go ucieczce zaczęli robić przygotowania co najmniej  
jak do wojny z Turkami albo Tatarami. Jedni umac-  
niali swoje siedziby, czyniąc z nich małe warownie,  
i uzbrajali czeladź dworską, drudzy wraz z rodzinami  
przenosili się do miast, pod osłonę wojska.

Karmaluk na razie jednak nie dawał znaku życia.  
Widocznie zbierał swoich rozproszonych po całym  
świecie junaków i gotował się do nowej kampanii.

W lecie tegoż samego roku do Charkowa przybyli  
jeszcze dwaj zesłańcy polscy z Wilna, eks-profesorowie  
wszechnicy wileńskiej, przyrodnik Jan Krynicki

i prawnik Ignacy Daniłowicz. Dano im odpowiednie katedry na Uniwersytecie Charkowskim. Wobec braku sił krajowych, każdy uczony, choćby nawet obcy, był na wagę złota. Zwłaszcza w takim Charkowie, gdzie uniwersytet istniał dopiero od kilku lat.

Daniłowicz, uczony europejskiej sławy, przyjaciel Lelewela, interesował się szczególnie dziejami Litwy i Rusi. Dał się też poznać ze swych sympatii proukraińskich. Ogromnie towarzyski i ruchliwy, skupił dokoła siebie liczne grono miejscowej inteligencji. Do jego najbliższych przyjaciół należał Piotr Hułak-Artemowski, profesor historii i literatury polskiej na uniwersytecie, tłumacz i poeta, jeden z twórców nowej literatury ukraińskiej.

Obaj mieszkali w domu gubernatora, przy zbiegu ulic Uniwersyteckiej i Mikołajowskiej, tuż obok uniwersytetu. Na dysputy literackie, które odbywały się bądź u Hułaka, bądź u Daniłowicza, przychodził również Kwitka-Osnowjanenko.

Hułak-Artemowski wychował się w promieniach kultury polskiej. Przez szereg lat przebywał jako nauczyciel po różnych dworach polskich na Ukrainie. Przyswoił sobie prezencję i zwyczaje szlachty polskiej. Literaturę polską i język znał wyśmienicie. Toteż gdy w roku tysiąc osiemset osiemnastym, jeszcze jako student, wystąpił z projektem wykładów o literaturze polskiej, ówczesny kurator uniwersytetu, hrabia Seweryn Potocki, od razu poparł ten projekt. Hułak-Artemowski stał się nie tylko wykładowcą, ale i gorliwym propagatorem kultury polskiej. Z zapałem tłumaczył utwory pisarzy polskich na język ukraiński i zachęcał do tego swoich słuchaczy. Wykładając historię opierał się głównie na dziełach Naruszewicza i Lelewela. W wykładzie inauguracyjnym, opublikowanym w miejscowej prasie, Hułak-Artemowski wystąpił jako

rzecznik wzajemności słowiańskiej. Nawoływał zwłaszcza Ukraińców, aby studiowali język i literaturę polską.

Kiedy Mickiewicz po długich staraniach otrzymał zezwolenie na wyjazd do Moskwy i kiedy w gradonaczalstwie odeskim wręczono mu podorożną, w pierwszej chwili oniemiał z zaskoczenia. Marszruta w podorożnej nakazywała poecie jechać przez Perekop i Chersoń do Charkowa, a stamtąd prosto do Moskwy. Mickiewicz wiedział, że każde odchylenie od wytkniętego kierunku może spowodować nieprzyjemną interwencję policji. Trzeba było zrezygnować z ponownej wizyty u Hołowińskich, z ponownej bytności w malowniczym Kijowie; z żandarmami nie ma żartów.

Już siedząc w tarantasie przypomniał sobie, co mu opowiadał Małewski: w Charkowie przebywają Krynicki i Daniłowicz. Małewski zdążył wymienić z nim parę listów.

Mickiewicz lubił i szanował obydwóch, zwłaszcza Daniłowicza. Był pewny, że w ich towarzystwie wypocznie i pokrzepi się duchowo. Postanowił zatrzymać się w Charkowie bodaj na kilka dni.

Miejscowi Polacy oraz ukraińscy i rosyjscy miłośnicy poezji powitali wygnańca wileńskiego bardzo serdecznie. Daniłowicz zaraz na wstępie wręczył mu otrzymany z Warszawy tom „Biblioteki Polskiej”, w którym wydrukowane były Franciszka Salezego Dmochowskiego *Uwagi nad terażniejszym stanem, duchem i dążnością poezji polskiej i o Mickiewiczu*. Poeta wzruszył się i ucieszył.

Niezwykłe przyjemne chwile spędził kilkakrotnie

u Hułaka-Artemowskiego, w gronie życzliwych i sympatycznych ludzi, Polaków, Ukraińców i Rosjan, którym przewodził gościnny gospodarz.

Wysoki, chudy, z orlim nosem Hułak-Artemowski trzymał się i nosił po wielkopańsku, chociaż nie pochodził z arystokracji i czuł się bliski ludowi. (Był to, jak wszyscy Ukraińcy, świetny gawędziarz.) W rozmowie przeskakiwał z polskiego na ukraiński, a z ukraińskiego na francuski, niemiecki i angielski. Jak z rękawa sypał dowcipami i przysłowiami.

Czytał z rękopisu swoje bajki, których nie mógł ogłosić drukiem: za bardzo w nich współczuł chłopom, a sarkał na ziemian.

Zwierzył się też Mickiewiczowi, że pracuje nad przekładem jego ballady *Pani Twardowska*.

Hułak-Artemowski przedstawił poecie dwóch młodych ludzi, obywateli ziemskich z Połtawszczyzny, którzy przyjechali do Charkowa na studia. Jeden nazywał się Leon Borowikowski, mówił dobrze po polsku, znał wiersze Mickiewicza i zachwycał się nimi. Drugi, Mikołaj Sawicz, posługiwał się raczej francuszczyzną, ale również czytał dzieła pisarzy polskich w oryginale.

Hułak-Artemowski zaraz opowiedział o jego ojcu parę anegdot i poinformował obecnych, że Sawicz-senior jest posiadaczem największego księgozbioru na całej lewobrzeżnej Ukrainie.

— To wolterianin — dodał. — Pół życia spędził we Francji i uwielbia francuską literaturę.

— A pan? — zwrócił się Mickiewicz do juniora.

— Ja rad bym się uważać za furierystę. Brakuje mi tylko wiedzy. Chcę ją zdobyć w Charkowie — odrzekł Mikołaj Sawicz.

Borowikowski deklamował swoje wiersze, a potem zaczął opowiadać sensacyjne nowinki o romantycznym arystokracie polskim, który niedawno odbył podróż

z tysiąca i jednej nocy, zjeździł wszerz i wzdłuż całą Arabię, a powróciwszy stamtąd, w swojej rezydencji w Sawraniu, pod Starokonstantynowem, urządził coś w rodzaju kosza zaporoskiego.

— Hrabia Rzewuski? — spytał ktoś z obecnych.

— Tak — odrzekł student — Wacław Rzewuski; inaczej Emir Tadż-ul-Fechra albo po prostu Rewucha.

— Emir — dodał Sawicz — ma dwóch nadwornych poetów: Tomasza Padurrę i księdza Jana Komornickiego, którzy układają pieśni patriotyczne. Ma również teorbanistę, niejakiego Widorta, który chodzi po wsiach, zbiera gromady chłopów i śpiewa z nimi te pieśni.

— A cóż na to gubernator? — zdziwił się ktoś znowu.

— Patrzy przez palce. Ani Emira, ani jego podwładnych nikt nie ośmielił się ruszyć. Jego kozacy — a ma ich cały pułk — roznieśliby zuchwałca na szablach.

Mickiewicz słuchał zamyślony.

Kiedy generał Witt i jego goście wracali z krymskiej wycieczki, do Piatigorska na Kaukazie przyjechała wraz z całym fraucymerem i licznym gronem kuzynów i znajomych Elizawieta Arseniewa, z domu Stołypin. Przywiozła tam swojego ukochanego wnuczka, jedenaścioletniego Miszę Lermontowa, któremu lekarze zalecili dłuższy pobyt w górach.

Misza dosłownie opływał we wszelkie dostatki. I może dlatego właśnie lubił się bawić w złośliwości, graniczące niekiedy z okrucieństwem — i to zarówno w stosunku do rówieśników, jak i do osób starszych. Był dzieckiem niepodobnym do innych dzieci.

Płonoło w nim ciągle jakieś zarzewie buntu i niechęć do całego świata. Ale tliła się również iskra uniesień

poetyckich, którą podniecały wiersze Byrona. Misza wiedział o tym, że Byron przed dwoma laty pojechał walczyć o wolność Grecji i tam umarł. Był to dla Miszy jeden powód więcej, żeby go uwielbiać.

Pewnego jesiennego dnia, kiedy Góry Kaukaskie zawlokły się mgłą i świat utonął w melancholijnej szarzyźnie, Misza, który błakał się po całym mieszkaniu, nie mogąc znaleźć sobie miejsca, wszedł do pokoju jednej ze swych małych kuzyneczek.

Zatrzymał się na progu, jakby go słońce nagle oślepiło.

Jego kuzyneczka bawiła się lalkami z jakąś dziewczynką, może dziesięcioletnią. Misza widział ją po raz pierwszy. Miała jasne włosy i duże, ciemne oczy. Była to zapewne córka którejś ze znajomych Elizawieety Aleksiejewny.

Dziewczynka wywarła na Miszy wrażenie tak silne, iż uciekł do swego pokoju. Chwycił skrzypce i zaczął wygrywać melodie, których przedtem nigdy nie słyszał. Był szczęśliwy i pełen niezrozumiałej trwogi.

Dziewczynka jeszcze nieraz potem przychodziła do nich. Chłopiec na jej widok mieszał się i bladł. Starał się ukryć swoje przeżycia, ale wszyscy niebawem spostrzegli, co się z nim dzieje. Żartowali z niego, ale on się już nie umiał odcinać. Stracił ochotę do złośliwości. Nie zdawał sobie sprawy z przemian, jakie w nim zaszły, ale czuł się jakby wywyższony i uszlachetniony.

Kiedyś usłyszał, jak jego babcia mówiła do guwerneru Francuza:

— Jeśli wierzyć Byronowi, wczesne obudzenie się w dziecku romantycznych uczuć znamionuje w nim przyszłego miłośnika sztuki albo nawet artystę.

— Dusza takiego dziecka musi być pełna muzyki — odpowiedział monsieur Capet.



Niedługo potem Juliusz Słowacki, uczeń wydziału prawa uniwersytetu w Wilnie, skończywszy egzaminy roczne, wyjechał do kraju lat dziecinnych, nad Ikwę do Krzemieńca.

Gdy przejeżdżał przez Jaszuny i ujrzał drogę prowadzącą do wsi, gdzie mieszkała Ludwika Śniadecka, serce mu się boleśnie ścisnęło. Życie dałby za to, aby móc udać się tą drogą. Los jednak chciał inaczej.

Z Krzemieńca ruszył Słowacki razem z Zenonem Michalskim przez Braclawszczyznę do Odessy. Oglądał Zofiówkę i pałac w Tulczynie. Wyobrażał sobie Trembeckiego chodzącego alejami parku i układającego wiersze. Zanotował w dzienniku: „Przeklęte czasy, kiedy mieszkanie zdrajcy było mieszkaniem pierwszego poety”.

Ta podróż pogłębiła w Słowackim przywiązanie do ziemi ukraińskiej i jej ludu. Wiedział już teraz, że kraj ten żyć będzie wiecznie w jego sercu, że będzie talizmanem chroniącym go od rozpacz.

Po powrocie do Wilna, z myślą o Ludce i o Ukrainie, napisał pamiętne słowa: „Życie romantycznego poety powinno być romantyczne i choć nie potrzebuje wielu wypadków, chce, aby te wypadki były czyste i wznośzące duszę”.

## V

Nie od razu udało się Tarasowi doprowadzić do skutku swój zamiar. Przyszła zima. Bydło trzymano w oborach. Pastuchy nie mieli zajęcia.

Tłukł się więc chłopak po chacie, szturchany przez macochę, a gdy się tylko nadarzyła sposobność, biegał do sąsiadów, do dziadka, do kolegów szkolnych. I wszędzie przyozdabiał ściany rysunkami.

Jakoś w drugiej połowie stycznia tysiąc osiemset

dwudziestego szóstego roku do Kiryłówki zajrzał wędrowiec — ni to żołnierz, ni to wieśniak. Opowiadał o strasznych rzeczach, jakie się dzieją na Ukrainie. W Wasylkowie i Motowidłówce zbuntowali się żołnierze. Na Humańszczyźnie chłopci odmówili pracy dla pańów. Car przysłał wojsko, które ściga buntowników, strzela, morduje. Więzienia w Kijowie są przepelnione. Aresztowano wielu oficerów, którzy sprzyjali ludowi. Czekają ich sądy wojenne.

Ludzie słuchali w ponurym milczeniu. Wiadomo: kto się ujmuje za ludem, na tego spada najsrozsza kara. A życie stało się tak ciężkie, że trudno wytrzymać. Wczoraj z rozkazu Wasilija Engelhardta wybatóżono w Olszanie trzech chłopów, którzy nie stawili się do pracy, jak im nakazał rządca. Tłumaczyli się, że według inwentarza mają pracować na pańskim trzy dni w tygodniu, a rządca domagał się, by pracowali pięć. Nic nie pomogło. Hajducy rozprawili się z nimi tak, że jeden chłop już ledwo zipie, a dwaj inni mają poodbijane ciało od kości.

W chacie zaduch i ciasnota, swary i bójki, na dworze mróz i śnieg po pas i tylko słycać, jak wyje wiatr, jak świszczce knut, jak ludzie skarżą się i płaczą. I nie dziw, że wspominają dawne, hetmańskie czasy. Wtedy, jeżeli dopiekło lichy: czy Turek nastawał, czy gnębił Lach, była szabla w garści, były i armaty.

A teraz? Tak — jak w tej śpiewce:

U nedilu poraneńku  
Usi dzwony dzwoniał',  
Osauły z nahajamy  
Na panszczynu honiat'.

Męża Katrusi w ostatnią niedzielę ekonom pognął do pracy we dworze, nie pozwolił mu iść do cerkwi, nie dał odpocząć.

Dziadek Iwan, który przyszedł odwiedzić Tarasa, wzdychał, gładził go po głowie; gnębiła go troska o wnuka. Wychodząc przypomniał chłopcu jeszcze raz, że na wiosnę musi pójść do Chlipniówki. Tam jest porządny diak-malarz. Jeśli tylko przyjmie Tarasa, wszystko będzie dobrze.

Taras po wyjściu dziadka wziął się do usuwania śniegu sprzed chaty. Robota szła mu niesporo. Ręce same ciągnęły się do pióra albo ołówka. Nie do łopaty były stworzone. Tak mówił dziadek. A dziadek zawsze wiedział, co mówi.

I znowu gruchnęła wieść, która chłopów podnieciła jak okowita. Popodnosili głowy do góry. We wsi tylko o tym mówiono: Karmaluk pokazał się na Kijowszczyźnie. Będą teraz panowie mieli za swoje! Niech się tylko chłopski wódz dostanie na Podole, w rodzinne strony. Tam mu ludzie dopomogą.

Dziewczyny wiejskie śpiewały:

Dajże, Boże, zdorowiaczka  
Taj Karmalukowi,  
Szczo win daw połehkist'  
Naszomu krajowi.

Tak, biednym ludziom na wsi przyniósł pewną ulgę powrót Karmaluka. Słudzy pańscy, a i sami panowie, zaczęli się łagodniej obchodzić z poddanymi.

Przyszło lato i Taras został gromadzkim pidpasaczem, czyli podpaskiem. Starsi chłopcy pasali krowy, a on jagnięta.

Z rana o świcie, idąc od chaty do chaty, zbierał swoje stadko, pędził na łąkę, kładł się na trawie, otwierał

ulubioną książeczkę z kunsztykami i czytał — a właściwie tonął w marzeniach.

Gdy jeszcze miał do tego kawałek papieru, o który tak było trudno, zapominał o bożym świecie.

A jagniątka tymczasem wchodziły w szkodę. Ludzie pomstowali.

Razu pewnego rozgniewani wieśniacy poturbowali Tarasa. Chłopiec, upokorzony, pełen wstydu i goryczy, zaszył się w gęstwie burzanu i płakał. Zbyt raptowny był przeskok z krainy rojeń do brutalnej rzeczywistości. Książeczka leżała obok niego, brudna, podarta. Jej widok jeszcze bardziej rozżalił chłopca. Wydawało mu się, że to jest dno nieszczęścia, z którego się już nigdy nie podźwignie.

Pograżony w swym dziecięcym bólu i zmartwieniu, nie słyszał, że ktoś do niego podszedł. Ocknął się dopiero wówczas, gdy uczuł na głowie dotyk małej rączki, a potem pocałunek czy może tylko tchnienie usteczek.

Obejrzał się i zobaczył Oksanę Kowalenko, córkę sąsiadów. Znał ją od dawna. Przypatrywała mu się często zza płotu, kiedy chodził z chłopcami i śpiewał. Była jego rówieśnicą. Miała duże, ciemne oczy i jeszcze ciemniejsze włosy.

— Ne płacz, Tarase!

Ocierała mu łzy rękawem i głaskała po głowie. Jej spojrzenie było dobre i współczujące. I miało nie znaną Tarasowi słodycz.

Przestał płakać. Odzyskał spokój. Wszystkie krzywdy, które mu wyrządzono, wydały mu się błahe, nieważne. Istotne było tylko to, co do niego mówiła Oksana.

Po raz pierwszy dostrzegł, że jest taka ładna.

Jak przez sen słyszał jej słowa; upajał się nimi; cierpiał na myśl o tym, że dziewczynka przestanie mówić.

Chciał jej powiedzieć coś tkliwego, chciał pokazać swoją książeczkę z kunsztykami, swoje rysunki, ale tylko wyjął:

— Ty dla мене najmylisza... najlipsza...

Razem popędzili jagnięta do wsi.

Wieczorem, siedząc na przyzbie, nasłuchiwał, czy od strony chaty Kowalenków nie doleci do niego choć jedno słówko Oksany. Gdyby go zawołała, skoczyłby do niej — przez ogień i wodę.

W ciemnych sadach wioski słowik zaczął wywodzić swoje przeciągłe trele; na mokrej łące nad strumykiem derkacz się odzywał; miesiąc schodził nad wzgórkami i rozsypywał po nim mleczną poświatę.

Taras wciąż siedział i myślał o Oksanie.

Potem zasnął tak błogo, jak w owych zamierzchłych latach dzieciństwa, kiedy nad jego snem czuwała matka.

Znęcanie się macochy nad pasierbami i coraz głośniejsze jej hulanki z diakiem Bohorskim wyczerpały w końcu cierpliwość dziadka Iwana. Wypędził babę do Moryńców. Powiedział jej stanowczo:

— Idy na hrunt swoho perszoho czołowika, Tere-szczenka!

W chacie zrobiło się luźniej i swobodniej. Taras odechnął. Zaczął znowu rysować na ścianach.

Gospodarstwo prowadził Mykyta. Orał i zasiewał ojcowskie pole, odrabiał pańszczyznę, a w wolnych chwilach stelmachował. Chciał przyuczyć Tarasa do swojego rzemiosła i do chliborobstwa. Ale nic z tego nie wyszło. Taras najwidoczniej nie nadawał się do takiej pracy.

W zimie bieda zaglądała do chaty. Taras często gło-



**Portret Karola Briułowa. Taras Szewczenko (?). Ołówek, 1835**



**Śmierć Bohdana Chmielnickiego. Taras Szewczenko. Tusz,  
piórko, 1836—1837**

dował. Chodził w łachmanach. Aż wstyd mu było pokazać się na oczy Oksanie.

Czasami wymykał się do Zielonej Dąbrowy. Katrusia, widząc go tak zabiedzonego i obdartego, tylko plaskała w ręce. I z troską w głosie mówiła do męża:

— Szczo z nioho bude, jak wyroste?

Pod wiosnę nowy pop kiryłowski Hryhorij Koszyc zaproponował, że weźmie Tarasa do posług. Chłopiec za swoje czynności miał otrzymywać wyżywienie i trzy ruble na rok. Dziadek Iwan zgodził się na te warunki.

W obszernym domu Koszyca panował wzorowy porządek. W izbie paradnej na trzech ścianach wisiały kilimy, a na czwartej obrazy święte. Płoneła przed nimi lampa z błękitnego szkła. Stała tam również okazałych rozmiarów szafa z książkami, rosyjskimi, ukraińskimi i nawet polskimi. Był tam na przykład *Pistolet do zabicia grzechu śmiertelnego* — zbiór modlitw i nauk, wydanych przez ojców karmelitów bosych w Berdyczowie.

Taras odżył tutaj. Zaczął się czysto i schludnie nosić. Pracował ciężko, ale nie obrywał razów i szturchańców. Od czasu do czasu furmanił, co mu przynosiło wiele nowych i przyjemnych wrażeń.

Dzieci popa, starszy od Tarasa chłopiec i młodsza o parę lat dziewczynka, odnosiły się do najmyta dobrze, nawet przyjaźnie. Surowa była popadia, ale i ta przecież nie miała w sobie nawet cienia tej bezwzględności, z którą Taras wciąż się stykał w domu macochy.

Czuł się więc nie najgorzej. Zwłaszcza od chwili, kiedy pop zezwolił mu rysować na ścianach kuchni i stajni.

Często wieczorami cała rodzina łącznie z czeladzią przesiadywała w czystej i ciepłej piekarni. Taras czy-



tał na głos żywoty świętych. Pop opowiadał różne ciekawe historie.

Ale Tarasa to wszystko nie mogło zadowolić. Jego ambicje sięgały daleko poza ciche progi popowskiego domu. Pop, rzecz prosta, nawet się tego nie domyślał.

W lecie chłopiec znalazł sobie cienisty kącik w sadzie, wśród gruszy i jabłoni. Tam z książką i ołówkiem w rękę spędzał wolne chwile.

Pewnego razu Koszyc przywiózł z Kijowa zeszyt, w którym były wiersze Skoworody. Takie zeszyty, z przepisаныmi ręcznie utworami różnych pisarzy, można było wówczas nabywać na targach i w sklepach księgarskich.

Tarasa oczarowały wiersze poety, którego od dawna lubił, a tak mało znał. Zdobył trochę papieru, złożył, poprzcinał, zszył niemi; wyszła z tego mała książeczka. Jął w niej zapisywać ulubione wiersze. Skoworoda był mu coraz bliższy. Jego wiersz o ptaszku, na którego czyha podstępny jastrząb, zrobił szczególnie silne wrażenie na chłopcu.

Oj ty, ptyczko żółtoboko,  
Ne kłady hniezda wysoko!  
Kłady na zielonój trawkie,  
Na mołodeńkoj murawkie!

Kiedy przepisał wszystkie wiersze Skoworody, zaczął się oglądać za innymi. Ciekawiły go piosnki, które śpiewano na wsi. Niektóre z nich też były piękne. I nadzwyczajnie się spletały z jego marzeniami.

Wir meni, diwczyno,  
Szczó ja wirnym budu,  
Poky moho żyttia,  
Tebe ne zabudu.

Przyszło mu na myśl, że mógłby dla Oksany napisać jakiś bardzo piękny wiersz. Długo szukał w pamięć-

ci odpowiednich słów i dobierał rymy. Ale wszystko, co układał, podobne było albo do wierszy Skoworody, albo do którejś ze śpiewek wiejskich.

Wreszcie jednak nastąpiła owa niezapomniana chwila. Z chaosu myśli i wyrazów zaczął się wyłaniać i w końcu wyłonił się wiersz. Właściwie tylko jedna zwrotka, ale własna. Nie wyczytana nigdzie ani nie zasłyszana.

Czym prędzej wpisał ją do zeszytu.

Potem, leżąc w swoim zielonym ustroniu, powtarzał ją wielokrotnie, upajał się rymami, które sam stworzył. Nad nim z wolna przepływały letnie obłoki. Taras wyczytywał z nich, jak z książki, coraz to nowe zdania, rymy, zwrotki.

I niebo ukraińskie było dla niego siódmym niebem poezji.

Taras nie tylko zrobił się schludny, nie tylko nabrał zdrowszego wyglądu. Zaczął się nosić tak, że ludzie zwrócili na to uwagę.

Zawsze był niepodobny do innych dzieci, a teraz jeszcze bardziej się wyróżniał.

Zapisał włosy i sam sobie uszył czapkę w rodzaju konfederatki. Być może, iż chciał się upodobnić do pana Dymowskiego, którego widział w Olszanie. Pan Jan Dymowski był rządcą majątków Engelhardta. Chłopi go lubili, gdyż odnosił się do nich po ludzku.

Taras mieszkał już chyba z półtora roku u popa Kozycy, kiedy zaszły wypadki, które zupełnie odmieniły mu życie.

Dziadek, stale opiekujący się wnukiem, uznał, iż nadeszła pora, aby chłopiec wziął się znowu do nauki. Nie może przecież wiecznie być najmytem.

Poszedł więc Taras do Chlipiniówki, która słynęła z malarzy.

Diak, do którego się zwrócił, przyjął go na próbę. Próba trwała dwa tygodnie i wypadła pomyślnie. Diak stwierdził, że Taras ma zdolności malarskie i zapał do nauki, ale bał się chłopca przyjąć na stałe bez zezwolenia „właściciela”.

Gdy Taras wrócił do Kiryłówki i opowiedział o wszystkim dziadkowi, ten, nie zwlekając, wybrał się razem z wnukiem do Olszany do pana Dymowskiego.

Co tam dziadek mówił z panem Dymowskim — nie wiadomo. Taras czekał pod drzwiami. W każdym razie skutek rozmowy był dla chłopca zgoła nieoczekiwany: rządcą oświadczył, iż weźmie go do służby dworskiej.

Taras wpadł w rozpacz. Sądził, że to już koniec wszelkich jego nadziei co do malarstwa. Stało się jednak inaczej.

Aby spełniać funkcje chłopca do posług we dworze, trzeba było umieć dużo różnych rzeczy. Przede wszystkim należało znać się na sprawach kulinarnych, stanowiących niejako oś życia dworskiego: wszystko się tam obracało dokoła jedzenia i picia. Toteż pan Dymowski któremu chłopię ukraińskie przypadło do myśli, oddał Tarasa do pomocy w kuchni. Taras miał jednakże odwiedzać rządcę dwa albo trzy razy na tydzień i pobierać od niego lekcje głównych przedmiotów szkolnych.

Pan Dymowski uczył Tarasa początków historii, geografii, nawet co nieco przyrodoznawstwa. Nauka odbywała się pół po polsku, pół po ukraińsku. W krótkim czasie pojętny uczeń zdołał na tyle opanować polski, że mógł się już w tym języku porozumiewać ze swoim nowym chlebodawcą.

Praca w kuchni nie była zbyt ciężka, ale też nie sprawiała Tarasowi przyjemności. Korzystał z każdej okazji, aby się wymknąć do ogrodu. Tam rozwieszał na

drzewach obrazki, które kupował od wędrownych handlarzy. Mógł im się przyglądać godzinami, dopóki z tej słodkiej kontemplacji nie wyrwał go gniewny głos kucharza. I tu, niestety, Taras odbierał cięgi. Kucharz nie był złym człowiekiem, ale i on, podobnie jak diacy-nauczyciele, nie znał innej kary niż bicie.

Dnia dwunastego maja tysiąc osiemset dwudziestego ósmego roku umarł generał i senator, Wasilij Engelhardt. Trzej jego synowie, pułkownicy gwardii, Wasilij i Andriej oraz porucznik lejbgwardii Paweł, i ich ciotka, rodzona siostra zmarłego, Aleksandra Branicka, podzielili się spadkiem, na który złożyło się około stu sześćdziesięciu tysięcy dziesięcin ziemi, około pięćdziesięciu tysięcy dusz pańszczyźnianych obojga płci tudzież mnóstwo klejnotów i pieniędzy w gotówce.

Paweł otrzymał klucz olszański i przeszło trzy miliony rubli srebrem.

Rok przedtem ożenił się z daleką kuzynką, Zofią Engelhardt, z inflanckich Engelhardtów, wykształconą i wychowaną w kulturze polskiej.

Od lat sześciu Paweł był adiutantem wileńskiego generał-gubernatora Rimskiego-Korsakowa. Wziął więc urlop i przyjechał do Olszany dla uporządkowania interesów majątkowych.

Najwidoczniej za sprawą żony wprowadził istotne zmiany w zarządzie klucza: prawie wszystkie ważniejsze stanowiska poobsadzał Polakami. Służba w jego majątkach, nawet złożona z ludzi miejscowych, musiała mówić po polsku.

Przez swoją ciotkę, Branicką, ponawiały stosunki z ziemiaństwem polskim.

Pobyty w Olszanie stał się wbrew spodziewaniu Tarasa epoką przełomową w jego życiu. I to w sensie najbardziej dodatnim.

Mieszkał tam podówczas dość uzdolniony malarz-amator, Polak z pochodzenia, Stefan Przewłocki, który nie tylko sam malował, ale również udzielał lekcji adeptom sztuki malarskiej.

Rządca Dymowski przyjaźnił się z Przewłockim i skierował do niego Tarasa. Przewłocki, stwierdziwszy, że chłopiec ma talent, podjął się go uczyć.

Nie był to już diak-bohomaz, był to prawdziwy malarz, który znał sztukę i umiał jej zasady przekazywać innym.

Przewłockiemu zawdzięczał Taras podstawy swojej umiejętności malarskiej.

Niestety, niedługo mógł korzystać z tego uśmiechu fortuny. Paweł Engelhardt, kompletując służbę w swojej olszańskiej rezydencji, zabrał Tarasa do dworu na tak zwanego kozaczka.

Wprawdzie pan Dymowski umieścił go na liście z adnotacją, że chłopiec „nadaje się na malarza pokojowego”, co już samo przez się stawiało Tarasa dość wysoko w hierarchii sług pańszczyźnianych; niemniej jednak didycz wolał go mieć przy sobie do posług.

Ubrany w specjalny uniform i ostrzyżony, chłopiec zaczął teraz wysiadywać w przedpokoju, czekając, aż pan go wezwie i każe sobie podać fajkę albo szklanekę wody. Trudno było w takich warunkach zajmować się rysunkami. Ale Taras i tutaj nie omijał żadnej sposobności, by chwycić do ręki papier i ołówek. Przerysował prawie wszystkie obrazy, jakie wisiały na ścianach w olszańskim dworze.

Mistrz Przewłocki cieszył się z postępów Tarasa.

Miał wielu uczniów i wszystkich jednakowo lubił. W tym czasie właśnie wyprawił do Petersburga młodzieńca, który przez kilka lat brał u niego lekcje rysunków i teraz pojechał zdawać egzamin do tamtejszej Akademii Sztuk Pięknych. Młodzieniec nazywał się Iwan Soszenko.

Funkcje kozaczka nie mogły, rzecz prosta, odpowiadać zdolnemu i ambitnemu chłopcu.

Najgorsze było to, że chłopiec tracił dużo bezcennego czasu.

Wszystko ma jednak swoje złe i dobre strony. Asystując panu Taras rozszerzał swą wiedzę o świecie, nabierał ogłady, uczył się mówić po polsku i po rosyjsku.

Ale też pogłębiała się w chłopcu świadomość okrutnego przeciwieństwa pomiędzy dolą wieśniaków, harujących w pocie czoła i żyjących nędznie, a tym przepychem, jaki otaczał próżniaczych właścicieli ziemskich.

Paweł Engelhardt był bardzo ruchliwy. Często urządził bliższe i dalsze wycieczki. Razu pewnego zabrał z sobą Tarasa. Wyruszyli do Kijowa.

Taras uradował się niezmiernie, że zwiedzi miasto, o którym tyle słyszał od ojca.

Jechali Czarnym Szlakiem w stronę Białej Cerkwi i zatrzymali się tam w pałacu Branickich, w „Aleksandrii”. Taras zobaczył olbrzymi park, jeszcze wspanialszy niżli humańska „Zofijówka”. W parę dni później przy pięknej letniej pogodzie dotarli do rogatki Wasylkowskiej na przedmieściu Kijowa.

Na lewo od drogi wznosiła się góra poprzecinana w różnych kierunkach murami i wałami. Na górze stała wysoka wieża, której wierzchołek błyszczał w słońcu najczystszy złotem.

Stangret, obok którego siedział Taras, objaśnił chłopcu, że to jest dzwonnica Ławry Kijowsko-Pieczarskiej; a mury i wały to twierdza, zbudowana jeszcze przez cara Piotra.

Dzień był przedświąteczny. W stu kijowskich cerkwiach kołysały się kielichy dzwonów. I odzywały się dzwony ku dzwonom, a ich głosy płynęły gdzieś pod chmurami, ledwo słyszalne na ziemi. Cały Kijów przypominał rozdzwonioną harfę, której dźwięk zamiera w oddali.

Nazajutrz Taras, gdy mu tylko pozwolono wybrać się samopas na miasto, pobiegł do Ławry. Odnalazł dzwonnice, a w jej pobliżu ganek nad skarpa, z którego roztaczał się wspaniały widok na różnobarwny „piętrowy” Kijów — górny i dolny, porozdzielany sadami, jarami i błyszczącymi kopułami cerkwi — na szeroko rozlany, majestatyczny Dniepr i malownicze okolice, pełne wód, gór i lasów.

Gdy wracał z Ławry do domu, na Chreszczatyk, przechodził przez targowisko, zwane Besarabką. Dostrzegł tam stragany z książkami i obrazkami. Wśród obrazków był też wizerunek sławnego Kozaka Mamaja.

Taras wyobraził sobie ojca stojącego przed straganem i kupującego obrazek. Przyśpieszył kroku. Tym razem nawet nie oglądał książek z kunsztykami.

Paweł Engelhardt musiał wracać do swojej adiu-tanckiej służby, do Wilna. Zabierał z sobą liczny zastęp czeladzi dworskiej, a między innymi Tarasa.

Chłopiec z początku rad był, że się przejedzie aż tak daleko. Później jednak żał mu się zrobiło Ukrainy, Kijowa i najbliższych, z którymi się rozstawał na długo, może na zawsze.

Niemal przed samym wyjazdem, kiedy na placu przed dworcem stały gotowe do drogi wozy, zobaczył Taras wśród ciżby ludzkiej tych, których kochał. Dowiedzieli się o jego wyjeździe i przyszli się z nim pożegnać: dziadek Iwan, Katrusia i Jaryna. I Oksana.

Jak zwykle w chwilach wielkich wzruszeń, Taras nie mówił. Przemknęło mu przez myśl: A może uciec, zaszyć się w tłumie, umknąć do lasu, wrócić do Kiryłówki, żyć w pobliżu swoich jak Kopij?

Ale głos rozsądku tłumaczył, że to jest bezcelowe. Złapią go, ukarzą, zmuszą do pracy, pozbawią nawet tej nikłej swobody, którą miał teraz. Niewola ciążyła mu jak kamień uwiązany na szyi. Taras zacisnął zęby i milczał.

Wozy ruszyły. Dziadek postąpił dwa kroki, jakby chciał pójść za nimi. Ale zaraz się zatrzymał i tylko patrzył za odjeżdżającym wnukiem. I broda mu się trzęsła.

Katrusia i Jaryna płakały, wcale się z tym nie kryjąc.

Oksana stała ze spuszczoną głową. Kiedy ją podniosła, Taras uczynił ostatni wysiłek woli, aby się uśmiechnąć. Serce mu się ścisnęło z żalu. Pewny był jednak, że kiedyś wróci do Oksany. Bez niej nie wyobrażał sobie życia.

## VI

Mickiewicz przyjechał do Moskwy osiemnastego grudnia tysiąc osiemset dwudziestego piątego roku i od razu dowiedział się o tragicznych wypadkach, które cztery dni przedtem rozegrały się na Placu Senackim w Petersburgu.



Wkrótce napłynęły również wieści z Ukrainy, tak samo straszne, tak samo wstrząsające.

Paweł Pestel, Sergiusz Wołkoński, Michał Orłow, Michał Bestuzew-Riumin, Sergiusz Murawiew-Apostoł i wielu innych — w więzieniu. Powstanie krwawo stłumione. Śledztwo. Represje.

Potem zaczęto wymieniać nazwiska aresztowanych Polaków. Wśród nich wielu znajomych Mickiewicza — Gustaw Olizar, Antoni Jabłonowski, Piotr Moszyński...

Jako przyjaciel Rylejewa, znajomy Wołkońskiego i Orłowa, Mickiewicz spodziewał się aresztowania. Po pewnym czasie jednak odetchnął swobodniej. Burza przeszła bokiem.

Wchodził powoli w krąg towarzyski Rosjan. Młody, utalentowany krytyk rosyjski Mikołaj Polewoj oraz poeta książę Piotr Wiaziemski ułatwili mu wstęp do najświetniejszych salonów.

Jeden z nich — salon księżny Zenaidy Wołkońskiej — stanowił jakby muzeum sztuki, a zarazem konfraternię uczonych i poetów. Pałac w stylu rzymskim, obok Bramy Twerskiej, znany był całej kulturalnej Moskwy.

Zbierano się w największej sali, urządzonej jak teatr, ze sceną, nad którą wielkimi literami wymalowany był napis: „Ridendo dicere verum”. Z jednej strony proscenium wisiał Molier, z drugiej Cimarosa.

Księżna Wołkońska była nie tylko czarującą panią domu i organizatorką zebrań artystycznych; sama też grała na klawikordzie, komponowała powabne melodie, śpiewała i pisała wiersze. Muzyki uczyła się u Rossiniego. Idąc z duchem czasu, studiowała folklor słowiański.

Mickiewicz stał się wkrótce jednym z najpilniejszych bywalców jej salonu.

Kiedyś rozmawiano na temat poezji ludowej. Mickiewicz opowiadał, jakie to skarby znaleziono w spuściźnie po Chodakowskim. „Osobliwy dyletant” umarł w listopadzie tysiąc osiemset dwudziestego piątego roku we wsi Pietrowskoje pod Twerem. Umarł w nędzy. Papiery, które pozostawił, przeglądała komisja, złożona z Mickiewicza, Malewskiego i Daszkiewicza. Stwierdzono, że znaczną część papierów, na niewiadomych warunkach, nabył od wdowy po zmarłym Polaku pewien amator-folklorysta, z wykształcenia botanik, z zawodu nauczyciel gimnazjalny, pół-Rosjanin, pół-Ukraińiec, niejaki Michał Maksymowicz. Wkrótce tenże Maksymowicz wydał *Zbiór pieśni małosyjskich*, oparty w dużej mierze na dorobku Chodakowskiego. Książka zrobiła furorę w świecie literackim.

Chodakowski, jeszcze mieszkając w Polsce, napisał rozprawę *O Słowiańszczyźnie przed chrześcijaństwem*. Nazywano tę rozprawę poematem dla młodego pokolenia. Była to zaprawdę rzecz, która wstrząsnęła sercami i myśl zwróciła do badań ludowych.

W salonie księżnej Wołkońskiej długo rozprawiano o losach nieszczęśliwego entuzjasty folkloru, proroka i męczennika idei słowiańskiej, tego, który na niebie Słowiańszczyzny dostrzegł i współplemięcom swoim pokazał „trzy księżyce, trzy zorze dziewicze, siedem gwiazd wozowych.”

W marcowym numerze „Wiestnika Ewropy” Mickiewicz z przyjemnością przeczytał tłumaczoną na język ukraiński swoją balladę *Pani Twardowska*. Przekład nosił jednak tytuł *Twardowski* z dopiskiem: „ballada małosyjska”. W komentarzu redakcyjnym powiedziano, że temat został zaczerpnięty z podań ludowych, że legenda o Twardowskim i jego żonie jest bar-

dzo popularna zarówno w Polsce, jak i w Małorosji (tak w prasie rosyjskiej nazywano podówczas Ukrainę). Wspomniano też, że temat ten w formie wiersza opracował poeta polski Adam Mickiewicz.

Ani słówka nie poświęcono osobie tłumacza — Hułaka-Artemowskiego. Nie wymieniono nawet jego nazwiska.

A przekład był świetny. Mickiewicz w rozmowie z przyjaciółmi wyraził się nawet, że tłumaczenie jest lepsze od oryginału.

Dyrektor kancelarii moskiewskiego generał-gubernatora, Fock, opracowywał dla hrabiego Benkendorfa raporty o nastrojach w społeczeństwie, nie wyłączając sfery najgórniejszej.

W jednym z raportów zajął się szczególnie działalnością niektórych pań z arystokracji.

„Jeśli chodzi o damy — pisał — dwie są najbardziej nieprzejednane i zawsze gotowe rozszarpać rząd na kawałki, a mianowicie: księżna Wołkońska i generałowa Konowniczn. Ich salony to punkty zbornie wszystkich malkontentów. Miotają oni najgorsze wyzwiska pod adresem rządu i jego sług...”

Dalej następowało wyliczenie osób płci obojga, które są stałymi bywalcami tych salonów.

Nie brakło tam Puszkina i Mickiewicza.

Hrabia Benkendorf, przeczytawszy raport, podkreślił te dwa nazwiska czerwonym ołówkiem.

Tomasz Zan, Adam Suzin i Jan Czeczot przebywali w Orenburgu.

Współrodacy mówili o nich, że „noszą w sobie wielką ideę moralną”, że „mają potęgę szczerzej, prawdzi-

wej, najwyższej cnoty”. Rząd carski poznał się na nich; dlatego wysłał ich na dzikie stepy kirgiskie.

Wzorem i przykładem dla wszystkich był „arcypromienisty” Zan. Żyjąc jak pustelnik, wszystek swój czas poświęcał badaniom przyrody i opiece nad nieszczęsnymi ziomkami. W jednym z listów do Mickiewicza pisał: „Miłość jest zorzą wieczności; szczęśliwy ten, który siły swoje pogodził z przedmiotami natury, zgadł jej zamiary”.

W innym znowu liście Zan wyraził ubolewanie, że poeta — jak mu powiadano — odgrywa w Moskwie rolę jakiegoś farfallone amorosa. No i zbyt daleko posuwa swoją układność. Ma przecie do czynienia z wrogami ojczyzny.

Zan potrafił być surowy dla siebie. Słusznie tedy mniemał, iż może być wymagający w stosunku do innych. Zwłaszcza do tych, których kochał i cenił.

Mickiewicz korzył się przed siłą moralną Zana. Pisząc do niego, usprawiedliwiał się: „Ja tu mam znajomości i od wielu osób doświadczyłem przychylnych chęci, od niektórych przyjaźni, i rad bym za to wdzięcznością im odplacić.” „Bywam i w salonach, ale tam nie bardzo figuruję; nie dlatego żebym nie chciał, ale że nie umiem.” „Ja zacząłem być wesół u ojców bazylianów, a spokojny i ledwie nie rozumny w Moskwie.”

Tomasz Padurra głęboko przeżył i przecierpiał aresztowanie i wywiezienie Piotra Moszyńskiego. Upadek spisku, w którym pokładano tak wielkie nadzieje, przynębił poetę i rozstroił mu nerwy. Z wyżyn egzaltacji patriotycznej i poetyckiej, jaka go ogarnęła podczas letnich obrad żytomierskich, spadł Padurra w otchłań przygnębia i rozpaczy.

Najbardziej jednak wstrząsnęły nim wiadomości

otrzymane z Warszawy. Książę Jabłonowski, taką wybitną rolę odgrywający w polskich działaniach konspiracyjnych, okazał się człowiekiem bez charakteru, po prostu zdrajcą.

Padurra od najmłodszych lat przejęty był zasadami demokratyzmu. Później jednak, obracając się dzięki bratu Józefowi w towarzystwie arystokratów, zwłaszcza takich jak Roman Sanguszko i Wacław Rzewuski, w dużej mierze wyzbył się swoich na pół plebejskich „narowów”. Pod wrażeniem zdrady księcia Jabłonowskiego nastroje antymagnackie znów owładnęły poetą. Napisał alegoryczny wiersz o czapce, w którym napiętnował społeczeństwo feudalne, a wysławiał lud.

Spotkał się był w tym czasie z Sewerynem Goszczyńskim, który odbywał podróż po Ukrainie. Przypomnieli sobie szkolne czasy. Goszczyński opowiadał o Zofijówce, którą niedawno zwiedził. Mało zwracał uwagi na piękno sztucznych jezior i zamorskiej roślinności. Oburzała go magnacka rozrzutność. Z iskrami gniewu w oczach opisywał grotę, w której wryty był napis: „Strać tutaj pamięć nieszczęść, a przyjm szczęście wieszczę, a jeżeliś jest szczęśliwym, bądź szczęśliwszym jeszcze”.

Stracić pamięć nieszczęść! Co za cynizm! Co za zachwalstwo! Nie pamiętać o tych, co krwią i potem zrosili ziemię Zofijówki! Goszczyński pełen był rewolucyjnych uniesień. Groził ruchawką chłopską. Zwierzył się ukraińskiemu poecie, że pisze poemat osnuty na dziejach koliszczyzny.

Po rozstaniu się z Padurą pojechał do Leszczynówki do Jana Krechowickiego i wkrótce miał już gotowe pół poematu. Resztę dopisał w roku następnym, w gościnnej Aleksandrówce Michała Grabowskiego.

W roku tysiąc osiemset dwudziestym ósmym dzieło wyszło drukiem w Warszawie i nosiło tytuł *Zamek kaniowski*.

Goszczyński odważnie stanął po stronie hajdamaków. Jego poemat opiewał zemstą społeczną, odwet za doznane krzywdy.

Kiedy wykryto spisek na Ukrainie i zaczęły się masowe aresztowania, Padurra żył w obawie o los zarówno swój, jak i swojego chlebobawcy, Wacława Rzewuskiego. Po pewnym czasie uspokoił się; burza przeszła bokiem.

A gdy upłynął jeszcze rok, Padurra zaczął nową działalność.

Polska czyniła przygotowania do wojny z Rosją. Naszemu poecie wydawało się rzeczą naturalną i jasną, iż Kozaczyzna musi powstać razem z Lachami. A jej atamanem i dowódcą w boju będzie Emir.

Padurra podsunął tę myśl Rzewuskiemu.

— Zgoda! — oświadczył hrabia. — Ale w każdym razie trzeba by jakoś przysposobić Ukraińców do wystąpienia.

Pod wiosną tysiąc osiemset dwudziestego ósmego roku udał się Tymko w postaci wędrownego lirnika na Ukrainę, na ziemię dawnej Kozaczyzny, aby w jej synach rozbudzić — jak mówił — „ducha narodowości do wspólnej sprawy z Polską”.

Jako uczeń ze szkoły Byrona, obmyślił swoją podróż na wzór wędrowki Childe-Harolda, starając się ją w miarę możliwości uniezwyklić.

Najpierw popłynął na małej łodzi Bohem ku Morzu Czarnemu. U ujścia rzeki nie omieszkał zwiedzić ruin starożytnej Olbii. Potem przesiadł się na większą czajkę, pomknął nią wzdłuż brzegów morza, aby pomiędzy limanami Dniepru skierować się na północ, ku warownemu przed laty Kizy-Kermenowi.

W czasie tej przejażdżki dolnym Dnieprem przed

oczyma poety stanęła cała przeszłość dawnej Kozaczyzny. Padurra wytworzył sobie w wyobraźni jakiś niezwykle pociągający, idealny obraz tej na poły korsarskiej, na poły rycerskiej republiki. Uwierzył w nią i gotów był jej służyć, ufając, iż zarazem służy Polsce.

Starcom wiejskim, słuchającym go, często łzy płynęły z oczu, a z ust wyrywały się słowa zachwytu i podzięk.

Przekonał się też Padurra, że, zgodnie z jego własnym poglądem na dzieje Ukrainy, główny sprawca jej nieszczęść nie zostawił po sobie wśród ludu dobrego wspomnienia. Jeden ze starców, wnuk Kozaka poległego pod Połtawą, tak się wyraził w rozmowie z poetą:

— Żyły nasi predky rozkiszno ta bujno, nahriszły wydno, bo daw nam Wsemohuszczyj woroha Chmila, a toj daw pokutu u moskala.

Zimę przebył Padurra w okolicach pomiędzy Baturynem, Konotopem i Hadziaczem, a wiosną tysiąc osiemset dwudziestego dziewiątego roku puścił się z powrotem na Podole i Wołyn.

Po drodze odwiedził Połtawę i poznał się z Kotlarewskim.

Tu się dopiero przekonał, jak dalece szlachta ukraińska, zafascynowana potęgą caratu, straciła wiarę w siebie i w swój naród.

Kotlarewski, wysłuchawszy emisarskich wynurzeń poety, powiedział melancholijnie:

— Diła nasi w twojich pisniach zahomoniat', ta ne woskresnut'! Mynułe — w słozach, z pamjatok — prach, a podiji — snom! <sup>1</sup>

Gdy się rozstawali, własną ręką napisał mu w sztambuchu ustęp ze swojej *Eneidy*, zaczynający się od słów: „Enej buw parubok motornyj”.

---

<sup>1</sup> Sprawy nasze w twoich pieśniach zabrzmią, ale nie zmartwychwstaną! Przeszłość — w łzach, z pamiętek — proch, a dzieje — snem!

W mieszkaniu Kotlarewskiego zawarł Padurra znajomość z młodym poetą ukraińskim, Leonem Borowikowskim, który właśnie przetłumaczył najnowszy utwór Adama Mickiewicza, wydrukowany w petersburskim noworoczniku „Melitele”.

Utwór był zatytułowany: *Farys. Kasyda na cześć Emira Tadż-ul-Fechra ułożona*.

Padurra przypomniał sobie swoje wiersze, w których opiewał życie i czyny Wacława Rzewuskiego. Wiersz Mickiewicza był bez porównania lepszy; Padurra umiał to dostrzec i ocenić.

„Pędź, latawce białonogi! Trupy, huragany z drogi!...” To było naprawdę piękne. Mickiewicz nie znał osobiście Emira, a jednak trafniej przedstawił jego postać.

Padurra na pocieszenie powiedział sobie, że nazwisko Mickiewicza na Ukrainie znane jest tylko nielicznym, i to w miastach, a wiersze jego, Padurry, umie na pamięć chyba co trzeci chłop ukraiński i co drugi mieszczuch, nie mówiąc już o ziemianach.

Z otuchą w sercu i wiarą w bliskie urzeczywistnienie planów patriotycznych wrócił do Sawrania, by zdać relację Emirowi.

Wysłuchawszy go, Rzewuski zarządził w swoim kośzu przygotowania wojenne.

Ruchawka chłopska na Podolu, wzniecona przez Karmaluka, tak bardzo przybrała na sile, że władze gubernialne zmuszone były zwrócić się o pomoc do wojska.

Zorganizowano specjalne oddziały szlacheckie, które bez ustanku patrolowały na drogach i zawzięcie tropiły nieuchwytnego watażkę.

Wielki książę Konstanty nakazał, aby mu co tydzień



przysyłano do Warszawy szczegółowe raporty o wynikach akcji pacyfikacyjnej.

A legenda o Karmaluka rosła i bogaciła się w coraz to nowe, budzące podziw szczegóły.

Opowiadano, że Karmaluk przebrany za isprawnika zjawił się w majątku swojego dawnego pana, Pigłowskiego, zjadł wystawną kolację, a potem dał znak swoim ludziom, przebranych również za policjantów, opanował dwór, zarządził rozprawę publiczną nad dziedzicem i kazał mu wsypać pięćdziesiąt batów. Potem zabrał wszystkie pieniądze z kasy i rozdał chłopom z okolicznych wiosek.

W tym czasie jego żona i dwoje dzieci, mieszkający nadal w Hołowczyńcach, przymierały głodem. A sam Karmaluk skąpił sobie nawet na lepsze ubranie. Chodził obdarty.

Wreszcie przy pomocy pewnego zdrajcy zdołano ponownie chwycić Karmaluka. W marcu tysiąc osiemset dwudziestego ósmego roku sąd w Kamieńcu Podolskim skazał przywódcę ruchawki na sto jedno uderzenie kańczugiem i zesłanie na Sybir.

Nie dość na tym, sprzedano z licytacji całą chudobę skazańca, aby pokryć koszty sądowe. Ze sprzedaży uzyskano zaledwie jedenaście rubli dziewięćdziesiąt kopiejek.

W rok później, kiedy Padurra po spełnieniu misji patriotycznej wracał na Wołyń, Karmaluk po raz drugi uciekł z Sybiru.

Mickiewicz przeniósł się do Petersburga. Książę Wiaziemski dał mu list polecający do Wasilija Żukowskiego, który był nie tylko znanym poetą, ale też, jako nauczyciel dzieci cara, człowiekiem bardzo wpływowym.

Żukowski wywarł na Mickiewiczu silne wrażenie. Był

to niewątpliwie człowiek świątły, dobry i uczynny, chociaż bardzo wiernopoddańczo nastrojony.

Mickiewicz starał się o licencję na wydawanie czasopisma w języku polskim. Pismo miało się nazywać „Iris” i być niejako tęczą zgody i porozumienia. „Literatura polska i rosyjska — pisał Mickiewicz w memoriale do ministra oświaty — pomimo tytułu i tak mocnych pobudek nie podały sobie dotąd przyjaznej dłoni.”

Mickiewicz poznał w Petersburgu młodego poetę, którego koledzy i znajomi nazywali „złotym ogniwem łączącym kulturę polską i białoruską”. Poeta ów, niejaki Jan Barszczewski, rodem spod Witebska, pisał po polsku i po białorusku. Mickiewicz poprawiał jego wiersze i wróżył mu piękną przyszłość w literaturze.

Sukces wydanego w Petersburgu *Konrada Wallenroda* przeszedł wszelkie oczekiwania.

Tomasz Padurra, odpoczywając w Sawranii po trudach swojej emisarki, czytał ten poemat i tak się nim zachwycił, że gotów był uznać autora za równego sobie poetę, gdyby Mickiewicz pisał również po ukraińsku. Ale Mickiewicz pisał tylko po polsku. Padurra czuł się więc w obowiązku niejako uzupełnić ten brak. Zaczął od przetłumaczenia urywka, który mu najbardziej przypadł do gustu. Była to pieśń Aldony:

Chtoż moi slozy, chto wzdochnienia zliczyt?  
Czy wżem tak dowhi lita zhołosyła,  
Czy tak sia w hrudi i w oczach horyczyt,  
Szczo wid wzdochnenij rza kratu pokryła?  
De sloza spade, w zymnyj kamiń stecze,  
Nenacze w dobre serce czołowicze...

Ksiądz Komornicki, który pierwszy przeczytał to tłumaczenie, wyraził wątpliwość, czy Padurra swój język poetycki nie zanadto szpikuje polonizmami.

Padurę do żywego zadrasnęła ta uwaga. Chcąc dokuczyć rywalowi, jał rozpowiadać na prawo i na lewo, że popularne śpiewki o Karmaluku układa sam ksiądz kanonik.

Była to wiadomość tak zaskakująca, że wiele osób nie dawało jej wiary. Ale ksiądz Komornicki, gdy go o to wręcz zapytano, nie zaprzeczył. Powiedział tylko: — Karmaluk jest człowiekiem godnym szacunku.

## VII

Długo trwała podróż z Olszany do Wilna. Konie szły noga za nogą błotnistym szlakiem. Od Homla ciągnął się inny kraj. Rzeki i bory, wioski i ludzie — wszystko było inne niż na Ukrainie; smutne, milczące. Była to ziemia mogił i krzyży.

Nocowano po zajazdach. Taras wszędzie wypatrywał oleodruków. Gdzie tylko się dało, ścigał ze ścian obrazki i powiększał w ten sposób swoją kolekcję.

Wreszcie ujrzeli miasto, rozłożone na wzgórzach, podobnie jak Kijów z rzeką pośrodku. Zamiast złożonych kopuł cerkiewnych wystrzelały do nieba smukłe wieżycy kościołów.

Minęli rogatki, przedmieście, po czym wjechali w bramę, nad którą znajdowała się kaplica. W końcu stanęli przed pałacem, za którym szumiały drzewa starożytnego ogrodu.

Powitała ich prosząca śniegiem, srebrna jesień wileńska.

Ledwo czeladź pana Engelhardta roztasowała się w skrzydle pałacu, już Taras wziął się do przeglądania swych ulubionych obrazków. W charakterze kozaczka

siadywał nadal w przedpokoju. Miał aż nadto dużo wolnego czasu, ale rzadko kiedy udawało mu się coś narysować.

Toteż gdy pewnego razu oboje państwo pojechali na bal do resursy, chłopiec wyjął ze swej kolekcji najpiękniejszy obrazek, przedstawiający bohatera niedawnej wojny z Napoleonem, generała Płatowa, i zaczął go kopiować. Świeczka już się prawie kończyła, a on wciąż siedział i rysował. Zapomniał o bożym świecie.

Z tego stanu błogości twórczej wyrwał go głos pana, który wrócił z balu nieco wcześniej i zdybał kozaczka na gorącym uczynku palenia świecy w pokojach. Pan był wściekły. Krzyczał. Przecież tak można spowodować pożar! Co za lekkomyślność! Co za samowola!

Nazajutrz, dnia siódmego grudnia tysiąc osiemset dwudziestego dziewiątego roku, koniuch Sydorko z rozkazu dziedzica wymierzył Tarasowi chłostę.

Chłopiec nie wydał ani jednego jęku. Ale z oczu patrzyła mu nienawiść.

Przykra ta historia pociągnęła za sobą nie najgorszy skutek: zwróciła na Tarasa uwagę pani Zofii Engelhardt, która w przeciwieństwie do męża odznaczała się ludzkim stosunkiem do służby i często wypominała mężowi nazbyt surowe postępowanie.

Zaczęła zabierać z sobą Tarasa, gdy udawała się na miasto po sprawunki lub z wizytą.

Krąg jej znajomości stanowiły wyłącznie rodziny polskie. W niedzielę bywała u państwa Łopacińskich, we czwartki u pani Felicji Platerowej. Bardzo często również odwiedzała dom Karpio-Platera przy ulicy Trockiej, gdzie rezydowali hrabiostwo Güntherowie.

Należało do nich całe pierwsze piętro. Na drugim zaś mieszkali sami artyści: po jednej stronie parę pokoi-ków zajmował młody malarz i litograf, uczeń Rustema, Kazimierz Bachmatowicz, po drugiej założył swoje atelier Jan Chrzyciel Lampi, syn głośnego portrecisty, też Jana Chrzyciela. W drodze z Petersburga do Wiednia młodszy Lampi zatrzymał się w Wilnie i spędził tu zimę z tysiąc osiemset dwudziestego dziewiątego na tysiąc osiemset trzydziesty rok. Codziennie przyjeżdżały do niego pozować najwytworniejsze damy wileńskie.

Taras, jeżdżąc ze swoją panią, spełniał drobne posługi, za które otrzymywał datki od jej znajomych. Od razu kupował za to litografie, które były podówczas modne i które sprzedawano prawie na każdym rogu ulicy. Niekiedy udawało mu się kupić arkusz papieru do rysowania.

Paweł Engelhardt, widząc, że Taras wciąż się zajmuje obrazkami, doszedł do wniosku, iż kozaczka z niego nie zrobi; a może przypomniał sobie wreszcie notę rządcy Dymowskiego, kwalifikującą Tarasa do robót malarskich. Dość, że oddał chłopca na naukę do jakiegoś malarza pokojowego. Ten jednak był na tyle sumienny, że wkrótce zgłosił się i poradził oddać Tarasa do portrecisty, twierdząc, iż Taras ma w tym kierunku zdolności.

Pani Zofia zabrała chłopca do domu na Trocką i zaprezentowała Lampiemu, który właśnie malował jej portret. Mistrz kazał chłopcu przychodzić na lekcje dwa razy na tydzień. Nie zrobił tego dla pięknych oczu pani Engelhardt; owszem, wziął spore wynagrodzenie. Bogaty dziedzic już się był zapalił do myśli, aby wykształcić sobie „własnego” malarza, bez wahania więc zatwierdził wydatek.

Lampi przed wyjazdem z Wilna pokazał rysunki chłopca Rustemowi. Zachęcony przez Rustema, chłopiec zgłosił się do jego pracowni.

Od znajomości z Rustemem zaczęła się nowa epoka w życiu Tarasa.

Dawny pałac biskupi, który był siedzibą generał-gubernatorstwa i w którym mieszkali Engelhardtowie, stał w pobliżu uniwersytetu. Taras, wychodząc z domu, często napotykał gromadki studentów w mundurach z fiołkowymi kołnierzami. Wszyscy mówili po polsku. Chłopiec dzięki panu Dymowskiemu oswoił się już z językiem polskim. Mógł się nim od biedy posłużyć.

Pracownia profesora Jana Rustema, a zarazem sala wykładowa, mieściła się naprzeciwko pałacu, na drugim piętrze najstarszej oficyny uniwersytetu, nie opodal obserwatorium astronomicznego.

Uczniowie schodzili się około piątej po południu. Mistrz, pomny na swoje pochodzenie, paradował zawsze w czerwonym fezie, spod którego wystawały siwe kosmyki włosów.

Na obliczu profesora rozlana była niezmierna dobroć, oczy spoglądały przyjaźnie i wesoło. Uwielbiali go młodzi adepci sztuki, nikomu bowiem i nigdy nie odmawiał pomocy. Pracownia jego była faktycznie dostępna dla wszystkich, aczkolwiek przeważali w niej słuchacze Wszechnicy Wileńskiej. Drzwi jego stały otworem dla sierot, biednych, kalekich i nieszczęśliwych. Nie darmo był członkiem łoży masonskiej, która nosiła nazwę Dobry Pasterz.

Razem ze swoim kolegą po fachu, profesorem sztycharstwa Saundersem, sprowadził do Wilna z zagranicy kolekcję celniejszych gipsów greckich: Apollina, Wenera, Laokoona. W nauce rysowania stosował również

model żyjącego człowieka, co stanowiło naówczas nowość.

W tej atmosferze życzliwości i rzetelnej kultury artystycznej niedoszły uczeń chlipniowskiego diaka i pastuch gromadzkich owiec w Kiryłówce czynił szybkie postępy na polu sztuki i przywykał do obcowania z ludźmi o szerokich widnokręgach umysłowych. Przeżywał czasem chwile prawdziwego szczęścia. Tym większa jednak gorycz napełniała jego serce, gdy od nauczyciela wracał do izby czeladnej w pałacu. Na widok Sydorka krew uderzała mu do głowy.

Pod koniec karnawału przypadek zetknął Tarasa z pewną dziewczyną, która wywarła na nim wrażenie tak wielkie, że chwilowo zapomniał nawet o Oksanie.

Była to młodziutka szwaczka, o parę lat starsza od chłopca, Polka rodem z Warszawy. Po śmierci ojca przeniosła się do ciotki w Wilnie.

Pracowała u krawcowej obsługującej klientki z arystokracji, między innymi panią Engelhardt.

Nazywała się Jadwiga Husakowska, była smukła, miała czarne włosy i czarne brwi, jak Oksana. Ciemna suknia i blade policzki nadawały jej twarzy wyraz powagi, nie licującej z wiekiem.

Kiedyś Taras pokazał jej swoje rysunki. Dziuni bardzo się spodobały. Taras nareszcie poznał, co to jest duma artysty.

Zaczęli się spotykać na mieście.

Zwykle był to kościół Świętej Anny, w którym Dziunia lubiła się modlić. Można go było z łatwością odróżnić od wszystkich innych kościołów w Wilnie. Na frontonie miał trzy wieżyczki, z których środkowa wywyższała się nad boczne. Między tymi trzema wieżyczkami były jeszcze dwie mniejsze, ale wszystkie jed-

nostajnej formy: cechował je ostrosłup, z łuków wklęsłych złożony. Główna wieża, coraz się zwężając, ostrym szczytem wybiegała w powietrze. Wejście tworzyła niska, półkrągła arkada.

Gdy się patrzyło na tę niedużą budowlę, świat cały malał i gasł. W oczach zostawała tylko czerwień gotyckiej cegły i nieziemska harmonia kształtów.

Rozmawiając z Dziunią chłopiec nauczył się biegle mówić po polsku. Czytali razem wiersze Mickiewicza, który był bożyszczem młodzieży. Przed sześcioma laty właśnie stąd, z Wilna, wywieziono go w kibitce do Rosji. Taras z przejęciem słuchał opowiadań o nieszczęśliwym wygnańcu, w myśli powtarzał słowa poety:

Z niebieskich najrańszą piosnek  
Ledwie zadzwonił skowronek,  
Najrańszy kwiatek, pierwiosnek,  
Błysnął ze złotych obsłonek.

Te słowa niosły kwietniową świeżość. Przenikały do serca dobroczynnym ciepłem. Kończyły smutek.

Taras przypomniał sobie swoje pierwsze uniesienia poetyckie. Odnalazł w kuferku zeszyt z wierszami i znów do niego zaczął wpisywać równe linijki zwrotek, które mu teraz brzmiały na nową, nie znaną dotychczas nutę.

Wiosna była w Wilnie porą roku obfitującą w różne uroczystości i zwyczaje, związane z sobą i nacechowane lokalnym kolorytem.

Wielki Tydzień z grobami, święcone paradne, kiermasze, widowiska i kwesty na biednych — wszystko to bardzo ożywiało miasto.

Od Wielkanocy rozpoczynały się popisy strojów dam-



skich. Pojazdy napełnione wytwornymi paniami krzyżowały się po ulicach, jeżdżąc od kościoła do kościoła i zatrzymując się przed każdym. Towarzystwo wysiadało z powozu, lokaj torował drogę przez tłum i panie mogły podziwiać grób, jaśniejący od kwiatów z batystu i owoców woskowych, błyszczący od lamp i zwierciadeł.

Na Placu Katedralnym rozłożył swoje budy jarmark, wprowadzony do Wilna zaledwie przed rokiem. Nieco dalej, obok Bramy Zamkowej, stała drewniana szopa z widokami Paryża.

Cukiernie Kunca, Kiela i Dawacego były pełne publiczności od rana do wieczora.

Ostatnie dwa tygodnie przed świętami Dziunia pracowała bez wytchnienia, nie dosypiając i nie dojadając. W Wielką Sobotę, gdy odniosła nową suknię pani Engelhardt, spotkała się z Tarasem. Dała mu w prezencie koszulę, którą sama uszyła i ozdobiła haftem. Chłopcu ze wzruszenia oczy zwilgotniały.

Nazajutrz spotkali się znowu i długo chodzili po mieście. Powietrze było ciepłe i przezroczyście. Równo z uderzeniem we dzwony na Zamku, jak nazywano Katedrę, we wszystkich trzydziestu sześciu kościołach miasta zaczęto śpiewać „Alleluja”. Taras przypatrywał się wszystkiemu z ciekawością.

Potem poszli do ciotki na jajko wielkanocne, jedyną ucztę ubogiej rodziny.

Taras widział, jak ta rodzina ciężko pracowała na kawałek chleba. Ale była wolna.

Coraz boleśniej odczuwał swoje poddaństwo. Miłość Dziuni rozbudziła w nim chłopięcą dumę, podniosła go we własnych oczach, dodała mu otuchy, radością napełniała jego szesnastoletnie serce.

Śmiertelny lęk go ogarniał na myśl, że może się powtórzyć scena brutalnej rozprawy. Sydorko śnił mu się

po nocach, z oczami nalanymi krwią i olbrzymim bato-  
giem w ręku.

Chłopiec zapragnął za wszelką cenę zrzucić z siebie  
ohydne jarzmo niewoli.

W lecie profesor Rustem wyjechał do Dobrowlan do  
hrabiostwa Güntherów. Towarzyszył mu Kazimierz  
Bachmatowicz. Lampi był już w Wiedniu. Taras prze-  
stał chodzić na lekcje rysunków.

Spotykał jednak wielu swoich znajomych z pracowni  
Rustema. Głównie studentów. Lubili go, więc chętnie  
rozmawiał z nimi, brał od nich książki do czytania.

W początkach sierpnia napłynęły niepokojące wie-  
ści. W Paryżu wybuchła rewolucja. W Warszawie go-  
towało się powstanie. Młodzież wileńska była tymi  
wieściami wzburzona i poruszona.

Kręcili się wśród niej wysłannicy tajnych organiza-  
cji. Wygłaszali podburzające przemówienia. Rozdawali  
drukowane i pisane ręcznie odezwy. Jednego z nich  
później aresztowano. Nazywał się Józef Ignacy Kra-  
szewski. Był słuchaczem uniwersytetu.

Dziunia przyniosła Tarasowi polską odezwę, skiero-  
waną do Rosjan i Ukraińców, nawołującą do wspólnej  
walki z caratem. Chłopiec po raz pierwszy w życiu  
usłyszał słowa: „Za naszą i waszą wolność”. Usłyszał  
nazwisko Lelewela.

Od Dziuni też dostał do przeczytania książeczkę wy-  
daną przed dwudziestu paru laty w Wilnie i noszącą  
tytuł *O ugodach dziedziców z włościanami*. Autor zachę-  
cał właścicieli do zapewnienia chłopom wolności i wła-  
sności osobistej.

Dziunia objaśniła Tarasa, że książeczka została za-  
broniona przez władze carskie i każdy, kto ją przecho-  
wuje, naraża się na surową karę.

Taras czuł się jakby wciągnięty do spisku. Na Dziunię patrzył nie tylko z miłością, ale i z podziwem.

Może Polacy i jemu wywalczą wolność?

Ale oczywiście nie ci, którzy mieszkają w pałacach i jeżdżą na bale do resursy, lecz ci, z którymi przyjaźni się Dziunia.

Znajomi studenci zapoznali Tarasa z wierszami Jana Czeczota i Pawła Bachryma. Treścią tych wierszy było życie ludu białoruskiego. Chłopcu przypadły do serca zwłaszcza utwory Bachryma, pisane mową białoruską, dziwnie zbliżoną do ukraińskiej:

Kab ja karszunom radziusia,  
Ja by bez panou abyusia:  
U panszczynu-b nie pahnali...<sup>1</sup>

Taras odkrywał nowy, nie znany świat, w którym działały się zadziwiające rzeczy: lśniły tam błyskawice zuchwałych myśli, ciężkie, burzowe chmury wisiały nisko nad ziemią; tylko patrzeć, jak spadną z nich pioruny zemsty i gniewu.

Życie miało mu wkrótce przynieść żywą ilustrację tych poetyckich rojeń.

Spotkania z Dziunią stały się czymś tak zwyczajnym i tak potrzebnym Tarasowi, że kiedy razu pewnego dziewczyna nie przyszła do „ich” kościółka, chłopiec był po prostu chory ze zmartwienia.

Oboje tworzyli parę dość niezwykłą. Ona wyższa od niego i starsza, sprawowała nad nim opiekę iście macierzyńską. Chłopiec dzięki tej opiece wyglądał schludnie; zaczął się nosić nawet z pewnym szykiem.

---

<sup>1</sup> Gdybym się sępem urodził, || Bez panów bym się obył: ||  
Na pańszczyznę by mnie nie pędzili...

Narysował w tym czasie główkę kobiecą, biorąc za wzór obrazek wystawiony w sklepie z litografiami. Główka wypadła nadspodziewanie dobrze. Zachęcony tym, chłopiec wziął się do pracy nad portretem Dziuni. Czuł się już dojrzałym artystą.

Zaledwie jednak zrobił szkic portretu, zaszły pewne wypadki, które wniwecz obróciły wszystkie zamierzenia chłopca i wpłynęły na dalsze jego losy w sposób nieoczekiwany.

Paweł Engelhardt, jako adiutant generał-gubernatora wileńskiego, jeździł czasami do Warszawy, gdzie rezydował wielki książę Konstanty. Książę miał naczelne dowództwo nie tylko nad armią Królestwa Polskiego, ale i nad tak zwanym Korpusem Litewskim, rozlokowanym w prowincjach przyłączonych do Rosji. Zwierzchnikowi sił zbrojnych podlegały również urzędy administracji cywilnej. Toteż książę był faktycznym władcą całego niemal obszaru dawnej Rzeczypospolitej.

W związku z napiętą sytuacją polityczną na tym obszarze generał Rimski-Korsakow pchnął nagle swego adiutanta do Warszawy. Paweł Engelhardt udał się w drogę bez żony, ale z częścią służby. Między innymi zabrał z sobą Tarasa. Zapewne dlatego, że Taras nauczył się już nieźle mówić po polsku. W Warszawie mógł się przydać.

Przygotowania do podróży trwały tak krótko, a wyjazd nastąpił tak szybko, że Taras nie zdążył o tym nawet zawiadomić Dziuni. Engelhardt pojechał naprzód, a wozy ze służbą, pod nadzorem jednego z oficjalistów, ruszyły zaraz za nim.

Jechano traktem ludzkim, na Słoniem i Brześć. W Tespolu przekroczone granicę dzielącą państwo rosyjskie od Królestwa. Most na Bugu był pomalowany w czarne z pasowym pasy od strony Rosji, a w białe z czerwonym od strony Królestwa.

Szosa od Brześcia, równą, twardą i potoczystą, wozy biegły szparko i niebawem stanęły w Warszawie, przed zajazdem na ulicy Długiej.

Sam Engelhardt zatrzymał się na Krakowskim Przedmieściu, w domu Gerlacha, u Tyzenhauzów, którzy zajmowali całe pierwsze piętro. Tyzenhauzowie byli spowinowaceni z Güntherami, a ci znowu pozostawali w zażyłych stosunkach z panią Zofią Engelhardt.

Była jesień. Dwa kasztany rosnące przed bramą domu zaczęły żółknąć i gęsto ronić liście.

Na ulicach panował niezwykły ruch. Pod tym względem Warszawa przypominała Wilno. I tu również kręciły się wszędzie gromadki młodzieży, przeważnie studentów i rzemieślników. Gazety rozchwytywano.

Taras nie miał zbyt wiele zajęcia. Oficjalista Polak od razu po przyjeździe do Warszawy zawieruszył się nie wiadomo gdzie i służba Engelhardta, korzystając z tego, włóczyła się po mieście. Rotmistrz, zajęty sprawami służbowymi, nie bardzo się o nią troszczył.

Taras zobaczył dużo okazałych budowli, pałaców i kościołów. Podziwiał wysoką kolumnę stojącą przed Zamkiem Królewskim. Na Nowym Świecie widział marszerujące z Białym Orłem na sztandarze pięknie umundurowane wojsko.

Wśród tłumu przechodniów słyszał zdania, które silnie podziały na jego wyobraźnię. Ludzie głośno pomstowali na cara Mikołaja, szydzili z wielkiego księcia Konstantego. Miasto było podminowane. Rewolucja wisiała w powietrzu.

Aż wreszcie pewnej listopadowej nocy mieszkańców zajazdu obudziła wrzawa i strzelanina. Słychać było okrzyki: „Niech żyje wolność!” „Polacy, do broni!” „Precz z carem!”

Bramę zamknięto i nikomu nie pozwalano wychodzić. Rano Taras, ciekawy rozgrywających się w mie-

ście wypadków, pobiegł na strych i stamtąd przez małe okienko w dachu obserwował walki uliczne. Przeciwno zaborcom wystąpili nie tylko żołnierze polscy, ale i uzbrojony lud.

W kilka dni później przyszedł do zajazdu człowiek, który się podał za przedstawiciela rady municypalnej. Spisał wszystkich obecnych w zajęzdzie Rosjan i oddał ich pod nadzór miejskiej straży bezpieczeństwa.

Oficjalista Engelhardta znikł bez śladu. Dziedzic też się nie pokazał i dopiero po dwóch tygodniach przysłał, już z kwatery wojsk rosyjskich, gońca z pismem, w którym nakazywał swojej służbie, aby gdy tylko okaże się to możliwe, wyruszyła do Brześcia.

Minął jednak jeszcze miesiąc z górą, zanim służba Engelhardta, wraz z wieloma innymi poddanymi rosyjskimi, pod konwojem żołnierzy polskich wyprawiona została na wschód.

Taras z zainteresowaniem oglądał nowiutkie asygnały, w które rząd powstańczy zaopatrzył na drogę deportowanych z granic Królestwa obcokrajowców.

Warszawa robiła wrażenie wielkiego obozu wojennego. Po ulicach kręcili się żołnierze i gawiedź. Tu i owdzie sprzedawano z ręki broszurę pod tytułem *Oda do wolności*. Jak głosił napis na karcie tytułowej, autorem ody był Juliusz Słowacki.

Droga była długa i ciężka. Miejsc na wozach nie wystarczyło dla wszystkich. Niektórzy musieli iść piechotą. Cały czas trzymały ostre mrozy.

Tarasowi podarł się jeden but, żeby więc nie odmrozić sobie palców, przekładał ten, który mu pozostał, z jednej nogi na drugą.

Po pewnym czasie dotarli do linii przednich placówek rosyjskich. Eskorta polska ich opuściła.

W Brześciu powiedziano im, że Paweł Engelhardt udał się do Petersburga i służbie kazał również tam pojechać.

Taras miał nadzieję, że pojedą przez Wilno. Ale na Wileńszczyźnie toczyły się walki. Ze Słonima skierowano ich wprost na Mińsk, a stamtąd na Witebsk. Chłopiec płakał z żalu.

W końcu marca, goniąc ostatkiem sił, dowlekli się przed pałac swojego dziedzica przy ulicy Mochowej w Petersburgu.

### VIII

W listopadzie tysiąc osiemset trzydziestego roku związkowi wysłali Tomasza Padurrę do Wierzchowni w powiecie skwirskim, stanowiącej własność marszałka Hańskiego. Marszałek oraz jego żona, Ewelina z Rzewuskich, rodzona siostra pięknej Karoliny, nadal królującej w Odessie, przyjęli poetę bardzo gościnnie.

Gospodarz zapewnił emisariusza o swojej gotowości w ogólnej potrzebie. Przyrzekł dostarczyć wszystkiego, co mu Padurra podyktował w imieniu organizacji. Przy pożegnaniu, odprowadzając gościa do przedpokoju, jakby od niechcenia zapytał:

— Dokąd pan zmierzasz teraz?

— Do Rużyna — odrzekł gość.

I tam w istocie pojechał.

W miasteczku, zostawiwszy w zajeździe tłumoczek, poszedł do hrabiny Kalinowskiej, którą znał od dawna. Zabawił kilka godzin, zjadł wieczerzę i wrócił do zajazdu. A tam już zastał czekających na niego żandarmerów i telegę pocztową.

Konie z miejsca ruszyły i nie oparły się aż w Skwi-



**Portret Eugeniusza Hrebinki. Taras Szewczenko. Akwarela; 1837**





Uczta kozacka. Taras Szewczenko. Ołówek, 1838

rze, gdzie nieszczęśliwca wtrącono do turmy razem ze złodziejami i rozbójnikami.

Nazajutrz przesłuchujący Padurrę oficer powtórzył mu dokładnie całą treść rozmowy, jaką emisariusz przeprowadził w Wierzchowni z marszałkiem Hańskim.

Padurra poprzysiągł sobie do końca życia nie ufać arystokratom.

W sercu swoim zostawił tylko mały kącik dla Emira i księcia Romana z Koszyry.

W Sawraniu oddział kozaków Rzewuskiego stał wyekwipowany co się zowie i gotów do wyruszenia w pole na pierwsze hasło ze stolicy.

Kiedy dnia dwudziestego dziewiątego listopada szkoła podchorążych w Warszawie dała znak do boju, na Ukrainie w pierwszej chwili wszystko zawrzało, ale zaraz potem rozległy się głosy ostrzegające przed nieczesnym wystąpieniem. A gdy z Warszawy nadeszła odpowiedź dyktatora, że dla Wołynia i Podola nie ma w swoim arsenale „ani jednej szabli, ani jednego krzemyka” — wszystko zapadło w letargiczny sen.

Emir czekał, aby lud ukraiński obwołał go hetmanem nowej Kozaczyzny, a lud spodziewał się, że Emir objawi mu się na białym koniu na czele tysięcznej armii, wezwie do czynu, uzbroi, a potem ruszy z nim na pole chwały.

Obie strony srodze się zawiodły. Kozacy czarnomorscy, na których najbardziej liczono, nawet nie drgnęli. Emir spokojnie siedział w swojej sawrańskiej rezydencji.

Siły powstańcze polskie na Wołyniu i na Podolu pokazały się dopiero z wiosną. W maju Karol Różycki, wsławiony już w bojach pod Napoleonem, zgromadził w lasach cudnowskich koło Żytomierza pułk kawalerii

i po pięciu tygodniach zwycięskich walk przedarł się przez dziesięćkroć liczniejszą armię rosyjską, docierając do twierdzy w Zamościu. Pod jego rozkazami okryli się chwałą polscy i ukraińscy ochotnicy; niektórzy z nich już wtedy parali się piórem, jak bracia Wincenty i Michał Budzyńscy oraz Michał Czajkowski tudzież Antoni Szaszkiewicz i Spirydion Ostaszewski.

Ostaszewski był gorliwym zbieraczem podań i legend ukraińskich. Szaszkiewicz zaś przerabiał pieśni ludowe lub układał własne. Już będąc w pułku Karola Rózyckiego ułożył piosnkę, której dwie pierwsze zwrotki brzmiały:

Pidnoś krylja, Orle Biłyj!  
Dni twoji naśpiły.  
Zatrasłysia wsi mohyły,  
Kosti zworuszyły.

Śwityt' zora na zachodi,  
A temnia z piwnocy.  
Boh zwiszczaje: Caru hodi!  
A my wsi ochoczy.<sup>1</sup>

Emir, nie doczekawszy się hetmaństwa, wziął swoich dwustu czterdziestu mołojców i stanął pod generałem Kołyszką na Podolu, jako dowódca piątego szwadronu jazdy. Osiemdziesięcioletni generał, pamiętający jeszcze insurekcję Kościuszkowską, poprowadził swoich wojsków tak nieszczęśliwie, że zaraz w pierwszej bitwie, pod Daszowem, ulegli zupełnemu rozbiciu. Kozacy Emira walczyli jak lwy, ale nie mogli zapobiec klęsce. Emir

---

<sup>1</sup> Podnieś skrzydła, Orle Białe, || Dni twoje nadeszły. ||  
Zatrzęsły się wszystkie groby, || Kości się ruszyły. ||  
Święci zorza na zachodzie, || Ciemno na północy. ||  
Bóg obwieszcza: Koniec z carem! || A my temu radzi.

przepadł bez wieści. Mówiono, że zginął od noża płatnego mordercy i że sprężyną tej zbrodni był gubernator wołyński Lewaszow.

A o księciu Sanguszcze przez długi czas było cicho, aczkolwiek car nakazał, aby go znaleźć bodaj pod ziemią. Sanguszko pochodził z dawnej rodziny litewsko-ruskiej, spokrewnionej ponoć z Jagiellonami. W powstaniu brał udział jako patriota polski. Takim warto się było zająć.

Po jednej z bitew miała nastąpić wymiana jeńców. Dowódcą armii rosyjskiej był generał Rüdiger, zruszczony Niemiec, a jego adiutantem — Florian Rzewuski, Polak z pochodzenia, występujący się carowi.

Rzewuski wśród jeńców polskich dostrzegł księcia Romana z Koszyry. Księżę figurował na liście jako podporucznik Lubartowicz. Adiutant, podobno przez roztargnienie, a może przez nadmiar służbistości, wygadał się o tym w sztabie. Rüdiger natychmiast odesłał Sanguszkę do Żytomierza. Lewaszow zatarł ręce z uciechy i zawiadomił cara, który oczywiście zatwierdził wniosek o wysłanie księcia na Sybir, dodał tylko od siebie: „Prowadzić pieszo i w kajdanach”. Wolę carską wykonano jak najskrupulatniej.

Z partii skazańców, wśród których znajdował się Roman Sanguszko, ktoś wysłał list do rodziny swojej na Wołyniu i w liście tym między innymi napisał: „Przez całą Małorosję szliśmy, jakby nam duch naszego Tomasza przewodniczył, tyleśmy współczucia napotykali”.

Adwokat Bołsunowski, mieszkający w Skwirze i opiekujący się uwięzionym Padurra, skorzystał ze sposobnej chwili, aby mu powiedzieć o tym liście. Poeta wzniosł oczy i ręce do nieba i rzekł wzruszonym głosem:

— Bogu niech będą dzięki! A więc moje mandrówki nie poszły na marne!

W Wiatce na zesłańców czekała, powiadomiona listownie przez znajomych, Róża Sobańska.

Patrioci polscy przemieszani już byli z wszelkiego rodzaju zbrodniarzami.

Sobańska, która od paru lat mieszkała w Wiatce z mężem, również zesłańcem, dostała reskrypt carski na udzielanie wsparcia „sybirakom”. Przy pomocy żandarmerii odnalazła księcia w tłumie obdartych i pozabawionych godności ludzkiej istot.

Sanguszko otrzymane od Sobańskiej pieniądze, odzież i żywność natychmiast porozdawał towarzyszom niedoli. Sam zaś poszedł dalej w łachmanach i bez grosza, „porzestając na piszczy areztanckiej.”

Do Nerczyńska doszedł razem z księciem ulubiony teorbanista Emira, wzięty do niewoli pod Daszowem, Onufry Worobitiuk. Nazywano go Kozakiem Sawrańskim i przyjacielem Lachów.

Worobitiuk i Sanguszko w kopalni nerczyńskiej spotkali się z księciem Sergiuszem Wołkońskim. Zarówno księcia, jak i jego współtowarzyszy spiskowych nazywano już wtedy dekabrystami. Otoczeni byli powszechnym szacunkiem zarówno ze strony miejscowej ludności, jak i skazańców innych narodowości.

W jesieni tysiąc osiemset trzydziestego roku Ustym Karmaluk rozpętał na Podolu prawdziwą wojnę partyzancką, która potem ogarnęła również Wołyń.

Chłopska armia Karmaluka, podzielona na kilka oddziałów, liczyła już kilkanaście tysięcy ludzi. Partyzanci zniemacka zjawiali się tam, gdzie ich nie oczekiwano, i rozgromiwszy majątek, wymierzywszy sprawiedliwość, komu należało, znikali bez śladu. W ciągu września i października odebrali właścicielom ziemskim

przeszło siedemset koni i dziewięćset wołów. Puścili z dymem dziesiątki gorzelnii.

Gubernator Lewaszow na dobre się zaniepokoił rozwojem partyzantki Karmaluka. W Warszawie lada chwila wybuchnie powstanie. Polacy wołyńscy i podolscy zechcą je poprzeć. Partyzantka chłopska i partyzantka szlachecka na jednym i tym samym obszarze — to za wiele. A gdyby te dwie ruchawki zaczęły działać wspólnie... Strach pomyśleć! A tu raporty szpiegów donoszą, że nadworny poeta hrabiego Rzewuskiego, ksiądz kanonik Komornicki, układa coraz to nowe pieśni wysławiające Karmaluka.

Gubernator długo się naradzał z szefem żandarmerii. Rezultat narady nie dał na siebie czekać. Znalazł się zdrajca, który chłopskiego wodza wydał policji. Miało to miejsce dnia dziewiątego grudnia tysiąc osiemset trzydziestego roku.

Przewieziono watażkę pod strażą całego batalionu do więzienia w Litynie. Ludzie wiejscy na widok swego opiekuna zakutego w kajdany klękali i płakali z żalu albo złorzeczyli. Czerkiesi nahajkami rozpędzali zbiegowiska.

Sąd powiatowy skazał Karmaluka po raz drugi na sto jedno uderzenie kańczugiem i zesłanie na Sybir. Sąd okręgowy w Kamieńcu Podolskim miał ten wyrok zatwierdzić. Sprawa się wlokła. Karmaluk siedział zamknięty w osobnej celi z zamurowanym wejściem. Jedzenie spuszczano mu na sznurze przez mały otwór w suficie.

Przesiedział tak cały rok tysiąc osiemset trzydziesty pierwszy. Powstanie w Polsce dobiegło końca, a na Podolu panowała śmiertelna cisza. Nie ruszył się nikt — ani chłopci, ani szlachcice. Ani jedni, ani drudzy nie mieli wodza. Gubernator Lewaszow wywiązał się ze swoich zadań doskonale.

Mickiewicz, przebywając w Rzymie, chętnie odwiedzał salon księżny Zenaidy Wołkońskiej. Spotykał się tam ze swoim towarzyszem podróży na Krym, Henrykiem Rzewuskim. Poznał pannę Anastazję Chlustin, z którą często rozmawiał o ich wspólnym przyjacielu Aleksandrze Puszkynie. Z bratem jej, Szymonem, dwukrotnie jeździł do Pompei. Bywał na seansach pozowania, przyglądając się, jak Karol Briułow maluje portret panny Anastazji. Zresztą Briułow szkicował wtedy w ciichości olbrzymie dzieło malarskie. Tym, których to bardzo ciekawiło, mówił tylko, że tematem obrazu będzie zagłada Pompei.

W towarzystwie Odyńca Mickiewicz obejrzał Wezuwiusz.

W październiku pisał, już z Genewy, do Jana Czczota przebywającego nadal w Orenburgu:

„Kochany Janie! Od zimowego listu, wyprawionego do ciebie z Rzymu, wiele już miesięcy upłynęło. Przez ten czas wyjeździłem Włochy wzdłuż i w poprzek, od Sycylii do Alpów, a w przeszłym miesiącu obszedłem Alpy Szwajcarii Górnej, której drugą część dawniej przejechałem. Opisywać tej podróży nie będę”.

„Drogi mój Janie, czy zdrow ty i czy nie ma dotąd żadnej nadziei, żebyś przynajmniej był w Petersburgu? Co się u nas w sercu dzieje, kiedy o tobie myślimy, gadamy, kiedy to piszę, niech tobie powie twoje serce.”

W pismach genewskich Mickiewicz przeczytał streszczenie artykułu zamieszczonego w polskim „Tygodniku Petersburskim”, który rok przedtem zaczął wychodzić pod redakcją Józefa Emanuela Przeclawskiego. Kiedy zabiegi Mickiewicza o zezwolenie na czasopismo „Iris” zawiodły, Przeclawski zdołał uzyskać zezwolenie na „Tygodnik”. W marcu i kwietniu tysiąc osiemset trzydziestego pierwszego roku, a więc zaraz po bitwie

pod Grochowem, pismo zamieściło artykuł: *Kilka uwag o teraźniejszej rewolucji polskiej*, wymierzony przeciwko powstaniu i oświetlający je z punktu widzenia rządu carskiego.

W tym samym czasie w Petersburgu wyszła książeczka, która mieściła w sobie dwa wiersze Żukowskiego: *Stara pieśń na nową nutę* i *Na wzięcie Warszawy* oraz dwa utwory Puszkina: *Oszczercom Rosji* i *Rocznica bitwy pod Borodinem*. Książeczka ta, przez koła dworskie i rządowe przyjęta z zadowoleniem, w sferach bardziej liberalnych wywołała konsternację. Ładunek wielkomocarstwowej pychy był w niej nadto silny.

Aż oto z dalekiej Syberii przyszedł wiersz Odojewskiego: *Na wieść o powstaniu polskim*. Poeta-dekabrysta ocenił bohaterstwo powstańców polskich z całą sympatią człowieka, który sam wszystko poświęcił dla sprawy wolności. Opowiadano mu zresztą, jak uroczyście Warszawa już w drugim miesiącu rewolucji uczciła pamięć jego powieszonych współtowarzyszy.

W Moskwie dwaj młodzi studenci uniwersytetu, Aleksander Hercen i Mikołaj Ogariew, wiadomość o wybuchu powstania w Warszawie powitali z entuzjazmem. Patrzyli na siebie ze łzami w oczach i powtarzali ulubione: „Nein, es sind keine leere Träume!” Cieszyli się z każdej klęski Dybicza, nie wierzyli w niepowodzenia Polaków. Hercen w swoim pokoju studenckim zawiesił portret Tadeusza Kościuszki. Wkrótce potem wyrzekł pamiętne słowa: „Niech będzie przeklęte panowanie Mikołaja na wieki wieków. Amen!”



Car o łożnianych oczach siedział w swoim pałacu nad Nową i obmyślał zemstę za to, co przeżył, za swój lęk i swoje wątpliwości. Gotował zemstę na wszystkich, którzy stanęli w poprzek jego samowładczym planom. Knuł zemstę zarówno na obcych, jak i na swoich. Od czasu podboju Polski wszystkie przytłumione nienawiści tego człowieka rozwinęły się w sposób przerażający. A był nie lada sztukmistrzem: wszystko, czegokolwiek dotknął, zamieniało się w knut.

## IX

Po przybyciu do stolicy imperium Paweł Engelhardt został mianowany adiutantem księcia Aleksandra Wirtemberskiego, szefa zarządu komunikacji. W niedługim czasie zrezygnował z tego stanowiska i podał się do dymisji. Awansowany na pułkownika, dysponując olbrzymim dochodem z odziedziczonych majątków, oddał się wyłącznie używaniu życia. Współdziałali z nim w tej dziedzinie bracia, również pułkownicy gwardii: Wasilij, karciarz i donżuan, serdeczny przyjaciel Puszkina, znany z hulaszczosci i sarkazmu, oraz Andrzej, jeden z najpopularniejszych podówczas lwów salonowych. Dom Wasilija na Newskim Prospekcie, zwany domem zabaw, i pałac przy ulicy Mochowej stały się wkrótce miejscami spotkań całej petersburskiej elity towarzyskiej.

W wirze uciech światowych pułkownik Engelhardt zapomniał o swym projekcie uczynienia z Tarasa „własnego malarza”. Znowu zrobił chłopca lokajczukiem.

Tarasowi szło na osiemnasty rok. Był już prawie dorosły. Atmosfera życia w Wilnie i Warszawie przyspieszyła rozwój jego umysłowości i charakteru. Obcowanie z młodzieżą wileńską, miłość i opieka Dziuni, lektura książek polskich, wydarzenia polityczne, których był

świadkiem — wszystko to otworzyło mu perspektywę na nowe formy, nowe możliwości bytu. Tak bardzo pragnął stać się człowiekiem podobnym do Rustema albo do owych poetów, którzy go zachwycali swoimi wierszami, tak pragnął — że nawet przez myśl mu teraz nie przeszło, iż mógłby tego nie osiągnąć. Na zawadzie jednak stało przeklęte poddaństwo.

Najgorsze było to, że w pierwszych miesiącach po przyjeździe do Petersburga z konieczności zarzucił rysunki i malarstwo. Zajęcia lokajskie wypełniały mu czas od rana do wieczora. A potem wybuchła epidemia cholery. Engelhardtowie z całym dworem przenieśli się do majątku pod Ługą. Tam znowu trudno było o papier i ołówki. Tydzień za tygodniem upływał w bezczynności. Ten stan rzeczy zaczynał Tarasa na dobre niepokoić i nużyć.

Wiadomo jednak, że <sup>z</sup>traf zawsze przychodzi z pomocą ludziom wytrwale dążącym do celu. A Taras dążył do tego, by zostać malarzem. Kładł w to całą duszę. I traf mu dopomógł.

Po wygaśnięciu epidemii Engelhardtowie wrócili do Petersburga. Pałac był zapuszczony. Engelhardt kazał go odnowić i odmalować. Zarekomendowano mu cechowego malarza-dekoratora, niejakiego Szyriajewa.

Roboty trwały długo. Taras pomagał w malowaniu — trochę na rozkaz pana, trochę z własnej chęci. Szyriajew potrafił ocenić zdolności chłopca. Nie wiadomo, jak do tego przyszło, dość że Engelhardt zgodził się oddać Tarasa do terminu. Podpisano kontrakt. Termin miał trwać cztery lata. Uczeń, naturalnie, musiał przenieść się do majstra.

Szyriajew zajmował całe pierwsze piętro ładnej, dwupiętrowej kamienicy na Prospekcie Moskiewskim,

prawie w centrum ówczesnego Petersburga. Ozdobą mieszkania były liczne sztychy z dzieł Rafaela i Poussina, robione przez takich sławnych miedziorytników, jak Volpato i Gérard Audran, oraz malowidła oryginalne, wśród których wyróżniał się *Święty Franciszek* Józefa Ribery.

Szyriajew pochodził z rodziny chłopów pańszczyźnianych i tylko dzięki swojemu rzemiosłu dochrapał się zwolnienia z poddaństwa. Nauki pobierał w, sławnej podówczas, arzamaskiej szkole malarstwa, założonej przez Aleksandra Stupina. Potem dokształcał się jeszcze, jako hospitant, w klasie rysunków Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych. Wybił się w rzemiośle dekoratorskim, wykonując dosyć trudne prace przy malowaniu i zdobieniu wnętrz zarówno prywatnych, jak i rządowych budowli o charakterze monumentalnym. Współpracował z takimi artystami-dekoratorami, jak bracia Sołowiewowie, tudzież architektami, jak Albert Cavos, i rzeźbiarzami, jak Stiepan Pimenow, Wasilij Demut-Malinowski, Paweł Sokołow i inni.

Szyriajew nie był człowiekiem głupim. Lubił do siebie zapraszać ludzi wykształconych, gromadził książki, był dosyć odczytany, znał utwory Dierżawina, Żukowskiego, Puszkina i Ozjerowa; sam nawet nieźle deklamował.

Z tym wszystkim jednak odznaczał się wadami typowymi dla dorobkiewicza i wyzwolenca, był ordynarny i despotyczny. Sam za młodu bity i poniewierany, obchodził się bezlitośnie z uczniami i czeladzią. Rękę miał tak samo ciężką jak kiryłowscy diacy. A że warunki kontraktu i zwyczaje cechowe dawały pryncypałowi zupełną władzę nad terminatorem, więc Taras u swego majstra znosił upokorzenia jeszcze gorsze niż u dziedzica.

Ponieważ jednak widział, że tu się może czegoś na-

uczyć, postanowił wytrwać. Przykład Szyriajewa wyzwolonego z poddaństwa przez naukę był dla Tarasa jednym więcej bodźcem do wytrwania.

Powoli Taras przyzwyczał się do nowych warunków życia i do nowego otoczenia. Uczniowie Szyriajewa mieszkali w małych pokojkach na mansardzie. Sąsiadem Tarasa był jego ziomek z Ukrainy, bardzo sympatyczny, niejaki Chwodot Tkaczenko. Taras zaprzyjaźnił się z nim. Mógł z nim rozmawiać po ukraińsku. To stanowiło dla niego dużą pociechę.

Nauka, której mu udzielili Przewłocki, Rustem i Lampi, nie poszła w las. Wiedział, że musi opanować technikę rysunku. Pamiętał radę wileńskiego profesora: „Sześć lat rysuj, sześć miesięcy maluj, a będziesz artystą”. W pracowni Szyriajewa nie było gipsów; Taras wymyślał się na miasto i przerysowywał płaskorzeźby zdobiące dom architekta Montferranda na rogu Mojki i zaułka Fonamego. Później natrafił na całą galerię posągów w Ogrodzie Letnim. Wystarczyło mu ich na dłuższy czas.

Nie zapominał też o kopiowaniu żywego modelu. W każde święto regularnie odwiedzał swojego druha i ziomka, Iwana Neczyporenkę, który w pałacu przy Mochowej zajął miejsce Tarasa i jako lokajczuk siedywał w przedpokoju. Neczyporenko chętnie zgodził się pozować, a Taras korzystał z tego przy każdej okazji.

Słowem, uczył się sam. I to nad podziw systematycznie.

Wieczorami, zwłaszcza w zimie, kiedy do Szyriajewa przychodzili goście, Taras i jego sąsiad z mansardy, Tkaczenko, stawali za drzwiami, aby posłuchać deklamacji. Celował w niej młody malarz, uczeń Akademii Sztuk Pięknych, niedawno dopiero wyzwolony z poddaństwa, Iwan Zajcew. Organowymi dźwiękami roz-

brzmiewały wiersze Aleksandra Puszkina, niczym górskie strumienie płynęły poematy *Cyganie* i *Fontanna Bachczyseraju*. Ich forma muzyczna i niezwykła treść budziły w chłopcu niemal nabożny zachwyt.

W domu Szyriajewa Taras nauczył się mówić, czytać i pisać po rosyjsku. Przebywał teraz w kręgu kultury rosyjskiej. A ponieważ Petersburg w dziedzinie malarstwa, rzeźby i budownictwa od dawna współżył ze sztuką Zachodu, mógł Taras poznać sprawy artystyczne dosyć wszechstronnie. U swojego majstra był świadkiem, a czasem nawet uczestnikiem wielu ciekawych dyskusji. Szwagier Szyriajewa, Aleksander Sołowjew, miał dyplom akademii, a podmajstrzy, Dymitr Bobrow, ukończył szkołę arzamaską. On, Zajcew i gospodarz wiecznie rozprawiali na tematy zawodowe. Taras czerpał z tych rozmów niemałą wiedzę o sztuce.

A przy tym czytał. Majster co prawda krzywo na to patrzył. Chłopiec zawsze jednak zdołał dorwać się do szafy z książkami, gdy tylko majstra nie było w domu.

Poznał opowiadania Dickensa, tragedie Ozjerowa, romanse Paul de Kocka i powieści Waltera Scotta.

Jedną z pierwszych książek, którą po prostu wchłoniął w siebie, którą nie mógł się nasycić, była szesciotomowa *Podróż młodego Anacharsisa po Grecji*. Książka ta ukazała mu obraz dawno umarłego świata, który żył wiecznie w dziełach swojej sztuki.

Po przeczytaniu tej książki Taras uświadomił sobie, jak wiele rzeczy musi jeszcze poznać, aby się stać artystą. Przypomniawszy swoją wędrówkę do Chlipniowa. Od tamtych czasów minął długi wiek.

Pewnego razu, kiedy Neczyporenko cierpliwie pozował swojemu przyjacielowi, zaszedł ich na tym zajęciu Engelhardt. Rzuciły mu się w oko zdolności por-

tretowe Tarasa. Kazał mu zrobić swój wizerunek. Akwarela Tarasa przypadła mu do gustu. Odtąd dość często zamawiał u chłopca portrety swoich licznych przyjaciółek, płacąc mu rubla za każdy portret.

Zarabiane w ten sposób pieniądze Taras obracał na kupno papieru, ołówków i farb. Dziedzicowi nawet przez myśl nie przeszło, żeby zaopatrzyć chłopca w malarskie przybory i materiały.

W lecie Taras miał więcej czasu dla siebie i dla swoich studiów artystycznych. Dzień petersburski o tej porze roku trwał całutką dobę. Słynne białe noce prawie nie różniły się od dnia. Można było, skąpiąc sobie snu i wypoczynku, chodzić do Ogrodu Letniego i rysować.

W odludziu i samotności Taras żył urokiem sztuki i marzeniami. Myślał o dziadku i siostrach. Ale tęsknił naprawdę i nieustannie tylko do Oksany. Dziwnie miłe wspominał i często: ona go przecie natchnęła pragnieniem wolności i zapoznała z wzniosłym katechizmem uczuć. Obraz jej jednak zacierał się w pamięci Tarasa, gdy tylko w myśli odżywało wspomnienie małej pasterki wiejskiej. Oksana była krwią jego serca. Była światłem i ciepłem, i ożywczym powietrzem ojczyzny.

Łańcuch niezwykłych zdarzeń, które przyniosły Tarasowi równie dużo sławy, co i cierpienia, zaczął się od najzwyklejszej przygody w Ogrodzie Letnim.

Idąc kiedyś w lecie wczesnym rankiem do roboty przy malowaniu wnętrza świeżo wzniesionych gmachów Synodu i Senatu, Taras wstąpił do parku. Udał się na ulubione miejsce, gdzie główną aleję przecina

aleja poprzeczna i gdzie w kole bogiń i bogów Saturn pożera własne dziecko. Podwinął brudny drelichowy chałat, usiadł na odwróconym wiadrze naprzeciwko Saturna i zaczął szkicować.

Po pewnym czasie podszedł do niego jakiś młody mężczyzna i jął się przypatrywać rysunkowi. Potem wdał się w pogawędkę.

Owym młodym mężczyzną był Iwan Soszenko, artysta-malarz i — jak się okazało — ziomek Tarasa, rodem z Bohusławia.

Soszenko słyszał już o Tarasie. Najpierw od swojego nauczyciela, Przewłockiego. A potem od kolegi po malarskim fachu, brata żony, Szyriajewa. Kiedy teraz ujrzał świeżo wykonany rysunek Tarasa, od razu nabrał do chłopca przekonania.

Patrząc w jego pełne ufności oczy, powiedział sobie, że musi mu dopomóc. I dopomógł.

Taras odwiedzał Soszenkę prawie w każde święto. Malarz mieszkał na Czwartej Linii Ostrowu Wasiliewskiego tuż obok akademii. Na Siódmej Linii, w domu niejakiego Kastiuryna mieściło się Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych. Wśród członków tej wielce pożytecznej instytucji byli tacy wybitni ludzie, jak poeta Wasilij Żukowski, kompozytor Michał Wielhorski, sekretarz Akademii Sztuk Pięknych Wasyl Hryhorowicz, artyści-malarze Karol Briułow i Aleksy Weneccjanow.

Z młodszych adeptów sztuki malarskiej znaczną rolę odgrywał tam Soszenko i jego druh serdeczny, również Ukrainiec, Apollo Mokrycki.

Obydwaj gorąco zajęli się Tarasem. Zwrócili się o pomoc do współrodaka Hryhorowicza. A że ten miał serce czułe na niedolę ludzką i gorliwie popierał młode talenty, więc niebawem nazwisko Tarasa Szewczenki znalazło się na liście hospitantów Towarzystwa.

Mógł Taras odwiedzać klasy rysunkowe i korzystać z wszelkich pomocy i urządzeń.

Już dnia czwartego listopada na posiedzeniu komitetu towarzystwa odnotowano uchwałę następującej treści:

„Po rozpatrzeniu rysunków postronnego ucznia Szewczenki komitet uznał je za godne pochwały i postanowił mieć go na uwadze w przyszłości”.

Taras zrobił milowy krok na drodze kariery artystycznej. Teraz sprawą najważniejszą było ukończenie akademii.

Dostać się tam jednak mogli tylko ludzie wolni. Dla chłopca pańszczyźnianego droga była zamknięta.

Soszenko wkrótce postarał się, by Szyriajew zwalniał Tarasa i pozwolił mu wychodzić na miasto nie tylko w niedziele i święta, ale i w dniu powszednie, zwłaszcza zimową porą, kiedy nie było roboty. Szyriajew strasznie się krzywił na takie „marnotrawienie czasu”, ale musiał ulec namowom Soszenki, który był przyjacielem jego szwagra, a ponadto człowiekiem mającym szerokie koneksje w sferach artystycznych.

Chodzili razem na spacer i oglądali Petersburg. Ich ulubionym miejscem był odcinek nadbrzeża, gdzie Newa podczas spokojnej pogody, niby olbrzymie zwierciadło, odbijała w sobie ze wszystkimi szczegółami wspaniały portyk muzeum Rumiancewskiego, węgiel Senatu i czerwone stopy w domu hrabiny Laval. Podczas długich zimowych nocy dom ten był niemal bez przerwy oświetlony wewnątrz i stopy płonęły jak ogień na czarnym tle. Soszenkę i Tarasa ogromnie irytowało, że Newa, pokryta lodem i śniegiem, psuje malarski efekt tej ognistej dekoracji.

W lecie lubili witać wschód słońca na moście Troickim. Było to jedno z tych zjawisk przyrody, przed któ-



rym — jak twierdził Soszenko — prawdziwy malarz czy poeta powinien uklęknąć w zachwycie.

Często siadywali w Ogrodzie Letnim koło jeziora i paśli oczy kształtem ślicznej granitowej wazy tudzież widokiem okazałej architektury Zamku Michajłowskiego.

Rozmawiali o Ukrainie. Taras łaknął wieści o wszystkim, co dotyczyło jego stron rodzinnych. Nic nie wiedział, co porabiają jego najbliżsi. Pisanie listów nie było zwyczajem dziadka, chociaż dziadek umiał pisać. Bracia i siostry chyba nawet nie pomyśleli o tym: listy piszą panowie, a do chłopów należy praca na roli i w gospodarstwie — skąd wziąć na wszystko czas? Z dala od kraju Taras był ciekaw nie tylko tego, co dotyczyło Kiryłówki. Chciał wiedzieć o losie wszystkich współrodaków. Te szersze widnokręgi myśli otworzyły się przed nim nie wiadomo kiedy; może w rozmowach z Dziunią i studentami wileńskimi, może w zetknięciu się z patriotyzmem Warszawy.

Soszenko opowiadał Tarasowi o Karmaluku.

W nocy z czternastego na piętnasty kwietnia tysiąc osiemset trzydziestego drugiego roku wódz partyzantki chłopskiej na Podolu uciekł z więzienia w Litynie. Dokonał rzeczy graniczącej z cudem. Zdawało się, że z celi bez okien i drzwi, z jednym tylko, niedużym otworem w suficie, ptak tylko mógłby wyfrunąć. Karmaluk się wydostał. Ludzie odtąd nazywali go orłem lub sokołem.

Tarasa najbardziej zachwyciło to, że Karmaluk umiał się tak czule opiekować swoimi wiejskimi współbraćmi. Gdy tylko któryś z wieśniaków zwrócił się do niego z prośbą o pomoc, watażka załatwiał sprawę od ręki. Czy chodziło o ukaranie nazbyt okrutnego pana, czy o zasiłek w pieniądzu lub w naturze, czy

o zwykłą radę — nigdy nie kazał długo czekać na rezultat prośby. Toteż ludzie wiejscy nazywali go ojcem.

Taras w dalszym ciągu odwiedzał dom swojego dziadka; przyjaźnił się z całą prawie służbą Engelhardta, wśród której było sporo ziomeków z Kijowszczyzny.

Rządca domu przy Mochowej, niejaki Prechtel, zruszczony Niemiec, zamówił u Soszenki portret żony. Soszenko na czas tej pracy zamieszkał u Prechtłów. Taras często do niego przychodził. Rozmawiał przy tym z ludźmi dworskimi, opowiadał im o Karmaluku, pouczał, jak mają postępować, żeby ich nie krzywdzono. Ludzie chętnie słuchali, a potem o różne rzeczy wszczynali awantury z pomocnikami rządcy. Ci donieśli o tym zwierzchnikowi. Prechtel zgodnie ze zwyczajem kazał Tarasa wychłostać. Poczciwy Soszenko z niemałym trudem, przy pomocy pani Prechtel, której bardzo zależało na portrecie, zdołał uchronić swojego pupiłka od tej hańbiącej kary. Taras miał już wtedy tak wysoko rozwinięte poczucie godności, że sprawa mogła się zakończyć zgoła tragicznie.

Soszenko musiał się głęboko zastanowić nad dalszym losem Tarasa. „Co pocznę z tym nie oszlifowanym diamentem — myślał — kiedy mam takie ograniczone środki materialne?” Ale zaraz sobie przypomniał przysłowie: „Bóg nie bez miłosierdzia, Kozak nie bez doli”. I los mu przyszedł z sukursem.

Pewnego razu Soszenko siedział w swojej pracowni i równym, drobnym pismem wypełniał karty dziennika. „Tak niedawno poznałem mojego młodego ziomeka, a już się do niego przywiązałem, już go serdecznie polubiłem. W jego fizjonomii jest coś takiego, czego po prostu nie można nie lubić. Fizjonomia ta, która z początku wydawała mi się nieładna, z dnia na dzień sta-

je się dla mnie coraz bardziej pociągająca. Są wszak na świecie takie błogosławione twarze!”

Ledwo skończył pisać te słowa, rozległo się pukanie do drzwi i zaraz potem wszedł do pokoju posiadacz tej „błogosławionej twarzy”.

W brązowym surduciku, umyty, uczesany i mile uśmiechnięty, Taras minę miał trochę jakby zakłopotaną. Pod pachą trzymał jakiś rulonik.

— Co tam masz nowego? — spytał Soszenko. — Rysowałaś?

— Tak... — odparł Taras rumieniąc się gwałtownie. — Czytałem tragedie Ozjerowa i spodobał mi się *Edyp w Atenach*. A ponieważ dostałem od pana świeczkę stearynową, więc próbowałem komponować... wieczorem, gdy wszyscy spali...

Soszenko rozwinął rulon i obejrzał rysunek. Był to pierwszy oryginalny utwór Tarasa. Niezbyt skomplikowany, robił jednak przyjemne wrażenie: *Edyp*, *Antygona* i nieco dalej *Polinik* — tylko trzy postacie. W pierwszych próbach rzadko można spotkać podobny lakonizm. Soszenko uznał to za niezawodną oznakę talentu. Ujęła go również skromność autora.

Porozmawiali o tym i o owym, a później Soszenko wyszedł na godzinkę w jakichś sprawach, zostawiając chłopca samego. Gdy powrócił, nie poznał pracowni: nigdzie — ani niedopałków cygar, ani popiołu; wszędzie posprzątane i zamiecione; nawet paleta z zaschniętymi farbami, wisząca na gwoździu, również była wyczyszczona i błyszczała jak szkło. A sprawca tej niespodzianki siedział przy oknie i rysował maskę znanej modelki Thorwaldsena — *Fortunaty*.

Wzruszony gospodarz zaprosił swojego młodego gościa na herbatę do „Kafarnaum”, tak nazywano szynkownię na rogu Szóstej Linii i zaułka Akademickiego.

Przy herbacie chłopiec opowiadał o swoim życiu.

Była to smutna, posepna opowieść. Ale Taras mówił o wszystkim z naiwną prostotą, bez cienia skargi czy żalu. Widząc współczujący wyraz twarzy swojego opiekuna, wybuchnął płaczem. Soszenko spytał go, czemu płacze.

— Panu jest nieprzyjemnie — odpowiedział Taras — a ja...

Nie dokończył i zalał się łzami.

Wrócili do mieszkania Soszenki. Po drodze spotkali Wenecjanowa. Stary malarz popatrzył badawczo na Tarasa i spytał:

— Czy to aby nie przyszedł artysta?

Soszenko opowiedział mu o Tarasie. Starzec mocno uściskał chłopcu dłoń.

A Soszence wydało się, że gdzieś daleko na widnokręgu błysnął im obydwom promień nadziei.

Soszenko nie dążył do zrobienia kariery, do zdobycia sławy. Szczytem jego marzeń było ukończenie akademii i otrzymanie posady nauczyciela rysunków w gimnazjum. Dla Tarasa jednak pragnął wszystkiego — i sukcesów artystycznych, i rozgłosu. Poznał się na talencie chłopca. Chciał go wyciągnąć z nizin społecznych, chciał go uczynić osobistością wybitną i znaną.

W grę wchodziły tu względy narodowe. Nie angażujący się politycznie i nastrojony dosyć ulegle w stosunku do Rosji, Soszenko był jednak patriotą ukraińskim.

Należało obudzić w Tarasie ambicje artystyczne. Chłopiec uporczywie dążył do tego, aby zostać malarzem. Ale wyobrażał to sobie raczej jako fach, mogący mu zapewnić pewien dostatek materialny, a może również (tak jak Szyriajewowi) przynieść uwolnienie z poddaństwa.

Soszenie takie perspektywy nie wystarczały. Długo i żarliwie przekładał Tarasowi, że prawie wszyscy znakomici artyści na początku drogi życiowej znajdowali się w nader ciężkich warunkach. Wielki Thorwaldsen zaczął swą świetną karierę od wycinania trytonów, mających zdobić tępodziobe kopenhaskie statki. W Holandii, w jej najwspanialszym, złotym okresie, cała plejada świetnych malarzy, jak Ostade, Berghem, Teniers, w łachmanach zaczynała i kończyła działalność na polu sztuki. Podobnie było z wielu artystami włoskimi. Nawet wówczas, kiedy papież obsypywali złotem byle malarza i rzeźbiarza, nawet w owym złotodajnym czasie, umierali z głodu tacy wielcy artyści, jak Correggio i Zampieri.

Tarasa upajały słowa Soszenki. Czytał książki, których mu jego opiekun dostarczał. Vasari, Gillies i Plutarch stali się jego ulubionymi autorami. Uczył się od nich rozumieć sławę. I wnikać w trudną sztukę cierpienia.

## X

Jesienią tysiąc osiemset trzydziestego szóstego roku powrócił do Rosji artysta-malarz Karol Briułow, który długo uczył się i pracował w Rzymie.

Ten zruszczony potomek ziemczonych francuskich emigrantów-hugonotów był prawdziwym ulubieńcem szczęścia. Miał zaledwie dziesięć lat, kiedy go w drodze wyjątku, jako cudowne dziecko, przyjęto do Akademii Sztuk Pięknych. We Włoszech namalował *Ostatni dzień Pompei*, który mu przyniósł niebывały triumf. Gogol nazwał ten obraz „nową epoką w malarstwie”. Walter Scott umyślnie przyjechał z Londynu, żeby go obejrzeć. Akademia Florentyńska nadała Briułowowi

tytuł profesora. W ślad za nią to samo uczyniła Akademia Petersburska.

Podróż Briułowa z Odessy do Moskwy i potem do Petersburga była jednym pasmem uroczystych powitań, bankietów i festynów. Poeta Żukowski nazwał artystę Karolem Wielkim, a stary nauczyciel Jegorow, zwracając się do swojego dawnego ucznia, powiedział: „Ty pędzłem Boga chwaliisz, Karolu Pawłowiczu!”

Kiedy w jednej z sal wystawowych akademii zawieszono *Ostatni dzień Pompei*, Soszenko nie omieszkiał zaprowadzić tam swojego pupila. Niebawem Tarasowi nadarzyła się okazja, by osobiście poznać wielkiego malarza. I tę okazję również zawdzięczał Soszence.

Briułow, mimo zawrotnych sukcesów, był człowiekiem dość skromnym, a ponadto życzliwym i uczynnym, zwłaszcza dla młodych adeptów malarstwa. Lubił też podkreślać swoją niezależność wobec sfer oficjalnych, szczególnie dworskich, nie wyłączając samego cara.

Pewnego razu odwiedził pracownię Soszenki i zobaczył wychodzącego stamtąd Tarasa. Zainteresowała go twarz chłopca, pełna wyrazu, inteligentna. Z jeszcze większym zainteresowaniem wysłuchał opowiadania Soszenki o uzdolnieniach malarskich Tarasa.

— Podoba mi się jego fizjonomia — powiedział — nie pańszczyźniana.

— Nie pańszczyźniana — odrzekł Soszenko — a jednak...

— A jednak jest pańszczyźnianym człowiekiem? — dokończył Briułow.

— Niestety, tak.

— Barbarzyństwo! — wyszeptał Briułow i zamyślił się. — Proszę mi pokazać jego rysunki — dodał po chwili.

Soszenko pokazał mu maskę Laokoona, rysunek

skończony, i rzeźbę Michała Anioła, rysunek dopiero rozpoczęty. Briułow długo na nie patrzył.

— Kto jest właścicielem chłopca? — zapytał.

Soszenko wymienił nazwisko Engelhardta.

— Proszę kiedy przyjść z chłopcem do mnie — powiedział Briułow. — Wart jest, by się nim zająć.

Soszenko miał wrażenie, iż promień nadziei, który mu błysnął po rozmowie z Wenecjanowem, zmienił się teraz co najmniej w zorzę.

Soszenko, starając się wciąż rozszerzać zasięg korzystnych dla Tarasa znajomości, zetknął go z młodym pisarzem ukraińskim Eugeniuszem Hrebinką. Ten ze swej strony wprowadził chłopca w towarzystwo literatów, uczonych i artystów. Zbierali się oni dosyć regularnie u dowcipnego i gościnnego „Małorusa”.

Hrebinka, podobnie jak Soszenko, trzymał się z dala od polityki. Jego patriotyzm ukraiński miał wszelkie cechy patriotyzmu regionalnego. W stosunku do Rosji zajmował, jak większość Ukraińców zamieszkujących Północną Palmirę (a było ich dużo), stanowisko najzupełniej lojalne, a nawet uległe. Należał do kategorii tak zwanych dwujęzycznych obywateli imperium rosyjskiego. Przez głowę mu jednak nie przeszło, aby język ukraiński stawiać na pierwszym miejscu. Z tym wszystkim położył niemåle zasługi dla rozwoju literatury ukraińskiej, chociaż pisał przeważnie w języku rosyjskim.

Najważniejsze jednak, że był człowiekiem bardzo uczciwym, a Tarasowi sprzyjał z całego serca i dopomagał mu, jak tylko umiał.

Hrebince zawdzięczał Taras rozszerzenie swych widnokręgów umysłowych. Literat i pedagog w jednej osobie, Hrebinka zajął się systematycznym doksztal-

caniem Tarasa. Dawał mu książki do czytania. Zapoznał go ze współczesną literaturą rosyjską, z utworami Gogola, Puszkina, Karamzina i Żukowskiego. Ale przede wszystkim zapoznał go z całą, niezbyt jeszcze obfitą podówczas, twórczością pisarzy małosyjskich; takich, jak Iwan Kotlarewski, Piotr Hułak-Artemowski, Hryhorij Kwitka-Osnowjanenko, Leon Borowikowski, Józef Bodiański, no i sam Hrebinka; wreszcie — z *Historią Małej Rosji* Bantysza-Kamieńskiego i ze zbiorami ludowych pieśni ukraińskich Michała Maksymowicza.

*Eneida* Kotlarewskiego stała się dla Tarasa pewnego rodzaju objawieniem.

Nie mógł się dość narozkoszować tymi obrazami życia dawnych Kozaków, wprowadzie ujętymi żartobliwie, ale ze szczerą sympatią, nawet z miłością, i w sposób wysoce poetyczny. Utwór był napisany mową, która mu od dziecka dźwięczała w uszach, którą przemawiali do niego rodzice, siostry, dziadek. I Oksana.

W jednym z rozdziałów Kotlarewski opisał wędrówkę Eneasza po piekle. Taras z przejęciem czytał strofy o piekielnej doli tych, którzy na ziemi w piekło zamieniali życie swoich bliźnich — poddanych.

Paniw za te tam mordowały  
I żaryły zo wsich bokiw,  
Szczu ludiam lhoty ne dawały  
I stawły ich za skotiw...<sup>1</sup>

Ale nade wszystko Tarasa upajał melodyjny początek poematu:

Enej buw parubok motornyj  
I chłopeć choť kudy kozak...<sup>2</sup>

---

<sup>1</sup> Panów za to tam męczono || I przypiekano ze wszystkich stron, || Że ludziom nie dawali wytchnienia || I obchodzili się z nimi jak z bydłem...

<sup>2</sup> Eneasze był to młodzian chwacki || I chłopak co się zowie zuch...



I znowu zaczął Taras częściej wyjmować z kufierka książeczkę, w której zapisywał wiersze Skoworody i Mickiewicza, i pieśni ludu ukraińskiego, i płody własnego natchnienia. Po przeczytaniu *Eneidy* wiedział już na pewno, że tylko słowem, a nie ołówkiem i farbą, zdoła wypowiedzieć wszystko, co go nurtuje.

To, co dotychczas tworzył, nie zadowalało go nawet w małym stopniu. Wrodzony instynkt poetycki i nieustanne rozczytywanie się w utworach wielkich pisarzy, jak również sądy wygłaszane o nich w kółku Hrebinki — wszystko to zaostriżyło samokrytycyzm chłopca, skłoniło go do coraz usilniejszej pracy nad sobą. Pisał, darł zapisane kartki i znowu pisał.

Niekiedy porzucał to zajęcie i wracał do malarstwa. Zrobił kilka portretów, między innymi portret Hrebinki, ale znów potem zaczynał dobierać słowa do rymu i układać strofy.

Obrazy, które żyły w poetyckiej wyobraźni Tarasa i domagały się konkretyzacji w wierszach, pochodziły, rzecz naturalna, ze świata najwcześniejszych doznań i uczuć, z czasów dzieciństwa i pacholeństwa, z ziemi ojców i dziadów. Był to przede wszystkim obraz dziewczyny porzuconej przez ukochanego. Motyw ten panował w ludowej poezji ukraińskiej, był dobrze znany, bliski i drogi Tarasowi. W nim znajdowała wyraz, przetworzona na symbol poetycki, miłość do nieszczęśliwej ojczyzny.

Już w pierwszych latach pobytu nad Nową próbował Taras opracować poetycko ten motyw — ale na próżno. Jedyne rezultaty stanowiły dziesiątki zniszczonych karteluszków, zapełnionych rymami. Ale Taras nie dawał za wygraną. I wreszcie muza poezji „przesłała mu swój boski uśmiech”.

Było to którejs z białych nocy, spędzonych w Ogrodzie Letnim. Słowa, od dawna kłębiące się w głowie

Tarasa, zaczęły nagle płynąć swobodnie i lekko i utworzyły dźwięczny, kryształowy strumień poezji.

Rewe ta stohne Dnibr szyrokyj,  
Serdytyj witer zawywa,  
Dodołu werby hne wysoki,  
Horamy chwyly pidijma...<sup>3</sup>

Taras przeżył znowu chwilę takiego szczęścia, jak ongi w Kyrilówce. Po powrocie do domu przepisał swoją balladę na czysto i pokazał Soszence.

Soszenko bynajmniej nie pochwalił Tarasa. Wprost przeciwnie: zburczał go, że na próżno traci drogocenny czas. Powiedział mu, że jeśli chce wyjść na ludzi, powinien wszystkie siły oddać malarstwu.

Soszenko poznał Tarasa z Wasilijem Żukowskim. Ten wyraziciel urzędowego patriotyzmu i wierny sługa cara, chwalcą monarchii absolutnej, legitymista i konserwatysta, nieślubny syn rosyjskiego pomieszczczyka i tureckiej wieśniaczki-branki, sławny i utalentowany poeta-romantyk, był człowiekiem na wskroś dobrym i uczynnym. Miał znaczne wpływy na dworze carskim i często z nich korzystał, by dopomagać bliźnim.

Chcąc ocenić zdolności Tarasa, kazał mu napisać opowieść o życiu artysty. Taras wykonał zlecenie. Żukowski bardzo chwalił ten utwór.

Niedługo potem Soszenko będąc u Briułowa, zastał tam Wielhorskiego i Żukowskiego. Właśnie oglądali nie dokończony jeszcze obraz *Ukrzyżowanie Chrystusa*. Głowa płaczącej Marii Magdaleny już była gotowa i Żukowski, patrząc na tę przedziwną piękność, sam

---

<sup>3</sup> Ryczy i jęczy Dniepr szeroki, || Gwałtowny wyje wiatr, || Do ziemi wierzby gnie wysokie, || Podnosi góry fal...

zaczął płakać, objął Briułowa i całował go w uniesieniu.

Po wyjściu gości artysta zatarł ręce i rzekł do Soszenki:

— No, możesz się nie martwić o swojego pupilka. Grunt przygotowany.

Wenecjanow pojechał do Engelhardta, żeby go wybadać, czy dałby Tarasowi uwolnienie od poddaństwa. Engelhardt nawet słuchać nie chciał o jakiejś filantropii. Godził się tylko na wykup; żądał dwa tysiące pięćset rubli srebrem. Była to na owe czasy znaczna suma.

Żukowski, dowiedziawszy się o tym, wysunął projekt urządzenia loterii na rzecz nieszczęśliwego chłopca. Briułow podjął się namalować portret Żukowskiego, a Wielhorski obiecał puścić ten portret na loterię i rozprzedać bilety tak, aby uzyskać potrzebną sumę.

Soszenko nic o tym wszystkim nie wiedział. Ostatnio zamartwiał się o Tarasa, widząc jego wielkie przygnębienie. Chłopiec chudł i mizerniał w oczach. Obcowanie z ludźmi kulturalnymi i wykształconymi sprawiło, że jeszcze głębiej i boleśniej odczuwał nędzę i hańbę swojej niewoli. Poza tym kończyła się zima i Szyriajew wzywał go do pracy. Chłopiec w najbliższej perspektywie miał znowu noszenie wiader z farbami i drabin oraz malowanie ścian i płotów, nie mówiąc o szturchańcach i połajankach majstra. Taras doszedł do takiej desperacji, że znowu — tak jak ongi w Kiryłowce — nosił się z zamiarem odebrania sobie życia. Soszenko widział to i starał się odpędzić od chłopca czarne myśli. Ale miał z tym nie lada kłopot. Taras

był skryty i uparty. Mógł coś przedsięwziąć poza plecami opiekuna.

Nim jeszcze wiosna zaczęła się na dobre, Soszenko wziął chłopca do siebie. Szyriajew zwolnił go na miesiąc, w zamian za co malarz zobowiązał się wykonać portret żony majstra.

Taras odżył. Dnie całe spędzał w towarzystwie Soszenki i Mokryckiego. Chodzili nad Nową, siadywali w parkach, zwiedzali muzea.

W początkach kwietnia Taras był z Mokryckim w Ermitażu i po raz pierwszy w życiu oglądał dzieła Rembrandta. Na *Powrót syna marnotrawnego* patrzył tak długo, że Mokrycki musiał go nieomal przemocą wyprowadzić stamtąd. Taras nie mógł mówić. Był śmiertelnie błądy.

Pogoda — iście kwietniowa, petersburska. Z rana mgły, w południe jasno, ciepło; potem wiatr od morza sprowadzał chmury z deszczem; po nocach ziemię ścinały przymrozki, a czasem nawet padał śnieg.

Błogosławiony urlop zbliżał się ku końcowi. Tarasa ogarniał coraz większy niepokój. Pewnego dnia zaczęła nim trząść febra. Dostał gorączki. Soszenko i Mokrycki odwieźli go do szpitala. Tam chłopiec dwa tygodnie walczył ze śmiercią.

Dom hrabiego Wielhorskiego na placu Michajłowskim w Petersburgu nazywano „małą świątynią sztuk pięknych”. Istotnie, wewnątrz domu niczym się nie różniło od muzeum, a wielki salon, stanowiący jego największą ozdobę, służył zarówno do wystaw malarskich, jak i do koncertów.

Gospodarz, miłośnik muzyki i sam kompozytor, był

przyjacielem niemal wszystkich najwybitniejszych ludzi epoki. W domu hrabiego często gościli Puszkina, Żukowski, Wenecjanow, Briułow, Hryhorowicz, Michał Glinka i młody porucznik huzarów Michał Lermontow, nie licząc wielu, wielu innych.

Hrabia Wielhorski znany był z uczynności, zwłaszcza gdy chodziło o wspomaganie młodych talentów. Toteż Wenecjanow i Żukowski niewiele potrzebowali słów i wysiłku, aby go wciągnąć do akcji na rzecz młodego Ukraińca Tarasa Szewczenki.

Dnia szesnastego kwietnia tysiąc osiemset trzydziestego ósmego roku w salonie hrabiego zgromadzili się w komplecie jego przyjaciele i znajomi. Brakło tylko Puszkina, który rok przedtem zginął w pojedynku. Nie było też Lermontowa, który tę zbrodnię uwiekopomnił wierszem i za to z woli cara wysłany został na linię kaukaską.

Raczyła natomiast zjawić się carowa z najbliższą swiłą, aby wysłuchać koncertu, a potem wziąć udział w loterii na cel dobroczynny. Wygraną miał stanowić portret Żukowskiego, namalowany przez Briułowa.

Wielhorski szybko rozprzedał bilety. Carowa wzięła cztery, po sto rubli, i wygrała portret. Zapłacić obiecała w najbliższej przyszłości. Briułow okropnie się skrzywił.

— Niech to richo weźmie! — powiedział szeptem do Wielhorskiego. — Dostała portret prawie za darmo. Nie wiadomo nawet, kiedy zapłaci. A gotowa się później chwalić, że spełniła chrześcijański uczynek.

W sześć dni później spisano akt, mocą którego Taras Szewczenko zyskał uwolnienie z poddaństwa. Pierwszy położył swój podpis „właściciel” — pułkownik Paweł Engelhardt. Potem kolejno podpisywali się świad-

kowie, trzech dobrych ludzi, wybrańcy trzech muz: poeta Wasilij Żukowski, artysta-malarz Karol Briułow i kompozytor Michał Wielhorski.

Młodzieniec obdarowany wolnością miał wtedy dwadzieścia cztery lata i dwa miesiące bez dwóch dni. Leżał w szpitalu i ze strachem myślał o powrocie do Sziriajewa.

Soszenko otrzymał korzystny obstalunek: miał namalować czterech ewangelistów. Od kilku dni nie wychodził z domu, zajęty pracą. Opiekę nad chorym Tarasem powierzył Mokryckiemu.

Po uprzednim zasięgnięciu porady lekarza Mokrycki oświadczył Tarasowi, że obydwóch ich wzywa Żukowski. Mają się udać razem do Briułowa.

Mokrycki nie chciał nic więcej powiedzieć, żeby wzruszenie nie zaszkodziło chłopcu, z wolna powracającemu do zdrowia. Okazało się jednak, że Taras został już poniekąd przygotowany przez — Sziriajewa.

Zapobiegliwy majster miał obiecane poważne zamówienie. Potrzebny mu był zdolny pomocnik. Tymczasem rozeszła się wiadomość o uwolnieniu Tarasa z poddaństwa. Sziriajew czym prędzej pobiegł do szpitala. Chłopiec o niczym jeszcze nie wiedział. Ale od tej chwili niecierpliwie wyglądał pewnych wiadomości. Wyczuł coś od razu w słowach Mokryckiego. Obudziła się w nim chęć do życia. Ubrał się i, ledwo włócząc nogami, podążył za Mokryckim.

Briułow był człowiekiem skromnym i prostym. W mieszkaniu jednak lubił przepych, i to dość oryginalny. Jego ulubiony pokój przypominał dekorację do jakiejś bajecznej opery.

Czerwone ściany pozawieszane były kosztowną bronią, przeważnie wschodnią. Przez ażurowe czerwone story, oświetlone słońcem, sączył się do pokoju czerwony blask. Pod jedną ze ścian stała czerwona turecka sofa; na drugiej ścianie wisiał obraz nasycony gęstą, płomienną czerwienią.

Na stole stała lampa z czerwonym abażurem, a właściciel tych wszystkich czerwonych skarbów siedział wśród nich w czerwonym szlafroku.

Dnia dwudziestego piątego kwietnia w południe w pokoju tym zebrał się trzech przyjaciele, Briułow, Żukowski i Wielhorski. Około godziny drugiej przyszli Mokrycki i Szewczenko.

Żukowski bez długich wstępów podał Tarasowi dokument uwalniający go z poddaństwa, ucałował chłopca i rzekł:

— Winszuję.

Wielhorski uścisnął Tarasa i powiedział:

— Zrobisz dobry początek. Myślę, że dokonasz jeszcze większych rzeczy.

A Briułow dodał:

— Przyjdź do mnie jutro, mój kochany. Weźmiemy się do pracy.

Soszenko, zapomniawszy o bożym świecie, malował wizerunek świętego Łukasza, kiedy raptem przez otwarte okno wskoczył do pracowni Taras, o mało nie zwałił malarza z nóg, rzucił mu się na szyję i wołał: Wolność! Wolność!

Malarz po chwili zdumienia domyślił się, o co chodzi, i zaczął ścisnąć Tarasa.

Przyjaciele popłakali się jak dzieci.

Soszenko z nabożeństwem obejrzał historyczny do-

kument, przeżegnał się i trzykrotnie ucałował podpisy trzech znakomitych ludzi.

Potem obaj siedzieli i rozmawiali o przyszłości. Taras co chwila wyjmował z kieszeni kartę uwolnienia, rozkładał ją, czytał, składał i chował, aby po chwili znów wyjąć i znów czytać, znów się wpatrywać w czarne linijki liter, zawierające to, o czym jeszcze niedawno nie śmiał nawet marzyć.

Wreszcie Soszenko, obawiając się, aby wskutek tych manipulacji z papieru nie zostały tylko strzępy, zabrał go Tarasowi pod pozorem, że musi zanieść do poświadczenia w sądzie cywilnym. Wieczorem, zasiadłszy jak zwykle do dziennika, długo przebierał w myśli wydarzenia tego niezwykłego dnia i wreszcie zanotował kilka uwag, które wydały mu się godne upamiętnienia.

„Duzo, nieskończenie dużo jest piękna w boskiej, nieśmiertelnej przyrodzie — pisał malarz — ale największy triumf i korona wieczystego piękna to twarz człowieka promieniejąca szczęściem. Nie znam w przyrodzie rzeczy wznioślejszej i piękniejszej. I takim właśnie cudownym zjawiskiem raz w życiu udało mi się narozkoszować do syta.

Widziałem chłopca, który był tak szczęśliwy, a w szczęściu swoim tak piękny, że nie mogłem na niego patrzeć bez rozrzewnienia, nie mogłem się powstrzymać od łez. Chłopiec ten i do mojej duszy przelewał bezgraniczne szczęście.”

I dalej opowiadał Soszenko, jak to kilku porządnych ludzi zdołało wykupić z poddaństwa pewnego bardzo uzdolnionego chłopca — pańszczyźniaka. Wymieniał wszystkich po kolei dobroczyńców Tarasa.

Zapomniał tylko o sobie i o swoim udziale w tej romantycznej historii.



A Tarasowi noc wiosenna sączyła do uszu muzykę. Była to mieszanina dźwięków przypominających ojczyznę, najpięciwszych, najmelodyjniejszych.

Muzyka brzmiała coraz słabiej, oddalała się, milkła jak echo w głębi niezmierzonej puszczy.

Taras czuwał do późna. Myślał o wielkiej zmianie, jaka zaszła w jego życiu. Wspominał lata dziecinne i ową niezapomnianą chwilę, w której muza poezji ofiarowała mu „swój boski uśmiech”.

I kiedy wreszcie przymknął oczy do snu, wciąż jeszcze widział naładowane blaskiem i wierszami obłoki nad Kiryłówką.



**Kateryna. Taras Szewczenko. Olej, 1842**



**Taras Szewczenko. Autoportret. Tusz, piórko, 1843**

## CZĘŚĆ DRUGA

### DRÓG SKRZYŻOWANIA

#### I

Rok tysiąc osiemset trzydziesty wydawał się początkiem nowej epoki. Rewolucja lipcowa we Francji i powstanie listopadowe w Polsce wstrząsnęły Europą, zachwiały tronami. Odżyły nadzieje ludów, przywołane głazem świętego przymierza. Kiedy sędziwy Lafayette na białym koniu jechał ulicami Paryża, ludzie wierzyli, iż powróciły najpiękniejsze dni sprzed lat czterdziestu. Nad Sekwaną zabrzmiały znowu dźwięki *Marsylianki*. Nad Wisłą zawtórowała jej *Warszawianka*. Echa tych pieśni rozlegały się po innych krajach. Budziła się do życia Młoda Europa.

Ale monarchia orleańska niebawem pokazała swoje drugie oblicze. Już w dwa lata po radosnych dniach lipcowych lud paryski musiał na nowo chwycić za broń. Był to już, niestety, tylko nieudany bunt, chociaż kierował nim młody i zdolny republikanin Cavaignac.

Sprytny „król bankierów” kazał z powrotem ustawić na placu Vendôme kolumnę z posągiem Napoleona. Lud paryski bardzo się tym ucieszył, ale w rok później robotnicy z przedmieścia Temple znów ustawili barykady. Gwardia narodowa zrobiła rzeź.

A jeszcze w pięć lat później doszło do małej rewolucji pod wodzą Martin Bernarda, Blanquiego i Barbèsa. I tym razem jednak zwyciężył król. Posypały się represje i kary.

Blanqui zamknięty został w „przybytku wieczystego wygnania” — cytadeli Mont Saint Michel, przerbionej z dawnego opactwa, na wysokiej skale nadmorskiej w Normandii. Owa gotycka budowla stanowiła istny grobowiec kamienny. Blanqui nienawidził gotyku. Nie cierpiał go na równi z romantyzmem, upatrując w nim tylko nawrót do czasów ucisku i niewoli. Całym swoim zapalnym, ale trzeźwym umysłem tkwił w dalekiej przyszłości, w której rządzić miała zasada: „Ni Dieu, ni Maître”.

Po stłumieniu rewolucji polskiej car Mikołaj kazał w Warszawie, na wysokim brzegu wiślanym, zbudować cytadelę. Ustawione na jej wałach armaty mogły każdej chwili obrócić miasto w perzynę.

Obawy cara w stosunku do Polaków nie były pozbawione podstaw. Raporty tajnych agentów donosiły o coraz to nowych „knowaniach” polskich. Konspiracje zaczęły się nazajutrz po upadku powstania. Patrioci polscy nie pozwolili sobie nawet na chwilkę wytchnienia i nawet chwilki nie dali wytchnąć carowi. Car ołowianym wzrokiem przeglądał dostarczane mu do konfirmacji wyroki i prawie zawsze korygował je i opatrywał cennymi uwagami. Hrabia Benkendorf czytał te uwagi z namaszczeniem i podziwiał ich trafność, zwięzły, żołnierski styl i wielkoduszną, chrześcijańską ośnowę: karę śmierci z woli cara niemal zawsze zmieniano na sześć tysięcy uderzeń pałką, chociaż trzy lub cztery tysiące wystarczało, by zabić najsilniejszego człowieka.

Mikołaj długo obmyślał i wreszcie obmyślił sposób masowego i skutecznego rozprawienia się z tymi, których słusznie uważał za swoich największych i nieprzejednanych wrogów. Oficerowie polscy wędrowali do więzień i na Sybir, a ich dzieci płci męskiej były odbierane matkom i umieszczane w szkołach wojskowych albo w batalionach kantonistów. Zarządzono sprawdzanie szlachectwa i olbrzymią rzeszę szlachty zagonowej zapisano do tak zwanych jednodworców, czyli włączono do stanu włościańskiego.

Szczególłą uwagę zwrócono na niszczenie druków polskich wydawanych na emigracji i przemycanych do Polski. Literatura emigracyjna była istną zmorą Mikołaja. Bawiąc w Warszawie w parę lat po powstaniu, uważał za stosowne surowo ostrzec Polaków: „Wiem, że są tu związki z zagranicą, że nadsyłają tu złe pisma i usiłują wywrotowo nastroić umysły... Waszą jest rzeczą mieć własną policję i zapobiegać nieszczęściu”.

Widział, że Polacy wnoszą ferment do życia politycznego całej Europy, że przyczyniają się do wzrostu prądów rewolucyjnych. Wkrótce tedy po nieszczęsnej wyprawie Zaliwskiego spotkał się z Franciszkiem Pierwszym i Fryderykiem Wilhelmem Trzecim w Münchengrätzu. Tam trzej zaborcy, obradując w przyjaznej, niemal serdecznej atmosferze, uzgodnili środki zwalczania polskich ruchów niepodległościowych. I znowu w Europie zapanował spokój.

Przestały istnieć świetne uczelnie polskie — Uniwersytet Warszawski, Uniwersytet Wileński i Liceum Krzemienieckie.

Z Wilna i Krzemieńca zwieziono biblioteki i gabinety przyrodnicze nad Dniepr. Przeniesiono tam również znaczną część profesorów i utworzono Uniwersytet

Kijowski. Miał on być twierdzą ducha rosyjskiego i rozsądniakiem kultury rosyjskiej na Ukrainie. Niezależnie od tego na Pieczarsku, tuż obok Ławry, zaczęto wznosić wały i mury prawdziwej nowoczesnej twierdzy, uzbrojonej w spiżowe działa. Car dbał o wszystko, co mogło się przyczynić do wzrostu potęgi imperium. Był godnym kontynuatorem dalekosiężnej polityki swoich wielkich poprzedników na tronie, Piotra i Katarzyny. A poniekąd również Iwana Groźnego.

Toteż mimo niesłychanych okrucieństw, mimo wyuzdanych metod rządzenia, wielu Rosjan, nawet dość światłych i liberalnych, ceniło w Mikołaju człowieka obdarzonego silną wolą i władczym, prostolinijnym charakterem. Miano mu za złe, że całą prawie górę administracji państwowej obsadził Niemcami, ale z uczuciem radości przyjmowano wszystkie jego sukcesy na arenie międzynarodowej. Nigdy złowroga moc caratu nie działała na ludzi tak fascynująco, jak w czasach Mikołaja. Schylali przed nią czoło, korzyli się przed nią najwybitniejsi pisarze i uczeni, działacze polityczni i artyści. I to nie tylko Rosjanie. Nie brak było owych czcicieli potęgi również wśród innych, ujarzmionych przez carat narodowości. Nawet wśród Polaków, którzy w większości potrafili zachować postawę nieulekłą i nieugiętą.

Na wiosnę tysiąc osiemset trzydziestego drugiego roku Mickiewicz w Dreźnie przez kilka tygodni nie wypuszczał pióra z ręki. Zakopał się w swojej filomackiej przeszłości. Tam tylko mógł dla siebie znaleźć ukojenie. A może rehabilitację?... Owe pół roku spędzone w Wielkopolsce, owe straszne pół roku, leżało mu na sercu ciężarem nie do zniesienia. Wciąż go piekły.

niektóre listy Zana i Czeczota. Nie mógł zapomnieć wiersza, który był zaadresowany „Do Adama Mickiewicza bawiącego w Rzymie podczas wojny narodowej”.

Codziennie przyjeżdżali do Drezna ludzie z kraju, przychodziły listy, gazety.

I w takich właśnie chwilach najbardziej go bolały niedawne wahania. Musiał się wypowiedzieć jak Dante. Tworząc trzecią część *Dziadów*, myślał o sobie i o Maryli. Myślał o Polsce i o swoich petersburskich przyjaciółach. Myślał o Puszkynie.

W lipcu Mickiewicz ruszył do Francji. Tam było największe zbiorowisko wychodźstwa polskiego. Paryż stał się na pewien czas duchową stolicą Polski.

W sierpniu emigranci z Zakładu Besançon, w liczbie czterdziestu trzech, prawie sami wilnianie i eks-uczniowie Wszechnicy Wileńskiej, wysłali do poety uroczyste pismo, witając jego przyjazd na ziemię francuską i ofiarowując mu pierścień z lirą. Uroczyste wręczenie odbyło się w Paryżu. Dokonał go Joachim Lelewel.

Mickiewicz odpisał: „Tym pierścieniem obrączkowym, ziomkowie, poświadczacie mnie, że dochowałem wiary od dzieciństwa poślubionej ojczyźnie. Przyjmijcie ode mnie powtórny ślubną przysięgę, że będę zawsze ojczyźnie wierny i że jej sprawy do śmierci nie opuszczę”.

Wkrótce potem dotarły do rąk poety majowe numery „Tygodnika Petersburskiego”, w których ogłoszony był tekst ukazu cara o przymusowym przesiedleniu jednodworców z Litwy i Białorusi do guberni sara-towskiej i orenburskiej, a częściowo na Kaukaz.

Powędrowały na wschód tysiące upartych szlachciców polskich — tych najgroźniejszych dla caratu, zagrodowych.



Mickiewicz zobaczył otwierającą się przed jego rodakami przepaść.

Niebawem wydał *Księgi narodu i pielgrzymstwa polskiego*. Zaczął pisać „poema szlacheckie”.

Ze swoich zgryzot i obaw patriotycznych spowiadał się listownie Wierze Chlustin. Jej syn, Szymon, nie tak dawno przysłał mu list, w którym wyrażał żal, że Mickiewicz nie mógł się przedostać do Królestwa i wziąć udziału w walce. Ci Rosjanie byli jego prawdziwymi przyjaciółmi.

Ksiązę Piotr Wiaziemski wysoko cenił kulturę polską. Uwielbiał Niemcewicza. Za sprawą autora *Śpiewów historycznych* dostał honorowy tytuł członka warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Należał do najbliższych Mickiewiczowi ludzi w czasie bytności poety nad Newą.

Wiaziemski był oburzony na Puszkina za jego wiersz *Oszczyrcem Rosji*. Jak również na epilog *Jeńca Kaukazu*. „Przykro mi — pisał w liście do Aleksandra Turgieniewa — że Puszkina zalała krwią ostatnie wiersze swojej opowieści. Cóż to za bohater ten cały Jeremolow? Cóż w tym dobrego, że niby czarna zaraza tępił i niszczył ludy? Od takiej sławy krew się ścina w żyłach i włosy stają na głowie. Gdybyśmy nieśli ludom oświatę, byłoby co opiewać. Poezja nie powinna być sojuszniczką katów.”

A Puszkina żył w tragicznym rozdwojeniu myśli i uczuć. Bywało tak, że bezpośrednio po napadzie zgryźliwej ironii i szyderstwa, wywołanym przez jakiś objaw carskiego despotyzmu, odczuwał gwałtowną potrzebę zamianifestowania swoich propaństwowych

zapatrywań. Wypadki przeciwko Rosji na forum parlamentu francuskiego budziły w Puszklinie odrazę i wściekłość. Pogardzał tymi „sklepikarzami” znad Sekwany.

„Bunt” Warszawy przyjął z niezwykle irytacją. A kiedy przeczytał wiersze Mickiewicza o Petersburgu, poczuł się osobiście dotknięty. I napisał *Jeździec miedzianego*.

Założywszy pismo „Sowriemiennik”, w jednym z pierwszych numerów opublikował dwa fragmenty osławionej *Historii Rusów*. W komentarzu redakcyjnym dodał wprawdzie uwagę, iż autor, jego zdaniem, często popełnia nieścisłości, niemniej jednak zdecydował się ogłosić partie najdrastyczniejsze z całej tej tchnącej nienawiścią do Polaków książki.

Carowi było to bardzo na rękę. Wyrządził Polakom wiele krzywd. Potrzeba mu było pewności, że Polacy to łotry. Zresztą uważał ich za takich i nienawidził. „Sowriemiennik”, zawierający polakożercze enuncjacje, stanowił dla Mikołaja cenny podarunek.

Pod czujną opieką cara, pod okiem żandarmów i dworaków Puszkina powoli szedł ku zagładzie. Stawał się coraz bardziej ponury i złośliwy.

Znał swoją wartość, ale w ostatnich latach życia zapewne nieraz bolał nad tym, że nie zawsze jest taki, jakim go sobie wyobrażają ludzie.

Śmierć pokazała, jak bardzo czcili go i uwielbiali współrodacy, jak go cenili obcy.

Mickiewicz na wieść o jego zgonie napisał: „Kula, która ugodziła Puszkina, zadała cios straszliwy Rosji intelektualnej...” I jeszcze: „Jego wady zdawały się być w związku z okolicznościami, wśród których się wychowywał; a co było w nim dobrego, pochodziło z głębi jego serca”.

Inny był Petersburg Mickiewicza, inny zaś Puszki-

na. Ale obaj poeci, opisując go, mieli dusze napełnione podobnym pragnieniem, więc stworzyli dzieła równie prawdziwe, choć różne w wyrazie.

Idea wzajemności słowiańskich po roku tysiąc osiemset trzydziestym uległa znamiennej ewolucji. Przed tym rokiem, zwłaszcza w Polsce, ograniczała się do wzajemności naukowych i literackich.

Na emigracji polistopadowej myśl o wspólnej sprawie słowiańskiej zaczęła odgrywać rolę szczególnie doniosłą. Niestrudzonym propagatorem tej sprawy stał się Lelewel. W odezwie, którą ułożył i ogłosił zaraz po powstaniu, jako prezes Narodowego Komitetu Emigracyjnego, wzywał Rosjan, aby „gotowali się do walki przeciwko caratowi, ciemnicy Polski i Rosji, aby podjęli wielką myśl federacji ludów słowiańskich”.

Stopniowo idea słowiańska przybrała charakter me-sjaniczny. Polska miała odegrać rolę przodującą w dziele zjednoczenia Słowiańszczyzny. Miała być „tarczą wolności ludów słowiańskich”.

Mickiewicz w „Pielgrzymie Polskim” nawoływał Słowian do współdziałania.

Niemal jednocześnie powstało z inicjatywy Bohdana Zaleskiego Polskie Towarzystwo Miłośników Słowiańszczyzny oraz Mickiewiczowskie Towarzystwo Zjednoczonych Braci z przybudówką w postaci Bractwa Świętego Stanisława. I tu jednym z pierwszych członków był Bohdan Zaleski.

W roku tysiąc osiemset trzydziestym piątym Szymon Konarski zaczął wydawać „Północ”. Pismo głosiło radykalne hasła społeczne i wyrażało przekonanie, iż w wypadku wojny europejskiej o wolność Polska stanie na czele narodów słowiańskich.

W roku następnym manifest w podobnym duchu wydało Towarzystwo Demokratyczne.

Demokraci polscy widzieli w Słowiańszczyźnie jakby ogniwo pośrednie między sprawą narodową polską a sprawą przymierza wszystkich ludów.

Byli jednak pisarze, którzy przestrzegali przed tym, aby carska Rosja nie wyzyskała sprawy słowiańskiej do swoich celów mocarstwowych, aby Polska mimo woli nie została wtrącona w orbitę polityki rosyjskiej, zrećnie zamaskowanej sztandarem Cyryla i Metodego.

Przestrogi te robiły tym większe wrażenie, iż znani renegaci emigracyjni, manifestacyjnie przechodząc na stronę Rosji, powoływali się na swoje przekonania i uczucia słowiańskie. Adam Gurowski, działacz powstańczy, zaraz w pierwszej po swoim odstępstwie pracy, wydanej w Paryżu, pisał; „Słowiańszczyzna potrzebuje jedności, powinna mieć jedną głowę, jedno ognisko, jedno dążenie, jedną wolę”. Myślał, rzecz prosta, o carze.

Polak Gurowski był pionierem panslawizmu rosyjskiego, zanim ten zaborczy program szowinistów rosyjskich rozwinął się na dobre w Moskwie i Petersburgu.

Teorie panslawistyczne rosyjskie znalazły również podatny grunt w piśmiennictwie czeskim. Pisarze czescy, jak Szafarzyk, Hanka, Kollar i Palacki, w Rosji widzieli patronkę ludów słowiańskich. Zwrócił na to uwagę cara minister oświaty Uwarow. Wkrótce Józef Bodiański przetłumaczył na język rosyjski *Starożytności słowiańskie* Szafarzyka. I zaraz potem sławista rosyjski Michał Pogodin w porozumieniu z Uwarowem udał się za granicę i wręczył Szafarzykowi oraz Hance pokaźne sumy od cara.

Poeta Kollar w swojej pięknej *Córce sławy* wyłą-

czył Emilię Plater z raję, „bo walczyła siostra przeciwko braciom, Słowianka przeciwko Słowianom.” Zachował natomiast w niebie słowiańskim miejsce dla Suworowa i dla Mikołaja Pierwszego.

Podbój Kaukazu rozpoczęła jeszcze Katarzyna Druga.

Granice Rosji dotarły wówczas do rzek Tereku i Kubania. To była linia kaukaska. Z rozkazu carowej pobudowano tam stancje i osadzono wysiedleńców z Sycy Zaporoskiej. Ukraińcy czuli się nad tymi rzekami, jak Żydzi nad rzekami Babilonu. Powoli jednak wrastali w ziemię, którą tak obficie zraszali krwią. Oprócz nich na Kaukazie walczyły liczne oddziały armii regularnej, do których wcielani byli przestępcy polityczni różnych narodowości. Między innymi liczni Polacy.

Tak los w perfidny sposób wskrzesił braterstwo broni Polaków i Ukraińców. Sami utraciwszy byt niepodległy, jedni i drudzy, chcąc nie chcąc, pomagali caratowi ujarzmiąć wolne plemiona kaukaskie.

Mikołaj niezbyt cenił pamięć swojej babki, ale ambicja kazała mu kontynuować jej politykę. Marzył o panowaniu nad Indiami. O wypędzeniu stamtąd Anglików.

W roku tysiąc osiemset trzydziestym trzecim mianował wojennym gubernatorem orenburskim generała Wasilija Perowskiego, jednego ze swoich najwierniejszych pretorianów, wielce zasłużonego przed ośmiu laty przy tłumieniu rozruchów na placu Senackim.

Orenburg był już wtedy jak gdyby wielkim ołtarzem i metropolią polskiego wygnania. A patriarchą jego był Tomasz Zan.

W mieście często wspomniano niedawną wizytę, którą Zanowi złożył wielki Aleksander Humboldt, odbywający właśnie podróż do Dżungarii. Więc kiedyś, przy okazji, satrapa carski również zwiedził skromny

domek Zana i obejrzał jego wspaniałe zbiory przyrodnicze.

Potem zilustrował bibliotekę założoną przez Zana, Czeczota i Suzina, oraz kościółek zbudowany ze składek wygnańców polskich staraniami księdza Michała Zielonki.

Wracając z inspekcji powiedział ni to do siebie, ni to do towarzyszących mu oficerów:

— Ej, Polaki, Polaki, nieugomnonnyj narod!

W ciągu kilku zaledwie lat Perowski, częściowo gwałtem, częściowo łagodnością, przywiódł pod zwierzchnictwo Rosji wielką hordę kirgiską.

Teraz stało się możliwe otworzenie drogi do Indii przez Turkiestan. Trzeba było tylko podbić dwa mużmańskie państewka, Chiwę i Bucharę.

W roku tysiąc osiemset trzydziestym dziewiątym, kiedy za Blanquim zamknęła się brama więzienia w Mont Saint Michel, z Orenburga wyruszyła pod wodzą generała Perowskiego wielka ekspedycja wojskowa przeciwko Chiwie.

Niezwykle sroga zima zdzięsiatkowała armię rosyjską. Perowski nakazał odwrót. Ale nie dał za wygraną. Wierzył w cara i w konieczność zdobycia Chiwy.

## II

Zaraz po wyzwoleniu z poddaństwa Szewczenko został stypendystą Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych i uczniem akademii.

Zrobił niewiarygodny skok z czeladnickiej izby Szyriajewa do artystycznej pracowni Karola Briułowa, jednego z największych ówczesnych malarzy.

Mieszkał jeszcze parę miesięcy u pani Johannissohn, a potem Briułow wystarał mu się o pokój w gmachu Towarzystwa na Siódmej Linii. Taras czuł się tutaj jakby w zaczarowanym pałacu. Widywał się prawie codziennie z Briułowem, korzystał z jego bogatej biblioteki. Nauczyciela i ucznia związała serdeczna przyjaźń.

Chodzili razem do Ermitażu. Były to porywające lekcje teorii malarstwa i dziejów sztuki. Każda lekcja kończyła się omawianiem twórczości Teniersa, zwłaszcza jego *Strażników*. „Dla obejrzenia tego jednego obrazu — mówił Briułow — warto przyjechać do Petersburga nawet z Ameryki”.

W listopadzie Taras przeniósł się do Soszenki na Czwartą Linie. Soszenko nie mógł się nadziwić postępom Tarasa w nauce. Dał mu skrypty z wykładów profesora Worobiowa o perspektywie. Pierwszy wykład przeczytał mu i objaśnił z cyrkiem i ekierką w rękę. Następnym mógł mu już nie tłumaczyć.

A Taras nie tak dawno znał zaledwie cztery działania.

W akademii Szewczenko kolegował z wieloma młodymi malarzami, którzy do niedawna, tak jak i on, byli w poddaństwie. Rosjanie — Aleksiejew, Zajcew, Kapkow, Kaszyrin, Kozłów, Bobrow i Rajew, oraz Ukraińcy — Bezperczy, Darahan, Usenko i Malarenko, stanowili grono jego najbliższych przyjaciół. Patronował im wszystkim nieoceniony Soszenko.

W listopadzie poznał Taras młodego pejzażystę, zruszczonego Niemca, Wilhelma Sternberga, który niedawno wrócił z Ukrainy i przywiózł pełną tekę świetnych rysunków i obrazów, przedstawiających tak drogie Tarasowi strony. To wystarczyło, aby się zaprzyjaźnili. Sternberg po pewnym czasie nawet zamieszkał z Tarasem.

Taras chwilowo poróżnił się z Soszenką i wyniósł się od niego. Przyczyną były niesnaski natury sercowej. Córka ich gospodyni Niemki, szesnastoletnia Amalia albo Masza, jak ją z rosyjska nazywano, oczarowała Soszenkę. Malarz nosił się z zamiarem poślubienia dziewczyny. A tu Masza na dobre zajęła się Tarasem.

Niezbyt przystojny, niskiego wzrostu, z zadartym nosem, dosyć rozmowny, wesoły i dowcipny Taras, nie wyglądał na czułościwego młodzieńca, jacy byli podówczas w modzie.

Ale miał zadziwiające oczy. O tych oczach koledzy jego mówili, że ukradły słońcu blask.

Kiedy rozmawiał z kobietą, z ust mu nie schodził uśmiech pełen dobroci i respektu.

Ponadto Taras wciąż jeszcze promieniał szczęściem cudownie uzyskanej wolności.

Soszenko wkrótce otrzymał posadę nauczyciela rysunków w Gimnazjum Nieżyńskim i wyjechał z Petersburga. Jednak przed wyjazdem odnowił przyjaźń z Tarasem. Pogodzili się jak bracia.

Związek Tarasa i Maszy był prosty i szczerzy jak ich młode serca. Nie mówili, że się kochają. Ale gdy byli razem, życie wydawało im się barwne i pełne znaczenia.

Taras namalował portret przyjaciółki. I żartobliwie podpisał się na nim „Czewczenko”. Masza tak, z niemiecka, wymawiała jego nazwisko.

W Petersburgu od czasów Piotra Pierwszego mieszkało dużo Niemców.

Dzięki Sternbergowi poznał Taras inteligenckie, mieszczańskie towarzystwo niemieckie.

Najczęściej odwiedzali kuzynów Sternberga, nieja-



kich Schmidtów. Było tam kilka młodych panien, z którymi pospołu urządzał Taras wieczorki literackie.

Na koncerty domowe natomiast zapraszał ich do siebie inspektor uniwersytetu, Vitzthum von Eckstädt, miłośnik Beethovena i Mozarta.

Bywali też u młodego malarza Karola Joachima. W domu jego rodziców przez pewien czas zamieszkiwał Adam Mickiewicz. Rozmawiano więc często o poecie polskim.

Tak wszedł Szewczenko w krąg kultury niemieckiej. Ci Niemcy petersburscy żyli jakimś innym życiem — uporządkowanym, poważnym, skupionym. Różnili się bardzo zarówno od Rosjan, jak też Ukraińców.

I od niektórych rodaków, jak były „właściciel” Tarasa Engelhardt tudzież jego oficjalista Prechtel.

Niedługo potem Taras pisał do swojego niezawodnego przyjaciela, który już mieszkał w Nieżynie:

„Jak widzisz, obracam się teraz wyłącznie wśród Niemców. Ale co to za wspaniali Niemcy! Jestem w nich po prostu zakochany!”

Sternberg miał romantyczne usposobienie, miał dużą artystę, subtelną i wrażliwą, ale nie stronił od rozrywek, od zabaw zakrapianych winem. Robił to jednak z wdziękiem i smakiem. Przy Sternbergu nauczył się Taras cenić dobre towarzystwo i dobrą kuchnię. Regularnie chodził do teatru, zwłaszcza na przedstawienia operowe. Z zachwytem słuchał gry najwybitniejszych wirtuozów europejskich, wiolonczelistów, skrzypków i pianistów. Odkąd zobaczył na scenie słynną Marię Taglioni, rozmiłował się w balecie. Jeździł na bale i maskarady.

Pod każdym względem odbiegł od wzorów cyganerii artystycznej, z którą najczęściej stykał się dotychczas.

Otrzymując liczne zamówienia, głównie na portre-

ty, bywał czasami przy pieniądzach. Nosił się nawet elegancko. Nikt by w nim już nie poznał tego chłopca wiejskiego, który pasał gęsi w Kiryłowce.

Soszenko z ubolewaniem mówił do ziomek: „W Tarasa wselywsia switskyj bis”.

W styczniu tysiąc osiemset trzydziestego dziewiątego roku Sternberg i Szewczenko byli w kościele ewangelickim na ślubie ich ubóstwianego nauczyciela Karola Briułowa.

Briułow ożenił się z siostrą jednego z uczniów akademii, córką Niemca z Rygi, Emilią Thiemm. Emilia była typem rafaelowskiej piękności. Cały Petersburg zachwycał się jej urodą.

Szewczenko zaproszony przez młodych małżonków przychodził do nich codziennie na obiad. Często zasiadywał się aż do późnego wieczora. Czytał na głos Waltera Scotta i Dickensa. Upajał się widokiem Emilii, która, sama akompaniując sobie na fortepianie, śpiewała modną kawatynę z *Normy*. Kiedy Briułow brał się do przeglądania listów, co czynił zazwyczaj wieczorem, Emilia i Taras zasiadali do gry w halbecwelwe. Na stole świeciła lampa z zielonym abażurem.

W tym zaciszu domowym, pełnym serdecznego ciepła i ufności, szybko się kołysły Tarasowe smutki, szły w niepamięć przykre wspomnienia niewoli.

Briułow był znany z tego, że przy każdej okazji podkreślał swoją niezależność od cara.

A car nie cierpiał ludzi, którzy mieli poczucie godności i siłę charakteru.

Przyjaciele nieraz truchleli o los artysty.

Briułow nie lubił robić portretów na każde zamó-

wienie. Unikał malowania twarzy, które mu się z czegoś nie podobały. Nie chciał malować wizerunku Natalii Gonczarow, gdyż — jak twierdził — patrzyła świdrem. Puszkina obraził się i wkrótce potem, omijając Briułowa, swój portret zamówił u Kiprenskiego. Briułow zobaczywszy to dzieło powiedział z żalem: „Kiprenski pokazał dandysa, nie poetę”.

Portret carowej Briułow zrobił, bo się nie mógł wykreścić, ale go nie oddał i pod jakimś pozorem zniszczył. Pociął płótno na kawałki i wyrzucił na śmietnik.

Mikołaj spodziewał się, że Briułow sam go poprosi o pozowanie do portretu. Malarz nawet się nie zająknął. Wtedy car, niby żartem, narzucił się z tą propozycją. Umówili się w pracowni Briułowa. Car miał nieszcześnie spóźnić się piętnaście minut. Artysty już nie było — zabrał się i wyszedł. Więcej do tego tematu nie wracano. Car był wściekły. Tym bardziej, że Briułow nie tak dawno namalował aż trzy portrety Perowskiego. Na jednym generał przedstawiony był w całej swojej okazałej postaci na tle stepu kirgiskiego. Briułow mówił: „Perowski ma duszę satrapy, ale oczy wojownika”.

Mikołaj miał duszę i oczy kata. Briułow nikomu o tym nie powiedział, ale tak myślał.

W jakiś miesiąc po ślubie Briułow był z żoną w akademii. W sali wystawowej natknął się na Mikołaja.

Spojrzenie cara objęło kształtną postać Emilii. Ołowiane oczy na chwilę zajaśniały blaskiem polerowanej stali.

Niebawem pomiędzy małżonkami wynikły nieporozumienia. Emilia coraz częściej wychodziła z domu. Otrzymywała mnóstwo zaproszeń od znajomych.

Briułow był wyraźnie przygnębiony. Docierały do



**Portret Hanny Zakrzewskiej. Taras Szewczenko. Olej, 1843**



*Portret księcia Michała Repnina. Taras Szewczenko. Olej, 1843*



**Sąd wiejski. (Z cyklu „Malownicza Ukraina”). Taras Szewczenko. Akwaforta, 1844**



Dary w Czehryniu. (Z cyklu „Malownicza Ukraina”).  
*Taras Szewczenko. Tusz, 1844*

niego ohydne plotki. Pewnego dnia wybuchnął i obraził żonę. Emilia natychmiast poszła do swoich kuzyńców Sauerweidów i więcej nie wróciła.

Kiedy Taras przyszedł potem do Briułowa, malarz z pozorną niefrasobliwością oświadczył:

— Możesz mi powinszować, chłopcze, jestem kawalerem.

Nazajutrz jednak dostał gorączki i przez kilka tygodni ciężko chorował. Taras czuwał przy jego łóżku dzień i noc.

Po powrocie do zdrowia Briułow wiódł z Tarasem długie pogawędki o sprawach, których przedtem nigdy nie poruszał. Opowiadał mu o stosunkach panujących w rządzie i na dworze carskim. Opowiadał o prywatnym życiu Mikołaja.

Szewczenko słuchał ze zgrozą. Dopiero teraz zaczął na dobre poznawać Petersburg.

Krąg stosunków towarzyskich Tarasa rozszerzał się niemal błyskawicznie. Taras miał szczęście do ludzi. Wszystkich ujmowała jego prostota w obejściu, żywa inteligencja, skromność i taktowność.

Pracował przy tym nieustannie. I uczył się. Chodził nawet na niektóre wykłady uniwersyteckie. W rysunkach uczynił tak wielkie postępy, że już na wiosnę tyśiąc osiemset trzydziestego dziewiątego roku rada akademii odznaczyła go srebrnym medalem.

Coraz bardziej jednak przekonywał się, że właściwym jego powołaniem jest poezja. W niej dopiero mógł się wypowiedzieć. Malarstwo było nieme, a on chciał wołać do ludzi, chciał ich nawracać, chciał ich prowadzić za sobą. Od lat dziecięcych lubił rozczytywać się



w *Biblii* i miał w sobie coś z proroka. A kiełkowały w nim coraz to nowe idee.

U Hrebinki poznał prawie całe petersburskie środowisko literackie i artystyczne. Schodzili się tam pisarze rosyjscy: Jazykow, Władisławlew, Strugowszczykow, Panajew, Dahl, Jerszow, Dymitrij Grigorowicz, Benediktow, Nestor Kukolnik i inni. Stałym gościem był znany matematyk rodem z Połtawy, Michał Ostrogradzki. Niektórzy z kolei zapraszali Szewczenkę do siebie. U Strugowszczykowa spotykał się z powieściopisarzami, Włodzimierzem Odojewskim i Włodzimierzem Sołohubem, oraz Wisarionem Bielińskim, wschodzącą wówczas gwiazdą rosyjskiej krytyki literackiej; u Kukolnika — z Greczem, Bułharynem, Czernyszewem, Czyżowem, Prokopowiczem i Kamieńskim.

Bywał na przyjęciach u Michała Glinki i Grzegorza Tarnowskiego, dziedzica Kaczanówki w guberni czernihowskiej, z którym poznał go Sternberg.

U Hrebinki zetknął się też z wybitnymi przedstawicielami miejscowej kolonii ukraińskiej, urzędnikami, oficerami, nauczycielami. Byli to przeważnie potomkowie uszlachconych dowódców kozackich. Wciągnięci w trybny rosyjskiej maszyny państwowej, pozostawali jednak, przynajmniej w duchu i w obyczajach, patriotami ukraińskimi.

Z niektórymi z nich, jak z Dziubinem, Jezuczewskim, Trocyną, Hałuzewskim, Kandybą i Soszalskim, utrzymywał Taras przyjazne stosunki do końca życia.

Mimo całej ugodowości tego środowiska, mimo nastrojów rezygnacji, mimo braku jakichkolwiek dążeń politycznych, stało się ono dla Szewczenki szkołą uświadomienia narodowego. Tam mu właśnie dano do ręki *Eneidę*. I kiedy niedługo potem w Połtawie umarł Iwan Kotlarewski, ułożył Taras elegię na cześć tego, który

Wsiu sławu kozoacku za słowom jedynym  
Perenis w ubohu chatu syroty.<sup>1</sup>

*Eneida* była pierwszą książką, której przeczytanie pozwoliło Tarasowi odnaleźć swoje miejsce w „narodzie kozoackim”.

Dwie jeszcze znajomości zaważyły podówczas na intelektualnych i artystycznych losach Szewczenki: z Janem Barszczewskim, młodym poetą białoruskim, zbieraczem rodzimego folkloru, i Jakubem Kucharenką, Ukraińcem, który wtedy wystąpił jako autor sztuki z życia Kozaków Czarnomorskich.

Barszczewski reprezentował młodą, budzącą się do życia literaturę narodu, tak samo uciskanego przez carat, jak naród ukraiński.

Barszczewski był wychowany w kulturze polskiej. Znał osobiście Mickiewicza. Opowiadał Szewczence o swoich petersburskich rozmowach z poetą, o jego działalności na emigracji w Paryżu.

Kucharenko pochodził z rodziny siczowców, osadzonych przez Katarzynę na Kaukazie. Skończył szkołę wojskową w Ekaterynodarze i dosługiwał się coraz to wyższych stopni jako oficer Kozaków Czarnomorskich. Myślał żył w świecie rzeczy ukraińskich. Czuł się raczej pisarzem niżli żołnierzem.

W kilka miesięcy po wyzwoleniu Tarasa z poddaństwa Hrebinka pisał do Charkowa do starego Osnowjantenki: „...mam tu ziomka, który zawzięcie układa rymy. Jak coś napisze, to tylko cmokać ustami i bić bra-

---

<sup>1</sup> Całą chwałę kozoacką jedynie słowami || Przeniósł do ubożego domku sieroty.

wo! Dał mi kilka pięknych wierszy do mojego Zbioru". A nieco później: „Mam tu cudownego pomocnika — Szewczenkę. Młodzieniec godny podziwu...”

Hrebinka był pierwszym człowiekiem, który przeczytał wiersze Tarasa i od razu zdecydował się je ogłosić.

Zamierzał wydawać raz na kwartał coś w rodzaju almanachu ukraińskiego. Gromadził utwory do teki redakcyjnej. Poezje Szewczenki przyjął jak dar niebios.

Zachęcony pochwałami Hrebinki, wziął się Taras do pracy nad poematem *Kateryna*.

Zaczął korespondować z Osnowjanenką. Pod wrażeniem jego opowieści o Antonie Hołowatym napisał do autora odę. Wołał w niej:

Nasza дума, nasza пісня  
Не вмере, не загіне...  
От де, люде, наша слава,  
Слава України!<sup>2</sup>

Dwa motywy nieustannie przeplatały się we wczesnej twórczości Szewczenki: motyw porzuconej dziewczyny i motyw bohaterstwa dawnych Kozaków.

Młody poeta, niedawno wydobyty z niewoli pańszczyźnianej, zacząwszy pisać, na razie ani słówkiem nie potrącał o niedolę chłopów.

Ukraińskie sprawy narodowe, uwydatnione w obrazach przeszłości historycznej, miały niebawem odezwać się donośną nutą w utworach poetyckich Szewczenki.

W zimie tysiąc osiemset trzydziestego dziewiątego roku do Petersburga przyjechał historyk ukraiński Mikołaj Markiewicz, przyjaciel Hrebinki.

Markiewicz przygotował do druku swoją pięcioto-

---

<sup>2</sup> Nasze myśli, nasze pieśni || Nie umrą, nie zginą... ||  
Oto gdzie jest, ludzie, nasza sława, || Sława Ukrainy!

mową *Historię Małorosji* i chciał ją w stolicy przepchnąć przez cenzurę. Przyjazd historyka ożywił kolonię ukraińską, wśród której nie brakło ludzi interesujących się dziejami Kozaczyzny. U Hrebinki i Markiewicza odbywały się często zebrania, na których o niczym innym nie mówiono, jak tylko o wojnach kozackich, o Siczy Zaporoskiej, o hajdamaczyźnie.

W dyskusjach uczestniczył Taras Szewczenko.

Przeszłość, o której wyrobił sobie dość chaotyczne pojęcie na podstawie opowieści dziadka i zasłyszanych legend, jęła rysować się w jego umyśle jako ciąg wydarzeń biorących początek gdzieś w pomroce dziejów i rozwijających się jak dramat, zakończony smutnym obrazem terażniejszości.

Szewczenko zdobywał systematyczną wiedzę o dziejach swego kraju. Znał już z rękopisu dzieło Dmytra Bantysza-Kamieńskiego, a teraz przewertował pracę Markiewicza.

Dzięki Markiewiczowi zaznajomił się również z całą *Historią Rusów*, której urywki czytał przedtem w „*So-wriemienniku*” Puszkina i „*Zaporożskiej Stařinie*” Srezniewskiego.

*Historia Rusów* wywarła na Szewczence wrażenie wstrząsające.

Wziął ją, rzecz prosta, za utwór ściśle historyczny. Była przepojona romantyzmem, który go chwycił za serce i budził w nim najgłębsze wzruszenie. Przemawiała do niego głosem wolności, toteż nawet jej podniosła, namaszczone frazeologia wydawała mu się piękna; sam przecie od dzieciństwa kształcił swój smak estetyczny nie tylko na pieśniach wiejskich, lecz także na *Biblii* i psalterzu.

Z książki biła wielka miłość Ukrainy; biła również nienawiść do jej ciemnocyfeli — Polaków i Rosjan. Przede wszystkim do Polaków.

Książka żarliwie głosiła starożytność ruskiego narodu i jego cywilizacji.

Autor, którym podobno był Koniski, arcybiskop mohylowski z osiemnastego wieku, snuł poetyczne jeremiady, opisując upadek Rusi, która, jak twierdził, doznawała wyjątkowych klęsk i nieszczęść, zawsze prawie „znajdowała się w ogniu i pływała we krwi”, mimo iż jej synowie odznaczyli się najwyższym bohaterstwem i szlachetnymi obyczajami.

Ciekawe były zapatrywania autora na stosunek ziem ruskich do Polski. W jego ujęciu epoka pod panowaniem polskim dzieliła się na dwa okresy: pierwszy, do Stefana Batorego — najszczęśliwsze i najzgodniejsze pożycie dwóch narodów; drugi zaś, od wstąpienia na tron Zygmunta Trzeciego — z sytuacją wręcz przeciwną. Spowodowała tę zmianę wymyślona przez Polaków unia religijna, która się zjawiała „w lisiej skórze, ale z wilczym gardłem”. Owa właśnie unia „Polskę do samego fundamentu zachwiała i obaliła, a narodowi ruskiemu dała wypić czarę goryczy, z jakiej nawet w dni Nerona i Kaliguli nie pito.”

W książce było tyle faktów przedstawionych tak barwnie i tak drobiazgowo, że mimo woli wierzyło się w to wszystko.

Niektóre jednak zdarzenia nawet w ufnym Tarasie budziły wątpliwość.

Przypomniał sobie, że Puszkini i Srezniewski w komentarzach do ogłaszanych fragmentów zwracali uwagę na pewną stronniczość i nieścisłość autora. Kiedy jednak zwierzył się ze swoich wątpliwości Markiewiczowi, ten stanowczo odrzekł:

— Koniski był uczonym mężem, wzorowym obywatelem i bogobożnym pasterzem, nie zapewniałby swoim arcybiskupskimi słowami o prawdziwości tego, co opisał.

Markiewicz zwrócił uwagę Szewczenki na dzieła Gogola. Gogol pisał wprawdzie po rosyjsku, ale o Ukrainie. *Taras Bulba* stał się nowym ulubionym utworem Tarasa. W tej poetycznej gawędzie wszystko było tak, jak u Koniskiego.

*Historia Rusów* dała Szewczence ojczyznę. Dała mu porywającą wizję jej dziejów. Wypełniła przykrą lukę w jego świadomości.

Żył teraz jakby w upojeniu historią. Stworzył dumy o dwóch kozackich bohaterach. Nappełnił je szczęciem oręża i bitewną wrzawą.

W *Tarasowej nocy* śpiewał o tym:

Jak moskali, orda, lachy  
Byłiś z kozakamy.<sup>3</sup>

A *Iwana Podkowę* zaczął dumnym przypomnieniem:

Buło kołyś — w Ukraini  
Rewiły harmaty;  
Buło kołyś — zaporozci  
Wmiły panowaty.<sup>4</sup>

Wdzięczny Markiewiczowi za ukazanie tylu bezcennych pamiątek narodowych, napisał do niego wiersz, w którym jednak o dawnych, dobrych czasach wyraził się z żalem:

Buło kołyś — mynułosia,  
Ne wernet'sia znowu.<sup>5</sup>

Ten żal był wszakże tylko romantyczną pozą. Szewczenko nie miał w sobie nic z pesymisty. Zwłaszcza teraz, kiedy jak gdyby odkrył na nowo Ukrainę i jej

---

<sup>3</sup> Jak Moskale, Orda, Lachy || Bili się z Kozakami.

<sup>4</sup> Było niegdyś — w Ukrainie || Huczały armaty; || Było niegdyś — Zaporozcy || Umieli panować.

<sup>5</sup> Było kiedyś — lecz minęło, || I nigdy nie wróci.

sławie poświęcił talent poetycki, nie istniały żadne względy mogące go nakłonić do snucia pesymistycznych myśli.

Gdyby nie wierzył w szczęśliwą przyszłość ojczyzny, przestałby tworzyć.

Dopóki Taras cierpiał niedostatek, nie próbował nawet przesyłać wieści swoim najbliższym w Kiryłówce. I on, i oni byli w jednakim położeniu. Czegoż mogli sobie nawzajem użyczyć poza skargami na okrutny los!

Ale wciąż myślał o nich. Zwłaszcza o siostrach.

Gdy w jego życiu nastąpiła szczęśliwa zmiana, od razu zaczął wysyłać listy, jeden po drugim. Kierował je do brata Mykyty, który siedział na gospodarstwie. W każdym liście polecał mu uściskać dziada Iwana. Załączał osobne listy do pana Dymowkiego i prosił, żeby mu przekazać serdeczne pozdrowienia. Nakazywał bratu, aby się troszczył o ślepą Maryjkę. Posyłał pieniądze.

Martwił się o Jarynę, która wyszła za mąż. Czy aby dobrze?

Wciąż jeszcze cieszył się zrzuceniem kajdan. „Węlyke szczastia — pisał — buty wilnym czołowikom: robysz, szczo chcesz, nichto tebe ne spynył’.”

Za każdym razem domagał się od brata odpowiedzi. „Ta po swojemu, bud’ łaska, a ne po moskowskomu”.

### III

Tomasz Padurra przesiedział w więzieniu całą wojnę polsko-rosyjską. Brat poety, Józef, wspólnie z adwokatem Bołsunowskim uwolnili go wreszcie z więzie-

nia. Tomasz wyszedł stamtąd złamany na duchu. Wobec władz śledczych przez długi czas udawał pomieszanie zmysłów. Teraz, na wolności, widząc klęski, jakie na naród spadły, o mało naprawdę nie zwariował.

W ciągu paru zaledwie lat w życiu poety zaszły katastrofalne zmiany. Z jego sławy poetyckiej, z jego rojeń o potęgę Polski i Ukrainy nie zostało nic. Wszystko rozprysło się jak bańka mydlana. Buńczuk kozacki nie odpowiedział białemu ptakowi nad Wisłą. Chłopi ukraińscy w większości nie odnosili się źle do powstańców polskich, ale udziału w walce nie wzięli. Wkrótce po powstaniu władze zaborcze szybko pogłębiły przedział pomiędzy wsią a dworem. Lud był ukraiński, szlachta polska.

W całym kraju dokonywały się jakieś przemiany, których Padurra nie mógł zrozumieć. Z wielką ostrożnością zrobił kilka wycieczek na wieś. Ludzie go nie poznawali. Słyszał gdzieś swoje piosenki, ale śpiewający nie wiedzieli, kto był ich autorem. Kozaków Sawrańskich nie znalazł. Znikli jak sen.

Utraciwszy Emira i księcia Romana, nie miał już Padurra na kim się oprzeć. Myślami zawsze zatapiał się w dziejach i tylko z dziejów czerpał mądrość życiową. Emir i książę byli ludźmi jakby żywcem przeniesionymi z bohaterskiej przeszłości. Gdy ich nie stało, mądrość Padurry zawisała w próżni. Któż mógł zastąpić tych bohaterów?

Z początku Tomaszowi wydawało się, że wszystkiemu winni carscy urzędnicy, którzy wszelkimi sposobami starali się przeciągnąć chłopów ukraińskich na stronę Rosji. Wkrótce jednak przekonał się, że nienawiść do Polski rośnie wśród nich, ale zarazem bynajmniej nie rośnie sympatia do Rosji. Słyszał, jak ludzie na wsi śpiewali:



Nastąpiła czarna chmara, nastąpiła szczerze j synia,  
Buła Polszcza, buła Polszcza, ta stała j Rossija...

Padurra tracił grunt pod nogami. Opanowała go melancholia; nie ta romantyczna, co uskrzydliła duszę i unosi ją wzwyż, tylko ta, która człowieka przygniata do ziemi i wpędza do grobu.

Siostry i bracia Padurry zaraz po powstaniu nabyli w Machnówce nieduży domek. Poeta osiadł z nimi. „Z życia ruchliwego — jak opowiada o nim kronikarz tych czasów — przeszedł Padurra nagle w ciszę, spokojność i smutek głuchy.”

To, co miało być treścią przyszłej epoki, widział w barwach żałobnych. Pogryził się tedy we wspomnieniach. Pisał wiersze, ale ich nie ogłaszał drukiem.

Ludzie z biegiem czasu zapomnieli o nim doszczętnie.

Tymczasem wojna chłopska, rozpętana przez Karmaluka, toczyła się dalej. Chłopi walczyli z panami i z rządem carskim, który bronił panów. Rząd miał swobodne ręce, gdyż zdołał stłumić powstanie polskie, mógł więc wszystkie siły zwrócić przeciwko rebeliantom. Mimo to jednak partyzantka szerzyła się i objęła nawet gubernię wołyńską oraz część kijowskiej. Gubernator Lewaszow znowu miał pełne ręce roboty.

I znowu zatriumfowała zdrada. Po trzech latach od chwili ucieczki z więzienia w Litynie, po trzech latach nieustannych walk, w listopadzie tysiąc osiemset trzydziestego piątego roku Ustym Karmaluk wpadł w zasadzkę i został zastrzelony.

Ale zdołał się uratować nierozłączny druh i pomocnik watażki, Andrzej Sławiński. I ten prowadził dalej dzieło pomsty na krzywdzicielach ludu.

Polacy w prowincjach litewsko-ruskich, po doznanej klęsce odgraniczeni od Królestwa jak od obcego kraju, widząc wszędzie ruinę, zniszczone szkoły, skonfiskowane dobra, zburzone zamki i dwory, wegetowali, prawie bez nadziei na lepsze jutro.

Próby odzyskania ojczyzny nie powiodły się przez to, że chłopci, utrudzeni pańszczyzną i pozbawieni oświaty, nie wzięli w nich udziału.

Mikołaj karał obywateli polskich, którzy w majątkach swoich znosili pańszczyznę i zaprowadzali czynsze. Trzeba więc było teraz oddziaływać na lud sposobem konspiracji.

W kilka lat po powstaniu zawiązało się w Krakowie tajne Stowarzyszenie Ludu Polskiego. Jednym z przywódców jego był Seweryn Goszczyński. Akcja spiskowa rozwinęła się wkrótce na ziemiach Litwy i Rusi. Kierował nią Szymon Konarski.

Spisek obudził z letargu lepszą część społeczeństwa polskiego na Ukrainie i objął niebawem tysiące patriotów. Dla wzajemnego porozumiewania się tudzież przewożenia emisariuszy i papierów urządzono stacje pocztowe, a do obsługiwania ich wyzyskano popularną wówczas „bałagulszczyznę”.

Bałagułowie szlacheccy uprawiali rywalizację w doborze najlepszych koni do bryczek, w najszybszej jeździe i w najzawziętszych pijatykach. Było wśród nich wielu lekkoduchów, ale nie brakło i dzielnych żołnierzy powstańczych, jak Antoni Szaszkiewicz z Biczowy i Władysław Padlewski z Czerniawki pod Berdyczowem. Pierwszy był Ukraińcem, drugi Polakiem.

Pierwszego okrzyknięto królem bałagułów, a drugiego wicekrólem.

Oddali oni spiskowi Konarskiego nieocenione usługi.

Pod koniec tysiąc osiemset trzydziestego ósmego roku

organizację wykryto. Konarski został rozstrzelany w Wilnie.

Mimo tak tragicznego końca Stowarzyszenie Ludu Polskiego na prawobrzeżnej Ukrainie wywarło duży wpływ na społeczeństwo. Ono pierwsze wydało surowy moralny wyrok na tych, którzy źle się obchodzili z włościanami. I ono pierwsze, acz nie ze wszystkim, uznało narodowe dążenia Ukraińców.

Uniwersytet Kijowski obok zbudowanej na wzgórzu pieczarskim cytadeli miał się stać narzędziem zrusyfikowania młodzieży polskiej i ukraińskiej.

Tymczasem stał się kuźnią polskich dążeń patriotycznych. A po pewnym czasie odegrał również wybitną rolę w ukształtowaniu się nowoczesnego ruchu narodowego Ukraińców.

W pierwszych latach rząd carski musiał z konieczności obsadzić katedry uniwersyteckie uczonymi polskimi z Wilna i Krzemieńca. Na dwóch istniejących początkowo fakultetach, prawnym i filozoficznym, wykładali tutaj tacy profesorowie, jak Maksymilian Jakubowicz, Józef Korzeniowski, Józef Mikulski, Stefan Wyżewski, Grzegorz Hreczyna, Wilibald Besser, Antoni Andrzejowski, Stefan Zienowicz, Ignacy Abłamowicz, Franciszek Miechowicz, Józef Osieczkowski i Aleksander Mickiewicz, młodszy brat Adama. Ściągnięto również z Charkowa profesora Daniłowicza, a z Żytomierza księdza Ignacego Hołowińskiego.

O posadę lektora języka polskiego ubiegał się Józef Ignacy Kraszewski. Złożył nawet rozprawę konkursową, która zdobyła uznanie. Ale ujawniły się jego sprawy wileńskie sprzed powstania i do nominacji nie doszło.

Dwóch tylko z dawnych krzemienieckich profesorów

zdołało się uchronić od translokacji do Kijowa: znakomity hellenista Michał Jurkowski i równie znakomity historyk Józef Uldyński.

Rząd carski po prostu obawiał się wpływu na młodzież tych nieprzejednanych patriotów polskich i nieustrudzonych głosicieli prawdy.

Uniwersytet mieścił się zrazu w kilku wynajętych domach prywatnych, u wejścia na Pieczarsk, przy ulicy Lipki. Głównym gmachem szkoły był dom Korta, piętrowy, murowany, z dwiema oficynami. W jednej z sal obok portretów sławnych uczonych rosyjskich wisiał również portret Tadeusza Czackiego. Portret ten przeniesiono potem do gabinetu dyrektora Pierwszego Gimnazjum Męskiego.

Profesorowie i studenci mieszkali w małych, niskich domkach na Pieczarsku.

Większość studentów była również pochodzenia polskiego, a przy tym szlacheckiego. Przeważali jednak wśród nich synowie ubogich rodzin.

Między profesorami i uczniami wytworzyła się od razu silna więź wzajemnej sympatii i zaufania.

Studenci Polacy na wzór berlińskiej organizacji Polonia i warszawskiej Panta Koina utworzyli instytucję pomocy koleżeńskiej. Wybitni działacze studenci, Władysław Gordon i Franciszek Duchiniński założyli tajną bibliotekę, w której gromadzili przede wszystkim dzieła pisarzy polskich tworzących za granicą. Cóż sami, wspólnie ze Stanisławem Winnickim, Władysławem Strzelnickim i Ksawerym Pietraszkiewiczem, wyłonili koło spiskowe, które weszło w porozumienie z wołyńskim kołem Kaspra Maszkowskiego i Leonarda Lepkowskiego. Później wszyscy razem połączyli się z Konarskim.

Katastrofa konarszczyzny pociągnęła za sobą okrop-

ne spustoszenia w szeregach młodzieży polskiej w Kijowie, a także w Wilnie i Dorpacie.

Gordon i Duchiniński zdołali uciec za granicę. Winnickiego, Strzelnickiego, Pietraszkiewicza i wielu innych wysłano „w żołdacy” na Kaukaz. Kasper Maszkowski, Henryk Taube, Aleksander Popiel, Adam Obniski i Eustachy Serebnicki — powędrowali na wschód. Za nimi poszły jeszcze tysiące. A między nimi Julian Sabiński z Podola, brat tragicznego oficera saperów.

Likwidacją „kramoły” zajmował się świeżo mianowany gubernator kijowski Bibikow, weteran wojen napoleońskich.

Bibikow, który utracił rękę pod Borodinem, mawiał do aresztantów: „Wnukowie wasi o mnie mówić będą; mam tylko jedną rękę, ale żelazną”.

Satrapa ten wprowadził pewne novum w traktowaniu skazańców politycznych: kazał im golić głowy, skuwać ich razem z pospolitymi zbrodniarzami i tak pieszo pędzić do Orenburga i Tobolska. Jeden z nieszczęśliwych miał kulę zamiast nogi, a przecie szedł razem z innymi, dźwigając kajdany nałożone na jedną nogę własną, a drugą drewnianą. Był w liczbie tych pielgrzymów starzec siedemdziesięcioletni, który na jednym z noclegów zasnął, by się więcej nie obudzić.

Na dalekiej Syberii różne pokolenia Polaków łączyły się i podawały sobie ręce w nieludzkiej doli. Gdy konarszczycy dotarli na wyznaczone im miejsca, w tiumnym zamku w Akatju żył jeszcze i cierpiał Piotr Wysocki, a w Iszymie dogorywał obłąkany Seweryn Krzyżanowski.

Uniwersytet w Kijowie został zamknięty na rok.

Akademię Medyko-Chirurgiczną, w której też studiowało wielu Polaków, przeniesiono z Wilna do Petersburga.

Dzięki ideałom wolności i narodowości, jakie w słowie i czynie wyznawała młodzież polska na Kijowszczyźnie, wywierała ona wpływ na młodzież ukraińską, wśród której stale rosły dążenia do pracy w duchu narodowym dla swojego kraju.

Znaczną rolę w pierwotnych dziejach uniwersytetu i ukraińskim odrodzeniu narodowym odegrali profesorowie Ukraińcy, z których jeden, Michał Maksymowicz, znany historyk Rusi i zbieracz folkloru, przez szereg lat piastował godność rektora, drugi, Orest Nowicki, wykładał dzieje filozofii, a trzeci, Włodzimierz Cych, kierował katedrą historii powszechnej.

Sprawa Uniwersytetu Kijowskiego wyjaśniła się już w pierwszym dziesięcioleciu jego istnienia: uniwersytet nie stał się taką placówką, o jakiej myślał Mikołaj, kiedy podpisywał ukaz o otwarciu.

Jak Włochy dla Metternicha, tak samo Ukraina dla Mikołaja była tylko pojęciem geograficznym. Obawiał się tam jedynie „intrygi polskiej”. Do głowy mu nie przyszło, że kiedyś zetknie się również z „intrygą” ukraińską.

W roku tysiąc osiemset trzydziestym piątym Józef Jezowski, który był rodem z okolic Kaniowa, uzyskawszy amnestię, zamieszkał w Tahańczy, w powiecie kaniowskim, w gościnnym domu Dionizji Poniatowskiej.

Dionizja, urodzona w Kuryłówce na Podolu, była córką Dionizego Iwanowskiego i Felicji z Zaleskich, siostry majora Józefa Zaleskiego, emigranta i przyjaciela poety Bohdana, z którym nie łączyły go węzły pokrewieństwa, chociaż obaj nosili to samo nazwisko.

Dionizja wyszła za mąż za hrabiego Dariusza Poniatowskiego, syna eks-pułkownika wojsk polskich, Jó-

zefa, który na Kijowszczyźnie posiadał wielkie i świetnie zagospodarowane dobra.

Młoda Podolanka, błyszcząca niepospolitą pięknoscią i wysokim wykształceniem, była ozdobą nie tylko domu Poniatowskich, ale i całego społeczeństwa polskiego na prawobrzeżnej Ukrainie.

Jeżowski podziwiał jej życie. Było przepełnione różnymi obowiązkami, które nakładała na siebie z własnej, nieprzymuszonej woli. Kiedy mąż zwiedzał majątki i fabryki, ona, siedząc w domu, uczyła wiejskie dzieci i odwiedzała chore wieśniaczki.

W rok po przyjeździe Jeżowskiego do Tahańczy wybrała się Dionizja z mężem za granicę dla poratowania zdrowia. W miejscowości Kehl, nad brzegiem Renu, poznała się z Bohdanem Zaleskim. Odtąd aż do końca życia była dla poety Zoryną wymarzoną w młodości.

Jej kuzyn, Eustachy Iwanowski, pisujący pod pseudonimem Heleniusza, powiedział o nich: „Te dwie dusze są jak dwa akordy, które się zlewają w jeden głos. Wszystkie najpiękniejsze pieśni Bohdana są jakby wypowiedzeniem jej uczuć, są jakby przez nią natchnione”.

Istotnie, kto słyszał te pieśni pełne harmonii, prawie nie znanej w naszym języku, i słyszał Dionizję mówiącą o tradycjach muzycznych ludu ukraińskiego, musiał uznać, że „były to dwa głosy jednego serca, jednej duszy, kołysanej ukraińską piosenką”.

Dionizja powróciła do Tahańczy i zaczęła korespondować z Bohdanem. Poeta przysłał jej wkrótce swój poemat *Duch od stepu*, zawierający apoteozę Ukrainy.

Po *Zamku kaniowskim* Goszczyńskiego, po *dumkach* Gosławskiego, utwór Bohdana stanowił jeszcze jeden przejaw polskiej ekspiacji w stosunku do Ukraińców.



Monaster Wydubiecki. (Z cyklu: „Malownicza Ukraina”).  
*Taras Szewczenko. Akwaforta, 1844*





**W Kijowie. (Z cyklu: „Malownicza Ukraina”). Taras  
Szewczenko. Akwaforta, 1844**

Przebudziło się nasze sumienie narodowe. Idea naprawienia krzywdy wyrządzonej ludowi ruskiemu zakiełkowała i rozwinęła się potężnie w świadomości znacznego odłamu Polaków, a przede wszystkim młodzieży polskiej na Ukrainie. Z idei owej zrodziła się chęć, by przynajmniej w pieśni wynagrodzić krzywdy dziejowe tym, którym w życiu odmawiano sprawiedliwości.

Zaleski stwierdził wyraźnie:

Tęsknię odkupić w pieśniach dawne winy,  
Ale w głos zawsze Matki Ukrainy.

Dionizja Poniatowska była jedną z najzarliwszych przedstawicielek tego nurtu ekspacyjnego.

„Nikt nie zawinił, ile my — pisała do Bohdana — pokutuję ostro i długo. Och! lud nasz, biedny lud. Jeśli jak Kain znaku straszno nie nosim na czole, to chyba, żeśmy go nie dobili jeszcze...”

Dramat konarszczyzny nie ominął domu Dionizji. Jej matka i wujenka zostały zesłane w głąb Rosji. Po kilku latach wróciły wprawdzie, ale z nadszarpniętym zdrowiem.

Dionizja często odwiedzała Kijów. Mieszkał tam podówczas Konstanty Świdziński, który właśnie wygrał proces o Chodorkowszczyznę i osiedlił się na Ukrainie. Zapalony bibliograf i zbieracz starożytności, na książki sprzedał cały majątek i znalazł schronienie w Paszkówce u Edwarda Rulikowskiego, ziemianina, oddającego się badaniom heraldycznym.

W Kijowie spędzali obaj znaczną część roku na poszukiwaniach archiwalnych.

Świdziński stał się wkrótce postacią bardzo popularną w mieście zwłaszcza wśród kijowskich sfer wykształconych. Kiedy bawił w Kijowie, mieszkanie jego było jakby w oblężeniu. Stale tam przychodzili: ksiądz

Ignacy Hołowiński, Stefan Zienowicz, Michał Grabowski, Henryk Rzewuski, Tytus Szczeniowski, Gustaw Olizar, Józef Ignacy Kraszewski i Tomasz Potocki; z prawosławnych — Michał Maksymowicz i Michał Józefowicz. Przyjeżdżali z Wołynia trzej niestrudzeni krzewiciele oświaty i kultury, powieściopisarz Aleksander Groza oraz lekarze: Karol Kaczkowski i Leon Uszczapowski. Bywali od czasu do czasu starzy krzemieńczanie, profesorowie: Michał Jurkowski i Józef Ułdyński.

Bywała również Dionizja Poniatowska. Świdziński podziwiał jej erudycję oraz gruntowną znajomość dziejów polskich i literatury polskiej. Natomiast zbierające się u Świdzińskiego towarzystwo niezbyt życzliwie oceniało namiętne wywody Dionizji co do konieczności uwolnienia i uwłaszczenia chłopów.

Utworzono wtedy w Kijowie komisję do badania akt dawnych tak zwanej południowo-zachodniej Rosji, czyli prawobrzeżnej Ukrainy. Świdziński początkowo odgrywał tam główną rolę. Wkrótce jednak ustąpił miejsca Józefowiczowi.

Komisja, którą później nazwano archeograficzną, miała przecie udowodnić wszelkie prawa Rosji do tego kraju. No i w jak najgorszym świetle przedstawić dawne rządy polskie. Józefowicz był najpierw „dobrym Polakiem”, a później „istotnie ruskim” człowiekiem. Mógł z powodzeniem realizować cele wytknięte komisji przez Bibikowa.

Jako mąż zaufania władz gubernialnych, Józefowicz zajmował również stanowisko zastępcy kuratora kijowskiego okręgu szkolnego. Mówił również dobrze po polsku, jak po rosyjsku i po ukraińsku.

Świdziński po jakimś czasie znalazł pozór, aby go u siebie nie przyjmować.

#### IV

Perowski przed wyprawą na Chiwę szukał malarza, który mógłby mu towarzyszyć i uwiecznić na płótnie czy na papierze ciekawsze epizody. Briulow polecił mu Sternberga.

Kiedy Sternberg wyjechał, Szewczenko przyjął do mieszkania biednego studenta Polaka, niejakiego Leonarda Dębskiego. Znajomość dwóch młodzieńców zamieniła się niebawem w przyjaźń. Przyjaźń ta jakby na nowo ukształtowała charakter Tarasa.

Taras od czasu wyzwolenia z poddaństwa przeszedł pewną ewolucję. Przedtem długie lata był niesłychanie skryty i nieufny w stosunku do ludzi. Uczyniły go takim doznawane krzywdy, nieszczęścia i twarde warunki bytu. Nawet przyjacielski wpływ Dziuni nie dotarł do głębi tego serca, które chowało wszystkie gorętsze uczucia pod jakąś powłoką lodową. Po wyzwoleniu, znalazłszy się raptem w środowisku cygarnierii artystycznej, literatów i malarzy, upojony szczęśliwą zmianą losu, wpadł w drugą ostateczność: zaczął się przed każdym wywnętrzać, niczego w sobie nie tał; chodził z sercem na dłoni.

Wynikło stąd wiele bolesnych rozczarowań i nawet upokorzeń dla ambitnego chłopca. Niewiele brakowało, aby się znowu zasklepił i wrócił do dawnych, odludkowych narowów.

Przyjaźń ze Sternbergiem, człowiekiem spokojnym, wyrobionym towarzysko i rozsądnym, a miłym w obejściu, wniosła do nastrojów i usposobienia Szewczenki pierwiastek znacznej równowagi. Taras nauczył się od

niego prostej i nader praktycznej zasady: nie być mi-zantropem, ale też nie być wylewnym gadułą.

Sternberg ze swej strony umiał ocenić niezwykłą uczciwość, uczynność i bezinteresowność Tarasa.

Dzięki przyjaźni z Dębskim Szewczenko znalazł się jakby w innym świecie.

Był to świat myśli i uczuć tak podniosłych, że można by go porównać z platońskim światem idei.

Dębskiego spalały suchoty, miłość do Polski i pragnienie wiedzy. Uwielbiał Mickiewicza i Krasińskiego. Wzór człowieka i uczonego widział w Lelewelu. „Serce uzacnić, umysł podnieść” — taką za wileńskim profesorem lubił powtarzać maksymę. I tej maksymy wiernie się trzymał w całym swym życiu.

Marzył o tym, aby zostać historykiem podobnym do Lelewela. Chodził na wykłady, szperał po bibliotekach — głowę miał nabitą myślami o różnych sprawach historycznych. Erudycją górował nad wszystkimi kolegami.

Utrzymywał stały kontakt z uczonymi polskimi w Rosji — z Ignacym Onacewiczem, który podówczas mieszkał i pracował w Petersburgu, oraz z Ignacym Daniłowiczem, którego właśnie przeniesiono z Kijowa do Moskwy. Pisywał nawet do Józefa Uldyńskiego. Stary profesor zamknął się w swoim małym domku krzemienieckim i żył tam niby cień tej szkoły, którą ukochał równie gorąco jak ojczyznę.

Dębski żył nędznie, chodził głodny, w dziurawych butach, ale wciąż kupował książki i czasopisma. Miał w swojej biblioteczce dzieła w kilku językach, a między innymi polskie wydawnictwa emigracyjne. W Petersburgu było ich pod dostatkiem. Niektóre księgarnie, jak na przykład Bellizarda czy Isakowa, handlowały nimi prawie jawnie.

Jako zwolennik Lelewela, był Dębski demokratą.

Wtajemniczył Szewczenkę we wszystkie główne sprawy wychodźstwa polskiego. Opowiadał mu o Towarzystwie Demokratycznym, o Zjednoczeniu Emigracji Polskiej, o Młodej Polsce i Gromadach Ludu Polskiego. Mówił o Worcellu, Świętosławskim i Krępowieckim.

Ze słów Dębskiego biła natchniona wiara w odrodzenie Polski i w jasną przyszłość wszystkich ludów Europy.

Dębski dawał Tarasowi lekcje francuskiego. Czytali razem i tłumaczyli książki francuskie. Student miał ich sporo i wciąż sprowadzał nowe. Zaczęli od lekkich romansów Paul de Kocka, a skończyli na poważnych utworach Lamennais'go: *Paroles d'un croyant* i *Le livre du peuple*. Była to dla Tarasa lektura oszałamiająca.

Dębski opowiadał Tarasowi o Mazzinim i konspiracjach narodowych włoskich. Opowiadał o „niesmiertelnych cudach Italii”, o skarbach sztuki włoskiej, niszczonej albo wywożonej przez napastnicze hordy. Opowiadał o Wenecji, która po tysiącletnim z górą panowaniu na morzach, osiągnąwszy szczyty kultury materialnej i duchowej, wpadła w haniebną niewolę. Tym oryginalnym, niewiarygodnie pięknym, pełnym wspaniałych zabytków miastem rządzi brutalne żoldactwo austriackie. Na misternie rzeźbionych masztach, kilkaset lat temu wzniesionych przed bazyliką Świętego Marka, łopocą czarno-żółte flagi monarchii habsburskiej.

Dębski czytał Szewczence wyjątki z artykułu o Wenecji, napisanego po francusku przez jednego z emigrantów polskich.

„Ainsi l'ignorance et la force l'emporteront toujours sur la civilisation et le talent? La tyrannie donc

sera sûre à jamais de sa proie et sans crainte de punition? Le mal régnera en maître et les lumières s'évanouiront à son approche?"<sup>1</sup>

Bolał on nad upadkiem Wenecji, ale widok jej poniżenia nie gasił w nim wiary w odrodzenie tego kraju; kończył swój piękny artykuł słowami:

„Il viendra un temps où le mal reculera devant le bon et le beau, où l'ignorance et les ténèbres s'écouleront devant des torrents de lumière, où le despotisme tremblera de crainte et s'agenouillera devant la Liberté. Venise sera”.<sup>2</sup>

Dębski, jakby trawestując i objaśniając zarazem ostatnie słowa artykułu, dodał z wiarą:

— Polska będzie.

Taras nic nie odpowiedział. Myślał o Ukrainie. Sicz Zaporoska, ostatnia ostoja niezawisłości ukraińskiej, padła w tym samym prawie czasie co Republika Wenecka i Rzeczpospolita Polska. Włosi i Polacy nie ustawali jednak w dążeniach do odzyskania niezależnego bytu państwowego. W Wenecji i w Polsce powstawały wciąż nowe ruchy wyzwolenicze, ożywczo wpływające na świadomość innych uciśnionych narodów. Tylko na Ukrainie było głucho. Może nie całkiem, ale prawie głucho. Między marzeniem o niepodległej republice kozackiej a beznadziejną rzeczywistością była przepaść. Czy ją się kiedykolwiek uda zasypać? Rzecz nie do wiary...

---

<sup>1</sup> Więc nieuctwo i siła zawsze będą górowały nad cywilizacją i talentem? Więc tyrania zawsze będzie pewna swego łupu i bezkarna? Zło będzie panowało bezwzględnie, a światła będą gasnąć przy jego zbliżaniu się?

<sup>2</sup> Przyjdzie czas, kiedy zło ustąpi przed dobrem i pięknem, kiedy nieuctwo i ciemnota cofną się przed strumieniami światła, kiedy despotyzm zadrży z trwogi i padnie na kolana przed Wolnością. Wenecja będzie.

Dzięki Dębskiemu zaczął Szewczenko systematycznie obcować z literaturą polską. Książki polskie mógł bez trudu czytać w oryginałach.

Szpecially zainteresowali go poeci i pisarze opiewający Ukrainę i jej rycerskie a tragiczne dzieje: Zaleski, Goszczyński, Malczewski, Tarszo i Groza.

Kiedy czytał:

...Boże! łzami modłę Ciebie,  
Jak umrę, daj mi Ukrainę w niebie!

wydawało mu się, że słowa te są wzięte z jego własnego serca. Ale gdy głębiej wniknął w czytane utwory, „miły” Zaleski mniej mu się spodobał niżli „surowy” Goszczyński.

W Goszczyńskim dostrzegł mądrość i szlachetność człowieka, który wznosił się ponad przyjęte niemal powszechnie w jego społeczeństwie, jednostronne i jednoznaczne potępienie ruchawki hajdamackiej.

U Zaleskiego rzucała się w oczy dążność do wydobycia z przeszłości tylko rzeczy przyjemnych i poetycznych. Zaleski upiększał historię.

W artykule Goszczyńskiego o Ukrainie i rzezi humanicznej znalazł Szewczenko krótkie, rzeczowe streszczenie dziejów Kozaczyzny, ciekawą i życzliwą charakterystykę jej głównych bohaterów, Chmielnickiego i Mazepy, nie mniej życzliwą ocenę konfederacji barskiej, tudzież pewne nie znane mu szczegóły bojów hajdamackich, świadczące o bezstronności autora.

„Z polskim wojskiem — pisał Goszczyński, opowiadając o ostatnich chwilach ruchawki — porozumieli się teraz i Moskale na zgubę hajdamaków, nędzny koniec ich zawodu. Pułkownik moskiewski szedł oddzielnie, udając, że im sprzyja, stanął tuż przy nich obozem i posłał Goncie, niby na znak dobrej przyjaźni, złoty łańcuch, który miał znaczyć zgotowane mu kajdany,



przy czym na wieczerzę go zaprosił. Nie zapomniano i o podwładnych. Wieczerza długa, napoju do woli; na-  
zajutrz ujrzeni się hajdamacy okutymi w kajdany  
wśród Polaków i Moskali. Wkrótce nastąpiło wymie-  
rzenie kary. Była ona dopełnieniem okrucieństw, ja-  
kie hajdamacy nad Polakami wywierali. Rozwożono  
tych nieszczęśliwych w różne miejsca i rozmaicie wy-  
myślnymi sposobami mordowano. Gontę stracono w Hu-  
maniu. Podanie twierdzi, że z nadzwyczajną stałością  
przeniósł wszystkie męczarnie. Darto z niego pasy,  
ówiartowano żywcem, zdjęto skórę z głowy, a on cały  
czas fajkę palił i książkę czytał, póki mu głowy nie  
ścięto.”

Za radą Hrebinki przygotowywał Taras do druku  
swoje wiersze. Część miała być ogłoszona w almana-  
chu „Łastiwka”, część zaś w osobnej książeczce.

Jednocześnie zajął się dużym poematem historycz-  
nym, któremu nadał tytuł *Hajdamacy*. Szukał wciąż  
nowych źródeł i materiałów. Pomagali mu w tym Dęb-  
ski i Hrebinka.

Z Dębskim toczył długie dyskusje na temat *Historii  
Rusów*.

Student starał się przekonać Tarasa, że autor książ-  
ki, która zresztą nie była drukowana, lecz rozchodziła  
się w licznych i zapewne niezbyt dokładnych odpisach,  
skrótach i wyciągach, posługuje się celowo metodą  
przeistaczania i naginania faktów albo nawet cał-  
kowitego ich zmyślenia. Powoływał się na opinie  
Onacewicza, Daniłowicza i Uldyńskiego. Z oburze-  
niem wskazywał na to, jak niezgodna z prawdą hi-  
storyczną jest opowieść o zamurowaniu żywcem Ko-  
sińskiego i spaleniu Ostranina w jakimś „miedzianym  
byku”.

Taras bronił autora. Przytaczał sądy Markiewicza i Hrebinki. Kiedy zaś Dębski powiedział mu o studiach Skalkowskiego, w których hajdamacy zostali przedstawieni jak zbóje, Taras wybuchnął:

— Skalkowski kłamie!

Wciąż się znajdował pod urokiem *Historii Rusów*, ponieważ biło z niej uwielbienie Ukrainy.

— To źródło jest zatrute — wołał Dębski, krztusząc się i kaszląc — zatrute nienawiścią i szowinizmem!

I znów się powoływał na Lelewela. Lelewel bardzo krytycznie odnosił się do dziejów Polski. Lelewel widział tam pełno błędów. Ukazywał je, aby uchronić naród od popełniania ich w przyszłości. Lelewel nikogo nie nienawidził, nawet kiedy miał po temu racje. Taki powinien być prawdziwy patriota.

Zresztą sporów zasadniczych między Dębskim a Szewczenką nie było i być nie mogło: Dębski był tych samych zapatrywań, co Goszczyński. Chciał tylko prostować mylne oceny historyczne Tarasa, chciał w nim wyrobić rzetelność badawczą.

Szewczenko czytał mu gotowe fragmenty *Hajdamaków*. Dębski chwalił wiersze, ale zarazem wyrażał pewne wątpliwości.

— Twoi hajdamacy wyglądają jak prawi rycerze, a konfederaci jak łotry bez czci i wiary. Czyżbyś hajdamakom nic nie miał do zarzucenia? Pochwalasz to, co robili? Wszystko bez wyjątku?

O konfederatach barskich opowiadał mu długo i z przejęciem. Oczywiście, mieli dużo wad, popełnili dużo błędów. Jednak byli to patrioci, którzy nie wahał się poświęcić życie dla ojczyzny. Walczyli z obcą interwencją. Walczyli odważnie. A za swoje winy odpokutowali ponad wszelką miarę.

Dębski przyniósł książeczkę napisaną przez jednego z konfederatów, któremu udało się uciec z niewoli.

W czasie konfederacji dziesięć tysięcy Polaków poszło na Sybir. Z tej masy ludzkiej wróciła tylko garstka. Mimo iż byli poddanymi polskimi, wcielono ich do wojska carskiego. I kazano walczyć za obcą sprawę. Tych, którzy opierali się narzucanej im przysiędze, karano okrutnie, bito, aż ciało odpadało od kości, zamknięto w karczerach o chlebie i wodzie. I tak stopniowo wciągnięto ich do służby na lat dwadzieścia pięć, to znaczy — na całe życie.

Dębskiemu głos się łamał ze wzruszenia, oczy mu zachodziły łzami, gdy czytał:

„Wielu jednak bohatersko przeniosło męczarnie niewoli, wytrwałością i hartem duszy zwyciężyli prześladowców i wrogów, zdziwiwszy ich i strwożywszy. Stąd te wszystkie cierpienia naszych więźniów, niewolników Syberii, należy rozmyślać, niejako w koronkę je wiązać i tworzyć z nich narodową modlitwę naszą!”

Szewczenko słuchał z nie mniejszym wzruszeniem. Jednak zmysł krytyczny, rozwinięty przez rozmowy z Dębskim, a zarówno przez lekturę dzieł Goszczyńskiego i Lelewela, podsunął mu pewną refleksję: konfederaci byli to szlachcice i z natury rzeczy mieli na sumieniu niejedną grzech wobec chłopów na Ukrainie. Koronka ukraińskiej modlitwy narodowej musiałyby się składać z nieco innych paciorków.

Kiedy pogoda dopisywała i Dębski czuł się lepiej, urządzali sobie przechadzki po Petersburgu.

Zatrzymywali się nad Newą koło Pałacu Zimowego i patrzyli na wyspę, gdzie stała twierdza Petropawłowska. Jej bastiony najeżone były działami skierowanymi na rzekę i na miasto. W kazamatach siedzieli przestupniki gosudarstwa, czyli więźniowie stanu. Z boku mieściła się cerkiew, a w jej podziemiach — usypalni-

ca, czyli miejsce wiecznego spoczynku monarchów rosyjskich.

Na wysokiej wieży cerkiewnej sterczał potężny, niesamowicie duży i gruby mosiężny szpic. Wyglądał jak maczuga wzniesiona nad wyspą, nad miastem, nad Rosją...

Car z okien pałacu mógł codziennie ołowianym spojrzeniem lustrować ten pomnik imperium — grobowiec martwych i żywych.

Na jednym z placów dwaj przyjaciele mogli podziwiać dzieło Falconeta — konny posąg Piotra. Zwierzę stało dęba i, rzekłbyś, gotowe było stratować cały świat. Cóż dla niego znaczyła Polska albo Ukraina!

Piotr całą postacią wyrażał potęgę. To był ten władca, który wedle słów Mickiewicza:

W głąb ciekłych piasków i błotnych zatopów  
Rozkazał wpędzić sto tysięcy pałów  
I wdeptać ciała stu tysięcy chłopów...

Dębski opowiadał dzieje tego nowego Babilonu, miasta, które wyrosło z nieprawości.

Ileż wymyślić trzeba było spisków,  
Ilu niewinnych wygnać albo zabić,  
Ile ziem naszych okraść i zagrabić,  
Póki krwią Litwy, łzami Ukrainy  
I złotem Polski hojnie zakupiono  
Wszystko, co mają Paryże, Londyny...

Mówił też o męczeństwie sybirskim Kozaków, o tym, jak wybrańcy i przywódcy ludu ukraińskiego torowali drogę z Małorosji na Sybir, rozpoczętą za cara Aleksego i już nie poniechaną przez jego następców. Wygnaniami tymi carat udowodnił swoje prawo władcze, a Małorosja otrzymała naukę poddańczej wierności Petersburgowi. Szli drogą hetmani ukraińscy i puł-

kownicy: Mnohohrisnyj, Samożłowicz, Palij, Wojnarski...

W twierdzy Piotra i Pawła po długich latach męczarni zakończył życie hetman Pawło Połubotok. W podziemiach monasteru Sołowieckiego gnił żywcem całe ćwierćwiecze ostatni ataman koszowy Siczy Zaporoskiej Petro Kałnyszewski.

Sympatie Dębskiego do Ukrainy i jej ludu były niewątpliwe, szczere i serdeczne. Miały przy tym głęboką podstawę intelektualną, płynęły z szerokiej znajomości dziejów i nieustannych rozmyślań. Ale gdy rozmowa schodziła na sprawę przyszłej niepodległej Polski, zawsze się okazywało, że Dębski, idąc za swoim ubóstwianym Lelewelem, nie wyobrażał sobie ojczyzny inaczej niż w granicach przedrozbiorowych, a więc tak samo, jak wszyscy ówczesni Polacy. Tylko w odróżnieniu od „czartoryszczyków”, od ludzi kierunku zachowawczego, on, demokratą, uważał, że Polska ma historyczny i moralny obowiązek zatroszczyć się o ludy Litwy i Rusi: pierwsza rzecz — wyrwać je z łap caratu, a druga — dać im pełnię praw obywatelskich. Oczywiście, w obrębie wspólnej państwowości.

Szewczenko odniósł się dość nieufnie do tej koncepcji. Zwłaszcza, że u Hrebinki poznał wielu Rosjan, zarówno lojalnych w stosunku do caratu, jak i usposobionych wręcz buntowniczo, którzy również ze swojego, rosyjskiego, punktu widzenia pretendowali do roli opiekunów Litwy i Rusi.

Sprawa była zawikłana. Nie tak dawno jeszcze car Aleksander nosił się z zamiarem połączenia tak zwanych guberni polskich z Królestwem i utworzenia wielkiego państwa polskiego pod berłem carów rosyjskich. Mikołaj zdecydował się na rusyfikację nie tylko tych guberni, ale i Królestwa.

Spiski polskie, nieustannie się zawiązujące, działa-

ły na całym obszarze dawnej Rzeczypospolitej. To jeszcze bardziej jątrzyło Mikołaja na Polaków. Zwłaszcza że wśród spiskowców wielu było prawosławnych, Białorusinów i Ukraińców.

Właśnie u Hrebinki przedstawił się kiedyś Szewczenko młody, przystojny oficer gwardii:

— Mombelli.

Wkrótce rozmawiali z sobą jak starzy i dobrzy znajomi. Oficer był wykształcony, odcytany; poglądy miał bardzo radykalne, zbliżone do furieryzmu.

Opowiadał Szewczenko o wypadkach we Francji, o uwięzieniu Blanquiego i Barbèsa, o Młodej Europie, o Mazzinim i Garibaldim.

Piętnował służalczość rosyjskich sfer oświeconych wobec cara i jego urzędników. Szydlił z profesorów uniwersytetu, którzy zginali się w pałak przed głupim generałem Dubeltem, od niedawna pełniącym obowiązki szefa Wydziału Trzeciego carskiej kancelarii, czyli po prostu szefa łapaczy. Zniżając głos do szeptu, z zachwytem mówił o Lermontowie, który swój męzny nonkonformizm przypłacił życiem.

Mombelli dał Szewczenko wiersz Lermontowa, zaczynający się od słów:

Nastaniet god, Rossii czornyj god,  
Kogda cariej korona upadiot...<sup>3</sup>

Na Szewczenkę wionęło jakby tchnienie nowej *Apokalipsy*. Trafiły mu do serca, wstrząsnęły jego wyobraźnię prorocze słowa poety.

Mombelli opowiedział Szewczenko o tragicznym pojedynku, zakończonym śmiercią Lermontowa. Fama głosiła, że „wypadek” spowodowali agenci tajnej policji carskiej.

---

<sup>3</sup> Nadejdzie rok, Rosji czarny rok, || Kiedy korona carów upadnie...

Z kolei Taras opowiedział oficerowi o rozmowach z Dębskim na temat okrucieństw popełnianych przez carat i na temat przyszłych losów Polski i Ukrainy w ujęciu tegoż Dębskiego. Mombelli odrzekł:

— Ten Dębski to niewątpliwie dobry człowiek i szczerzy jakobin. Wśród Rosjan również trafiają się tacy. Ale zarówno polscy, jak i rosyjscy patrioci popełniają ten sam błąd: spierając się o prawa do Litwy i Rusi, zapominają, że ludność tych krajów również ma coś do powiedzenia.

Mombelli zanotował w dzienniku: „Taras Szewczenko jest bardzo zdolnym poetą, oddanym swojej ojczyźnie. Z nieufnością jednak odnosi się do Rosjan”.

## V

W końcu grudnia Sternberg powrócił z nieudanej wyprawy chiwańskiej i znów zamieszkał z Szewczenką. Dębski wynajął sobie pokój na przedmieściu.

Taras często go odwiedzał. Student coraz bardziej zapadał na zdrowiu, coraz silniej kaszlał i płuł krwią. Nie zdawał sobie jednak sprawy z grożącego mu niebezpieczeństwa; opowiadał Tarasowi o swoich planach na przyszłość, o dysertacji, do której zbierał materiały.

Pracował bez wytchnienia. Albo się uczył, albo przeglądał pisma i druki emigracyjne, albo za nędzne grosze przepisywał bogatym kolegom skrypta z wykładów. Musiał z czegoś żyć.

Taras często przynosił mu chleba i kielbasy. Student przyjmował te koleżeńskie dary z najpromienniejszym uśmiechem wdzięczności. Tarasa łyzy dusiły, gdy na niego patrzył.

Nie przebrzmiały jeszcze echa konarszczyzny. Żywe były jeszcze wspomnienia wileńskiej egzekucji.

Dębski trząsł się z gniewu, czytając Tarasowi pisemka, w których wstecznicтво polskie usiłowało zohydzić pamięć bohatera.

Pokazał mu też „Północ” Konarskiego, której szesnastcie numerów przechowywał z pietyzmem. Pożółkłe numery „Północy” mówiły między innymi o tragicznym losie uczestników spisku grudniowego. Umieszczone tam było sprawozdanie z procesu i treść wyroku, skazującego pięciu najlepszych Rosjan na śmierć przez ćwiartowanie. Car w drodze łaski kazał ich powiesić.

Dębski porównywał Konarskiego z Pestelem. Obydwóch cenił i cenił jednakowo, chociaż Konarskiemu przypisywał większe zdolności organizacyjne.

W numerze trzecim „Północy” była mowa o konieczności zjednoczenia Słowian i o tym, że w wypadku wojny europejskiej, której wszyscy spodziewali się podówczas, Polska stanie na czele narodów słowiańskich.

Dębski zapoznał Szewczenkę z ideą panslawizmu, którą wyrażali i szerzyli pisarze czescy, Szafarzyk, Hanka, Kollar. Mówił też o panslawizmie polskim, głoszonym przez Adama Mickiewicza i Bohdana Zaleskiego.

Wyszedł właśnie rosyjski przekład artykułu Jana Kollara *O literackiej wzajemności plemion i narzeczy słowiańskich*.

Szewczenko przeczytał tę pracę z zapartym tchem. Zawierała mnóstwo ciekawych rzeczy. Tylko ta niesłychana pokora wobec monarchów. To było podejrzane. To niemiłe uderzyło Tarasa.

Dzięki Dębskiemu zrozumiał myśl przewodnią rozwijającego się panslawizmu moskiewskopetersburskiego.

Dębski opowiedział Tarasowi o renegacie Adamie



Gurowskim, który w czasie powstania listopadowego w Warszawie grał rolę patrioty i demokracji, przemawiał nawet na uroczystym obchodzie ku czci dekabrystów, później na emigracji był jednym z członków założycieli Polskiego Towarzystwa Demokratycznego, a teraz przyjechał z zagranicy do Petersburga, aby odwiedzić rodzoną siostrę, baronową Frederiks, damę dworu, przyjaciółkę i powierniczkę cesarzowej.

Zapytany przez kogoś, czy to prawda, że jest panslawistą, hrabia Gurowski odrzekł:

— Doszedłem do przekonania, że polityczny charakter moich ziomeków nie stosuje się wcale do posiadania egzystencji niepodległej. Odrębne istnienie Polski ze stanowiska słowiańskiego byłoby potwornością historyczną.

Obecny przy tej rozmowie Henryk Rzewuski dodał:

— Polacy z wyroków boskich już zostali częścią potężnego stowarzyszenia Rosjan.

Deklaracje dwóch hrabiów stały się głośne w całej Polsce.

Po kilku latach dopiero dowiedziano się w Petersburgu o szczegółach tragedii, która się rozegrała na dalekiej Syberii, pod Omskiem.

Ksiądz Sierociński, doktor Szokalski z Wilna i kilku innych zesłańców postanowiło zorganizować ucieczkę wszystkich znajdujących się tam Polaków. Spisek wykryto, a jego przywódców skazano na przejście „skwoż stroj”, czyli tak zwaną zieloną ulicą. Każdy miał dostać sześć tysięcy pałek.

Dębski przeczytał Tarasowi urywek listu jednego ze swoich krewniaków, zesłańca, który cudem powrócił z syberyjskiego piekła.

„Mróz był trzaskający; bito spiskowych różgami

w plecy obnażone; po końcach szpaleru ustawionego z żołdatów stała w konwiach wódka, wolno ją było im pić; każdy skatowany po użyciu trunku padał zaraz nieżywy. Sierociński skonał pod kijami przed odebraniem wyznaczonej kary, choć nie pił okowity; resztę pałek dobito na trupie. Doktor Szokalski przeżył katorżnię, ale takie na nim to straszne wrażenie zrobiło, że obłąkany życie sobie odebrał.”

W kółku Hrebinki było wielu Ukraińców, którzy zajmowali posady w różnych urzędach. Jeden z nich pracował w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. Opowiadał on, że ministerstwo rozesłało okólnik do guberni obfitujących w brzozy i nakazało gromadzenie zapasu różeg, aby mogły się w to cenne narzędzie wymiaru sprawiedliwości zaopatrywać gubernie pozbawione lasów brzozowych. Różgi szybko się zużywały. Ludzie byli wytrzymalsi. A przy tym różgi nie mogły być pierwsze lepsze. Jedną z konferencji u cara poświęcono wyłącznie tej sprawie. Car po namyśle zdecydował, iż różgi muszą być tak grube, aby najwyżej trzy się mogły zmieścić w lufie karabinu. Lufa miała dosyć okazałą średnicę.

W tysiąc osiemset czterdziestym roku w drukarni Riszera w Petersburgu wyszedł tomik poezji Tarasa Szewczenki pod tytułem *Kobzarz*. Była to zasługa Hrebinki i niektórych jego znajomych. Sternberg ozdobił książeczkę ilustracją przedstawiającą lirnika z teorbaniem, chłopcem-prowodyrem i psem.

Książeczka zawierała osiem utworów, w tej liczbie poemat *Kateryna*, poświęcony Wasilijowi Żukowskiemu „na pamiątkę dwudziestego drugiego kwietnia tysiąc osiemset trzydziestego ósmego roku”. Była to data wyzwolenia Szewczenki z poddaństwa.

Wkrótce Sternberg w towarzystwie znanego już podówczas malarza-marynisty Ajwazowskiego wyjechał do Włoch.

Dębski i Szewczenko z niecierpliwością czekali na recenzje z *Kobzarza*. Były różne. Ale wszyscy recenzenci, nie wyłączając najbardziej niechętnych, przyznawali autorowi duży talent poetycki. Najgwałtowniej napadli na Szewczenkę dwaj renegaci: Ukraińiec Nikitenko i Polak Sękowski. Obaj pomstowali na to, że tak zdolny poeta posługuje się „sztucznym” i „nie istniejącym” językiem. Nikitenko nawet twierdził, że autor *Kobzarza* po prostu przekręca i przerabia po „chochłacku” mowę rosyjską. A przecież gdyby pisał po rosyjsku, mógłby naprawdę zająć wybitne miejsce w literaturze.

Bardzo wysoko — rzecz dziwna! — ocenili poezje Szewczenki najzjadlejsi obrońcy samowładztwa, Grecz i Bułharyn, chociaż i oni do literatury ukraińskiej odnosili się niechętnie. Zapewne uważali, że imperium jest tak scementowane, iż sobie może pozwolić nawet na twórczość regionalną.

Było jeszcze kilka innych, dosyć przychylnych recenzji. Na ogół talent młodego poety nie pozostawiał wątpliwości. Jednakże krytyka rosyjska w utworach pisanych językiem „małorosyjskim”, uważanym przez jednych za język martwy, a przez drugich za zwykłą gwara ludową, węszyła tendencje antymonarchiczne.

Cenzorzy usunęli z tekstu *Kobzarza* wszystko, co trąciło najmniejszą bodaj aluzją do nieszczęsnej doli Ukrainy, która

...syrotoju

Ponad Dniprom płacze —<sup>1</sup>

nad którą

---

<sup>1</sup> ...jak sierota || Ponad Dnieprem płacze —

...oreł czornyj  
Storożem litaje...<sup>2</sup>

Dosyć jednak zostało w *Kobzarzu* ustępów przepojonych niewątpliwym patriotyzmem i budzących tęsknotę za utraconym rajem swobody kozackiej, za owymi czasami, kiedy rycerze zaporoscy

Panuwały, dobuwały  
I sławu, i wolu.<sup>3</sup>

Może dlatego, że obok tych ustępstw znajdowały się inne, w których autor opowiadał o zwycięstwach Kozaków nad wrażymi Lachami, o tym, jak

...laszky-panky  
Pokotom leżały.<sup>4</sup>

Na współrodakach poety *Kobzarz* sprawił wrażenie wręcz piorunujące. Czegóż podobnego nikt się już nie spodziewał. Ta nieduża książeczka budziła naród z letargu.

W Charkowie dwaj młodzi poeci, Aleksander Korsun i Mikołaj Kostomarow, dorwawszy się do *Kobzarza*, jak stanęli na ulicy, tak stali dotąd, dopóki nie przeczytali go od początku do końca.

A stary Kwitka-Osnowjanenko napisał do autora, jak zwykle półzartem, że przy czytaniu jego wierszy włosy mu na głowie dęba stanęły, choć ich ma niewiele.

Piotr Hułak-Artemowski wyraził najwyższy zachwyt.

Wiść o *Kobzarzu* obiegła niebawem całą Ukrainę. Kto nie mógł dostać książeczki na własność, ten ją pożyczął od sąsiadów i przepisywał.

---

<sup>2</sup> ...orzeł czarny || Lata i strózuje...

<sup>3</sup> Panowali, zdobywali || I sławę, i wolność.

<sup>4</sup> ...laszkowie-pankowie || Pokotem leżeli.

Popularność Szewczenki ugruntowała się dosłownie w ciągu kilku miesięcy.

A on tymczasem pisał dalej *Hajdamaków*.

Chcąc sprawdzić swoje pomysły, parokrotnie wysyłał gotowe rozdziały Osnowjanence. Stary literat gorąco zachęcał go do dalszej pracy.

Z Dębskim miał osobne na ten temat rozmowy. Student wciąż przekonywał Tarasa, że nazbyt jednostronnie ujmuje sprawę. Radził mu pogłębić wiedzę o przedmiocie. Taras przeczytał *Historię Polski* Bandtkiego.

Razu pewnego Dębski znowu przyniósł plik wydawnictw emigracyjnych. Pokazał Tarasowi list wygnańców polskich, na wyspie Jersey internowanych, do Gromady Grudziąż.

Czytał: „Nie ogłaszamy się przyjaciółmi Ludu, bo Ludem być chcemy...” „W panowaniu króli, szlachty i klasy pieniężnej leży główna przyczyna poniżenia niemoralnego mas...” „Lud na koniec zechce być wolnym...” „Sam własnymi siłami o nią się postara, a wtenczas zagrzmi głosem władzy i zniszczy do szczętu wszystko, co na przeszkodzie dobru Jego stawać się ośmieli...”

I dalej: „Zawijazujemy się w Gromadę, której nazwisko «Gromada Humań» nadajemy”.

Dębski spostrzegł zdumioną minę Tarasa i powiedział:

— Tak, to napisali Polacy, nie Ukraińcy. W dodatku szlachcice. Uczestnicy powstania listopadowego. Domyślasz się, jaki powstał huczek. Pismo „Nowa Polska” dopatrzyło się już w samej nazwie uwielbienia dla hajdamackich nożów.

— I co na to Gromada Humań?

— Odpowiedziała drugim listem. Posłuchaj.

Dębski znowu czytał: „Rozpamiętywanie błędów ojców naszych, za które dziś Ojczyzna i my srogą chło-

stę nieba ponosim, kazało nam palec do najboleśniej-  
szej z ran przyłożyć. Dzieci Humania, szlachta, nam go-  
dziło się wziąć imię tego teatru okropności, aby przed  
niebem, Ojczyzną i ludźmi pokorną ekspiację za winy  
ojców spełnić. Nam godziło się przybrać nazwisko Hu-  
mania, abyśmy z ludnością Ukrainy, z ludnością grecką,  
zawarli przymierze odrodzenia, sojusz przyszłości;  
abyśmy w wspólnej pamiętce zatarli wspólne cierpie-  
nia, abyśmy za prześladowanie Ludu Ukrainy, za wy-  
wołane najstraszniejsze reakcje, tym samym nazwi-  
skiem obmyli wspólną nienawiść, zmazali krwawe pa-  
miątki”.

— Wiedz o tym, Tarasie — powiedział z płonącymi  
oczami Dębski — że uczciwość i bezstronność w ocenie  
tego tragicznego sporu powinna obowiązywać obydwie  
strony. Tak uczy Lelewel.

Taras wieczorem długo nie mógł zasnąć. Wspominał  
opowieści dziadka, myślał o swoich przodkach, wol-  
nych Kozakach. Przyszły mu na pamięć słowa Go-  
szczyńskiego: „Nietolerancja księży katolickich i nie-  
ludzkość panów dały im broń w rękę przeciw Polsce...”  
I jeszcze: „Zdaje się, że bunt polskich Ukraińców w ro-  
ku tysiąc siedemset sześćdziesiątym ósmym był ostatnią  
konwulsją konającego ciała Kozaków”.

Ciało Polski też zostało złożone do grobu. Jednak Po-  
lacy wierzą w zmartwychwstanie ojczyzny. Pierwszy  
Dębski w to wierzy, chociaż jemu samemu grozi rychła  
śmierć. Na myśl o chorym przyjacielu ogarnęło Ta-  
rasa wzruszenie. Chciał komuś przekazać swoje uczu-  
cia choćby na papierze. Zaczął pisać list do So-  
szenki.

„Mój Drogi! Dni Dębskiego są policzone. Nie wiem,  
czy dożyje do wiosny. Nie wyobrażasz sobie, jak mnie  
to przygnębia. To święty człowiek. Trudno nawet  
w przybliżeniu określić, ile mu zawdzięczam.”

Już miał Szewczenko gotowy prawie cały poemat, kiedy zaszedł wypadek, który nim wstrząsnął do głębi, zgniwał go i oburzył.

Andrzej Krajewski, wydawca miesięcznika „Otczestwiennyje zapiski”, powierzył dział krytyczny w tym piśmie Bielińskiemu. Ten zaś jedną z pierwszych recenzji poświęcił *Łastiwce* Hrebinki. Hrebinka i Szewczenko nie mała się napracowali, żeby ten almanach wydać. A tu Bieliński rozprawił się z nim bezlitośnie.

Recenzja jego była pamfletem wymierzonym przeciwko literaturze ukraińskiej i przeciwko tematyce ludowej w utworach literackich. Jezyk ukraiński uznał recenzent za narzecze regionalne, którym posługują się wyłącznie chłopci. Od czasów Piotra Pierwszego szlachta ukraińska przejęła jezyk rosyjski wraz z rosyjskimi zwyczajami i kulturą, twierdził Bieliński. A chłopci nie tworzą kultury i nie stanowią narodu. Najlepszym dowodem twórczość Gogola, który kochał Ukrainę, ale nie odważył się pisać o niej po małosyjsku. Dlatego też zdobył sobie taką sławę. A w ogóle sztukę i literaturę mają tylko narody, które żyją samoistnym bytem politycznym.

Szewczenko natychmiast dorobił wstęp do *Hajdamaków* i dał odpowiedź krytykom:

Spasybi za radu!  
Tepłyj kozuch, tilko szkoda —  
Ne na mene *szytyj*,  
A rozumne wasze słowo  
Brechneju pidbyte.  
Wybaczajte! Kryczit' sobi,  
Ja słuchať ne budu!  
— — — — —  
Bude z mene, poky żywu,  
I mertwoho słowa!<sup>5</sup>

---

<sup>5</sup> Dziękuję za radę! || Ciepły kozuch, tylko szkoda — || Że nie na mnie szyty. || A rozumne wasze słowo, || Kłamstwem

Od Kwitki dostał wkrótce serdeczny list, podtrzymujący jego stanowisko. „Spasybi wam — pisał Osnowanenko — szczo ne dywyteś u wiczi tym durniam kacapam, szczo, nie umiwszy naszoji mowy i ne rozibrawszy u neji niczoho, kryczat’: «My nie panimajem-sta niczawo!» Spasybi, szczo plujete na se, ta ne perestajete pysaty.”

Nie tylko wstęp dorobił Taras do *Hajdamaków*. Przygotowując poemat do druku zaopatrzył go również w posłowie. Starannie przepisał je na czysto i poszedł do Dębskiego. Student czuł się już tak słaby, że nie wychodził z domu.

Był kwiecień. Lody już spłynęły Newą do morza. Drzewa w Ogrodzie Letnim zaczęły się zielenić. Zdjęto pokrowce z posągów.

Dębski był podniecony. Miał skądś dostać trochę grosza i snuł najśmielsze plany na przyszłość.

— To, co najtrudniejsze, zdołałem przewyciężyć, Tarasie — mówił z gorączką w oczach, opierając się na łokciu. — Bieda mi nie grozi. Nie będę już wysiadywał nocami i przepisywał skrypta. Przy moich skromnych wymaganiach, mogę się poświęcić wyłącznie nauce. Napiszę dysertację. A jeżeli nawet nie prześcignę mojego ukochanego Lelewela, to na pewno mu dorównam.

Zaczął kaszlać. Taras podał mu szklanekę wody.

— Pokażę ci coś, Tarasie — ciągnął dalej Dębski. — Czekałem na ciebie, żeby ci to pokazać.

Dał Tarasowi niedużą książeczkę.

Był to dramat pisany wierszem po ukraińsku. Nosił tytuł *Perejasławska nicz*.

zaprawione. || Darujcie mi! Krzyczcie sobie, || Ja słuchać nie będę! || Starczy dla mnie, póki żyję, || I martwego słowa!



— Dostrzegam tutaj posiew twojej *Historii Rusów*. Autor dramatu jest młodym poetą. I twoim wielbicielem. Nazywa się Kostomarow. W utworze swoim mówi o Polakach i Ukraińcach w siedemnastym wieku. Opowiada o pewnym biskupie katolickim, który jeździł kareta zaprzęzoną w dwunastu Kozaków Zaporoskich z Żydem-woźnicą na koźle. Tego nawet Koniski by nie wymyślił!

Dębski był bardzo przejęty. Pot kroplisty wystąpił mu na czoło, łzy błyszczały w oczach.

— Pamiętasz — mówił, jakby zmagając się z kimś niewidzialnym — pamiętasz, co ci mówiłem o nieuczciwych historykach... Ty sam wiesz dobrze...

Nie mógł dokończyć; głowa mu opadła na poduszkę. Po chwili dopiero wyszeptał:

— Ty jesteś inny, Tarasie, lepszy...

Szewczenko starał się przybrać minę jak najpogodniejszą. Wyjął z kieszeni rękopis.

— Mam posłowie do *Hajdamaków*; napisałem je wczoraj. Poemat niebawem pójdzie do druku.

Czytał, tłumacząc od razu na polski:

„Wesoło popatrzeć na ślepego kobzarza jak siedzi z chłopcem, ślepy, koło tynu, i wesoło go posłuchać, jak zaśpiewa dumę o tym, co się dawniej działo, jak wojowali Kozacy z Lachami; wesoło... a jednak trzeba powiedzieć: Chwała Bogu, że przeszło! Gdy nadto przypomnimy sobie, żeśmy jednej matki dzieci, żeśmy wszyscy Słowianie. Serce boli, a opowiadać trzeba: niech wiedzą dzieci i wnuki, że ich ojcowie się pomylili, niech bratają się znowu ze swoimi wrogami. Niech żytem i pszenicą jak złotem pokryta, nie rozgraniczona zostanie na wieki od morza do morza ziemia słowiańska.”

Dębski uśmiechnął się i wyciągnął do Tarasa rękę.

W tej chwili skrzypnęły drzwi. Ukazała się w nich

owinięta brudną szmatą twarz właścicielki mieszkania. Ujrzawszy obcego, baba schowała się i przymknęła drzwi.

Dębski na chwilę zmarkotniał, ale zaraz potem rozjaśnił się i rzekł:

— Wspaniale to napisałeś, Tarasie. Spodziewałem się tego po tobie. — I po chwili dodał: — Może byś mnie narysował? Miałbym pamiątkę.

Taras wziął album, z którym się nigdy nie rozstawał, i zaczął szkicować chudy, ostry profil przyjaciela.

Dębski po pewnym czasie spojrzął na niego i powiedział, uśmiechając się smutno:

— Prawda, że model spokojny?

Taras wciąż rysował. Drzwi znowu otworzyły się i do izby weszła, ale się zaraz cofnęła, ta sama baba.

Dębski z bolesnym skrzywieniem ust dał ręką znak, aby Taras nachylił się ku niemu.

— Na miłość boską — szepnęła — zapłać jej za mieszkanie. Ona mi żyć nie da.

Taras nie miał pieniędzy. Wyszedł się o nie postarać. Zabrało mu to sporo czasu. Wrócił do Dębskiego dopiero przed zachodem słońca.

Pokoik studenta był oświetlony jaskrawopomarańczowym blaskiem tak rzeświście, że Taras musiał na chwilę przymrużyć oczy.

Kiedy je otworzył i podszedł do łóżka, zobaczył już tylko trupa Dębskiego w takiej dokładnie pozycji, w jakiej go po raz ostatni widział za życia i rysował. Fałdy kołdry nie ruszyły się z miejsca, uśmiech nie zmienił się nawet na pół linii, oczy były zamknięte jak u śpiącego.

Taras złożył mu na piersi ostygłe ręce, pocałował go w czoło i przykrył kołdrą.

W kilka dni potem, już po pogrzebie, Taras wysłał list do Soszenki. W tym liście opowiedział o ostatnich chwilach Dębskiego. „Tak spokojnie — pisał Taras — umierają tylko ludzie wielce sprawiedliwi i moralni, a Dębski był właśnie taki.”

Soszenko napisał w swoim dzienniku:

„Odebrałem od Tarasa list, w którym donosi mi o śmierci przyjaciela. Z tego obszernego i niezwykle wzruszającego listu wywnioskowałem po raz nie wiem już który, że mój Taras, jak przystało prawdziwemu artyście, jest wysoce szlachetnym i dobrym człowiekiem. Zwyczajny, przeciętny człowiek nie potrafiłby tak szczerze, tak bezinteresownie przywiązać się do nie-szczęsnego, opuszczonego przez wszystkich biedaka, jakim był nieboszczyk Dębski. Niestety, bardzo niewielu z nas pamięta o boskiej zasadzie miłości bliźniego. To- też ze zdumieniem i podziwem patrzymy na człowieka, który kocha bezinteresownie. Patrzymy na niego jak na kometę, a napatrzywszy się do woli (żeby nasze brudne, samolubne jestestwo nie tak ostro nam samym rzucało się w oczy), zaczynamy i tego czystego czło- wieka brudzić najpierw ukrytym, później jawnym oszczerstwem, a kiedy i ono nie działa, skazujemy go na nędze i cierpienia. Smutne to, ale prawdziwe!”

## VI

Za Sternbergiem i Ajwazowskim wyjechał do Włoch Apollo Mokrycki, a wkrótce potem Wasyl Hryhorowicz. Taras Szewczenko poczynił już takie postępy w sztuce malarzkiej, zwłaszcza w akwareli — właśnie dostał trzeci z kolei medal srebrny za swoje prace —

że i jemu wypadało pojechać do tej Ziemi Obiecanej wszystkich malarzy i poetów. Marzył o tym jeszcze wówczas, kiedy „chodził do klasy gipsów”. I potem wciąż mu się śniła bazylika rzymska z kopułą Michała Anioła, Colosseum, grobowiec Hadriana i inne „nieśmiertelne cuda Italii”. Listy, które otrzymywał z Rzymu od przyjaciół i znajomych, opowiadania kolegów, którzy stamtąd wracali, jeszcze bardziej podsycały w nim tęsknotę do owego królestwa sztuki. I coś jeszcze go tam ciągnęło. Pamiętał rozmowę z Dębskim o Wenecji. Musi tam pojechać!

Ale sprawa nie była prosta. Dopiero co z poddaństwa wyzwolonemu chłopu trudno było konkurować z synami szlacheckich rodzin, ci zawsze i we wszystkim mieli pierwszeństwo.

Taras liczył, że zdoła zaoszczędzić pieniędzy, zarabianych pracą malarską, i wyjechać na własny koszt. Tymczasem wszystko mu szło jak po grudzie. Zaczęły go znowu trapić niepowodzenia.

Wydał wreszcie *Hajdamaków*. Dobrze się przedtem nachodził, zanim uzyskał zgodę cenzury. Ledwo mu się udało przekonać urzędników, że nie jest rewolucjonistą. Mocno mu jednak okrajali tekst. A że książkę drukował za własne pieniądze, więc śpieszył się z rozesłaniem „biletów subskrypcyjnych” znajomym, aby sprzedać jak największą ilość egzemplarzy, zanim cenzorzy z tej lub innej przyczyny nie cofną zezwolenia. Takie rzeczy zdarzały się dość często.

Prasa niemal zupełnie przemilczała ukazanie się *Hajdamaków*. Jednak Bieliński tym razem napadł nie tylko na tak zwaną małosyjską literaturę, ale i na autora poematu. Radził Szewczenko „zrezygnować z pretensji do tytułu poety” i pisać „po chochłacku” popularne broszurki dla ludu. Recenzja Bielińskiego, umieszczona w „Otieczestwiennych Zapiskach”, była

wyrazem krańcowej niechęci recenzenta do wszelkich prób tworzenia na obszarze imperium jakiegokolwiek literatury innej niż rosyjska.

Pisma słowianofilskie, „Moskwitianin” i „Majak”, postąpiły z rzadką przyzwoitością: recenzje o *Hajdamakach* powierzyły Ukraińcom. Zrobiły to oczywiście z pewnych pobudek taktycznych, nie mniej jednak przysły autorowi w sukurs.

Fedir Kytczenko nazwał poemat „drogocennym darem” i wskazał na jego narodowy charakter.

Mikołaj Tychorski wyraził się, że *Hajdamacy* to „nie owoc zimnej refleksji, ale szczerą, z głębi duszy płynąca pieśń, która wcieliła się w żywe dźwięki”. Dostrzegł w utworze Szewczenki cechy ludowej poetyki oraz patriotyczną treść, nie pozbawioną jednakże pierwiastków subiektywnych. Stwierdził, że autor w swoim poemacie „maluje nam obrazy niesamowitej zemsty, takie, jakie były, nie usiłując ich ani usprawiedliwiać, ani potępiać”.

W wydaniu książkowym *Hajdamaków* znalazł miejsce jeszcze jeden dodatek: apel autora „do panów subskrybentów”. Utrzymany w żartobliwym tonie, zachęcający do wpisywania się na listę, która miała być zamieszczona w książce, ustęp ten zawierał na końcu ciekawe i charakterystyczne zdanie: „Jest’ szcze i taki panyczi, szczo soromyłyś swoju błahorodnu familiu (Kyrpa-Hnuczkoszyjenko-w) i nadrukował’ w mużyćkij knyżci”.<sup>1</sup>

„Kyrpa-Hnuczkoszyjenko-w” to nom parłant. Oznaczało ono ludzi, którzy pyszniąc się swoim pochodzeniem, zadzierali nosa do góry, a zarazem uginali

---

<sup>1</sup> Są jeszcze i tacy panicze, którzy wstydzi li swoje szlachec kie nazwisko / Kyrpa-Hnuczkoszyjenko-w / wydrukować w chłopskiej książce.

karki przed możliwymi tego świata. Końcówka nazwiska ukraińska przerobiona na rosyjską przez dodanie „w” świadczy, że Szewczenko miał tu na myśli owych szlachciców ukraińskich, urzeczonych potęgą caratu, którzy wstydzili się swojej narodowości i prześcigali się w serwilizmie wobec Petersburga.

W twórczości Szewczenki był to pierwszy silny akcent protestu nie tylko narodowego, ale i społecznego. Był to w najogólniejszej i najzwęższej formie podany program ideowy. Była to już zapowiedź walki.

Na tle dotychczasowej elegijno-balladowej i kozackiej romantyki w poezjach Tarasa akcent ten zabrzmiał nadszeregownie mocno.

Do Szewczenki przylgnęło miano „chłopskiego poety” oraz „śpiewaka hajdamaczyzny”. Najczęściej tym mianem szermowali ci, którzy utworów Tarasa nie czytali, a nawet nie rozumieli po ukraińsku.

Jednocześnie kursowały oszczercze plotki, dyskredytujące go jako człowieka. W pewnych kołach zaczęto istnie łaśnie opowiadać o hulankach poety, trwonieniu przez niego pieniędzy i w ogóle marnowaniu talentów.

Fakt faktem, że Szewczenko, zajęty drukiem *Hajdamaków*, nie chodził do akademii. Dowiedziano się o tym w Towarzystwie Zachęty Sztuk Pięknych. To wystarczyło, że cofnięto Szewczenke stypendium.

I opuściła go Masza. Dla jakiegoś zawadiaki-miczmana.

Taras odczuł to jak klęskę i w sercu długo przechowywał gorycz.

Kiedy jednak później dowiedział się, że Masza z kolei rozeszła się z miczmanem i jest w trudnej sytuacji, polecił ją do akademii jako modelkę.

Wielką osłodą był dla Tarasa list otrzymany z Charkowa od Osnowjanenki. Stary literat znów powiadał go o wielkim entuzjzmie, z jakim społeczeństwo

ukraińskie przyjęło ostatni utwór Tarasa. „Nu wże tak — pisał — szczo poradowały Wy nas swojimy „Hajdamakamy”!... Czytajesz, ta j oblyzujeszsia... Pan Artemowśkyj aż pidskaduje ta chwałyt!... Pyszyte ż, panyczu, u wsiu ruku... dajte widdochmuty wid moskowskich brecheń...”

Dzięki Dębskiemu oraz kolegom z akademii, Rudolfowi Żukowskiemu, Janowi Ksaweremu Kaniewskiemu i Alfredowi Żametowi, zawiązał Taras liczne znajomości wśród Polaków i Białorusinów. Żukowski i Kaniewski pochodzili z okolic Równego, Żamet — z Wilna. Zarabkowali jako ilustratorzy w „Tygodniku Petersburskim”.

Cenna zwłaszcza była dla Tarasa znajomość z Romualdem Druckim-Podbereskim, Białorusinem z pochodzenia, ale patriotą polskim.

Podbereski, podobnie jak Dębski, wyznawał zasady demokratyczne i uwielbiał Lelewela; niezmierną sympatią darzył Ukraińców. Niestety, jako współpracownik „Tygodnika Petersburskiego”, miał stałe do czynienia z zajadłymi konserwatystami, którzy trzymali pismo w swoich rękach, Józefem Przeclawskim, Henrykiem Rzewuskim i księdzem Ignacym Hołowińskim, i to mu zatruwało życie.

Szewczenko i Podbereski szybko zbliżyli się do siebie. Podbereski znał dużo pieśni polskich i białoruskich, deklamował wiersze w tych dwóch językach. Szewczenko odwzajemniał się wierszami i pieśniami ukraińskimi.

Gdy Podbereski wraz z gronem młodych literatów przystąpił do wydawania pisma w języku polskim pod tytułem „Rocznik Literacki”, Szewczenko jako jeden z pierwszych zaabonował to pismo. Sekretarz redakcji

na liście prenumeratorów zapisał: „Taras Szewczenko, Kobzar”.

Do tego samego kółka należał poeta białoruski, gorliwy zbieracz folkloru, Jan Barszczewski. Zdołał on dookoła swojego wydawnictwa skupić znaczne grono patriotów białoruskich, piszących zarówno po białorusku, jak i po polsku.

Szewczenko cieszył się w tym gronie wielkim autorytetem i jako pisarz, i jako człowiek. Barszczewski często opowiadał Szewczenko o swoich petersburskich spotkaniach z Mickiewiczem.

Do kółka Podbereskiego należał również Tadeusz Łada-Zabłocki, miłośnik i popularyzator pieśni ukraińskich, tłumacz tych pieśni na język francuski.

Niestety, Szewczenko nie poznał się z Zabłockim osobiście: w związku ze sprawą Konarskiego poeta polski został wysłany na Kaukaz i tam wcielony do wojska.

Od Żukowskiego i Kaniewskiego dowiedział się Szewczenko o konspiracjach polskich, zwłaszcza o konarszczyźnie, która na Wołyniu zapuściła najgłębsze korzenie.

Oni też opowiadali mu o Tadeuszu Czackim i o słynnym liceum w Krzemieńcu, którego sława żyła jeszcze na całej prawobrzeżnej Ukrainie.

W chwilach trudnych, kiedy mu była potrzebna czyjaś życzliwa rada albo pociecha, Taras szukał towarzystwa rodaków. Mimo iż byli to przeważnie ludzie pochodzenia szlacheckiego, o poglądach umiarkowanych, bardzo lojalni, a nawet ulegli wobec caratu, mógł z nimi rozmawiać ojczystym językiem, u nich najwięcej znajdował zrozumienia.

Wkrótce po wyjściu z druku *Hajdamaków*, kiedy Szewczenko znalazł się w niemałych tarapatkach, zja-



wiły się w Petersburgu dwie malownicze i niezwykle interesujące postacie: artysta-śpiewak Semen Hułak-Artemowski i generał kozaków czarnomorskich Jakub Kucharenko.

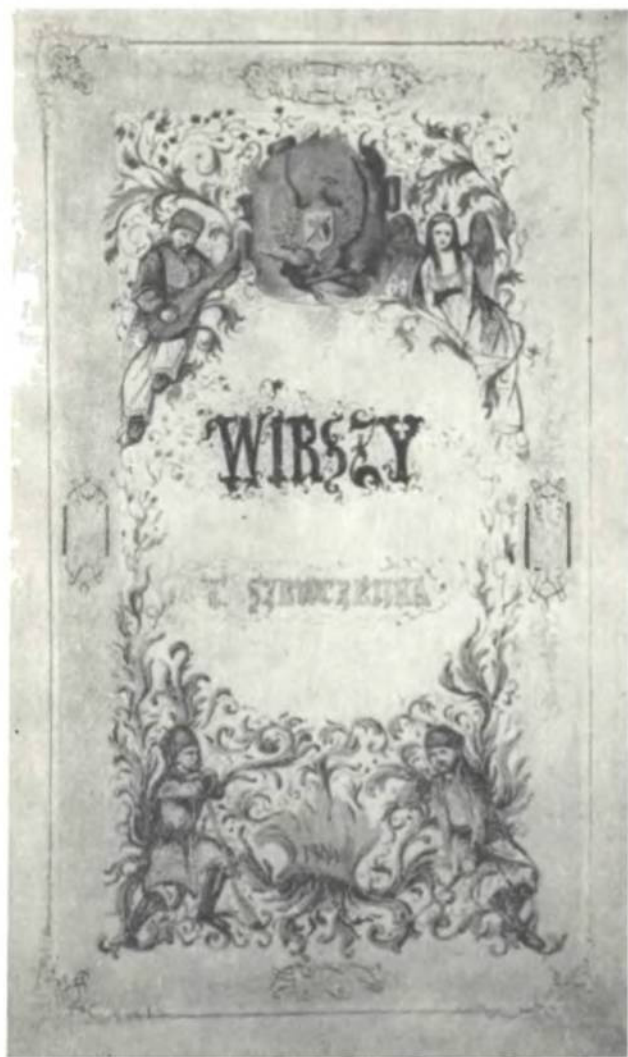
Semen Hułak wrócił właśnie z Mediolanu, gdzie się uczył kunsztu śpiewaczego w słynnej operze La Scala, i zaraz po przyjeździe został zaangażowany w charakterze solisty do teatrów carskich. Świetny bas-baryton, doskonały aktor, postawny, przystojny, czarujący w obejściu, niezrównany gawędziarz i humorysta, a przy tym wielki patriota ukraiński, od razu wszedł w serdeczną komitywę z Tarasem, który poza talentem malarskim i poetyckim miał przecież niepośledni talent śpiewaczy i dramatyczny. W kółku Ukraińców petersburskich często urządzano wieczorki wokalne i przedstawienia amatorskie. Szewczenko brał w tych imprezach nader żywy udział. Rodacy wychwalali jego swoją interpretację pieśni ludowych, zwłaszcza ulubionej przez poetę *Oj zyjdy, zyjdy, ty zirońko ta weczirniaja...*

Generał Kucharenko był człowiekiem ze wszech miar godnym szacunku i uznania. Żołnierską prostotę, bez rubasznych manier, łączył z prawdziwą szlachetnością i dobrocią. Uzdolniony literacko, snuł barwne opowieści z życia Czarnomorców (jak nazywano dawnych Kozaków Zaporoskich osiedlonych nad Morzem Czarnym na Kaukazie), napisał również sztukę o tej samej tematyce. Oczywiście, po ukraińsku.

Ziomkowie tytułowali generała, wedle dawnej terminologii zaporoskiej, atamanem kurennym. Kucharenko istotnie był żywym nosicielem tradycji zaporoskich.

Nic dziwnego, że Taras przyłgnał do niego całą duszą, a on świata nie widział poza Tarasem.

Szewczenko mieszkał podówczas na Ostrowie Wasiliewskim z dwoma ziomkami, studentami akademii, Tkaczenką i Jeżowem. Trzej młodzi gospodarze utwo-



**Album wierszy Tarasa Szewczenki z ilustracjami Jakuba de Balmain i Michała Baszyłowa. Karta tytułowa, 1844**



army wojny, dymy wojny.  
Lycze smutku z wojny?  
Na desce stały na papierze  
"Wojenny wadany?"

Kimś was widzi na rozrywce  
Wł. Agon jak popytany?  
Kimś was tylko na przypale;  
Jak i wojna popytany?  
Kimś was tylko na widok na smutku popytany,  
Popytany, wlosy... cenna na cokolwiek,  
Niż wzmocniły w wojnie, niż wzmocniły w polu?  
Niż popytany ludy... cenna w wojnie, ludy?  
Niż popytany w wojnie popytany? Dale,  
Cóż w wojnie wzmocniły? "Kamień wstąpił"

Album wierszy Tarasa Szewczenki z ilustracjami Jakuba de Balmain i Michała Baszyłowa. Strona pierwsza, 1844

rzyli tam coś jakby kureń literacki. Panowała w nim atmosfera siczowego braterstwa. Kucharenko został atamanem koszowym — mówiono do niego ba'ko. Wszyscy inni otrzymali miano towarzyszków kurenych.

Oprócz gospodarzy, Hulaka i Kucharenki, do grona ich należał poeta Tychorski, wydawca i księgarz Semenenko-Kramarewski oraz literat-poligłota Elkan.

Było to grono prawdziwych romantyków i zapaleńców idei ukraińskiej.

Szewczenkę, który wbrew wszystkiemu i wszystkim wierzył w lepsze jutro Ukrainy, nazywano w tym gronie entuzjastą.

Stosunki Tarasa z Eugeniuszem Hrebinką znacznie się rozluźniły.

Pisarz ten, który w ogóle nigdy nie grzeszył buntowniczymi myślami, stawał się z biegiem czasu coraz wierniejszym sługą imperium. Zabiegał o stosunki z dworem, o odznaczenia. Jeden ze swoich poematów poświęcił carowi. Tarasa to wszystko odpychało od Hrebinki.

Zdawał sobie sprawę, ile zawdzięcza ziomkowi. Przecież głównie dzięki niemu dostał się w środowisko literackie i naukowe Petersburga. Poznał najwybitniejszych przedstawicieli kultury rosyjskiej, i to wszelkich odcieni, poczynając od takich oficjalnych heroldów caryzmu, jak Nestor Kukolnik, kończąc na takich radykałach, jak Mombelli i Palm, a potem Strandmann.

Obcując z nimi Taras pogłębił swoją znajomość literatury i języka rosyjskiego tak dalece, że mógł już nawet pisać w tym języku.

Nie przestając bywać od czasu do czasu na literackich wieczorkach u Hrebinki, traktował go już teraz jak dobrego znajomego, a nie jak przyjaciela.

Rzecz ciekawa, iż wtedy, gdy Taras rozwinął w sobie zmysł polityczny, wkładając nowy, głębszy sens w swoje uczucia narodowe, właśnie wtedy napisał szereg utworów po rosyjsku.

Napisał nie pod wpływem wrogiej dla języka ukraińskiego krytyki; Szewczenko nie należał do ludzi, którzy cokolwiek czynią z prostego wyrachowania lub obawy, a tym bardziej pod presją. Motywy były dwa: po pierwsze, chciał, aby sprawy ukraińskie zostały wyświetlone i pokazane Rosjanom w języku dla nich zrozumiałym, a po drugie, pragnął udowodnić, że potrafi tworzyć w języku rosyjskim, chociaż krytycy rosyjscy uważają go za „chochłackiego” poetę.

Pierwszy motyw skłonił Szewczenkę do zajęcia się dramaturgią. Ukraiński repertuar teatralny przedstawiał się naówczas bardzo ubogo. *Natałka Połtawka*, *Moskal czariwnyk*, *Czornomorśkij pobyt* i parę jeszcze innych, mniej udanych, to było wszystko, czym rozporządzała scena ukraińska. Wierszowanej tragedii Kostomarowa *Perejasławska nicz* nie wystawiano, gdyż nie miała ona żadnych zalet literackich ani scenicznych.

Szewczenko napisał dwa dramaty, obydwie oparte o tematykę historyczną: *Nikita Hajdaj* i *Nazar Stodola*. O ile pierwszy nie odznaczał się scenicznością, o tyle drugi był pełnokrwistym utworem teatralnym i sprawił duże wrażenie na widzach. Wystawili go studenci petersburskiej Akademii Medyko-Chirurgicznej.

Spod pióra Szewczenki wyszedł wtedy również rosyjski poemat *Slepa*, w którym nietrudno było dostrzec wpływ Rylejewa. Z wierszami tego poety zapoznał się Szewczenko już dość dawno. A o nim samym słyszał dużo od Mikołaja Markiewicza — historyk przyjaźnił się ongiś z Rylejewem.

Szewczenko zaczął wtedy również pracować nad rosyjskim poematem *Tryzna*.

Efekt tej pracy był dwojaki: z jednej strony Szewczenko przekonał się sam i udowodnił innym, że potrafi tworzyć po rosyjsku, z drugiej zaś strony uświadomił sobie jeszcze głębiej, że właściwym i jedynym jego powołaniem jest i będzie twórczość w języku ojczystym.

Nie było mowy o jakiejś dwujęzyczności. Taras po prostu pokazał, że umie pisać w o b c y m języku.

W liście do Kucharenki zwierzał się: „...jakyj mene czort spitkaw i za jakyj hrich, szczo ja oce spowidajusia kacapam czerstwym kacapśkym słowom”.

W całym tym okresie Szewczenko ani na chwilę nie przerywał twórczości w języku ukraińskim.

Jakoś pod koniec tysiąc osiemset czterdziestego drugiego roku udało mu się odbyć pierwszą w życiu podróż morską. Stanowiła ona jakby namiastkę podróży zagranicznej, o której Taras nie przestawał marzyć.

Razem z kolegą z akademii i ziomkiem Boryszpolcem puścił się na morze statkiem, odbywającym rejs do Sztokholmu i Kopenhagi. Nie miał paszportu zagranicznego, musiał więc, niestety, wysiąść już w Rewlu, dokąd statek zawinął po drodze.

Niezbyt długa wędrówka morska dała Szewczence wiele nowych i silnych wrażeń. Wykorzystał je pisząc poemat *Hamalija*, o dziejach bohatera Siczy Zaporoskiej, który przedsięwziął wyprawę na Sambuł, w celu uwolnienia znajdujących się tam w niewoli tureckiej Kozaków.

Poemat owiany romantyczną mgiełką, pełen przedziwnej eurytmii i eufonii, zawierał partie, które mogły być również odczytane jako wyraz uczuć współczesnego patrioty ukraińskiego. Wystarczyło na chwilę zapomnieć, iż rzecz dzieje się dwieście lat temu:

O myłjy Boże Ukrajiny,  
Ne daj propasty na czużyni,  
W newoli wolnym kozakam!<sup>2</sup>

Niełatwo było przesunąć ten utwór w całości przez oczka carskiej cenzury.

Szewczenko mimo wszelkie pozory, dające powód do plotek o zmarnowaniu talentu i tym podobnych rzeczach, nie zaniedbywał w tym czasie malarstwa.

Namalował obraz olejny *Kateryna*, kilka portretów, wreszcie ilustracje do własnego poematu *Slepa* oraz do poematu *Wojnarowski Rylejewa*.

Poza tym wykonał przeszło trzydzieści ilustracji do książki Mikołaja Polewoja *Historia Suworowa*, co go bardzo podreperowało pod względem materialnym.

Zaczął szkicować obraz *Śmierć Bohdana Chmielnickiego* i portret historyczny atamana Hołowatego.

W liście do Kucharenki pisał, że chciałby swojego bohatera pokazać, jak stoi zasepiony nad brzegiem Ne-wy, przy Pałacu Zimowym, i patrzy na rzekę, na mury twierdzy Petropawłowskiej, gdzie konał Pawło Po-hubotok.

O ten portret dopominał się Kucharenko od dawna. Ale Tarasowi przysłała do głowy myśl, że i wielu innych patriotów ukraińskich zawiesiłoby chętnie taki obrazek w domu na ścianie, chociażby obok wizerunku słynnego Kozaka Mamaja. Toteż w tym samym liście zapytał Kucharenkę, czy nie lepiej byłoby zrobić litografię i odbić ze dwieście egzemplarzy.

Szewczenko nie należał do głupców, którzy wątpią w działanie sztuki na umysły i charaktery ludzkie.

---

<sup>2</sup> O miły Boże Ukrainy, || Nie daj zginąć na obczyźnie, ||  
W niewoli wolnym Kozakom!

Wszelkimi tedy siłami starał się wyrazić w swoich utworach te myśli, które go najsilniej nurtowały: myśli o losach swojego narodu.

Nie mogąc, mimo usilnych starań, urzeczywistnić swych marzeń o wyjeździe za granicę, zaczął Szewczenko przemyślać znów o podróży na Ukrainę, której nie widział już dwanaście lat.

Dziedzic Kaczanówki, Hryhorij Tarnowski, wciąż się interesował twórczością Tarasa, zwłaszcza malarską, i ciągle go zapraszał do siebie. Szewczenko posłał mu *Hajdamaków*, ale, nie chcąc krwawymi scenami straszyc i gorszyć córek gospodarza, zapowiedział w liście, że dla nich przyśle coś odpowiedniejszego. „Obicianku — pisał — pryszlu waszym dziewczatom k Wełykodniu, a może j ranijsz, tilky ne tu, szczo pysaw wam, a ińszu, po moskowskomu skomponowanu, szczo ne kazały moskali, szczo ja ich jazyka ne znaju.”<sup>3</sup>

Wspomina z goryczą, jak się niektórzy krytycy wysmiewają z *Hajdamaków*, jak drwią z jego uporczywego obstawania przy mowie ojczystej. „Zowut’ mene entuzyjastom, syrycz durniem — pisał — Boh im zwydyt’. Nechaj ja budu i muzyčkyj poet, aby tilko poet, to meni bilsze niczoho i ne treba. Nechaj sobaka łaje, witer roznese.”<sup>4</sup>

Snuł zarazem plany wydawnictwa, które zapoznałoby czytelników rosyjskich z przyrodą, etnografią i hi-

---

<sup>3</sup> Rzecz obiecaną przyśle Pańskim dziewczętom na Wielkanoc, a może nawet wcześniej, tylko nie tę, o której Panu pisałem, lecz inną, po rosyjsku skomponowaną, żeby Moskale nie mówili, że nie znam ich języka.

<sup>4</sup> Nazywają mnie entuzjastą, czyli głupcem. Bóg z nimi. Niech będę nawet chłopskim poetą, byle tylko poetą, to nic więcej mi nie potrzeba. Niech pies szczeka, wiatr rozniesie jego szczekanie.



storią Ukrainy. U kolegów-Polaków widział wydany we Francji album litografii *Polska malownicza*. Zapragnął stworzyć coś podobnego o Ukrainie. Tematów mnóstwo — a co jeden to wspanialszy, to bardziej porywający i pouczający.

Szewczenko miał zacięcie na propagandystę. Jednego z takich, jakimi ongiś byli apostołowie.

Do tych pragnień patriotycznych i malarskich dołączyła się zwykła nostalgia.

Za krajem lat dziecinnych, za dziadkiem, który żył jeszcze, za braćmi i siostrami, tak dawno nie widzianymi, Szewczenko bezustannie tęsknił.

W ciągu ostatnich kilku lat zaszło w jego losach tyle najrozmaitszych zmian, iż czuł się jakby przeniesiony w inną, straszliwie odległą epokę.

W listach do brata ani razu nie zapytał o Oksanę. Była jego rówieśnicą. Dziewczyny wiejskie wcześniej wychodzą za mąż. I ona pewnie już wyszła. Jak się jej wiedzie? Czy pamięta o nim?

On pamiętał. Jeden ze swoich ostatnich utworów, poemat o dziewczynie, która zawiedziona w swoich nadziejach miłosnych wstąpiła do monasteru, zatytułował: *Marjana-czernica*.

I u dołu dopisał: „Oksani K.....ko. Na pamiat' toho, szczo dawno mynuło”.

We wstępie do poematu pytał z niepokojem, czy Oksana wspomina jeszcze chwile, które spędzili razem w Kiryłówce, i zapewniał:

A ja j dosi płaczu, i dosi żuriuś...  
Na tebe dywluśia, za tebe moluś...<sup>5</sup>

---

<sup>5</sup> A ja dotychczas płacę, dotychczas tęsknię... || Na ciebie patrzę, za ciebie się modlę...

Wiedział, że musi pojechać na Ukrainę. Musi zobaczyć swoich najbliższych.

Znów pisał do Tarnowskiego: „Ja... czort zna szczone to robłu szczo, ne to hulaju, snowyhaju po otsiomu czortowomu bołotu, ta zhađuju naszu Ukrainu”.<sup>6</sup>

Sprzedził jednemu z księgarzy prawa wydawnicze do *Kobzarza* i *Hajdamaków*, popłacił najpilniejsze długi i wybrał się w drogę.

Przed wyjazdem zdążył jeszcze dokonać rzeczy dość niezwykłej: za pomocą prądu galwanicznego skopiował na miedzi rycinę do *Króla Lira*. Rycina ta miała stanowić ilustrację książki Franciszka Kobella pod tytułem *Galwanografia*, przełożonej właśnie na język rosyjski. Szewczenko stał się w ten sposób pionierem galwanoplastyki we wschodniej Europie.

Zobaczył też nową operę Glinki *Ruslan i Ludmiła*. Napisał o niej entuzjastyczny list do Tarnowskiego.

## VII

Był rok tysiąc osiemset czterdziesty trzeci. Na początku kwietnia Szewczenko przyjechał do Moskwy, a stamtąd wyruszył na Ukrainę.

W Moskwie udało mu się zawrzeć dwie cenne znajomości: ze słynnym już wtedy aktorem Michałem Szczepkinem oraz ze znanym ukraińskim sławistą, historykiem i pisarzem Józefem Bodiańskim.

Szczepkin, z pochodzenia Rosjanin, młodość i pierwsze lata swojej kariery aktorskiej spędził na Ukrainie. Znał kraj i ludzi, cenił ich, odnosił się do nich życzliwie, bez tej wyższości, którą lubili okazywać „Chochłom” niektórzy, nawet bardzo ucziwi Rosjanie. Mo-

---

<sup>6</sup> Ja... diabli wiedzą! ni to coś robię, ni to próżnuję, błąkam się po tym diabelskim błocie i wspominam naszą Ukrainę.

że dlatego Szczepkin był taki, że wyrósł, podobnie jak Szewczenko, w rodzinie chłopów pańszczyźnianych. Wolność uzyskał mając już lat dwadzieścia trzy, a więc w tym samym wieku co Szewczenko.

Szczepkin czytał już przedtem *Kobzarza Szewczenki* i zachwycił się jego wierszami. Obaj mieli za sobą ciężkie dzieciństwo i niewolę, mimo więc znacznej różnicy wieku (Szczepkin był starszy od Szewczenki o szesnaście lat) zaprzyjaźnili się serdecznie.

Szczepkin opowiadał, jak mu w sprawie wyzwolenia dopomógł pewien arystokrata rosyjski, księżę Repnin-Wołkoński. Aktor gorąco doradzał Szewczence, aby jeśli tylko znajdzie się na Połtawszczyźnie, postarał się o znajomość z tym przyjacielem Ukraińców.

Pod koniec kwietnia Szewczenko znalazł się już w Kaczanówce u Hryhorija Tarnowskiego.

Położona nad rzeką Smoszą, w równinnym i prawie bezleśnym powiecie borzneńskim, ta wielkopańska rezydencja urok swój zawdzięczała wyłącznie pracy kripaków, którzy zbudowali ogromny pałac, a naokoło niego zasadzili olbrzymi park. Pałac był wyposażony w dużą bibliotekę i galerię obrazów.

Gościło tu niejednokrotnie wielu znakomitych ludzi — Gogol, Glinka, Maksymowicz, Markiewicz, Kostomarow. Wielki Michał Glinka tu pisał swoją znaną operę *Ruslan i Ludmiła*.

Hryhorij Tarnowski słynął jako mecenas sztuki i patriota ukraiński. Patriotyzm magnata miał jednak charakter powierzchowny i wyrażał się w pewnych zamiłowaniach etnograficznych, strojach i utrzymywaniu kapeli ludowej. Poza tym Tarnowski żywił najbardziej wiernopoddańcze uczucia dla monarchy i nigdy nie uchybił obowiązkowi lojalności wobec Petersburga.

Szewczence bardzo się spodobała Kaczanówka, przyjmowano go tu z honorami; mógł się przekonać, jak da-

lece twórczość jego zdobyła rozgłos w społeczeństwie ukraińskim.

Niemniej jednak już po kilku dniach poczuł się źle w tym otoczeniu. Kiedy swoim zwyczajem zbliżył się do wieśniaków, od razu zobaczył, jakie tam panują stosunki. Ludzie z tłumioną nienawiścią mówili o dzieźdźcu. Jego swawola i bezwzględność doprowadzała ich do rozpacz.

Na początku maja Szewczenko wyjechał do Kijowa.

Kiedy stanął nad brzegiem Dniepru, otworzyła się przed nim cudowna panorama Wiecznego Miasta.

Znów ujrzał wysoką dzwonnice Ławry i jej wierzchołek błyszczący najczystszym złotem.

Tylekroć uderzała w miasto nawałnica dziejowa i zostawiała same ruiny, a jednak na tych ruinach zawsze rozkwitało nowe życie. Niepowrotnie i bez śladu zginęły Olbia, Pontikapea i Kaffa — a Kijów został.

Zdobywali miasto Polacy, rabował Andrzej Bogolubski, szturmował Gedymin, szarpali Pieczyngowie i Połowcy. Po klęskach mongolskich przyszły tatarskie.

A jednak wszystko to minęło. Snadź jakaś siła żywotna tkwiła w tym mieście.

Po każdym zniszczeniu Kijów wyrastał jeszcze piękniejszy, jeszcze wspanialszy.

Szewczenko nie był w Kijowie czternaście lat. Gdy tylko roztasował się w zajeździe na rogu Chreszczatyku i Besarabki, poszedł zwiedzać miasto.

Wspomnienia dziecinne zatarły się w jego pamięci. Ale chyba same nogi zaniósł go na targowisko położone obok zajazdu. Pierwszą rzeczą, która rzuciła mu się w oczy, był stragan z książkami i obrazkami. Wisiało tam z dziesięć litografii sławnego Kozaka Ma-

maja. Szewczenko kupił jedną. I kupił również dwa zeszyty. W jednym były przepisane ręcznie wiersze Skoworody, a w drugim — jego własne, z *Kobzarza*.

Szedł Chreszczatykiem w stronę Carskiego placu i potem dalej na lewo, w stronę Padołu.

Deszcz, który dopiero co padał, oczyścił ulice z kurzu, tak bardzo dokuczającego mieszkańcom w upalne dni. Powietrze było czyste i świeże. Obfitość i różnorodność zieleni nadawała miastu wygląd najwspanialszego ogrodu. Niewysokie, przeważnie parterowe, drewniane domy nęciły przytulnością i jakimś niepowtarzalnym, półwiejskim urokiem.

Ale wśród tych niepozornych domków tu i owdzie rysowały się wielkie, starożytne budowle, cerkwie, monastery i pałace świadczące o pradawnej świetności grodu. Wszystko to rozrzucone po malowniczych wzgórzach i dolinach.

Stary Kijów opasany był jeszcze potrójnym wałem ziemnym, który ciągnął się od cerkwi Dziesięcinnej do Koziego Błota. W jednym miejscu tylko była przerwa i w niej sterczały szczątki Złotej Bramy, odkopanej niedawno przez pewnego archeologa-amatora.

Za Złotą Bramą leżało duże pustkowie, a za pustkowiem stał nowo zbudowany gmach uniwersytetu. Z lewej strony gmachu biegł wysadzany topolami bulwar, z którego, wspinając się pod górę przez tak zwane Chresty, można było dojść do twierdzy na Pieczarsku.

Szewczenko poszedł tam, aby odnowić w pamięci widok „piętrowego” miasta.

Na placu przyfortecznym wdał się w pogawędkę z jakimś starcem mówiącym pół po polsku, pół po ukraińsku. Starzec opowiadał mu o zmianach, które ostatnio zaszły w Kijowie. Przed czterema laty sterczały tutaj szubienice, przygotowane dla spiskowców polskich, w większości studentów. W ostatniej dopiero chwili

skazańców zawiadomiono, że car zamienił karę śmierci jednym na katorgę, drugim na służbę w wojsku.

Prawo magdeburskie, nadane miastu przed wiekami, zniesiono i zastąpiono rosyjskim. Kijowianie opłakiwali utratę samorządności. Jakiś anonim napisał nawet wiersz satyryczny:

Propłyły prawa ne w diaku,  
Kysil w karty prohulaw,  
Czy proiły na kulbaku,  
Da j samych ich did'ko wziaw.<sup>1</sup>

Kysil, który „przegrał prawo w karty”, był to ostatni wójt Kijowa, Hryhorij Kyseliwski, kozackiego rodu. Duszę zaprzedał carowi; w czasie powstania pomagał wyłapywać w mieście „buntowników polskich”. Nie przyniosło mu to jednak profitu. Car wyrzucił go, a na jego miejsce mianował rosyjskiego kupca, Parfentija Diegtiariowa.

Rozwiązano wtedy również gwardię municypalną, która przez parę wieków była chlubą miasta na równi z zabytkami architektury i strojem roślinnym. Gwardia ta nosiła mundury według wzorów polskich — granatowe z czerwonymi potrzebami.

Rozmawiając z ludźmi w Kijowie, spotykał się Szewczenko na każdym kroku z objawami uznania i sympatii. Jego wiersze stały się głośne. W prywatnej czytelnicy Dowżykowa abonenci dopominali się o *Kobzarza* i *Hajdamaków*. Niestety, były tylko dwa egzemplarze i te nieustannie przechodziły z rąk do rąk.

Myśl o wydaniu albumu, mogącym spopularyzować przyrodę, obyczaje i historię Ukrainy, skłoniła Szew-

---

<sup>1</sup> Przepili prawa za nic, || Kysiel przegrał je w karty, || Albo roztrwonili na zaprzęgi, || No i diabeł ich wszystkich wziął.

czenie do poszukiwania znajomości z młodym, ale dość znanym już podówczas pisarzem, historykiem i etnografem ukraińskim, Pantelejmonem Kuliszem.

Ambitny ten młodzieniec, syn Kozaka z Czernihowszczyzny, stał wtedy u progu swojej kariery. Podawał się za uczonego, ale w skrytości snuł śmiałe plany polityczne. Chciał zostać wodzem duchowym ukraińskiego risorgimenta, które z dnia na dzień niemal dawało znać o sobie coraz to nowymi, jaskrawymi faktami.

Jednym z nich było tak zwane ukrainofilstwo, czyli szerzenie się w kołach demokratycznie nastrojonej inteligencji ukraińskiej, głównie młodzieży, zainteresowań historią, obyczajami, językiem i sztuką rodzimą. Zainteresowania te nosiły charakter romantyczny, na pół literacki. Ale one to właśnie wyłobiły głęboki ślad w duszy społeczeństwa ukraińskiego, stały się bodźcem do ożywienia tęsknot patriotycznych, rozbudziły świadomość narodową Ukraińców.

Niewątpliwie dużą rolę odegrał tutaj przykład Polaków, którzy nie ustawali w dążeniach do odzyskania bytu państwowego. Ten przykład dawała przede wszystkim młodzież polska w Kijowie, gdzie jedna konspiracja następowała po drugiej, a żadne kary, żadne represje nie odstraszały śmiałków od wstępowania na drogę nowych buntowniczych prób.

Wśród młodzieży polskiej krążyły kartki z odpisem listu, który Tadeusz Czacki skreślił ongi do najstarszego syna.

„Od kilkunastu lat — pisał Czacki — publiczne i prywatne przygody ciągną idą koleją. Opatrzność może położyć granice nieszczęściom, może je zwiększy. Szanujmy wyrok nieba, a pracujmy, aby sumienie nasze zaświadczyło, że jesteśmy godni mieć pomysłość w udziale. Sama cnota jest wszystkim. Ona towarzyszyć winna od pierwszych lat młodości do grobu; ona

jedna czyni, że człowiek nie może być zupełnie nie-  
szczęśliwym. Pamiętaj, abys ziomkom służył.”

Czacki już nie żył. Ale myśli jego żyły w licznych  
pokoleniach młodzieży polskiej.

Nawet Bibikow nie odważył się zdjąć portretu, któ-  
ry wisiał w gabinecie dyrektora Pierwszego Gimnazjum  
Męskiego w Kijowie.

Młodzież polska, która przeszła szkołę Konarskiego,  
oprócz ideałów narodowych wyznawała również pewne  
ideały społeczne, dążyła do zniesienia poddaństwa, do  
usunięcia pańszczyzny, do nastawienia opinii ogółu  
w tym kierunku. Za te dążności więziono ją i prześlado-  
wano.

Jeden z najczynniejszych i najzapaleńszych konar-  
szczyków, rówieśnik Szewczenki, student Ksawery  
Pietraszkiewicz, siedząc w cytadeli kijowskiej przed  
odjazdem na linię kaukaską, napisał wiersz, z którego  
przez lat dziesiątki potem czerpali otuchę młodzi Po-  
lacy i młodzi Ukraińcy:

Cieszmy się, bracia, kres niedaleki —  
Głosu wolnego echo,  
Tłumione długo jarzmem opieki,  
Zabrzmi na koniec, ale na wieki,  
Pod niską rolnika strzechą...

Szewczenko, chodząc po mieście i rozmawiając  
z ludźmi, dowiadywał się coraz to nowych, ciekawych  
rzeczy o tym, co działo się w Kijowie w ciągu ostat-  
nich czterech lat.

Ukrainofilstwo szerzyło się coraz bardziej, a rząd  
carski jak gdyby je popierał, a co najmniej go nie  
tłumił. Przyczyna była prosta: chodziło o to, aby dąże-  
nia patriotyczne Ukraińców-prawosławnych, których  
uważano za Rosjan, tylko mówiących dialektem,  
przeciwstawić patriotycznym dążeniom Polaków-ka-



tolików. Historia Ukrainy zawierała tyle akcentów walki z Polakami, że już to samo, w oczach urzędników carskich, nadawało ruchowi ukrajinofilskiemu charakter antypolski, a zatem, w ich mniemaniu, godne było poparcia.

Takie też zapewne stanowisko zajęli cenzorzy petersburscy, którzy, wprawdzie z pewnymi skrótami, puścili jednak i *Noc Tarasa*, i *Iwana Podkowę*, i *Hajdamaków*.

Poza tym, jeśli chodzi o ukrajinofilstwo starszej generacji, w rodzaju Maksymowicza, rektora uniwersytetu, czy dziedzica Kaczanówki, Tarnowskiego, to w ich lojalność władze carskie nie miały powodu wątpić.

Inaczej sprawa się przedstawiała z młodzieżą ukraińską. Tu umysły były zapalniejsze, większa ideowość i uczciwość, toteż radykalne nastroje Polaków udzielały się jej powszechnie. Młodzi Polacy stawali się niejako przewodnikami młodych Ukraińców. Nawet w ruchu ukrajinofilskim.

A sympatie proukraińskie podsycała wśród Polaków literatura, zwłaszcza emigracyjna.

Dzieła najwybitniejszych poetów, jak Słowacki, Zaleski, Goszczyński, mówiły serdecznie i przyjaźnie o Ukraińcach.

Polacy, nauczeni gorzkim doświadczeniem, starali się pozyskać Ukraińców dla wspólnej walki z caratem.

Nic też dziwnego, że Mikołaj we wszystkich poczynaniach spiskowych na Ukrainie węszył „intrygę polską”.

A tymczasem chłopci ukraińcy z ponurą zawziętością buntowali się przeciwko utrzymywanemu przez carat porządkowi. Nie zaprzęтали sobie głowy hetmanami jako takimi, ale Kozaczyznę zawsze mieli w pamięci, jako wzór swobodnego życia.

Kiedy Szewczenko rozglądał się po dawno nie wi-

dzianym Kijowie i szukał sposobności poznania się z Kuliszem, szef Wydziału Trzeciego, hrabia Benken-  
dorf, pisał w raporcie do cara: „Myśl chłopów o wol-  
ności z roku na rok zagraża przyszłemu bezpieczeń-  
stwu Rosji”.

W „prowincjach przyłączonych”, czyli na Litwie i Rusi, władze carskie, gdzie tylko mogły, kierowały nienawiść chłopów przeciwko Polakom, co nie nastre-  
czało zbyt trudności, gdyż większa własność ziem-  
ska należała tam do Polaków.

Z kolei szlachta polska w każdym buncie, w każdej ruchawce chłopów na Ukrainie, dopatrywała się „in-  
trygi moskiewskiej”.

Pantelejmon Kulisz, o pięć lat młodszy od Szew-  
czenki, czuł się powołany do odegrania w życiu ukraiń-  
skim roli na miarę historyczną. Pisał wielki poemat  
pod tytułem *Ukraina*. Poza tym zbierał materiały do  
obszernej historii narodu ukraińskiego. Ale chciał być  
nie tylko Puszkinem i Karamzinem literatury ukraiń-  
skiej, chciał być również jakimś nowym Chmielnickim  
czy Mazepą, rzecz prosta — szczęśliwszym w polityce.

Rozmłowany w dziejach Kozaczyzny, od dzieciń-  
stwa marzący o wskrzeszeniu świetności swojego na-  
rodu, z niezwykłym zapałem pracował nad pogłębia-  
niem wiedzy o świecie i o Ukrainie.

Syn ubogiego szlachcica, ideał społeczny widział  
w chutoriaństwie, czyli w drobnej własności ziemskiej.  
Postęp rozumiał jako łańcuch stopniowych przemian.  
Był entuzjastą oświaty i przeciwnikiem rewolucji.

Uważał się za demokratę i przyjaciela ludu. Jednak  
nawet mu się nie śniły żadne radykalne reformy.  
Chciał chłopów oświecać i z wolna podnosić na wyż-  
sze szczeble społeczne.

W swoich dążeniach był wytrwały, ale poglądy i taktykę często lubił zmieniać. Przerost ambicji wytworzył w tym utalentowanym człowieku samolubstwo, mściwość i organiczną nieszczerłość.

A nade wszystko — skłonność do pozowania.

Szewczenko dowiedział się o adres Kulisza i poszedł do niego.

Pisarz zajmował część drewnianego domku z ogrodem.

Służący zaprowadził Szewczenkę do narożnego pokoju, w którym mieścił się gabinet.

Pokój ten zamiast obicia miał czarną makatę, obrzucaną złotymi półksiężycami i gdzieniegdzie gładko przylegającą do ściany, a gdzieniegdzie spływającą w gęste fałdy.

Pod jedną ze ścian stał bukszpanowy sekretarzyk, inkrustowany kością i hebanem. Naprzeciwno — szeroka szafa z książkami, o szklanych drzwiach zasuniętych zieloną kitajką. Opodał kominek, a przed nim długi stół, z przodu w półkole wycięty, obity zielonym sukniem i z trzech stron otoczony połączoną galeryjką.

Na stole leżały papiery i przybory do pisania. Srebrny pięcioramienny lichtarz jarzył się świecami z zielonym abażurkiem na wierzchu.

Na wszystkich ścianach wisiały szable i portrety.

Okna wychodziły na ogród. Przed jednym z okien na niedużych stalugach barwił się i błyszczał obrazek olejny, oświetlony zachodzącym słońcem.

Kulisz wstał na powitanie gościa.

Szewczenko miał na sobie płócienny kitel i także czapkę, której nie zdjął w przedpokoju, tylko zsunął zawaśniak na tył głowy. Twarz ogorzała, bez wąsów; mina dobrodusznna, ale spojrzenie bystre, nieco figlarne.

— A wchadajcie, chto? — spytał zamiast prezentacji, głosem wesołym i beztróskim, uśmiechając się przyjaźnie.

Kulisz w lot się zorientował:

— Szewczenko.

— Win i je — odrzekł Taras i głośno się roześmiał. — Czy nema u was czarky horiłky?

Służący przyniósł wino i bałabuchy. Kulisz pod wpływem bezpośredniości i sympatycznej swobody Tarasa szybko wyzbył się napuszonych manier. Zaczęli rozmawiać jak starzy znajomi.

Kulisz najwidoczniej starał się upodobnić do wiszących w jego gabinecie portretów. Wprawdzie nie nosił wąsów, ale czuprynę zapuścił prawie kozacką, a natchniony blask oczu i bładawa cera nadawały mu staroświecki, niepowszedni wygląd.

Szewczenko imponowała wiedza Kulisza, jego oddanie sprawom ukraińskim. Kiedy jednak dostrzegł, że Kulisz, mimo zachwyków nad jego wierszami, okazuje mu pewną wyższość i traktuje go nieco protekcyjnie, umiał zręcznie powściągnąć owe niewczesne zapędy gospodarza.

Kulisz wysoko cenił Tarasa jako poetę, ale miał go za prostaczka, teraz jednak nabrał do niego respektu pod każdym względem.

Szewczenko zaczął deklamować swoje wiersze. Od słuchania *Hajdamaków* Kulisz się wymówił: że to niby za krwawe, za ponure. Natomiast chętnie wysłuchał *Hamalię*.

Oj, powij, powij, witre, czerez more,

Ta z Welykoho Łuhu,

Suszy naszi slozy, zahłusz kajdany,

Rozwij naszu tuhu.<sup>2</sup>

---

<sup>2</sup> Oj, powiej, powiej, wietrze, przez morze, || Od Wielkiego Łuhu, || Osusz nasze łzy, zagłusz kajdany, || Rozwiej naszą tęsknotę.

Kulisowi zaświtało w głowie, że rolę Puszkina w poezji ukraińskiej odegra nie on, lecz Szewczenko. Olśniewały go wiersze tego biedaka z Kiryłówki. Takim językiem nie mówił dotąd nikt na Ukrainie. I nikt nie umiał tak poetycko tęsknić po Wielkim Łuhu — ojcu i Siczy — matce kozackiej.

Kulisz poczuł w sercu żądło zazdrości.

Przy pożegnaniu powiedział do Tarasa żartobliwie, iż go uszczęśliwiło to ich siczowe bałakannia, a jeśli wynikały między nimi jakieś różnice zdań, to dlatego że jeden rozmawiał jak niżowy kurennik, a drugi jak miejski karmazyn.

Kulisz oczywiście uważał się za karmazyna.

Komisja archeologiczna delegowała Kulisza do różnych miejscowości na Ukrainie w celach naukowych.

Któregoś dnia, niedługo po zaznajomieniu się z Szewczenką, Kulisz zaproponował mu wspólną przejażdżkę do Meżyhoria. Był tam ongiś słynny monaster kozacki, zwany po prostu Meżyhorskim Spasem.

Zaporoscy Kozacy przyjeżdżali do niego, aby znaleźć ostatni w życiu przytułek i wybłagać sobie zbawienie.

Przed dwustu z górą laty, w parę dni po bitwie pod Połtawą, do bramy monasterskiej zakochał starzec, postawny i krzepki mimo sędziwego wieku.

— Chto takyj? — zapytali czerńcy.

— Zaporozec.

— Czoho treba?

— Spasatysia.

Brama się otworzyła i starzec wszedł do środka. Wręczył ihumenowi skórzany worek ze złotem, rzucił kosztowne szaty i przywdział czarną suknię pęślusznika. Wkrótce potem umarł.

Tym starcem był Semen Palij, pułkownik fastowski, ulubieniec dołów kozackich, zwolennik Rosji, wróg Mazepy.

Kulisz opowiadał Szewczenko o życiu Palija. Szewczenko sam już zresztą dużo wiedział o tym z lektury dzieł historycznych. Ale Kulisz swoiście oceniał wypadki. Usprawiedliwiał wszystkie postęпки Piotra Pierwszego i nie miał mu za złe nawet zesłania Palija na Sybir. Kozackiego wodza chwalił za udzielenie Piotrowi pomocy w walce ze Szwedami. Potępiał Mazepę.

Szewczenko na pozór spokojnie, ale z wewnętrznym ogniem oponował przeciwko takiej uproszczonej koncepcji. Grzechem Mazepy było przede wszystkim to, że zbyt się troszczył o interesy starszyny, a nie brał pod uwagę słusznych żądań dołów kozackich. Gdyby się umiał złączyć z Palijem, sprawa przybrałaby zupełnie inny obrót. Palij znowu grzeszył łatwowiernością w stosunkach z caratem. I też przegrał. A razem z nimi obydwoma przegrała Ukraina. Piotr Pierwszy, a potem Katarzyna Druga — zrujnowali ją do szczętu.

Rozmowa dwóch patriotów na tematy historyczne doprowadziłaby do poważnej sprzeczki. Ale jednemu i drugiemu zależało na podtrzymaniu świeżo zawartej znajomości, więc jakoś się pohamowali.

Kulisz umiał interesująco gawędzić o starym obyczaju. Zaczął snuć opowieść o ostatnich chwilach Palija. W bitwie pod Połtawą pułkownik fastowski wcale się przyczynił do zwycięstwa Rosjan. Nie wiadomo, co potem zaszło między nim a Piotrem. Chyba jednak Palij doszedł do wniosku, że sprawa kozacka nic na zwycięstwie nie zyskała, bo prawie bezpośrednio z pola bitwy, złożywwszy dowództwo nad pułkiem, udał się

do Kijowa. Nie wiek był temu przyczyną: Palij miał prawie osiemdziesiąt lat, ale mógł żyć jeszcze ze dwadzieścia albo i więcej, tak mu dopisywało zdrowie.

Pojechał do Kijowa. W monasterze Złotowerchym Świętego Michała Archistratega, patrona Ukrainy, miał złożoną skrzynię z czerwońcami. Czwartą część tego oddał ihumenowi w ofierze, drugą taką samą część kazał zaszyć w worek skórzany i zostawił u znajomych; a resztę wziął z sobą i w towarzystwie najwierniejszych przyjaciół i podkomendnych poszedł hulac w mieście. Starym zwyczajem kozackim najął troi-stą kapelę — kobzę, flet i bęben — i chodził od szynku do szynku, fundując wszystkim bez wyjątku wino i gorzałkę. Przyłączyli się do niego hurmą bursacy-seminarzyści. Ci dopiero pokazali sztuczki, o których głośno potem było w całej Kijowszczyźnie. Na rynku be-sarabskim wykupili wszystkie garnki gliniane i po-tłukli w drobny mak. Na Podole znowu dobyli skądś beczułkę wilczego sadła i wysmarowali nim bramę do-mu najbogatszego kupca. Zleciały się psy z całego mia-sta i wyły tak okropnie, że musiano sprowadzić gwar-dię municynalną, aby je rozpędzić. Czego jeszcze nie wyprawiali bursacy! Śpiewy, muzykę i nawet strze-laninę słyhać było aż za Dnieprem.

Trwało to dwa tygodnie. Kiedy Palij wydał wszyst-ko, co miał przy sobie, zabrał worek skórzany z resztą złota i na czele gromady towarzyszków powędrował do Meżyhoria. Całą drogę szedł pieszo i tańczył, i przy-tupywał, i przyśpiewywał. Kozak z niego był nie lada. Prawdziwy zaporoski Kozak.

A jednak w monasterze niedługo pożył. Czerńce, którzy go dobrze znali jeszcze z dawnych czasów, mó-wili, że umarł z żalu i zgryzoty. Wciąż mu się śniła wolna Ukraina.

Dla Szewczenki zaskakujące było jedno spostrzeżenie: Kulisz, nie magnat jak Tarnowski, ale drobny szlachcic, niewątpliwie szczery patriota ukraiński, miał bardzo skromne wymagania w sprawach narodowych. Jakaś autonomia, swoboda rozwoju kulturalnego, język ojczysty w szkołach — to by mu wystarczyło.

Taki minimalistyczny program, jeszcze zrozumiwały u magnata, dziedzica wielkiej fortuny, raził po prostu u szlachetki świecącego dziurami na łokciach. Co Kulisz miał do stracenia?

Gdy Szewczenko głowił się tak nad tą zagadką, sam Kulisz ułatwił mu jej wyjaśnienie.

Rozmawiali o planach na przyszłość. Szewczenko zwierzył się, że chciałby dostać jakąś posesję w Kijowie, dłużej na fińskim błocie, jak nazywał Petersburg, nie wytrzyma. Chciałby w ogóle mieszkać na Ukrainie. Utrzymywać się z malarstwa, a wiersze pisać dla potrzeby serca — dla rodaków.

Kulisz główny cel życia też widział w pisaniu książek, ale drogę do tego celu wiodącą wyobrażał sobie inaczej. Chciał być niezależny materialnie, chciał dojść do posiadania chutoru, niezbyt wielkiego, ale takiego, który zapewniłby mu wygodną egzystencję. Oczywiście sam by na nim nie pracował, musieliby za niego pracować chłopci. Ma się rozumieć, traktowałby ich jak ojciec. Marzył o takiej patriarchalnej sielance na łonie przyrody. Pisałby wtedy a pisał. I malował. Bo oprócz wielu innych ambicji, miał i taką — aby zasłynąć w malarstwie.

Szewczenko patrzył na Kulisza z mieszanym uczuciem. Podziwiał jego rozmach, fantazję i pracowitość, ale nie pochwalał pańskich aspiracji. On, chłop, za szczyt marzeń uważał posiadanie kawałka ziemi. I własną ciężką na niej pracę. A ponad wszystko wynosił wolność. Kiedy myślał o wolnej Ukrainie, wy-



obrażał ją sobie jako ojczyznę ludzi wolnych: „bez chłopca i bez pana”. Ani na chwilę nie mógł zapomnieć, że wszyscy jego najbliżsi, bracia i siostry, wciąż jeszcze chodzą w pańszczyźnianym jarzmie. Jeśli ma być ziemia i wolność, to dla wszystkich, co sieją i orzą, nie dla garstki darmozjadów.

Szewczenko dzięki Dębskiemu przeszedł już niejako szkołę Lelewela i Konarskiego. Ale strumień przenikliwych myśli Tarasa miał główne źródło w jego chłopskiej, upartej naturze, w jego sercu, czułym na wszelkie krzywdy i nieszczęścia.

Szewczenko wtajemniczył Kulisza w projekt wydania albumu rycin, powielanych techniką miedziorytniczą.

Dał albumowi nazwę: *Malownicza Ukraina*.

Zeszli się znowu w mieszkaniu Kulisza. Szewczenko pokazał mu swoje ostatnie prace, między innymi wykonany ołówkiem widok monasteru Wydubieckiego oraz szkic *W Kijowie*, mające wejść do pierwszej serii sztychów.

A gdy zobaczył stalugi i farby przygotowane do malowania, wnet usadowił Kulisza w odpowiedniej pozie. Po dwóch godzinach pracy darował mu portret.

Kulisz obejrzał portret, podziękował; obejrzał rysunki Tarasa, pochwalił. Nic więcej nie rzekł; stało się dla niego jasne, że i w dziedzinie malarstwa musi temu chłopskiemu, jak go w duchu nazywał, artyście ustąpić palmy pierwszeństwa.

Ufając jednak w swoją wiedzę i w swój geniusz polityczny, pocieszał się nadzieją, że zdoła pokierować tym „samorodnym” talentem, wprowadzi go na drogę służby narodowej — w swoim pojęciu, rzecz prosta. I to będzie jego wielką zasługą. „Szczob wono piszło z mojej ręki” — myślał. O nic innego mu już nie chodziło.

## VIII

W kancelarii generał-gubernatora kijowskiego, Bibikowa, pracowało wielu Polaków. Przeważnie hrabiów, jak Worcell, Olizar, Raczyński, Tyszkiewicz, Modzelewski, Sobański i inni. Funkcję adiutanta pełnił hrabia Juliusz Strutyński, parający się literaturą pod pseudonimem Berlicza Sasa.

W imperium carów zamożna szlachta była warstwą uprzywilejowaną, a wśród ziemiaństwa (na Kijowszczyźnie znakomitą większość stanowili Polacy) Nic też dziwnego, że Bibikow utrzymywał z nimi dobre stosunki. Nie znosił natomiast szlacheckich szaraków, którzy mu przysparzali tyle kłopotów. Z jednymi hułał i grał w karty, drugich — gdy się nadarzyła okazja — pakował do więzienia.

Dwanaście lat zaledwie upłynęło od upadku powstania, cztery zaś od wykrycia spisku Konarskiego, a jakże się zmieniło oblicze kraju. Rusyfikacja postępowała naprzód miarowo i nieuchronnie. Lud się tylko burzył; a warstwy górne, polskie i ukraińskie, szły na wszelkie kompromisy, byle utrzymać swój stan posiadania. Nikt tam nie wierzył w możliwość przeciwstawienia się carowi.

Nie było już Romanów z Koszary i Emirów.

Jeden z najświetlejszych umysłów szlacheckich, dobry skądinąd Polak, znawca literatury polskiej i ukraińskiej, ongiś przyjaciel Goszczyńskiego, Zaleskiego i wielu innych poetów romantycznych, sam świetny krytyk i prozaik, Michał Grabowski, również uległ tej fascynacji, jaką wywierał carat.

W lutym tysiąc osiemset czterdziestego trzeciego roku dziedzic Aleksandrówki wysłał do generał-gubernatora na ręce hrabiego Strutyńskiego list z projektem założenia dziennika polskiego w Kijowie.

Program polityczny pisma nakreślony był zwięźle i jasno: uznanie monarchicznej formy rządów oraz jedności państwowej Polski z Rosją.

Dziennik miał propagować kulturę rosyjską wśród Polaków i służyć sprawie ścisłego współzycia literatury polskiej z rosyjską. Miał szerzyć ideę zjednoczenia Słowian, oczywiście pod berłem batiuszki-cara.

Grabowski, będąc przedtem w Kijowie, pokazał ten projekt Świdzińskiemu. Znakomity badacz i zbieracz starożytności, zasłużony w powstaniu listopadowym działacz polityczny, nie znalazł w projekcie nic zdrożnego ani przeciwnego interesom polskim.

Hrabia Strutyński miał w tej materii nieco inne zdanie.

Kiedyś do kancelarii generał-gubernatorstwa przyszedł wuj hrabiego, też ziemianin, ale sympatyk konarszczyzny, Marek Sarnecki. Znając nieposkromioną ciekawość i patriotyzm wuja, Strutyński położył na biurku list Grabowskiego i wyszedł z pokoju.

Niebawem cała Ukraina, a potem cała Polska wiedziała, co projektuje Michał Grabowski. A potem odpisy sławetnego listu zaczęły kursować nawet wśród emigrantów polskich we Francji.

Sprawa ta bardzo zaszkodziła Grabowskiemu w oczach demokratycznego odłamu opinii polskiej. Świdziński, gdy go o to nagabywano, nie chciał się przyznać, że aprobował przedtem projekt Grabowskiego.

W kraju liczone się z sądami emigracji. A prasa emigracyjna surowo obeszła się z Grabowskim.

Szewczenko pragnął swoją *Malowniczą Ukrainę* rozpowszechnić nie tylko wśród Rosjan, ale i wśród Polaków.

Trzeba było pomyśleć o polskim tekście do albumu.

Kulisz radził Tarasowi zwrócić się w tej sprawie do Edwarda Tarszy, czyli Grabowskiego, który właśnie zbierał materiały do książki *Ukraina dawna i teraźniejsza*.

Pojechali razem do Aleksandrówki. Autor *Koliszczyny i stepów* przyjął ich z ujmującą gościnnością. Mile był zaskoczony tym, że Szewczenko tak dobrze mówi po polsku. Przyrzekł mu oczywiście pomóc.

Rozmowa zeszła na tematy słowiańskie. Grabowski, nie zrażony efektem listu do Bibikowa, znów zaczął rozwijać przed gośćmi ideę urzędowego panslawizmu. Znakomity krytyk należał do ludzi, którzy nie pomijają żadnej okazji, aby wszczepiać bliźnim swoje poglądy.

Na zapytanie Kulisza, jak sobie wyobraża w tym układzie stanowisko Polski, odpowiedział:

— Mniemana historia polskiej samoistności jest zakończona. Odtąd egzystować ona może tylko jako członek Rosji lub Słowiańszczyzny.

Kuliszowi bardzo się podobało takie ujęcie sprawy. On też sobie nie inaczej wyobrażał pozycję Ukrainy.

A Szewczenko pomyślał, że gdyby przy tej rozmowie był obecny Dębski, to obaj przyjaciele, Polak i Ukraińiec, dostaliby niezłą lekcję moralności narodowej.

Po powrocie do Kijowa Taras i Kulisz natknęli się na Strutyńskiego i dowiedzieli się od niego ciekawej nowiny. Bibikow zaproponował Grabowskiemu posadę naczelnika policji w powiecie radomyślskim. >

Hrebinka letnie miesiące spędzał na Połtawszczyźnie. W pobliżu Pyriatyna miał niewielki chutor Ubiżyszczę i tam w cieniu śliwek i grusz odpoczywał po trudach stołecznego żywota.

Szewczenko uważał za stosowne złożyć wizytę swojemu protektorowi. Gospodarz dał mu wypocząć dni kilka, a potem zaproponował wyjazd do sąsiedniej Mojsówki, majątku Tatjana Wołchowskiej.

Mojsówkę nazywano ukraińskim Wersalem. Był tam ogromny pałac w stylu jakimś osobliwym, otoczony rozległym parkiem, z licznymi fontannami. Ludzie, nie mogąc znaleźć innego określenia, nazywali ten pałac „azurowym”. Podczas wieczornych przyjęć, oświetlony rzesiście tysiącem świec, wyglądał jak olbrzymia lampa Aladyna.

Wnętrze domu było równie osobliwe — pełne staroświeckich mebli, zwierciadeł i kotar. Wszystkie pokoje tonęły w kwiatach i zieleni.

Ale najosobliwsza była sama właścicielka tych przepychów.

Wdowa po generale, pół Niemka, pół Rosjanka, Wołchowska rozpoczęła właśnie osiemdziesiąty rok życia. Jej młodość i wiek dojrzałej kobiecości przypadły na owo czarujące stulecie — masek, luster i kandela-brów; stulecie wolterianizmu i uwielbienia rzeczy doczesnych; lekkiej, dekoracyjnej architektury, powabnej kokieterii i swobodnych obyczajów.

Tatjana Wołchowska była nieodrodnym dzieckiem rokoka.

Lubiła się bawić i grać w karty. Kiedy na starość straciła wzrok, oddała zarząd gospodarstwa jakiejś Fräulein Karolinie i dalej prowadziła ten sam tryb życia. Gdy jej brakło pieniędzy, podpisywała weksle.

Dwa razy na rok odbywały się w Mojsówce trzydniowe bale, na które zjeżdżało po paręset osób: dwudziestego dziewiątego czerwca — na imieniny nieboszczyka męża, i dwunastego stycznia — na imieniny samej pani generałowej.

Właśnie na taką czerwcową trzydniówkę przywiózł Tarasa jego przyjaciel Hrebinka.

Na powitanie dwóch poetów wyszedł też poeta, stały bywalec wszystkich miejscowych imprez, ułan w stanie spoczynku, Afanasjew-Czuźbiński, i wygłosił odę na cześć Tarasa:

Harno twoja kobza hraje,  
Lubuj mij kozacze!

Pani generałowa przyjęła Szewczenkę z niezwykłą estymą. A wszyscy goście otoczyli Tarasa i głośno wyrażali radość z powodu jego przybycia.

Posadzono Tarasa w gronie pięknych kobiet. Niektóre z tych wykwintniś, posługujących się zazwyczaj tylko francuszczyzną, deklamowały jego wiersze po ukraińsku. Nie było ani jednej, która by nie czytała *Kobzarza*.

Szewczenko był wzruszony. Nie spodziewał się takiego przyjęcia.

Jego osoba sprawiła na wszystkich najkorzystniejsze wrażenie. Poeta zachowywał się swobodnie, bez cienia nieśmiałości lub uniżoności. Rozmawiał wesoło, dowcipnie; tylko po ukraińsku.

W Mojsówce poznał Taras wszystkich wybitniejszych przedstawicieli bogatego ziemiaństwa z całej niemal Połtawszczyzny. Byli tam: książę Mikołaj Repnin-Wołkoński z córką Warwarą, Piotr Selecki, Platon Łukaszewicz, Wasyl Tarnowski, książę Mikołaj Dołgorukow i inni.

Byli też ludzie innego pokroju, jak Marcin Zaleski,

pociotek przebywającego na emigracji poety Bohdana, oficer huzarów. Zjawiał się zawsze tam, gdzie mógł spotkać uroczą siostrę Piotra Seleckiego, Marię. O tych zalotach wróble już ćwierkały.

Był wreszcie Wiktor Zakrzewski, właściciel Brzozowej Rudki, zwany „jego pijacką mością, królem moczymordów”.

Jak na prawobrzeżnej Ukrainie Antoni Szaszkiwicz, spolonizowany Ukrainiec, przewodził tajmtejszym hulakom-bałaгуom, tak na Słobodzkiej podobną rolę odgrywał zukrainizowany Polak, Zakrzewski.

W gruncie rzeczy niezły i niegłupi człowiek, o poglądach dosyć demokratycznych, lubiany przez wieśniaków, z którymi obchodził się niemal po przyjacielsku, Wiktor Zakrzewski nie miał żadnych wyższych aspiracji: brakło mu do tego wiedzy i charakteru. Zresztą policyjna atmosfera imperium nie sprzyjała szlachetniejszym przedsięwzięciom, zachęcała tylko do zalewania robaka. Zakrzewski czynił to z niemałą wprawą, więc go obwołano „królem”.

Moczymordy zebrani na balu u Wołchowskiej przyjeśli Tarasa tak samo serdecznie, jak i reszta towarzystwa. Widzieli w Szewczence sympatycznego człowieka i sławnego ziomka, więc toastom i uściskom nie było końca. Szewczenko ze swej strony odniósł się do nich przyjaźnie, gdyż wydali mu się bardziej ludzcy i godni szacunku niż niejeden napuszony i wymuskany arystokrata. Zresztą było pomiędzy nimi kilka ciekawych postaci, jak na przykład Ałeksy Kapnist eks-oficer gwardii i dekalbrysta, potomek hrabiów weneckich, syn znanego pisarza i satyryka, Jakub de Balmain, potomek szkockich rycerzy, właściciel zamku w Linowicach, malarz i miłośnik poezji, oraz Wiktor Zabiła, ukraiński poeta-romantyk, właściciel chutoru Kukurykowszczyzna.

Zażyłe stosunki Tarasa z moczymordami dały później różnym ludziom pretekst do wielu oszczerczych plotek pod adresem poety. Nie było w nich żdźbła prawdy. Szewczenko lubił wesołe towarzystwo, czuł się dobrze, kiedy mógł się narozmawiać do woli, nadeklamować wierszy i naśpiewać ulubionych piosenek, lubił potańczyć; trunki stawiał na drugim planie, chociaż za kołnierz nie wylewał i głowę miał mocną, zaproską.

Podczas balu Wiktor Zakrzewski przedstawił Szewczenkę siostrze i bratowej. Jedna z sióstr, Maria, była utalentowaną pianistką, a druga, Zofia, powieściopisarką.

Bratowa Zakrzewskiego, Hanna, była córką „horodowoho atamana”. Szczera Ukrainka, smukła i dziewczęco wiotka, chętnie nosiła stroje rodzime i śpiewała pieśni swego kraju.

I teraz miała na sobie strój narodowy.

Rękawy jej cienkiej, olśniewająco białej koszuli, wyszyte były różnokolorowym jedwabiem, złotem i srebrem w najcudniejszy wzór. Szyja i piersi — obwieszane kilkunastu sznurkami koralu i świecideł, zwanych namysto. Wbrew zwyczajowi kobiet ukraińskich szpecących się przesadnym utkaniem głowy we wstążki i kwiaty, przepasała czoło tylko jedną karmazynową wstążką, a we włosy wpięła tylko jeden pasowy kwiatek. Pas jedwabny obejmował jej cienki stan i kraciastą zapaskę, a czerwone safianowe buciki ze srebrnymi podkówkami dopełniały stroju.

Włosy miała ciemne, brwi czarne, łuczaste, a oczy tak szafirowe, że również zdawały się czarne.

Po wieczery muzyka przeniosła się do parku i przygrywała w dużej altanie. Zapłonęły chińskie lampiony.



Hanna tańczyła horłycię, taniec dziewcząt ukraińskich.

Szewczenko był wniebowzięty.

Marcin Zaleski zaproponował przechadzkę po parku. Podał rękę Marii Seleckiej. Zaprosił do towarzystwa Hannę i Tarasa.

Przechadzali się ze dwie godziny. Świecił księżyc. Pachniały kwiaty. Taras mówił wiersze i śpiewał.

Kiedy wracali, od strony pałacu doleciał gniewny, chrapliwy głos małżonka Hanny. Platon Zakrzewski dopiero co wstał od kart i, nie przebierając w słowach, wymyślał komuś ze służby.

Hanna jakoś winowajczo popatrzyła na Tarasa. Kiedy mu podawała rękę na pożegnanie, uśmiechnęła się do niego z niespodziewaną czułością i smutkiem.

De Balmain zachwycał się *Kobzarzem*. Znał świetnie cztery języki: francuski, rosyjski, ukraiński i polski. Jako oficer ułanów, przebywał dobre kilka lat w Krasnymstawie. Często jeździł do Warszawy.

Miał tam dużo znajomych. Opowiadał Szewczenko o warszawskiej Cyganerii, o „entuzjastach” i „entuzjastkach”, o ich społecznikowskiej pracy. Podobnie jak Mombelli, żywy, zapałny, nienawidzący tyranii, z uwagą śledził ruchy wolnościowe w Europie, zwłaszcza we Włoszech.

Przytaczał Szewczenko wiersze poetów polskich, opiewające Wenecję i jej bohaterskie zmagania z zaborcą. Słowo „Wenecja” było szyfrem, oznaczającym ojczyznę w niewoli. Jeden z czołowych entuzjastów, Edward Dembowski, napisał wiersz pod tytułem *Śmierć żeglarska pod Wenecją*. Umiała ten wiersz na pamięć cała patriotyczna młodzież warszawska.

De Balmain deklamował:

...Ha, łódka strzaskana!  
Grom w nią uderza! Skała dno wybija.  
Na próżno na nas patrzy Wenecja...  
...Wiosłujmy szybko! Możemy nie zginąć...

Tarasowi żywo stanął w pamięci Leonard Dębski.

Wytworny arystokrata i moczymorda w jednej osobie, De Balmain, miał ducha łącie plebejskiego, czuł przy tym wstręt do konwenansów i nieszczerości w życiu towarzyskim, nie znosił cynizmu i rozwiązłych rozmów. Znalazł pod tym względem bratnią duszę w Szewczence. Przyłgnęli do siebie. Szewczenko wprost z Mojsówki pojechał do Linowic.

De Balmain zapalił się do myśli, aby rozpowszechnić *Kobzarza* na prawobrzeżnej Ukrainie i nawet dalej, na ziemiach polskich. Zaproponował Tarasowi, że dokona łacińskiej transkrypcji *Kobzarza*, narysuje ilustracje, winiety i prześle to wszystko Tarasowi, który sam już później zajmie się drukiem.

Razem z nowym przyjacielem wybrał się Szewczenko w odwiedziny do Brzozowej Rudki do Zakrzewskich.

Tam się umówił, że niebawem przyjedzie po raz drugi i namaluje portrety wszystkich członków rodziny.

Od Zakrzewskich pojechał do Kowalówki do Aleksego Kapnista.

Kapnist, chociaż pochodził z włoskiej rodziny, czuł się Ukraińcem. Tak samo, jak jego ojciec Wasyl, który ongiś osobiście interweniował u króla Fryderyka i namawiał go do wyzwolenia Ukrainy spod władztwa caratu.

Aleksy Kapnist był dekabrystą — jednym z nielicznych, którym się udało ocalić głowę. Był również, za życia Kotlarewskiego, członkiem połtawskiej loży masońskiej.

Szewczenko i Kapnist szybko znaleźli wspólny język. Gospodarz deklamował *Odę na niewolnictwo*, a potem opowiadał o swoich spotkaniach z Rylejewem.

Z Kapnistem pojechał Szewczenko do Jahotyńa do księcia Repnina, którego poznał w Mojsówce, a o którym tyle dobrego słyszał w Moskwie od Michała Szczepkina.

W Jahotyńie obejrzał piękną galerię obrazów, a wśród nich portret księcia, wykonany przez malarza szwajcarskiego Józefa Hornunga. Kopie tego portretu zlecili Szewczenko wykonać Hryhorij Tarnowski i Kapnist.

Księżniczka Warwara z uwielbieniem mówiła o swoim stryju Sergiuszu Wołkońskim, odbywającym kartogę w Nercyńsku; opowiadała o Marii Rajewskiej i Puszkynie, o Kotlarewskim i Gogołu.

Tu właśnie wychowywał się i umarł w trzecim roku życia synek Wołkońskich; car nie pozwolił rodzicom wziąć go na Syberię.

Księżniczka Warwara miała bladą, ascetyczną twarz i wieczną melancholię w oczach. Wysoka, chuda, wyglądała na mniszkę. W istocie była dewotką. Ale najszlachetniejszą na świecie. Wolny od pracy i modlitwy czas poświęcała ubogim i nieszczęśliwym.

Skończyła już trzydzieści pięć lat. Wedle pojęć ówczesnych była starą panną. Jako całkiem jeszcze młodzieńca dziewczyna, oddała serce przystojnemu oficerowi, który adiutantował jej ojcu. Nazywał się Boratyński i był rodzonym bratem poety, którego za udział w spisku Rylejewa zesłano na Sybir.

Rodzice nie chcieli się zgodzić na taki mezalians.



**Monaster Motroneński, Taras Szewczenko. Akwarela, 1845**



**W Reszetyłówce. Taras Szevczenko. Tusz, sepia, akwarela, 1845**

Nieustępliwa była zwłaszcza matka księżniczki, z domu Razumowska, wnuczka ostatniego hetmana Ukrainy, Kiryła.

Księżniczka nie wyszła za mąż. Nadmiar sił żywotnych próbowała przelać w pisarstwo. Nocami, gdy wszyscy spali, komponowała długie, sentymentalne romanse. Poza tym regularnie wysyłała obszernie, ładnie po francusku stylizowane listy do swojego byłego nauczyciela, Szwajcara, Karola Aynarda.

W jednym z ostatnich listów do Aynarda księżniczka zwierzyła się: „Je céde lachement des heures entières à l'entraînement de mon imagination qui me présente des tableaux brulants de passion et quelquefois même de volupté”.<sup>1</sup>

Księżniczka Warwara mogłaby być bohaterką którejś z „komedii” Musseta.

Pałac w Jahotynie składał się z kilku empirowych pawilonów, z których każdy stanowił cacko architektoniczne. Wszystkie pawilony zbudowane były z drogocennej dębiny, używanej zwykle do artystycznych rzeźb.

Pałac należał ongiś do hetmana Cyryła Razumowskiego i stał w Kijowie, na Pieczarsku. Kiedy podczas którejś z wojen tureckich Rosjanie chcieli tam zakwaterować swoich oficerów, hetman kazał rozebrać dom i przewieźć do Jahotyń. Użyto do tego trzy tysiące wozów z odpowiednią ilością koni i ludzi, a całą operację wykonano w ciągu paru dni. Na miejscu wszystko z powrotem złożono i ustawiono w tym samym porządku.

---

<sup>1</sup> Całe godziny nikczemnie poświęcam na grę wyobraźni, która mi ukazuje pałace obrazy namiętności, a czasem nawet rozkoszy.

Majątek jahotyński był jednym z największych na Połtawszczyźnie. Obejmował przeszło czternaście tysięcy dziesięcin ziemi. Książę Repnin mimo to ledwo wiązał koniec z końcem. Strasznie dużo kosztowały go przyjęcia, utrzymanie licznej służby oraz nie mniej licznych rezydentów i rezydentek.

Pomstował na niewdzięczność cara. Będąc wicekrólem Saksonii wydał na reprezentację z górą milion rubli z własnej szkatuły. Car nie tylko mu nie oddał ani grosza, ale jeszcze wyrzucił go ze stanowiska generał-gubernatora Małorosji.

Książę, ogarnięty złością, usunął ze swojej galerii obrazów wszystkie portrety carów i porozdawał je sąsiadom.

W Jahotynie wszyscy polubili Tarasa od pierwszego dnia. Szczególnymi względami darzyła go stara księżna Repnin. Jej dziadek, sławny hetman, zaczął karierę od pasania gęsi; Szewczenko, sławny poeta w dzieciństwie również był pastuchem. W oczach księżnej okoliczność ta miała nie byle jakie znaczenie.

Księżniczka Warwara mówiła o Szewczenku do lejbmetyka, doktora Fischera:

— Jakże wiele ten człowiek ma taktu i dobroci, jak umie uszanować wszystko, co święte. Jaki jest ujmujący.

Szewczenko nosił modny podówczas, długi, szary surdut, „z talią”, z aksamitnym kołnierzem i wysoko, pod samym podbródkiem, zawiązany szal-krawat. Włosy miał zazwyczaj rozwichrzone; wąsy i brodę golił, zostawiając nieduże baczki. Cechowała go pewna absence de grâce, ale poruszał się swobodnie i śmiało.

Zjawienie się Szewczenki w Jahotynie wniosło smugę blasku w szare, jednostajne życie księżniczki.

Kiedy usłyszała, jak Taras recytował swoje patriotyczne wiersze, nie mogła się powstrzymać od łez.

Księżniczka Warwara posługiwała się swobodnie językiem francuskim, niemieckim, rosyjskim i polskim. Ukraiński знаła dość słabo. Ale umiała ocenić geniusz poetycki Tarasa. Nazwała go w myśli „ukraińskim bardem”. I zapragnęła, aby właśnie przez nią nadal „szerzył prawdę swojego niezrównanego talentu”.

Była niedawno z rodzicami w Kijowie. Poznała tam ciekawą postać: uczonego — Polaka, Konstantego Świdzińskiego. Świdziński opowiadał jej o Dionizji Poniatowskiej i o Bohdanie Zaleskim. O dobroczynnym wpływie, jaki Dionizja wywierała na twórczość autora „Dum i dumek”.

Księżniczka Warwara zapragnęła zostać Zoryną Tarasa Szewczenki.

Umówiono się, że Szewczenko przyjedzie niebawem do Jahotyń, by zrobić portrety księcia i wykonać malowidła ściennie w głównym pawilonie.

Szewczenko rad był z tej propozycji. Stanęły mu w pamięci lata spędzone u Szyriajewa. Będzie znowu nosił wiadra z farbą.

Tymczasem ciągnęły go do siebie błękitne pola Ukrainy. Pojechał Dnieprem do Ekaterynosławia, stamtąd na wyspę Chortycę, wreszcie na obszar Nowej Syczy, do wsi Pokrowskie.

W powrotnej drodze zwiedził Czehryń, ongiś stolicę hetmanów, i Subotowo, dawną rezydencję Bohdana Chmielnickiego.

Obrazy minionej chwały narodowej, którą przeżywał w wyobraźni przy czytaniu dzieł historycznych, w zestawieniu z nikczemną rzeczywistością współczesną budziły w jego sercu gniew i ból.



Chortyca i ziemie wokół niej na obu brzegach Dniepru obsadzone były przez kolonistów niemieckich, nie umiejących nawet mówić po ukraińsku.

Gruntami dawnej Siczy władał zbogacony karczmarz, baron Stieglitz.

Ekaterynosław samą swoją nazwą przypominał sprawczynię największych nieszczęść, jakie spadły na Ukrainę. W górnej części miasta wznosił się pałac Potemkina, a przed pałacem posąg założycielki miasta, nieludzkiej carycy.

W Czehryniu na górze zamkowej zostały tylko żalosne szczątki potężnej twierdzy kozackiej. Wszędzie brud, zapuszczenie, obcoplemienne twarze i mundury carskich policjantów.

Szewczenko widział cienie zapomnianych przodków, słyszał ich straszne głosy:

Wielki dni, wielki noczi,  
Wielki ludy iz ruin  
Na swit wychodiat' i howoriat',  
Howoriat' straszno... Płaczut' hory  
I serce płacze...<sup>2</sup>

W Subotowie stała jeszcze cerkiew, którą zbudował Chmielnicki. Dwór leżał w gruzach. Podziemia były wielokrotnie rozkopywane z rozkazu władz: spodziewano się tam znaleźć ukryte skarby.

Teraz wszystko zarosło zielskiem, stało się przytułkiem płazów i gadów.

Szewczenkę na ten widok ogarnęło uczucie piekącego wstydu; dojrzał w tym profanację pamiątek narodowych; zobaczył, jak wygląda dno ponizenia narodu w niewoli.

I nie mógł przy tym nie dojść do wniosku, że znacz-

---

<sup>2</sup> Wielkie dnie, wielkie noce, || Wielcy ludzie z ruin || Wychodzą na świat i mówią, || Mówią strasznie... Płaczą góry || I serce płacze...

na część winy za to wszystko spada na samych Ukraińców.

...Zasnuła Wkrajina,  
Burjanom ukryłaś, cwillju zacwiła,  
W kaluży, w bołoti serce prohnojiła  
I w dupło chołodne hadiuk napustyla...<sup>3</sup>

Szewczenko świadom był, że niewielu jego rodaków myśli i czuje tak jak on:

Tilko ja, mow okazannyj,  
I deń, i nicz płaczu  
Na rozputtiach wełeludnych.  
I nichto ne baczyt',  
I ne baczyt', i ne znaje —  
Ohłuchły, ne czujut'...<sup>4</sup>

Cerkiew w Subotowie wydała się Szewczence mogiłą, w której pochowano Ukrainę. Patrząc na tę cerkiew, w tragicznym świetle ujrzał Bohdanowe dzieło — ugodę z carem. Stąd właśnie wzięły początek wszystkie nieszczęścia, całe zniszczenie ojczyzny, cierpienia ludu.

Ilekróć potem w swoich utworach wspominał hetmana, miał dla niego dwojakie uczucie: podziwu i uwielbienia, jako dla największego w dziejach Ukrainy wodza, który narodowi swojemu przysporzył tyle splendoru, zwłaszcza w wojnach z Rzeczpospolitą, oraz pogardy i prawie nienawiści, jako dla polityka, który przez nieostrożne poddanie się opiece silniejszego sąsiada wtrącił swój naród w piekło niewoli.

---

<sup>3</sup> ...Zasnęła Ukraina, || Burzanem porośla, pleśnią się pokryła, || W kałuży, w błocie serce przegnoiła || I w zimną dziuplę napuściła żmij...

<sup>4</sup> Tylko ja, jak potępieniec, || I dzień, i noc płaczę || Na rozstajach tłumnych, ludnych. || I nikt nic nie widzi, || Nic nie widzi i nic nie wie — || Ogłuchli, nie słyszą...

Czara goryczy była ledwo napoczęta. Szewczenko musiał ją wypić do ostatka.

Nie był jeszcze w Kiryłówce. Jakże miał stanąć on, człowiek wolny, przed tymi najdroższymi jego sercu istotami, których życie zależało od kaprysu pana albo ekonoma?

Czuł się winny, że nie może im dopomóc.

Wstąpił jeszcze do Berezania do Płatona Łukaszewicza, znanego etnografa, który go do siebie od dawna i usilnie zapraszał.

Łukaszewicz wrócił niedawno z podróży po krajach zachodnich. Był w Pradze Czeskiej. Poznał Szafarzyka. Był we Lwowie.

Opowiadał Szewczence o ruchu umysłowym wśród Ukraińców w Galicji. Dał mu do przeczytania „Rusałkę Dniestrową” — almanach tak zwanej „ruskiej trójcy”, czyli poetów: Jana Wagilewicza, Jakuba Hołowackiego i Marcjana Szaszkiwicza.

Narodziny nowej literatury ukraińskiej na obszarze dawnego księstwa halicko-wołyńskiego stały się faktem.

Szewczenkę te wieści bardzo pocrzepiły na duchu. Z radością dowiedział się, że i jego utwory są już szeroko znane w społeczeństwie lwowskim.

Szewczenko i gospodarz opłakiwali śmierć nestora pisarzy charkowskich, Kwitki-Osnowjanenki, o czym napisała „Litieraturnaja Gazieta”, dołączając przychylną wzmiankę o Szewczence.

Nadszedł dzień wyjazdu. Była połowa września. Początek złotej jesieni ukraińskiej.

Błękitne mgiełki włożyły się po stepie, który z złotego stał się brązowy. Słońce prażyło jak w lecie. Na

niebie rozpościerała się nieruchoma ławica pierzastych obłoków.

O zachodzie stanęli przed Czerkasami.

Czerkasy leżały na wzgórzu, po prawym brzegu Dniepru. Lewy brzeg był płaski i piaszczysty.

Miasteczko rozrzuciło się malowniczo po jarach głębokich i pagórkach obrosłych sadami. Od ich zieleni odbijały się pięknie gliniaste urwiska brzegu, białe jak śnieg. Wśród drzew widniały futory i chaty kozackie. Dalej błyszczała potrójna kopuła cerkwi, obsadzonej starymi klonami i lipami. Za cerkwią ciągnęły się już ulice z rynkiem, kramikami kupców żydowskich, domami zajezdnymi oraz dworkami szlachty i urzędników.

Kiedy konie zeszły z promu i zatrzymały się przed zajazdem na przedmieściu Kosińskim, zachód już wygasał, a w stepowej dali unosiło się ptactwo i ginęło gdzieś w niezgłębionych toniach powietrza. Dzwon cerkiewny zwoływał na nieszpór.

Tarasowi żywo stanęły w pamięci podróże z ojcem.

Im bardziej mierzyła go terażniejszość, tym bardziej ulegał urokom przeszłości.

A oto i Kiryłówka. Zaraz za kołowrotem majdan, a na majdanie cerkiew. Obok niej schludny domek kiryłowskiego popa, Koszyca.

Kiedy Szewczenko mijał ten domek, w furtce stanęła dziewczyna, może piętnastoletnia, czarnobrewa i czarńooka, z rozpuszczonymi kosami. Przypatrywała mu się śmiało i ciekawie.

Taras uprzytomnił sobie, że tuż przed jego wyjazdem z Kiryłówki do Wilna ojciec Koszyc wyprawiał chrzciny. Urodziła mu się wtedy córka, Fedosja.

Tak, to było czternaście lat temu.

Siedział w ojcowej chacie i słuchał jednostajnych jak plusk deszczu, posępnych jak szum wiatru opowieści brata.

Mykyta był starszy od Tarasa zaledwie o kilka lat, a wyglądał starzej o dziesięć albo piętnaście. Tak jak wszystkich wieśniaków, jego też zjadały troski i nadmierna praca.

Taras siedział naprzeciwko Mykyty przy stole, słuchał i coraz niżej opuszczał głowę.

Kateryna, owszem, jakoś żyje, ale zmarniała, posiwiała; nie wiadomo, czy tak długo pociągnie, bo haruje za siebie i za męża. Mąż słaby. Przeszło rok już nie wychodzi z chaty. A pańszczyzna musi być odrobiona. Dzieci zaczynają pomagać, ale jaka to tam pomoc.

Jaryna ma jeszcze cięższą dolę, bo jej mąż pije na umór. Malarz, nieźle zarabia, ale cały zarobek zostawia w karczmie. I jeszcze żonę bije po pijanemu. Dzieci go się boją; chowają się przed nim u sąsiadów.

Może najlepiej radzi sobie Josyp. Ożenił się z siostrą Warfołomiej Szewczenki. Warfołomiej jest pisarzem w majątku; ciuła grosz po groszu i na pewno otworzy własny sklepik w Korsuniu albo Kaniowie. Obrotny chłop. Josypowi pomógł kupić konie. Josyp teraz czumakuje. Ale też go dręczy przekłeta pańszczyzna; według inwentarza powinien odrabiać trzy dni w tygodniu, a rządca każe pięć.

Opowiadał też Mykyta, co się dzieje we wsi. Brano niedawno rekruta. Wdowie, która mieszka w koślawej chatce, zaraz za wiatrakiem, zabrano syna jedynaka. Powiedziano jej: albo zapłacisz pięćset rubli wykupu, albo syn pójdzie do wojska. I poszedł. To jeszcze nie koniec: mąż umarł dobre kilka lat temu, a jej wciąż każą płacić za niego poduszne. Wdowa chodzi wieczorami po wsi i straszy ludzi swoim krzykiem.

O wielu takich rzeczach mówił Mykyta.

Wreszcie Taras wziął na odwagę i spytał, co się dzieje z Oksaną Kowalenko. Z tą ciemnowłosą i czarnooką Oksaną, która ongiś pasła gęsi na wygonie za wsią razem z nim, Tarasem.

— Szczo z neju?

— Ta take, bacz... — Mykyta urwał i takim wzrokiem spojrzął na Tarasa, że temu serce ścisnęło się z trwogi.

— Szczo z neju?...

Mykyta, płacząc się i robiąc częste pauzy, jał opowiadać historię, nieobcą Tarasowi, jedną z tych, jakie wciąż wydarzały się na Ukrainie, odkąd zaczęło tam grasować żołdactwo carskie, historię uwiedzionej i porzuconej dziewczyny, pokrytki. Był to stałe powtarzający się motyw poezji Tarasa, pisanych jakby w przeżuciu nieszczęścia, które w niego miało uderzyć.

Mykyta mówił cichym, stłumionym głosem, a Tarasowi wydawało się, że jego słowa huczą jak grzmoty.

Stał tu kiedyś pułk ułanów... Oksana była najpiękniejszą dziewczyną we wsi... Wpadła w oko oficerowi... Poszła za nim, uciekła od rodziców... Matka ze zgryzoty umarła... Ojciec ciężko zaniemógł... Na drugi rok w jesieni Oksana wróciła, ostrzyżona po żołniersku, w chustce na głowie, z dzieckiem na ręku... Rozum jej się pomieszał... Chodziła po polach, po lesie i kukała jak zozula... Nastaly mrozy i Oksana znikła... Czy ją źli ludzie zabili, czy wilki zjadły, czy się utopiła — nie wiadomo... Pewno się utopiła.

— Nichto pro neji bilsze ne czuw, nichto jiji ne baczzyw. A chto skrywdyw jiji, toho nechaj Boh skaraje. Otake nasze žyttia — zakończył Mykyta.

Taras milczał. Potem wstał, wziął czapkę z kołka, chciał ją włożyć na głowę, ale raptem cisnął nią o ziemię, z całej siły, po chłopsku, i wyszedł na dwór bez czapki.

W parę dni później Josyp wyprawił chrzciny, na które zeszło się pół Kiryłówki. Przyjechała Kateryna z Zielonej Dąbrowy.

Wciąż spoglądała na Tarasa i w oczach jej była ta sama czułość co dawniej.

Opowiadała coś ludziom, którzy do niej podchodzili, i wskazywała ruchem głowy na Tarasa. W pewnej chwili do jego uszu doleciały słowa:

— Nichto j ne spodiwawsia z nioho czołowika...

Taras miał wrócić do Berezania dla dokończenia rozmów z Płatonem Łukaszewiczem.

Josyp podjął się odwieźć Tarasa swoimi końmi aż na miejsce. Taras zrobił jeszcze dwa rysunki — domu rodzinnego i koślawej chatki wdowiej. Były to dwie najbardziej przejmujące pamiątki z kraju dzieciństwa.

Wyjechali przed południem, aby na śródmieczu stanąć w Czerkasach. Kiedy mijali dom popa, zobaczyli Fedosję. Kręciła się po ogródku. Słychać było, jak śpiewała:

Ne wsi oti sady rodiat',  
Szczu na wesni rozwywajut'sia;  
Ne wsi oti poberut'sia,  
Szczu zmańenka pokochajut'sia.

Tarasowi długo wydawało się, że wciąż jeszcze słyszy ten śpiew.

Zanocowali w zajeździe, rano przeprawili się na lewy brzeg i po południu dotarli do Berezania.

Płaton Łukaszewicz powitał ich na ganku. Uściskał Tarasa i kazał służbie odprowadzić konie do stajni. Josyp pokłonił się nisko gospodarzowi i zaczął tłumaczyć,

zwracając się raczej do Tarasa, że mu pilno w powrotną drogę, że musi jeszcze dzisiaj być w miasteczku, bo ma tam sprawy z kupcami i tak dalej.

Taras wahał się chwilę, czy przedstawić Josypa, wreszcie machnął ręką, jakby mówiąc: „Jedź!”, i ucałował go na pożegnanie.

Widząc zdziwioną minę Łukaszewicza, wyjaśnił mu, że to jest brat.

Łukaszewicz skinął głową na znak zrozumienia. Znał genealogię swojego gościa.

Szewczenko spędził w Berezaniu kilkanaście dni.

Był początek października. Słońce jeszcze nieźle grzało, ale rankami i wieczorami mgły się snuły po polach.

Szewczenko robił częste przejażdżki bryczką po okolicy. Widok rozkopanego przez archeologów kurhanu natchnął go myślą napisania wiersza. Kurhan nazywano „Bohdanową mogiłą”. Szewczenko wiersz swój za tytułował: *Rozkopana mogiła*.

Poeta rozmawia z ojczyzną:

Swite tychyj, kraju myłyj,  
Moja Ukrajino!  
Za szczo tebe splundrowano,  
Za szczo, mamó, hyniesz?<sup>1</sup>

A ojczyzna odpowiada, zwracając się do tego, który śpi w mogile:

Oj, Bohdane, Bohdanoczku!  
Jakby buła znała,  
U kołysci b zaduszyła,  
Pid sercem pryspała.<sup>2</sup>

A potomków nieszczęsnego hetmana wysługujących się caratowi i jego urzędnikom piętnuje jako zdrajców:

---

<sup>1</sup> Świecie cichy, kraju miły, || Moja Ukraino! || Za co ciebie tak zniszczono, || Za co, matko, giniesz?

<sup>2</sup> Oj, Bohdanie, Bohdaneczku, || Gdybym to wiedziała, || W kołysce bym cię zabiła, || Pod sercem zdusiła.



...tym czasem perewertni  
Nechaj pidrostajut'  
Ta pomożut' moskałewi  
Hospodariuwaty,  
Ta z materi połatanu  
Soroczku zniematy.  
Pomahajte, nedoludky,  
Matir katuwaty.<sup>3</sup>

„Perewertnie” znajdowali się w jednej tylko warstwie społecznej — wśród bogatej szlachty, która zresztą często nie miała cech narodowych, chociaż pochodziła z dawnej starszyny kozackiej: było to już właściwie d w o r i a ń s t w o rosyjskie. Ziemianie-Ukraińcy zawdzięczali swoją pozycję społeczną, swoje przywileje, obcej potędze. Nic też dziwnego, że woleli wyznawać patriotyzm ogólnorosyjski niżli ukraiński; pierwszy zapewniał dostatnie życie, drugi mógł łatwo zaprowadzić na Sybir.

Prostolinijny jak zwykle, uczciwy i śmiały w swoich przekonaniach Szewczenko, znenawidziwszy carat za ujarznienie i eksterminację narodu ukraińskiego, musiał znenawidzić i tych, którzy nie tylko ukorzyli się przed obcą potęgą, ale jeszcze stali się narzędziem jej polityki.

W tej mierze czekały Szewczenkę nowe bolesne doświadczenia.

Afanasjew-Czużbiński posiadał nieduży futor w Iskówcach nad Sułą, pod Łubnami.

Drobny obywatel ziemski, niewysokiej rangi oficer-kawalerzysta, był Afanasjew i poetą co się zowie mier-

---

<sup>3</sup> ...tymczasem odszczepieńcy || Niechaj podrastają. || I Moskałom pomagają || Tu gospodarować, || Z matki naszej połataną || Koszulę zdejmować. || Pomagajcie, okrutnicy, || Matkę swą katować.

nym, za to niebywale płodnym. Pisywał, jakby z rękawa wytrząsając, wiersze okolicznościowe, po ukraińsku i po rosyjsku i częstokroć dochodami z tej pracy łątał swój dziurawy budżet posesorski. Poza tym słynął jako moczymorda.

Jedną z niewielu istotnych jego zalet było zamiłowanie do wszelkich nowinek wydawniczych, zwłaszcza nielegalnych, co należało wtedy do dobrego tonu. Znając niezłe polski, gromadził między innymi druki emigracyjne, o które zresztą na Ukrainie podówczas nie było trudno: szły przez Rumunię, a potem drogą morską do Odessy albo też ze Lwowa przez granicę austriacko-rosyjską w Podwołoczyskach. Kolportażem zajmowały się prawie wszystkie większe księgarnie.

Szewczenko po raz drugi w życiu zetknął się z taką obfitością książek i czasopism polskich. Była to zaiste pasjonująca lektura.

Czużbiński miał wrażenie, że Szewczenko niechętnie odnosi się do Polaków (później dopiero stwierdził, że niechęć ta kierowała się raczej przeciwko magnatom polskim; stało się to dla Czużbińskiego jasne, kiedy mu Taras opowiedział o swojej przyjaźni z Dębskim i innymi Polakami w Petersburgu).

Mickiewicza jednak Szewczenko jawnie uwielbiał i z dziełami jego często i chętnie obcował.

*Pana Tadeusza* pochłoniął, niemal nie odrywając się od książki. Tak go wzruszyła w księdze czwartej inwokacja do drzew; takim czarem wspomnień powiało na niego, gdy czytał:

I tam, na Ukrainie, czy się dotąd wznosi  
Przed Hołowińskich domem, nad brzegami Rosi,  
Lipa tak rozrośniona, że pod jej cieniami  
Sto młodzieńców, sto panien szło w taniec parami?

A więc w Steblowie przed laty skrzyżowały się ich drogi...

Taras przypomniał sobie swoją daremną wyprawę do steblowskiego diaka.

To wszystko było przed wiekami. Jednak błyszczało w pamięci niemal wczorajszą świeżością.

*W Księgach narodu i pielgrzymstwa polskiego* znajdował Szewczenko coraz to nowe rzeczy, które budziły w nim głębokie refleksje i ośniewały jego wyobraźnię. Już choćby ów styl biblijny w dziele tak bardzo współczesnym i politycznym. To Szewczenko bardzo odpowiadało. Sam kształcił się przecież na wzorach *Pisma świętego*. *Psalterz* umiał na pamięć.

Szewczenko czytał:

„Na początku była Wolność na świecie... i nie było panów i niewolników, tylko patriarchowie i dzieci ich...”

„Ale potem ludzie... naczynili sobie bałwanów... i wojowali...”

„I stała się połowa ludzi niewolnicą drugiej połowy...”

„I ziemia cała stała się niewolnicą, a nie było takiej niewoli nigdy na świecie, ani przedtem ani potem; oprócz w Rosji za dni naszych”.

„Katarzyna... znaczy po grecku czysta, a była najwzsteczniejsza z kobiet, i jakoby Wenera bezwstydną, nazywająca się czystą dziewicą.”

„I ta Katarzyna zebrała Radę na ustanowienie praw, aby wyśmiać prawodawstwo, bo prawa bliźnich swoich wywróciła i zniszczyła.”

Wielką ciekawość wzbudziło w Szewczenko pismo „Słowianin”, opatrzone hasłem „Za naszą i waszą wolność”.

Zastanowiły go słowa Stefana Witwickiego w *Wieczorach pielgrzyma*: „Od lat kilku o niczym prawie z takim zapałem nie mówią Polacy jak o Słowiańszczyźnie; o Słowiańszczyźnie więcej nieledwo niż o Polsce”.

A w jednym jeszcze druku, wydanym przez Komitet Narodowy Polski w Paryżu, przeczytał zdanie, które uderzyło go trafnością i celnością:

„Narody nie mają żadnego interesu gubić się nawzajem. Dzień upadku despotów będzie pierwszym dniem zgody i pokoju narodów”.

Przed Szewczenką jak gdyby rozdarła się zasłona chmur, wyrzało słońce i oświetliło jasną, zycziwą dal.

Czuźbiński namówił Tarasa na przejażdżkę do Łubnow. Mieli tam zjeść obiad u pewnego ziemianina, Ukraińca, który zachwycał się *Kobzarzem* i koniecznie chciał poznać autora książki.

Stawili się na miejscu trochę wcześniej, niż należało. W przedpokoju chłopiec-kozaczek drzemał na ławce. Na nieszczęście, gospodarz wyrzał przez drzwi i, zobaczywszy drzemiącego sługę, obudził go własnoręcznie — wyciął mu policzek, nie krępując się obecnością gości.

Szewczenko zaczerwienił się, włożył czapkę i wyszedł. Żadne prośby i perswazje nie zdołały go skłonić do powrotu.

Gospodarz okazał się nie byle jakim łotrem — przez długi czas później rozповідаł o Szewczence niestworzone rzeczy, szkalował go, jak tylko mógł.

Pewnego razu gospodarz i gość zasiedzieli się do późnej nocy. Czytali *Dziady*.

Szewczenko zwierzył się Czuźbińskiemu, że niejednokrotnie już próbował przekładać Mickiewicza na ukraiński, ale mu się to nie udawało; darł zapisane kartki i wyrzucał. Podziwiał natomiast Mickiewiczowskie tłumaczenia, zwłaszcza z Byrona.

Już dobrze po północy Szewczenko, nie chcąc budzić służącego, poszedł z wiadrem do studni, przyniósł wody i nastawił samowar.

Przy herbacie rozwiódł się o swojej przeszłości. Mówił o niedolach i przygodach, które mu się przydarzyły za lat dziecięcych i młodzieńczych. Potem o swoich wędrówkach po Połtawszczyźnie, o znajomościach z ziemianami. Zakończył tę spowiedź pełną goręczy strofą z *Pożegnania Czajłd Harolda*:

Teraz po świecie błędę szerokim  
I pędzę życie tułacze.  
Czegoż mam płakać? za kim i po kim?  
Kiedy nikt po mnie nie płacze.

Czuźbiński w pamiętniku uwiecznił tę nocną rozmowę:

„Zbyteczne byłoby nadmieniać, że świt zastał nas rozmawiających i dopiero wtedy całkiem zrozumiałem Tarasa. Szewczenko już się był rozczarował do niektórych naszych panów i odwiedzał bardzo niewiele. Odepchnął go nie jakiś brak gościnności albo względu, nie jakaś pycha; tylko smutna władza pańszczyźnianego prawa, wyrażająca się takim czy innym niegodziwym postępkim, wtrącała tę szlachetną duszę w najposępniejszy nastrój. Chociaż wszędzie starano się pokazywać mu obyczaj domowy w odświętnej szacie, jednak trudno było oszukać człowieka takiego jak Szewczenko, który sam wyszedł z warstwy pańszczyźnianej i dobrze znał kulisy oraz dekoracje na scenie ziemiańskiego życia. Myśl o warunkach, w jakich żył prosty

lud, stale dręczyła Szewczenkę i niejednokrotnie zatrzymywała mu najpiękniejsze chwile”.

Trzeba było jechać do Jahotyń, gdzie czekała praca nad skopiowaniem portretu księcia.

Uprzejmy gospodarz odwiózł Szewczenkę prawie na samo miejsce. Po drodze w zajeździe poprosił go o pożyczkę na zapłacenie rachunku.

Szewczenko miał przy sobie wszystkiego dwadzieścia trzy ruble, więc pożyczył całą tę kwotę.

Czużbiński przyrzekł odesłać pieniądze nazajutrz, ale nie odesłał. Widocznie pamięć mu nie dopisała.

Jesień ukraińska jest poematem, który przyroda wyśpiewuje rok rocznie na nowo w październiku i listopadzie.

Jesień w Jahotyńce była wyjątkowo długa, słoneczna i ciepła. Olbrzymi park rozciągał takie bogactwo kolorów, jakie mogłoby się chyba tylko przyśnić, i to człowiekowi o artystycznej malarskiej wyobraźni.

Taras upajał się obrazem parku.

Wszystkie wolne chwile spędzał wśród drzew.

Spojrzeniem gonił obłoki. Z obłoków spływały świetliste strugi poezji. Jak w Kyrilówce.

Trzy miesiące zeszyły Tarasowi na nieustannej pracy, z rzadka przeplatanej wyjazdami do sąsiednich majątków, najczęściej do Brzozowej Rudki. Był parę razy u księstwa Kejkuatowów. Gdy jednak stwierdził, że w ich domu zdarzają się wypadki katowania ludzi pańszczyźnianych, przestał tam jeździć.

W ciągu tych trzech miesięcy nie tylko wykonał dwie kopie portretu księcia, ale i ozdobił freskami jeden z pawilonów pałacu.

Wieczorami całe towarzystwo schodziło się w salonie.

Szewczenko największą sympatią darzył pannę Głafirę Psioł, utalentowaną malarzkę, a z kolei potem jej siostrę, Aleksandrę, zdolną poetkę ukraińską. Głafira była wychowanicą Repninów. Nie odznaczała się urodą, za to promieniowała wdziękiem, ujmowała inteligencją i dobrocią.

Księżniczka Warwara, coraz wyraźniej oczarowana Tarasem, nie mogła ukryć zazdrości. Egzaltacja wyrobiła w niej swoisty egoizm: księżniczka pragnęła podporządkować sobie poetę pod każdym względem, zapanować nad jego myślami i uczuciami, a nawet nad jego twórczością.

Szewczenkę stawiało to nieraz w kłopotliwym położeniu. Czasami po parę dni nie pokazywał się w salonie. Księżniczka dostawała wtedy migreny, zamykała się w swoim pokoju i lała gorzkie łzy.

Szewczenko często deklamował swoje utwory. Na jednym z wieczorów odczytał poemat *Słepa*.

Stworzył ten poemat przed rokiem w Petersburgu, jeszcze nie wiedząc o tragicznym losie Oksany Kowalenko. I bohaterce utworu, jakby wiedziony przecuciem, nadał to samo imię. I kazał jej również skończyć życie w obłąkaniu.

Pod świeżym jeszcze wrażeniem opowieści brata, zasłyszanej w Kiryłówce, wypowiedział wiersze tak podniosłe, z taką ekspresją bólu i miłości, że słuchacze byli do głębi poruszeni.

Księżniczka Warwara wkrótce potem pisała do swojego szwajcarskiego przyjaciela i powiernika Aynarda:

„O, gdybym mogła wyrazić słowami wszystko, co przeżyłam podczas tej recytacji! Jakie uczucia, jakie myśli, jakie piękno, jaki urok i jaki tragizm! Twarz miałam mokrą od łez i to było moje szczęście, gdyż mu-

siałabym krzyczeć, gdyby moje wzruszenie nie znalazło sobie tego ujścia... Jaki subtelny, powalający sposób czytania! Była to czarowna muzyka, śpiewna melodia wierszy...”

Na samym końcu listu dodała:

„Teraz muszę panu powiedzieć, iż Kapnist jest przekonany, że się zakochałam w Szewczenko i straciłam dla niego głowę. Nie przeczę, że jestem do niego bardzo przywiązana i gdybym widziała z jego strony uczucie, może odpowiedziałabym na nie wielką miłością”.

Nastąpiła zima. Pewnego grudniowego popołudnia, w siarczysty mróz, do Jahotyń przyszedł posłaniec od Platona Łukaszewicza. Ziemianin i etnograf w jednej osobie, uwielbiający wszystko co ludowe, zapraszał Szewczenkę na dyskurs o folklorze.

Chłop, który przyniósł kartkę, po dwudziestu pięciu kilometrach drogi był ledwie żywy ze zmęczenia i na kość zmarznięty. Szewczenko zakrzętała się, aby mu przygotować posiłek i nocleg. Chłop jednak oświadczył, że z rozkazu dziedzica musi natychmiast przynieść odpowiedź. Szewczenko, w najwyższym stopniu oburzony, wystosował do Łukaszewicza list, w którym zarzucił ziemianinowi niezgodność między słowami a czynami i napiętnował jego nieludzki stosunek do chłopów.

Niebawem zjawił się drugi posłaniec z kartką od Łukaszewicza. Przyjaciół ludu krótko i węzłowato powiadał, że takich chamów, jak ten, co Szewczenkę przywiózł do Berezania, ma w swoich dobrach trzystu.

A Szewczenkę przywiózł przecie rodzony brat, Josyp.

Taras kilka dni chodził jak struty. Nie mógł się pogodzić z myślą, że świątliwy i wykształcony ziemianin, wygłaszający tyle wzniosłych myśli o ludzie ukraiń-



skim, zdolny jest komuś wytknąć jego chłopskie pochodzenie, i to w formie tak obelżywej, tak podłej.

Opowiadając o tym księżniczce Warwarze, poeta płakał.

Pierwszym odruchem księżniczki było dopomóc Szewczence w wykupieniu jego sióstr i braci z niewoli pańszczyźnianej. Właściciel żądał niezbyt dużo: dwa tysiące rubli. Księżniczka jednak nie dysponowała taką sumą. Jej ojciec też nie mógł zebrać tyle gotówki. Siedząc na czternastu tysiącach dziesięcin dobrego gruntu, gonił za groszem jak ubogi student.

Księżniczce wyraźną przykrość sprawiały częste wizyty Tarasa w Brzozowej Rudce.

Przedziwnym instynktem kobiecym wyczuła, że nie Głafira Psoł jest jej rywalką, ale Hanna Zakrzewska.

Księżniczka jedna bodaj odkryła afekt, który Szewczenko z właściwą sobie delikatnością i respektem dla płci niewieściej skrupulatnie ukrywał przed ludźmi.

Nie mogąc wprost powiedzieć, o co jej chodzi, wyrzucała Szewczence, że marnuje zdrowie i zdolności w towarzystwie takich notorycznych opojów, jak Wiktor Zakrzewski.

Szewczenkę ta opieka zaczęła nużyć i niepokoić. Aleksey Kapnist dał mu przyjacielską radę: czym prędzej wyjechać z Jahotyń. Źródłem tej inspiracji był zapewne stary książę Repnin.

Szewczenko podarował księżniczce swój autoportret, wykonany piórkiem, oraz poemat *Tryzna* pisany po rosyjsku. Wiersze w porównaniu z poezjami ukraińskimi Szewczenki brzmiały banalnie, stanowiły wyraźne naśladownictwo Dzierżawina i Rylejewa, ale księżniczce bardzo się podobały. Zwłaszcza dedykacja, skierowana wprost do niej:

Dla was ja radostno słoził  
Swoi żitiejskije okowy,  
Swiaszczennodiejstwował ja snowa  
I slozy w zwuki pierelił.  
Wasz dobryj angieł osienił  
Mienia biezsmiertnymi kryłami  
I tichostrujnymi rieczami  
Mieczty o raje probudił.<sup>4</sup>

Tymczasem Szewczenko dostał zaproszenie do Mojsówki: dnia dwunastego stycznia wypadały imieniny Tatiany Wołchowskiej.

Zanim się tam udał, wypadło mu znieść jeszcze jeden przykry incydent.

Wpadł kiedyś do Jahotyńa sąsiad z powiatu pyriatyńskiego, Piotr Selecki, który się parał kompozytorstwem.

W toku rozmów o teatrze i literaturze powstała myśl stworzenia opery ukraińskiej. Ktoś podsunął temat, arcyciekawy z punktu widzenia dramatyizmu i malowniczości osób działających, z głównym bohaterem — Mazepą. Szewczenko miał napisać libretto, a Selecki muzykę.

Zaczęła się dyskusja nad ujęciem tematu. I tu wynikły różnice zdań, które w zarodku zniszczyły piękny zamysł.

Selecki uważał Mazepę za zdrajcę i łotra. W jego działaniach nie widział ani krzty heroizmu.

Szewczenko, księżniczka Warwara i inni uczestnicy dyskusji skłonni byli koncepcję postaci hetmana oprzeć na poemacie poety rosyjskiego. Mazepa 'wypowiadał tam odważne słowa:

---

<sup>4</sup> Dla Pani z radością zrzuciłem więzy światowe || I w podniosłym nastroju łzy przelałem w dźwięki. || Pani dobry anioł okrył || Mnie nieśmiertelnymi skrzydłami || I słodko szemrzącą mową || Zbudził we mnie marzenia o raj.

Biez miłoj wolnosti i sławy  
Skłoniali dołgo my głowy  
Pod pokrowicielstwom Warszawy,  
Pod samowłastijem Moskwy.  
No niezawisimój dierzawoj  
Ukrajnie byt' uże pora —  
I znamia wolnosti krowawoj  
Ja podymaju na Pietra.<sup>5</sup>

Była jeszcze druga kwestia sporna, i to dużej wagi: Selecki chciał, aby libretto było napisane po rosyjsku, natomiast Szewczenko i księżniczka Warwara gorąco obstawali przy języku ukraińskim.

Selecki nie chciał o tym słuchać: język małorosyjski był w jego mniemaniu dialektem, i to wątpliwej wartości.

Sprawa opery rozbiła się o te różnice.

Nadszedł dziesiąty stycznia, dzień wyjazdu. Konie stanęły przed gankiem, gotowe do drogi.

Księżniczka Warwara pożegnała się z Szewczenką w salonie. Byli sami.

— Do pobaczenia, sestro — powiedział Szewczenko, widocznie i mimo wszystko wzruszony.

Księżniczka rozpromieniła się; szybko przystąpiła do Szewczenki i pocałowała go w czoło, a potem nakreśliła w powietrzu znak krzyża.

Wreszcie podała mu niewielką książeczkę.

Zaraz za bramą Szewczenko zaczął przerzucać kartki książeczki. Był to sztambuch z wierszami rosyjskimi, francuskimi i polskimi.

---

<sup>5</sup> Bez miłej swobody i sławy || Długo chyliliśmy głowy || Przed protektorstwem Warszawy, || Przed samowładztwem Moskwy. Ale niezawisłym państwem || Czas już być Ukrainie — || Więc sztandar wolności krwawej || Podnoszę przeciwko Piotrowi.

Szewczenko otworzył go w tym miejscu, gdzie była zakładka z turkusowej wstążki, i czytał:

Gwiazdko, nie świeć nikomu,  
Tylko jemu do domu;  
Tylko jemu jednemu,  
Tylko memu miłemu.

Szeleść, listku, dla niego,  
Dla mojego miłego;  
Ja mu śpiewać nie mogę,  
Ty mu szeleść przez drogę...

Szewczenko przez całą drogę myślał o księżniczce. Myślał, że żadna kobieta nie darzyła go tak entuzjastycznym uczuciem, żadna go tak nie uwielbiała jako człowieka, i nie ceniła jako poety. I wiedział, że ich drogi muszą się rozejść. Nigdy by się nie zdołał pogodzić z jej egzaltacją. I dewocją. Nawet gdyby odkrył w sobie coś więcej niż przyjaźń dla tej arystokratki. I gdyby nawet przestała ich dzielić bariera przesądów społecznych.

A księżniczka Warwara napisała do swojego przyjaciela w Szwajcarii długi list, w którym opowiedziała o wszystkich rozmowach i perypetiach z Szewczenką i zakończyła tak:

„Wreszcie nadeszła godzina jego odjazdu. Ze łzami w oczach rzuciłam mu się na szyję, nakreśliłam znak krzyża nad jego głową, a on wybiegł z pokoju. Od tej chwili miałam od niego jeden list, który Kapnista doprowadził do wściekłości, który jednak ja inaczej zrozumiałam: to nie był list miłosny. W tym liście nazywa mnie siostrą i rzeczywiście zwraca się do mnie na «ty», ale tego listu nie można uważać za list jakiegoś kawalera. Szewczenko to dziecko natury i nie ma po-

jęcia o konwenansach; ma jednak dużo taktu, dobroci i szacunku dla każdej świętości, toteż ze wszystkimi postępuje grzecznie, szanuje starszych i wszyscy go bardzo lubią. Nawet mama, która tak mało go zna, odnosi się do niego bardzo życzliwie, a papa po prostu za nim przepada.

Wyjechał od nas dziesiątego stycznia. Potem jeszcze cały miesiąc przebywał w naszych stronach, ale do nas więcej nie zajrzał; czy to lekceważenie, czy delikatność, nie wiem”.

Szewczenko nie miał powodu lekceważyć ani księżniczki, ani jej rodziców. Był jednak bardzo delikatny.

## X

Czas było wracać do Petersburga do przerwanych studiów w akademii.

Pożegnawszy się z przyjaciółmi i znajomymi na Przyłucczyźnie i Pyriatyńszczyźnie, Szewczenko wstąpił do Kaczanówki, żeby się pożegnać z Tarnowskimi. Hryhorij Tarnowski wybierał się na kontrakty. Bez trudu namówił Tarasa do wspólnej przejażdżki. W pierwszych dniach lutego znaleźli się w Kijowie.

Minęli Chreszczatyk, a potem krążąc nad wąwozem, gdzie się znajduje studnia świętego Włodzimierza, spuścili się na Padół, w sam wir jarmarku, a raczej bazaru kupców moskiewskich, petersburskich, warszawskich i wileńskich.

Wszystko to rozmieszczone było na ogromnym placu Padolskim. Po pożarze, który w roku tysiąc osiemset jedenastym zniszczył tę część Kijowa, zabudowano ją według planu, wytyczając szerokie i proste ulice,

a na miejscu drewnianych lub glinianych ruder stawiając murowane domy.

Pośrodku placu wznosił się długi dom kontraktowy, którego front zdobiło sześć ogromnych kolumn, najdokładniej zalepionych różnymi ogłoszeniami.

Wielka sala wewnątrz domu, która pierwotnie służyła tylko za miejsce narad i układów, została teraz opanowana przez zabiegliwych kupców: złoto, srebro, fajanse, karminy, mydełka, olejki, flakony z wodą kolońską, strojne obuwie, tabaka „albanka”, wyroby norymberskie, dowcipne ekrany i grające tabakierki — wszystko to z neodpartą siłą przyciągało wzrok wchodzącego i kusiło do czynienia potrzebnych i niepotrzebnych zakupów.

Salę napełniała czarna masa ludzi. Jej konwulsyjne ruchy przywodziły na myśl polipa z wiecznie wijącymi się ramionami. Byli tam: Polacy, Ukraińcy, Rosjanie, Żydzi, Niemcy, Francuzi, Włosi, Bucharowie, Tatarzy, Grecy — i jeszcze nie wiedzieć kto.

Uwagę Szewczenki zwrócił kram ze sztychami. Zobaczył *Burzę Verneta*, *Noc Correggia*, oraz inne: zdobycie Gibraltaru, wybuch Wezuwiusza, kataraktę Niagary, wszystkie triumfy i klęski Napoleona, wreszcie księcia Józefa skaczącego do Elstery.

Tuż obok mieściły się kramy księgarskie. Panowie Glücksberg i Zawadzki powystawiali najnowsze wydawnictwa, zarówno własne, jak i wzięte w komis.

Na widocznym miejscu leżał ozdobny, wileński egzemplarz *Ułany* Kraszewskiego; pisarz ten zdobył już sobie niemałą poczytność nie tylko na Litwie, ale i w Koronie.

Z Warszawy nadeszły świeżo wydane *Ukrainky* z *nutoju Tymka Padurry*.

Szewczenkę bardzo zaciekawiła umieszczona tam *Pieśń kozacka* z muzyką Karola Lipińskiego.

Widząc zainteresowanie klienta subiekt podsunął mu jeszcze jedną książkę, wyjętą spod lady. Były to *Pieśnia* Tomasza Padurrry wydane we Lwowie.

Szewczenko, przeglądając wiersze, zobaczył na końcu książki „tłumaczenia poezyj Adama Mickiewicza”, a mianowicie: sonet *Do Niemna, Pożegnanie Czajld Harolda i Panią Twardowską*.

W *Pani Twardowskiej* bez trudu rozpoznał wiersz zamieszczony w zbiorze ludowych pieśni ukraińskich Maksymowicza.

Wiedział, że jest to przekład z Mickiewicza dokonany przez Hułaka-Artemowskiego.

I chociaż podobały mu się inne przekłady, zakonkludował w myśli: „Mizerny Padurrra!”

Przez myśl mu nie przeszło, że wydawca, Kajetan Jabłoński, wydrukował wiersze Padurrry bez wiedzy ich autora i samowolnie włączył do tomu przekład *Pani Twardowskiej*.

Na kolumnach domu kontraktowego obok świeżych anonsów wisiały, jeszcze nie zdarte, dawne. Szewczenko dowiedział się z nich, że przed kilkoma miesiącami gościł tu znakomity pianista-wirtuoz Thalberg, a wkrótce ma koncertować wiolonczelista Servais.

Kijów był miastem muzycznym. Nawet w traktierze, czyli restauracji, jak zaczęto już wówczas nazywać przybytki Bachusa, sąsiadującej z domem kontraktowym, rozlegały się dźwięki orkiestry, która wygrywała najmodniejsze melodie: galopady, kotyliony, polki i walce Straussa, Lannera i Labitzkiego, pieśni Schuberta oraz kawatyny z najnowszych oper włoskich.

Afisz teatralny głosił, że w budynku na placu Chrezczatyckim trupa antreprenera Rykanowskiego przed-

stawia dramat *Gracz albo trzydzieści lat życia szulera*, „recytatywę” komiczną *Cyrulik sewilski* oraz dwie operetki: *Natałka Połtawka* i *Moskal-czariwnyk*.

Szewczenko postanowił wybrać się do teatru. Mając jeszcze dość czasu, najął zwoszczyka i kazał się wieźć do krynicy świętego Włodzimierza.

Była godzina druga po południu. Cały świat dokoła śnieg obwiał, osypał; góry, wąwozy, lasy i rzeka — wszystko stało się jedną białą płaszczyzną.

Krynica leżała w ogromnym, rozłożystym jarze, porośniętym starymi wierzbami. Ze źródła z szumem wylewał się strumień i po bryłach lodu zbiegał w dolinę.

Nad krynicą z rozkazu cara Aleksandra Pierwszego wzniesiono pomnik, który składał się z arkady obejmującej krynicę, wysokiej kolumny, kuli i krzyża. W arkadzie, pozawieszanej obrazami, płonęła lampa.

Nieopodal na wysokiej górze znajduje się miejsce, gdzie jak Nestor poucza, święty Andrzej, nauczyciel narodów, pierwszy krzyż zatknął. Architekt Rastrelli zbudował na tym miejscu ku czci świętego cerkiew, strzelistą, powietrzną, lekką mimo swej ogromności, wspaniale prezentującą się od strony Padołu.

Szewczenko kazał zwoszczykowi stanąć przy Złotej Bramie, a właściwie przy jej szczątkach, niedawno odkopanych.

Dwa kawałki muru, umocowane prętami żelaznymi, pamiętały prastarą chwałę Kijowa, sławę Ukrainy. Przed laty dwustu zaledwie w bramie tej, zwieńczonej podówczas śliczną kapliczką, lud ukraiński witał swego bohatera, hetmana Chmielnickiego, który z triumfem wracał po zwycięskich bojach z wojskami Rzeczypospolitej Polskiej.

Szewczenko w zachwycie patrzył na stary Kijów,



tak piękny z położenia, a jeszcze piękniejszy z zabytków staroświecczyny.

Obejrzał kompleks oryginalnych budowli stanowiących monaster Złotowierchy Świętego Michała Archistratega, potem kościół katolicki Świętego Aleksandra, wreszcie pojechał do Ławry. Gdy się tam zbliżył, usłyszał, jak zgrzytnęły i zahuczały od stuków i szczęk powracającego skądś pułku piechoty nowe, tak zwane moskiewskie, wrota twierdzy. Zamigotały czerwone sołdackie czapy i kołnierze mundurów.

Serce Szewczenki napełniło się gniewem i oburzeniem na tych, co pogrzebali jego ojczyznę. Znał ich: to byli polscy magnaci, rosyjscy carowie i wielmoże oraz rodzimi ukraińscy zdrajcy — perewertnie.

Po drodze do teatru gadatliwy zwoszczyk opowiadał Szewczence o tym, co się dzieje w mieście i na kontraktach. Zwoszczyk pochodził ze wsi; miał czasowe zwolnienie od pana. Jego właścicielem był dziedzic wielkiej fortuny ziemskiej na Połtawszczyźnie.

Bogacz ten lubił się bawić. Na zimę zjeżdżał do Kijowa. Część swoich ludzi zwalniał, pozwalając im zarobkować na własną rękę. W Kijowie właśnie koncertował kwintet złożony z jego poddanych. Pierwszy skrzypek przez kilka lat uczył się w Dreźnie u Lipińskiego. Latem, gdy do majątku dziedzica przyjeżdżali goście, skrzypek obsługiwał przy stole, a wieczorami zabawiał wszystkich swoją cudowną grą.

Bogacz miewał nie lada jakie fantazje. Przed kilku dniami wykupił w sklepach i restauracjach kijowskich cały zapas wina szampańskiego. Ziemianie przybyli na kontrakty nie mieli czym gasić pragnienia. Figlarz śmiał się w kułak i częstował szampanem tylko wybranych przyjaciół.

Teatr mieścił się w długim drewnianym budynku. Fasadę miał zdobioną portykami z kolumnami. Wnętrze prezentowało się dość okazale; oprócz parteru były tam trzydzieści dwie łóżka rozmieszczone na dwóch piętrach, amfiteatr i galeria. Na wielkiej kurtynie figurował jakiś bohater grecki, stojący na triumfalnym rydwanie, za którym podążały liczne zastępy wojowników. W powietrzu wisiał skrzydłaty amor ze zwojem pergaminu w rękach. Na pergaminie złożyły się słowa: *Ridendo castigat mores*.

Trupa antreprenera Rykanowskiego składała się przeważnie z Polaków, ale pracowali w niej również Rosjanie i Ukraińcy. W repertuarze były sztuki autorów polskich i obcych. Pod wpływem Szczepkina, który w lecie poprzedniego roku święcił na scenie kijowskiej triumfy w sztukach ukraińskich, Rykanowski wprowadził do repertuaru swojej trupy dzieła Kotłarzewskiego i Osnowjanenki.

Szewczenko siedział sam w półmrocznej sali i ze wzruszeniem wsłuchiwał się w dźwięki mowy ojczyznej płynące ze sceny. Aktorzy grali *Natalkę Połtawkę*.

Nowe spotkanie z Kuliszem dało Szewczence dużo materiału do rozmyślań nad losami Ukrainy. Kulisz bezustannie gromadził książki i dokumenty historyczne. Podobnie jak Szewczenko uwielbiał Kijów, a życie ludu wiejskiego i miejskiego znał przewybornie.

Mówił o pięknych tradycjach Kijowa. Chociaż miasto przez długie wieki było w rękach polskich, jednak ton obyczajowości jego nadawało mieszczaństwo ukraińskie, a kulturę tworzyły prawosławne bractwa i szkoły, ze słynną Akademią Mohylańską na czele.

Mieszczanie kijowscy z niezwykłą pompą obchodzili swoje święta.

Jednym z najbardziej uroczystych był Makowijiw deń — czternasty sierpnia. Rzemieślnicy zbierali całe naręcza kwiatów i makówek, zanosili je do cerkwi i tam składali do poświęcenia. Tańce i uczty trwały wtedy co najmniej dwa, trzy dni.

Na początku Petriwek, czyli postu przed świętym Piotrem, świętowano bryksę, to jest dzień kobiet. Wszystkie niewiasty i dziewczęta były wówczas wolne od swoich obowiązków, a mężczyźni musieli spełniać ich najbardziej fantastyczne życzenia — nosić na rękach, a nawet, mimo lata, wozić na saniach.

Uroczyste obchodzono Boże Narodzenie i Wielkanoc.

Poza tym każdy przyjazd posła zagranicznego dawał okazję do fety, nie mniej wspaniałej niżli te, z jakich słynęła Wenecja. Występowały wtedy z całą paradą miejskie siły zbrojne. Na przedzie szli dwaj surmacze; za nimi niesiono litaury i niewielki sztandar. Potem jechała błyszcząca świetnymi strojami „złota chorągiew”, w której służyli synowie najzamożniejszych obywateli miasta. Jeźdźcy mieli na sobie kapiące od złota, jasnozielone kontusze z długimi, porozcinanymi rękawami, odrzuconymi na plecy. Za konnicą maszerowała piechota cechowa, z własną orkiestrą i sztandarem. Dalej jeszcze kroczyli członkowie cechów z majstrami i podmajstrzymi, w prostych, jednobarwnych żupanach.

Po paradzie „towarzystwo złotej chorągwi” udawało się do magistratu na bankiet, a szewcy, krawcy, kowale, rzeźnicy, kuśnierze i tkacze gromadzili się w swoich domach cechowych i również biesiadowali do późnej nocy.

Nic z tego nie pozostało. Car Mikołaj pokasował

wszystko, cokolwiek mogło świadczyć o odrębności Kijowa. Bractwa i szkoły ukraińskie pozamykano. Wszędzie zapanowała rosyjszczyzna. Barwne, wesołe stroje gwardii municypalnej ustąpiły miejsca czarnym i niebieskim uniformom gębatych policjantów carskich i chytrookich żandarmów.

W słowach Kulisza przebijają nostalgia za piękną narodową przeszłością. Ale i rezygnacja. Kulisz był jednym z czcicieli potęgi. Nie widział siły zdolnej złamać carat. I w ugodzie z ową potęgą chciał szukać rozwiązania sprawy ukraińskiej.

W duszy Tarasa rodził się bunt.

Kulisz gorąco namawiał Szewczenkę do złożenia wizyty Konstantemu Świdzińskiemu. Opowiadał o nim dużo ciekawych rzeczy.

Sam właśnie spędził niedawno arcymiły wieczór u polskiego archeologa. Wśród licznie zgromadzonych gości znajdował się Józef Ignacy Kraszewski, który dopiero co wrócił z podróży do Odessy. Była również pani Dionizja Poniatowska, która przed kilku miesiącami przyjechała z zagranicy. Przywiozła z sobą jak gdyby tchnienie innego świata. Mówiła o Paryżu i Rzymie, o Bohdanie Zaleskim i jego wierszach.

Tam, gdzie była pani Dionizja, gdzie był Kraszewski, rozmowa musiała zejść na sprawę chłopską. Oboje mieli niezwykły kult dla wartości artystycznych i moralnych tkwiących w kulturze ludu. Umiłowanie rzeczy rodzimych i romantyczna koncepcja ustroju patriarchalnego skłaniały ich do wiary, że w imię humanitaryzmu da się drogą pokojową usunąć antagonizm chłopsko-szlachecki. Kraszewski jako jeden z pierwszych pisarzy podniósł tę kwestię, prosto i serdecznie

ujął się za ludem. Nie tylko w słowach. Już trzy lata temu zwolnił od daremszczyzn i daniny chłopów w swojej wołyńskiej posiadłości. O tę słuszną sprawę walczył też na łamach „Athenaeum”

Wywodom pani Dionizji i Kraszewskiego przysłuchiwało się grono Polaków pozostających na służbie u Bibikowa. Jeden z nich wyjął z kieszeni kartkę i dał do przeczytania obecnym. Był tam urywek raportu generała-gubernatora do władz petersburskich o znęcaniu się помещczyków nad chłopami. „Włościanka wsi Bosówki, Anna Poddubna — głosił między innymi raport — za to, że zamiast dziesięciu pijawek, które miała dostarczyć, przyniosła tylko jedną, poddana została karze cielesnej i poroniła dziecko.”

Celem uspokojenia wzburzonych umysłów wieśniaczych, do Bosówek wysłano oddział piechoty z artylerią.

Kulisz streścił Szewczence przebieg rozmowy, jaka się potem rozwinęła w salonie.

Wszyscy, nie wyłączając Świdzińskiego, współczuli chłopom, z przejęciem słuchali opowieści o zaburzeniach na wsi. Nikt jednak nie zakładał, że chłopci zdolają sami wznieść się na wyższy poziom życia, wywalczyć sobie ludzkie prawa.

Kraszewski przytoczył zdanie wileńskiego historyka, Mikołaja Malinowskiego: „Najliczniejszy stan w kraju, stan wiejski, nie ma żadnej prawami obwarowanej organizacji”.

Sąd od czasu do czasu wysyła urzędników dla sporządzenia na miejscu inwentarza, w którym wykazuje się nie tylko źródła dochodów, ale i określa powinności, jakich dwór ma prawo od wieśniaków wymagać. Jednak rządcy i ekonomowie nic sobie z tego nie ro-



**Taras Szewczenko. Autoportret. Ołówek, 1845**



**Cerkiew Bohdana Chmielnickiego w Subotowie. Taras Szewczenko. Akwarela, 1845**

bią i drą z chłopów skórę, zmuszają ich do prac i danin pozainwentarzowych.

Mówiono o Karmaluku i jego następcach, którzy niszczyli dwory polskich i wołyńskich ziemian.

Kulisz był zdania, że takie wystąpienia do niczego dobrego nie doprowadzą. Rząd ma siłę i stłumi każdą ruchawkę. Należy przekonać tych, co stoją na czele rządu, aby w interesie własnym i kraju zapewnili chłopom lepsze warunki bytu.

Wtedy ktoś przypomniał słynną broszurę Karamzina, w której uczony historyk, czołowy reprezentant rosyjskich sfer umysłowych, wystąpił przeciw zniesieniu poddaństwa włościan. „Nie wiem — pisał Karamzin — czy Godunow dobrze zrobił, odejmując włościanom swobodę, lecz wiem, że obecnie im jej zwracać nie wypada. Wówczas mieli oni przyzwyczajenia ludzi wolnych, dziś mają przyzwyczajenia niewolników. Mnie się zdaje, że dla stałości państwa lepiej jest ujarzmić ludzi, niżli dać im wolność nie we właściwym czasie.”

Ktoś znów napomknął o Radiszczewie. I na to mu odpowiedziano, że Radiszczew skończył samobójstwem, a większość dygnitarzy odpowiedzialnych za losy imperium podziela zdanie Karamzina.

Była również mowa o obywatelach ziemskich, którzy odnoszą się do chłopów życzliwie i z własnej woli dają im ulgi, a nawet są prawdziwymi dobrodziejami swoich poddanych. Wskazywano na księcia Mikołaja Repnina oraz na właściciela Tahańczy Józefa Poniatowskiego i jego synowę Dionizję.

Nie tak dawno, bo w kwietniu tysiąc osiemset czterdziestego drugiego roku, wyszła ustawa o „chłopach zobowiązanych”. Pozwalała ona dziedzicom na zawieranie umów z chłopami i nadawanie im względnej wolności. Chłop mógł wtedy, w zamian za pewne ściśle



określone obowiązki, użytkować swoją działkę, chociaż jej własność pozostawała przy panu. Z ukazu skorzystali jedynie trzej arystokraci: hrabia Michał Woroncow, książę Leon Wittgenstein i hrabia Mieczysław Potocki. Potocki chciał nawet uwłaszczyć chłopów, nadając im dwie trzecie ziemi pańskiej, ale kancelaria carska nie pozwoliła, uważając, że przykład ten mógłby wzburzyć ludność wieśniaczą w innych majątkach. Michał Woroncow, wielmoża i magnat, musiał długo zwalczać opór urzędników carskich, zanim przeprowadził reformę tylko w jednym ze swoich majątków.

Opinię większości dworjaństwa dobitnie sformułował książę Drucki-Sokoliński w memoriale złożonym carowi; wystąpił on przeciwko stosowaniu ukazu, powołując się na „niski stan moralny i umysłowy ludu, który nie ma pojęcia o wolności w znaczeniu cywilnym”. Książę bił na alarm: „Lud nie uznaje — pisał — że ziemia stanowi własność obywateli lub nawet, że jest to wspólna jego z ziemianami własność, lecz ma przekonanie, że ziemia jest boża; przekonania takie zagrażają zgubą państwa”.

Kulisz podzielał zdanie Kraszewskiego, że „przyszłość dobywa się zawsze z ziarna przeszłości”.

Tak samo czuł i myślał Szewczenko.

Obaj z całym przejęciem zagłębiali się w historii, ale różnie oceniali konkretne fakty dziejowe.

Kulisz rozmawiał u Świdzińskiego z bratem stryjecznym pani Dionizji, Eustachym Antonim Heleniuszem Iwanowskim. Rówieśnik Szewczenki, jeden z ostatnich uczniów Liceum Krzemienieckiego, Iwanowski już wtedy uchodził za znawcę dziejów Polski i Rusi. Opracował obszerną źródłową monografię o zgromadzeniu księży bazylianów w Humaniu.

Kulisza uderzyły spokój i bezstronność, z jaką Iwanowski oceniał tragiczne wypadki humańskie. Nie było w jego pracy cienia pogardy lub nienawiści do sprawców rzezi. „Człowiek jest tylko świadkiem zdarzeń, nie sędzią — mówił młody historyk polski. — Jakże przesądzać wypadki przeszłe? Co znaczą historyczne rozumowania? Filozofie historii? Ludzkie społeczne teorie i zakreślane przez nie wypadki i prawa, tak różne od tego, co się wypełnia, co się dzieje, co się stać musi?” Z całym zrozumieniem stwierdzał, iż „wielu młojców, rześkich chłopaków, uniosło się duchem ukraińskiej narodowej ruchawki”.

Rzecz dziwna: Kulisz, patriota kozacki, widział w ruchu hajdamackim same tylko zbrodnie.

Iwanowski szeroko i wnikliwie omawiał sprawę chłopską na Ukrainie. Poddaństwo w Polsce, jego zdaniem, po rozbiórce kraju, chociaż surowe, było bez porównania lżejsze od rosyjskiego, nie znano bowiem u nas tych sprzedaży osób bez ziemi, tych ciężkich opłat i powinności.

Carowie, zaczawszy od konfederacji barskiej, przez lata podbijania Rzeczypospolitej przyrzekali ludowi najświetniejszą przyszłość. Toteż z początku lud witał władze carskie niemal z sympatią. Jednak po zupełnym podbiciu narodu polskiego rząd niepomernie rozwinął władzę panów nad ludem, a nadto ustanowił dwa wielkie ciężary: podatek poduszny i służbę sołdecką. Rewolucja listopadowa, a potem konarszczyzna wielkie przyniosła zmiany. O ucisku chłopów zaczęto mówić, pisać. Na prawobrzeżnej Ukrainie uformowała się silna opinia narodowa, dążąca do złagodzenia tych ostrych warunków. Człowiek, który się z ludźmi swymi źle obchodził, zaczynał się tego wstydzić.

Iwanowski pokładał duże nadzieje w humanitarnych aspiracjach ziemiaństwa. Była to, jego zdaniem, podstawa polskiej racji stanu. Powtarzał za Kraszewskim: „Jeżeli lud nie będzie nasz i Polska nasza nie będzie”.

Kulisz natomiast po prostu bał się nowej hajdamaczyzny. Sądził, że aby jej zapobiec, trzeba chłopom coś ofiarować. Jednak nie za wiele, bo to by mogło podkopać patriarchalne zasady ustroju, o którym marzył. Szlachta powinna chodzić w kontuszach i żupanach, lud w siermięgach. Dla uniknięcia krwawych niespodzianek musi to wszystko osłaniać stalowy mur bagnetów. Choćby nawet carskich.

Szewczenko, gdy myślał o chłopach, stawały przed oczami obrazy wstrząsające. Zwłaszcza jeden: pałac na Połtawszczyźnie. Wszystkie jego budynki, nawet obory i stajnie, utrzymane w stylu gotyckim, a opodal chaty wiejskie, właściwie mówiąc lepianki, nędzne, obdarte...

Szewczenkę męczył ten gotyk, doskwierał mu jak rana. Pałac kojarzył mu się nie wiedzieć dlaczego z więzieniem. Był profanacją innej gotyckiej budowli, którą mu ongiś w Wilnie pokazała Dziunia.

Za gotyckimi koronkami i ażurami wielkopańskiej rezydencji widział przekłete życie swoich najbliższych, braci i sióstr. Widział, jak się zmagają z trudami chłopskiego bytu. „Nimi na panszczynu idut’ i ditoczok swoich wedut’.”

## XI

Czas przyszedł wracać do Petersburga.

Była połowa lutego. Szewczenko jeszcze raz przebiegł miasto, które jaśniało wszystkimi urokami zimy. Stojąc już nad brzegiem Dniepru na Padole, koło przeprawy spojrzął na stary Kijów.

Słońce szło ku zachodowi; jego promienie kładły się na dachach pobliskich domów, na wyżynach otaczających Padół, a nade wszystko na cerkwi Świętego Andrzeja, która, niczym gromnica na białym ołtarzu góry, płonęła cichym przedwieczornym światłem.

Szewczenko, wyjeżdżając, już myślał o powrocie do Wiecznego Miasta. Poza tym miastem, poza Ukrainą, nie widział dla siebie miejsca na ziemi.

Dziewiętnastego znalazł się w Moskwie. Zaraz odwiedził Szczepkina. Pod wpływem świeżych wrażeń ukraińskich napisał wiersz o Czehryniu i podarował przyjacielowi.

Szczepkin czytał swoim pięknym, dramatycznym głosem:

Za szczo ż borołyś my z lachamy?  
Za szczo ż my rizałyś z ordamy?  
Za szczo skorodyły spysamy  
Moskowski rebra?...<sup>1</sup>

Ostatnią zwrotkę powiedział mocno, z przejęciem:

Spy, Czyhryne, nechaj hynut'  
U woroha dity,  
Spy, het'mane, poky wstane  
Prawda na sim switi.<sup>2</sup>

Szczepkin był Rosjaninem, ale długie lata spędził na Ukrainie. Jak rzadko który z ówczesnych Rosjan rozumiał i cenił Ukraińców. Może dlatego, że sam dzieciństwo i młodość przeżył w niewoli.

Szewczenko uwielbiał Szczepkina.

---

<sup>1</sup> Za co walczyliśmy z Lachami? || Za co krwawiliśmy się z Ordą? || Za co kruszyliśmy spisami || Moskiewskie żebra?

<sup>2</sup> Śpij, Czehrynie, niechaj giną || Wrogów naszych dzieci. || Śpij, hetmanie, aż nastanie || Prawda na tym świecie.

W Petersburgu czekały Szewczenkę kłopoty związane z dalszymi studiami. Nadzieje na stypendium zagraniczne zawiodły: Taras otrzymał wprawdzie trzy medale, wszystkie jednak srebrne. Mógł wykonać specjalny „program” i uzyskać złoty medal, co pozwoliłoby mu ubiegać się o wyjazd do Włoch na koszt rządu, ale miał już co innego w głowie. Chciał jak najprędzej przystąpić do urzeczywistnienia swojej *Malowniczej Ukrainy*. Przywiózł z sobą całą tekę rysunków i szkiców. Gdyby przedsięwzięcie się udało, przyniosłoby mu oprócz zadowolenia znaczny zysk. Kto wie, czy nie zebrałby kwoty koniecznej do wykupienia braci i siostr z poddaństwa.

Zakrzętnął się koło pracy i we wrześniu wydał pierwszy zeszyt, zawierający sześć rycin: *W Kijowie, Monaster Wydubiecki, Sąd wiejski, Swaty, Bajka i Dary w Czehryniu*.

Dołączony do zeszytu prospekt głosił, że wydanie obejmie „widoki ze względu na ich piękno lub wspomnienia historyczne: świątynie, twierdze, kurhany i wszystko to, co czas oszczędził; współczesne życie ludu — zwyczaje, obrzędy, wierzenia, zabobony, bajki i pieśni; ważniejsze wydarzenia historyczne od Gedymina do upadku Hetmańszczyzny”.

W zeszycie następnym, stosownie do tego planu, miały znaleźć miejsce: widoki Czehrynia, Subotowa, Baturyna i Pokrowskiej cerkwi Siczowej; obrazy rodzajowe — pogrzeb młodej wieśniaczki, pieśń czumaków, obrzęd weselny, zwany perezwą, i żniwa; wreszcie obrazy historyczne — Iwan Podkowa we Lwowie, Sawa Czajłyj, Pawło Połubotok w Petersburgu i Semen Palij na Sybirze.

*Malownicza Ukraina* powinna była stać się malarzkim dopełnieniem *Kobzarza*.

Celowi temu miały służyć przede wszystkim widoki

miejscowości upamiętnionych walkami o niepodległość Ukrainy lub znanych jako rezydencje bohaterów tych walk. Wśród zaprojektowanych i wykonanych obrazów historycznych widzimy sceny budzące dumę narodową Ukraińców (jak *Dary w Czehryniu*, którym Szewczenko w liście do Bodiańskiego przydał nazwę: „Dary Bohdanowi i narodowi ukraińskiemu”) albo utrwalające pamięć największych ofiar, które naród złożył w zmaganiach z obcą przemocą (jak stracenie Iwana Podkowy we Lwowie, katusze Pawła Połubotka w nadnewskiej fortecy i syberyjskie męki Semena Pallija), albo też ostrzegające przed karą za zdradę narodu (zabicie Sawy Czałego).

W obrazach rodzajowych starał się Szewczenko pokazać najistotniejsze cechy ukraińskiej mądrości ludowej: poetyczne widzenie zgonu (*Pogrzeb wieśniaczki*), filozoficzny humor Ukraińca (*Bajka o żołnierzu i śmierci*), humanizm zwyczajów (*Swaty*), oryginalność stosunków społecznych (*Czumacy*) i bogactwo tradycji kulturalnych (*Perezwa*).

Wszystko razem miało być świadectwem odrębnego i samoistnego charakteru Ukrainy, miało uwypuklać to, czym Ukraina „zasadniczo różni się” od innych wspólnot narodowych.

Ale krył się w tym wszystkim jeszcze głębszy zamysł. *Malownicza Ukraina* powinna była przynieść Ukraińcom pogładową lekcję patriotyzmu, stać się dla nich elementarzem uświadczenia narodowego.

Rzecz wymagała zaszyfrowania czy zakamuflowania — ze względu na cenzurę. Szewczenko zrobił to bardzo zręcznie.

*Dary w Czehryniu* przedstawiają jeden z najświetniejszych momentów w dziejach Ukrainy. Rok tysięcy

sześćset czterdziesty dziewiąty był rokiem największej chwały narodu ukraińskiego. Przyniosły ją zwycięstwa na polach bitew pod Żółtymi Wodami i Korsuniem, pod Zbarażem i Zborowem. Polska, Turcja i Moskwa zabiegały o sojusz z walecznym hetmanem.

Na obrazku widać wewnątrz czechryńskiej rezydencji Chmielnickiego. Trzej posłowie — Turek, Polak i Moskowicin — czekają na przyjęcie przez władcę Ukrainy. Bogate dary, które porozkładali, kontrastują ze skromnym urządzeniem komnaty. Jedyłą jej ozdobę stanowi umieszczony na tylnej ścianie wizerunek Kozaka Mamaja.

Szczegóły tej potrójnej misji dyplomatycznej znał Szewczenko z *Historii Rusów*. Było tam powiedziane, że protektorat Polski został jednogłośnie odrzucony. Starzy członkowie Rady, na czele z Chmielnickim, forsowali ugodę z Moskwą. Przeciwwstawiali się temu młodzi, na czele z Bohunem; dowodzili oni, iż w Wielkim Księstwie Moskiewskim panuje okrutne poddaństwo chłopów.

Szewczenko pod tą swoją akwafortą umieścił znamienny podpis:

„Z Carogrodu, z Warszawy i Moskwy przybywali posłowie, niosąc wielkie dary, by zjednać Bohdana i naród ukraiński, już wolny i silny. Sułtan oprócz dużego skarbu przysłał Bohdanowi czerwony aksamitny żupan na futrze gronostajowym na kształt purpury książęcej, buławę i szablę. Jednakże Rada, z wyjątkiem sławnego rycerza Bohuna, postanowiła ugodę z carem moskiewskim.”

Szewczenko wiedział, że *Historię Rusów* zna prawie każdy oświecony mieszkaniec Ukrainy. To, co wyraził w podtekście, miało przypominać rodakom, że ugoda starszyny kozackiej z carem przyniosła chłopstwu ukraińskiemu katastrofalne pogorszenie sytuacji ży-

ciowej i że nie wszyscy wodzowie kozaccy aprobowali tę ugodę. Szewczenko przypominał, że Ukraina była ongiś „wolna i silna”.

Trudno przecenić rolę, jaką ten zwiezły, a tak treściwy komentarz odegrał w dziejach budzenia się świadomości narodowej Ukraińców pod rządami cara Mikołaja. Szewczenko udało się zmylić czujność carskiej cenzury. Za to rodacy dobrze go zrozumieli.

Nie mniej wymowna była akwaforta przedstawiająca sąd wiejski. Zwyczaj dawania spraw spornych pod rozstrzygnięcie starszyny wiejskiej należał do najdawniejszych zwyczajów ukraińskich. Za caratu zwyczaj ten nabrał szczególnej wagi: chodziło o to, by nie uciekać się do sądownictwa obcego i utrzymywać ducha niezawisłości w społeczeństwie ukraińskim. Przypominając o tym, Szewczenko uczył rodaków, jak mają chronić swoją godność narodową.

Ale i taka, niewinna z pozoru, czysto rodzajowa scena zaręczyn młodej Ukrainki dawała wiele do myślenia. Akwaforta *Swaty* przedstawia izbę, do której weszło dwóch swatów. Obaj są już przewiazani ręcznikami — znak, że dziewczyna wyraziła zgodę. Właśnie teraz podaje konkurentowi chustkę na talerzu: to już formalne zaręczyny.

Ukraina w przeciwieństwie do Rosji nie znała wydawania dziewcząt za mąż pod przymusem, kupowania albo porywania kandydatek na żony. Odwieczny zwyczaj nakazywał młodemu starać się o rękę młodej. Do tego celu służyła instytucja swatów, a w niej zawarta była idea wolności człowieka, tak droga każdemu ukraińskiemu sercu.

*Bajka o żołnierzu i śmierci* przywodziła na pamięć straszliwe warunki służby w carskim wojsku, z którego ludzie wracali do stron ojczystych już tylko po to, by umrzeć. Dwa pejzaże — widok monasteru Wydubiec-



kiego i Dniepru pod Kijowem — znakomicie uzupełniały tę piękną serię akwafort.

Ledwo ją Szewczenko w świat wypuścił, już myślał o następnych. W liście do wybitnego etnografa charkowskiego, księcia Certelewa, pisał: „Gdyby mi Bóg pomógł dokończyć to, co teraz zacząłem, złożyłbym ręce i leżał w grobie. Wystarczyłoby tej mojej pracy, nie zapomniałaby Ukraina mnie, mizernego”.

A wkrótce potem w liście do czernihowskiego gubernatora cywilnego, zabiegając o poparcie dla swojej imprezy wydawniczej, dowodził: „Historia Rosji południowej zdumiewa każdego swoimi wydarzeniami i na poły legendarnymi bohaterami; lud jest nadzwyczaj oryginalny, ziemia piękna, a wszystko to dotychczas nie zostało przedstawione oczom cywilizowanego świata, chociaż Małorosja od dawna posiadała własnych kompozytorów, malarzy i poetów. Czym się oni tak zajęli, że aż zapomnieli o rzeczach rodzimych, doprawdy nie wiem. Zdaje mi się, że gdyby moja ojczyzna była najnudniejsza na świecie, to i wtedy uważałbym ją za kraj piękniejszy niżli Szwajcaria, niżli całe Włochy. Ci, co raz ujrzeli naszą Krajinę, powiadają, że chcieliby żyć i umrzeć na jej przecudnych polach. A cóż wypada powiedzieć nam, jej dzieciom? Powinniśmy kochać tę naszą piękną matkę i nią się szczyścić. Ja, jako członek jej wielkiego potomstwa, poczynam sobie, jak umiem, jeśli nie ku pożytkowi, to ku chwale imienia Ukrainy”.

Szewczenko, pracując nad swoim dziełem malarskim, przeżywał chwile wielkiego uniesienia patriotycznego i mniemał, że tym samym uczuciem zapalają wszyscy, którzy będą oglądali *Malowniczą Ukrainę*.

Nie dane mu było urzeczywistnić całego planu wydawniczego, ale i to, co zdołał zrobić, zasługuje pod każdym względem na najwyższą ocenę. Owe sześć

akwafort, imponujących świetną, iście rembrandtowską techniką i poetyckim, a zarazem prawdziwie realistycznym sposobem widzenia świata rzeczy i spraw oczystych, zapoczątkowało nową epokę w dziejach sztuki ukraińskiej; wywołało szereg naśladownictw i zapłodniło wyobraźnię Ukraińców, dając jej impuls do coraz silniejszego i bardziej twórczego ujmowania problemów egzystencji narodowej.

## XII

Aczkolwiek cały prawie ten rok, tysiąc osiemset czterdziesty czwarty, wypełniły Szewczence zabiegi i prace związane z wydaniem albumu, nie zaniedbywał on działalności literackiej. Jednak źródłem jej była już teraz nie Ukraina historyczna, lecz współczesna — taka, jaką niedawno ujrzał i poznał na nowo.

Wrażenia swoje wyraził krótko i dosadnie w liście napisanym pod koniec listopada do generała Kucharenki: „Buw ja torik na Ukraini, u Meżyhirskoho Spasa, i na Chortyci, skriż buw i wse płakaw; splundrowały naszu Ukrainu katowoji wiry nimota z moskala my, szczo b wony perekazyłysia!”<sup>1</sup>

Ukrainą prawobrzeżną rządził okrutny i tępy żołdak, generał Bibikow, a lewobrzeżną — złodziej i pijanica książę Dołgorukow.

Wszelkie pozostałości realne, a nawet zewnętrzne oznaki dawnych swobód ukraińskich zostały doszczętnie zniesione.

---

<sup>1</sup> Byłem zeszłego roku na Ukrainie, u Meżyhorskiego Spasa i na Chortycy, wszędzie byłem i wciąż płakałem; splądrowali naszą Ukrainę katowskiej wiary Niemcy i Moskale, żeby im rozum odjęło!

Uniwersytet Kijowski, niedawno dopiero otwarty po dłuższej przerwie spowodowanej likwidacją konarszczyzny, znajdował się pod władzą kuratora, generała Traskina, głupca i nieuka. Młodzież pochodząca z tak zwanych „stanów podatkowych”, czyli nieszlachecka, miała utrudniony dostęp do szkół średnich, a do wyższych w ogóle go nie miała.

Chłopi cierpieli niewiarygodny ucisk. Poddaństwo, instytucja na Ukrainie stosunkowo świeża, przybrało tutaj formy szczególnie ostre i zwyrodniałe.

Stwierdził to w swoich pracach jeden z najświetlejszych Rosjan owego czasu, uczony badacz sprawy włościańskiej, Jurij Samarin, który przez szereg lat sprawował funkcje szefa kancelarii w kijowskim urzędzie gubernialnym.

Raz po raz wybuchały bunty chłopskie. Nie miały one, rzecz prosta, żadnych szans powodzenia, były żywiołowe, nie zorganizowane. Potęgowały jednak żyjącą w narodzie siłę rewolucyjną.

Nieliczni, bardziej rozsądni i postępowi ziemianie polscy i ukraińscy niewiele mogli zdziałać dla dobra uciemnionej ludności wiejskiej.

Cykl utworów, których źródło stanowiła straszna rzeczywistość ukraińska, zapoczątkował Szewczenko *Rozkopaną mogiłą i Czehryniem*. W kwietniu czterdziestego czwartego roku w Petersburgu wykończył *Sowę*, a w czerwcu napisał poemat satyryczny *Sen*.

Nazwał go komedią — zapewne w takim sensie, w jakim Dante zatytułował swoje nieśmiertelne pieśni.

*Sen* jest dziełem na wskroś oryginalnym, chociaż odbiła się na nim lektura almanachu *Niezabudka*, pism emigracyjnych Mickiewicza tudzież *Historii Rusów*.

W *Niezabudce* czytał Szewczenko najnowszą powieść fantastyczną Eleonory Szyrmer pod tytułem *Bartłomiej w chmurach*.

W *Ustępie* trzeciej części *Dziadów* czytał: *Petersburg, Pomnik Piotra Wielkiego i Przegląd wojska*.

A w „*Pielgrzymie Polskim*” takie słowa: „Despotyzm ograniczał się na ciemieniu poddanych i często bywał w zgodzie z sąsiadami republikanami; caryzm jest połączony z propagandą, z natury swojej musi podbijać i rozszerzać się”.

W *Historii Rusów* czytał: „Pułki małosyjskie, prowadząc budowę linii i kanałów, podzielone były na duże oddziały albo korpusy... Osuszały nieprzebyte bagna i kopały kanały dla przechodzenia statków wodnych do Sankt-Petersburga, miasta, które hośdar zbudował pod swoim imieniem na najbardziej północnych błotach, przy ujściu Newy; postawione na palach i nasypach, stało się ono grobem mnóstwa ludzi, którzy padli od wilgoci, zmęczenia i chłodu”.

*Sen* był rozprawą Szewczenki z imperializmem carskim, z rządem monarchicznym i jego sługami.

Rubaszny, groteskowy styl niektórych scen utworu przywodzi na myśl szopkę ludową, tyle tam jest żółci i sarkazmu, tyle zwykłego chłopskiego gniewu.

Obrazy, które poeta dostrzegał w wyimaginowanym locie nad obszarami imperium, budziły grozę.

Oto ziemia ojczysta, ziemia ukraińska, zakrwawiona i podeptana, przytłoczona straszną niewolą i pańszczyzną.

Oto Sybir, gdzie żyją i cierpią zakuci w kajdany albo przykuci do tacek zesłańcy polityczni różnych narodowości.

Oto nadnewskie bagna, fińskie bagna, czyli gród Piotrowy, wzniesiony na kościach tysięcy Kozaków Zaporoskich. Oto twierdza na wyspie i cerkiew, i wieża z idiotycznie wysokim szpicem, podniesionym jak maczuga nad całą stolicą, nad całą Rosją... I widmo męczzonego w lochu fortecznym Pawła Połubotka...

Wreszcie — jeździec miedziany na miedzianym koniu, galopujący po skale, tratujący, zda się, cały świat...  
Na cokole napis — „Pierwomu Wtoraja”  
Szewczenko wytłumaczył:

Ce toj perwyj, szczo rozpynaw  
Naszu Ukrajinu,  
A wtoraja — dokonała  
Wdowu syrotynu.<sup>2</sup>

Piotr Pierwszy i Katarzyna Druga — dwaj tyrani, dwaj gnębiciele narodu ukraińskiego. O nich tu mowa.

Szewczenko dał również we *Śnie* opis parady wojska i asambu na dworze Mikołaja. Cara przedstawił jako niedźwiedzia, carową jako czapłę, a dygnitarzy jako wieprzków.

I z uniesieniem proroka, walczącego o szczęście ojczyzny, rzucił gniewne zapytanie Bogu:

Czy dowho szcze na sim switi  
Katam panuwały? <sup>3</sup>

W sporze, który Mickiewicz prowadził z Puszkinem na temat caryzmu, Szewczenko stanął po stronie Mickiewicza.

I znów się Szewczenko spotkał ze swoim starym druhem Michałem Szczepkinem.

Aktor przyjechał do Petersburga na gościnne występy. Grał w *Moskalu czarowniku* i *Natalce z Połtawy*, wzbudzając niesłychany zachwyt petersburskich Małorusinów.

Pod wpływem tych nastrojów Szewczenko zwrócił się znowu do sztuki dramatycznej. Swojego *Nazara Sto-*

---

<sup>2</sup> To ten pierwszy, co krzyżował || Naszą Ukrainę, ||  
A to druga, co dobiła || Nieszczęsną sierotę.

<sup>3</sup> Długoż będą na tym świecie || Panowali katy?

dolę przełożył na język ukraiński. Zabiegał o wystawienie kilku sztuk z rodzimego repertuaru w kółku studentów Akademii Medycznej. Chodził na próby. Pisał do Kucharenki: „Otamane! Jakby ty znaw, szczo tut robyt'sia! Tut robyt'sia take, szczo cur jomu i kazať. Kozactwo ożyło!!!!”<sup>4</sup>

Dwa ostatnie słowa, opatrzone aż czterema wykrzyknikami, więcej powiedziały kozackiemu generałowi niż cały list.

Szewczenko wciąż przeżywał gorycz klęski będącej udziałem jego narodu, i gorycz niewoli gniołającej jego braci i siostry.

Silny i mężny charakter nie zawsze go osłaniał przed depresją.

W wierszu *Pustka*, skierowanym do Szczepkina, prosił go Szewczenko o radę:

Skaży, szczo robyty:  
Czy mołytyś, czy żurytyś;  
Czy timja rozbyty!...<sup>5</sup>

W parę tygodni później, w dzień Sylwestrowy, napisał wiersz *Do Gogola*.

Nie znał osobiście autora *Martwych dusz*, ale zachwycał się jego dziełami, zwłaszcza *Tarasem Bulbą*.

Przez głowę mu nie przeszło, że Gogol uprawia tematykę ukraińską jako poeta wielkorosyjski, nie ukraiński.

Zwracał się do niego jak do przyjaciela. Żalił się przed nim:

---

<sup>4</sup> Atamanie! Żebyś ty wiedział, co się tu dzieje! Tu się dzieje coś takiego, że na psa urok! Kozactwo ożyło!!!!

<sup>5</sup> Powiedz mi, co robić: || Czy się modlić, czy się martwić, || Czy łeb sobie rozbić...

Ne zarewut' w Ukrajini  
Wolniji harmaty.  
Ne zariże bat'ko syna,  
Swojeji dytyny,  
Za czest', sławu, za braterstwo,  
Za wolu Wkrajiny.  
Ne zariże: wykochaje  
Ta j prodast' w riznyciu  
Moskałewi...<sup>6</sup>

Szewczenko mimo wielkiej trzeźwości umysłu należał do entuzjastów. Toteż nieraz darzył uwielbieniem ludzi, mając o nich nader jednostronne pojęcie. Gogol podbił go wspaniałym talentem literackim i głębokim współczuciem dla ludzkich trosk i cierpień.

Szewczenko nie wiedział, że u wielu pisarzy rozdzwięk pomiędzy życiem prywatnym a twórczością stwarza przykre niespodzianki.

Szewczenko takiego rozdzwięku nie znał. Jego życie prywatne i jego twórczość były w zupełnej harmonii.

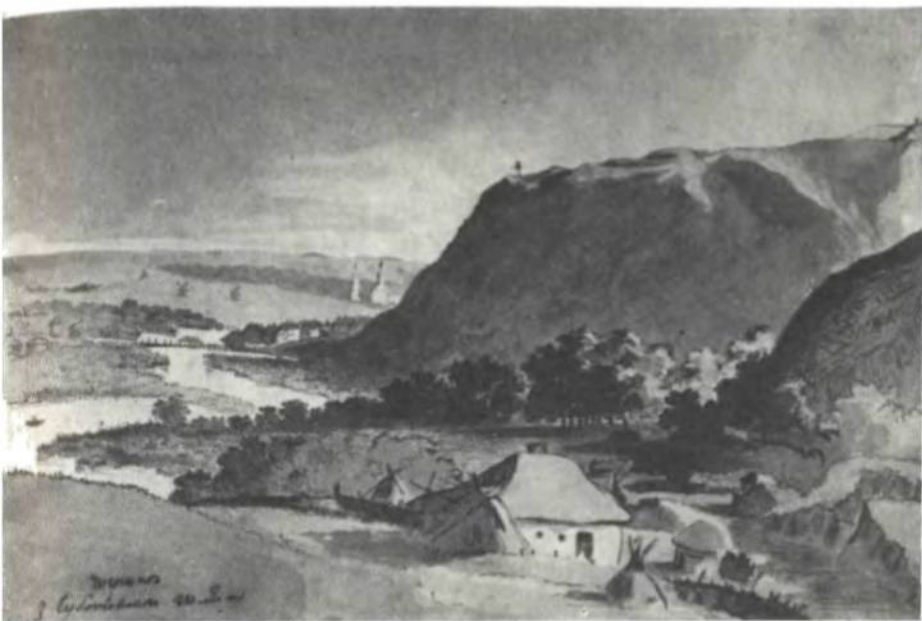
Hrebinka w dalszym ciągu urządał u siebie piątki literackie.

Szewczenko spotykał się tam często z Mombellim. Młody oficer wciąż gorzał pasją przeobrażenia świata. Jego dotychczasowy mistrz i przewodnik ideowy Fourier wydawał mu się już zanadto powściągliwy w projektach reform.

Mombelli śmiał się i irytował, opowiadając Szewczence, że Fourier dopuszcza istnienie monarchy w swoim zreformowanym społeczeństwie.

---

<sup>6</sup> Nie zahuczą na Ukrainie || Wolności armaty. || Nie zabije ojciec syna, || Rodzonego syna, || Za cześć, sławę, za braterstwo, || Za wolność Ukrainy. || Nie zabije, nie: wychowa || I na ubój sprzeda || Moskałowi...



**Czehryń (widok z drogi subotowskiej). Taras Szevczenko.  
Akwarela, 1846**





**Cerkiew Wszystkich Świętych w Ławrze Kijowsko-Pieczarskiej.**  
*Taras Szewczenko. Sepia, 1846*



**Kościół katolicki w Kijowie. Taras Szewczenko. Akwarela, 1846**



**Ławra Poczajowska od strony południowej. Taras Szewczenko.  
Akwarela, 1846**

Mombelli stał się już zapalonym republikaninem. Chciał przymocą obalić carat, ogłosić konstytucję, znieść poddaństwo chłopów, skasować cenzurę prewencyjną, stanowiska państwowe obsadzać ludźmi z wyboru, zaprowadzić tolerancję religijną.

Szewczenko z podziwem patrzył na tego świetnego oficera gwardii. Carskiej gwardii.

Pokazał mu swoje ostatnie wiersze. Mombelli był zachwycony.

Szewczenko wywnioskował ze słów przyjaciela, że wśród młodzieży kluje się zawiązek spisku rewolucyjnego, że jest już jakieś kółko ludzi nad miarę zrozpaczonych posępną codziennością rosyjską, zapaleńców, gotowych na wszystko.

Duszą tego kółka był młody kandydat praw, Michał Pietraszewski. Posiadał sporą bibliotekę, złożoną z książek traktujących o filozofii i ekonomii, przeważnie wydanych za granicą i nielegalnych. Przyjaźnił się z wieloma Polakami i chętnie gościł ich u siebie, w swoim drewnianym domku na Kołomnie.

W niedługim czasie Szewczenko za pośrednictwem Mombellego poznał się z młodym studentem filologii, który jak się okazało, utrzymywał ściśle stosunki z Pietraszewskim.

Student wyrażał się o nim z jakąś nabożną czcią. Twierdził, że Pietraszewski dokona wiekopomnych rzeczy.

Student robił wrażenie misjonarza, miał naiwne niebieskie oczy i uśmiech dziecka. Pisał wiersze pełne gorączki społecznikowskiej i szlachetnego patosu. Jeden z tych wierszy zaczynał się od słów: „Naprzód, bez strachu i zwątpienia, na bohaterskich czynów szlak!”

Niektórzy koledzy studenta uważali ten wiersz za rodzaj hymnu rewolucyjnej młodzieży.

Student nazywał się Aleksy Pleszczejew.

Mombelli opowiadał Szewczenko o wypadku, jaki niedawno miał miejsce w liceum carskosielskim. Władze szkolne u jednego z licealistów przyłapały rękopis opery-buffo pod tytułem *Wyprawa na Chiwę*. Wyśmiany tam został wódz niefortunnej ekspedycji chiwańskiej, generał Perowski. Zjadliwa satyra nie oszczędziła wielu innych dygnitarzy;ajsromotniej wyszedł rodzony brat generała, minister spraw wewnętrznych.

Sledztwo wykryło autora. Był nim piętnastoletni uczeń, który jak się okazało, często bywał w mieszkaniu Pietraszewskiego.

Hrabia Aleksy Orłow kazał roztoczyć nad Pietraszewskim poufny nadzór.

Ten zorientował się w sytuacji i na czas pewien poniechał przyjmowania gości.

Nie przeszkodziło to zarówno jemu, jak i kilku jego współtowarzyszom, między innymi Strandmannowi, wziąć udział w przygotowaniu *Kieszonkowego słownika obcych wyrazów*, który w zamaskowanej przed cenzurą formie podawał wiadomości o najważniejszych ideach społecznych, prądach umysłowych i zdobyczach nauki. Była to mała encyklopedia postępowej wiedzy o świecie. Na razie poszła do druku pierwsza część — od „A” do „Mar”.

Szewczenko był jednym z pierwszych, którzy czytali słownik i swoją wiedzę o życiu społecznym wzbogacili wieloma nowymi myślami.

Mombelli, szczerze przywiązany do Tarasa, notował w swoich zapiskach:

„Szewczenko jest średniego wzrostu, barczysty i w ogóle mocno zbudowany, silny; w talii szeroki, wskutek rozrośniętych kości, ale bynajmniej nie gruby; twarz ma okrągłą, brodę i wąsy zawsze wygolone;

nosi tylko bokobrody dokoła twarzy; włosy strzyże po kozacku, ale czesze je w tył; nie jest ani blondynem, ani brunetem, chociaż raczej brunetem — ze względu na odcień włosów i smagłą cerę; rysy twarzy zwykłe; ogólny wyraz fizjonomii i zachowanie się znamionuje odwagę; nieduże oczy błyszczą energią. Lat czterdzieści albo trzydzieści pięć; raczej trzydzieści pięć.”

W końcu stycznia tysiąc osiemset czterdziestego piątego roku dostał Szewczenko list od księżniczki Repnin.

Donosiła mu o śmierci ojca. Opisowała uroczystości pogrzebowe. Stary książę jeszcze za życia nakazał, aby go pochowano w monasterze Hustyńskim. Kiedy kondukt żałobny dotarł do Pryłuków, miejscowi ludzie wyprzęgli konie i sami pociągnęli sanki z trumną. A właśnie rozszalała się zamieć śnieżna i wiatr dał prosto w oczy. Ale ludzie kochali i czcili tego Rosjanina, który nie tylko ich nie krzywdził, lecz im jeszcze dobro czynił, który szanował ich pragnienia narodowe. Więc szli pod wiatr i zamieć.

Szewczenko zamyślił się: Gdyby takich Rosjan, takich ziemian było więcej...

Zaraz jednak przypomniał mu się Engelhardt. I Selecki. I inni, których był legion.

Dojrzewiała w Szewczence myśl, aby udać się na Ukrainę. Tym razem na dłużej. Ciągnęło go tam tyle rzeczy, tyle spraw. Czuł, że tam dopiero jego talent w pełni się rozwinie, tam dopiero otworzy się dla niego pole do wielkiej pracy. Nie uzmysławiał sobie, jaka to będzie praca, nie układał ściśle jej planu; wiedział jednak, że się nie ograniczy do malowania obrazków i pisania wierszy.

Chciał jeszcze głębiej wnikać w dzieje swojego kraju, na własne oczy zobaczyć to, co zostało z dawnych

i pradawnych czasów, jeszcze lepiej poznać obecne życie swoich ziomków — pańszczyźnianych chłopów.

Bez tej wiedzy ojczystej nie mógł być tym, czym chciał być.

Dnia dwudziestego drugiego marca Szewczenko złożył do Rady Akademii Sztuk Pięknych podanie o dyplom.

Rada tegoż dnia nadała mu stopień mistrza wyzwolonego.

Wyraziła również zgodę na jego wyjazd „do guberni małoprosyjskich w celu wykonywania pracy artystycznej”.

Karta drożna, którą w sekretariacie akademii wręczono Szewczence, wskazywała dokładnie marszrutę: Moskwa, Tuła, Orzeł, Kromy, Głuchów.

Wziąwszy z sobą spory zapas przyborów malarskich, ołówków i farb, pełen najlepszych myśli, z góry przeżywając radość podróży, naprzód czując szczęście i melancholię ponownych spotkań z bliskimi sercu ludźmi, ruszył Szewczenko na ukraińskich dróg skrzyżowania.

## CZĘŚĆ TRZECIA

### W KOLE BRĄTCZYKÓW

#### I

Dobiegała do końca pierwsza połowa dziewiętnastego wieku. Mimo pozornej ciszy dawały się tu i owdzie słyszeć grzmoty podziemne. Starą Europę po trochu zastępowała młoda. Tej młodej przewodził zdolny i energiczny genueńczyk Giuseppe Mazzini, który już za czasów studenckich zapalił się do podwójnego i świętego ideału ojczyzny i wolności.

Aresztowany wtedy za przynależność do węglarzy, wiele rozmyślał w więzieniu i doszedł do wniosku, że jeśli ruch włoski nie objął dotychczas władzy, to jedynie dlatego, iż nieobecny był w nim lud.

Mazzini zdołał miłością ojczyzny natchnąć masy wieśniaków, rzemieślników i lazzaronów włoskich.

Jednym z najczynniejszych wyznawców i pomocników Mazziniego stał się pewien marynarz nicejski, Giuseppe Garibaldi.

Cała literatura włoska owego czasu z największą mocą wyrażała ideę, której służyli ci dwaj wielcy Włosi: była to idea narodowości.

W pierwszej połowie dziewiętnastego wieku na całym Półwyspie Apenińskim tworzyły się, ginęły pod ciosami tyranów i na powrót się odradzały tajemne spi-ski patriotyczne.



Na rok przed krwawym dramatem rosyjskich dekabrystów wykryto w Mediolanie organizację rewolucyjną. Jej przywódcy, Fryderyk Confalonieri, Gaetano Castilia, Pietro Borsieri i wielu innych skazani zostali na śmierć. Darowano im później życie i odesłano do twierdzy Spielbergu na Morawach, gdzie już od dawna mogiłnym powietrzem kazamatów oddychali Silvio Pellico, Pietro Maroncelli i inni wybitni patrioci.

W roku tysiąc osiemset dwudziestym szóstym, na wieść o powieszeniu Pestela i jego towarzyszy, Luigi Angeloni powiedział: „Iskry z włoskiego ognia rozpały płomień wolności... na zamrożonej ziemi Petersburga”.

W roku tysiąc osiemset czterdziestym piątym, w dziewiętnastą rocznicę kaźni petersburskiej, Mazzini ogłosił swoje orędzie do Rosjan — *Indirizzo ai Russi*. Chciał ich również wciągnąć do Młodej Europy.

Może pamiętał ogłoszoną przed paroma laty w jednym z pism francuskich wiadomość o wykryciu sprzysiężenia wśród oficerów korpusu Geismara?

Sprzysiężenie, jeśli istniało naprawdę, zostało tak szybko zlikwidowane, że nie zdążyło wydać owoców.

Orędzie Mazziniego trafiło w próżnię.

W państwie Mikołaja głucho było o jakiegokolwiek działalności rewolucyjnej. Młoda Rosja jeszcze się nie narodziła.

Tylko Polacy niestrudzenie konspirowali, ginęli na szubienicach, szli na Sybir albo na linię kaukaską, gnili w więzieniach i — zawiązywali nowe konspiracje.

Mazzini mawiał: „Męczeństwo nigdy nie jest bezowocne”. Na tej zasadzie popierał każdy projekt powstania, który mu podsuwali jego zwolennicy.

W roku tysiąc osiemset czterdziestym czwartym

wybuchła ruchawka w Kalabrii, ale została natychmiast zduszona. Oddział powstańców liczył zaledwie dziewiętnastu ludzi. Schwytano ich i rozbrojono. Przywódcy, Attilio i Emile Bandiera oraz Domenico Mora, młodzi oficerowie marynarki weneckiej, padli pod kulami plutonu egzekucyjnego żołnierzy burbońskich.

Wiść o ich śmierci wstrząsnęła opinią publiczną półwyspu. Ich nazwiska stały się zawołaniem bojowym wszystkich patriotów włoskich. Mówiono sobie: „Każda przegrana bitwa jest dla narodu w niewoli krokiem do zwycięstwa”.

W tym samym czasie pewien ksiądz z Turynu, niejaki Vincenzo Gioberti, wydał książkę *O pierwszeństwie Włoch pod względem moralnym i obywatelskim*. Książka ta wywarła wielkie wrażenie.

Gioberti, tak samo jak Mazzini, gorąco wierzył w wielkie przeznaczenie Włoch i przepowiadał je z prończą pewnością.

A od lat trzydziestu nie schodziła ze scen włoskich tragedia, którą w więzieniu stworzył Silvio Pellico. Bohaterką jej była Franciszka z Rimini. Ta, którą w *Boskiej komedii* unieśmiertelnił Dante.

Kiedy wielki aktor Gustavo Modena wypowiadał natchnioną strofę:

Per te, per te, che cittadini hai prodi,  
Italia mia, combatterò, se oltraggio  
Ti muoverà l' invidia. E il più gentile  
Terren non sei di quanti scalda il sole?  
D'ogni bell'arte non sei madre, o Italia,  
Polve di eroi non è la polve tua?<sup>1</sup>

---

<sup>1</sup> Dla ciebie, dla ciebie, kraino walecznych obywateli, || Italio moja, stanę do walki, jeżeli zawiść || Ciebie znieważa. Czyż nie jesteś najmilsza || Ze wszystkich krain pod słońcem? || Czyż nie jesteś matką wszystkich sztuk, o Italio || Proch twojej ziemi czyż nie jest prochem bohaterów?

na sali zrywał się huragan oklasków.

Pisarze włoscy umieli wyrazić i objaśnić to, co czuł naród.

A w łonie narodu wzbierały kryjomie dążenia rewolucyjne, tak jak wzbiera lawa w głębi krateru Etny.

Dzieje ruchów wolnościowych w dziewiętnastowiecznej Europie są zarazem dziejami więzień.

Wszystkie więzienia podlegały jednym i tym samym prawom.

Na kaźnie więzienne przerabiano stare twierdze i stare klasztory. Regulaminy ich, obliczone na wywołanie rozpacz, apatii i szaleństwa, były jak gdyby skopiowane jeden z drugiego. I we wszystkich więzieniach siedzieli podobni do siebie ludzie, doznający prawie tych samych wrażeń. Mieli oni prawo czuć się braćmi, chociaż umysły ich często snuły wręcz odmiennie myśli, a serca nie były dla tych samych idei.

Silvio Pellico na początku czwartego dziesięciolecia, gdy już odzyskał wolność, napisał książkę *Moje więzienia, Le mie prigioni*. Ta spokojna i prosta opowieść dziejów męczeństwa więcej zaszkodziła Austrii niż przegrana bitwa.

Przed osadzeniem w Spielbergu więziono go w Mediolanie, w dawnej celi klasztornej, o dachu ołowianym, wysokiej i ciasnej jak komin, lodowato zimnej w zimie, a podobnej piecowi ognistemu w lecie. Potem siedział w straszliwej skrytce na najwyższym piętrze Pałacu Dożów w Wenecji oraz na wyspie San Michele, koło Murano, która później stała się cmentarzem miejskim.

Zbiegiem okoliczności podobną nazwę nosiło więzienie, w którego murach pogrzebany był za życia Blanqui.

Opactwo Mont Saint Michel od czasów średniowiecza pełniło dwojakie funkcje: religijne i policyjne. Rewolucja zburzyła Bastylię, ale nie tknęła Mont Saint Michel. Nadano jej tylko nazwę: „Skała wolności”.

Podczas krótkich przechadzek Blanqui oglądał cuda bogatej architektury gotyckiej — koronkową rzeźbę na mrocznych łukach galerii, granitowe podwórze, zmienione przez sztukę w mistyczny ogród o granitowych kwiatach, i cudne okna ze smugami nadziemskiego światła.

Pogardliwie odwracał oczy od tych cudów. Buntował się przeciwko sztuce, przeciwko tym wytworom średniowiecza. Dławił się i dusił gotyką.

Przyszłość świata przedstawiała mu się w klasycznych formach, niezwykle jasnych i prostych.

Pellico był i pozostał do końca życia chrześcijaninem, Blanqui zaś rewolucjonistą obojętnym na sprawy wiary. Ale życie zbliżyło i złączyło wszystko, co w nich było sprzeczne, a podobieństwo losów jednego i drugiego pozwala mówić o jakimś niepojętym braterstwie obydwóch apostołów wolności.

Blanqui na równi z historią i polityką studiował w więzieniu literaturę. Czytał dużo i chciwie. Najulubieńszą jego lekturę stanowiła... książka Pellica. Opanowała jego umysłowość. Kto wie, czy nie ona właśnie pozwoliła mu przetrwać długie lata cierpień.

Nigdy nie wychodziły mu z pamięci słowa, które więzień włoski napisał jakby umyślnie dla niego: „...A mimo wszystko, nawet w mrocznej głębi więzienia czuje się rozkosz życia, gdy się pomyśli, że prawdziwe dobro leży we własnej świadomości, a nie w rzeczach zewnętrznych”.

Więzienia rosyjskie miały tradycję nie gorszą od francuskich i austriackich. Słynna była forteca Petropawłowska na Wyspie Zajęcej oraz forteca Szliselburska przy wyjściu Newy z jeziora Ładoga. Na głównym narożniku pierwszej z tych fortec stracono pięciu dekabrystów. W obydwóch przebywali, czasem lat dziesiątki, najwybitniejsi więźniowie stanu.

Na ziemiach zachodnich znane były kazamaty Modlina i Zamościa oraz cytadele: warszawska i kijowska.

Poza tym we wszystkich zakątkach imperium sprawnie funkcjonowały większe i mniejsze placówki więzienne. Jak w całej Europie.

Rosja Mikołajowska górowała jednak nad innymi państwami europejskimi tym, że oprócz więzień miała jeszcze do dyspozycji Sybir oraz dwie „linie”: turkieską i kaukaską. Trzy drogi śmierci.

Na tych trzech drogach najwięcej legło kości polskich i ukraińskich.

Szewczenko podczas swojej wędrówki po ziemiach dawnej Sycylii Zaporoskiej rozmawiał swoim zwyczajem z ludźmi, notował zasłyszane pieśni i opowieści.

Ludzie na Ekaterynosławszczyźnie śpiewali:

Oj polety ta polety, czornaja hańko,  
Ta na Don rybu jisty,  
Oj prynesy ta prynesy, czornaja hańko,  
Ot Kałnysza wisti.

Była to pieśń o Piotrze Kałnyszewskim, którego lud nazywał poufale Kałnyszem.

Szewczenko znał tragiczne dzieje ostatniego atamana kozowego Kozaków Zaporoskich. Kałnyszewski w roku tysiąc siedemset siedemdziesiątym piątym poddał się bez walki wojskom Katarzyny, które otoczyły Sicz.

Mimo to carowa zesłała go, ale nie na Don, jak głosi wieść gminna, tylko do monasteru Sołowieckiego.

Kałynszewski był wtedy starcem osiemdziesięcioletnim. Wsadzono go do lochu pod jedną z wież fortecznych, do którego nie przenikało światło dzienne. Jedzenie podawano mu przez otwór wielkości dwa na pięć cali. Na świeże powietrze wyprowadzano go tylko w wielkie święta, i to na parę zaledwie godzin. Nieczystości w lochu nie sprzątało nigdy. Kiedy pająki powygryzały w ciele skazańca głębokie dziury, zarząd monasteru zwrócił się do Petersburga z zapytaniem, czy można dać więźniowi kij do opędzania się od pajaków.

W takich warunkach Kałynszewski spędził dwadzieścia pięć lat. Kiedy w roku tysiąc osiemset pierwszym w związku z koronacją Aleksandra Pierwszego ogłoszono amnestię, Kałynszewski nie chciał z niej skorzystać. Umarł wkrótce potem, mając lat sto dwanaście.

W państwie Mikołaja żandarmeria i policja tajna cieszyły się zasłużonym rozgłosem. Kierujący ich pracą Wydział Trzeci stanowił instytucję uniwersalnej opieki nad państwem, wdzierającą się we wszystkie dziedziny życia.

Było to — słowo i dzieło gosudariewo.

Myśli despoty-cara urzeczywistnione były przez Wydział Trzeci.

Mikołaj nienawidził Polaków i gardził Małorusami. Na Ukrainie, gdzie oba te żywioły silnie były reprezentowane i znajdowały się w stanie ciągłej fermentacji, żandarmeria carska miała pełne ręce roboty.

W piątym dziesiątku lat Wydział Trzeci główną uwagę wytyczał na niebezpieczeństwo grożące ze strony emigracji polskiej, która nie ustawała w propagan-

dzie haseł niepodległościowych i bez przerwy słała do kraju licznych emisariuszy.

Emigracyjna demokracja polska była jakby cemen-tem, który w jedną całość spajał rozmaite żywioły emigracji międzynarodowej.

Wydział Trzeci doskonale zdawał sobie z tego sprawy.

W grudniu tysiąc osiemset czterdziestego roku Mickiewicz zaczął wykładać literaturę słowiańską w Collège de France.

Zaraz na wstępie powiedział:

„Język i literatura tworzą jedyny węzeł między naszymi ludźmi; przez literaturę czujemy się wszyscy braćmi i synami jednej ojczyzny. Jedyna to dziedzina, która stanowi wspólną nam wszystkim własność, i ukazanie jej wartości jednako leży nam na sercu. Zjednoczmy się na tym polu neutralnym, jedynym, którego neutralność wszyscy szanujemy. To pole umysłowe wyobrażają dla mnie na ziemi mury tej uczelni. Tu jedynie mogą się bez wzajemnej nieufności spotkać Polak i Rosjanin, Czech husyta i Czech katolik, brat Morawski i mnich z góry Atos, Iliryjczyk używający głągolicy i Serb posługujący się cyrylicą, Litwin i Kozak. Tak, panowie, w murach tej sali pragnę widzieć symbol naszego przyszłego zjednoczenia”.

Audytorium w Collège de France od samego początku stanowili przedstawiciele różnych narodowości słowiańskich. Na wykład inauguracyjny przyszedł między innymi Ukrainiec, Mikołaj Sawicz, który ongiś, jako student, poznał Mickiewicza w Charkowie.

Nie śmiał jednak podejść do profesora. Notatki z jego wykładu skrzętnie przechował i zawiózł do siebie na Ukrainę.

W roku tysiąc osiemset czterdziestym czwartym umarł hrabia Benkendorf i jego miejsce w Wydziale Trzecim zajął hrabia Aleksy Orłow.

W tym samym czasie na ziemiach południowych Królestwa wykryto spiskową organizację powstańczą o bardzo radykalnym programie, do której należeli przeważnie chłopci. Kierował nią ksiądz, syn chłopca pańszczyźnianego, Piotr Ściegienny.

Rozpowszechniał on wśród ludu *Złotą ksiąteczkę*, która między innymi zawierała taki ustęp: „Na przeszłych wojnach panowie polscy kazali wojsku, z chłopów i mieszczan złożonemu, bić wojsko rosyjskie, z chłopów i mieszczan złożone. Panowie rosyjscy kazali także swojemu wojsku bić wojsko polskie. W przyszłej zaś wojnie staną chłopci i mieszcianie polscy i rosyjscy z jednej strony, a panowie polscy i rosyjscy z drugiej strony. Chłopci będą strzelali nie do chłopów, ale do panów”.

W Warszawie, Łomży i Lublinie żandarmi trafili już nieco wcześniej na ślady spisku, będącego swoistą kontynuacją konarszczyzny. Przywódca jego, syn karmazyna i posesjonata, Edward Dembowski, utrzymywał łączność ze Ściegiennym. Na gruncie warszawskim patronował cyganerii oraz entuzjastom. Zmierzał do radykalnych rozwiązań problemów społecznych. Wciągnął już do ruchu liczną rzeszę rzemieślników, czeladników, kancelistów, uczniów szkół średnich i pracowników fizycznych.

Zagrożony przez policję, zbiegł do zaboru pruskiego. Tam już zastał szeroko rozgałęzioną konspirację, zwa-



na Związkiem Plebejuszy, której przewodził drukarz, syn rybaka, Walenty Stefański.

Ponadto w Wielkopolsce działał utworzony niedawno Komitet Centralny Towarzystwa Demokratycznego. Na czele komitetu stał młody doktor filozofii, syn szewca poznańskiego, Karol Libelt.

W Brukseli Henryk Kamieński wydał pod pseudonimem Filareta Prawdowskiego broszurę *O prawdach żywotnych narodu polskiego*. Rozwijał w niej myśl „rewolucji społecznej”, czyli powiązania walki o niepodległość z uwłaszczeniem chłopów. Broszura rozeszła się po całej Polsce.

Aleksy Orłow miał się nad czym zastanawiać. Gdy przed kilkoma laty czasopismo „Teleskop” opublikowało pierwszy *List filozoficzny Czaadajewa*, władze poradziły sobie szybko i skutecznie: wpakowano autora do domu wariatów.

Trudno było jednak w całej Europie pozamykać wszystkich, którzy atakowali carat i szerzyli radykalne idee społeczne.

Orłow wiedział, że rosyjskie ruchy rewolucyjne, mimo ich ograniczoności i niedojrzałości, a często nawet naiwności, zawsze dotychczas nawiązywały do polskich ruchów narodowych.

To było w oczach szefa żandarmów zjawiskiem najgroźniejszym.

Znał ogłoszony w „Demokracji Polskiej” komentarz do wypadków na Litwie w korpusie Geismara:

„Coraz szybszym krokiem zbliża się era nowa, era wielka dla pokoleń słowiańskiego szczepu. Nie na próżno wyrzekł prorocze słowa umierający na męczeńskim rusztowaniu Pestel: «Co zasiano, wzrośnie... Błogosławiona jest krew i cierpienia męczeńskie, jako rosa niebieska zapładniająca i użyźniająca łany wolności. Polska w męczeńskim i pogrobowym życiu swoim odbiera

najświeńniejszy hołd patriotów rosyjskich... Cześć zasadzie stwarzającej ufność i miłość między ludźmi i narodami»”.

To już wyraźnie pachniało ideą solidarności słowiańskiej, wrogiej caratowi.

Orłów wiedział, że dla caratu taki pansławizm stanowi śmiertelne niebezpieczeństwo.

W latach trzydziestych w Pradze i Wiedniu działały stowarzyszenia zajmujące się badaniem języków i literatur słowiańskich.

Niebawem stowarzyszenia te zajęły się również sprawami politycznymi. Zaczęły głosić ideę zjednoczenia Słowian w republikę federacyjną, w której wszystkie narody miałyby równe prawa oraz własne rządy i własną organizację państwową.

Obydwa stowarzyszenia, praskie i wiedeńskie, nawiązały łączność z tajnymi organizacjami polskimi. Zwłaszcza ze Stowarzyszeniem Ludu Polskiego.

Tymczasem w Bratysławie powstało konkurencyjne niejako stowarzyszenie, które również propagowało pansławizm, ale pod hegemonią cara.

Organizacja bratysławska, chociaż składająca się przeważnie z elewów teologii protestanckiej, cieszyła się mimo to względami uczonych sławistów rosyjskich, którzy zgodnie ze słynną formułą ministra oświaty Uwarowa uważali prawosławie za jeden z trzech filarów Słowiańszczyzny.

Hrabiego Benkendorfa, który żył jeszcze wtedy, musiała Bratysława bardzo obchodzić.

Idea słowiańska promieniowała również z Wrocławia, gdzie studiowało dużo młodzieży polskiej. Tutaj

odbywały się częste narady przywódców konspiracji. Wrocław był miejscem spotkań działaczy i pisarzy. Tędy przechodziła literatura nielegalna z Zachodu na Wschód — aż do Lwowa i Kijowa.

Przy uniwersytecie przez szereg lat działało Towarzystwo Literacko-Słowiańskie. Członkami jego byli Polacy, Czesi i Łużycanie. Z Polaków należał tam ksiądz Józef Szafranek, radykalny działacz śląski, Ryszard Berwiński, poeta i serdeczny przyjaciel Edwarda Dembowskiego, oraz Ewaryst Estkowski, wybitny pedagog i publicysta.

Pod pozorem pracy naukowej Towarzystwo uprawiało propagandę polityczną.

Hrabia Benkendorf bardzo się tym niepokoił.

Wkrótce policja pruska rozwiązała organizację. Wiadomość o tym przyjął z zadowoleniem hrabia Aleksy Orłów, obejmujący właśnie trudną placówkę po swoim poprzedniku.

W Krakowie akcją organizacyjną Słowian, zarówno wśród Polaków, jak i wśród Czechów, kierował nauczyciel prywatny, syn ekonoma, Lesław Łukaszewicz. Jego staraniem młodzież polska i czeska złożyła na kopcu Kościuszki przysięgę braterstwa.

Policja rosyjska i tutaj przyczyniła się do zlikwidowania organizacji.

W Warszawie głosicielami idei słowiańskiej byli tamtejsi spadkobiercy Węglařstwa Narodowego — Gustaw Ehrenberg i Aleksander Wężyk. Nakreślili oni plan federacji wolnych republik słowiańskich na zasadach zupełnej równości.

Obydwaj przykładali wielką wagę do propagandy wśród wojska i do współdziałania ze spiskowcami ro-



**Portret księżny Elizawiey Kejkuatow. Taras Szewczenko.  
Olej, 1847**



**Taras Szewczenko. *Autoportret. Ołówek, 1847***

syjskimi. Obydwaj wraz z Mickiewiczem wierzyli w szczególną misję Polski.

Poszli na Sybir w związku z likwidacją konarszczyzny.

Wtedy na widownię wystąpił moskiewski historyk Mikołaj Pogodin i złożył ministrowi oświaty dwa memoriały stanowiące niejako program rosyjskiego słowianofilstwa.

Mesjanizmowi polskiemu Pogodin przeciwstawił mesjanizm rosyjski. „O Rossija! — wołał w jednym z memoriałów. — Ciebie, tobie sużdiono dowierszit', uwienchat' razwitije czełowieczestwa.”<sup>2</sup>

Rezultatem zrozumienia przez rząd pożytku tej idei była zgoda na otwarcie w kilku uniwersytetach katedr słowianoznawstwa oraz asygnowanie funduszków na wyjazdy młodych uczonych do krajów słowiańskich.

Ministerstwo Oświaty było doskonale poinformowane o ruchu pansławistycznym za granicą.

Jednym z pierwszych stypendystów rządu był adiunkt uniwersytetu charkowskiego Izmań Srezniewski.

Przed wyjazdem otrzymał w ministerstwie najdokładniejszą marszrutę, starannie ułożoną przez Wydział Trzeci. W owej marszrucie była też Bratysława.

Zasadnicza różnica pomiędzy słowianofilstwem ukraińskim a rosyjskim polegała na tym, że ukraińscy słowianofile uważali swój naród za odrębny od innych narodów słowiańskich, więc mający prawo do samostanego rozwoju, słowianofile zaś rosyjscy na to się nie godzili.

---

<sup>2</sup> O Rosjo! Tobie, tobie jest sądzone doprowadzić do końca, uwieńczyć rozwój ludzkości.

Organizacyjnie rzecz biorąc, słowianofilstwo ukraińskie zostało już dawno zduszone wskutek zamknięcia łóż masonskich i likwidacji grup uczestniczących w spisku pułkownika Pestela.

Ale idea słowiańska nurtowała w społeczeństwie ukraińskim aż do połowy stulecia.

## II

W końcu osiemnastego wieku aspiracje narodowe ukraińskie wyrażały się w działalności grona osób pochodzących ze sfery szlachecko-ziemiańskiej, zamieszkujących Nowogród Siewierski tudzież okoliczne powiaty. W samym mieście istniały dwie poważne placówki naukowe: Główna Szkoła Ludowa, przemianowana później na gimnazjum, oraz Seminarium Duchowne. Zdołały one skupić dokoła siebie szereg wybitnych osobistości, jak: Iwan Chałański, pedagog i uczony, Michał Markow, zbieracz i badacz starożytności czernihowskich, Andrzej Raczyński, muzyk i kompozytor, Włodzimierz Sokałski, ostatni archimandryta Siczy Zaporoskiej, Fedir Tumański, członek-korespondent Petersburskiej Akademii Nauk i Towarzystwa Naukowego w Getyndze, Archyp Chudorba, autor *Historii Ukrainy*, archimandryta Melchizedek Znaczko-Jaworski, znany z dziejów koliszczyzny, Hryhorij Poletyka, historyk, wychowanek Akademii Wileńskiej, Opanas Łobysiewicz, literat i społecznik, Andrij Pryhara, autor monografii o Nowogrodzie Siewierskim, wreszcie Warłaam Szyszacki, rektor seminarium, uczony teolog, który w roku tysiąc osiemset dwunastym chciał przy pomocy Napoleona odbudować wolną Ukrainę, za co był potem przez cara Aleksandra surowo ukarany zamknięciem w celi monasteru Spaso-Preobrażeńskiego.

Temu kołu patriotów ukraińskich, zwanych autonomistami, patronowali książę Aleksander Bezborodko, mąż stanu i mecenas sztuki, oraz jego brat Ilja, założyciel słynnego liceum w Nieżynie.

Poza samym miastem, drugi ośrodek ukraińskiego życia kulturalnego znajdował się w Ponurówce, dziedzicznym majątku słynnej arystokratycznej rodziny Mikłaszewskich.

Starszą jej generację reprezentował Michał Mikłaszewski, mąż światły i uczony, przyjaciel Archypa Chudorby i księcia Michała Repnina, rosyjski senator i ukraiński autonomista, autor projektu o odbudowie Kozaczyzny.

Młodszą reprezentowali: syn jego, Aleksander, oraz dwaj zięciowie — Aleksander von der Briggen i Michał Sudijenko. Wszyscy trzej należeli do konspiracji dekabrystowskiej.

Michał Mikłaszewski był szwagrem Ilji Bezborodki.

Właśnie w pałacu ostatniego, w Hryniowie, został znaleziony egzemplarz *Historii Rusów*, której autorstwo — mylnie, jak się potem okazało — przypisano Koniskiemu.

W pierwszym ćwierćwieczu dziewiętnastego wieku ośrodkiem akcji umysłowej ukraińskiej stała się na pewien czas Połtawa. Wysokim protektorem tej akcji był książę Michał Repnin, głównymi zaś przedstawicielami — Iwan Kotlarewski i Wasyl Łukaszewicz. Na Połtawszczyźnie rozpowszechniła się wówczas w niezliczonych odpisach *Historia Rusów*.

Nowe pokolenie inteligencji ukraińskiej, związane po części z ruchem spiskowym rosyjskim, hołdowało już ideom bardziej liberalnym niż stara generacja autonomistów nowogrodzko-siewierskich. Wkrótce ośro-



kiem budzącej się do nowego życia kultury ukraińskiej stał się z kolei Charków.

Na życie umysłowe całego kraju dobroczynny wpływ wywierał nowo założony, pierwszy na ziemiach ukraińskich, uniwersytet. Na czwarte i piąte dziesięciolecie przypada rozkwit tej wszechnicy.

Oprócz Hułaka-Artemowskiego wykładali w niej tacy wybitni profesorowie, jak Michał Łunin, historyk, Izmań Srezniewski, badacz folkloru, oraz Ambroży Metliński, pisarz i historyk literatury. Chlubnie w dziejach uniwersytetu zapisali się wtedy polscy uczeni — Alfons Walicki, profesor literatury greckiej, Aleksander Mickiewicz, profesor prawa rzymskiego, przeniesiony tu z Kijowa, i Antoni Szahin, dawny astronom wileński.

Ponieważ w Charkowie, liczącym podówczas około czterdziestu tysięcy mieszkańców, przewagę mieli Polacy, nie przeto dziwnego, że i w uniwersytecie na ogólną liczbę około pięciuset słuchaczy połowę stanowili studenci narodowości polskiej. Języka polskiego uczono się tam na równi z francuskim i niemieckim.

Srezniewski był uczniem Daniłowicza i jemu zawdzięczał zamiłowanie do studiów nad dziejami Ukrainy. Chociaż Rosjanin z pochodzenia, oddał kulturze ukraińskiej niepospolite usługi, przede wszystkim jako wydawca zbioru małoruskich pieśni epicznych pod nazwą *Zaporożskaja starina*.

Oprócz wymienionych działał w Charkowie, również Rosjanin, ale związany z ruchem kulturalnym ukraińskim, Iwan Becki, który w roku tysiąc osiemset czterdziestym trzecim i czterdziestym czwartym wydał cztery zeszyty almanachu *Mołodyk*. W drugim zeszycie opublikował utwory Szewczenki, Metlińskiego i Kostomarowa.

Mikołaj Kostomarow, z ojca Rosjanin, a z matki Ukrainiec, był tylko o trzy lata młodszy od Szewczenki, ale wychowywał się w warunkach bez porównania łatwiejszych.

W roku tysiąc osiemset trzydziestym czwartym Kostomarow wstąpił na uniwersytet w Charkowie. Od jesieni następnego roku zamieszkał na stacji u Hułaka-Artemowskiego, który był wtedy profesorem historii Rosji.

Artemowski zajmował na peryferiach miasta drewniany parterowy domek, zwrócony frontem do ulicy, która wychodziła na pole. W pobliżu znajdował się stary cmentarz z małą cerkiewką. Studenci mieszkali w dwóch oficynkach. Nauczycielem domowym dzieci gospodarza był sam Ambroży Metliński.

Artemowski opowiadał swojemu uczniowi o bytności Mickiewicza przed laty dziesięciu. Opowiadał o Mikołaju Sawiczu.

Sawicz już dawno ukończył studia, odbył służbę w wojsku, odziedziczył majątek po ojcu i wybrał się nad Sekwanę.

Pod wpływem atmosfery, jaka panowała w uniwersytecie, i dzięki obcowaniu z Artemowskim i Metlińskim zajął się Kostomarow etnografią i historią Ukrainy. Pod wpływem zaś Łunina, świetnego reprezentanta szkoły artystów-historyków, rozmiłował się w dziejopisarstwie.

Od Srezniewskiego przejął kult Słowiańszczyzny i wiedzę o naukowym dorobku słowianofilów, zwłaszcza czeskich.

Lektura *Historii Rusów* oraz pieśni małopolskich wydanych przez Maksymowicza i Srezniewskiego, sprawiła, że Kostomarow poczuł się Ukraińcem. Wkrótce

nauczył się mówić po ukraińsku i zaczął nawet pisać w tym języku wiersze i dramaty.

Zainteresowania naukowe i literackie skłoniły Kostomarowa do studiowania również innych języków. Opanował polski, czeski, niemiecki i francuski.

Po otrzymaniu stopnia magistra Kostomarow osiedlił się jako nauczyciel gimnazjum w Równem, a jednocześnie przedsięwziął kroki o mianowanie go adiunktem historii w Uniwersytecie Kijowskim.

W czerwcu tysiąc osiemset czterdziestego piątego roku udał się do Kijowa, gdzie równocześnie przybyła jego matka po załatwieniu spraw spadkowych wynikłych ze śmierci męża.

W Kijowie Kostomarow z początku zamieszkał z Opanasem Markowiczem, wielkim miłośnikiem ukraińskiej mowy i etnografii. Zbliżył się też z Pantelejmonem Kuliszem i serdecznie zaprzyjaźnił z Mikołajem Hułakiem, kandydatem Uniwersytetu Dorpackiego.

Stopniowo zgrupowało się przy nim kółko młodzieży ukraińskiej, zajmującej się gorąco historią rodzinnego kraju, życiem i twórczością ludu.

Mikołaj Hułak, syn ziemianina połtawskiego, ze studiów w Dorpacie wywiózł gruntowną znajomość filozofii i paru obcych języków, polskiego i niemieckiego. W Uniwersytecie Dorpackim kolegował z wieloma Polakami, którzy, jak prawie wszyscy ówcześni studenci polscy, w tym czy innym stopniu należeli do spisków patriotycznych. Szczególnie cenna była dla Hułaka przyjaźń z młodym poetą, Edwardem Żeligowskim, który choć sam szlachcic z pochodzenia, wyznawał radykalne idee społeczne i występował w obronie chłopów.

Po wyjeździe z Dorpatu przybył Hułak do Kijowa i tu w roku tysiąc osiemset czterdziestym czwartym wstąpił na służbę do kancelarii kijowskiego generał-gubernatora Bibikowa.

Zbliżywszy się z Kostomarowem zapłonął entuzjazmem do słowianofilstwa. Nawiązał stosunki listowne z Wacławem Hanką.

Hułak odznaczał się powagą, prawością charakteru i rozsądkiem. Przejęty duchem polskich tajnych stowarzyszeń z ich rewolucyjną taktyką, marzył o stworzeniu podobnej organizacji ukraińskiej.

Podniechę do dalszego pogłębiania wiedzy i uczuć patriotycznych znalazł w przyjaźni z kilku młodymi entuzjastami, jak Aleksander Nawrocki, poeta, Wasyl Biłoczerski, student filologii, i wspomniany już Opanas Markowicz.

Do tego grona wszedł również Pantelejmon Kulisz.

Wyobrażając sobie, że w Petersburgu łatwiej znajdzie środki na wydawanie druków ukraińskich, rozpoczął Kulisz starania o przeniesienie się nad Nową.

Idąc za radą Michała Grabowskiego, posłał kilka rozdziałów swojej powieści *Czarna rada* do rąk Pletniewa, rektora uniwersytetu. Pletniew, któremu się ten utwór spodobał, wystarał się Kuliszowi o posadę nauczyciela w Piątym Gimnazjum Petersburskim. Jednocześnie Kulisz został mianowany lektorem języka rosyjskiego w uniwersytecie.

Grabowski gorąco rekomendował Kulisza swoim przyjaciółom w Petersburgu: Przeławskiemu, Rzewuskiemu i Hołowińskiemu.

Po śmierci sławisty Preissa otrzymał Kulisz z uniwersytetu stypendium na studia zagraniczne, aby móc potem objąć katedrę sławistyki.

Przed wyjazdem za granicę udał się do krewnych do Woroneża, a następnie do Motronówki, majątku Biłozerskich, gdzie zaręczył się z siostrą Wasyla, Hanną.

Zatrzymał się też na pewien czas w Kijowie, gdzie odnowił przyjaźń i współpracę z kołem patriotów ukraińskich.

Oprócz dawnych uczestników koła spotkali tam jeszcze dwóch, którzy go zaintrygowali, chociaż budzili w nim też pewien niepokój z uwagi na swoje poglądy polityczne. Jednym z nich był Jurij Andruski, syn majora, student uniwersytetu, pisujący wiersze w języku ukraińskim, autor rozprawki pod tytułem *Ideał państwa*, w której wypowiedział szereg liberalnych myśli na tematy społeczne oraz zadeklarował się jako wróg Polaków. Drugim był przyjaciel Andruskiego, również student, Iwan Posiada, który pochodził ze wsi, toteż wyznawał zasady szczerze demokratyczne, republikańskie, i nienawidził szlachty.

Całe to grono osób znało już Tarasa Szewczenkę i podziwiała jego utwory. Andruski nawet napisał wiersz, w którym sławił Szewczenkę:

Skaży meni, bat'ku,  
Szczodijet'sia z namy —  
Jak na tebe hlanem,  
Mow ne tiji stanem;  
Jasnymy oczyma  
Dywymos', i serciu  
Wiryt'sia w sud'bynu:  
I nam dast'sia dola,  
Kolyś sława, wola  
Nawida Wkrajinu.<sup>1</sup>

---

<sup>1</sup> Powiedz mi, ojczy, || Co się dzieje z nami — || Gdy na ciebie spojrzemy, || Inni się stajemy; || Jasnymi oczami || Patrzymy i serce nasze || Wierzy w lepszy los: || Że i my będziemy kiedyś szczęśliwi, || Że sława i wolność || Zawitają znów na Ukrainę.

Poza tym wszyscy często deklamowali wiersze z *Kobzarza*. Całą tę książeczkę umieli na pamięć.

Aleksander Nawrocki był przyrodnim bratem Hulała i serdecznym przyjacielem Markowicza. Obaj zapisali się jednocześnie na wydział filozoficzny.

Kulisz najbliżej obcował z Wasylem Biłozerskim i Dymitrem Pilczykowem, również studentami filozofii. Biłozerski pod wpływem Kulisza porzucił studia prawnicze, a zajął się historią i literaturą.

Kostomarow poznał Kulisza w Kijowie, kiedy zatrzymał się w tym mieście jadąc na posadę do Równego. Po przybyciu stamtąd do Kijowa zamieszkał u Markowicza. Przez Kulisza i Markowicza poznał wszystkich innych członków patriotycznego kółka ukraińskiego.

Niektórzy z nich, zwłaszcza studiujący filozofię, cieszyli się względami i poparciem Stefana Zienowicza, sędziwego dziekana wydziału filozoficznego.

Zienowicz przyjaźnił się z Konstantym Świdzińskim i na jego salony wprowadził nie tylko rektora uniwersytetu, Michała Maksymowicza, ale i liczny zastęp młodzieży uniwersyteckiej, zarówno polskiej, jak i ukraińskiej.

Pomiędzy przedstawicielami obydwóch narodowości na gruncie kijowskim istniała wówczas duża sympatia. Do tej wzajemnej sympatii niewątpliwie przyczyniły się kaprańskie rządy Bibikowa, który z jednakową zaciętością prześladował Polaków i Ukraińców.

Cechą szczególną towarzystwa, które się zbierało u Świdzińskiego, była niesłychana różnorodność. Towa-

rzystwo to tworzyło listną mozaikę pod względem płci, wieku, kondycji społecznej i narodowości.

Płeć piękną reprezentowały damy z najwyższej sfery ziemiańskiej, dysponującej majątkami w okolicach Kijowa i mieszkaniami lub nawet całymi domami w arystokratycznych Lipkach. Gwiazdami towarzystwa były niewątpliwie panie Ewelina Hańska i Dionizja Poniatowska.

Pani Dionizja w jesieni tysiąc osiemset czterdziestego trzeciego roku wróciła z zagranicy. Mieszkała w Tahańczy, ale w okresie kontraktów często bywała w Kijowie.

W dwa lata później zmarł ojciec jej męża, stary pułkownik Poniatowski. Pani Dionizja pisała do siostry swojej, Konstancji Rzewuskiej: „Rzecz to niewypowiedziana i rzadko widziana, jak wieśniacy i ubodzy płaczą za nim... Co to za ilość drobnej szlachty, którą on, w całym znaczeniu tego słowa osierocił. A biedni chłopcy? Wszak to przez sześćdziesiąt lat innych ludzi z nich porobił... Tak, Kiciu, jak sama widzisz, ani podobna Tahańcza do reszty Ukrainy. Dostatek, jakiego ani widać nigdzie, i wyższe nierównie rozwinięcie umysłowe”.

Będąc jeszcze w Paryżu, pani Dionizja zetknęła się z towiańczykami. Nauka Andrzeja Towiańskiego znalazła w niej zaciętego wroga. W samym „mistrzu” widziała przede wszystkim apologetę caryzmu, co w jej oczach stanowiło śmiertelny grzech.

Wiele natomiast przejęła z poglądów naukowych pewnego młodego historyka i antropologa polskiego. Był to eks-konarszczyk, kijowianin, Franciszek Duchński, który prawie jednocześnie z panią Dionizją przyjechał do rodzinnego miasta i przebywał tu na

stopie nielegalnej. Pod jego wpływem wzięła się do pisania artykułów historycznych i publicystycznych o Rosji i Rusi, o polityce carów, o unii i o słowiańszczyźnie. Artykuły te umieszczała anonimowo w „Przeglądzie Poznańskim”. Przystąpiła też do pisania w języku francuskim rozprawy, której nadała tytuł: *Luttes des Peuples Lechites contre les Ouraliens*.

Kostomarowa wprowadził do salonów Konstantego Świdzińskiego pewien młody ziemianin polski spod Berdyczowa, były uczeń Wszechnicy Kijowskiej, Leonard Bośniacki, który dzierżawił połowę wsi Bryckie.

Drugą połowę tejże wsi dzierżawił adwokat z pobliskiej Machnówki, Jan Waśniewski, żonaty z Ewelina Antonowiczówną, którą poznał u swojego kolegi, również adwokata, Józefa Górskiego.

Atmosfera tam była prawdziwie polska. Bośniacki i Wiśniewski nadawali jej podniosły ton patriotyczny. Zapłacili za to później latami więzień i zsyłki.

Na początku piątego dziesięciolecia Józef Górski przyjął do siebie na mieszkanie siostrę swoją Monikę, która właśnie owdowiała, mając dwoje dzieci, córkę Ewelina i syna Włodzimierza.

Syn uczył się w Odessie. Na wakacje przyjeżdżał do matki. Jednego lata poznał się ze starszym o trzy lata uczniem Gimnazjum Żytomierskiego, Leonardem Sowińskim. Chłopców złączyła miłość do poezji. Najchętniej czytawali wiersze Mickiewicza i Szewczenki.

Na ulicach Machnówki widywali często mężczyznę, niestarego jeszcze, ale mającego wygląd sędziwy i do- stojny. Mówiono o nim, że to sławny ongiś poeta. Na jego twarzy malowała się nieustannie jakaś niezwykła



melancholia. Nie był wcale pochopny do zawierania znajomości i mało ludzi mogło się poszczycić jego przyjaźnią i zaufaniem.

Album jednej z mieszkańek Machnówki zawierał krótki wiersz poety — może ostatni z jego utworów — zatytułowany *Do M\*\*\**:

Minął rok, za nim drugi — przechodzą boleśnie,  
Niech nam Bóg nie da więcej ni cierpieć, ni żądać,  
Tylko żyć z sobą wiecznie, z sobą się oglądać  
W niebiosach, dziejach i we śnie!...

Zapomniany przez Boga i ludzi poeta nazywał się Tomasz Padurra.

W tym samym mniej więcej czasie w Niemirowie na Podolu uczniowie tamtejszego gimnazjum, pod wpływem paru kolegów przybyłych z Kijowa, założyli tajne stowarzyszenie, które nazwali Zakonem Templariuszy.

Głównym zajęciem konspiratorów było czytanie różnych legalnych i nielegalnych wierszy — Słowackiego, Mickiewicza, Malczewskiego i Zaleskiego. Szczególną wziętością cieszyły się w tym gronie utwory Tarasa Szewczenki, które krążyły z rąk do rąk, wciąż na nowo przepisywane.

Stowarzyszenie zostało wykryte. Jednym z głównych prowodyrów okazał się syn niezamożnego szlachcica, oficera byłych wojsk polskich, Zygmunt Miłkowski.

Chłopiec z lat dziecięcych pamiętał legendarnego Emira Tadz-ul-Fehra, którego posiadłości sąsiadowały z dworkiem Miłkowskich. Ojciec Zygmunta często się zjeżdżał z Wacławem Rzewuskim.

W tym samym czasie, kiedy Dionizja Poniatowska wracała z Paryża do Tahańczy, rodzice wysłali Zygmunta Miłkowskiego na naukę do liceum w Odessie.

Mieszkało tam dużo Polaków. Sporo ich też chodziło do liceum. W mieście łatwo było o książki i czasopisma polskie wydawane za granicą. Kolportażem ich zajmowali się subiekci prawie wszystkich księgarni odeskich.

Zygmunt przeczytał książkę, która na nim sprawiła głębokie wrażenie: *O prawdach żywotnych narodu polskiego*. Drugą, nie mniej wstrząsającą lekturą okazał się dla Zygmunta poemat Szewczenki pod tytułem *Kaukaz*.

Przed samym przyjazdem Zygmunta bawił w Odesie na kąpielach morskich głośny już podówczas powieściopisarz Józef Ignacy Kraszewski. Jego dzieła tchnęły sympatią do ludu ukraińskiego. Miłkowski pod ich wpływem zaczął snuć projekty o rozwiązaniu sprawy chłopskiej na zasadach sprawiedliwości i humanitaryzmu.

Spodobał mu się również, chociaż z innych nieco względów, autor bazarza ukraińskiego pod tytułem *Piwkopy kazok*, Spirydion Ostaszewski. Poznał się z nim Zygmunt podczas wakacji w Krasnopółce, nowej dzierzawie ojcowskiej. I marsowa postać Ostaszewskiego, i jego gawędy wprowadzały chłopca w atmosferę powstania listopadowego.

Życie umysłowe polskie i ukraińskie splatało się, tworzyło jakby jeden nurt. Polacy byli żywiołem kulturalnie i gospodarczo silniejszym, nadawali więc ton owemu życiu. Jednocześnie wyrastały już i potężniały dążenia czysto ukraińskie. Zwłaszcza w Kijowie, gdzie wytworzyło się duże środowisko rodzimej inteligencji, ambitnej i utalentowanej.

W piątym dziesięcioleciu Kijów zaczął stawać się nowym, silnym ośrodkiem kultury ukraińskiej, promieniującym na cały kraj.

I tu się ostatecznie dokonało ukraińskie risorgimento. Związane jest ono z trzema głośnymi nazwiskami: Kulisza, Kostomarowa i Szewczenki.

Rolę decydującą, epokową odegrał w nim jednak tylko Szewczenko.

W kółku patriotów skupiających się wokół Kostomarowa dojrzewała myśl o rozwinięciu jakiejś akcji, która mogłaby przynieść narodowi ukraińskiemu ulgę w jego niewolniczej egzystencji.

Jako jeden z pierwszych program takiej akcji opracował Wasyl Biłozerski, który sprawę narodową ukraińską skojarzył z ideą chrześcijańską i słowiańską.

Biłozerski wyszedł z założenia, że wiek dziewiętnasty ujawnia wszędzie, jak to określano, tendencję ku narodowości.

Naród ukraiński powinien przeto również, opierając się na zasadach nauki Chrystusa, dążyć do wolności i rozwoju właściwych sobie cech w braterskiej zgodzie z innymi narodami.

Biłozerski zdawał sobie sprawę, że odbudowa niezależnej Ukrainy w ówczesnych warunkach była niemożliwa. Jedynym, jak sądził, sposobem zapewnienia jej swobodnego rozwoju było przeto zjednoczenie plemion słowiańskich w jedną rodzinę przy zachowaniu największej wolności każdego z nich.

Po przyjeździe i osiedleniu się w Kijowie Kostomarowa patrioci ukraińscy wzmogli swoją działalność; w młodym bowiem adiunkcie historii zyskali nie lada sprzymierzeńca. Zwłaszcza jeśli chodzi o ugruntowanie idei wszechsłowiańskiej, Kostomarow, dzięki swojej wiedzy w tym zakresie, okazał się wprost nieoceniony i niebawem naszkicował o wiele dokładniejszy, choć również niezbyt realny, plan federacji Słowian

w nieokreślonej przyszłości, na zasadzie zupełnej autonomii wszystkich członków.

Pograżony od dzieciństwa w nastrojach religijnych, Kostomarov plan ten opierał tak samo na chrześcijańskich zasadach moralnych. Do urzeczywistnienia go polecał unikać środków gwałtownych, a gdy zajdzie potrzeba radził „przeciwko gwałtowi użyć siły myśli”. Nie wyjaśnił jednak sposobu, w jaki stać się to mogło.

W każdym razie chciał ustanowić wolność wyznaniową, znieść poddaństwo, skasować wszelkie przywileje stanowe i zaprowadzić obowiązkowe nauczanie powszechne. Cała federacja miała się dzielić na stany, z własnymi sejmami, które wyłaniałyby jeden wspólny sejm generalny z siedzibą w Kijowie.

Zwracał uwagę punkt, który głosił, że w celu utworzenie federacji, narody słowiańskie powinny „połączyć się z Rosją”, „primknut' k Rossii”.

Co do wspólnego całej federacji języka, Kostomarov proponował „język wielkorosyjski”, jako najwięcej używany.

Była to oczywista utopia, nawet nie tyle polityczna, ile książkowa. Ale utopie były podówczas w modzie.

W poglądach Kostomarowa zasady konstytucyjne zachodnioeuropejskie mieszały się z jakimś dziwnym patriotyzmem: półukraińskim, półrosyjskim.

W salonach Świdzińskiego wszyscy podziwiali inteligencję, a zwłaszcza erudycję Kostomarowa, ale też wkrótce dostrzegli dwoistość i chwiejność jego natury. Ktoś nawet stwierdził dowcipnie, że siedzi w nim dwóch ludzi: Europejczyk i Azjata.

Niebawem w kole patriotów ukraińskich zjawiał się słynny już autor *Kobzarza*, Taras Szewczenko, który po

ukończeniu Akademii Sztuk Pięknych wyjechał na Ukrainę.

Bohdan Zaleski korespondował ze swoim siostrzeńcem, Ludwikiem Jankowskim, studiującym w Berlinie. Jankowski pochodził z Ukrainy, często tam jeździł i zasilał wuja wiadomościami o jego kraju lat dziecińczych.

Od siostrzeńca dowiedział się Zaleski o nowym ukraińskim ruchu umysłowym i od niego pierwszego dowiedział się o Szewczence.

W jednym z listów tak się wyraził: „Ruch i zapal literacki, o jakich mi pisałeś, prace i podróże Szewczenki i tym podobne cieszą mnie i pobudzają do współdziałania”.

W Kijowie wiele osób czytało już poemat *Przenajświętsza Rodzina*, w którym było oryginalne zestawienie tła ukraińskiego z epizodami młodości Chrystusa.

### III

Koniec zimy tysiąc osiemset czterdziestego piątego roku obfitował w opady śnieżne. Potem nagle zaczęła się wiosna, spóźniona i gwałtowna. Na początku kwietnia drogi były tak porozmywane, że powóz, którym jechał Szewczenko, nieraz zanurzał się po osie w brudnej, lodowatej wodzie.

Między Tułą i Orłem woźnica zatrzymał się w pewnej wiosce, gdzie miał rodzinę.

Chata, przed którą stanęli, nie miała komina; przez drzwi, otwarte na oścież, buchały kłęby dymu.

Była wczesna godzina przedranna. Szewczenko wszedł za woźnicą do chaty, ale nie mógł w niej dłu-

go wytrzymać: kopeć od łuczywa niemilosiernie gryzł oczy. Naprzeciw drzwi, u łuczywa, siedziały trzy czy cztery kobiety i przędły. Na piecu baraszkowały dzieci. Na lewo, na słomie, leżał chory brat woźnicy, bez przytomności i bez mowy. Nikt na niego nie zwracał uwagi. Młoda żona w milczeniu krzątała się przy kominie.

Przyszły sąsiadki. Opowiadały nowości. Trzy dziewczyny niedawno wyszły za mąż. Ojcowie wzięli za nie po sto rubli, z czego połowę musieli oddać panu za pozwolenia na ślub. Ostatnie dwa lata były nieurodzajne, zboże podrożało, cena na dziewczyny spadła.

Woźnica pożegnał się i wyszedł, nie zapytawszy nawet o zdrowie chorego.

Ten straszny obrazek wiejski, to skamienienie uczuć wstrząsnęło Szewczenką.

Dalszą drogę odbywali w warunkach jeszcze cięższych, gdyż Szewczenko zabrakło pieniędzy. Musiał sprzedać niektóre rzeczy.

W połowie kwietnia stanął we wsi Mariańskie pod Mirgorodem. Tamtejszy właściciel ziemski, Aleksander Łukianowicz, zamówił u niego portrety wszystkich członków rodziny.

W Mariańskim Szewczenko przebywał dość długo, kilku nawrotami. Znając obyczaje pomieszczyków, umiał się odgradzić od „państwa”, zamieszkał w oficynie i stosunki z dworem ograniczył do spełniania malarzskich obowiązków oraz do wypożyczania książek z osobnej biblioteki dworskiej.

Za to ze służbą folwarczną i wieśniakami obcował często i chętnie. Rozmawiał z nimi i czytał im swoje wiersze. Po pewnym czasie prawie wszystkich znał już z imienia.

Po wyjeździe Szewczenki pomieszczyk z niezadowoleniem stwierdził, że jego poddani zhardzieli. Jeden od-

ważył się kiedyś nazwać go katem. Został, oczywiście, wybatożony i oddany do wojska.

Po pierwszej bytności w Mariańskim udał się Szewczenko w podróż po Połtawszczyźnie. Przez Bahaczkę, Białocerkiewkę i Reszetyłówkę dotarł do Połtawy.

Woził z sobą przybory malarskie. Rysował i malował, głównie akwarelą, co ciekawsze widoki i zabytki. Pierwotny pomysł zbierania materiałów do kilku dalszych serii *Malowniczej Ukrainy* rozrósł się do rozmiarów wielkiego dzieła: Szewczenko zapragnął uwiecznić na papierze wszystko, co dotyczyło dziejów ojczystych odzwierciedlonych w architekturze.

Obudził się w nim ukraiński Piranesi.

Kiedy wkrótce potem znalazł się w Kijowie i poznał z członkami kijowskiej Komisji Archeograficznej, Świdzińskim, Józefowiczem i Iwaniszewem, z radością przystał na ich propozycję, aby nadal jeździć po Ukrainie i szkicować pamiątki historyczne. Nie czekając, aż dostanie formalną nominację na pracownika komisji, puścił się w drogę.

Nie zaniedbywał dawnych dobrych znajomych i w czasie wędrówek, gdy tylko mógł, zbaczał bądź do Jahotyń, bądź do Brzozowej Rudki.

Księżniczka Warwara nadal okazywała mu niezwykle dużo serdeczności, prowadziła rozprzedaż egzemplarzy *Malowniczej Ukrainy*, troszczyła się o zdrowie poety.

Zakrzewscy traktowali go jak członka rodziny. Z Hanną jednak unikał rozmowy; bał się, że z jego słów przebiję uczucie, głęboko ukryte w sercu.

Wiktor Zakrzewski wręczył mu zbiór jego wierszy przepisanych łacińskimi literami i ilustrowanych przez Jakuba de Balmain oraz Michała Baszyłowa.

Prócz Połtawy zwiedził Szewczenko Łubny, Pyriatyn, Krzemieńczuk, Pryłuki, monaster Hustyński, szereg miejscowości nad rzeką Orel, Mirgorod, Soroczyńce, Horodyszczce i Perejasław. Był też w Romnach na tradycyjnym jarmarku świętego Illi. Tam w roli Czupruna zobaczył słynnego aktora ukraińskiego, Karpa Sołenyka, i zachwycił się nim jeszcze bardziej niżli Szczepkinem.

Podczas wędrówek często przebywał również w majątkach różnych właścicieli ziemskich, którzy skwapliwie zapraszali do siebie sławnego poetę i malarza, mimo iż ten do niedawna nosił chłopską siermięgę.

Szewczenko jeździł do nich, gdyż zamawiali u niego portrety, co dawało mu środki utrzymania i pozwalało na coraz to nowe podróże, których wciąż był niesyt, tak jak był niesyt widoków swojej ukraińskiej ojczyzny i rozmów z rodakami.

Jeśli chodzi o rodaków, interesowali go wszyscy — i biedni, i bogaci. Jedni i drudzy razem tworzyli tę wielką gromadę, która niosła w sobie przyszłość kraju.

Czuł się bratem ich wszystkich; musiał być sędzią; chciał zostać ich przewodnikiem.

Pewnego razu zawędrowawszy na Łubieńszczyznę wstąpił Szewczenko do dworku w Iskówcach. Afanasjew-Czuźbiński wrócił właśnie z podróży na Kaukaz. Majestatycznie piękna przyroda Kaukazu wywarła na nim wielkie wrażenie. Ale na tle tej pięknej przyrody codziennie ginęli ludzie. Czuźbiński na każdym kroku spotykał Polaków i Ukraińców, którzy w mundurach carskich żołnierzy walczyli z góralami kaukaskimi, broniącymi swojej wolności.

Gdziekolwiek natrafił na najmniejsze bodaj kółko



ukraińskie, wszędzie widział zniszczone, postrzępione egzemplarze *Hajdamaków* i *Kobzarza*. Rzecz wprost nie do wiary, jak się te książki rozchodziły po świecie i z jakim przejęciem były czytane!!

W Taganrogu poznał się Czuzbiński z poetą polskim, Tadeuszem Ładą Zabłockim, i z niemieckim pisarzem, Fryderykiem von Bodenstedtem.

Zabłocki był entuzjastą poezji ukraińskiej. Bodenstedtowi pomagał ułożyć niemiecką antologię wierszy ukraińskich *Die poetische Ukraina*.

Bodenstedt, podróżując dobre kilka lat po Kaukazie, zebrał obfity i ciekawy materiał do książki, którą miał niebawem wydać pod tytułem: *Die Völker des Kaukasus und ihre Freiheitskämpfe gegen die Russen*.

Czuzbiński opowiadał Szewczenko o zesłanych przed kilku laty studentach kijowskich, Polakach — Winnickim, Pietraszkiewicz i Strzelnickim — którzy razem z Zabłockim tworzyli tak zwaną grupę kaukaską. Winnicki już nie żył. Strzelnicki i Zabłocki próżno starali się o złagodzenie kary. Zresztą dni ich były policzone: obaj mieli zrujnowane zdrowie. Tylko Pietraszkiewiczowi dopisało szczęście: wrócił do Kijowa i ponownie zapisał się na uniwersytet.

Czuzbiński przywiózł również Szewczenko wiadomość o wspólnym przyjacielu: Jakub de Balmain poległ w bitwie z Czerkiesami.

W lecie Szewczenko zajrzał znowu do Kijowa, otrzymał nowe zlecenie od Komisji Archeograficznej i zopatrzony w odpowiednie dokumenty tudzież pieniądze, ruszył w nową podróż.

We wrześniu znalazł się w Kiryłówce.

Trafił na święto parafialne. Tytar, czyli zakrystian miejscowej cerkwi, Hnat Bondarenko, dawny kolega

Tarasa ze szkoły diaka Bohorskiego, urządził u siebie przyjęcie.

Dzień był ciepły, słoneczny. Wszyscy siedzieli w ogródku pod jabłonią i popijali miód. I to jaki miód! Gospodarz słyszał z umiejętności wyrabiania trunków.

Przyszedł stary, ślepy lirnik. Taras do niego: — Spiwaj dumy! Spiwaj pisni! — Lirnik dum nie znał, ale zagrał kozaka. Taras namówił kilka młodych dziewczyn i dalejże z nimi w tany.

Szewczenko cenił w kobiecie urodę, wdzięk i temperament. Kobieta, jego zdaniem, powinna mieć w sobie ogień — „szczob pid neju zemla horila na try sazni”.

Fedosja Koszycówna, którą znówu zobaczył po dwóch latach, wydała mu się żywym wcieleniem wszystkich cenionych przez niego zalet. Wyrosła, wypiękniała.

Po raz pierwszy, mając już jako tako zapewniony byt, odczuł pragnienie trwalszego związania się z tą ziemią, która była dla niego wszystkim na świecie. Po tej ziemi on kiedyś chodził „drobnymi nogami”, chodziła Oksana...

Szewczenko umiał się zdobyć na szybką decyzję. Poszedł do ojca Koszyca i poprosił o rękę Fedosji.

Dziewczynie przypadł do serca młody poeta, który tak ładnie umiał mówić i śpiewać, i tańczyć. Rodzice nie chcieli jednak nawet słyszeć, aby ich córka wyszła za mąż za „służącego”. W ich oczach Szewczenko, mimo świetnych zmian, jakie zaszły w jego życiu, został na zawsze „kripakiem” i „popychaczem”.

Ciężkie to było przejście dla Szewczenki, ale jeszcze cięższe dla Fedosji.

W Romnach poznał się Taras z pewnym obywatelem ziemskim, Arkadiuszem Rodzianką, który go zaprosił do swojego majątku Wesoły Padół. Rodzianko

ongis przyjaźnił się z Puszkinem i w wolnym chwilach pisywał wierszyki ukraińskie. Tarasa też skłonny był uważać za kolegę po piórze. Kiedy jednak Szewczenko przeczytał te wierszyki i przekonał się, że jest to najzwyczajniejsza pornografia, nabrał do Rodzianki wstrętu.

A kiedy raz zobaczył scenę bicia któregoś z czeladzi, wyjechał nagle, w nocy i bez pożegnania, zapominając nawet zabrać swoich rękopisów.

Z pobytu w Wesołym Padole wyniósł jedną niezaprzeczoną korzyść: poznał się tam z kompozytorem czeskim, Alojzym Jedliczką, który zbierał i układał na fortepian ukraińskie pieśni ludowe. Jedliczka znał osobiście Hankę i Szafarzyka. Opowiadał Szewczenko o Czechach, o wojnach husyckich i ruchu słowiańskim.

Ten nagły nocny wyjazd w jesienną niepogodę Szewczenko przypłacił zdrowiem. Przeziębził się i pewien czas przeleżał w Mirgorodzie. Kilkakrotnie jednak wyjeżdżał do Marianańskiego, żeby tam wykończyć zamówione portrety. Chciał się pozbyć tej pracy. Był też w Perejasławiu u swojego dawnego znajomego z Petersburga, doktora Kozackowskiego.

Mimo choroby, przeżywał okres wielkiego napięcia twórczego. Nie mogąc malować, pisał. Stworzył w tym czasie kilka dużych poematów: *Heretyk*, *Ślepiec*, *Najemca* i *Kaukaz* tudzież misterium *Wielki loch*.

*Heretyk* był hymnem na cześć Jana Husa, wielkiego patrioty czeskiego i proroka sprawiedliwości społecznej.

Szewczenko szukał w historii przykładów bohaterstwa i poświęcenia, którymi chciał natchnąć rodaków. Snując opowieść o dawnych wydarzeniach w dalekim

kraju słowiańskim, miał przed oczyma współczesną mu rzeczywistość ukraińską. Słowa, które włożył w usta Husa, modlącego się w celi:

Kruhom neprawda i newola,  
Narod zamuczenyj mowczyt'.<sup>1</sup>

mogły również dobrze określać położenie Ukrainy, a inne słowa:

...Błahosłowy  
Na mest' i na muky,  
Błahosłowy moji, Boże,  
Netwerdiji ruky!<sup>2</sup>

mogły być wypowiedziane przez każdego ukraińskiego patriotę-rewolucjonistę.

*Heretyk* sławił walkę z despotyzmem; nie też dziwnego, że zawierał akcenty antypapieskie. Nie chodziło Szewczence zresztą o atakowanie katolicyzmu. Poeta występował przeciwko wszelkiej hierarchii, nie wyłączając prawosławnej. W duchowieństwie widział ostoję rządów ciemieżycielskich, w każdej epoce dziejów, na całym świecie. Niewątpliwie różnił się pod tym względem zarówno od Mazziniego, jak i od Mickiewicza: obaj oni podówczas jeszcze skłonni byli w Piusie Dziewiątym widzieć gwiazdę, która poprowadzi ludy do wolności.

Do swojego poematu dodał później Szewczenko wierszowaną dedykację dla Szafarzyka i posłał całość do Moskwy na ręce Bodiańskiego. Ten zaś wkrótce przekazał cenny dar poety adresatowi, mieszkającemu w grodzie nad Wełtawą.

---

<sup>1</sup> Wkoło nieprawda i niewola || Naród umęczony milczy.

<sup>2</sup> ...Błogosław || Na zemstę i na męki, || Błogosław, Boże, moje || Niesilne ręce!

Pod wrażeniem tragicznej wieści, którą mu przywiózł Czuzbiński, napisał Szewczenko poemat *Kaukaz* i poświęcił go „serdecznemu Jakubowi de Balmain”:

I tebe zahnały, mij druże jedyny,  
Mij Jakowe dobryj! Ne za Ukrajinu,  
A za jiji kata doweloś prołyť  
Krow dobru, ne czornu. Doweloś zapyť  
Z moskowskoji czaszi moskowsku otrutu!<sup>3</sup>

Kaukaz, na którym ongiś cierpiał przykutý do skały Prometeusz, wydał się Szewczenko legendarną krajiną bohaterów. Był nią istotnie. Górale toczyli nierówną a mężną walkę z caratem. I oto Szewczenko w usta zdobywców kładzie taką pełną bolesnego sarkazmu przemowę do górali:

Jakby wy z namy podružyli,  
Bahato b deczomu nawczyłyś!  
U nas że j swita, jak na te —  
Odna Sybir neischodyma,  
A tiurm! a ludu!... Szczo j liczyť!  
Od mołdawany na do finna  
Na wsich jazykach wse mowczyť,  
Bo blahodenstwuje!<sup>4</sup>

*Heretyk* i *Kaukaz* były to wspaniałe etiudy rewolucyjne. Były to ukraińskie ody do wolności. Dźwięczały w nich jednak nuty zwycięstwa, nie klęski. Hus zginął na stosie, ale nad jego prochami „staryj Żyzka z Tało-

---

<sup>3</sup> I ciebie zapędzono, mój przyjacielu jedyny, || Mój dobry Jakubie! Nie za Ukrainę. || Lecz za jej kata wypadło ci przełać || Krew dobrą, nie czarną. Wypadło ci wypić || Z moskiewskiej czary moskiewską truciznę!

<sup>4</sup> Gdybyście zaprzyjaźnili się z nami, || Wiele byście się nauczyli! || Mamy po temu wielki szmat ziemi — || Sama choćby Syberia niezmiernona, || A więzień! a ludzi!... Bez liku! || Od Mołdawianina do Finna || We wszystkich językach wszystko milczy, || Bo żyje w pomyślności!

rowa machnuw buławoju”. Gnębionym przez carat góralom kaukaskim rzucił poeta słowa otuchy i wiary: „Boritesia — poborete”, „Walczcie a zwyciężcie”.

W poemacie historycznym *Slepiec* przedstawiony jest los młodego Kozaka, który dostał się do niewoli tureckiej i tam za próbę ucieczki został oślepiiony. Kiedy jednak wrócił na rodzime stepy, zastał tam jeszcze straszniejszą niewolę ojczyzny. Idzie Kozak z bandurą i śpiewa:

— Ja szczęśliwyj,  
Szczo oczej ne maju,  
Szczo niczoho toho w switi  
Ne baczu j ne znaju.  
Lachy były — use wziały,  
Krow powypywały!..  
A moskali i swit bożyj  
W puto zakuwały!<sup>5</sup>

Jest również w tym utworze mowa o Katarzynie, która po zrujnowaniu Siczy podróżowała po ziemiach ukraińskich: jak rozdawała majątki swoim faworytom i nieślubnym dzieciom, jak wprowadzała niewolę chłopów, a „Kyryło z starszynamy pudrom osypałyś i w carycy, mow sobaky, patynky łyzały”<sup>6</sup>.

Szewczenko już przedtem w swoich poezjach czynił namiętne obrachunki z carami moskiewskimi, oskarżając ich o deprawowanie i niszczenie narodu ukraińskiego. W *Slepcu* po raz pierwszy obok carycy postawił starszyznę kozacką, z Cyryłem Razumowskim na czele, niewolniczo uległą i sprzedającą. Gniew poety zwró-

---

<sup>5</sup> — Szczęśliwy jestem, || Że nie mam oczu, || Że nic na świecie || Nie widzę i nie wiem. || Lachy byli — wszystko wzięli, || Krew powypijali!.. || A Moskale nawet światło boże || W kajdany zakuli!

<sup>6</sup> Cyryl ze starszyzną pudrem się osypali i carowej, jak te psy, pantofle lizali.

cił się tutaj przeciwko rodzimym ciemiężycielom; bez ich pomocy carat nie zrujnowałby Ukrainy.

Szewczenko zaczął obrachunki z własnym społeczeństwem.

Jakiś wicher historii — jakże to inaczej nazwać? — gonił Szewczenkę po rodzinnych polach, po miastach i miasteczkach, kurhanach i bajrakach, starych cerkwiach, monasterach i ruinach zamków kozackich.

Niedaleko od Perejasławia, pamiętnego ugodą zawartą z carem moskiewskim Aleksiejem, zobaczył cerkiew subotowską, którą wzniósł Bohdan Chmielnicki i w której podziemiach został pochowany. Szewczenko wydało się, że widzi grobowiec ojczyzny. I piórem we krwi i żółci maczanym pisze:

Oto cerkiew Bohdanowa,  
Tam to win moływsia,  
Szczob moskal dobrom i łychom  
Z kozakom diływsia.  
Myr duszi twojij, Bohdane!  
Ne tak wono stało;  
Moskałyki, szczo zazdriły,  
To wse oczuchrały.<sup>7</sup>

I zwraca się do hetmana z wyrzutem:

Otake-to, Zinowiju,  
Ołeksijiw druże!  
Ty wse oddaw przyjatelam,  
A jim i bajduże.<sup>8</sup>

---

<sup>7</sup> Oto cerkiew Bohdanowa, || Tam to się on modlił, || Żeby Moskal złem i dobrem || Dzielił się z Kozakiem. || Pokój duszy twej, Bohdanie! || Inaczej się stało: || Moskale, co zobaczyli, || Wszystko rozdrapali.

<sup>8</sup> Tak to, tak to, Zenobiuszu, || Aleksieja druhu! || Wszystkoś oddał przyjaciołom, || A dla nich to fraszka.

I przestrzega ludzi, których bawiła niedola jego ziomków:

Ne smijtesia, czuži lude!  
Cerkow-domowyna  
Rozwałyt'sia... i z-pid neji  
Wstane Ukrajina.<sup>9</sup>

Wyrazy te brzmiały ludowo i ewangelicznie. Szewczenko, kiedy szydził, groził i nauczał w sprawach ojczystych, miał w sobie coś z apostoła. Budził wiarę, choć nie dla wszystkich był dostępny.

W roku tysiąc osiemset czterdziestym piątym, zaraz na samym początku, przeleciała nad Kijowem wielka, ognista kometa. A w maju, tuż przed przyjazdem Szewczenki, miasto przeżyło niezwykle w dziejach tej okolicy wypadek: trzęsienie ziemi.

Obydwa fakty odbiły się w ówczesnych gadkach ludowych, pieśniach i wertepach, czyli szopkach.

A w Subotowie władze carskie wzięły się do przeszukiwania lochów pod cerkwią. Nie chodziło o żadne badania archeologiczne, tylko o skarby; plotka roznosiła cuda na ten temat. Stosownie do celu, pracami kierował isprawnik. Rezultaty okazały się znikome, ale cerkiew przy okazji zniszczono i splądrowano.

Mógł Szewczenko tak czy inaczej ocenić działalność Chmielnickiego, ale z jawną profanacją pamiątki narodowej nie mógł się pogodzić.

Z wrażeń wertepowych i oburzenia na władzę carską zrodził się *Wielki loch*. Podtytuł „misterium” świadczył jedynie o pewnym powiązaniu z folklorem. Utwór nie miał nic wspólnego z przeżyciami religijnymi. Motto, wzięte z *Księgi psalmów*, zawierało przeje-

---

<sup>9</sup> Nie śmiecie się, obcy ludzie! || Cerkiew, co jest grobem, || Rozwali się... i spod gruzów || Wstanie Ukraina.



rzystą aluzję patriotyczną: „Dacieś nas na wzgardę sąsiadom naszym, na szyderstwo i na pośmiejch tym, którzy są wokół nas...”

Wertepowość *Wielkiego lochu* wyraziła się w dramatycznej formie i troistym układzie misterium: są tam trzy grupy postaci i w każdej grupie trzy postacie — trzy dusze ludzkie, trzy wrony i trzech lirników.

Dusze za karę zostały wcielone w ptaki. Lecą nad Subotowem, usiadły na pochyłonym krzyżu cerkiewnym i opowiadają o swoich wielkich przewinieniach. Nie dostaną się do nieba, dopóki nie będzie rozkopany wielki loch pod cerkwią.

Przewinienie pierwszej duszy polegało na tym, że kiedy była w świecie ludzi żywych, kiedy mieszkała w Subotowie i nazywała się Prisia, razu pewnego poszła po wodę i z pełnymi wiadrami przecięła drogę hetmanowi, który właśnie jechał do Perejasławia, by zawrzeć ugodę z carem. Pełne wiadra — to zapowiedź powodzenia. Czemuż nie rozbiła wiader, nie wylała wody! Otruła tą przeklętą wodą ojca, matkę, brata i siebie! Nawet psy otruła!

Druga dusza ciężko zgrzeszyła tym, że gdy była małą dziewczynką, napoiła konia carowi, i to w Baturynie, gdzie z rozkazu cara Piotra Pierwszego domy spalono, a mieszkańców wymordowano.

Trzecia dusza ongiś urodziła się w Kaniowie i jeszcze była u matki na ręku, kiedy zobaczyła na Dnieprze złotą galeryę, a w niej carycę Katarzynę. Uśmiechnęła się — i od razu wyzionęła ducha. I matka jej umarła. „Czy ja z znała — mówi dusza — szczo taja caryca — lutyj woroh Ukrainy, hołodna wowczycia?!...”<sup>10</sup>

---

<sup>10</sup> Czy ja wiedziałam, że ta caryca — to zawzięty wróg Ukrainy, głodna wilczyca?!

Grzechy wszystkich trzech dusz były nieświadome, ale skutki straszne, więc nie ma mowy o zbawieniu, dopóki te skutki trwają — dopóty Ukraina jest w niewoli.

Nieświadomość wagi wydarzeń historycznych była w oczach Szewczenki grzechem niewybaczalnym.

Poeta wybrał trzy najbardziej przełomowe okresy z dziejów narodu ukraińskiego oraz jego walk o własną państwowość i w jaskrawych symbolicznych obrazach pokazał przewinięcia starszizny ukraińskiej, która nie przemyślanymi aktami politycznymi doprowadziła naród do zguby.

W drugiej części misterium rozmowę wiodą trzy wrony — ukraińska, polska i rosyjska. Reprezentują one nie całe narody, tylko ich górną, zdradziecką warstwę. To są złe duchy tych narodów.

Polska wrona chwali się, że za jej sprawą upadło powstanie, a liczne rzesze jego uczestników powędrowały na Sybir.

Wrona rosyjska chwali się konszachtami z Orda, zaprowadzeniem niewoli chłopów, zniemczeniem aparatu biurokratycznego i wyniszczeniem tysięcy ludzi przy budowie kolei moskiewsko-petersburskiej.

Ale wrona ukraińska dopiero ma się czym pochwalic: swoich sprzedawała, najmowała, niszczyła, a obcy mi, karczmarzami, obsadziła ziemię zaporoskie. No i „dworianstwa strasznu syłu u mundyrach rozplodyła, jak tych woszej rozweła”.<sup>11</sup> Wrona ukraińska chwali się nie tylko gnębieniem własnego ludu, ale i tym, że dopomogła do upadku Polski.

Rejestr jej „czynów” jest najdłuższy, one bowiem

---

<sup>11</sup> straszne mnóstwo umundurowanych dworian rozplodziła, jak te wszy wyhodowała.

dotyczyły rodaków, a więc prawdziwie bolały Szewczenkę, bardziej niżli nikczemne postęпки obcych.

Wrona ukraińska sięga również w przyszłość i wygłasza przepowiednię, że urodzą się na Ukrainie dwaj bliźniacy. — „Odyn bude, jak toj Gonta, katiw katuwały! Druhyj bude... oće wże nasz!... katam pomahaty”<sup>12</sup>

Poprzedzą to zjawiska nadprzyrodzone: ognista młotła nad Kijowem i trzęsienie ziemi nad brzegami Dniepru i Taśminu.

Proroctwo to, jak każde inne, czy w Biblii, czy u Mickiewicza, było niejasne i mogło być różnie tłumaczone, ale zawierało jedną oczywistą prawdę: że w narodzie działają siły zarówno pozytywne dla jego istnienia, jak i zgubne.

Gonta ludowy i Gonta antyludowy — były to personifikacje myśli poety.

Zdrada nie da się łatwo wypenić z ojczyzny, zdradę trzeba wypalić gorącym żelazem, może to zrobić tylko lud-mściciel — tak zdaje się mówić Szewczenko między wierszami poematu.

W trzeciej części misterium występują trzej lirnicy: ślepy, kulawy i garbaty — reprezentanci całego narodu znajdującego się w niewoli. Przyszli do Subotowa, aby tam śpiewać ludziom chwałę Bohdana. Widzą trzy wrony na krzyżu cerkiewnym. Jeden mówi: — Siedzą te wroniska, jakby to było miejsce dla nich przeznaczone. — Drugi mówi: — A dla kogoż? Człowieka nikt tam nie posadzi. — Trzeci lirnیک rozumuje filozoficznie: Owszem, można posadzić Moskala albo Niemca. „A moskal ta nimeć i tam najdut' chlibeć”<sup>13</sup>

---

<sup>12</sup> jeden będzie, jak ów Gonta, katów biczem smagać! Drugi będzie... nam oddany!... katom dopomagać.

<sup>13</sup> A Moskal i Niemiec i tam znajdą sobie kawałek chleba.

Lirnicy zasnęli pod płótem; tymczasem z Czehrynia przyjechało „naczelstwo mordate”, żeby na własne oczy zobaczyć, co znaleziono w podziemiach cerkwi. A tam w zbutwiałej trumnie leżał czerep ludzki i szkielec — w kajdanach! Isprawnik był wściekły: tyle pracy na próżno! Wtem zobaczył lirników. — Co wy tu robicie? — Przyszliśmy śpiewać o Bohdanie... — Ja wam dam Bohdana! — Isprawnik kazał ich obatożyć. Takiej sławy doczekał się dumny hetman po śmierci.

Słudzy cara rozkopali mały loch i nie znaleźli tam nic. Ale wielkiego lochu nie mogli odnaleźć. A w wielkim — jak nam się pozwala domyślić autor — pochowana jest wolność Ukrainy. Kiedyś ludzie ten loch odnajdą i otworzą. I wtedy trzy biedne ptaszyny, duszyczki ukraińskie, dostaną się do nieba.

#### IV

Kiedy w listopadzie tegoż roku Szewczenko znalazł się w Kijowie, wręczono mu nową marszrutę z ramienia Komisji Archeograficznej. Przez któregoś z członków komisji został wprowadzony do salonów hrabiego Świdzińskiego.

W poważnie myślących kołach społeczeństwa polskiego zakiełkowała wtedy idea nawiązania politycznych stosunków z umysłową reprezentacją Rusi, jak nazywano podówczas Ukrainę. Chodziło o to, żeby stworzyć jakąś zapórę, choćby moralną, przeciwko fali caryzmu, zalewającej z jednakową bezwzględnością Ruś i Polskę. Zbliżenie nastąpiło nasamprzód na gruncie towarzyskim. Było w Kijowie kilkadziesiąt domów otwartych, zarówno polskich, jak i ukraińskich, gdzie skupiała się miejscowa inteligencja. Naj-

wybitniejsze jednak grono osób, Polaków i Ukraińców, zbierał u siebie Świdziński.

Najczęściej, rzecz prosta, dyskutowano nad dziejami Polski i Ukrainy. Stawiano często pytanie: Kto zawinił — szlachta polska czy Kozacy?

Kostomarow stanowczo winą obarczał szlachtę. Dyskuje toczyły się przeważnie w języku polskim, jako dostępnym dla wszystkich. Szewczenko bardzo dobrze mówił po polsku, ale gdy wpadł w ferwor, zaczynał mówić po ukraińsku.

Jeśli chodzi o historię, autor *Kobzarza* mógł każdemu zaimponować swoją wiedzą i odczytaniem. Doskonale znał nie tylko dzieła wszystkich uczonych ukraińskich, polskich i rosyjskich, nie tylko beletrystykę i poezję historyczną w tych trzech językach, ale i czasopiśmiennictwo, zwłaszcza rosyjskie, tudzież latopisy i twórczość ludową z zakresu dziejów ojczystych.

Co więcej — na szereg kwestii miał wyrobiony pogląd własny, nie pokrywający się z poglądami najwybitniejszych historyków współczesnych.

Kiedyś w toku gorącej dyskusji na temat grzechów szlacheckich Świdziński, zarzucając Ukraińcom, że czepiają się drobiazgów, rzeczy powierzchownych, a najważniejsze, najistotniejsze — prześlepiają zawołał:

— Chłopi jesteście i nic nie rozumiecie!

Ukraińcy obrazili się, zarzucając ze swej strony Świdzińskiemu, że, jako szlachcic, lekceważy chłopów i uważa ich za jakieś niższe stworzenia.

Świdziński odrzekł na to spokojnie:

— Obraziliście się, lecz nie zrozumieliście tego, co powiedziałem. Ganiąc chłopów, nie ganię bynajmniej i nie poniżam ludzi, lecz wyrazem tym pragnę scharakteryzować stopień umysłowości i stan pojęć politycznych u Rusinów. Wy ciągle gracie na strunie albo



**Szewczenko maluje portret przyjaciela, Tomasza Wenera.**  
*Taras Szewczenko. Sepia, 1848*



**Portret Tomasza Wernera. Taras Szewczenko. Sepia, 1849**

nienawiści, albo zawiści, jak chłop, i nie doszłście jeszcze do żadnych samodzielnych pragnień politycznych. Na to, ażeby zrozumieć, że wy tylko z nami stanowić coś możecie i coś znaczyć, trzeba być obywatelem kraju, a wy, pomimo wykształcenia, zamiast szukać drogi do zgody, szukacie powodów do kłótni.

Innym razem Świdziński wyraził powątpiewanie, czy można mówić o istnieniu narodu ukraińskiego, skoro cała warstwa oświecona jest na Rusi albo spolonizowana, albo zrusyfikowana.

Świdziński miał po części rację: trudno sobie wyobrazić naród bez uświadomionej narodowo inteligencji. A inteligencja ukraińska, nawet ta najpatriotyczniejsza, rzadko posługiwała się językiem ukraińskim. Nawet Kostomarow i Kulisz mówili i pisali przeważnie po rosyjsku. Cóż dopiero właściciele ziemscy! Ci zostawiali małoruszczyznę do użytku domowego, a ściślej biorąc — kuchennego.

Świdziński miał rację, ale niezupełną: nie wziął pod uwagę ewentualności, że lud wyłoni z siebie własną warstwę oświeconą, która język ukraiński uczyni narzędziem i własnością całego narodu.

W salonie hrabiego bywał młody poeta, chłop z pochodzenia, który swoją osobą, życiem i pracą twórczą otwierał przed narodem ukraińskim nowe, nie spodziewane dotąd perspektywy.

W rozwoju zapatrywań historycznych Szewczenki trzy ostatnie lata odegrały przełomową rolę. Podróże, lektura coraz to nowych dzieł i rozmowy z uczonymi historykami, Markowiczem, Maksymowiczem, Iwaniszewem, Kostomarowem i Kuliszem, pogłębiły wiedzę poety i pozwoliły mu na bardziej krytyczną ocenę niektórych zjawisk i osób.



W Zaporozu, w Siczy Zaporoskiej, widział Szewczenko z początku ideał państwa opartego na zasadach demokracji, twierdzą wolności, szkołę rycerskich obyczajów. Był pod tym względem zgodny z opinią ludu, z tradycją utrwaloną w dumach i pieśniach kozackich.

Nigdy nie przestał uznawać w Kozaczyźnie i Hetmańszczyźnie rzeczy dla narodu najcenniejszych: przejawów własnej, oryginalnej i niezależnej państwowości.

Zagłębianie się w dziejach ojczystych doprowadziło go do trzeźwego poglądu na działalność starszyzny kozackiej i wielu hetmanów.

Chmielnickiego wciąż wysoko stawiał i nawet kochał za wszystko, co ten, niewątpliwie utalentowany wojownik i mąż stanu, zrobił dla podniesienia prestiżu i dobrobytu Ukrainy. Nie mógł mu jednak darować niefortunnej ugody z caratem.

Szewczenko nie idealizował koliszczyzny. Nie pochwałał krwawych rozpraw ze szlachtą i karczmarzami, przeciwnie — potępiał je i ubolewał nad nimi. Ale sympatię do hajdamaków miał głęboko zakorzoną: w jego oczach byli to mściciele krzywdy ludowej.

Sam zresztą pochodził z okolic, z których koliszczyzna wzięła początek; dziadek jego brał w niej udział...

Kiedy nad tą kartą historii dyskutowano u Świdzińskiego, poeta zauważył, że wiele zrozumienia dla jego zapatrywań okazują Polacy, zwłaszcza przedstawiciele młodzieży uniwersyteckiej.

Były to czasy, kiedy idea naprawienia krzywdy wyrażonej narodowi ukraińskiemu ogarnęła i porwała studentów polskich w Kijowie.

Dzielili się oni na purystów i piźmowców. Puryści, których była olbrzymia większość, wyznawali surowe zasady moralne zarówno w życiu prywatnym, jak i publicznym. Czuli się duchowymi spadkobiercami Szymona Konarskiego. Piźmowcy — synowie zamożnych rodzin, utracjusze i hulaki — stanowili nieliczną grupkę.

Docierały do Kijowa pisma wydawane na emigracji przez Towarzystwo Demokratyczne i Gromady Ludu Polskiego, a poruszające między innymi sprawę stosunków polsko-ukraińskich.

Hrabia Świdziński, choć sam należał do ludzi raczej ostrożnych i umiarkowanych, bardzo chętnie przyjmował u siebie młodzież wybiegającą w myślach daleko naprzód, poza utarte szlaki, poza roгатki tradycyjnych ocen i poglądów.

Wśród tej młodzieży właśnie Szewczenko znajdował ludzi życzliwie dzielących jego zapatrywania na koliszczyznę.

Nie wolno pomstować na rzeź humańską, a jednocześnie zamykać oczy na wszystko, co magnateria polska zrobiła, aby doprowadzić Ukraińców do takiego desperackiego kroku: straszliwa pajęcza sieć ekonomów i karczmarzy, rozciągnięta po całej Ukrainie, dusiła chłopów, poniżała, wyciskała z nich krwawy pot i łzy; sieć ta była dziełem magnaterii, nikt uczciwy nie mógł temu zaprzeczyć.

Nie wolno czerni hajdamackiej oskarżać o nieludzkie czyny, popełnione jednak w imię sprawiedliwego odwetu i w słusznym gniewie, skoro inni popełniali czyny takie same, a może nawet stokroć gorsze, z całą premedytacją, w gromadzie karnej, zorganizowanej — i zyskiwali poklask. Czy nie wystarczy przykład Baturyna? Jeżeli nawet zasłużył na karę Mazepa ze starszyzną, to cóż zawiniłi mieszkańcy miasta?

Tymczasem feldmarszałek Mienszykow, zdobywszy je bez wystrzału, dzięki zdradzie, kazał wymordować całą ludność, nie wyłączając starców, kobiet i dzieci. Uczynił to z rozmysłem, a jego rozkaz wykonało regularne wojsko. I wykonało po bestialsku.

Rzeź humańską można nazwać zbrodnią popełnioną w uniesieniu; rzeź baturyńska była zbrodnią dokonaną na zimno, a więc stokroć potworniejszą.

Polacy zwracali jednak uwagę Szewczenki i na to, że konfederację barską przedstawił tylko w czarnej barwie, jako zbiorowisko oczajduszów i zbirów, co było tak oczywistą nieprawdą, jak cała charakterystyka hajdamaczyzny nakreślona piórem Skalkowskiego.

Szewczenko tłumaczył, że jego *Hajdamacy* są wiernym odbiciem podań ludowych i opowieści dziadka. Ale w pamięci żywo mu jeszcze stały rozmowy na ten temat z Leonardem Dębskim. Zmarły przyjaciel był dla Szewczenki wyrocznią w sprawach historii i moralności narodowej.

Szewczenko zamierzał powrócić do swego poematu, którego zalety poetyckie były powszechnie cenione, a treść budziła tyle zastrzeżeń. Zamierzał przerobić swój utwór. Przeszkodziły mu jednak sprawy bardziej aktualne, a więc pilniejsze.

W salonie hrabiego Świdzińskiego często rozmawiano o sprawie chłopskiej. Kraszewski, który zjawiał się tam regularnie, za każdą bytnością w Kijowie, wnosił do tych rozmów zapal urodzonego społecznika i znajomość stosunków wiejskich, jako że sam gospodarował na roli.

Kraszewski wierzył w możliwość poprawy stosunków między wsią a dworem na drodze mądrych, opiekuńczych działań samej szlachty. I on przypisywał tej

warstwie społecznej jakieś przewodnictwo, jakąś misję ogólnonarodową.

Kiedy umarł książę Michał Repnin, właściciel Jahotyń, a wkrótce potem pułkownik Poniatowski, właściciel Tahańczy, kiedy szeroko rozeszły się wieści, jak to lud ich opłakiwał, jak manifestował swoje synowskie uczucia, niektórzy skłonni byli widzieć w owych manifestacjach zapowiedź przyszłego pojednania zwaśnionych stanów na gruncie chrześcijańskich zasad moralnych i udoskonalonej gospodarki.

Kiedy rozmawiano o Karmaluku i o jego wojnie z panami, niektórzy znowu chcieli dopatrywać się w tym motywów osobistych. A jednak okazało się, że w wiele lat po śmierci watażki powstania chłopskie na Podolu i Wołyniu nie zanikły, ba, nawet się stały częstsze i krwawsze.

Wielkie wrażenie wywołał fragment książki wydanej w Paryżu przez jednego z dawnych rządców Mieczysława Potockiego. Rządca ten, niejaki Jakub Jaworski, poszedł do powstania i później wyemigrował do Francji. Tęsknił za stronami rodzinnymi i rozpamiętywał błędy, jakie Polacy popełnili wobec chłopów ukraińskich. Z tych rozpamiętywań wyrosła książeczka, pisana językiem prostym, szorstkim, niezbyt poprawnym, ale zawierająca szereg ważnych i ciekawych spostrzeżeń.

Jaworski tak pisał: „Lud Ukrainy, Wołynia, Podola nienawidzi swoich panów za ucisk, i sprawiedliwie, ma zawsze gotowy nóż do zemsty; kiedy wejdzie do dworu z prośbą, a otrzyma od pana pomyślną odpowiedź, podziękuje, ale wychodzi z goryczą w swej duszy, bo w jego ucisku p a n dlań jest wszystkim, k r ó l e m, c a r e m, nawet więcej, równa go z samym Bogiem: «Jak pan i Boh schocze, wse można zrobiyty». Na lat trzy przed rewolucją trzydziestego roku lud ukraiń-

ski zaczął przekonywać się, że nie panowie, ale rząd jest przyczyną podatków, a szczególnie poboru rekruta. Ale to przekonanie bynajmniej nie osłabiło jego nienawiści do panów, bo tyrania ze strony dziedziców i tych, co w imieniu dziedziców chłopem rządzą, jest większa nad rekruta i poduszne”.

Szewczenko wiedział jedno: chłop nigdy się nie zgodzi na uzależnienie swojego bytu od czyichś dobrych chęci, od czyjejs łaski, chłop ma poczucie prawa i tylko właściwe prawo może go zaspokoić. Jeżeli mu go nie dadzą, będzie o nie walczył.

Ale w rachunku narodowym liczyli się również ci, co nad chłopem panowali. Od nich, jako od warstwy oświeconej, aż nadto dużo zależało. Zwłaszcza w tej sytuacji, gdy krajem rządzili obcy.

Krajem władał carat i w jego imieniu na Ukrainie Słobodzkiej działało nowo upieczone dworiaństwo małosyjskie. A na zachód od Dniepru szlachta składała się w przeważnej części z Polaków.

Szlachcie polskiej, zwłaszcza bogatej, nie można było ufać — to rzecz jasna.

A rodzimej, ubranej w carskie mundury?...

Wszak byli wśród niej ludzie o prawych charakterach i dobrzy patrioci.

Szewczenko jeździł po rozłogach lewobrzeżnej Ukrainy i chłonał ojczystą noc — nieogarnioną i groźną jak morze. Noc była nawet wówczas, kiedy świeciło słońce i step się mienił czerwonym niby krew bo diakiem. Noc była w duszach, w sumieniach i uczynkach ludzi, przybitych albo spodlonych niewolą. Wszędzie była noc — ukraińska noc narodowa, pełna widm i gadów, i snów o przeszłości — bez świtu, bez jutra.

Trzy ostatnie lata wydały się Szewczence trzema

długimi wiekami. Tyle zobaczył, tyle przecierpiał, tyle się nauczył.

Poeta kończył dopiero trzydziesty drugi rok, a sprawiał wrażenie o wiele starszego. Troski wyrwały na jego obliczu smutek i powagę.

Dwa autoportrety, jeden narysowany w roku tysiąc osiemset czterdziestym trzecim, a drugi w dwa lata później — znakomicie uwidoczniają zmiany, jakie się dokonały w poecie.

Pierwszy z tych rysunków przedstawia młodzieńca z miną dosyć niefrasobliwą, z na pół dzieciennym, nieco figlarnym wyrazem oczu, drugi zaś ukazuje mężczyznę, w którego twarzy przebija myśl głęboka, poczucie godności i dostojeństwo.

Młody poeta, gdziekolwiek się znalazł — czy w chłopskiej chacie, czy w salonie — wszędzie budził respekt. Sympatii zaś nie budził tylko tam, gdzie miał do czynienia z ludźmi niegodnymi „rozwiązać rzemyska butów jego”.

Razu pewnego ktoś patrząc na Szewczenkę zacytował czterowiersz z *Jambów* Bohdana Zaleskiego:

Jako jasne latarnie na pomorskich wieżach  
Świecą wielcy wieszczowie na czasu bezbrzeżach:  
Błogosławiony naród, któremu Bóg zdarzy  
Takowych namaszczeńców i słowomocarzy!

Szewczenko był nadto skromny, aby ten ostatni wyraz wziąć do siebie w całej rozciągłości. Ale czuł się n a m a s z c z e ń c e m. Ufał, że obudzi swój naród ze snu, że go dźwiękiem mowy ojczystej ocuci.

Przypominał sobie rymy z trzeciej części *Dziadów*.

I pieśń mówi: ja pójdę wieczorem,  
Naprzód braci rodaków gryźć muszę,  
Komu tylko zapuszczę kły w duszę,  
Ten jak ja musi zostać upiorem.

Szewczenko jeździł po ukraińskich rozdrożach, chłonał noc ojczystą — i bynajmniej nie czuł się upiorem, ale człowiekiem żywym wśród upiorów.

Drogę wskazywały mu Erynie, córki nocy i bóstwa pomsty.

Nie tylko ruiny i pamiątki historyczne ciekawiły Szewczenkę. Chętnie przyjmował zaproszenia do dworów ziemiańskich i często bywał gościem najwybitniejszych przedstawicieli szlachty małosyjskiej. Oprócz szkoły dziejów ważna była szkoła życia.

Co prawda, w tej szkole — jak się ktoś trafnie wyraził — nie idee panowały, lecz ruble, karty i wino.

Chociaż i tu można było natrafić na prawdziwe skarby charakterów i przekonań.

W środowisku ziemiańsko-urzędniczym na lewobrzeżnej Ukrainie, poddanej już od dawna wpływom caryzmu, odbywała się nieustanna walka obyczajowości wschodniej, ubranej w surduł angielski i mówiącej po francusku, z cywilizacją łacińską, która przez Polskę i prawobrzeżną Ukrainę wraz z wiatrem śródziemnomorskim wciskała się do okratowanego zewsząd imperium carów.

Typowymi przedstawicielami pierwszego odłamu byli bracia Hałahanowie, Hryhorij i Paweł, których Szewczenko poznał jeszcze w Petersburgu i których widywał potem na Ukrainie.

Hryhorij Hałahan znany był ze swoich zamiłowań etnograficznych — małosyjskich. Słynął również jako działacz społeczny. Oczywiście, jak najlojalniejszy wobec Petersburga.

Szewczenko był człowiekiem żywym z krwi i kości; zajęcia artystyczne i myślicielstwo nie tłumili w nim chętek czysto zmysłowych. Lubił wesołe towarzystwo

i dobrze zastawiony stół. Na jarmarku w Romnach spędził trzy dni w namiocie Lwa Świeczki, słynnego na całą Połtawszczyznę bibośza i gurmanda. Z Wikto-rem Zabiłą, chutorianinem i poetą, umiał całymi dniami kosztować nalewek, deklamować wiersze i śpiewać. W ogóle pił i jadł, rzec można, z kunsztem. Chociaż potrafił również poprzestać na chlebie i wodzie.

Szewczenko bywał na balach u Hałahanów, w So-kyryńcach i Diehtiarach. Spędził tam niejedną rozkoszną chwilę. Cóż, kiedy wystarczyło mu wyjść na przechadzkę poza obręb pałacu, zobaczyć chaty nędzne i ciasne, porozmawiać z wieśniakami obdartymi i głodnymi, aby od razu poczuć całą ohydę i zgrozę kontrastu pomiędzy przepychem dworu a ubóstwem wsi.

Zazwyczaj w takich wypadkach czym prędzej przenosił się gdzie indziej. Ale tam znowu powtarzały się te same doznania.

Więc zamykał się w czterech ścianach i w poezji szukał ratunku i sposobu na nieprawości świata.

Wierszami gryzł „braci rodaków”, zapuszczał kły w ich dusze.

Wszystkie najdonioślejsze problemy życia narodowego, kwestia niepodległości i sprawiedliwych stosunków społecznych, wiązały się z istnieniem caratu.

Ten złowrogi bastion wszelakich gwałtów i ucisku wyrastał jak góra nad uroczym pejzażem Ukrainy, gotów każdej chwili zmiażdżyć ją do szczętu. W bastionie rozlegał się bez przerwy „świsł knuta i chrzęst ukazów”.

Na wierzchołku, niczym posąg tyranii, stał car.

Szewczenko jeden z pierwszych zrozumiał, że car moskiewski to nie osoba, to — system, wykształcony



długimi wiekami niewoli, który powstał z przemocy i tylko przemocą da się obalić.

Szewczenko, mając w pamięci obfity materiał wspomnień dziejowych, miał też dokładne rozeznanie sytuacji bieżącej. Widział, że droga ugody z caratem daje tylko dwa wyjścia: do niewolniczego posłuchu albo do wybuchającej anarchii.

Jedno i drugie wyjście było dla narodu ukraińskiego fatalne.

Szewczenko nasuwała się koncepcja zjednoczenia Słowian w jakimś dużym organizmie państwowym, w którym poszczególne narody korzystałyby z szerokiej autonomii, w którym obowiązywałaby zasada równouprawnienia.

Znał już dość dobrze dorobek słowianofilów czeskich, znał idee wszechsłowiańskie nurtujące emigrację polską na Zachodzie.

Czy jednak nie miał racji Kraszewski, który przestrzegał przed „szalem unifikacyjnym” caratu? Carat chciał strumień dążności wszechsłowiańskich skierować na swój młyn. I propagował własną odmianę panslawizmu, który — wedle słów Kraszewskiego — „nie chce jednoczyć, pragnie pochłaniać”.

Szewczenko w myśli i poezji wydał caratowi nieubłaganą walkę.

Dotychczasowy dorobek Szewczenki, *Kobzarz petersburski* wraz z *Hajdamakami*, stanowił jakby wielką dumę historyczną, wyrosłą z żalu nad utraconym rajem wolności kozackiej.

Teraz Szewczenko szukał drogi do kresu nocy. Wierzył, że tę drogę znajdzie.

Noc była nie tylko na Ukrainie. Noc była w Rosji. I w Polsce.

W Rosji tu i owdzie przeblyskiwały światła wśród mroków. Szewczenko przypominał sobie rozmowy z młodym oficerem gwardii. Takich, jak Mombelli, jak Pietraszewski, jak Pleszczejew, było z pewnością więcej. Ale wszyscy oni byli zagubieni w ogromnej masie „grażdan russkoj impierii”, ze ślełą uległością wykonujących rozkazy cara o okowianych oczach. •

W Polsce było inaczej. Tam raz po raz wśród nocy buchały płomienie. W mrokach bez przerwy huczała konspiracyjna kuźnia, szemrały „długie nocne rodaków rozmowy”, ludzie schodzili się na potajemne zebrania, wysyłali za granicę i przyjmowali stamtąd emisariuszy, kuli broń.

Z Polakami można było i należało coś przedsięwziąć. Ale jak zapomnieć o tym, co się ongiś działo?

Szewczenko pamiętał nie tylko o cierpieniach zadawanych narodowi ukraińskiemu przez carat, lecz i o krzywdach, których Ukraińcy doznawali od Reczypospolitej, o wszystkim, co Chmielnickiego skłoniło do rozpaczliwej decyzji szukania ratunku w Moskwie.

Droga do kresu nocy wiodła przez serca i umysły najszlachetniejszych ludzi Ukrainy. Szewczenko szukał tych ludzi. Współczesność domagała się od niego działania.

Jego poezja była dotąd jak posąg Memmona, stojący nad grobem ojczyzny.

Miała stać się głosem archanioła odwalającego płytę grobową.

## V

Grudzień tysiąc osiemset czterdziestego piątego roku upamiętnił się w życiu Tarasa Szewczenki niezwykłym płonem wierszopisarskim.

W połowie miesiąca znalazł się poeta w majątku Wjunyszczu u starego dekabrysty Samożłowa. W atmosferze cichej, spokojnej, dalekiej od zgiełku świata niewiarygodnie szybko stworzył wspaniałą twierdzę. Żarliwie patriotyczny. Oskarżycielski i błagalny.

Wiersz ten był wybuchem twórczej pasji, odsłonięciem nowych widnokręgów myśli i pobudką do czynu, pamfletem i perswazją, klątwą i prorocstwem.

Wedle zwyczaju Szewczenko poprzedził utwór znamienym werselem z listu świętego Jana Apostoła: „Jeśli by kto rzekł: miłuję Boga, a brata by swego nie nawiódził, kłamcą jest”.

I zatytułował: „Do umarłych i żywych, i nie narodzonych rodaków moich na Ukrainie i nie na Ukrainie mój list przyjacielski”.

Zwracał się do tych, którzy trzymali w rękach klucze królestwa doczesnego, do tych, co byli hojnie obsypani dobrodziejstwami życia. Chciał ich przekonać, że jeszcze nie za późno, aby własnowolnie naprawić krzywdę, aby ulżyć niedoli ludu, a przez to cały naród podnieść z upadku.

Zwracał się do oświeconej, kulturalnej szlachty. Nurtowały w nim zapewne idee solidaryzmu, głoszone przez niektórych pisarzy polskich i ukraińskich — Kraszewskiego, Kulisza...

Chciał rodakom powiedzieć prawdę w oczy i przez to skierować ich na drogę obowiązku. Chciał w nich rozbudzić sumienie społeczne i narodowe. Przekonać ich, że wraz z „ciemnymi kmiotkami” tworzą jedną całość, jeden naród, i że tylko wspólnym wysiłkiem mogą zdobyć wspólne dla wszystkich szczęście.

Ale rzeczywistość na razie zaprzecza tym ideałom. Wszyscy jakby ogłuchli, nic nie słyszą. „Tylko ja, mow okazannyj — mówi poeta — i deń i niecz płaczu na

rozputtiach wefeludnych”<sup>1</sup> Gniew go ogarnia, woła do możnych rodaków:

Schamenit'sia, nedoludy,  
Dity jurodywi!

— — — — —  
Rozkujtesia, bratajtesia!<sup>2</sup>

Ostrzega ich przed straszliwymi skutkami zaślepienia i egoizmu:

Schamenit'sia! bud'te lude,  
Bo lycho wam bude!  
Rozkujut'sia nezabarom  
Zakowani lude,

Nastane sud, zahoworiat'  
I Dnipro i hory!  
I potecze storikamy  
Krow u synie more  
Ditej waszych...<sup>3</sup>

Szydzi z ich zapędów słowianofilskich, wytyka im, że znają wiele języków słowiańskich, a o swoim zapomnieli. I zaraz dodaje z sarkazmem:

Kołyś budem  
I po swojemu hłahołat',  
Jak nimeć pokaże  
Ta do toho j istoriju  
Naszu nam rozkaże...<sup>4</sup>

---

<sup>1</sup> Tylko ja, jak potępieniec, i dzień, i noc płaczę na rozstajach ludnych.

<sup>2</sup> Opamiętajcie się, okrutnicy, || Dzieci opętane! || Rozkujcie się, bratajcie się!

<sup>3</sup> Opamiętajcie się! bądźcie ludźmi, || Bo źle z wami będzie! || Uwolnią się niebawem ci, || Co są zakuci w kajdany, || Nastanie sąd, przemówią || I Dniepr, i góry! || I popłynie strumieniami || Krew do niebieskiego morza || Dzieci waszych...

<sup>4</sup> Kiedyś będziemy || Mówić po swojemu, || Jak nas Niemiec nauczy, || No, i przy tym dzieje || Nasze nam opowie...

„Nimeć” — to przedstawiciel rosyjskiej sfery rządzącej. Szewczenko stosował czasem taką swoistą metonimię, mając na względzie tę okoliczność, że zarówno dynastia panująca w Rosji, jak i znaczna część wpływowych osób w rządzie i aparacie administracyjnym była pochodzenia niemieckiego.

W kilku słowach potrafił Szewczenko przedstawić tragiczne upośledzenie narodu ukraińskiego, o którego języku i historii decydowali obcy.

Tu Szewczenko, patrząc w przeszłość, po raz pierwszy rozprawia się z kultem hetmańszczyzny:

Raby, pidniżky, hriaz Moskwy,  
Warszawśke smittia — waszi pany,  
Janowelmożniji het'many.  
Czoho ż wy czwanytesia, wy!  
Syny serdesznoji Ukrainy!  
Szczu dobre chodyte w jarmi,  
Szczu łuczczu, jak ba'tky chodyły?!<sup>5</sup>

I tak oświetla problem dawnych stosunków polsko-ukraińskich:

A czwanyteś, szczu my Polszczu  
Kołyś zawwały!...  
Prawda wasza: Polszcza wpała  
Ta j was rozdawiała.<sup>6</sup>

I tak mówi o dziejach ojczystych:

---

<sup>5</sup> Niewolnicy, podnóżki, błoto Moskwy, || Warszawskie śmiecie — wasi panowie, || Jaśnie wielmożni hetmanowie. || Czego wy się pysznicie, wy! || Synowie ukochanej Ukrainy! || Że dobrze chodzicie w jarzmie, || Jeszcze lepiej niż chodzili wasi ojcowie?!

<sup>6</sup> A chwalicie się, żeśmy Polskę || Ongiś powalili!... || Wasza prawda: Polska padła || I was też przygniotła!

Ja rydaju, jak zhadaju  
Diła nezabuti  
Didiw naszych. Tiażki diła!<sup>7</sup>

Potem patrzy w terażniejszość i widzi, że ci sami „jasnowelmoźniji”, którzy przefrymarczyli Ukrainę, są teraz katami jej ludu:

Doborołaś Ukrajina  
Do samoho kraju.  
Hirsze lacha swoji dity  
Jiji rozpynajut'.<sup>8</sup>

Ale to się może zmienić, musi się zmienić. I Szewczenko patrząc w przeszłość i przyszłość, jak prorok i apostoł rzuca natchnione wezwanie:

Obnimite ż, braty moi,  
Najmenschoho brata —  
Nechaj maty usmichnet'sia,  
Zapłakana maty.

— — — — —  
I zabudet'sia sramotnia  
Dawniaja hodyna,  
I ożywe dobra sława,  
Sława Ukrainy.<sup>9</sup>

Był tam jeszcze dwuwiersz, który mocno i zwięźle streszczał główną myśl Szewczenki:

W swojej chati swoja j prawda,  
I syła, i wola.<sup>10</sup>

---

<sup>7</sup> Płacę, gdy przypomnę sobie || Sprawy niezapomniane || Dziadów naszych. Ciężkie sprawy!

<sup>8</sup> Dowalczyła się Ukraina || Do samego skraju. || Gorzej niż Lach własne dzieci || Nad nią się znęcają.

<sup>9</sup> Obejmijcież, bracia moi, || Najmniejszego brata — || Niechaj matka się uśmiechnie, || Zapłakana matka. || I utoną w niepamięci || Dawne straszne czasy || I ożyje dobra sława, || Sława Ukrainy.

<sup>10</sup> W swoim domu swoja prawda || I siła, i wolność.

Szewczenko wierzył, że sprawiedliwe rozwiązanie problemów społecznych na Ukrainie nastąpić może tylko wówczas, kiedy Ukraina stanie się samodzielnym państwem.

Uderzała w tym utworze niezwykła dojrzałość idea Szewczenki, znajomość historii, świetna orientacja w stosunkach współczesnych i poczucie odpowiedzialności za losy narodu.

Szewczenko pierwszy w dziejach ukraińskiej myśli politycznej dziewiętnastego wieku sformułował program niepodległościowy, chociaż z początku nie wskazał, poza ewangelicznym nawoływaniem rodaków do jedności, sposobów urzeczywistnienia tego programu.

W każdym razie to, co zdołał Ukraińcom powiedzieć w tym *Liście* było wstrząsające.

Takim językiem nikt jeszcze do nich nie przemawiał.

Szewczenko umiał wyrazić i wyjaśnić to, co czuł naród.

Musiał jeszcze odpowiedzieć oszczercom, którzy znieważali pamięć dawnych bojowników o wolność Ukrainy.

W parę dni po napisaniu *Listu przyjacielskiego*, w tychże Wjunyszczach stworzył drugie małe arcydzieło poezji patriotycznej — *Chłodny Jar*.

Był jar w pobliżu monasteru Świętej Motrony. W tym jarze hajdamacy zbierali się i ostrzyli noże na „woroħa łukawoho, na lutoho łacha”<sup>11</sup>. Teraz ścieżka do jaru zarosła lasem. Może go zasadzili „nowi katy”, żeby zagłuszyć pamięć o koliszczyźnie? Poeta piętnuje tych, co wysługują się obcym, ciemną lud w imieniu „lutoho Nerona”, czyli cara, i znieważają pamięć haj-

---

<sup>11</sup> wroga podstępnego, na okrutnego Lacha

damaków, nazywając ich rozbójnikami i złodziejami. „Breszesz, ludomoro! — woła oburzony Szewczenko. — Za swiatuju prawdu-wolu rozbijnyk na stane...”<sup>12</sup> Wy jesteście grabieżcami — pomstuje dalej — bez żadnego uczciwego świętego prawa handlujecie ludem i ziemią, która jest dana wszystkim. Strzeżcie się, bo źle skończycie. „Bo w deń radości nad wamy rozpadet’sia kara. I powije ohoń nowyj z Chołodnoho Jaru”.<sup>13</sup>

*Chłodny Jar* można byłoby, na wzór znanego Puszkinańskiego wiersza zatytułować: *Oszczercom Ukrainy*. O ile jednak w wierszu poety rosyjskiego dominowała wielkomocarstwowa nuta, o tyle wiersz Szewczenki wyrażał jedynie całkiem usprawiedliwione i szlachetne oburzenie patrioty Ukraińca na nieprawdziwe przedstawianie faktów i ludzi w historii ojczyzny. Poeta rosyjski w gruncie rzeczy bronił caratu. Poeta ukraiński bronił pamięci swoich nieszczęśliwych i walczących o wolność rodaków. Naród Puszkina miał własne państwo. Naród Szewczenki był w niewoli.

Szewczenko wychował się i wyrósł na wsi. W szkołach u diaków zdobywał wiedzę o świecie razem z religią. Czytać się uczył z *Psałterza*. Księgi święte umiał na pamięć. U ludzi wiejskich pojęcia religijne tworzyły podstawę światopoglądu. Obrzędowość cerkiewna wciskała się we wszystkie zakamarki ich życia. Szewczenko był człowiekiem wsi.

Księżniczka Warwara Repnin egzaltowała się religią. Czując się powołana do roztaczania nad Szewczen-

---

<sup>12</sup> Kłamiesz, ludobójco! — W obronie świętej prawdy-wolności rozbójnik nie stanie...

<sup>13</sup> Bo w dniu radości spadnie na was kara. I powije nowy ogień z Chłodnego Jaru.



ką nieustannej moralnej opieki, podarowała mu *Biblię*, do której poeta przywykł od dziecka.

*Biblia* stała się podręczną książką Szewczenki. Czytał ją codziennie, przy każdej okazji, ale widział w niej przede wszystkim dzieło filozoficzno-literackie. Brał z niej motywy i obrazy do wielu swoich utworów, ale w pojęcia religijne wkładał treść świecką — polityczną i społeczną.

Na taką postawę poety wpłynęły niewątpliwie studia historyczne i filozoficzne, jakie odbył w Petersburgu, zwłaszcza pod kierunkiem Dębskiego.

Szewczenko wciąż myślał kategoriami *Pisma świętego*, ale wynik jego rozmyślań coraz bardziej odbiegał od ducha tej księgi.

Cierpienia ojczyzny, cierpienia ludu pańszczyźnianego skłaniały serce poety do romantycznej walki z Bogiem, w zasadzie nie kwestionującej jego istnienia, ale umysł realisty, wykształcony na pismach nowożytnych filozofów europejskich, czynił z Szewczenki po trochu, jeśli nie ateusza stricto sensu, to co najmniej panteistę. Słowo „Bóg” przewija się przez całą twórczość Szewczenki, od pierwszych do ostatnich dni życia. Z symbolu oznaczającego Twórcę i Pana wszechrzeczy, zamienia się jednak powoli w symbol „duszy świata”, zaczyna równoważyć się z pojęciem powszechnego piękna, dobra i sprawiedliwości.

Tak czy owak Szewczenko stale znajdował w *Biblii* źródło osobistych przeżyć.

Raziły go jednak ceremonie kościelne, zwłaszcza prawosławne; dostrzegał w nich jakieś pierwiastki „tybetańskie” czy „japońskie”. Gniewał go fanatyzm religijny.

Najbardziej pociągała Szewczenkę strona etyczna chrystianizmu, a ze wszystkich zasad tej religii zachował w swoim sercu jedną: miłosierdzie. Ściśle rzecz

biorąc, wytworzył sobie własną religię — prawdy i miłości.

Jak wielu innych poetów, dawniejszych i współczesnych, upajał się *Psalmami Dawida*.

W owym pamiętnym grudniu, kiedy napisał *List przyjacielski*, w parę dni później stworzył przekład, a raczej przeróbkę dziesięciu psalmów. Wybierał te, których motywy niejako współdźwięczały z jego myślami i poglądami.

Nadając psalmom własną poetycką, wierszowaną formę, wkładał w nie treść zupełnie nową — rzecz można, rewolucyjną.

W jednym z tych swoich psalmów zwraca się do Boga z podzięką za to, że Bóg ongiś „rozwiązał ręce” narodowi ukraińskiemu i „pokrył ziemię wraźymi trupami”. Naród odetchnął swobodnie. A teraz „nowi wrogowie” gnębią i okradają Ukraińców. Poeta błaga Boga: „Pomóż nam, wybaw nas od hańby niewolnictwa. Zwyciężyłeś pierwszą siłę, zwycięż i drugą”. „Ciężko nam żyć w kajdanach — mówi na zakończenie — pomóż nam, Boże, znów powstać przeciwko katom”.

W ostatnim psalmie wyraża nadzieję, że ludzie prawi z pomocą bożą, „zakują nienasyconych carów w żelazne pęta, ręce ich skrepują okowami i wydadzą wyrok na gubicieli”.

Jest to już wyraźnie sformułowane hasło rewolucji narodowej.

Po napisaniu *Listu przyjacielskiego*, myśl Szewczenki, nieustannie pracująca nad rozwiązaniem sprawy ukraińskiej, od nawoływań do jedności i braterskiej zgody rodaków zaczyna zmierzać do programu otwartej walki.

W apostoła i proroka budzi się wódz.

Człowiek surowych zasad moralnych, pełen energii,

racjonalista chodzący z *Biblią* w rękę i posługujący się frazeologią religijną, a snujący plany zaprowadzenia sprawiedliwości społecznej oraz uwolnienia swojego narodu z obcej przemocy, Szewczenko pod wieloma względami przypominał Tomasza Münzera.

Na Boże Narodzenie wybrał się Szewczenko do Perejasławia do starego druha, doktora Kozaczkowskiego.

Jeszcze przed wyjazdem z Wjunyszcz dokonał jakby obrachunku wszystkiego, co przemyślał i przeżył w ciągu ostatnich trzech lat.

Napisał wiersz pod tytułem *Trzy lata*.

Newelykiji try lita  
Marno proleliły...  
A bahato w moij chati  
Łycha narobyły.<sup>14</sup>

opowiada poeta i zwierza się ze swoich bolesnych zawodów: kochał ludzi, oni go radośnie przyjmowali, a tymczasem szły lata i „suszyły słozy szczyroji lubowi”. „I ja prozriwaty staw potrochu...”<sup>15</sup> — dodaje. — „Kruhom mene, de ne hlanu, ne ludy, a zmiji...”<sup>16</sup>

I teper ja rozbyteje  
Serce jadom hoju,  
I ne płaczu, j ne spiwaju,  
A wyju s owoju.<sup>17</sup>

---

<sup>14</sup> Trzy niewielkie lata || Marnie przeleciały... || Ale dużo w moim domu || Szkody narobiły.

<sup>15</sup> wysuszały łyzy szczerzej miłości. I zacząłem po trochu przegłądać na oczy...

<sup>16</sup> Dokoła mnie, gdziekolwiek spojrzę, nie ludzie, lecz żmije...

<sup>17</sup> I teraz zbolące || Serce trucizną leczę || I nie płaczę, nie śpiewam, || Lecz wyję jak sowa.

Zbliża się nowy rok, poeta chce go powitać i stawia sobie pytanie, co ten rok przyniesie jego narodowi. I sam daje szyderczą odpowiedź: „Błahodenstwije, ukazom noweńkym powyte”.<sup>18</sup>

W państwie carów nawet chodzić, spać i jeść wolno było tylko za zgodą albo na rozkaz cara.

Więc i pomyślność w nowym roku musiał zatwierdzić monarcha.

Obrachunek poety wypadł rozpaczliwie.

Jeszcze jeden nieduży utwór wyszedł spod pióra Szewczenki przed jego wyjazdem do Perejaśławia. Wiersz bez tytułu. Pisany pod wrażeniem tragedii narodowej, którą na każdym kroku oglądał i chłonał jeżdżąc po ukraińskich rozłogach.

Mynajut' dni, mynajut' noczi,  
Mynaje lito; szelestyt'  
Pożowkłe lystia; hasnut' oczi,  
Zasnuły dumy, serce spyt';  
I vse zasnuło... I ne znaju  
Czy ja żywu, czy dożywaju,  
Czy tak po switu wołoczus',  
Bo wże ne płaczu j ne smijuś...<sup>19</sup>

tak zaczyna poeta, aby potem zwrócić się z namiętnym wezwaniem do Boga, do swojego Boga:

...daj żyty, sercem żyty  
I ludej lubyty,

---

<sup>18</sup> Pomyślność, zawiniętą w nowiutki ukaz.

<sup>19</sup> Mijają dnie, mijają noce, || Przemija lato; słyhać szelest || Pożółkłych liści; gasną oczy, || Zasnęły myśli, serce śpi; || Wszystko zasnęło... I sam nie wiem, || Czy żyję, czy już dogorywam, || Czy tak się błąkam po tym świecie, || Bo mnie i płacz, i śmiech odeszły...

A koły ni... to proklynat'  
I swit zapalyty!<sup>20</sup>

Tu ustami Szewczenki przemówił nowy Savonorola.

W Perejasławiu poeta ciężko zaniemógł. W same święta, dnia dwudziestego piątego grudnia, jakby czując zbliżającą się śmierć, napisał krótki wiersz — testament poetycki.

W niewielu słowach przekazał rodakom wszystko, co uważał za najważniejsze; przemówił do nich jak ojciec do dzieci:

Jak umru, to pochowajte  
Mene na mohyli,  
Sered stepu szyrokocho,  
Na Wkrajini mylij,  
Szczob łany szyrokopoli,  
I Dnipro, i kruczi  
Buło wydno, buło czuty,  
Jak rewe rewuczyj.  
Jak ponese z Ukrainy  
U synieje more  
Krow worożu... otojdi ja  
I łany i hory —  
Wse pokynu i połynu  
Do samoho Boha  
Mołytysia... a do toho  
Ja ne znaju Boha.  
Pochowajte ta wstawajte,  
Kajdany porwite  
I wrażoju złoju krowju  
Wolu okropite.  
I mene w semji welykij,  
W semji wolnij, nowij,  
Ne zabud'te pomjanuty  
Nezłym tychym słowom.<sup>21</sup>

---

<sup>20</sup> ...daj żyć, sercem żyć || I ludzi kochać, || A jeśli nie... to przekląć wszystko || I świat podpalić!

<sup>21</sup> Jak umrę, pochowajcie || Mnie na kurhanie, || Pośród ste-

Jeszcze przed dwoma niespełna tygodniami Szewczenko, pisząc swój *List przyjacielski*, usiłował skruszyć twarde serca rodaków, nawoływał ich do zgody i jedności.

W swoim *Testamencie* wskazuje im konkretny cel: uwolnienie ojczyzny z jarzma.

I zdaje sobie sprawę z niemożności osiągnięcia tego celu inaczej niżli przez walkę: wolność trzeba „okropić krwią wroga”. Było to zwięzłe, mocne, tonem jakby atamańskim rzucone wezwanie do czynu.

## VI

Gdy tylko wyzdrowiał, zajął się Szewczenko porządkowaniem swoich wierszy. Wedle zwyczaju ułożył je w cykl. Nadał mu tytuł *Trzy lata*.

Cykl rozpoczął się wierszem tytułowym, a kończył *Testamentem*. Weszły do niego prawie wszystkie utwory napisane po *Kobzarzu* i *Hajdamakach*. A więc i *Sen*, i *Heretyk*, i *Wielki loch*, i *Kaukaz*, i *Chłodny Jar*, i *Psalmy Dawida* — ogółem dwadzieścia cztery większe i mniejsze wiersze oraz poematy.

Stanowiły one razem coś jakby traktat z dziedziny filozofii i socjologii narodowej.

Całą historię Ukrainy, od czasów najdawniejszych

---

pu rozległego, || Na Ukrainie milej, || Żeby łąny szerokosiężne ||  
I Dniepr, i urwiska || Było widać, było słyhać, || Jak ryczy  
wzburzony. || Jak poniesie z Ukrainy || Do siniego morza ||  
Wrażą krew... dopiero wtedy || I łąny, i góry — || Wszystko  
rzucę i polecę || Do samego Boga || Modły czynić... ale przed-  
tem || Nie chcę uznać Boga. || Pochowajcie i powstańcie, ||  
Kajdany pokruszcie || I krwią wrogów, krwią zepsutą || Wol-  
ność swą okropcie. || I o mnie w rodzinie wielkiej, || Swo-  
bodnej i nowej, || Wspomnieć też nie zapomnijcie || Dobrym  
cichym słowem.

do chwili bieżącej, ujął poeta w szereg obrazów i sentencji tak wnikliwie, tak przekonywająco, jak nie potrafiłby tego dokonać żaden z najoświecieńszych ziomków.

Szewczenko w analizie położenia swego narodu i wyciągniętych stąd wnioskach o charakterze wyraźnie rewolucyjnym przerósł całe ówczesne pokolenie Ukraińców, których nastroje można było zamknąć w jednym słowie: kapitulacja.

Cykl *Trzy lata* obok nuty bohaterskiej pobrzmiwał również nutą bolesną i tragiczną. Nic dziwnego, tak się układało życie. Ale trudno tu mówić o jakimś zawodzie czy rozczarowaniu autora. Nosząc w sercu mit wyzwolonej Ukrainy, piękny poetycki mit, Szewczenko od początku zdawał sobie sprawę z faktycznego układu stosunków. Geniusz Szewczenki wyrażał się między innymi w zdolności utrzymywania stałej równowagi pomiędzy marzeniem a rzeczywistością. Poeta często głową sięgał obłoków, ale nogami zawsze twardo stąpał po ziemi.

Wędrówki po rozdrożach ukraińskich nie przyniosły Szewczence rozczarowania: jadąc na rodzinne pola z góry wiedział, że „oprócz płaczu nic tam nie usłyszy” — tak pisał w liście do Kucharenki. Ale wędrówki te wiele nauczyły poetę i wpłynęły na jego dalszą ewolucję ideową: z patrioty *biernego*, opiewającego uroki dawnej Ukrainy, kozackiej i hetmańskiej, stał się patriotą czynnym, obmyślającym sposoby działania na rzecz kraju. Zanim znalazł okazję, aby się wciągnąć do pracy konspiracyjnej, już poezjom swoim nadał znamiona *czynów*.

Zdawał sobie sprawę z przepaści, jaka dzieliła jego wymarzoną Ukrainę od realnej „Małorosji”, mimo to czynił nadludzkie wysiłki, aby tę przepaść zasypać.

Pragnął tchnąć ducha patriotycznego w zgnuśniałą

i obojętą na losy ojczyzny szlachtę ukraińską, chciał lud pańszczyźniany oświecić i porwać do wspólnej walki o swobodną i sprawiedliwą Ukrainę.

Na tle ówczesnej sytuacji narodu ukraińskiego zamiary takie były po prostu absurdalne. Zdawał sobie z tego sprawę sam Szewczenko. „Moskale nazywają mnie entuzjastą, czyli durniem...” — pisał w liście do przyjaciela.

Po mickiewiczowsku mierzył siły na zamiary. Postępował zgodnie z duchem epoki. Czy tego samego nie robili we Włoszech Mazzini i Garibaldi, we Francji Blanqui i Barbès, a w Polsce Konarski i Ściegienny?

Wszędzie działały garstki entuzjastów i nikt nigdzie nie oglądał się na to, czy za nim idą setki czy tysiące. I te garstki tworzyły Historię.

Zbiorek *Trzy lata* niebawem rozpowszechnił się w odpisach i zdobył sobie niezwykłą popularność w kołach inteligencji ukraińskiej, wszędzie budząc podziw i lęk.

Historyk Mikołaj Markiewicz pisał do poety: „...a jak czort pidtycze tebe het'manuwat' ta na starszym hukat' z mazepynskoju buławoju, todi, Taras, ne płacz: moskowskoju duzoju rukoju... pobjut' szcze j płakat' ne dadut'...”<sup>1</sup>

Szwagier poety, Warfołomiej Szewczenko, również ostrzegał: „Buwaje, szczo za prawdu prynudiat' za dewiatymy worotamy hawknuty...”<sup>2</sup>

Na Tarasa te ostrzeżenia nie działały. Z natury był beztroski, a poza tym wszedł już na drogę, z której nie ma powrotu do spokojnego, lojalnego życia.

---

<sup>1</sup> ...a jak cię diabeł podkusi hetmanic i na starsziznę porrzykiwać z buławą mazepińską, wtedy, Tarasie, nie miej żalu: moskiewską twardą ręką... pobiją cię i nawet płakać nie pozwolą...

<sup>2</sup> Zdarza się tak, że słowa prawdy musi człowiek za dzieśnią bramą odszukać...



Ciągnął dalej Szewczenko swoje zajęcia w Komisji Archeograficznej. Już piętnastego listopada otrzymał urzędową nominację na pracownika komisji z pensją stu pięćdziesięciu rubli na rok. Nie było to wiele, dawało jednak podstawę do życia i pozwalało na podróżowanie, rzecz pierwszorzędnej wagi dla artysty-malarza i społecznika studiującego sprawy ojczyście.

Z okazji swych podróży Szewczenko często przesiadywał w różnych majątkach ziemskich, malując i rysując portrety zamożnych ziomków, co przynosiło mu dodatkowy dochód.

Gdyby umiał żyć oszczędnie, mógłby powoli obrosnąć w pewien dostatek. Ale Szewczenko odznaczał się dziwną niefrasobliwością w sprawach materialnych: pożyczał pieniądze przyjaciółom i znajomym, trwonił je czasami nie wiadomo na co, a żebraków obdarowywał tak hojnie, że aż budziło to w nich zrozumiałą trwożę.

Ponieważ całą Połtawszczyznę już zjeździł, postanowił przerzucić się na ziemię, czernihowską. Chcąc zyskać towarzysza podróży, udał się do Afanasjewa-Czużbińskiego. Czuzbiński miał różne wady, które raziły Szewczenkę, miał jednakowoż i zalety: był zawsze wesół, rozmowny, ruchliwy, no i znał dosłownie wszystkich obywateli ziemskich na lewobrzeżnej Ukrainie.

Pojechali najpierw do Łubnów na jarmark, a stamtąd przez Pryłuki i Niżyn do Czernihowa. W Łubnach był właśnie zjazd szlachty okolicznej, więc zaproszenia sypały się jak z rękawa. W Niżynie poeta, gorąco powitany przez uczniów miejscowego liceum, poznał się z przyszłym tłumaczem swoich utworów na język rosyjski, Mikołajem Herblem. Odwiedził też starego druha i opiekuna Iwana Soszenkę, który tam nauczycielował. Spędził wesołą noc na balu w miejscowym klu-

bie, a ostatniego dnia maślanicy wyjechał do Czernihowa, gdzie grono wielbicieli jego talentu wyprawilo mu, tez w klubie, huczne ostatki.

Nastal post i artysta wziął się do roboty, rysując starożytności czernihowskie, wśród których było niemało pamiątek po Mazepie. Posypały się znów zamówienia na portrety.

Za radą i namową księżniczki Warwary pojechał Szewczenko do Sedniowa, malowniczo położonego na prawym brzegu rzeczki Snowy. W Sedniowie od paru wieków rezydowała rodzina Lizohubów. Obecnie reprezentowali ją dwaj bracia, Andrij i Illa, entuzjaści talentu Szewczenki. Obydwaj, ludzie wielkiej kultury, z zamiłowaniem uprawiali muzykę. Andrij ponadto nie najgorzej malował i pilnie śledził przejawy ukraińskiego odrodzenia literackiego. Posługiwał się niemal wyłącznie językiem ojczystym i na każdym kroku podkreślał swoją ukraińskość.

Ill a ongiś należał do masonskiej Łoży Zjednoczonych Słowian.

Szewczenkę ogromnie ujęło to, że bracia odznaczali się nad wyraz ludzkim stosunkiem do swoich poddanych. Chłopom sedniowskim nieźle się powodziło.

Szewczenko dość długo przebywał w Sedniowie. Odpoczął moralnie i fizycznie. Po całych dniach pracował, a wieczorami przy akompaniamencie pana Andrija śpiewał pieśni ludowe, wzbudzając zachwyt obecnych.

Zaraz po świętach wielkanocnych, które w owym roku wypadły siódmego i ósmego kwietnia, wyruszył Szewczenko do Kijowa.

Wiosna była w całej pełni. Dniepr wezbrany pozalewał wszystkie ostrowy i ługi. Wzgórza kijowskie pokryły się bujną zielenią, przez którą przeświecało i po-

nad którą wystrzelało złotokopule miasto. Blaski, dźwięki i wonie spletały się w bajeczny rapsod o ojczyźnie.

Nema na switi Ukrainy,  
Nemaje druhocho Dnipra.<sup>3</sup>

Chciało się żyć dla tego miasta, dla tego nieba, dla tej ziemi...

Szewczenko mieszkał najpierw przy ulicy Instytucyjnej, potem w domu architekta Baretta na Chreszczatyku, niedaleko od Besarabki, w tak zwanej traktierni z numerami.

Niebawem dowiedział się, że w pobliżu mieszka Kostomarow, którego przelotnie poznał już w roku ubiegłym. Postanowił złożyć mu wizytę. Przyszedł do niego z którymś ze wspólnych znajomych.

Kostomarow zajmował między drewniany domek na Chreszczatyku. Koło domku ciągnął się piękny ogródek ukraiński — wiśniowy sad i pasieka. Było to ciche, poetyczne ustronie w samym środku miasta.

Gabinet gospodarza był umeblowany skromnie i prosto: ogromny stół, za nim wolterowski fotel z wysokim oparciem, szafy biblioteczne — wszystko z hebanu. Na ścianach obrazy. W rogu, pod ikoną, klęcznik, również hebanowy, a obok niego z dwóch stron dwie duże świece woskowe, w miedzianych podstawkach.

W maju tysiąc osiemset czterdziestego szóstego roku senat Uniwersytetu Kijowskiego wybrał Kostomarowa na wykładowcę historii. Dnia czwartego czerwca młody uczyony wygłosił wykład wstępny.

---

<sup>3</sup> Nie ma na świecie drugiej Ukrainy, || Nie ma drugiego Dniepru.

W kilka dni później spotkał Szewczenkę na placu przed gmachem uczelni. Poszli razem, a Szewczenko, gratulując uczonemu nominacji na profesora, zaczął z radości śpiewać pieśni kozackie. Śpiewał na cały głos, nie zwracając uwagi na przechodniów. Była w tym jakaś swoboda i fantazja na poły zaporoska, na poły chłopięca.

Potem Szewczenko sam kilkakrotnie odwiedzał Kostomarowa. Za każdym razem wypijał po kilkanaście szklanek herbaty z odpowiednią ilością rumu, ale nic po nim nie było znać. Głowę miał nad podziw mocną.

Kiedys przyniósł ze sobą zeszyt wierszy, zatytułowanych *Trzy lata*. Zaczął je czytać.

Kostomarow słuchał w milczeniu; poprosił o zostawienie mu zeszytu.

Kiedy Szewczenko wyszedł, Kostomarow dwa razy sam przeczytał wszystkie wiersze. Potem podszedł do okna i otworzył je na oścież. Zbliżał się wieczór. Zahuczały dzwony nieszporne w cerkwiach; odezwała się sygnaturka parafialnego kościoła katolickiego; jej głos cienki, donośny przebijał przez wrzawę tamtych olbrzymów. Kostomarow zapalił świece przy kłęczniku, padł na kolana i długo się modlił.

Zalety umysłu nie zawsze idą w parze z zaletami charakteru. Kostomarow nie odznaczał się charakterem godnym uznania. Zapatrzony w siebie, w swoje niiby posłannictwo naukowe, nie potrafił zachować równowagi moralnej: ani dojść do jakichś stałych zasad, ani tych, których chwilowo hołdował, bronić otwarcie i mężnie. Był słaby i tchórzliwy. Poza tym nieufny i nieszczerzy. Typowy oportunistą.

Miał jednak niepospolity umysł — urodzonego bada-

cza dziejów. Jego talent szperacki i wytrwałość w poszukiwaniach archiwalnych były zdumiewające. Historii poświęcił wszystko bez reszty.

Umiał pisać. I znał się na poezji, zwłaszcza ludowej.

Gdy Szewczenko zostawił mu zeszyt z wierszami, Kostomarov nieomal przestał jeść i spać; nieustannie, po kilka razy, czytał te same utwory.

Wywarły na nim wrażenie wstrząsające. Był jednym z pierwszych krytyków, którzy do głębi odczuli i trafnie ocenili poezję Szewczenki.

W pamiętniku swoim zapisał: „Taras Hryhorowicz przeczytał mi swoje nie drukowane wiersze. Strach mnie ogarnął: wrażenie, które sprawiały, przypomniało mi balladę Schillera *Przed posągami w Sais*. Zobaczyłem, że muza Szewczenki rozdarła zasłonę życia narodowego. I strasznie, i słodko, i boleśnie, i rozkosznie było tam zajrzeć!!!

Poezja zawsze idzie naprzód, zawsze robi śmiałe odkrycia; jej śladami podąża historia, nauka i działalność praktyczna. Ostatnim trzem bywa lekko, ale pierwszej zawsze jest ciężko. Trzeba mieć ostry wzrok i mocne nerwy, żeby nie oślepnąć albo nie zemdleć od nagłego światła prawdy, życzliwie utajonej przed spokojnym tłumem krocącym utartą drogą, obok tajemniczej zasłony, i nie wiedzącym, co się znajduje za tą zasłoną!

Muza Tarasa przebiła jakieś podziemne sklepienie, już od stuleci zamknięte na kilka zamków, opieczętowane wieloma pieczęciami, zasypane ziemią, umyślnie zaoraną i zasianą, żeby skryć przed potomstwem nawet pamięć o miejscu, gdzie jest podziemna pustka. Muza Tarasa odważnie weszła w tę pustkę ze swą nie gasnącą pochodnią i otworzyła drogę również dla promieni słonecznych, świeżego powietrza i ludzkiej żą-

dzy wiedzy. Łatwo będzie wchodzić w to podziemie, kiedy dostanie się tam powietrze; jakżeż jednak odporny musiałby być człowiek, żeby wytrzymać wiekowe wyziewy, które w mgnieniu oka zabijają wszelkie życie i gaszą wszelki ogień ziemski!

Biada zuchwałemu poecie! Zapomina, że jest człowiekiem; i jeżeli pierwszy odważy się tam wstąpić — to może paść... Ale poezja nie ulęknie się żadnych śmiertelnych wyziewów, jeżeli jest prawdziwą poezją; i nie zgasi jej pochodni żaden historyczny czy moralny dwutlenek węgla; pochodnia ta bowiem płonie wiecznym ogniem — ogniem Prometeusza”.

Kostomarow poczuł się Ukraińcem już w wieku dojrzałym. I to nie tyle pod wpływem matki Ukrainki, co na skutek lektury książek i czasopism historycznych i folklorystycznych. Jednak wpływ ojca Rosjanina nie przestał działać. Uczony historyk, profesor uniwersytetu, sposobiący się do roli duchowego wodza młodej inteligencji ukraińskiej, nie wyzbył się sympatii prorosyjskich i w swoim patriotyzmie ukraińskim nie posunął się nigdy tak daleko, aby wyznawać ideę niepodległości Ukrainy w oderwaniu od Rosji.

Kostomarow, podobnie jak Kulisz, należał do czcicieli potęgi. Był zafascynowany siłą caratu, chociaż oponował przeciwko rządowi despotycznemu. Losy Ukrainy wyobrażał sobie jako nierozdzielnie związane z losami imperium rosyjskiego. W Bohdanie Chmielnickim widział realizatora idei trwałego zjednoczenia dwóch narodów.

Nie znaczy to jednak, aby podzielał poglądy odmawiające Ukraińcom odrębności narodowej.

Badał strukturę Siczy Zaporoskiej i dopatrywał się w niej oryginalnych pierwiastków demokracji.

Nie znajdując poza ugodą z caratem żadnych perspektyw politycznych dla Ukrainy, jako jej patriota, za szczyt marzeń uważał możliwość wywierania przez Ukrainę wpływu moralnego na carat i stopniowego przez to łagodzenia skutków despotii.

Ojciec Kostomarowa był pomieszczykiem, znanym z okrucieństwa w stosunku do chłopów, co w końcu przypłacił śmiercią z ich ręki; matka zaś pochodziła ze wsi, ledwo umiała czytać i pisać, a z niewoli pańszczyźnianej wyszła dopiero przez małżeństwo.

Kostomarow w okresie młodości wyznawał jaskrawy demokratyzm i nienawidził szlachty. Poddaństwo chłopów uważał za hańbę dziewiętnastego wieku.

Świadome i skryształizowane poczucie narodowe Kulisza datowało się od czasów jego pobytu w Łucku, gdzie zbliżył się z Chilczewskim, jednym z pierwszych propagatorów ukrajinofilstwa.

Kulisz uważał się za demokratę, ale właściwie mówiąc, był demokratą drobnoszlacheckim; ideał ustroju społecznego widział w drobnej własności ziemskiej. Teorii radykalnych bał się jak ognia.

Pracował chętnie dla dobra Ukrainy, pretendował nawet do roli ukraińskiego męża stanu, ale, podobnie jak Kostomarow, nie wyobrażał sobie istnienia swojej ojczyzny jako odrębnego i samoistnego państwa.

Kiedy otrzymał posadę lektora w Uniwersytecie Petersburskim i wyjechał nad Nową, jego lojalizm monarchiczny wzrósł jeszcze bardziej.

Pisząc z Petersburga do swojego protektora Józefowicza, wyraził pogląd, że „życie polityczne Ukrainy skończyło się dawno i niebawem zleje się ona w jedno ciało z Rosją”.



**Szewczenko wśród zesłańców polskich w Orenburgu.**  
(od lewej: Bronisław Zaleski, Julian Kowalski, Aleksy Czernyszew, Tomasz Werner, Eustachy Serednicki, Ludwik Turno, Aleksander Popiel, Stanisław Domaradzki, Ludwik Lipski, Taras Szewczenko. Baltazar Kolesiński). *Aleksy Czernyszew. 1850*





**Dalisman-Muła-Aulie. Taras Szewczenko. Akwarela, 1851**

Przyjacielem i częstym gościem w domu Kostomarrowa był sędziwy eks-profesor Liceum Krzemienieckiego, a potem uniwersytetu w Kijowie, sławny przyrodnik Stefan Zienowicz.

Miał już około osiemdziesiątki, ale siły fizyczne i duchowe dopisywały mu wprost nadzwyczajnie. Mimo wielkiej różnicy wieku zaprzyjaźnił się z młodym historykiem ukraińskim i lubił z nim rozmawiać o sprawach słowiańskich.

Zienowicz był zapalonym słowianofilem i republikaninem.

Do dyskusji przyłączali się często dwaj inni przyjaciele Kostomarrowa, Mikołaj Hułak i Wasyl Biłozerski.

Kiedy Szewczenko na wiosnę tysiąc osiemset czterdziestego szóstego roku zawarł bliższą znajomość z Kostomarrowem, dowiedział się o istnieniu tajnego stowarzyszenia dążącego do federacji Słowian pod egidą Ukrainy, Polski i Rosji.

Stowarzyszenie nosiło nazwę: Bractwo Cyryla i Metodego. Członkowie nazywali się bratczykami. Odznakę członkowską stanowił sygnet z napisem: „Cyryl i Metody”. Na pieczęcie stowarzyszenia figurował napis: „Poznajcie prawdę, a prawda uczyni was wolnymi”.

Kulisz przebywał jeszcze w Petersburgu. Duszą organizacji był Kostomarrow. Prócz niego należeli do niej prawie wszyscy uczestnicy patriotycznego kółka ukraińskiego: Hułak, Biłozerski, Nawrocki, Andruski, Markowicz i Pilczykow, jako też inni, których Szewczenko nie znał osobiście.

Stowarzyszenie, jak zapewniał Kostomarrow, zdążyło

już znaleźć licznych zwolenników wśród inteligencji kijowskiej, zwłaszcza wśród słuchaczy uniwersytetu.

Było to grono entuzjastów Ukrainy i Słowiańszczyzny.

W chwili zbliżenia się do nich Szewczenki mieli już z grubsza opracowane podstawowe dokumenty organizacyjne: statut, regulamin i dwie proklamacje agitacyjne: jedną skierowaną do Ukraińców, drugą — do Rosjan i Polaków.

Statut zawierał sześć paragrafów określających ustrój Federacji Słowiańskiej. Była tam mowa o autonomii poszczególnych narodów, o ich równości i o przedstawicielstwie centralnym, czyli tak zwanym kongresie. Wszystko miało się opierać na zasadach religii chrześcijańskiej i powszechnej oświacie.

W regulaminie oprócz punktów czysto organizacyjnych były i takie, które bliżej precyzowały ideologię bractwa. Punkt pierwszy ustanawiał konieczność wychowania młodzieży w duchu ideałów stowarzyszenia. Punkt siódmy mówił o tolerancji religijnej, a ósmy stwierdzał, że jednym z głównych celów organizacji jest całkowite zniesienie wszelkich form niewolnictwa i równouprawnienie wszystkich warstw społecznych.

Proklamacja do Ukraińców powtarzała zasady ustrojowe Federacji Słowiańskiej, zapewniała, że Ukraina będzie miała „swoją rzeczpospolitą”, swój język i swoją literaturę, że wszyscy Ukraińcy będą korzystali z „powszechnej równości i swobody”.

Proklamacja do Rosjan i Polaków głosiła:

„Bracia Wielkorusowie i Polacy! Przemawia do was Ukraina, uboga siostra wasza, którą wyście ukrzyżowali i rozszarpali, a która nie pamięta zła i razem z wami ubolewa nad waszym nieszczęśliwym położeniem i gotowa jest przelewać krew dzieci swoich za waszą wolność. Przeczytajcie ten braterski list, rozważcie do-

niosłą sprawę waszego pospólnego ratunku, ocknijcie się ze snu i odrętwienia, stłumcie w sercach waszych głupią nienawiść jednych do drugich, rozpaloną przez carów i panów na zgubę naszej i waszej wolności, powstyďte się jarzma, które ciąży na waszych ramionach, zasromajcie się swego własnego zepsucia, przeklnijcie świętokradzkie imiona ziemskiego cara i ziemskiego pana, wyżeńcie z umysłów waszych ducha niewiary, przyniesionego od plemion germańskich i romańskich, tudzież ducha zawziętości, wszczepionego przez Tatarów, przejmijcie się właściwą Słowianom miłością ludzkości, pomnijcie także o braciach waszych, którzy jęczą w jedwabnych łańcuchach niemieckich oraz w szponach tureckich, i niechaj celem życia i działalności każdego z was będzie: związek narodów słowiańskich, powszechna równość, braterstwo, pokój i uwielbienie Pana naszego Jezusa Chrystusa. Amen”.

Szewczenkę nietrudno było namówić do współpracy z autorami tych odezw, które zawierały dużo jego własnych poglądów. Hułak wyraźnie oświadczył, że układając razem z Kostomarowem i Biłozerskim teksty dokumentów, niejedną myśl zaczerpnął z utworów Szewczenki albo z zeszłorocznych dyskusji z poetą.

Przeglądając jednak dokumenty bractwa, Szewczenko zauważył w nich pewne sformułowania, z którymi nie mógł się zgodzić. Sprawa wymagała dyskusji. Postanowiono ją odłożyć na okres powakacyjny.

Pokazano Szewczence również plik rękopisów w języku polskim, ukraińskim i rosyjskim objętych ciekawym tytułem: *Knyhy buttia ukraińskoho narodu*.

Księgi były dopiero w opracowaniu i miały stanowić coś w rodzaju ewangelii narodowej. Hułak poinformował Szewczenkę, że zasadnicza ich część, pisana po polsku, dotarła do rąk bratczyków z nieznanego źródła, podobno przywieziona aż z Kaukazu przez jakiegoś

oficera Polaka. Resztę, po ukraińsku, dorabiał Kostomarow.

Szewczenko bardzo się tym zainteresował i obiecał wziąć udział w ostatecznym zredagowaniu *Ksiąg*.

Tymczasem zaczęły się wakacje. Kostomarow wyjechał na kąpiele morskie do Odessy, a Szewczenko puścił się w nową podróż: z profesorem Iwaniszewem oraz malarzami Siencyłło-Stefanowskim i Pruszyńskim pojechał rozkopywać w okolicy Chwastowa pradawne mogiły scytyjskie — legendarnego Perepeta i jego żony Perepetychy.

## VII

Zebrania piątkowe w drewnianym domku na Kolumnie u Pietraszewskiego niezmiernie się ożywiły i przybrały postać burzliwych dyskusji. Przychodzili tam stale Pleszczejew, Spieszniw, bracia Dostojewscy — Michał i Fiodor, Jastrzębski, Chanykow i Palm. Z oficerów — Makszejew, Kuźmin i Mombelli.

W tym czasie, kiedy Szewczenko od Lizohubów udał się do Kijowa, w Petersburgu wyszedł drugi tom *Kieszonkowego słownika obcych wyrazów*. Cenzura puściła ten tom, ale wkrótce potem kurator okręgu szkolnego i prezes komitetu cenzury w jednej osobie, hrabia Musin-Puszkina, podniósł alarm. Sprawa oparła się o ministra oświaty Uwarowa, który nakazał wycofanie książki z obiegu, ponieważ uważał, że zawiera ona „dużo myśli niedopuszczalnych i szkodliwych.” Rozeszło się czterysta egzemplarzy. I to było dobre.

Z zagranicy napływały wieści świadczące o jakiejś burzy dziejowej, która z wolna nasuwała się na Europę. W umysłach zapaleńców gromadzących się co pię-

tek u Pietraszewskiego budziło to wielkie nadzieje. Powstanie w Krakowie i ruchawka chłopska w Galicji wydawały się początkiem serii wielkich wydarzeń. Chociaż wojska austriackie dokonały krwawej pacyfikacji, zarzewie buntu nadal się tliło.

Pietraszewski myślał o stworzeniu organizacji rewolucyjnej, a jednocześnie snuł plany założenia w swojej niewielkiej posiadłości nad Ładogą pokazowego falansteru, który by udowodnił słuszność teorii Karola Fourier.

Zarówno Pietraszewski, jak i najbliższy mu poglądami Spieszniw, dawny kolega z Liceum Carskosielskiego, wiedzieli, że muszą się przygotowywać do rzeczy krwawych, ale w końcowym efekcie pomyślnych dla ludzkości.

Spieszniw dopiero co wrócił z Francji. Spotykał się tam i rozmawiał z Bakuninem, tudzież z wieloma emigrantami polskimi, bardzo radykalnie nastrojonymi. Sam wtedy zaczął się mienić komunistą. Podziwiał działalność Blanquiego i Barbèsa. Przepowiadał rychły upadek monarchii lipcowej.

Spieszniw wierzył w rewolucję chłopską. Oburzał się na konserwatystów polskich, którzy surowo potępiali rebelię galicyjską. Z uznaniem przytaczał zasłyszane od kogoś słowa Mickiewicza: „W historii Słowian zawsze ten sam akt powtarza się. Chłopi długo znoszą ciemnienie, cierpią, na koniec wyrzynają panów”.

Spieszniw widział w Mickiewiczu bratnią duszę, uważał go za rewolucjonistę. Podobnie sądził Pietraszewski.

Obaj wkrótce zyskali dzielnego sojusznika. Był nim porucznik Mombelli, który ni stąd, ni zowąd zjawił się kiedyś w domku na Kołomnie, przynosząc gotowy pro-

jekt organizacji spiskowej pod nazwą: Bractwo Wzajemnej Pomocy.

Mombelli bardzo liczył na współdziałanie swojego przyjaciela, sztabs-kapitana Makszejew, który właśnie kończył akademię wojskową.

Projekt bractwa uznano za godny uwagi. Ale że opierał się głównie na propagandzie pewnych idei moralnych, a za mało mówił o bezpośredniej akcji rewolucyjnej, więc Spieszniew orzekł, że trzeba go gruntownie przerobić, upraktyczyć.

Zaczęto się krzątać koło urzędnika potajemnej drukarni, aby móc rozpocząć agitację. Zajmował się tym głównie Paweł Filipow.

A Mombelli zajął się pracą literacką, przekładał na język rosyjski utwory Woltera i Mickiewicza.

Pisał też artykuły, przeważnie o dziejach Grecji i Rzymu. Czytywał je kolegom, którzy go odwiedzali. I wpadał w coraz większą hipochondrię.

Mombelli często opowiadał Makszejewowi o swojej przyjaźni z Szewczenką. Młodemu oficerowi ten „Kozak” imponował talentem, wiedzą, ale nade wszystko — charakterem. Szewczenko miał twardą naturę; mimo pewnej zmienności usposobienia, nie poddawał się na długo nastrojom przygnębienia czy apatii. Mimo smutku, z jakim patrzył na świat, zawsze gdzieś na dnie duszy chował pokaźny ładunek optymizmu i wiary w życie.

Mombelli był typowym neurastenikiem. Gwałtownie się zapalał i ożywiał, aby zaraz potem ulec nastrojowi beznadziejności. Serce miał niezwykle miękkie i czułe na niedolę ludzką. Kiedy w jego pułku jednemu z żołnierzy wymierzono karę pięciu tysięcy kijów i oczywiście zmasakrowano go, Mombelli tak jawnie wyra-

zał oburzenie, że raz na zawsze stracił dobrą opinię w oczach przełożonych. Jako oficer przyszłość miał zamkniętą. A w przeszłości nie zaznał nic prócz nędzy.

Razu pewnego Makszejew wstąpił do przyjaciela, aby z nim razem pójść na Kołomnę. Mombelli nie mógł się ruszyć z domu: oddał do reperacji mundur, a miał tylko jeden.

Innym razem koledzy zauważyli na ręce Mombellego draśnięcie, zaklejone plastrem. Dzień przedtem oficer przyłożył lufę pistoletu do podbródka i nacisnął cyngiel. Rękaw szlafroka zaczepił się o kurek, kula poszła w ścianę, kurek przyciął ścięgno.

Z tym wszystkim Mombelli bardziej się martwił o innych niż o siebie. W jednym ze swoich artykułów, których nigdy nie udało mu się opublikować, napisał:

„...O Rosjo! na litość boską, opamiętaj się, póki jeszcze nie wszystkie zasoby się wyczerpały, póki jeszcze można naprawić zło... Mróz mnie przechodzi po kościach, kiedy sobie przypomnę kawałek chleba, którym się żywią chłopci w guberni witebskiej: mąki wcale w tym chlebie nie ma, składa się on z plew, siewki i jakichś chwastów, wyglądem przypomina koński nawóz przemieszany ze słomą. Chociaż jestem przeciwny wszelkim karom fizycznym, chciałbym jednak naszego miłościwie nam panującego monarchę zamknąć na kilka tygodni i dawać mu jedzenie chłopów witebskich.”

Ze wszystkich współwyznawców Butaszewicza najbardziej bojową postawą odznaczał się Spieszniw. Ten bogaty ziemianin guberni kurskiej prześcigał w radykalnych pomysłach nawet samego mistrza i gospodarza zebrań piątkowych.



Rysami twarzy i niewzruszonym spokojem przywoz-  
dził na myśl dawnych surowych trybunów rzym-  
skich.

Nikt inny, tylko właśnie Spieszniw opracował pro-  
jekt deklaracji, którą każdy ze spiskowców musiał  
podpisać. Zaczynała się tak: „Ja niżej podpisany po  
głębokim namyśle i dobrowolnie przystępuję do orga-  
nizacji rosyjskiej i biorę na siebie następujące zob-  
owiązania...” Punkt pierwszy głosił: „Kiedy komitet  
wykonawczy stowarzyszenia, zorientowawszy się w si-  
łach organizacji, okolicznościach bieżących i nadarza-  
jącej się okazji, postanowi, że nastał czas buntu, zob-  
owiązuję się, ryzykując życiem, wziąć całkowity, jaw-  
ny udział w powstaniu i walce, to znaczy, po wezwa-  
niu ze strony komitetu zobowiązuję się stanąć w ozna-  
czonym dniu, o oznaczonej godzinie, w oznaczonym  
miejscu; zobowiązuję się stanąć tam, uzbroiwszy się  
w broń palną albo sieczną, albo jedną i drugą, z nara-  
żeniem życia wziąć udział w walce i wedle możliwości  
dopomagać do zwycięstwa powstania”.

Deklarację podpisało szereg osób, między innymi  
Mombelli. Spieszniw jakoś się nie spieszył.

Pietraszewski wyjechał do swojej posiadłości  
i z wielkim nakładem energii tudzież środków finan-  
sowych, zadłużywszy się przy tym, dopiął celu: wy-  
budował obszerny dom na siedzibę przyszłego falan-  
steru i wyposażył go we wszystkie niezbędne przed-  
mioty i narzędzia.

Potem wrócił do swoich zajęć w Petersburgu i po  
pewnym czasie udał się na wieś, aby dokonać poświę-  
cenia i uroczystego otwarcia nowej placówki społecz-  
nej. Na miejscu jednak znalazł tylko zgłiszcza. Chło-

pi woleli pozostać przy swoich brudnych, zbutwiałych chałupach i nędznych własnych skrawkach ziemi.

Pietraszewski ze swymi pomysłami wydał im się obłąkańcem.

Wciąż oczekując epokowych wypadków w Europie i próbując organizować siły rewolucyjne w kraju, Pietraszewski coraz częściej zwracał się myślą ku Polakom, Ukraińcom i Czerkiesom.

Polacy znani byli jako świetni spiskowcy, poza tym mieli dobrze urządzone ośrodki dyspozycyjne za granicą.

Emigrantów polskich miał do idei Pietraszewskiego przyciągnąć Spiessniew. Na terenie imperium mógł się tą sprawą zająć Jastrzębski. Był Polakiem; gorliwie przychodził co piątek na zebrania; grzmiał tubalnym głosem i nawoływał do czynu.

Zresztą do kółka należał jeszcze jeden zdolny Polak, rodem z Ukrainy, Rudolf Żukowski, malarz, wychowanek Akademii Petersburskiej. Wiadomo o nim było, że się przyjaźnił z Szewczenką.

Jeśli chodzi o Ukrainę, Pietraszewski po rozmowach z Mombellim i Strandmannem, którzy cuda opowiadali o Szewczence, nie mógł wymarzyć lepszego duchowego przywódcy ruchu niżli autor *Kobzarza* i *Hajdamaków*. Szewczenko właśnie przebywał w Kijowie. Z Charkowa zaś przyjeżdżał kilkakrotnie i niemal zgłosił już akces do mającego powstać stowarzyszenia młody magister matematyki, Mikołaj Hołowko. Kręcił się również po Petersburgu student Uniwersytetu Charkowskiego, Eustachy Wróblewski, młody, energiczny, rewolucyjnie usposobiony patriota polski i demokracja. Kilku znajomych mówiło o nim Pietraszew-

skiemu w słowach nader pochlebnych. Między innymi Filipow.

Kaukaz był terenem nieustannych walk. Imię Szamila stało się głośne w całej Europie. W kołach rewolucyjnie nastrojonej młodzieży wszelkich narodowości krążył w odpisach poemat Szewczenki opiewający bohaterskie boje górali i piętnujący gwałty czynione przez carat.

Pietraszewski szukał kogoś, kto mógłby namówić Czerkiesów do wspólnej akcji.

Chanykow studiował orientalistykę. Po pewnym czasie został relegowany z uniwersytetu za „niebłagomądiożnoje powiedienije”. Po prostu zbyt dużo i zbyt głośno mówił.

Nie przestał jednak chodzić na wykłady. Razu pewnego w szatni poznał się z młodym studentem pierwszego roku filozofii, który zrobił na nim niezwykle korzystne wrażenie. Zaczęli rozmawiać o sprawach społecznych i wkrótce się zaprzyjaźnili.

Młody student był synem popa i nazywał się Mikołaj Czernyszewski.

Kiedyś Chanykow dał Czernyszewskiemu do przeczytania drugi tom pism swojego ubóstwianego mistrza, Karola Fourier.

Po kilku dniach Czernyszewski zwrócił książkę i zwięźle zrecenzował ją przyjacielowi:

— Miałem wrażenie, że czytam jakąś mistyczną, średniowieczną książkę albo broszurę naszych raskolników; jest tu trochę rozsądnych myśli, ale zarazem mnóstwo absurdów.

Czernyszewski był wrogiem wszelkich zawilóści. A jutro świata widział w formach klasycznych — jasnych i prostych.

Lew Perowski, brat rodzony eks-komendanta korpusu orenburskiego, od kilku lat sprawował funkcje ministra spraw wewnętrznych. Uchodził za człowieka wykształconego; zajmował się badaniem starożytności rosyjskich.

Jego prawą ręką w ministerstwie, jako urzędnik do specjalnych zleceń, był pułkownik Liprandi, historyk, autor prac naukowych, a zarazem szef tajnej policji, podległej ministrowi spraw wewnętrznych.

Między tą policją a żandarmerią generała Dubelta, podlegającą Wydziałowi Trzeciemu, toczyła się głucho, zawzięta walka o wpływy na dworze, u cara.

Kiedy Liprandi dowiedział się o zebraniach piątkowych u Pietraszewskiego i stwierdził, że hrabia Orłow nie jest o tym poinformowany, zatarł ręce z uciechy.

Roman Strandmann przebywał dłuższy czas w Jahotynie u Repninów. Kiedy w związku z projektami utworzenia tajnej organizacji spiskowej koledzy i przyjaciele postanowili go ściągnąć do Petersburga, a nawet pomogli mu w tej sprawie, młody zapaleniec nie posiadał się z radości. Przed wyjazdem napisał do Szewczenki list: „Niezwykłe rzeczy, cuda po prostu dzieją się na świecie! Wyobraź sobie, Tarasie, że podobno mam jechać do Petersburga, a sam tyle wiem o tym, co i ty; powiadają nawet, że jadę nie dalej niż w sobotę... Przyjedź, na litość boską, do Jahotyńna choć na jeden dzień, przykro byłoby mi rozstać się bez pożegnania, a przy tym kto wie kiedy się zobaczymy. Chciałbym o wielu rzeczach porozmawiać z tobą — wspaniały poeta, zacny druhu, ostatni z Kozaków!”

Szewczenko nie mógł przyjechać, gdyż leżał podówczas chory.

- Odwlokła się w ten sposób i nigdy się już nie odbyła rozmowa dwóch przyjaciół, ożywionych tym samym duchem rewolucyjnym.

Uniwersytet Petersburski, podobnie jak Kijowski i Charkowski, w piątym dziesięcioleciu skupiał liczny zastęp młodzieży polskiej. Prawie trzecią część studentów stanowili Polacy. W innych uczelniach stołecznych, nie wyłączając Akademii Sztabu Generalnego, żywioł polski był również licznie reprezentowany. Młodzież ta nie skąpiła czasu i energii na tajne organizowanie się w celach narodowych i społecznych.

Prawie w tym samym czasie, co Czernyszewski, wstąpił na uniwersytet w Petersburgu młody żytomierzanin, Zygmunt Sierakowski.

Niebawem stał się on postacią główną nie tylko wśród młodzieży, ale i w starszym społeczeństwie polskim Petersburga. Umiał przyciągać do siebie kolegów i zapalać ich do działalności patriotycznej. Tworzył ideały i pragnął je urzeczywistnić.

W krótkim czasie udało mu się połączyć w jedno kółko nie tylko młodzież uniwersytecką, ale i wychowanków wszystkich innych szkół, nie wyłączając wojskowych. Wywierał na ludzi niemal magiczny wpływ.

Do najbliższych współtowarzyszy Sierakowskiego należeli: Baltazar Kalinowski i Józefat Ohryzko. Wszyscy oni prowadzili zaciętą polemikę z grupą Rzewuskiego i Przeclawskiego, wydającą „Tygodnik Petersburski”. W oczach autora *Mieszanin obyczajowych* Sierakowski już wtedy uchodził za niebezpiecznego radykała.

W czasie wakacji Sierakowski odbywał podróże na Litwę i na Wołyń, nawiązywał stosunki towarzyskie, przestawał z chłopami i rzemieślnikami, często dzie-

ląc ich pracę, a ognistym słowem budząc tradycje i uczucia narodowe. Opowiadał ludowi, jak to było dawniej, że wolność od dawna jest mu przyrzeczona, tylko „Moskale dać jej ludowi nie pozwalają”.

W Wilnie poznał Sierakowski patriotyczne rodzeństwo Dalewskich, złożone z czterech braci i sześciu siostr. Dwaj najstarsi bracia, Aleksander i Franciszek, utworzyli w tym czasie konspiracyjny Związek Bratni, do którego wciągnęli głównie elementy plebejskie. Wynikiem znajomości Sierakowskiego z nimi było połączenie kółka petersburskiego z organizacją wileńską.

Również w Wilnie poznał się Sierakowski z grupą młodych, demokratycznie nastrojonych literatów, Edwardem Żeligowskim i Romualdem Podbereskim, którzy z Petersburga przeniósł się na Litwę i wydawał tutaj „Rocznik Literacki”. Przez nich nawiązał cenną znajomość z wychowankiem Uniwersytetu Dorpackiego, ziemianinem z Mińszczyzny, Bronisławem Zaleskim. Wszyscy wymienieni przyjaźnili się z Eustachym Wróblewskim, studentem medycyny w Charkowie, wilmnianinem i członkiem Związku Bratniego, mającym dobre koneksje wśród pietraszewczyków.

Sieć spisku polskiego objęła wkrótce niemal całą Litwę i Białoruś, a przez Wróblewskiego sięgnęła również na Ukrainę.

## VIII

Jeszcze w końcu kwietnia zjechał do Kijowa na dłuższy pobyt Afanasjew-Czużbiński. Zaproponował Szewczence wspólne mieszkanie. Dobrali jeszcze do spółki Michała Sażyna, malarza, z którym Taras kolegował w akademii, i wynajęli drewniany parterowy

domek z mansardą przy uliczce zwanej Kozie Błoto, nie opodal placu Carskiego.

Sażyn również współpracował z Komisją Archeograficzną. Po powrocie z Chwastowa Szewczenko i Sażyn przez parę miesięcy szkicowali ołówkiem i akwarelą widoki miasta i ciekawsze zabytki. Wychodzili obaj z rana i wracali wieczorem, zmęczeni, ale w dobrych humorach i przy apetycie. Siadywali potem we trzech do późnej nocy i dzielili się wrażeniami dnia.

Odwiedzał też Szewczenko znajomych. Krąg znajomości jego szybko się rozszerzał. Poeta kochał naddnieprzańskie miasto i chętnie przestawał z jego mieszkańcami. Szczególnie lubił towarzystwo sklepikarzy i rzemieślników, którzy ze wzruszeniem wspominali czasy „magdeburgii”, skasowanej przez Mikołaja.

Lubił również siadywać samotnie nad Dnieprem i patrzeć na zarzeczną równinę, na wyspy, na statki płynące po rzece. Najczęściej chodził o wieczornej porze na ganek Ławry albo na wysoką skarpe za monasterem Świętego Michała.

Bywał u Tarnowskich, którzy mieli dom w Lipkach, u gubernatora Fundukleja, miłośnika sztuki i właściciela pięknej galerii obrazów, oraz u Józefowicza, który często zapraszał poetę, interesując się jego działalnością, jako członek Komisji Archeograficznej.

Józefowicz był również zastępcą kuratora okręgu szkolnego i z tej racji czuwał nad życiem młodzieży, zwłaszcza uniwersyteckiej. Studenci nazywali go po prostu oberszpiclem.

Szewczenko w jego domu poznał niejakiego Askoczeńskiego, eks-wykładowcę seminarium duchownego, trochę poetę, trochę dziennikarza. Askoczyński był wtedy nauczycielem domowym u generała Bibikowa i zajmował pokój w mieszkaniu satrapy.

Wspólne zainteresowania literackie przyczyniły się

do zawarcia bliższej znajomości, Szewczenko zaczął bywać u Askoczeńskiego. Niefrasobliwość Tarasa była tak wielka że, ujęty miłymi słówkami gospodarza, wyrecytował po kolei wszystkie swoje wiersze, nie wyłączając *Rozkopanej mogiły* i *Chłodnego Jaru*.

Askoczeński zwrócił mu kiedyś uwagę na skutki podobnej nieostrożności, ale Taras niewiele się tym przejął. Wkrótce, będąc u Tarnowskich, wygłosił wobec licznie zgromadzonej elity ziemiańskiej swój *List przyjacielski*. Wrażenie wywarł ogromne; zwłaszcza gdy gniewnie piętnował zdrajców ojczyzny „jasnowielmożnych hetmanów”. Obecni czuli się jednak nieswojo, słysząc różne niebłagonadiożne powiedzenia.

We wrześniu generał-gubernator Bibikow delegował Szewczenkę na zachodnią Kijowszczyznę, Wołyń i Podole.

Tych stron poeta jeszcze nie znał. Droga wiodła przez Berdyczów i Żytomierz do Kamieńca Podolskiego.

W Kamieńcu zamieszkiwał wtedy przyjaciel Kulisza i Kostomarowa, nauczyciel miejscowego gimnazjum, zapalony etnograf Piotr Czujkiewicz. Pomógł on Szewczence zebrać dużo materiałów folklorystycznych i archeologicznych.

Szewczenko z zaciekawieniem oglądał malownicze miasto, budzące tyle wspomnień z dziejów Polski i Ukrainy. Ożyła w rozmowach z Czujkiewiczem postać Karmaluka. Nauczyciel zapoznał Szewczenkę z pieśnią ludową: *Oj Karmalucze, po switu chodysz...*

Chłopi nie wierzyli w śmierć swojego bohatera. Z ust do ust podawali sobie wieści o jego nowych czynach. Każdy wybuch buntu, każdą ruchawkę na wsi przypisywali jemu i jego wojakom.



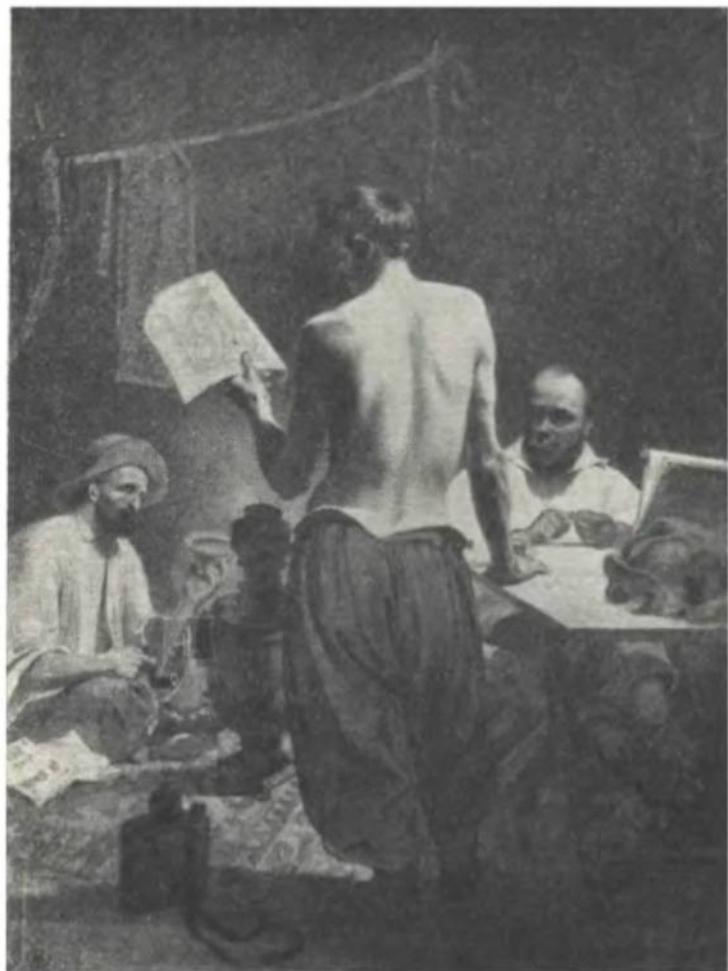
Szewczenko wspominał dyskursy o kwestii chłopskiej, prowadzone w salonie Świdzińskiego, i gorzko się uśmiechał.

Pod koniec października znalazł się w Poczajowie. Namalował kilka widoków Ławry, a z jej tarasu oglądał niedaleki Podkamień, leżący już za granicą. Tędy biegła główna droga przemytu nielegalnych druków z Zachodu na Ukrainę. Zajmowali się tym Polacy. Tu najprędzej docierały wieści zza kordonu — ze Lwowa, Krakowa, Pragi, Drezna i Paryża.

Następnie udał się Szewczenko do Wiśniowca, obejrzał pole bitwy pod Beresteczkiem i zamek królowej Bony na Krzemienieckiej Górze oraz odświeżył w pamięci historię słynnego liceum; portret jego twórcy wciąż jeszcze wisiał w sali Pierwszego Gimnazjum w Kijowie.

Wszyscy w Krzemieńcu mówili o śmierci byłego wychowanka liceum, a potem Wszechnicy Wileńskiej, doktora filozofii i medycyny, krzewiciela homeopatii, Leona Uszczapowskiego. Znakomity lekarz ten, mieszkając długie lata w Skwirze, Bałocie i Niemirowie, zasłynął wśród miejscowej ludności jako niezrównany opiekun i przyjaciel wszystkich cierpiących i nieszczęśliwych. Wspominali go z serdecznym żalem zarówno Polacy, jak i Ukraińcy. Mienił się przyjacielem jednych i drugich; nazywano go złotym ogniwem łączącym oba narody.

Jechał Szewczenko dalej przez Ostróg, Dubno, Korzec, Zwiahel i Żytomierz z powrotem do Kijowa. Oglądał po drodze miejsca upamiętnione w historii, rysował ciekawsze zabytki architektoniczne i pejzaże oraz zapisywał pieśni i dумы. Prowadził też notatnik podróży, w którym utrzymywał wrażenia i refleksje. „Na polach Wołynia i Podola — pisał w jednym z fragmentów — można podziwiać malownicze ruiny staro-



**Szewczenko i towarzysze zesłania (Bronisław Zaleski i Ludwik Turno). Taras Szewczenko. Sepia, 1851**



**W jurcie kirgiskiej (inaczej: Trio). Taras Szewczenko. Sepia, gwasz, 1851**

żytnych masywnych zamków i pałaców, niekiedy przepięknych, jak na przykład w Ostrogu albo Korcu. W Korcu nawet kościół, zbiornik balsamowanych trupów rodziny książąt Koreckich, sam się rozwalił. O czymże mówią te ruiny? O czym świadczą ci ponury świadkowie przeszłości? O despotyzmie i niewoli! O chłopach i magnatach!”

Dwie pokaźne teki rysunków i akwarel, jedna z Kijowa, druga z Podola, Wołynia i Polesia, stanowiły dorobek malarski Szewczenki z okresu jego współpracy z Komisją Archeograficzną.

Talent Szewczenki wydał tu dzieła niepospolicie piękne i oryginalne. Ich walory artystyczne uwydatniały się przy porównywaniu z dziełami innych malarzy, na przykład Sażyna, który podobnie jak Szewczenko wykonywał zlecenia komisji. Sażyn malował zwyczajne panoramy, bezduszne i banalne; Szewczenko tworzył kompozycje, w których wychodziły na jaw cechy przedmiotów niewidoczne dla przeciętnego oka. Kiedy przedstawiał jakiś zabytek architektury, umiał go pokazać w odpowiednim oświetleniu i z odpowiedniego punktu, tak iż zmuszał widza do zwrócenia uwagi na najistotniejsze właściwości budowli, na jej „duszę”. Każdy obraz Szewczenki miał dobrze upatrzone i pomyślane centrum kompozycyjne. Panoramiczne widoki Sażyna niewiele się różniły od barwnych dagerotypów robionych przez człowieka nie umiejącego patrzeć na przyrodę po malarsku. Szewczenko każdy pejzaż z reguły ożywiał postaciami ludzi i zwierząt.

Empirowy, niezbyt udany, ciężkawy budynek kościoła katolickiego w Kijowie nabrał na obrazie Szewczenki nieoczekiwanej lekkości i wdzięku. Jest to

„portret” kościoła, odsłaniający najlepsze strony jego „fizjonomii.”

Akwarele przedstawiające Ławrę Poczajowską od południa i od zachodu oraz wnętrze cerkwi klasztornej świadczą o tym, jak głęboko wniknął Szewczenko w ducha dawnych stylów architektonicznych. Obrazy te w sposób niezwykle prosty a sugestywny uprzytamniają widzowi istotę ukraińskiego rokoka, jego wydłużone, niemal gotyckie proporcje, jego strzelistość i wytworność.

Jeśli chodzi o sztukę światłocienia, Szewczenko był jednym z pierwszych w malarstwie dziewiętnastego wieku.

Nie darmo tyle godzin poświęcił na studiowanie mallowideł i sztychów Rembrandta.

Szewczenko, mimo wieloletniego już przebywania w miastach, i to dużych miastach, nie wyzbył się pewnych zasad i zwyczajów właściwych wieśniakom.

Ludzie na wsi wczesnie się żenią. Zwyczaj ten wiąże się z warunkami życia wiejskiego.

Bracia i siostry Szewczenki dawno już pozakładali rodziny, a on wciąż pozostawał samotnikiem, bobyłem. To go gnębiło.

Próba ożenku z Feodosją Koszycówną wynikła przede wszystkim z takiej wieśniaczej tradycji ogniska domowego. Zamiar Szewczenki powstał w naturalnych warunkach: we wsi rodzinnej.

I chociaż ta pierwsza próba się nie udała, Szewczenko nie przestał tęsknić za ciepłem rodzinnym i własnym kątem.

Ale jakiś pech go prześladował.

Razu pewnego na ganku Ławry poznał dwie starsze niewiasty, siostry, oraz córkę jednej z nich, dziewczyn-

nę siedemnastoletnią, urodziwą i ognistą. Zaczął asystować pannie i po pewnym czasie zwierzył się Czuzbińskiemu, że jest na drodze do ożenku. Aliści wkrótce spotkał go przykry zawód. Panna okazała się zaręczona z kim innym i wyjechała.

Szewczenko postanowił osiąść w Kijowie na stałe. Właśnie zwolniono na emeryturę nauczyciela rysunków w Uniwersytecie Kijowskim, Kapitona Pawłowa. Za namową przyjaciół Szewczenko złożył podanie o przyjęcie go na tę posadę. Pensja nie była zbyt duża, ale przy dochodach z malarstwa dawała możliwość przyzwoitego utrzymania się i zapewniała niezłą pozycję społeczną. Stały kontakt z młodzieżą stwarzał perspektywę szerszej działalności społecznej.

Sprawa powędrowała przez kuratorium okręgu szkolnego do Petersburga, a tymczasem władze uniwersyteckie nieoficjalnie zezwoliły Szewczence na udzielanie lekcji rysunków.

Powróciwszy z wołyńsko-podolskiej podróży wznowił Szewczenko spotkania z bratczykami, a przede wszystkim z Biłozerskim, Hułakiem i Kostomarowem.

Schodzono się kolejno to u jednego, to u drugiego, to u trzeciego i omawiano *Księgi bytu*. Miały one zawierać całą filozofię narodową: pogląd na dzieje Ukrainy i jej przyszłe losy.

Wszyscy czterej uczestnicy dyskusji dobrze znali *Księgi narodu i pielgrzymstwa polskiego* Adama Mickiewicza i zarówno w treści *Ksiąg bytu*, jak i w ich stylizacji, naśladowali utwór Polaka.

Naśladując, układali jednak dzieło dostatecznie oryginalne, aby je można było uznać za samorodny wytwór kultury ukraińskiej.

Trzy idee zasadnicze złożyły się na strukturę my-

ślową tej swoistej ewangelii bratczyków: idea chryścianizmu jako podstawy moralnej wszelkiego życia społecznego, idea zjednoczenia Słowiańszczyzny oraz idea narodowości zabarwiona mesjanizmem ukraińskim.

*Księgi bytu*, podobnie jak *Księgi narodu i pielgrzymstwa polskiego*, rozpoczynały genesis od stworzenia świata. Omawiając kolejno różne epoki rozwoju ludzkości, poprzez historię Grecji i Rzymu autorzy dochodzili do dziejów Słowiańszczyzny, a w szczególności Polski, Litwy, Moskwy i Ukrainy.

O ile przy roztrząsaniu tej pierwszej, wstępnej niejako części historycznej, dość starannie opracowanej przez Kostomarowa, opinie czterech bratczyków były mniej więcej zgodne, o tyle część dalsza, zwłaszcza dotycząca bezpośrednio Ukrainy, wywołała ożywioną polemikę, w której zarysowały się poważne różnice zdań pomiędzy Szewczenką a Kostomarowem.

Zarówno pogład na dzieje Kozaczyzny od czasów Chmielnickiego, jak i ocena wpływów moskiewskich na Ukrainę tudzież nadzieje pokładane w przyszłej federacji słowiańskiej — wszystko to inaczej wyglądało w ujęciu młodego profesora Uniwersytetu Kijowskiego, inaczej zaś w ujęciu autora *Hajdamaków*.

Kostomarow nader ostrożnie formułował myśli i wyraźnie unikał akcentów antycarskich. Ugodę perejaślawską i wszystkie płynące z niej skutki uważał za konieczność dziejową. Godził się na prymat Rosji w Słowiańszczyźnie. Jakieś niezbyt szerokie prawa autonomiczne w obrębie federacji słowiańskiej uważał za szczyt tego, o co może się ubiegać Ukraina.

Szewczenko w sposób najjaskrawszy i najgwałtowniejszy potępiał carów, zwłaszcza Piotra i Katarzynę, miał ich za sprawców wszystkich nieszczęść Ukrainy, a Chmielnickiego potępiał za lekkomyślnie zawartą

ugodę, której warunki nie zostały przez carat dotrzymane. Nie uznawał przewagi jednego narodu nad drugim, a federację narodów słowiańskich pojmował jako związek wolnych z wolnymi i równych z równymi.

Zabarwienie religijne, jakie całej koncepcji *Ksiąg bytu* nadawał Kostomarow, było Szewczence jeśli nie obce, to najzupełniej obojętne.

Kiedy po kilkunastu takich zebraniach dyskusyjnych Szewczenko przyniósł bratczykom poprawione rozdziały *Ksiąg bytu*, Kostomarowem strach owładnął. Ale Szewczenko, podtrzymany przez Hułaka, potrafił przeforsować swoją wersję. Autorytet poety był już mocno ugruntowany.

Ostatecznie więc paragrafy odnoszące się do dziejów Ukrainy i jej posłannictwa wyraziły następującą koncepcję:

Plemię słowiańskie, najmniejszy brat w pokoleniu Jafeta, ma wszystkie cnoty, a światło prawdziwej wiary spłynęło na nie dzięki apostołom Cyrylowi i Metodemu. Między Słowianami wynikły jednak niesnaski, podzielili się na panów i niewolników, za co Bóg poddał Słowian władzy innych narodów. Miłosierdzie boskie sprawiło, że po pewnym czasie powstały trzy państwa słowiańskie: Polska, Litwa i Moskwa.

Polska i Moskwa nie stanowiły ideału państwa chrześcijańskiego, gdyż pierwsza grzeszyła nierównością społeczną, a druga bałwochwalczym uwielbieniem carów. Idealnie natomiast rządziła się Litwa i złączona z nią Ukraina.

„A Litwa pojednała się z Polską — czytał na głos Szewczenko paragraf siedemdziesiąty pierwszy. — I pojednała się Ukraina z Polską, jak siostra z siostrą, jak jeden lud słowiański z drugim ludem słowiańskim, nierozdzielnie i niez mieszanie, na wzór hipostazy bo-



zej, nierozdzielnej i niezmieszanej, jak kiedyś pojedynają się z sobą wszystkie narody słowiańskie.”

Ukraina miała ustrój doskonały, gdyż zasadą jego było braterstwo, zwane Kozaczyzną.

„I dzień po dniu rosło i pomnażało się Kozactwo, i niezadługo byliby na Ukrainie sami Kozacy, wolni i równi, nie miałyby Ukraina nad sobą ani cara, ani pana — oprócz Boga, i za przykładem Ukrainy, tak samo zrobiłoby się w Polsce, a potem w innych krajach słowiańskich” — głosił paragraf siedemdziesiąty szósty.

Tymczasem jednak władzę nad Ukrainą zdobyli magnaci polscy oraz jezuici i dopuszczali się na ludzie ukraińskim i Kozakach straszliwego ucisku: „żywcem zdzierali z nich skórę, w kotłach gotowali dzieci, a matkom kazali żywić piersią szczenięta.”

I Ukraina zmuszona była zjednoczyć się z Moskwą, i popadła w niewolę carską, równie okrutną, jak niewola magnacka i jezuicka. A wszakże Ukraina kochała i Moskali, i Polaków, i niczego innego nie pragnęła, tylko tego, aby istniały połączone węzłem braterskim trzy państwa, trzy rzeczpospolite: polska, ukraińska i moskiewska — na wzór Trójcy Świętej, nierozdzielnej i niezmieszanej.

Ukraińcy chwycili za oręż i bili się lat pięćdziesiąt. Była to najświętsza i najślawniejsza wojna o wolność w dziejach ludzkości. Ale Polska i Moskwa podzieliły Ukrainę pomiędzy siebie i ten podział stanowi rzecz najohydniejszą, jaką można znaleźć w historii.

I na prawym brzegu zapanowali magnaci polscy nad biedną resztą wolnego narodu, a na lewym carowie moskiewscy niszczyli Kozactwo.

„Imperator petersburgskij — czytał po ukraińsku Szewczenko paragraf dziewięćdziesiąty i dziewięćdziesiąty pierwszy — położyw sotni tysiacz w kanawach

i na kostiach zbuduwaw sobi stołyciu”.” „A nimka carycia Kateryna, kurwa wseswitnia, bezbożnyca, ubijnyca muza swoho, wostanie dokonała Kozactwo i wolu, bo odibrawszy tych, kotri były w Ukraini starszymy, nadiłyła jich panstwom i zemlamy, ponadawała jim wilnu bratiju w jarmo i porobyła odnych panamy, a druhyh newolnykamy.”<sup>1</sup>

Polska odpokutowała winy swoje wobec Ukrainy, bo kiedy chciała przez Konstytucję Trzeciego Maja zaprowadzić równość, trzy mocarstwa ościenne dokonały jej rozbioru.

Ale Polska nie zginie — głosił paragraf dziewięćdziesiąty dziewiąty — gdyż ją obudzi Ukraina, która nie pamięta zła i kocha siostrę swoją tak, jakby nic nie zaszło pomiędzy nimi.

„I wstanie Ukraina ze swojej mogiły — zapowiadał paragraf setny trzeci i setny czwarty — i znowu się odezwie do wszystkich braci swoich, Słowian, i ci usłyszą krzyk jej, i wstanie Słowiańszczyzna, i nie będzie już więcej ani cara, ani carewicza, ani carówny, ani księcia, ani grafa, ani hercoga, ani jasności, ani eks-celencji, ani pana, ani bojarzyna, ani pańszczyźniaka, ani poddanego — ani w Moskiewszczyźnie, ani w Polsce, ani w Ukrainie, ani w Czechach, ani u Chorwatów, ani u Serbów, ani u Bułgarów.

I Ukraina będzie niepodległą Rzeczpospolitą w Związku Słowiańskim.”

---

<sup>1</sup> Imperator petersburski położył setki tysięcy ludzi w kanałach i na ich kościach zbudował sobie stolicę. A Niemka caryca Katarzyna, ladacznicą głośną na cały świat, bezbożnicą, zabójczynią męża swego, do reszty wyniszczyła Kozaczyznę i wolność, bo, wybrawszy tych, którzy byli na Ukrainie starszyzną, obdarzyła ich władzą i majątkami, ponadawała im wolnych braci w jarzmo i porobiła jednych panami, a drugich niewolnikami.

Mickiewicz moralnemu upadkowi i zmateralizowaniu wszystkich narodów przeciwstawiał idealną Polskę, która dzięki swym cnotom przyczyni się do zbawienia całej ludzkości.

Podobne posłannictwo wyznaczali Ukrainie autorzy *Książ bytu*, ale ukazali ją w triadzie, jako osobę drugą w trójcy narodów: polskiego, ukraińskiego i rosyjskiego. Ukraina miała stać się męczenniczką i odkupicielką Słowiańszczyzny, miała wyzwolić Polskę i przeobrazić Rosję.

*Księgi* Mickiewicza obracały się dokoła zagadnień politycznych, *Księgi* zaś ukraińskie poruszały również, i to bardzo dobitnie, kwestię społeczną.

Oba utwory stały się ewangeliami dwóch słowiańskich narodów, budziły wiarę w ich zmartwychwstanie.

Gdy tylko *Księgi bytu* przy czynnym udziale Szewczenki zostały ostatecznie zredagowane, bratczykowicze zajęli się gorliwie ich przepisywaniem oraz tłumaczeniem na język polski i rosyjski.

Z chwilą powstania *Książ bytu* ukraińskie odrodzenie narodowe zyskało dokument historyczny pierwszorzędnej wagi.

W kole młodych patriotów ukraińskich Szewczenko cieszył się coraz większym autorytetem. Kostomarov i Kulisz schodzili wobec niego na drugi plan.

## IX

Szewczenko na Kozim Błocie miał świetne warunki do pracy i odpoczynku: pełno zieleni dokoła, dobre powietrze, odludzie.

Właściciel domku, niejaki Żytnicki, był spowinowacony ze Stefanem Przewłockim, nauczycielem rysun-

ków Tarasa z czasów dzieciństwa z Olszany. Szczegół ten jeszcze bardziej wiązał Szewczenkę z tym uroczym zakątkiem.

Ciszę mąciły czasem śpiewy rozlegające się w domu po drugiej stronie zaułka. Śpiewano po polsku. Mieszkał tam jakiś Polak. Przychodzili do niego koledzy.

Szewczenko też lubił śpiewać. Wracając do domu ścieżką od Chreszczatyku zawsze coś nucił.

Aż kiedyś usłyszał, że sąsiad śpiewa po ukraińsku:

Oj, u łuzi krynyceńka, orły wody pjut',  
A wże moju myleńkuju do szlubu wedut'...

Szewczenkę mile to uderzyło. Niewiele się namyślając poszedł z wizytą do sąsiada. Zastał na ganku młodego studenta.

— Dobryj wieczir — powiedział Szewczenko uchylając słomkowego bryła.

— Dobryj wieczir — odrzekł student również po ukraińsku i wpatrzył się w gościa. — Brat czy wróg? — zapytał po chwili.

— Brat — powiedział Szewczenko.

Znajomość została zawarta. Student nazywał się Julian Belina-Kędrzycki, chodził na filologię i w wolnych chwilach parał się z poezją.

Młodzi ludzie zaprzyjaźnili się — zbliżyły ich wiersze i pieśni.

Kędrzycki był autorem piosnki, chętnie i często śpiewanej przez młodzież kijowską: *Hej, koledzy, precz frasunek.*

Druga zwrotka, najpopularniejsza, brzmiała:

Chociaż przemoc się zawzięła,  
Jeszcze Polska nie zginęła!  
Bo gdzie jeszcze  
Żyją wieszczce,

Żyje naród tam!  
A nasz Adam żyje miły,  
Nasz Irydion pełen siły,  
I Bohdanek,  
Nasz kochanek,  
Jeszcze śpiewa nam!

Przyjaciele rozmawiali o sprawach, które wtedy żywo obchodziły wszystkich: o stosunkach polsko-ukraińskich, o wzajemności słowiańskiej, o Rosji.

Razu pewnego przed wieczorem przybiegł Szewczenko do Beliny i zaprosił go do siebie:

— Przyjdź, jak się ściemni. Wprost na górę. Poznasz Kostomarowa.

Belina zjawił się w mansardzie.

— Mykoły nie ma — powiedział Szewczenko. — To taki człowiek, że nie ufa ani Bogu, ani diabłu. Mówię mu: „Posłuchaj, chcesz słowiańskimi rękami budować nowy świat, a boisz się zagadać o tym do Polaków. Więc z kim będziesz budował? Z naszymi panami nic nie wskórasz”. A on mi na to: „Biliśmy się długo z Polakami — nie wierzę.” Tłumacz głupiemu! Biliśmy się, póki było o co, ale obecnie i nas, i ich jedna ręka gładzi po głowie. Czas się opamiętać. Ledwom go namówił, żeby z tobą porozmawiał. Będzie jutro.

Nazajutrz spotkanie doszło do skutku. Historyk miał wyjaśnić cel jego, ale mimo nalegań Szewczenki wyraźnie się ociągał. Kiedy wreszcie zaczął mówić o sprawie zjednoczenia Słowian, tłumaczył to tak mętnie, że Kędrzycki niewiele mógł zrozumieć.

— Trzeba się zebrać i gruntownie przedyskutować tę sprawę — powiedział Kostomarow. — Trzeba założyć bractwo, do którego weszliby uczeni ludzie słowiańscy. Niech się najpierw dobrze poznają, zanim coś przedsięwzują.

— Ale ktoś musi nimi kierować — odezwał się

Szewczenko — i musi im przyświecać jakaś wspólna idea.

— Wszystkim Słowianom musi przewodzić car prawosławny, a łączyć ich powinna wiara prawosławna — oświadczył Kostomarow.

— A niechże cię! — uniósł się Szewczenko. — Ty, Mykoła, chciałbyś wszystkich Słowian oddać w ręce popów i żandarmów! — I dodał po chwili: — Trudna sprawa z tą naszą federacją.

Kędrzycki pokiwał głową. Istotnie: Polaków i Ukraińców z jednej strony gnębią Niemcy, a z drugiej carat. Jakże sobie w takich warunkach wyobrazić federację?

— Ma pan na myśli założenie jakiegoś towarzystwa naukowego? Czy rząd na to pozwoli? — zapytał.

— Trzeba je tak nazwać — odrzekł Kostomarow — żeby nie kłuło w oczy. Na przykład: Bractwo Cyryla i Metodego.

Najwidoczniej miał już gotowy plan, ale nie chciał się wywnętrzać przed obcym.

Kędrzyckiemu poglądy Kostomarowa nie bardzo przypadły do gustu. Polacy prowadzili z caratem walkę na śmierć i życie. Pod taką federacją, jakiej chciał Kostomarow, nikt by się nie podpisał. Nie przebrzmiały jeszcze echa wiernopoddańczych projektów Michała Grałbowskiiego i renegackiej elukubracji Jarosza Bejły, które tyle krwi napsuły patriotom polskim.

Szewczenki nie trzeba było co do tego przekonywać. Zdawał sobie sprawę, że poglądy Kostomarowa mogły tylko zrazić, a nie zachęcić Polaków do współdziałania. Polacy jednak stanowili żywioł rewolucyjny, stale organizujący się do walki o wolność, idea zaś słowiańska liczyła wśród nich wielu gorących zwolenników.

Należało ich pozyskać dla wspólnej sprawy.

Szewczenko zaczął na własną rękę wtajemniczać Kędrzyckiego w zamysły bratczyków. Pokazał mu *Księgi bytu narodu ukraińskiego*.

Kędrzycki zaś rozmawiał o tym ze swoimi kolegami, wśród których byli tacy świetnie zapowiadający się młodzieńcy, jak Antoni Pietkiewicz i Aleksander Jabłonowski.

Jak było do przewidzenia, odnieśli się oni nader powściągliwie do Kostomarowa, natomiast w Szewczen-ce powitali współwyznawcę idei słowiańskiej i sojusznika w walce z caratem. Znali Szewczenkę jako autora *Kobzarza* i *Hajdamaków*, mimo to nie dopatrywali się w nim wroga polskości. Poeta ujął ich swoją bezpośredniością i głębią uczuć patriotycznych.

Wprawdzie do konkretnych rozmów na temat współdziałania Polaków z Bractwem Cyryla i Metodego nie doszło, ale obie strony były już przygotowane, że takie rozmowy niedługo nastąpią. W każdym razie wśród młodzieży polskiej, zawdzięczając Kędrzyckiemu i Pietkiewiczowi, zbudziło się zainteresowanie do przedsięwzięcia kolegów Ukraińców.

Niebawem przyjechał z Charkowa Eustachy Wróblewski. Ten od razu przystał do bratczyków i obiecał skojarzyć ich ze swoimi wileńskimi i petersburskimi komilitonami, których miał niemało.

Szewczenko i Kędrzycki odbywali częste spacery nad Dniepr, najczęściej do malowniczo położonego Wydubiecza, czyli monasteru Wydubieckiego.

Prowadziła tam ścieżka przez pola i parowy, wśród zarośli nadrzecznych; przed oczyma wędrowców cały czas połyskiwało srebrzyste lustro wody. Wiatr od stepów przynosił zapach bodiaku i palącej się słomy.

Kędrzycki prowadził pamiętnik, który ze względu na oprawę nazwał „czarną książeczką.”

Po którejś przechadzce jesiennej z Szewczenką zapisał:

„Poeta ukraiński w stosunku do Polaków jest bardzo nierówno usposobiony. Niejednokrotnie wymyśla na nich, ale zawsze prawie za rzeczy minione i za ucisk chłopów; mawia jednak przy tym: — Nasi panowie i półpankowie za Dnieprem jeszcze lepsi niż Polacy. Skórę z chłopów drą jak wasi ekonomi. Ale wszystko ma swój koniec...”

Częste wybuchy gniewu Szewczenki na Polaków były sztuczne, książkowe. Wiązały się niewątpliwie z lekturą *Historii Rusów*, która właśnie dzięki staraniom Bodiańskiego wyszła z druku w Moskwie. Szewczenko znał ją od dawna z odpisów, a teraz na nowo się w niej rozczytywał. Z Kędrzyckim toczył spory na temat Kozaczyzny i koliszczyzny. Kędrzycki myślał o hajdamakach podobnie jak Goszczyński, nie potępiał ich, ale też nie podzielał poetycznego zachwyty Szewczenki; zwracał uwagę, że nawet znani poeci ukraińscy, jak Leon Borowikowski, pisząc o hajdamakach nazywają ich rozbójnikami.

Szewczenko podzielał wiele krytycznych uwag Polaków, ale trwał przy swoim: dla niego hajdamacy byli rycerzami wolności.

Nie mógł przecie zapomnieć, że jego dziad rodzony, żyjący jeszcze świadek tamtych czasów, był wtedy wolnym człowiekiem. Niewola rodziny Szewczenków zaczęła się właśnie po upadku koliszczyzny.

Szewczenko swoim podniosłym umiłowaniem kraju ojczyznego budził w Polakach szacunek i podziw.

Najtrudniej było im dogadać się w sprawie granic. Polacy obstawali przy odbudowie historycznego państwa polskiego, zapominając, że Ukraina sięgała prze-



cież daleko za Dniepr. Występując przeciwko zbrodni rozbiorów Polski, akceptowali zbrodnię rozbioru Ukrainy.

Razu pewnego Szewczenko i Kędrzycki siedzieli koło Wydubiecza, na wysokiej skarpie dniewowej. Zapadał wieczór. Czas było wracać do domu.

— Posiedzmy jeszcze — powiedział Szewczenko. — Popatrz!

Przed nimi rozciągał się widok nieporównany. Była to ucieleśniona idea pejzażu ukraińskiego — z Dnieprem, niebem i stepem. Daleki przestwór za rzeką, pokryty lasami, tonął w błękitnej mgiełce. Woda w dole szumiała, jakby opowiadając o zamierzonych dziejach, płynęła spokojnie, majestatycznie, jakby świadoma swojej niezwyklej urody. Dzika, pierwotna moc zaklęta była w tym obrazie.

Długo milczeli. Potem Szewczenko, jak zwykle kiedy był w podniosłym nastroju, zaczął deklamować wiersze.

Za dumoju duma rojem wylitaje,  
Odna dawyt' serce, druha rozdyraje...<sup>1</sup>

Potem nagle urwał. Podniósł się z miejsca i swoim zwyczajem zdjawszy kapelusz z głowy cisnął nim o ziemię.

— Wszystko przepadło! — powiedział z bolesnym drzeniem głosu. — Biliśmy się, mordowaliśmy się, panie bracie, i domordowaliśmy się do wspólnej niewoli.

Sprawy osobiste Szewczenki układały się teraz jak najlepiej. Mógł spokojnie patrzeć w przyszłość. Otrzy-

---

<sup>1</sup> Myśli, jedne po drugich, rojem wylatują, || Albo dławia serce, albo je rozdzierają...

manie posady w uniwersytecie było prawie pewne. Egzystencję miał zabezpieczoną.

Pozostawała sprawa uwolnienia z poddaństwa braci i siostr. Kiedy przed kilkoma miesiącami księżniczka Warwara Repnin zaproponowała mu pożyczkę na ten cel, ujął się honorem i odmówił. Wiedział, że mieszkańcom Jahotyńna też było ciężko, zwłaszcza po śmierci księcia-generała.

Potem żałował swojej odmowy. Strach go obleciał a nuż nie zdoła szybko zgromadzić pieniędzy na wykup swoich najbliższych?

Teraz był spokojny, że załatwi sprawę w niedługim czasie. Zastanawiał się nawet nad możliwością nabycia kawałka ziemi. Czy lat temu piętnaście mógł o czymś podobnym marzyć kozaczek pana Engelhardta?

Najwięcej radości sprawiały Szewczenko i największą dumą napełniały go rozmowy ze studentami. Po lekcjach rysunków, których zdołał już odbyć kilka, zatrzymywali go młodzi, uśmiechnięci ludzie, przeważnie Polacy, i z widoczną sympatią zasypywali pytaniami. Zapamiętał nazwiska niektórych studentów: Jan Kłopotowski, Stefan Niezabitowski, Karol Nowicki. Porozumienie było nietrudne, gdyż Szewczenko dobrze mówił po polsku, co ogromnie podnosiło jego autorytet w oczach młodzieży.

Kostomarow jeszcze przed uzyskaniem nominacji na adiunkta uniwersytetu zajmował posadę nauczyciela historii w prywatnym pensjonacie pani De Meilhan.

Uczennice przepadały za nim, gdyż hojnie szafował dobrymi stopniami, a wykladał tak interesująco, że na jego lekcjach panowała niczym nie maćona cisza.

Śmiały się tylko dziewczęta z profesora, że był okropnie roztargniony. Kiedyś na przykład kosmyk włosów,

stale będących w nieładzie, spadł mu na oczy; profesor chciał wyjść z klasy, ale nie mógł trafić ręką do klamki; nie przyszło mu do głowy, że powinien poprawić włosy.

Pierwszą uczennicą w klasie, celującą zwłaszcza w historii, była panna Alina Krahelska, pasierbica Mikołaja Mazurowa, oficera w kijowskim garnizonie. Matka jej była Polką, ojciec również. Rodzice, acz przyznawali się do polskości, nie mieli już w sobie tego ducha patriotycznego, jaki cechował wówczas Polaków, zwłaszcza na Litwie i Rusi. Ojciec umarł jako pułkownik armii rosyjskiej. W czasie powstania listopadowego lojalnie służył Rosji. Matka po śmierci męża wyszła za mąż za Rosjanina. Jedyłą niemal więź tej kobiety z polskością stanowiła poezja. Pani Krahelska wynosiła Mickiewicza nad wszystkich poetów na świecie. I w córkę wpoila uwielbienie dla jego twórczości. Z *Konradem Wallenrodem* prawie nigdy się nie rozstawała.

Kiedy Alina skończyła pensjonat, urządzono w szkole wieczór pożegnalny. Młoda abiturientka, śliczna jak anioł, grała na fortepianie uwerturę z *Wilhelma Tella*.

Kostomarow doszedł do wniosku, że lepiej będzie, jeżeli nigdy już nie zobaczy swojej uczennicy. Uczucie dla niej uważał za beznadziejne. Postanowił je ukryć.

Los inaczej zrządził. Kiedy podczas wakacji młody historyk wyjechał do kąpiel morskich w Odessie, ku swojemu przerażeniu stwierdził, że bawi tam również pani Krahelska z córkami.

Został zaproszony, zaczął bywać i stopniowo nabrał otuchy: panna Alina wyraźnie mu sprzyjała.

Po powrocie do Kijowa uchodził już za starającego się o jej rękę. Ale z oświadczyniami zwlekał — wciąż nie był pewny siebie.



**Taras Szewczenko. *Autoportret. Ołówek, 1851***



Żebrzące dzieci kirgiskie — bajgusze z autoportretem Szew-  
czenki na drugim planie). *Taras Szewczenko. Sepia, 1853*

Pani Krahelska nie bardzo życzliwie patrzyła na jego starania, uważała, że adiunkt uniwersytetu nie jest odpowiednią partią dla jej córki.

Wszystko się raptem odmieniło, kiedy Kostomarow zaczął jej z pamięci deklamować wiersze i poematy Mickiewicza.

Kulisz dostał upragnione stypendium i wybierał się na studia slawistyczne za granicę.

Przed wyjazdem zawitał do Kijowa. Biłozerscy zgodzili się nareszcie wydać za niego córkę. Ślub miał się odbyć w Ołeniówce, a wesele w Motronówce na Czernihowszczyźnie, w chutorze Biłozerskich.

W Kijowie spędził Kulisz prawie cały listopad i grudzień. Oczywiście, spotykał się z bratczykami. Pokazywali mu swój dorobek organizacyjny w postaci odezw i *Ksiąg bytu*. Kulisz kręcił głową: nie w smak mu były radykalne hasła. Ocena dziejów Ukrainy i działalności carów, zwłaszcza Piotra i Katarzyny, również nie pokrywały się z jego własnymi poglądami. Nie mógł jednak otwarcie wypowiadać swoich myśli, *Księgi bytu* zyskały bowiem aprobatę Szewczenki. Z autorytetem poety Kulisz musiał się liczyć. „Jego wiersze działają na ludzi jak zaraza” — wyraził się kiedyś w rozmowie z Kostomarowem. Nie tylko wiersze — cała osobowość Szewczenki, jego żywe słowo, uśmiech, gestykulacja, wzrok — wszystko wywierało magiczny niemal wpływ na współczesnych, a zwłaszcza na bratczyków.

Kulisz czuł, że jego „hetmaństwo” duchowe wśród Ukraińców staje się coraz bardziej problematyczne. Czuł, że nie wytrzymuje konkurencji z tym „nieukiem”, jak nazywał Szewczenkę. „Genialnym nie-

ukiem” — dodawał zawsze, przewyżając najczarniejszą zazdrość.

Mniemał jednak, iż powinien opiekować się Szewczenką, i czynił to z dostojeństwem godnym prawdziwego hetmana.

Szewczenko przyjmował te zabiegi opiekuńcze dosyć wyrozumiale.

Z Józefowiczem utrzymywał Kulisz stosunki jak najserdeczniejsze. Zastępca kuratora chętnie dopomagał młodemu sławiście, widząc w nim człowieka całkowicie oddanego interesom monarchii.

W salonie Józefowicza spotykał Kulisz swojego „podopiecznego”. Szewczenko bywał tam poniekąd z musu i najwidoczniej nie cenił sobie zbyt wiele względów dygnitarza. Kiedyś Szewczenko nie zjawił się w salonie o oznaczonej porze, a był potrzebny; zaczęto go szukać i znaleziono w kuchni rozmawiającego w najlepsze ze starym lokajem Wasylem. Od tego czasu mówiono powszechnie o „muzyckich” narowach poety.

Narowów tych nie wytykała poecie matka Kostomarowa. Dawna wieśniaczka darzyła Szewczenkę iście macierzyńską czułością. Wiedziała, co przeszedł w życiu, i była z niego dumna jak z rodzonego syna.

Do Józefowicza często przychodzili studenci. Dygnitarz chętnie ich przyjmował, gdyż znosili mu nowinki, czasem zwykłe plotki, bardzo jednak przydatne w jego profesji.

W listopadzie czy na początku grudnia złożył mu wizytę student Aleksy Pietrow i z tajemniczą miną ją opowiadać o gronie patriotów ukraińskich i polskich, którzy zbierają się w coraz to innym miejscu,

ale najczęściej u niejakiego Hułaka przy ulicy Kadeckiej, w domu protojereja Zawadzkiego. Bywa tam również znany poeta Szewczenko oraz profesor uniwersytetu, historyk, Kostomarow.

Józefowicz zainteresował się słowami studenta i jego osobą.

Pietrow był biedny, utrzymywał się z korepetycji. Ojciec jego, eks-oficer żandarmerii i eks-urzędnik, już nie żył. Matka pobierała skromną emeryturę. Chłopałkowi nauka nie szła. Obawiał się, że zostanie relegowany z uniwersytetu.

Zastępca kuratora uznał sprawę za dostatecznie ważną, aby się nią zająć i w ten sposób ubiec niejako swojego zwierzchnika, generała Traskina. Marzył, aby zając jego miejsce. Należało jednak zdobyć szczegółowsze dane. To, co mówił Pietrow, było zbyt ogólnikowe.

Ponieważ tak się szczęśliwie złożyło, że Zawadzki miał do wynajęcia pokój, student za rekomendacją Józefowicza od razu się tam wprowadził. (Pokój Pietrowa sąsiadował z jadalnią Hułaka.)

## X

Znowu zima nawiedziła wzgórza kijowskie. Po niedawnej odwilży wszystko zaszroniało; drzewa obmarzły; wiatr dmuchał od północy, silny i porywisty.

Szewczenko był w doskonałym nastroju. Dziesiątego grudnia złożył podanie do generał-gubernatora Bibikowa, aby mu zezwolono jednocześnie uczyć rysunków w uniwersytecie i nadal pracować w Komisji Archeograficznej. Bibikow w kilka dni potem wysłał do ministra oświaty Uwarowa przychylny wniosek w sprawie Szewczenki. Minister już wcześniej wyraził zgodę



na zwolnienie z posady Kapitona Pawłowa. Wszystko szło jak z płatka.

Przyjechał Piotr Czujkiewicz z Kamieńca. Siedzieli we trzech u Kostomarowa i rozmawiali o sprawach słowiańskich i o folklorze. Szewczenko rzucił myśl wydawania pisma poświęconego etnografii i starożytnościom słowiańskim. Podolski pedagog zdołał już zebrać pokaźny zasób materiałów. Zainteresowanie tymi sprawami w społeczeństwie rosło z dnia na dzień. Czujkiewicz opowiadał, że kiedy w zeszłym roku ze Zbrucza koło Liczkowiec wyłowiono posąg Światowida, ludzie odbywali tam istne pielgrzymki.

Szewczenko wykańczał i porządkował rysunki i akwarele z Kijowszczyzny, Wołynia i Podola. Zebrała się tego pokaźna teka. Malarz zaniósł ją do Fundukleja. Gubernator cywilny nie mógł się nachwalić roboty.

W pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia bratczykowicie zebrali się w mieszkaniu Hułaka.

Ostatni przyszedł Kulisz. Nie był tu jeszcze nigdy, więc parę chwil się błąkał koło domu, nie wiedząc kąd wejść. Drzwi mu wskazał jakiś młodzieniec, który zjawiał się nagle, jakby spod ziemi wyrósł. Młodzieniec wyglądał nędznie, chociaż paradował w studenckiej kurtce z błękitnym kołnierzem. Kuliszowi przemknęło przez myśl, że kiedyś widział tego studenta w przedpokoju u Józefowicza.

W mieszkaniu Hułaka prócz gospodarza i Kulisza zgromadzili się prawie wszyscy wybitniejsi cyryłowcy: Kostomarow, Szewczenko, Biłozerski, Nawrocki, Andruski, Tułub, Posiada, Markowicz i kilku innych. Był również nowo zwerbowany bratczyk, ziemianin z Półtawszczyzny, Mikołaj Sawicz.

Nastrój panował świąteczny, podniosły. Rozmawiano najpierw w gabinecie, obstawionym szafami, pełnymi książek ukraińskich, polskich, rosyjskich, czeskich i niemieckich. Szewczenko od razu zawarł komitywę z Sawiczem, który właśnie wybierał się do Paryża.

Sympatyczny ziemianin opowiadał Szewczenke o swojej znajomości z Hułakiem-Artemowskim, o Mickiewiczu, którego poznał przed kilkunastu laty w Charkowie i na którego wykładach był w Collège de France. Mówił o swoim zachwycie dla nauki Karola Fourier i o tym, że powróciwszy z Francji, zwolnił z poddaństwa chłopów w swojej posiadłości połtawskiej. Chciał ich teraz nauczyć racjonalnej gospodarki i zamierzał w Paryżu studiować chemię i agronomię. Cieszył się nadzieją, że uda mu się porozmawiać z Mickiewiczem.

Kiedy Szewczenko zadeklamował kilka swoich utworów, Sawicz wystąpił z projektem wręczenia Mickiewiczowi któregoś poematu. Stało na tym, że Szewczenko przepisze *Kaukaz* i dostarczy Sawiczowi przed Nowym Rokiem. W początkach stycznia ziemianin miał ruszyć w drogę do Francji. Zapalony do idei bractwa, wyraził gotowość zatrzymania się po drodze w Czechach i nawiązania kontaktów z czeskimi słowianofilami.

Wreszcie całe towarzystwo przeszło do jadalni.

Wtedy Pietrow ustawił krzesło pod cienką ścianą oddzielającą jadalnię od jego pokoju, wszedł na nie i przyłożył ucho do szparki, którą zawczasu zrobił świdrem.

Słuchał dość długo, schodząc tylko od czasu do czasu, by coś zapisać w zeszycie.

W pewnym momencie do jego ucha doleciał głos Szewczenki. Pietrow znał poetę z widzenia i nieraz

przysłuchiwał się jego rozmowom ze studentami w westybulu uniwersytetu.

Szewczenko wołał:

Pochowajcie ta wstawajcie,  
Kajdany porwite  
I wraźoju złoju krowju  
Wolu okropite.

Pietrow wysłuchał wszystkiego do końca, po czym zasiadł przy stole i wziął się do pisania.

W kilka dni później Hułak spotkał sąsiada na podwórzu i po krótkiej pogawędce zaprosił do siebie.

Pietrow ujął Hułaka otwartością i śmiałymi poglądami. Deklarował się jako zwolennik idei słowiańskiej, przeciwnik monarchii i obrońca chłopów. Rozpływał się nad *Kobzarzem*, co jeszcze bardziej ujęło dobrodusznego filozofa.

Podczas którejś z kolejnych wizyt studenta Hułak nie tylko mu opowiedział o istnieniu bractwa, ale dał nawet do przeczytania *Księgi bytu*.

Sprawa przyjęcia Pietrowa do organizacji była już tylko kwestią czasu.

W pierwszych dniach tysiąc osiemset czterdziestego siódmego roku bratczykowie zaczęli się rozjeżdżać.

Dziewiątego stycznia Szewczenko wyjechał z Kijowa razem z Hułakiem. Hułak udawał się do Petersburga, żeby tam składać egzaminy na stopień magistra filozofii, Szewczenko do znajomych w powiecie borzneńskim: do Wiktora Zabiły, Srebdolskich i Biłozerskich.

Sawicz już przedtem wyruszył za granicę, Wasyl Biłozerski do Połtawy, Kulisz do Motronówki, Marko-

wicz do Perejasławia, Andruski do Pyriatyna, a Nawrocki do Złotonoszy.

Dwudziestego drugiego stycznia w Ołeniówce odbył się ślub Pantelejmona Kulisza z panną Aleksandrą Biłozerską.

(Szewczenko był bojarzynem,) czyli družbą pana młodego.

Wesele wyprawiono u rodziców panny młodej w Motronówce.

Kulisz dołożył starań, aby wszystko wypadło zgodnie z tradycją, po ukraińsku. Gości zjechało mnóstwo, humory dopisywały, bawiono się wysmieniemie.

Podczas uczyty weselnej pan młody wygłosił przemówienie na cześć Szewczenki. Owacjom nie było końca. Szewczenko po raz nie wiedzieć który przekonywał się, że ludzie cenią go i kochają. Zaczynał się oswajać z tą niejaką czołobitnością, którą mu okazywano, i już przyjmował ją z wyraźnym *laissez aller*. Wchodził w rolę przywódcy.

Kulisz przyglądając mu się, powiedział do kogoś:

— Usi wzyrajut' na Szewczenka jak na jakyjś switylnyk nebesnyj.

Na co usłyszał:

— Se wże ne kobzar, se nacjonalnyj nasz prorok.

Nie oznaczało to jednak, że Szewczenko wyzbył się tak charakterystycznych dla siebie zalet towarzyskich i pędu do zabawy. Bawił się jak najweselej, asystował damom, prowadził poważne dysputy z mężczyznami, a wszystkich bez wyjątku zachwycał śpiewaniem pieśni ludowych, zwłaszcza tej jednej, którą tak lubił: *Oj zyjdy, zyjdy, ty zirońko ta weczirniaja*.

Wszyscy czuli się szczęśliwi tego niezapomnianego dnia, a Szewczenko był chyba najszczęśliwszy.

Kulisz zakomunikował mu, że sprawa jego podróży za granicę na dalsze studia artystyczne jest na dobrej

drodze. Znalazły się pieniądze na ten cel. Nie chciał jednak wyjawiać ich źródła. Zasłonił się tajemnicą.

Szewczenko ucieszył się jak dziecko.

Nie domyślał się nawet, że to panna młoda, olśniona jego talentem poetyckim i malarskim, ofiarowała całe swoje wiano, trzy tysiące rubli, aby mu umożliwić wyjazd.

Do Italii! Od dawna śniły mu się białe posągi na Monte Pincio, wysokie ściany Colosseum, żółte pola Kampanii Neapolitańskiej, ruiny Pompei...

Z właściwym sobie entuzjazmem zaczął już snuć projekty założenia w Kijowie ukraińskiej akademii sztuk pięknych. Rzecz prosta, po powrocie ze studiów zagranicznych.

Kiedy odjeżdżał z wesela, zwrócił się do panny młodej:

— A szczo wy meni daste na pamjat' seho dnia?

Młoda kobieta niewiele myśląc wyrwała kwiatek z wianka mirtowego i podała poecie.)

Starsze kobiety, obecne przy tym, krzyknęły w głos i załamały ręce:

— Będzie nieszczęście!

Koniec stycznia i luty spędził Szewczenko na Czernihowszczyźnie. Po weselu odwiedził Zabiłę, potem bawił u Srebdolskich w Soroce i u nowego znajomego, ukraińskiego historyka-amatora, Mikołaja Biłozerskiego w Mikołajówce.

Biłozerski opowiadał później, jak to Szewczenko, będąc u niego, wciąż śpiewał: „...chodyt', buwało, po zali, założywszy ruki nazad, schyływszy swoju dumnu hołowu, szyja szarfom powjazana, wyraz obłycczia sumnyj, hołos tychyj, tonkijj...”

Oboje Biłozerscy niemal ze łzami w oczach słuchali śpiewu Tarasa.

Z Borzny wysłał Szewczenko list do Kostomarowa prosząc go, aby się dowiedział, jak stoi sprawa z posadą nauczyciela rysunków w uniwersytecie. Kostomarov w końcu lutego wysłał do Borzny na ręce Zabiły list, w którym powiadał Szewczenkę o zatwierdzeniu go na posadzie i wzywał do powrotu.

List ten nie zastał adresata w Borznie. Szewczenko wybrał się z wizytą do Moskwy, aby stamtąd wrócić na święta wielkanocne do Sedniowa.

Wielkanoc tego roku wypadła wcześniej: dwudziestego trzeciego marca. Ferie w szkołach zaczynały się już szesnastego.

Kiedy Szewczenko znalazł się w Sedniowie i przeczytał list Kostomarowa, było już blisko do ferii. Zajęcia na uniwersytecie miały się rozpocząć dopiero w kwietniu. Poeta przyjął serdeczne zaprosiny Lizohubów i został u nich na święta.

W Sedniowie dużo pisał i malował. Stworzył tu dwie ballady: *Lilia* i *Rusalka* oraz poemat *Wiedźma*. Jednocześnie przygotowywał do druku nową edycję swoich poezji. Nadał im tytuł *Drugi Kobzarz*. Kulisz obiecał mu, że wyda te poezje za granicą, ze wstępem i komentarzami w języku niemieckim, „szczob sławyłosia ukrajinśke imja w usich mowach”.

Szewczenko sam zaopatrzył swój nowy zbiór w przedmowę.

Była to jakby rozmowa z czytelnikami, a zarazem odezwa do „bratiji ukraińskoj wożlubłenoji”, do pisarzy ukraińskich.

Stwierdziwszy na początku prawie zupełny brak ukraińskiej twórczości literackiej, podczas gdy inne literatury słowiańskie wspaniale się rozwijają, poeta mówił dalej o konieczności głębokiego zaznajomienia

się z życiem najszerszych mas ukraińskich; dotychczas obrazy tego życia podawane były albo w formie parodii, jak w *Eneidzie* Kotlarewskiego, albo zawierały spostrzeżenia czynione przez pisarzy-inteligentów po karczmach. Wskazywał na przepaść pomiędzy ludem a tymi, którzy niby to zajmują się jego dolą. „U chatu pryjty do joho (do wieśniaka) albo do sebe pokłykat' po-braterskij ne można. Ne można bo win z laka jet'sia, ta może szcze j te, szczo win piznaje durnia w żupani”. „Szczob znaty ludej, to treba pożyt' z nymy, a szczob jich opysuwat', to treba samomu stat' czołowikom.”<sup>1</sup>

Broniąc samoistności literatury ukraińskiej, wskazał na poetę szkockiego Burnsa, nazwał go poetą narodowym i wielkim. *Eneidę* zaś Kotlarewskiego nazwał „smichowynkoju na moskowskyj sztajt”.<sup>2</sup> O Kwitce wyraził się, że ten autor „dobre pryhladawsia na narod, ta ne prysłuchawwsia do jazyka”<sup>3</sup>, a o Artemowskim, że przestał pisać, gdyż „w pany postryhsia”<sup>4</sup>.

Wreszcie zgromił wszystkich odstępców: zrosyjszczonych czynowników, różnych Kyrpo-Hnuczkoszyjenków, służusów i czcicieli obcej potęgi, owych „mężów mądrych i uczonych”, którzy zrzucili z siebie skórę ukraińską, a weszli w rosyjską, którzy zamienili „dobru ridnu matir na pjanyciu nepotribnuju”<sup>5</sup>.

Odrzucił „ogólnorosyjską” teorię językową. Powiedział

---

<sup>1</sup> Do domu do niego przyjść albo do siebie go zaprosić po bratersku nie można. Nie można dlatego, że się złęknie, a może i dlatego, że pozna głupca w żupanie. Żeby poznać ludzi, trzeba z nimi pożyć, żeby zaś ich opisywać, trzeba naprzód samemu stać się człowiekiem.

<sup>2</sup> humoreską na wzór rosyjski

<sup>3</sup> dobrze się przyglądał ludowi, ale nie wsłuchał się w jego mowę.

<sup>4</sup> zrobił się wielkim panem

<sup>5</sup> zaczął rodzoną matkę na pijaczkę licha warta

dobitnie: „A na moskaliw ne wważajte: nechaj wony sobi pyszut' po-swojemu, a my po-swojemu... U jich narod i słowo — i u nas narod i słowo.”<sup>6</sup>

Zakończył wezwaniem iście apostołskim: „Hore nam! No, bratija, ne wdawajtesia w tuhu i rabotajte rozumno wo imja materi naszoji Ukrajinny beztałan-noji. Amień!”<sup>7</sup>

Cztery wiorsty od Sedniowa, we wsi Bihacze, mieszkał obywatel ziemski, Gruzin z pochodzenia, ksiązę Kejkuatow, ożeniony z córką Płatona Łukaszewicza. Szewczenko poznał ich przed trzema laty. Wiedząc o dzikich obyczajach pomieszczyka, niechętnie przyjął zamówienie na portret księżny. Jeżdżąc tam i malując, unikał wszelkich stosunków towarzyskich z gospodarzami. Gdy mu się zdarzało nocować, wieczór spędzał w izbie czeladnej, gwarząc ze służbą.

Obraz udał się nadzwyczajnie. Lizohubowie ocenili go jako arcydzieło sztuki europejskiej.?

W lutym odbywały się doroczne kontrakty kijowskie. Zjazd był jak zwykle ogromny. Restauracje i hotele rozbrzmiewały muzyką i gwarem uczujących gości, wśród których widziało się również, aczkolwiek rzadko, mundury studenckie.

Młodzież uniwersytecka w przeważnej części pochodziła z rodzin niezamożnych. Stypendyści mieszkali

---

<sup>6</sup> A na Moskali nie zwracajcie uwagi: niech sobie piszą po swojemu, a my po swojemu... Oni mają naród i mowę, i my też mamy naród i mowę.

<sup>7</sup> Biada nam! Ale, bracia, nie oddawajcie się rozpacy i pracujcie mądrze w imię matki naszej Ukrainy nieszczęsnej. Amen!



w internacie pod nadzorem pedlów i inspektora. Dużo było wśród nich mieszkańców Litwy. Przynieśli oni z sobą tradycje filaretów wileńskich i purystów mińskich. - Prowadzili się skromnie, pili mleko zamiast alkoholu. Wyróżniał się wśród nich poważny młodzian nazwiskiem Antoni Mackiewicz.

Była też stosunkowo nieliczna grupa studentów, którzy wprawdzie pili wino, ale w sposób umiarkowany, wódki zaś stanowczo unikali. Ponad wszystko przykładali rozmowę i śpiew. Przewodził im sympatyczny i wesoły student filologii Julian Belina-Kędrzycki.

Czterech natomiast było — tylko czterech — prawdziwych piźmowców, nie uznających nic poza koniakiem i szampanem. Ci zajmowali się urządzeniem wystawnych bibek i grą w karty. Najślawniejszy był z tej czwórki Zygmunt Kotiużyński, który na wykłady przyjeżdżał parą wspaniałych gniadoszów. Ale że był sympatyczny i uczynny, lubili go nawet niezamożni koledzy.

Kotiużyński wynajmował kilkupokojowy apartament w Lipkach i trzymał lokaja. Przyjęcia, jakie wydawał, sływały na całe miasto.

Tego roku kontrakty zostały uświetnione obecnością wielu znanych osób. Przyjechała Ewelina Hańska. Spodziewano się przyjazdu Balzaka. ✓

Franciszek Liszt dał dwa koncerty, jeden w domu kontraktowym, na cele dobroczynne, a drugi w auli uniwersytetu, dla szczęśliwców, którzy zdołali nabyć bilety.

W auli zgromadziło się najwytworniejsze towarzystwo niemal z całej Ukrainy. Była między innymi słynna piękność podolska Joanna Elżbieta Karolina z Iwanowskich księżna Sayn-Wittgenstein.

Księżna rok temu wyszła za mąż za Mikołaja Wüttgensteina, syna generała wsławionego w wojnach na-

poleońskich, ale wkrótce po ślubie rozeszła się z mężem. Kochała muzykę i książki. Bardzo pragnęła usłyszeć i poznać Liszta. Dowiedziawszy się o koncercie dobroczynnym, posłała Lisztowi banknot sturubłowy. Nazajutrz kompozytor przyszedł, aby jej osobiście podziękować.

Kostomarow z wielkim trudem wystarał się o cztery bilety, dla pani Krahelskiej z córkami i dla siebie. Kiedy, uradowany, przybiegł do nich, ku swojemu zdumieniu i rozpaczcy dowiedział się, że dostały już bilety od samego Liszta. Ba, Liszt nie tylko zdążył poznać się z Aliną, ale nawet obiecał, że ją zabierze z sobą i umieści w konserwatorium wiedeńskim. Twierdził, że talent muzyczny Aliny rokuje wielkie nadzieje.

Kostomarow miał wrażenie, że ziemia usuwa mu się spod nóg.

Na koncercie obserwował ze ściśniętym sercem, jak Liszt, przystojny, smukły, elegancki, rozmawia z panniami Krahelskimi, siedzącymi w fotelach tuż przed estradą, obok księżny Wittgenstein, rektora uniwersytetu Maksymowicza i gubernatora Fundukleja.

Kostomarow w myśli oplakiwał już swoją klęskę.

Los jednak często uplata wiązanke wydarzeń w sposób niedościgniony nawet dla historyków. >

Liszt zagrał swój *Hexameron*, melodie Schuberta i *Etiudę* Szopena. Zebrał burzę oklasków.

Po koncercie Kotiuziński, który dzięki swoim szerokim stosunkom zdołał również poznać się z Lisztem, urządził u siebie przyjęcie na jego cześć.

Kompozytor okazał się przewybornym znawcą węgierskich win i francuskiej kuchni. Już późno w nocy całe towarzystwo na czele z Lisztem i gospodarzem pojechało do kasyna w domu kontraktowym.

Grano w bakarata i diabełka. Liszt przy kartach za-

pominał o bożym świecie. Ogarniała go żądza hazardu, nad którą nie umiał panować.

Kotiużyńskiemu sprzyjało niewiarygodne szczęście. Liszt zgrał się do grosza.

Księżna Wittgenstein, gdy jej o tym opowiedziano, rzekła z dobrocią i spokojem:

— Trzeba się modlić do Boga o przebaczenie dla ludzi, którzy tworzą piękno.

W kilka dni później zabrała Liszta do swojego podolskiego Wersalu w Woronińcach pomiędzy Kijowem a Odessą.

Dnia trzynastego lutego Kostomarow oświadczył się o rękę panny Aliny Krahelskiej i został przyjęty.

Po zaręczynach ofiarował narzeczonej skromny pierścionek z napisem „Cyryl i Metody” oraz książeczkę Tomasza à Kempis: *Imitation de Jésus-Christ*.

W marcu wynajął mieszkanie na Starym Mieście, w domu Mońki, w pobliżu cerkwi Świętego Andrzeja.

Wiosna była wczesna. Miasto się zazieleniło. Z nieba płynęły strumienie ciepła.

Z balkonu nowego mieszkania otwierał się wspaniały widok na Padół, a dalej na Dniepr, za którym w blaskach słońca widniała panorama lasów i łąk.

Ślub został wyznaczony na niedzielę trzydziestego marca.

Narzeczeni zaczęli na palcach rachować, ile dni jeszcze zostało do ślubu. Oboje byli bardzo szczęśliwi.

Pietrow nie odczuwał piękna przyrody, nie zwracał najmniejszej uwagi na dobrodziejstwa i uroki wiosny. Myśl jego pochłaniała sprawa, którą uważał za wstęp do długo oczekiwanej kariery. Jakiej? Nie chciał rze-

czy nazwać po imieniu, chociaż wiedział, jak studenci określają dygnitarza, który mu sprawę powierzył.

Trzeciego marca, kiedy na drzewach kijowskich ukazały się pierwsze drobniutkie listki koloru nadziei, Pietrow przyszedł do Józefowicza i zaczął mu przedstawiać swoje spostrzeżenia.

Było tak: Udział w tajnych zebraniach brali dotychczas: Kostomarow, Kulisz, Szewczenko, Hułak, Nawrocki, Sawicz, Andruski, Posiada, Tułub, Markowicz. Wszyscy mówili o konieczności zjednoczenia Słowian, ale tylko jeden Kostomarow, podtrzymany przez Kulisza, wyraził się kiedyś, że na czele Słowiańszczyzny powinien stanąć car. Inni jak jeden mąż wypowiadali się za obaleniem ustroju monarchistycznego. Szewczenko zaś powiedział nawet, że każdy monarchista to szubrawiec. Tenże poeta wygłaszał buntownicze myśli o równości społecznej, o carach rosyjskich wyrażał się tak, że niech Bóg broni. Carycę Katarzynę na przykład nazwał... (studentowi nie mogło przejść przez usta haniebne słowo; napisał je na kartce i podał Józefowiczowi; dygnitarz zmarszczył brwi.) Ukraina powinna być niepodległa, dowodził Szewczenko. Stowarzyszeni opracowali statut, proklamacje i książkę zawierającą główne zasady patriotyzmu ukraińskiego. Przepisywali również wiersze Szewczenki, w celu ich rozpowszechniania wśród ludności ukraińskiej. Niektóre z tych wierszy były zwrócone przeciwko Rosji, a inne zawierały wezwanie Małorosjan do powstania. Pietrow zapamiętał dwa tytuły: *Sen i List przyjaciel-ski*.

Józefowicz wysłuchał wszystkiego jak najuważniej i kazał studentowi sporządzić formalny raport.

Otrzymawszy raport, zastępca kuratora udał się niezwłocznie do swojego przełożonego, generała Traskina. Ten z kolei powiadomił o wszystkim gubernatora cy-

wilnego Fundukleja i generał-gubernatora Bibikowa. Ostatni zaś, jako najwyższy zwierzchnik całej prowincji, wysłał obszerne sprawozdanie do szefa Wydziału Trzeciego. Machina carskiej inkwizycji poszła w ruch.

Zanim jeszcze hrabia Orłow zdążył przedstawić sprawę carowi i wydać stosowne zarządzenia, dygnitarze kijowscy rozpoczęli śledztwo na własną rękę.

Ponieważ konspiracje polskie od dawna już spędzały sen z powiek całej policji rosyjskiej w tak zwanych prowincjach zachodnich, na Litwie i Rusi, więc i teraz władze zainteresowały się nade wszystko tym, czy do konspiracji ukraińskiej należą Polacy i czy bractwo nie prowadzi agitacji wśród studentów, zwłaszcza polskiego pochodzenia.

Pietrow nie mógł stwierdzić udziału Polaków w bractwie. Wiedział jednak, że Hułak i Szewczenko robili jakieś próby porozumienia się z nimi. Hułak nawet spodziewał się, że uzyska od nich pomoc pieniężną; w ogóle sądził, że Polacy najlepiej się nadają do akcji spiskowej. Bratczykom chodziło też zapewne o nawiązanie stosunków z emigracją polską we Francji. Jeden z członków Bractwa, Sawicz, wyjechał w styczniu do Paryża. Wspomniał, że ma się zobaczyć z Mickiewiczem.

Sprawa zaczynała wyglądać coraz poważniej. Bibikow postawił na nogi cały aparat śledczy.

Sprawozdanie Bibikowa wpłynęło do Wydziału Trzeciego dnia siedemnastego marca. Generał-gubernator kijowski przywiózł je i wręczył osobiście hrabiemu Orłow, który natychmiast zameldował o tym następcy tronu.



**Noc nad brzegiem Morza Kaspijskiego (inaczej: Skala Mnich).**  
***Taras Szewczenko. Akwarela, gwasz, 1853***



**W koszarach. Taras Szewczenko. Sepia, 1856—1857**

Nazajutrz do mieszkania Hułaka w Petersburgu wkroczyła ekipa żandarmów i policjantów pod wodzą samego generała Dubelta.

Aresztowanie nastąpiło tak nagle, że Hułak nie zdążył zniszczyć dokumentów ani korespondencji. Wszystko leżało na wierzchu na biurku.

Hułak wziął część papierów i zażądał, aby go puszczono do ustępu. Dubelt wysłał za nim policjanta, który doniósł, że oskarżony wrzucił coś do dołu kloaczego.

Natychmiast zaczęto badać nieczystości i znaleziono w nich *Księgi bytu* oraz dwie odezwy: *Do braci Wielkorusjan i Polaków* oraz *Do braci Ukraińców*.

Półow przerósł wszelkie oczekiwania Wydziału Trzeciego. Hrabia Orłow mógł teraz utrzyć nosa hrabiemu Perowskiemu — minister spraw wewnętrznych właśnie otrzymał ten upragniony tytuł.

Tułuba i Posiadę aresztowano w Kijowie, po Markowicza posłano do Perejasławia.

Gubernator Funduklej, zaprzyjaźniony z panią Krahełską, życzliwy dla Kostomarowa, chciał go uprzedzić o grożącym niebezpieczeństwie. Zrobił to przez panią Zaleską, przełożoną pensjonatu, w którym uczył Kostomarow. Ale historyk, zajęty przygotowaniem do ślubu, cały dzień prawie spędził na mieście.

Wrócił późnym wieczorem. Ledwo zdążył przywitać się z matką, gdy usłyszał pukanie do drzwi.

Wszedł Józefowicz.

W kilku słowach powiadomił Kostomarowa o tym, co zaszło, i radził usunąć wszystkie kompromitujące rzeczy.

Kostomarow przypomniał sobie, że właśnie Hułak



przed wyjazdem przyniósł mu egzemplarz *Ksiąg bytu*, spisany ręką samego Kostomarowa.

Chciał spalić fatalny dokument, ale Józefowicz niemal wyrwał mu go z ręki, zapewniając, że sam najlepiej przechowa papiery, a na spalenie jest już za późno.

— Soyez tranquilles! — oświadczył przyjaźnie i wyszedł unosząc z sobą rękopis.

Nie zdążył Kostomarow ochłonąć z wrażenia, gdy do drzwi zapukano energicznie i wkroczyła cała kohorta urzędowa: tenże Józefowicz, kurator Traskin, gubernator Funduklej, pułkownik żandarmerii oraz policmajster w asyście zbrojnej straży.

W godzinę później wprowadzono Kostomarowa do gabinetu Pisariewa. Szef kancelarii generał-gubernatora dopiero co wrócił z Petersburga.

— Czy pan to zna? — zapytał pokazując historykowi przepisany na czysto, kaligraficznie, egzemplarz *Ksiąg bytu*.

— Nie znam — odrzekł Kostomarow.

— Nie wie pan, co ten rękopis zawiera?

— Nie wiem.

— A to pan zna? — zapytał znowu Pisariew i wyjął z biurka egzemplarz *Ksiąg bytu*, spisany własną ręką Kostomarowa. Ten sam egzemplarz, który Józefowicz wziął niby na przechowanie.

Kostomarow zwiesił głowę.

Ślub był wyznaczony na niedzielę. W sobotę przed południem narzeczeni mieli odbyć spowiedź.

Alina przyjechała wraz z matką do cerkwi w nastroju nadzwyczaj różowym. Wesoło rozmawiała ze znajomymi i wciąż spoglądała w stronę, z której miał przyjechać jej oblubieniec.

Kiedy upłynęła godzina, a Kostomarow się nie zjawił, pani Krahelska postanowiła udać się po niego z córką.

Pewnie dostał jakiś ciekawy dokument i zapomniał o bożym świecie. Roztargnienie profesora było powszechnie znane.

Drzwi otworzyła matka Kostomarowa.

Z trudem wyjąkała:

— Syna nie ma. Dziś w nocy zabrali go żandarmi.

I na Czernihowszczyznę zawitała wiosna. Tarasowi często przychodziło na myśl, że od czasu pierwszego dzieciństwa takiej szczęśliwej wiosny nie przeżywał.

Obydwaj Lizohubowie prześcigali się w staraniach, aby mu uprzyjemnić życie. Andrij, który sam lubił malować, odstąpił mu swoją pracownię malarską na facjacie pałacyku.

Z facjaty otwierał się prześliczny widok na stary ogród, opasany wstęgą Snowy, która szeroko rozlała i robiła wrażenie wielkiej rzeki.

Szewczenko miał najzupełniejszą swobodę. Wstawał dosyć wcześnie, odbywał przechadzkę po wsi, pił herbatę z Andrijem Lizohubem a potem brał się do pisania albo malowania. Do obiadu zasiadał z całą rodziną gospodarzy. Wieczorami słuchał koncertów Illi Lizohuba, po czym szedł na spoczynek do swojej facjatkii albo jeszcze gwarzył z czeladzią.

Obmyślał, jak sobie urządzi życie w Kijowie. Liczył, że w niedługim czasie uda mu się wykupić z poddaństwa braci i siostry. Obecnie stało się to możliwe.

Ożywiały go też plany rozwoju działalności Bractwa. Trzeba było *Księgi bytu* rozpowszechnić tak, jak

w swoim czasie rozpowszechniono *Historię Rusów*. Szewczenko znał potęgę słowa i umiał się nią posługiwać.

Pod koniec marca spakował manatki i przez Czernihów ruszył do Kijowa: Kostomarow zaprosił go na wesele, które miało się odbyć piątego kwietnia.

Przed samym wyjazdem jeszcze Andrzej Lizohub gorąco radził mu zostawić w Sedniowie wszystkie papiery i malowidła: droga niepewna, roztopy, może coś zginąć albo zamoknąć. Szewczenko jednak uparł się i zabrał wszystko.

Pełen radosnych myśli i oczekiwań dojechał do Browarów, na lewym brzegu Dniepru. Słońce już zeszło z zenitu, więc przebrał się we frak, żeby podążyć prosto na ucztę weselną.

Wjeżdżając bryczką na prom, zauważył kręcącego się w tłumie policjanta. Policjant patrzył zezem. Szewczenko nie lubił krzywookich, zdawało mu się, że są zwiastunami nieszczęść.

Z promu przyglądał się poeta wspaniałej panoramie Starego Miasta. Dzień był pochmurny. Wzgórza kijowskie tonęły w oparach.

Na brzegu obok przystani stało kilkunastu żandarmerów i policjantów.

Prystaw podszedł do bryczki:

— Pan Szewczenko?

— We własnej osobie — odrzekł poeta.

— Aresztuję pana.

W pół godziny później Szewczenkę wprowadzono do kancelarii gubernatorstwa.

— A czemuż to pan we fraku? — nie wytrzymał jeden z urzędników.

— Wybieram się na wesele profesora Kostomarowa.

— Ano, gdzie pan młody, tam i družba — roześmiał się urzędnik.

Szewczenko nie rozumiał dowcipu. O niczym jeszcze nie wiedział.

Nie myślał o wierszach, które wioził w walizce. Ze spokojem czekał na dalszy bieg wypadków.

## XI

Wypadki toczyły się teraz z oszałamiającą szybkością. Kulisz i Biłozerski, którzy razem jechali na Zachód, zostali zatrzymani w Warszawie. Innych bratczyków aresztowano w różnych miejscowościach. Wszystkich odesłano do Petersburga. Tylko Mikołaj Sawicz zdążył już dotrzeć do Paryża.

Szewczenko spędził w areszcie kijowskim tylko jedną noc. Urzędnicy gubernatorstwa szybko przetrząsnęli jego walizki i znaleźli dwa zbiory wierszy: *Trzy lata* i *Drugi kobzarz*. Pobieżne zapoznanie się z nimi wystarczyło, aby gubernator winę Szewczenki uznał za oczywistą i nakazał odesłanie go do dyspozycji władz centralnych.

Szóstego kwietnia Szewczenko pod eskortą oficera policji i żandarma wyjechał z Kijowa.

W Browarach na stacji pocztowej zobaczył karetę, w której siedziały dwie damy, jedna starsza, poważna, z posępną twarzą, druga młodziutka, niezwyklej urody, zapłakana. Jechały do Petersburga.

Szewczenko domyślił się, że to pani Krahelska z córką. Podszedł, wymienił swoje nazwisko i tak serdecznie przemówił, tak zaczął pocieszać, że Alina podniosła na niego oczy i uśmiechnęła się przez łyzy.

W tej chwili oficer policji nakazał Szewczenke pożegnać się i wsiąść do tarantasu.

Odjeżdżając poeta pomachał wesoło ręką. Alina patrzyła na niego z podziwem.

Szewczenko nie mógł nie zdawać sobie sprawy z tego, co mu grozi, mimo to zachowywał się w drodze tak beztrosko, taką miał buńczuczną minę, tak śpiewał i żartował, że zawiadowca jednej ze stacji, patrząc na niego i na oficera policji, powiedział:

— Z wyglądu nikt by nie zgadł, kto tu jest aresztowany i kto kogo eskortuje.

Po dziesięciu dniach podróży, siedemnastego kwietnia, Szewczenko ze strażnikami podjechał do sławnego na całą Rosję gmachu przy Moście Łańcuchowym w Petersburgu. Mieścił się tam sztab korpusu żandarmerów oraz Wydział Trzeci carskiej kancelarii.

W tymże gmachu znajdowały się kazamaty dla więźniów.

Hrabia Orłow i generał Dubelt, prowadząc dochodzenie w sprawie wykrytego bractwa, natrafiali co krok na nazwisko Szewczenki.

Już w papierach Kostomarowa znaleziono *Sen*, *List przyjacielski* i fragment *Wielkiego lochu*.

Biłozerski podczas rewizji w Warszawie oddał cały zeszyt nielegalnych wierszy Szewczenki. Samemu poecie zabrano dwa zbiory poezji — i to jakich! W korespondencji skonfiskowanej podczas rewizji u poszczególnych bratczyków pełno było wzmianek o Szewczence. Im dalej posuwało się śledztwo, tym jaskrawiej uwydatniał się wpływ Szewczenki na społeczeństwo ukraińskie, a zwłaszcza na młodzież. Imię poety wypowiedano z najwyższą czcią. Nazywano go „atamanem” i „batką”.

Dubelt wziął się do studiowania utworów Szewczenki. Przejrzał najpierw ogłoszone drukiem i złapał się za głowę. Jak cenzura mogła to przepuścić!

Pisząc obszerny raport dla Orłowa, tak scharaktery-

zował te utwory: „Autor nieustannie skarży się na cierpienia Ukrainy w jej obecnej sytuacji, chce wzbudzić nienawiść do panowania Rosjan, przypomina dawne swobody, czyny bohaterskie i sławę Kozaków, a współczesnemu ukraińskiemu pokoleniu zarzuca obojętność”. „Umieli Zaporozcy panować — woła Szewczenko — umieli zdobywać wolność i chwałę! Dobrze było na Ukrainie, ale minęły te czasy; pozostały tylko mogiły!”

Analizując utwory Szewczenki zabrane Biłozerskiemu, stwierdził: „W wierszach tych jest mowa o męczarniach, przelanej krwi, łańcuchach, knutach i Sybirze; pełne są one nienawiści do rządu i niewątpliwie pisane w tym celu, aby zaszczerpić w ludziach niezadowolone z władzy”.

Wreszcie dodał: „Szewczenko, gdy tylko wspomina najjaśniejszego pana, używa wyrażeń najbardziej zohydzających, obelżywych... Na zakończenie utworu *Sen* przedstawia siebie pod pomnikiem wzniesionym Piotrowi Pierwszemu przez Katarzynę Drugą i wylewa złość jak na niego, tak i na nią”.

To, co można było wyczytać w wierszach Szewczenki, zwłaszcza nie przeznaczonych do druku, wydało się generałowi gromem z jasnego nieba. Dubelt był inteligentny. Zrozumiał, kim jest Szewczenko i dlaczego Ukraińcy tak go uwielbiają. Zajął się też przesłuchaniem poety z całą sumiennością.

Dubelt był człowiekiem co się zowie sympatycznym. Każdy, kto wchodził do jego gabinetu, odczuwał niespodziewane przyjacielskie ciepło, które promieniowało z oczu generała.

Szef żandarmów chętnie grał rolę opiekuna i dobrodzieja uwięzionych obywateli, udzielał pomocy, ułat-

wiał korespondencję z rodziną, starał się dla nich o złagodzenie reżymu więziennego. Niejeden delikwent wysłany już gdzieś na linię kaukaską albo pchający taczki w kopalni syberyjskiej otrzymywał od generała listy pełne współczucia tudzież ojcowskich rad i napomnień. Ulubionym zajęciem starego lisa było pośredniczenie pomiędzy oskarżonym a monarchą. Dubelt nieraz rzeczywiście wyjednywał u cara łaskę dla przestępcy. Ale ta łaska zawsze wychodziła na dobre Wydziałowi Trzeciemu. I car był zadowolony. Wino-wajca — rzadziej.

Szewczenkę przesłuchano zaraz, gdy tylko został dostarczony do korpusu za pokwitowaniem. Dubelt sam ułożył kwestionariusz zawierający dwadzieścia dwa pytania.

Szewczenko odpowiedział na nie tak, jak mu nakazywała godność osobista i rozsądek.

Kwestionariusz wypełniał własnorecznie i nad każdym słowem zastanawiał się, aby niechcący kogoś nie skompromitować.

Dubelt od początku zdawał sobie sprawę, że ma do czynienia z człowiekiem o nieprzeciętnej sile charakteru.

Postanowił uderzyć w najczulszą jego strunę, w strunę ambicji.

Zaczął się rozwodzić nad niewdzięcznością Szewczenki: przecież z niewoli pańszczyźnianej wykupiła go rodzina carska, jakże poeta śmiał pisać o najjaśniejszym panu i jego małżonce w sposób tak potworny?!

Szewczenko doskonale wiedział, że carowa kupiła bilet na loterię za czterysta rubli, a wygrała portret sześciokrotnie większej wartości. Żadnej łaski nikomu nie zrobiła. Jednak wchodzić w jakąś dyskusję na ten

temat z żandarmami nie było najmniejszego sensu: nikogo by nie przekonał, a rozjątrzył ich przeciwko sobie do reszty. Spodziewał się surowej kary, wiedział że jej nie uniknie, ale mógł liczyć na to, iż władze śledcze nie zechcą rozdmuchiwać sprawy. Czuł poza tym, że jakakolwiek skrucha z jego strony będzie na rękę Dubeltowi. Postanowił udać naiwnego i zarazem choć w części pozyskać sobie generalsko-żandarmską łaskawość. Chciał też zostawić w aktach wskazówkę dla rodaków. Niech wiedzą, co w niego wmawiano i jak to było naprawdę. Napisał w kwestionariuszu:

„Jestem synem pańszczyźnianego chłopca... Z poddaństwa uwolniła mnie rodzina najjaśniejszego monarchy. Pośredniczyli w tym Wasilij Żukowski, hrabia Michał Wielhorski i Karol Briułow. Briułow namalował portret Żukowskiego dla rodziny imperatora i za te pieniądze zostałem wykupiony od właściciela”.

A dalej:

„Będąc jeszcze w Petersburgu słyszałem wszędzie wymysły i złorzeczenia na monarchę i rząd. Wróciwszy do Małorosji, usłyszałem, że tam pomstują jeszcze bardziej i jeszcze gorzej, zarówno ludzie młodzi, jak i poważni; zobaczyłem nędzę i okropne uciemnienie chłopstwa przez właścicieli ziemskich i ekonomów szlacheckich; a wszystko to robiło się i robi w imieniu monarchy i rządu; uwierzyłem temu wszystkiemu i, zapomniawszy sumienia i bojaźni bożej, ośmieliłem się pisać zuchwałe rzeczy na mojego najwyższego dobroczyńcę, czym dopełniłem miary szaleństwa”.

Zeznanie Szewczenki stwierdzało wyraźnie, że z niewoli pańszczyźnianej wykupił go Briułow. Słowa o rodzinie monarchy brzmiały w tym kontekście jak ironia. Przyznanie się do zuchwałstwa i szaleństwa, po stwierdzeniu bezprawia czynionego pod znakiem tegoż monarchy, zakrawało na kpinę.



Formalnie jednak wszystko było w porządku. Dubeltowi nic innego nie zostawało, jak tylko przyjąć udany żal Szewczenki za dobrą monetę.

Odpowiadając na inne pytania kwestionariusza Szewczenko ograniczył się do lakonicznych stwierdzeń: że do „ukraińsko-słowiańskiego” towarzystwa nie należał, że Kostomarowa, Kulisza, Hułaka, Posiady i innych członków tej organizacji prawie nie zna i mało się z nimi stykał, że Małorośjanom podobały się jego wiersze, a on „był na tyle nieostrożny, że pozwalał je przepisywać”.

W papierach Szewczenki żandarmi znaleźli między innymi list Strandmanna i list Karpa. Dubelta bardzo zaintrygowało, dlaczego Strandmann nazwał Szewczenkę „ostatnim z Kozaków”, a Karpo zwracał się do niego przez „atamanie”.

Szewczenko żadnych wyjaśnień udzielić nie mógł albo nie chciał. Dubelt był tym szczerze zmartwiony.

W ciągu całego trzech tygodni potem Szewczenki nie przesłuchiowano.

W tym czasie trwało badanie innych bratczyków. Hułak trzymał się po bohatersku. Odmawiał wszelkich zeznań, a w końcu przyznał się do autorstwa statutu towarzystwa i *Ksiąg bytu*; najwidoczniej po to, żeby innych uwolnić od odpowiedzialności. Do autorstwa przyznał się również, z tych samych pobudek, Biłozerski. Nawrocki zeznawał bardzo powściągliwie i nikogo nie wyspał.

Kostomarow od początku do końca zaprzeczał udziału w tej pracy, choć wiele poszlak świadczyło przeciwnie. W rezultacie żandarmi nie dowiedzieli się, kto był naprawdę autorem buntowniczych pism.

Kostomarow nie zwał winy na innych, ale, jak

mógł, pomniejszał całe przedsięwzięcie i swoją w nim rolę. Najważniejszym w jego zeznaniach było stwierdzenie, że zawsze uważał się za Rosjanina, że sprawa Ukrainy mało go obchodzi, natomiast interesuje się ideą słowiańską i tą właściwie od strony naukowej.

Pewnego razu Kostomarowa odwiedził w celi urzędnik Wydziału Trzeciego, Michał Popow. Po tej wizycie, która trwała kilka godzin, Kostomarow złożył na piśmie drugie zeznanie, w którym jeszcze dobitniej wyraził swoją lojalność w stosunku do Rosji, a swój pansławizm przedstawił jako ideę połączenia Słowian pod berłem cara.

W Europie zaczęły już huczeć odgłosy nadciągającej burzy dziejowej. Carat miał dużo kłopotliwych zagadnień do rozwiązania. Rządowi bynajmniej nie zależało na tym, aby wywlekać na światło dzienne jakieś antymonarchiczne sprawki Ukraińców. Drugie zeznanie Kostomarowa stawiało genezę Bractwa Cyryla i Metodego na płaszczyźnie wygodnej dla caratu. Kostomarow mógł teraz patrzeć spokojnie w przyszłość i nie obawiać się surowej kary.

Kulisz zachował się w sposób najbardziej służalczy i tchórzliwy. Nie tylko składał zeznania, w których wypierał się wszystkiego, ale bez przerwy zapewniał o swojej lojalności dla Rosji. Wreszcie napisał list do cara, w którym wyrażał swoje wiernopoddańcze uczucia, bił się w piersi i deklarował swoje usługi: „...Jeszcze raz przysięgam, że nie kierowały mną żadne występne myśli czy zamiary. Ciesząc się względami mojego monarchy i nie wyobrażając sobie, abym mógł wytrwać bez jego poparcia, pragnąłem i pragnę z całą gorliwością i starannością używać wszystkich swoich sił i uzdolnień, aby stać się godnym jego wielkiej łaski”.

Kulisza obciążały niektóre jego utwory powieściowe

z czasów kozackich, no i pewien mały karteluszek znaleziony podczas rewizji w jego papierach: na kartelusku był zapisany paryski adres Mickiewicza.

Biłozerski, który nasamprzód okazywał znaczny hart ducha, po pewnym czasie oklapł i zaczął zdradzać wyraźną skłonność do przypodobania się władzom. Nie bez wpływu na ten stan rzeczy pozostawały wizyty Popowa. Uśmiechnięty, wytworny i dobroduszny urzędnik nieraz przychodził do celi i odbywał z Biłozerskim długie, przyjacielskie rozmowy.

W tym okresie dochodzeń poprawiły się nagle warunki bytowania więźniów. Zaczęli dostawać lepszy wikt, czasami nawet koniak; odbywali dłuższe przechadzki. Traktowano ich bardzo uprzejmie.

Biłozerski wreszcie skruszał i udzielił dodatkowych wyjaśnień: że działanie bractwyków ograniczało się raczej do naukowych rozważań na temat panslawizmu, że wszyscy marzyli tylko o zjednoczeniu plemion słowiańskich pod władzą Rosji, że pragnęli rozwoju literatury i oświaty ukraińskiej, ale nikt nie myślał o odrywaniu Ukrainy od imperium. Zakończył wyrazami wiernopoddanych uczuć i zapewnień co do swojej absolutnej lojalności wobec rządu.

Mając takie oświadczenie ze strony Kostomarowa, Kulisza i Biłozerskiego, mógł hrabia Orłow określić zwięźle istotę bractwa: „Uczone brednie kilku rozgorączkowanych umysłów”. I mógł już oficjalnie zbagatelizować sprawę.

W ten sposób przedstawił ją carowi. Czuł jednak, że u podstaw tego niedojrzałego jeszcze ruchu leży idea, która prędzej czy później wyda złowrogi dla caratu plon. Ludzi można unieszkodliwić. Ale jak zabić ideę? Jak zniweczyć działanie buntowniczych zapalnych

wierszy tego ukraińskiego chłopca, który się tak hardo zachowuje? Ile jego utworów krąży w odpisach wśród ludzi? Jak je odnaleźć? Jak wycofać?

Podstawą oskarżenia przeciwko bractwykom była denuncjacja Pietrowa i zeznania Andruskiego.

Nieszczęsny dziewiętnastoletni student w krzyżowym ogniu pytań, zadawanych szybko i celnie przez Dubelta i Popowa, od razu się załamał i zaczął zeznawać o wszystkim, o czym wiedział i o czym nie wiedział, co było i czego nie było. Chwilami plótł po prostu duby smalone.

Ze słów jego niespornie wynikało jedno: w bractwie ściierały się dwa kierunki, jeden umiarkowany, z Kostomarowem na czele, i drugi radykalny, którego przewodcą był Szewczenko. Szewczenko miał dążyć do obalenia samowładztwa, wszystkich monarchistów nazywał podlecami, a Ukrainę chciał odbudować jako państwo niezależne albo samorządne, w federacji z innymi narodami słowiańskimi.

Andruski uparcie twierdził, że do bractwa oprócz Ukraińców należeli również Polacy, ale nie mógł wskazać nazwisk. Żandarmi byli w nie lada kłopotcie. W każdej akcji spiskowej, zwłaszcza na obszarach zachodnich, wietrzyli „intrygę polską”. Twierdzenie Andruskiego wydawało im się bardzo prawdopodobne.

Na domiar tych podejrzeń już w toku śledztwa generał-gubernator Bibikow nadesłał Wydziałowi Trzeciemu tajemniczą proklamację w języku ukraińskim, którą policja znalazła naklejoną na ścianie jednego z domów kijowskich. Treść proklamacji była krótka:

„Bracia! Nastaje wielka pora, kiedy możemy zmyć hańbę, którą prochom naszych ojców, naszej kochanej Ukrainie zadała ręka odwiecznych wrogów naszych.

Kto z nas nie powstanie, by walczyć za wielką sprawę? Z nami Bóg i dobrzy ludzie, wierni synowie Ukrainy, wrogowie kacapów”.

Dostawszy w końcu kwietnia odpis tej proklamacji, car napisał na niej: „Jawna robota tejże propagandy z Paryża; w tę robotę na Ukrainie długo nie wierzyliśmy, ale teraz nie można w nią wątpić; chwała Bogu, że to się wykryło”.

Bibikow, który przebywał wtedy w Petersburgu, otrzymał rozkaz niezwłocznego powrotu do Kijowa i roztoczenia ścisłego nadzoru nad społeczeństwem kijowskim, zwłaszcza nad młodzieżą.

Sprawa udziału Polaków w Bractwie Cyryla i Metodego miała dla żandarmów pierwszorzędną wagę. Ale jak to wysświetlić?

Popow doradzał konfrontację wszystkich uwięzionych z Andruskim i Pietrowem. Dubelt i Orłow wyznaczili ją na piętnastego maja.

Spotkał ich zawód. Mężna postawa Szewczenki i Hułaka wpłynęła na wytworzenie się wśród oskarżonych nader podniosłej solidarności. Żandarmi niczego się nie dowiedzieli o jakichkolwiek kontaktach spiskowców ukraińskich z Polakami. Hrańbia Orłow i generał Dubelt wpadli w istny szał. Tupali, krzyczeli, klęli w matkę i grozili mękami piekielnymi. Nie wiadomo gdzie się podziały ich eleganckie maniery.

Hułak zachował zupełny spokój. Szewczenko niezauważalnie się uśmiechał. Kostomarow natomiast zbladł i trząsł się jak w febrze.

Gdy ich odprowadzano do cel, Szewczenko zaczął pocieszać nieszczęśliwego profesora:

— Ne żuryś, Mykoło, szcze dowedet'sia 'wkupi żyty. Chociaż sam w to nie bardzo wierzył.

Konfrontacja wywołała wręcz przeciwny skutek, niż się spodziewano. W dwa dni później aresztowani złożyli ostateczne wyjaśnienia na piśmie. Hulak wziął na siebie wszystkie winy cyryłowców, a Andruski odwołał wszystkie poprzednie zeznania, jako fałszywe i bezpodstawne. Nawet Posiada wyparł się tego, co przedtem mówił. Inni napisali niewiele znaczące oświadczenia.

W ciągu trzech tygodni od złożenia pierwszych zeznań aż do konfrontacji Szewczenko, nie wzywany przez żandarmów, miał dużo czasu na rozmyślania. Prosił o książki. Przyniesiono mu *Biblię*. Dostał ołówek i trochę papieru. Czekając na wyrok, stworzył dwanaście liryków. Dał im zbiorowy tytuł *W kazamacie*.

Namalował słowami swój najpiękniejszy autoportret.

Ten cykl był również testamentem Szewczenki. Poeta zawarł w nim wszystko, co chciał przekazać potomności. Po raz drugi stanął w obliczu cielesnej zagłady i pragnął, aby go pamiętano. Nie wiedział, czy zginie od razu, czy w powolnych męczarniach, ale rozumiał, że zbliża się koniec. Jak każdy człowiek w chwilach przedzgonnych, przypominał sobie najjaskrawsze obrazy życia — i jasne, i mroczne — które najsilniej wbiły się w pamięć. Wiedział, że chociaż ma skrepowane ręce, dalej nieść musi ciężar posłannictwa, którym go obarczyła jego ukraińska dola. Toteż w swoim cyklu więziennym rozsnuwał wizje ojczyzny — przeszłej, przyszłej i obecnej. Bratczykom nakazywał mężną rezygnację i pamięć wielkiej wspólnej sprawy.

Zwracając się do nich pisał:

Czy my szcze zijdemosia znowu,  
Czy wże nawiky rozijszłyś?  
I słowo prawdy i lubowy  
W stepy i debry roznesły!!

— — — — —

To wola Hospoda!... Hodit',  
Smyritesia, moliteś Bohu,  
I zhadujte odyn druhoho.  
Swoju Ukrajinu lubit',  
Lubit' jiji... wo wremia lute,  
W ostatniu tiazkujtu minutu  
Za neji Hospoda molit'.<sup>1</sup>

Gdzie indziej znowu zwierzał się ze smutkiem:

Meni odnakowo, czy budu  
Ja żyt' w Ukrajinu, czy ni,  
Czy chto zhadaje, czy zabude  
Mene w snihu na czużyni —

— — — — —

Ta ne odnakowo meni,  
Jak Ukrajinu zliji lude  
Prysplat', łukawi, i w ohni  
Jiji, okradenuju, zbudiat'...  
Och, ne odnakowo meni!<sup>2</sup>

W dwóch wierszach cyklu pozwolił zabrzmieć najczulszej stronie duszy.

---

<sup>1</sup> Czy jeszcze kiedyś się zjeździemy, || Czy już na wieki jesteśmy rozłączeni? || I słowa prawdy i miłości || Roznieśliśmy po stepach i dolinach! || To wola Boga!... Pogódźcie się z nią, || Ukorzcie się, zanoście modły do nieba, || I pamiętajcie jeden o drugim. || Kochajcie swoją Ukrainę, || Kochajcie ją... w okrutnych czasach, || W ostatniej ciężkiej życia chwili || Za nią błagajcie w modłach Pana.

<sup>2</sup> Wszystko mi jedno, czy będę || Na Ukrainie mieszkał, czy nie, || Czy ktoś pamiętać będzie, czy zapomni || O mnie, zagrzebanym w śniegu na obczyźnie — || Ale mi nie wszystko jedno, || Gdy Ukrainę podli ludzie || Uśpią podstępnie, aby w ogniu || Zbudzić ją potem, okradzioną... || Och, nie jest mi to obojętne!



**Bajusze pod oknem. Taras Szewczenko. Sepia, 1855—1856**





**Dziewczyna kirgiska. Taras Szewczenko. Sepia, 1856**

W jednym odmalował krajobraz szczęścia wiejskiego, tak wzniosłe prosty, tak pogodny, że trudno wprost uwierzyć, iż jest to utwór skazańca zamkniętego w celi więziennej:

Sadok wysznewyj koło chaty,  
Chruszczi nad wyszniamy hudut',  
Płuhatari z płuhamy jdut',  
Spiwajut' iduczy diwczata,  
A materi weczariat' żdut'...<sup>3</sup>

W drugim opowiedział historię dziewczyny, która porzuciła wieś rodzinną, aby zamieszkać w pałacu. Z przejmującym liryzmem odtworzył widok opuszczonej sadyby:

#### Dawno

Ne czut' nikoho, de ty hrałaś;  
Sobaka deś pomandruwała  
I w chati wybyto wikno...  
I twij barwinoczek chreszczatyj  
Zaris bohyłoju, żduczy  
Tebe nekwitczanu. I w haji  
Stawoczek czystyj wysychaje,  
De ty kupałasia kołyś;  
I haj sumuje, pochyływś.  
W jaru krynycia zawałyłaś;  
I steżeczka, de ty chodyła,  
Koluczym ternom porośla.<sup>4</sup>

---

<sup>3</sup> Ogród wiśniowy koło chaty, || Chrabąszcze brzęczą nad wiśniami, || Oracze pługi wloką z pola, || Dziewczęta idą i śpiewają, || Z wieczerzą matki już czekają.

<sup>4</sup> Od dawna już || Nie ma nikogo tam, gdzie się bawiłaś; || Pies uciekł dokądś, || W chacie okno wybite... || I twój barwinek gałęzisty || Zarósł burzanem, czekając || Na ciebie, nie ukwieconą. I w gaju || Sadzawka czysta wysycha, || W której kąpałaś się kiedyś; || I gaj tęskni, pochylił się. || W jarze źródelko przestało bić; || I ścieżka, którą chodziłaś, || Kolącym cierniem porośla.

Nie wiadomo, ile w tym było symboliki narodowej, a ile mimowolnego oddźwięku jakichś głębokich osobistych przeżyć. Może odezwało się tutaj echo poetycznych spotkań z uroczą nieznaną na ganku Ławry Pieczarskiej.

Wiszczyje serce, szczo w pałatach  
Ty rozkoszujesz, i ne żal  
Tobi pokynutoji chaty...<sup>5</sup>

Może to było podzwonne straconych zachodów miłosnych.

Hrabia Aleksy Orłow postanowił zamknąć śledztwo; nie odsłoniło ono tajemnicy działania bratczyków ani też nie określiło zasięgu tego działania. Trudno było spodziewać się jeszcze jakichś rewelacji. Przewlekanie sprawy mogło jej nadać niepotrzebny i szkodliwy rozgłos.

Szef Wydziału Trzeciego zsumował wyniki dotychczasowych badań i złożył carowi raport, w którym o Szewczence powiedział, co następuje:

„...Ten artysta zamiast żywić uczucie wiecznej wdzięczności dla rodziny najjaśniejszego pana, która raczyła wykupić go z poddaństwa, układał w języku małosyjskim wiersze niezwykle buntowniczej treści. W tych wierszach płakał nad rzekomym uciemieniem i nieszczęściami Ukrainy albo głosił chwałę rządów hetmańskich i dawnej wolności kozackiej, albo też wylewał oszczerstwa i złość na osoby domu imperatorskiego, zapominając o ich dla niego dobrodziejstwie. Poza tym, jako że wszystko, co zakazane, pociąga ludzi

---

<sup>5</sup> Serce mi mówi, że w pałacu || Rozkoszny wieszysz żywot,  
i nie żal ci || Porzuconej chaty...

młodych i ludzi o słabym charakterze, Szewczenko zdobył wśród przyjaciół sławę znakomitego pisarza małosyjskiego, toteż wiersze jego są podwójnie szkodliwe i niebezpieczne. Te wiersze na Ukrainie mogły zasiać i zakorzenić myśli o rzekomej szczęśliwości w czasach hetmańskich, o tym że będzie jeszcze lepiej, gdy te czasy wrócą; jak również o możliwości istnienia Ukrainy jako odrębnego państwa.

Z uwagi na ten nadzwyczajny szacunek, jaki wszyscy ukraińsko-słowiańscy żywili i dla samego Szewczenki, i dla jego utworów poetyckich, wydawało się z początku, że mógł on być, jeżeli nie czołową wśród nich postacią, to narzędziem, które chcieli wykorzystać do swoich zamysłów; ale z jednej strony te zamysły nie były takie poważne, jak się to przedstawiało na pierwszy rzut oka, a z drugiej — Szewczenko zaczął pisać swoje podburzające wiersze już w tysiąc osiemset trzydziestym siódmym roku, kiedy idee słowiańskie nie absorbowwały uczonych kijowskich; tak samo z całego śledztwa wynika, że Szewczenko nie należał do ukraińsko-słowiańskiego towarzystwa i działał osobno, skłaniany do tego przez własne zepsucie. Niemniej jednak, ze względu na buntownicze tendencje i zuchwalstwo, przekraczające wszelkie granice, należy go uznać za jednego z najgłówniejszych przestępców”.

Dalej hrabia Orłow proponował, aby z uwagi na „mocną budowę ciała”, którą odznaczał się Szewczenko, wcielić go do szeregów Specjalnego Korpusu Orenburskiego, „z prawem wysługi”.

Car ołowianym wzrokiem przebiegł po raporcie, zastanowił się chwilę i swoją niedźwiedzią łapą dopisał: „Tak. Pod najsurowszy nadzór z zakazem pisania i rysowania”.

Trzydziestego maja hrabia Orłow i generał Dubelt

zebrali w biurze wydziału wszystkich bratczyków i ogłosili im carską konfirmację.

Najsrożej ukarany został Szewczenko. Po nim Hułak: miał odsiedzieć trzy lata w izolowanej celi Szliselburga, a później iść na posilenie do którejś „z oddalonych guberni”.

Kulisz, Kostomarow i Nawrocki po odsiedzeniu aresztu mieli wyjechać na służbę do wyznaczonych im miejscowości; Biłozerski — za okazaną skruchę — wprost na posadę do Pietrozawodzka; Andruski i Posiada — na studia uniwersyteckie w Kazaniu.

Kulisz i Kostomarow ponadto musieli aż do odwołania zaprzestać publikacji swoich utworów.

Szewczenko spodziewał się dotkliwej kary, domyślał się, że pójdzie na długie zesłanie równoznaczne z powolną śmiercią. Ale żeby mu zabroniono w ogóle pisać i rysować — tego żadną miarą wystawić sobie nie mógł. To było gorsze od śmierci.

Wyroku wysłuchał jednak z kamiennym spokojem. I nawet poinformował się, czy wolno mu będzie prowadzić korespondencję ze znajomymi, na co otrzymał twierdzącą odpowiedź.

A na pytanie Dubelta, co ma do powiedzenia w związku z wyrokiem, oświadczył, że uważa winę swoją za dostatecznie ciężką, a decyzję cara za słuszną.

Nie było w tych słowach ani krzty jakiegoś kajania się, przeciwnie, ktoś uważny mógłby dostrzec jawną ironię. Wyrok był nieludzki i został wydany poza normami kodeksu karnego; nie silono się nawet na inscenizowanie rozprawy sądowej; o apelacji nie było mowy. Po cóż więc takie cyniczne pytanie zadał szef żandarmerii? W warunkach terroru policyjnego Szewczenko mógł odpowiedzieć tylko tak, jak odpowiedział.

Generał Dubelt nie miał jednak czasu na analizowanie sensu tej odpowiedzi, śpieszył się bowiem na zebranie

wspólników, którzy dzielili zyski za ubiegły miesiąc: szef żandarmów był głównym udziałowcem spelunki karciarskiej, prosperującej już od wielu lat w stolicy imperium, nieopodal Pałacu Zimowego, pod nosem cara. .

Tego samego dnia Szewczenkę osadzono w areszcie wojskowym.

Tam pod wpływem świeżo doznanych wrażeń stworzył swoją pieśń o śmierci, swój marsz żałobny.

Przedstawił śmierć tradycyjnie, ludowo, w postaci kosiarza, który „ponad polem ide” i ścina wszystkich jak brzytwą: „muzyka j szynkaria, j syrotu kobzaria...” „Ne myna j caria”.

I mene ne myne —  
Na czużyni zotne,  
Za reszotkoju zadawyt',  
Chresta nichto ne postawyt',  
I ne pomjane!<sup>6</sup>

Takim bolesnym akordem zakończył te osobliwe strofy, o rytmice groteskowo skocznej w zestawieniu z posępną treścią — strofy, które w celi więziennej zabrzmiały jak potępińczy hopak.

A mimo wszystko Szewczenko czuł radość życia. Właśnie teraz dopiero zrozumiał, że prawdziwe dobro leży nie w rzeczach zewnętrznych, lecz w nim samym.

Nazajutrz, dnia trzydziestego pierwszego maja, w samo południe, Szewczenko w asyście feldjegra opuścił Petersburg.

---

<sup>6</sup> I mnie nie ominie — || Na obczyźnie zetnie, || Za kratą udusi, || Krzyża nikt mi nie postawi, || Nikt nie wspomni o mnie!

Dwa tysiące sto dziesięć wiorst oddzielało stolicę od twierdzy nad Uralem.

Obaj pasażerowie tarantasu, skazaniec i konwojent, musieli mieć żelazną wytrzymałość, jeżeli już ósmego czerwca w nocy zajechali cało i dosyć zdrowo przed budynek sztabu korpuśnego w Orenburgu, zamęczyszyszy po drodze tylko jedno konisko.

Obrazy podróżne następowały tak szybko jeden po drugim, że z nich w pamięci Szewczenki niewiele zostało.

Tym większą miał sposobność do zagłębiania się myślą w swoje niezwykle losy, do roztrząsania tego wszystkiego, co podczas dwóch ostatnich lat stanowiło treść jego wierszy i poczynań w kole bratczyków.

## STEP ORENBURSKI

Ze sztabu wysłano Szewczenkę do koszar etapowych, gdzie miał czekać, aż go władze skierują do odpowiedniej formacji.

Pismo ministra wojny, które feldjeger przywiózł do Orenburga, zrobiło niesamowite wrażenie, poruszyło nawet starych żołnierzy mikołajowskich, zahartowanych w twardej szkole życia.

Szef sztabu, pułkownik Pribytkow, mówił wszystkim znajomym oficerom, którzy do niego przychodzili:

— Proszę sobie wyobrazić, jakiego nam pana dzisiaj przysłano: ma zabronione mówić i śpiewać, i jeszcze coś tam takiego! Jakże on będzie żył?

Podczas gdy Szewczenko siedział w koszarach, wieść o jego przybyciu obiegła całe miasto.

W tak zwanej Komisji Pogranicznej, która zarządzała wszystkimi sprawami kirgiskimi, pracowało kilku ziomków poety: dwaj Ukraińcy, Fedir Łazarewski i Sergiusz Lewicki, oraz Polak, Arkadiusz Węgrzynowski. Wszyscy dobrze znali Szewczenkę z jego utworów literackich i ze słyszenia.

Łazarewski pierwszy, idąc za głosem serca, pobiegł do drewnianego baraku, w którym mieściły się koszary etapowe, a właściwie zwyczajny ponury areszt.



Szewczenko leżał na wznak na pryczy, zagłębiony w czytaniu *Biblii*. Robił wrażenie człowieka, który woli poprzestawać z książką niż z ludźmi.

Łazarewski w zapale młodości, zdjęty współczuciem, rozrzuwiony, wyciągnął do niego obydwie ręce.

Szewczenko niechętnie zszedł z pryczy i zaczął rozmawiać, raz po raz obrzucając przybysza nieufnym wzrokiem i udzielając krótkich, zdawkowych wyjaśnień.

Gdy Łazarewski zapytał, czy może mu w czymś pomóc, Szewczenko odpowiedział:

— Ja ne potrzebuju czużoji pomocy, sam sobi budu pomahaty.

Łazarewski zrozumiał poetę i wcale się nie zraził jego słowami. Udał się z Lewickim do pułkownika Matwiejewa, który był prawą ręką generał-gubernatora. Matwiejew, z pochodzenia prosty Kozak Uralski, odznaczał się prawością charakteru i uczynnością. Przejął się niedolą Szewczenki i stał się jego duchem opiekuńczym. Zaraz nazajutrz wezwał do siebie poetę, życzliwie z nim porozmawiał i pozwolił mu opuszczać koszary.

Szewczenko domyślił się, komu to zawdzięcza. Postanowił odwiedzić ziomków. Łazarewski i Lewicki mieszkali razem. W serdecznej rozmowie z nimi stopniała nieufność poety. Zaprzyjaźnił się od razu i z jednym, i z drugim. Został u nich na noc.

Położyli się pokotem na podłodze, ale spać nie mogli. Szewczenko jak zwykle, kiedy był wzruszony, zaczął mówić z pamięci wiersze. Powiedział *Sen* i *Kaukaz*.

Łazarewski i Lewicki nie znali tych utworów. Obaj byli młodzi, pełni entuzjazmu patriotycznego. Przyjęli je z zachwytem.

Potem Szewczenko śpiewał pieśni ukraińskie, między innymi swoją ulubioną *Zironkę*. Obaj przyjaciele wtórowali mu. Szewczenko się rozszochał.

Wydawało mu się przecie, że leży na dnie przepaści i z góry lecą na niego śmiertelne głązy, że znikąd nie ma ratunku; a oto zjawili się dwaj dobrzy ludzie i dali mu pomocną dłoń.

Ci ludzie byli jego rodakami. Rzecz ta miała dla Szewczenki wagę talizmanu.

W ciągu dwóch dni następnych Szewczenko, znów dzięki Łazarewskiemu i Lewickiemu, poznał kapitana Karola Gerna oraz Arkadiusza Węgrzynowskiego. Obydwoh z punktu oczarował.

Ponieważ Szewczenkę przydzielono do piątego batalionu, wchodzącego w skład dwudziestej trzeciej dywizji piechoty i stacjonującego w Orsku, więc Gern od razu pobiegł do generała brygady Fediajewa i wziął od niego list polecający do kapitana Mieszkowa, który od kilku lat dowodził piątym batalionem.

Szewczenko ku swojej wielkiej radości spotkał również w Orenburgu kolegę z akademii, Czernyszewa, który miał tu liczną rodzinę, między innymi — brata, oficera Kozaków Uralskich.

Węgrzynowski był duszą miejscowej kolonii polskiej, złożonej głównie z zesłańców politycznych.

Zaprowadził Szewczenkę do księdza Michała Zielonki, kapelana korpusu orenburskiego.

Ksiądz Zielonka, eks-dominikanin i eks-prefekt szkół publicznych w Grodnie, przebywał tu już prawie ćwierć wieku. Zżył się z krajem i z ludźmi; postanowił tutaj zostać. Marzył o tym, żeby zaopatrzyć kościół w organy i dzwony.

W Orenburgu wszyscy dla księdza prefekta, jak go

powszechnie nazywano, mieli ogromne względy i poważanie, chociaż była to osobistość mało przystępna i niełatwa do odgadnięcia.

Ksiądz pędził życie nadzwyczaj czynne. Od rana do wieczora jeździł po mieście i po okolicy. Wieczorami zajmował się korespondencją. W sztabie korpusu bardzo się z nim liczone. Szanował go nawet sam gubernator Obruczew, który Polaków nie znosił.

Szewczenkę ksiądz kapelan przyjął nad wyraz serdecznie.

Miasto wznosiło się na rozległej jak okiem sięgnąć równinie, bez jednego drzewa, bez najmniejszego bodaj krzaczka. Zabudowania były drewniane, z wyjątkiem żółtych kamienic rządowych. Ponad nimi górował minaret muzułmańskiego meczetu.

Ksiądz Zielonka i Węgrzynowski prowadzali Szewczenkę po mieście.

Ksiądz opowiadał dzieje tułactwa polskiego w tych stronach. Żywo miał jeszcze w pamięci patriarchów wygnania, filaretów wileńskich, Tomasza Zana i Adama Suzina, którzy tu spędzili kilkanaście lat i zostawili spuściznę bezcenną — duży księgozbiór z dzieł polskich złożony.

Ksiądz mówił głosem cichym, spokojnym, ale jego słowa brzmiały uroczyście i proroczo.

Wspominał o pierwszych, sprowadzonych tutaj „niewolnikach” (tak się wyraził) z Zachodu, ofiarach pierwszego rozbioru Polski. Kreślił sylwetki tych ludzi, niezłomnych i bezkompromisowych. Opisywał cielesne i duchowe tortury, jakie im zadawano.

Potem zawiódł Szewczenkę do kościoła. Minęli cmentarz kościelny, jak najpiękniejszy ogród, pełen róż i jaśminu. Weszli na chór, a stamtąd krętymi

schodkami na wieżę, z której roztaczał się widok na całą stolicę nowej satrapii.

I zobaczył Szewczenko gród warowny wśród stepów i mur z cegieł dokoła niego, i podwójny wał ziemny, usypany rękami pięciu tysięcy konfederatów barskich.

Od księdza Zielonki i Arkadiusza Węgrzynowskiego nauczył się Szewczenko wiele o kraju, do którego zapędziły go nieprzyjazne losy.

Klimat był tutaj nie najgorszy, ale ziemia nie rodziła jarzyn. Ludność miejscowa, znajdująca się na najniższym stopniu cywilizacji, dziesiątkowana przez ospę i kiłę, pędziła żywot nad wyraz nędzny i zносиła najsrozsze upodlenia. Dzieci zajmowały się żebractwem od najwcześniejszych lat. Dorosłych wyzyskiwano na każdym kroku, zmuszano do ciężkiej pracy, do posług, a ponadto grabiono i okradano. Panowało zupełne bezprawie.

Wszystkim najsamowolniej rządziła garstka funkcjonariuszów wojskowych i cywilnych. Siłę roboczą i zbrojną satrapii stanowiły liczne gromady zesłańców z całego imperium, głównie z Polski i Ukrainy.

Kraj ten był wielkim, rozrzuconym na dużej przestrzeni obozem wojennym, pozycją wypadową caratu na Bliskim Wschodzie.

A że stosunki w wojsku miały podówczas charakter wybitnie penitencjarny, więc było to właściwie jedno olbrzymie więzienie.

Ale nawet w więzieniach zdarzają się bunty. Kirgizi nieraz się zrywali do walki o wolność. Niespełna dziesięć lat przed przybyciem tutaj Szewczenki w całej Kirgizji toczyły się boje wyzwolenicze pod wodzą Isataja Tajmanowa. Caratowi udało się za pomocą róż-

nych sztuczek i ustępstw przeciągnąć na swoją stronę bogaczy kirgiskich, tak zwanych bajów, i zdusić powstanie. Tajmanow zginął.

Wkrótce potem wybuchło nowe powstanie, na którego czele stanął słynny akyn, czyli poeta ludowy, Machambet Ufemisow. Tego znowu podstępnie zgładzono. Niewola Kirgizów stała się jeszcze sroższa.

Dnia dwunastego czerwca Szewczenko po raz pierwszy w życiu włożył uniform.

Kiedy przymierzał spodnie, kurtkę i szynel, wyobraził sobie swoją przyszłość i lzy mu stanęły w oczach. Z trudem je powstrzymał.

Obok stał podoficer mundurowy. Szewczenko, nie obeznany ze zwyczajami w wojsku, spytał go, ile się należy za mundur. Podoficer odrzekł bez zająknięcia:

— Czterdzieści rubli.

Szewczenko zapłacił.

Dopiero dzięki interwencji jakiegoś oficera, który przypadkowo dowiedział się o tym, zwrócono mu pieniądze.

W sześć dni później, zaopatrzony przez nowych przyjaciół w niezbędne środki, Szewczenko wynajął furmankę i w towarzystwie żołnierza-konwojenta ruszył do Orska.

Droga wiodła przez niemal całkiem goły i bezludny step.

Lato w tamtych stronach jest trudne do zniesienia: skwarne we dnie, duszne przez ciąg krótkiej nocy. Step, na wiosnę zielony, traci prędko świeżość, trawy, szybko wybijają, żółkną i bieleją. W dzień nie ma schronienia przed słońcem, w nocy przed komarami.

Przez długi czas Szewczenko jechał pogrążony w zadumie, nie zwracając uwagi na posępny krajobraz, z rzadka tylko zatrzymując konie przy stacjach pocztowych.

Po dwóch czy trzech dniach jazdy zobaczył nagle jakby. wyspę zieleni na szarawej płaszczyźnie stepu.

Zbliżywszy się, rozpoznał wśród drzew stanicę, rozległą, schludnie zabudowaną. Była to Ostrowna.

Chaty bielutkie, wokół wierzby, na żerdziach płótów garnki gliniane. Dziewczynka pasie trzodę; na głowie ma wianuszek z polnych kwiatów.

Serce Szewczenki zabiło wzruszeniem.

— Czy tu mieszkają Kozacy Orenburscy? — zapytał furmana.

— Tak, ale to Chochły — odpowiedział furman.

— Czy jest tu stacja pocztowa?

— Stacja dalej, w Oziernie.

— Czy tam też Chochły?

— Nie, Rosjanie.

Szewczenko kazał furmanowi stanąć przy pierwszej chacie.

Była to dość stara chata, wychodząca przyczółkiem na ulicę. Do zagrody prowadziła furtka w płocie, spoza którego wyglądało kilka jabłoni. Na chacie brązowała się słomiana strzecha i czerniał gruby, niski komin. Do furtki przylegały koślawe wrota, tuż obok nich rosła wierzba; dalej stała kłunia, a jeszcze dalej, po pochyłości wzgórką, pięły się zarośla, wyglądające jak sad wiśniowy.

Szewczenko natężył wzrok — czy nie dostrzeże wśród nich pasieki.

Do ścian chaty od spodu przywarły niskie przyzby.

Nad przyzbą, od strony podwórza, zwieszał się niski daszek.

Szewczenko zapytał siedzącego tam wásacza, czy można u nich przenocować.

— Można, czemu ne można. My dobrym ludiam radi.

Szewczenko odesłał furmana i został na noc.

Wszedłszy do chaty, przystanął na progu, niezdolny słowa przemówić: znowu był na Ukrainie...

Wnętrze składało się z podłużnej sionki, obszernej, ale niezbyt widnej izby, pobielonej wapnem, oraz małej komory. W kącie głównym wisiał obraz, osłonięty ręcznikiem wyszywanym czerwoną i granatową włóczką. Pod oknem stał nieduży stół, opodał zaś bodnia. Ławki pod ścianami były porządnie wyheblowane, czyste. Na półkach — starannie poustawiane naczynia. W drugim kącie kufer drewniany, wzorzysty. Na przypiecku dzieża chlebna.

Gospodarze byli uprzejmi, ale jak przystało Ukraińcom, z początku trochę nieufni.

Szewczenko posłał po wódkę, małemu Iwasiowi dał kawałek cukru. Gospodarze, słysząc mowę ojczystą, widząc niekłamana życzliwość przybysza dla tak cudownie napotkanych rodaków, rozruszali się po trochu, ożywili.

Kurczaki na podwórzu zdążyły raz tylko krzyknąć i niebawem znalazły się na stole, pięknie przyrumienione, a obok misa z jajecznicą i wiadro znakomitych, świeżo zasolonych ogórków.

— Zakuszujcie, bud'te łaskawi — rzekła gospodyni. Przy biesiadzie czas upłynął do późnej nocy.

Szewczenko usłyszał jeszcze jedną opowieść o tuziaczce ludu ukraińskiego po rubieżach imperium.

Tu, w Ostrownej, mieszkało już trzecie pokolenie tych, co musieli stępy naddnieprzańskie zamienić na kirgiskie i syberyjskie rozłogi. Mijały lata...

Ale obyczaj ukraiński i mowa, najpiękniejsza w świecie, i przywiązanie do tamtych, opuszczonych stron — wszystko trwa. Szewczenko to widział. W sercu miał gorycz, współczucie i — mimo smutku — radość. I dumę.

Po dwóch dniach jazdy końmi pocztowymi, minąwszy malowniczą Huberlę, położoną w Górach Huberlińskich, zobaczył Szewczenko w oddali sławetną twierdzę Orską.

Zrobiło mu się tak smutno, jakby go miało spotkać nie wiem jakie nieszczęście. Straszna pustynia, rozpścierająca się dokoła twierdzy wydała mu się otwartym grobem, który go za żywa pochłonie.

Z niedawnych miłych wrażeń, jakich doznał w Ostrownej, nie zostało ani śladu, Szewczenko wpadł w okropne przygnębienie. Z oczu mu popłynęły łzy.

Zawsze, od najmłodszych lat, odznaczał się pewną zmiennością usposobienia: szybko z wesołego stawał się ponury, od radości i entuzjazmu łatwo przechodził do smutku i rozpacz. Teraz owe zmiany w nastrojach zaczęły przybierać formę gwałtownych przypadłości.

Ten człowiek silny i mężny chwilami roztkliwiał się jak dziecko.

Nawiedzały go myśli samobójcze.

Umiał jednak sam, bez niczyjej pomocy, zapanować nad każdą depresją. Tylko łez nie ukrywał. Łez się nie wstydział.



Przejechawszy drewniany mostek na chwiejnych palach, znaleźli się Szewczenko w twierdzy.

Był to obszerny majdan, otoczony z trzech stron fosą trzyarszynowej szerokości i odpowiednio wysokim wałem. Z czwartej strony płynął Ural.

Stało tam kilkanaście czerwonorudych budynków murowanych, w których mieściły się kancelarie i magazyny wojskowe, oraz dużo szarych drewnianych szop i wojskowych kibitek, czyli namiotów.

Na majdanie pasły się kozy i musztrowali się żołnierze.

W drugim końcu gromada piętnowanych katorżników brukowała uliczkę na przyjazd dowódcy korpusu.

Wszędzie panowała jakaś przeraźliwa cisza. Nikt nie śpiewał.

Kirgizi nazwali twierdzę Orską — Jaman-Kała.

To znaczy: Parszywe Miasto.

Szewczenko żywo stanęły w pamięci piramidalne topole, kasztany i akacje nad Dnieprem, złote kopuły cerkwi kijowskich, czerwona kolumnada uniwersytetu...

Poszedł się zameldować w sztabie batalionu.

Czekając w kancelarii na pisarza, patrzył przez okno i widział nieogarniony, białawy jak lodowate morze, złowrogi step orenburski.



Zakuty w dyby. (Z cyklu: „Przypowieść o synu marnotrawnym”). Taras Szewczenko. Tusz, bistr, 1856—1857



Zgrał się w karty. (Z cyklu: „Przypowieść o synu marnotrawnym”). Taras Szewczenko. Tusz, bistr, 1856—1857

## CZEŚĆ CZWARTA

### NA FIŃSKIM BŁOCIE

#### I

Fala wstrząsów rewolucyjnych, która nawiedziła Europę w połowie stulecia, wzięła początek w Polsce i we Włoszech.

Myśl polska zetknęła się w krajach zachodnich z radykalnymi planami przebudowy życia społecznego, a mając do rozwiązania problem niepodległości narodu i państwa, złączyła te sprawy w jednym rewolucyjnym programie. Lewe skrzydło emigracji poszło torami utopijnych idei socjalistycznych. Na terenie kraju tworzyły się coraz to nowe spiski, które w powstaniu ludowym widziały jedyny sposób osiągnięcia celu, jakim było ponowne wprowadzenie Polski do grona wolnych narodów.

„Pielgrzymstwo w ogólności — pisał Leon Zienkiewicz — jeden z wybitnych ówczesnych publicystów — a demokracja w szczególności, jako stowarzyszenie polityczno-socjalne, wszelkie kwestie pod dwojakim rozważała względem, politycznym i socjalnym, to jest pod względem środków zrzucenia obcej przemocy i pod względem organizacji niepodległego narodu.”

Krakowski manifest Rządu Narodowego, ułożony przez Libelta, głosił: „Będzie nam wolność, jakiej do-

tańd nie było na ziemi. Wywalczymy sobie skład społeczeństwa, w którym każdy podług zasad i zdolności z dóbr ziemskich będzie mógł użytkować, w którym ziemia, dzisiaj przez właścian warunkowo tylko posiadana, stanie się bezwarunkową ich własnością, ustanną czynszem, pańszczyzny i wszelkie tym podobne należności bez żadnego wynagrodzenia.”

Była to pierwsza próba wprowadzenia w życie zasady, którą przed piętnastu laty sformułował saint-simonistyczny „Globe”: „A chacun selon sa capacité, à chaque capacité selon ses oeuvres”.

Wszystkie konspiracje polskie, niszczone przez zaborców i bezustannie się odradzające, niosły w sobie tyle rozpędu i rozmachu, że, zaiste, niewiele brakowało, aby ruszyły z posad bryłę świata.

Wpływały one również na inne ludy, zwłaszcza sąsiednie. Żaden ruch rewolucyjny na Słowiańskim Wschodzie nie mógł w swoich planach czy rachubach ominąć poczynań spiskowców polskich; musiał nie tylko liczyć się z nimi, ale i współdziałać.

Niedoszłe ogólnonarodowe powstanie polskie, rewolucja w Krakowie i starcia orężne w Kongresówce, potem rabacja galicyjska, aresztowania i procesy we wszystkich trzech zaborach, zwłaszcza proces generała Mierosławskiego — wszystko to, co przyniósł Polsce rok tysiąc osiemset czterdziesty szósty, odbiło się potężnym echem w całej Europie.

I mimo że zaborcy srogo się zemścili na Polakach za ten rok, polski obóz demokratyczny na emigracji nie poddał się apatii i rozwijał dalej ożywioną działalność, słusznie przewidując nadchodzące wielkie wydarzenia.

Polacy z tego obozu stali się pionierami solidarności międzynarodowej.

„Polska zmartwychwstała ma spoić znowu narody wolnością”. „Kto mówi o interesach jednego narodu, jest nieprzyjacielem wolności” — mówił Mickiewicz.

We wrześniu tegoż burzliwego dla Polski roku odbywał się w Genui kongres uczonych włoskich. Nazywano ten kongres pierwszym parlamentem włoskim. Więcej niż o nauce mówiono na nim o polityce. Co chwila manifestowano uczucia patriotyczne. Sto lat właśnie mijało, jak genueńczycy, zachęceni przez ulicznika, który pierwszy rzucił kamieniem w żołnierza austriackiego, wypędzili z miasta okupantów.

Gorączka, która opanowała Włochy, nie słabła ani na chwilę. Jednak długie wieki cierpień wyhodowały w duszy włoskiej cnotę przezorności i rozumu. Włosi wypatrywali okazji, by chwycić za oręż.

Powstrzymali się od nierozważnych działań nawet wówczas, gdy wojska austriackie, wbrew traktatowi, zajęły Ferrarę i prowokacja ta wywołała w całym kraju głębokie oburzenie.

Wreszcie na kongresie rolniczym w Casale hrabia Castagneto, przyjaciel zaufany Karola Alberta, odczytał list królewski. Końcowy ustęp listu brzmiał: „Jeżeli Bóg nam kiedykolwiek pozwoli w łasce swojej prowadzić wojnę o niepodległość, sam jeden stanę na czele armii; gotów jestem dla sprawy naszej uczynić, co Szamil uczynił wobec potężnego mocarstwa rosyjskiego... O piękny dniu, w którym będziemy mogli rzucić światu hasło niepodległości narodowej!”

Lombardia i Wenecja daremnie były germanizowane przez Austrię.

Ciemieży i ciemiężeni stanowili dwa narody, które nie mogły się zasymilować. Tajne broszury patriotycz-

ne pojawiały się coraz liczniej, we wszystkich znajdował wyraz powszechny duch rewolucji. Młody poeta genueński, Goffredo Mameli, zwracając się do rodaków, wołał:

Chi il popolo sidesta,  
Dio combatte alla sua testa,  
La sua folgore gli da.<sup>1</sup>

A oni powtarzali w umiesieniu jego słowa i ginęli na barykadach.

Kiedy kule austriackie kosiły patriotów weneckich, poeta paduański, Arnaldo Fusinato, śpiewał:

A te, Venezia, l'ultimo canto,  
L'ultimo bacio, l'ultimo pianto...<sup>2</sup>

Te wiersze powtarzali wszyscy walczący o wolność i zjednoczenie ojczyzny włoskiej. Venezia — znaczyło: Italia.

W księstwach Modeny i Parmy oraz w królestwie Neapolu również się srożył system bezwzględnej reakcji.

We wszystkich tych państwach musiała wybuchnąć rewolucja. Pierwsze jej drgnienia ujawniły się na wulkanicznej ziemi sycylijskiej i przyspieszyły bieg wypadków w innych częściach półwyspu.

Niedługo potem wszystkie kraje włoskie, z wyjątkiem prowincji zajętych przez Austrię, miały już rządy oparte na wolności.

Włochy stały się kolebką Wiosny Ludów.

---

<sup>1</sup> Gdy naród powstaje, || Bóg walczy na jego czele || I daje mu piorun do ręki.

<sup>2</sup> Dla ciebie, Wenecjo, ostatnia pieśń, || Ostatni pocałunek, ostatnie westchnienie...

W styczniu tysiąc osiemset czterdziestego siódmego roku Aleksander Hercen za legalnym paszportem udał się na Zachód „dla poratowania zdrowia”.

Zatrzymawszy się w Prusach Wschodnich, zapisał w dzienniku:

„Przyjechałem do Królewca, byliśmy weseli, ciężka bryła spadła z piersi, nieprzyjemne uczucie strachu, przejmujące uczucie podejrzliwości — odleciały... Wieczorem byłem w niewielkim, brudnym i złym teatrze, ale i stąd powracałem rozgorączkowany nie aktorami, tylko publicznością, która po większej części składała się z robotników i młodzieży. W antraktach wszyscy mówili głośno i swobodnie, wszyscy nakładali kapelusze. Ta swoboda, ten żywioł pogodniejszy, żywszy, uderza Rosjanina po przekroczeniu granicy. Rząd petersburski jest do tego stopnia brutalny i nieokrzesany, tak wyłącznie despotyczny, że lubi rzucać postrach — chce, by przed nim wszystko drżało; słowem, chce nie tylko władzy, lecz i jej mis en scène. Ideał ładu społecznego dla carów petersburskich — to przedpokój i koszary”.

Kraj, w którym Hercen pisał te słowa, był państwem policyjnym, a rządził nim Fryderyk Wilhelm Czwarty, szwagier Mikołaja.

Gdy Hercen znalazł się jeszcze dalej na Zachodzie, gdy patrzył na katedrę kolońską i na mury Paryża, przypomniał sobie słowa Czaadajewa: „aby zrównać się z oświeconymi narodami, powinniśmy na nowo rozpocząć dla siebie całe wychowanie rodu ludzkiego. Oczywiście, trud to wielki i może jedno pokolenie wykonać go nie zdoła”.

I przypomniał sobie również Hercen, że władze carskie uznały nieszczęsnego filozofa za wariata.

Koniec tegoż samego roku Hercen spędził we Wło-



szech. Pisząc swój pierwszy list *Vom anderen Ufer*, stwierdził: „Świat, w którym żyjemy, umiera; należy go pochować, aby spadkobiercy lżej odetchnęli; tymczasem ludzie chcą go koniecznie wyleczyć i zatrzymują śmierć”. Rozmyślając zaś o ruinie cywilizacji rzymskiej, wyraził osobliwą myśl: „Cywilizacja Rzymu była daleko wyższa i bardziej ludzka niż życie barbarzyńców”, ale „dzicy Germanowie byli w swojej bezpośredniości potentialiter wyżsi od oświeconych Rzymian”.

Kiedy nadchodzi wiosna paryska, kiedy Mazzini zarzewa Włochów do walki o wolność i jedność narodową, kiedy Garibaldi wraca z Ameryki, by uwieńczyć dzieło risorgimenta, kiedy Polacy przygotowują nowe powstanie, Hercen wyraża stanowczy pogląd, że świat obecny powinien być nie zreformowany, lecz obrócony w gruzy. Przepowiada rychły upadek obecnej cywilizacji, mówi o jej wyczerpaniu, przeżyciu się, jako o rzeczy oczywistej. „Nigdzie — woła — ludzie nie mogą być wolni i równi, dopóki istnieje ta forma społeczna, ta cywilizacja”.

Ostatni rozdział swojej pracy *Z tamtego brzegu* rozpoczyna cytata z Proudhona: „Ce n'est pas Catiline, qui est à vos portes, c'est la mort”.

Teoria katastrofy światowej, katastrofy zbawczej, rozwija się w umyśle Hercena jednocześnie z ideą Rosji-wyzwolicielki, która pomoże zrównać z ziemią stary świat i wykarczuje grunt pod budowę gmachu nowego życia.

Hercen dziwił się tym, którzy zbyt wiele uwagi poświęcali przeszłości. Nie podzielał tych romantycznych zainteresowań historią.

A nowe życie na ziemi wyobrażał sobie w kategoriach racjonalnych — jasnych i prostych.

Od czasu wystawienia *Rewizora* i wydania pierwszej części *Martwych dusz* wslawił się Gogol jako przedstawiciel kierunku krytycznego w literaturze rosyjskiej, jako pisarz, który w granicach cenzury umiał napiętnować wady i grzechy ustroju.

Szeroko rozgałęziona organizacja konspiracyjna, uprawiająca propagandę antyustrojową, nie zdziałałaby tyle, co ten pisarz sprawił jedną komedią i jedną powieścią.

Nieśmiertelny poczet jego figur z epoki mikołajowskiej, jak Chlestakow, Czyczykow, Nozdriew, Sobakiewicz, Pluszkin i Koroboczka, godzien jest stanąć obok najślawniejszych typów stworzonych piórem Szekspira, Molliera i Cervantesa.

Hercen powiedział: „Poezja Gogola to krzyk bólu i wstydu; tak krzyknąć musi człowiek upodlony nikczemnym życiem, kiedy nagle zobaczy w lustrze swoją zbydłęciałą twarz”.

Ale tenże Hercen dodał: „Tam, gdzie wzrok może przebić zasłonę brudnych, gnojowych oparów, tam widzi chwacką, pełną siły narodowość”.

Na początku piątego dziesięciolecia Gogol wyjechał za granicę. Potrafił tak dalece zainteresować swoim losem całą rodzinę Mikołaja, że wkrótce dostał subsydlum na trzy lata — po tysiąc rubli rocznie od cara i po tysiąc franków od następcy tronu.

Mieszkał w Rzymie i prawie codziennie przesiadywał w kawiarni Greco, nie opodal placu Hiszpańskiego. Schodzili się tam ziomkowie pisarza, a on im opowiadał tłuste dykteryjki. Robił to po mistrzowsku i z satysfakcją.

Jednym ze słuchaczy tych anegdot był młody malarz petersburski, Wasyl Sternberg, kolega i przyjaciel Tarasa Szewczenki.

Sternberg wiedział, jak dalece Szewczenko uwiel-

biał autora *Martwych dusz*. Był przeto zaskoczony, kiedy Gogol kiedyś w rozmowie na temat *Kobzarza* i *Hajdamaków* oświadczył:

— Za dużo dziegciu. Więcej dziegciu niż poezji. Nam, jako Małorosjanom, może to być przyjemne, ale nie wszyscy mają nosy takie jak nasze.

Sternberg wkrótce umarł na suchoty i nie zdołał tej złośliwej wypowiedzi przekazać poecie ukraińskiemu. Zresztą Szewczenko z tej racji na pewno by nie zmienił swojej entuzjastycznej opinii o talencie pisarskim Gogola: umiał odróżniać dzieło od człowieka.

A z Gogolem dziwne rzeczy działy się pod włoskim słońcem. Zaczął czuć się dłużnikiem cara i rządu. W liście do jednej z wpływowych dam petersburskich tłumaczył, dlaczego nie zaprezentował się carowi w Rzymie: „Monarcha powinien zobaczyć mnie wówczas, gdy na swoim skromnym polu wykonam dla niego taką służbę, jaką inni spełniają w dziedzinie państwowej”.

Długoletni pobyt we Włoszech nie wywarł żadnego trwalszego wpływu na jego umysłowość. Wszystko było mu tu obce. Żył tylko Rosją. I wciąż uważał, że jest literackim urzędnikiem cara.

Ci, co go bliżej znali, wcale się nie zdziwili osobliwej książce, którą wydał w roku tysiąc osiemset czterdziestym szóstym: *Ustępy wybrane z listów do przyjaciół*.

Kółko dawnych towarzyszków Puszkina, z Pletniem, Wiaziemskim i Szewyriewem, powitało książkę jak najprzychylniej, a „Pszczola Północna”, powiązana z Wydziałem Trzecim, wypisywała o niej panegiryki.

Wszystko, co było w Rosji postępowego i uczciwego, odwróciło się od książki ze wstrętem.

Gogol przemawiał teraz przeciwko dawnym swoim utworom satyrycznym i starał się udowodnić, że zawsze kierowały nim tendencje i uczucia wiernopoddańcze.

Występował przeciwko wszelkim próbom zmiany samowładztwa na jakiś liberalniejszy ustrój. Deklarował się jako wielbiciel i obrońca prawosławia. Ucząc chłopą rosyjskiego pokory, zwracał się do niego z rubaszną apostrofą: „Ach ty nie myty ryju!”

Gogol, jak wielu innych wybitnych ludzi, był rozdwojony wewnętrznie: miał wielki, niepospolity talent, dzięki któremu widział i malował prawdę, oraz tuzinkowy umysł, skutą obręczą utartych pojęć i wierzeń.

To, co w duszy pisarza było tuzinkowe, z biegiem czasu wzięło górę nad jego genialnością.

Ukazanie się obskuranckiej książki Gogola pociągnęło za sobą jeden dodatni skutek: wywołało słynną replikę Bielińskiego.

„Niesamowity Wissarion”, bawiący podówczas na kuracji w Salzbrunn, pod datą piętnastego lipca tysiąc osiemset czterdziestego siódmego roku, wystosował swój *List do Gogola*. List ten w odpisach obiegł całą Rosję.

Bieliński tym bardziej był oburzony, iż dotąd występował zawsze jako entuzjastyczny wielbiciel autora *Martwych dusz*.

Przedstawiwszy w *Liście* okropną nędzę społeczną Rosji i ciężkie a bezowocne próby najszlachetniejszych jednostek zmierzające do naprawy tych stosunków, pisał:

„Ten, który swoimi wysoce artystycznymi, głęboko prawdziwymi utworami tak potężnie przyczynił się do uświadomienia Rosji, dawszy jej możność ujrzeć samą siebie w zwierciadle, uczy barbarzyńcę ziemianina wyciskać z chłopą jak najwięcej pieniędzy i żyć go jeszcze mocniej.”

„Rzeczniku knuta — unosił się Bieliński — apostołe ciemnoty, rycerzu obskurantyzmu i zacofania, panegyrysto obyczajów tatarskich, co czynisz?!”

I ostrzegał Gogola, że w Rosji najświetniejszy pisarz może upaść nisko w oczach społeczeństwa, jeśli się od-  
da na usługi reżymu.

Gogol nie został dłużny Bielińskiemu.

„Mówi pan, że ocalenie Rosji spoczywa w cywilizacji europejskiej? — pisał w odpowiedzi. — A cóż to jest ta cywilizacja? Tu są i falanstery, i czerwoni, i wszelacy inni. Pustą marą jest ta cywilizacja.” I prorokował, że niedługo Europa przyjdzie do Rosji „nie tylko po sadło, ale i po mądrość, której już nie można kupić na rynkach europejskich”.

Bieliński spotykał się w Paryżu z Bakuninem, Her-  
cenem i Pawłem Annienkowem. Najczęściej i najżywiej rozmawiali o słowianofilstwie. Bieliński był okcyden-  
talistą i nie cierpiał słowianofilów. Gotowi byli, jego zdaniem, rozparcelować potęgę Rosji.

Gdy wkrótce po napisaniu *Listu do Gogola* dowie-  
dział się z prasy austriackiej o wykryciu Bractwa Cy-  
ryla i Metodego, o słowianofilskim podłożu organizacji i o udziale w niej Szewczenki, mimo iż nie miał w rę-  
ku żadnych źródłowych danych, od razu wyrobił sobie najujemniejszy pogląd na całą tę sprawę. Nie uprzy-  
tamniał sobie, że słowianofilstwo bratczyków nie miało nic wspólnego ze słowianofilstwem moskiewsko-peters-  
burskim.

Po powrocie do stolicy spotkał Bieliński na Newskim  
Prospekcie urzędnika Wydziału Trzeciego, Popowa, i od  
niego otrzymał garść informacji.

Popow zapoznał go z cyrkularzem rozesłanym przez

ministra oświaty Uwarowa do wszystkich kuratorów okręgów szkolnych w sprawie „spisku” bratczyków i w ogóle słowianofilstwa.

„Rosyjskie słowiaństwo — głosił między innymi cyrkularz — w czystej istocie swojej powinno wyrażać bezwarunkowe przywiązanie do prawosławia i samowładztwa; wszystko, co wykracza poza te granice, jest domieszką obcych pojęć, grą fantazji albo maską, pod którą złoćnicy starają się złowić ludzi niedoświadczonych i porwać marzycieli.”

Uważając stowarzyszenie Cyryla i Metodego za organizacją słowianofilską, rząd carski nie poprzestał na jej likwidacji, lecz zaczął traktować jako podejrzaną i niebezpieczną dla państwa całą grupę słowianofilską. Ruch ten, silnie rozwinięty wśród Słowian zachodnich, mógł, zdaniem rządu, spełnić rolę konia trojańskiego, w którym wrogowie łącznie gotowi byli przemycić do państwa carów idee przeciwne strukturze imperium, nawet, co nie daj Boże, republikańskie. Zeznania aresztowanych członków Bractwa Cyryla i Metodego rzuciły na tę sprawę niepokojące światło.

Rozmowa z Popowem utrwaliła w Bielińskim przekonanie o antypaństwowym charakterze całego przedsięwzięcia bratczyków. Szczególnie irytowała Bielińskiego idea federacji wysunięta przez spiskowców ukraińskich.

W grudniu, odpowiadając na list Annienkowa, który nadal przebywał za granicą, omówił Bieliński obszernie sprawę Kuliszki i Szewczenki.

Wiedział, do kogo pisze. Annienkow był również okcydentalistą i też nie znosił słowianofilstwa. Rok przedtem surowo potępił ruchy rewolucyjne na ziemiach polskich, powstanie krakowskie nazwał „nikczemnym, niemoralnym buntem”, interwencję wojsk rosyjskich i pruskich powitał z radością.

W liście do Annienkowa z właściwą sobie pasją napadł Bieliński na bratczyków za próbę „oderwania całej prowincji” od państwa wszechrosyjskiego. Nie przebierając w słowach, gromił Kulisza, nazywał go „bydlakiem” i „liberalną świnia”.

„Szewczenkę — pisał dalej — zesłano na Kaukaz. Wcale go nie żałuję. Gdybym ja był sędzią, ukarałbym go jeszcze surowiej. Mam osobistą odrazę do takich liberałów! Są to wrogowie wszelkiego postępu.”

„Oj, te Chochły, Chochły! — wołał w końcu. — Uprawiają liberalizm w imię hałuszek i warenyków ze słominą!”

Szewczenko od dawna śledził działalność literacką Bielińskiego, niejedną cenną myśl zaczerpnął z jego świetnych artykułów. Wiedział o nieprzychylnym stosunku krytyka do literatury „małorosyjskiej”, niemniej jednak wysoko cenił jego talent i wysoką ideowość.

Zdziwiłby się niezmiernie, gdyby poznał treść listu Bielińskiego do Annienkowa.

Ale nie miał o tym pojęcia. Przebywał w dalekiej, pustynnej Kirgizji i uczył się musztry.

## II

Wykrycie „spisku” kijowskiego odbiło się głośnym echem w prasie zagranicznej, zwłaszcza włoskiej i austriackiej. Włosi witali z radością wszelkie ruchy rewolucyjne wśród Słowian, gdyż pośrednio czy bezpośrednio godziły one w śmiertelnego wroga Italii — monarchię habsburską. A każdy ruch narodowy był siłą rzeczy sprzymierzeńcem włoskiego risorgimenta.

W Austrii wypadkami kijowskimi zainteresowała się

głównie prasa polska. „Dziennik Polski” we Lwowie zamieścił wiadomość o aresztowaniu Kulisza. Na łamach „Postępu” Karol Paduch przepowiadał „krwawy wybuch” powstania za Zbruczem. Mówił o Szewczence i jego doniosłej roli w odrodzeniu narodowym ukraińskim, o jego patriotycznych poezjach, wreszcie o jego pracy w Uniwersytecie Kijowskim. „Wolna, niezależna Ukraina była hasłem Szewczenki...” — pisał Paduch. I informował dalej, że Zadnieprze prowadzi teraz zjadłą walkę z caratem o dawne prawa; a ta walka jest tym niebezpieczniejsza dla Rosji, że całe jej bogactwo zbożowe, cały handel z Lewantem i Południową Europą może być utracony.

Niezależnie od pewnych nieścisłości, których się nie ustrzegły pisma lwowskie, widać tam było niezgorszą orientację w sprawach ukraińskich. Rzecz pewna, iż przyczyniły się do tego opowiadania Polaków, którzy uchodzili z Ukrainy do Galicji przed represjami władz rosyjskich.

Prasa emigracyjna polska również poświęciła sporo uwagi bratczykom. Najwięcej pisał o tym „Trzeci Maj”. Sprawami Ukrainy zajmował się tam Franciszek Duchiniński, który, po ponownej ucieczce z Kijowa, przez Odessę i Konstantynopol dotarł do Paryża, został jednym z sekretarzy Hotelu Lambert i nadal słowem i czynem, popierał ideę niepodległego państwa ukraińskiego.

Niedługo potem Hipolit Terlecki, lekarz i teolog grekokatolicki, rodem z Wołynia, wydał w Paryżu *Słowo Rusina o rzeczach słowiańskich*. Streścił tam plany federacyjne cyryłowców i zanalizował zwrot w słowiańskiej polityce Rosji. Zniechęcenie jej do pansławizmu tłumaczył tym, że idee wszechsłowiańskie u różnych narodów, zwłaszcza u Ukraińców, spowodowały wzrost aktywności narodowej, niezgodnej z interesami caratu.

Na Ukraińcach galicyjskich sprawa Szewczenki, Ku-



lisza i Kostomarowa również sprawiła głębokie wrażenie.

Ukraiński ruch odrodzeniowy, który się zaczął nad Dnieprem, przerzucił się na teren Lwowa. Grunt był już tutaj przygotowany przez działalność literacką i patriotyczną tak zwanej ruskiej trójcy — Iwana Wagiłowicza, Marcjana Szaszkiewicza i Jakuba Hołowackiego.

Utwory Szewczenki, zarówno publikowane drukiem, jak i nielegalne, krążące w odpisach, dały potężny bodziec do wzrostu uczuć patriotycznych ludności ruskiej w Galicji.

Surowe kary, jakie spadły na uczestników Bractwa Cyryla i Metodego, zwłaszcza na autora *Hajdamaków*, jeszcze bardziej rozplłomieniły uczucia patriotyczne Rusinów.

Rząd carski mocno się przeliczył w tej sprawie i zamiast pożądanego skutku, jakim miało być stłumienie ukraińskich dążeń narodowych, spowodował skutek wręcz odwrotny.

Kiedy po pewnym czasie do społeczeństwa ukraińskiego dotarły bliższe szczegóły śledztwa i zachowania się poszczególnych aresztowanych, niewinna w gruncie rzeczy działalność bratczyków kijowskich nabrała w opinii ogółu cech prawie legendarnych, podobnie jak konspiracja studentów polskich w Wilnie za czasów Nowosilcowa.

Szewczenko wśród tych filomatów kijowskich wyrósł na Mickiewicza, natomiast Hułak odegrał rolę ukraińskiego Tomasza Zana.

Echa sprawy kijowskiej odzywały się zarówno w prasie, jak i w dyplomacji europejskiej, zwłaszcza jeśli chodzi o państwa złączone świętym przymierzem.

Bawarskie czasopismo „Augsburger Zeitung” zaatakowało czeskich panslawistów, obwiniając ich o podburzanie Ukraińców do zamachu na całość imperium rosyjskiego. W Austrii i Prusach sprzysiężenie kijowskie nazywano Młodą Ukrainą. Rząd austriacki miał dość kłopotów z południowymi Słowianami, Polakami, Rusinami i Czechami. Dla Prus agitacja słowiańska również przedstawiała duże niebezpieczeństwo. Kiedy posłowie tych dwóch państw zwrócili się do rządu rosyjskiego z zapytaniem w sprawie cyrylowców, hrabia Nesselrode mógł już w imieniu cara złożyć im solenne zapewnienie, że przedsięwzięto wszelkie środki, aby zahamować ruch panslawistyczny i nie dopuścić do żadnej w tym kierunku propagandy.

Współpraca policji trzech sprzymierzonych mocarstw rozwijała się jak najpomyślniej.

Mikołaj Sawicz, który odbywał studia ekonomiczne w Paryżu, został powiadomiony przez ambasadę rosyjską, że musi wracać do kraju. Wiedział już o kijowskich aresztowaniach. Wpadł w rozstrój nerwowy. Chodził i opowiadał, że jest kuzynem cara. Różne podejrzane typy deptały mu po piętach. Wyjechał do Frankfurtu nad Menem, ale tam znowu zaczęła go nachodzić policja niemiecka, domagając się, aby natychmiast udał się przez Szczecin do Petersburga. W brudnym hoteliku w Kassel usiłował nieszczęsny Sawicz poderżnąć sobie gardło brzytwą. Ale i tu czuwała policja. Przydzielono mu lekarza, który miał się nim opiekować. „Lekarz”, którym był przebrany policjant pruski, zawiózł go do Kronsztatu i oddał w ręce żandarmerów.

Kiedy go badano w Wydziale Trzecim, udzielał nieodrzecznych odpowiedzi i wciąż tylko mówił o swoich

nerwach. Dubelt machnął ręką; kazał mu wracać do rodzinnej Połtawy i nie wydalać się bez pozwolenia władz. Wkrótce wszyscy o nim zapomnieli. Tylko miejscowy przystaw od czasu do czasu wysyłał krótkie raporty o jego zachowaniu się: było bez zarzutu.

W Kijowie przez dłuższy czas panowała niespokojna atmosfera. Żandarmeria węszyła spiski. Nici łączące Polaków z Bractwem Cyryla i Metodego były niewidoczne dla oka władzy. Praktycznie biorąc, podejrzewano wszystkich studentów katolików oraz tych prawosławnych, którzy się z katolikami przyjaźnili.

W niewyjaśnionych okolicznościach aresztowany został zaprzyjaźniony z Julianem Kędrzyckim starszy brat Franciszka Duchńskiego, Władysław Piotr. I wkrótce podobno zmarł w więzieniu. Najwidoczniej jednak nic się od niego nie dowiedziano, gdyż żadne dalsze aresztowania nie nastąpiły.

W jesieni tegoż roku, gdy wywieziono Kulisza, Kostomarowa i Szewczenkę, wszedł w mury uniwersyteckie nowy zastęp młodzieży.

Wśród nich od razu wybili się na czoło Zygmunt Miłkowski i Leonard Sowiński.

Drugi na razie interesował się głównie poezją, zwłaszcza ukraińską; zachwycał się utworami Szewczenki. Pierwszy poświęcił się nauce i sprawom społecznym, choć też nie stronił od poezji, a dużo wierszy Szewczenki umiał na pamięć. Obydwaj powiększyli szeregi purystów.

Tymczasem z Zachodu płynące hasła wolnościowe znajdowały silny oddźwięk wśród Polaków i Ukraińców pod rosyjskim panowaniem, mimo że przeciwko tym hasłom pogranicze zostało szczelnie obstawione gęstymi łańcuchami wart.

Zwłaszcza wieści o zwycięskich ruchach i rozruchach we Włoszech budziły żywy entuzjazm młodzieży.

Przedostawały się one nawet za pośrednictwem dzienników, publiczność bowiem nauczyła się czytać gazety pomiędzy wierszami, a nawet na opak.

Studenci polscy w Kijowie, idąc za wzorem młodych entuzjastów warszawskich, alegoryzowali pojęcia i uczucia patriotyczne: zamiast „Polska” mówili „Wenecja”, opłakując dawną świetność „Królowej Adriatyku”, opłakiwali dawną chwałę Rzeczypospolitej, sławiąc bohaterstwo mieszkańców Laguny, dawali wyraz uwielbieniu dla bojowników sprawy narodowej polskiej.

Wszyscy prawie umieli na pamięć posepną zwrotkę z wiersza Edmunda Chojeckiego *Noc w Wenecji*:

...Nad tą Wenecją, niegdyś tak dumną,  
Dzisiaj zaguby anioł ulata —  
Grób bohatera zdaje się trumną,  
Z której popioły wichur rozmiata.  
Znac wielkość wyszła gdzieś na tułactwo,  
Ostatki przemoc w okowach trzyma,  
A władcy miasta to jak robactwo  
Zagryzające trupa olbrzyma.

Znali też pełną werwy i zapachu *Odpowiedź Wenecjanka*, którą napisał Karol Baliński:

Ojczyznę moją trupem nazwałęś!  
A ja ci mówię: bluźnisz, młodzianie!  
. . . . .  
W letargu leży olbrzym uspiiony,  
A wróg śpiącego w jarzmo zaprzęga  
I dawnej jego chwale urąga,  
I krzyczy: „Umar! Już pogrzebiony!”  
A ślepi wierzą — a słabi płaczą,  
Lecz wieszcz wie dobrze, że tylko drzemie.  
Precz mi z żałami! Precz mi z rozpaczą!  
Wstawaj, olbrzymie! Wstawaj, olbrzymie!

I olbrzym zadrży całym ogromem,  
I wieko trumny złamie jak drzazgę!

Młody poeta kijowski, Leonard Sowiński, któremu szczególnie leżała na sercu sprawa przyszłych losów Polski i Ukrainy, pisał dla swoich rówieśników sonety, zasnute modną mgiełką romantyczną, jednak dające się bez trudu rozszyfrować przez tych, co czuli i myśleli podobnie jak on.

Sowiński w przeszłości widział „marzeń różnobarwne smugi i błędów ciężkich szereg nieprzejrzanie długi”, a w przyszłości — „wyorane znojem... role czynu” i „wyżyny zasługi”.

Po zlikwidowaniu Bractwa Cyryla i Metodego młodzież niedługo trwała w bezczynności. Grono studentów, Polaków i Ukraińców, zawiązało nową konspirację pod przewodnictwem Miłkowskiego. Składała się ona z dwóch równoległych związków — polskiego i ukraińskiego. Celem spisku miała być propaganda zasad demokratycznych w połączeniu z propagandą czynu orężnego. A celem czynu — niepodległość Polski i Ukrainy.

Forma tej niepodległości, a zwłaszcza sprawa granic, nie była w statucie, ułożonym przez Miłkowskiego, sprecyzowana. Niemniej jednak Polacy i Rusini występowali jako strony równouprawnione.

Czuć było w tej robotce posiew ideowy dawnych spiskowców. Nie brakło wśród nich ludzi, którzy osobiście znali autora *Kobzarza*. Był tu między innymi przyjaciel i sąsiad Szewczenki z Koziego Błota, Julian Belina Kędrzycki. Poza tym w „gronie ścisłym”, czyli w sztabie spisku, znajdowali się Izydor Kopernicki, Aleksander Szumowski, Korejwa, Waryński i inni.

Miłkowski niebawem opracował odezwę, którą w tajemniczeni skopiowali odręcznie w kilkuset egzempla-

rzach i rozdali obywatelstwu zgromadzonemu na kontraktach.

W zapusty, pod pozorem zabawy karnawałowej, urządzono wielką schadzkę sprzysiężonych w Lasku Metropolicim, w domu służącym dostojnikowi cerkiewnemu za letnią rezydencję. Dozorca za pewną opłatą wpuścił młodzież do wnętrza domu. Zebrało się paręset osób, Polaków i Ukraińców. Śpiewano *Hej chto w lisi, obizwysia!* Potem zaczęły się obrady i trwały do rana.

Omawiając wyniki dotychczasowej akcji, Miłkowski z właściwym mu humorem powiedział:

— Brakuje tylko jednego: żeby czynność nasza się wydała i statut dostał się do rąk władzy; wtedy i szubienica się ugarniruje, i Syberia udział swój dostanie, i armia kaukaska otrzyma żołnierzy wykarmionych matematyką wyższą, naukami przyrodniczymi, medycyną, filologią i filozofią.

Niedługo potem policja zaczęła się interesować Miłkowskim tak wyraźnie, że ruchliwy przywódca spisku i jeden z pierwszych realizatorów przymierza polsko-ukraińskiego musiał uchodzić do Galicji.

Ale organizacja została i prowadziła swoją działalność. I szpicle jej nie wykryli.

Czasy były coraz niespokojniejsze, więc i policjanci Perowskiego, i żandarmi Orłowa mieli znów pełne ręce roboty. W „czarnym gabinecie” u Dubelta dzień i noc paliło się światło: dokonywano tam perlustracji listów prywatnych, zwłaszcza tych, co przychodziły z obcych krajów albo szły za granicę.

Raporty urzędowe o nastrojach ludności, zwłaszcza w prowincjach zachodnich, nosiły charakter alarmujący.

Gubernator wołyński, pragnąc zapobiec dalszemu szerzeniu się tych nastrojów, kazał w wielu punktach guberni poustawiać szubienice. Kiedy pytano żandar-mów, na kogo są te szubienice, żandarmi odpowiedzieli:

— Na Polaków.

W Petersburgu krążyła litografowana ulotka: „O sposobach zwiększenia wartości majątków szlacheckich”. Pod ulotką podpisany był „obywatel ziemski sankt-petersburskiej guberni M. Butaszewicz-Pietraszewski”.

Ulotka nie zawierała nic przeciwnego prawu, ale autor, jakby nie licząc się z istnieniem właściwych urzędów i komisji, propagował różne innowacje i reformy. Między innymi nawoływał do zakładania „towarzystw kredytowych ziemskich, tak jak w Polsce.” To już było nie tylko oburzające, ale i podejrzane. Tym bardziej że o żurfiaksach w drewnianym domku na Kolumnie wiedziało już dosłownie całe miasto.

Pułkownik Liprandi nie wątpił, że Pietraszewskim warto się zająć i to jak najprędzej, dopóki nie dojrzeją wypadki, o których coraz głośniej było w rozmowach ludzi i nawet w gazetach.

Pietraszewski bardzo się ucieszył, kiedy jeden z nowo zwerbowanych członków jego kółka, młody student uniwersytetu, syn znanego artysty malarza, Piotr Antonelli, opowiedział mu o swoich znajomościach wśród górali kaukaskich. Tego właśnie Pietraszewskiemu brakowało. Tym bardziej że właśnie upadła kijowska konspiracja z Szewczenką na czele i wpływy kółka na południu Rosji chwilowo się skurczyły. A Kaukaz powinien być odegrać wybitną rolę w przyszłej rewolucji.

Antonelli niebawem zyskał zaufanie i nawet sympatię Pietraszewskiego.

Gdy student utrwalił już na dobre swoją pozycję w kółku, sporządził obszerny raport o jego działalności i zaniósł Librandiemu. Pułkownik, stwierdziwszy, że nowy agent służby śledczej stoi na wysokości zadania, natychmiast pobiegł z raportem do ministra.

Hrabia Perowski z kolei udał się do cara. Jakże się cieszył, że może utrzyć nosa hrabiemu Orłowowi!

Wykrycie i zniszczenie Bractwa Cyryla i Metodego przejęło smutkiem wszystkich pietraszewczyków. Zwłaszcza Mombelli, który osobiście przyjaźnił się z Szewczenką, był niepokieszony. Skrupulatnie odnotował w swoim dzienniku wszystkie pogłoski o tym fakcie.

„Obecnie w Petersburgu — pisał — wszyscy pod sekretem i z tajemniczą miną szepczą i mówią o wykrytym i przyłapanym przez władze spisku, jakoby słowianofilów. Mówią różnie. Nie wiadomo, czyja relacja jest prawdziwsza. Wszystkie opowiadania zgodne są co do jednej rzeczy: kilkunastu ludzi — mądrych, szlachetnych i wykształconych — przywieziono do Petersburga i wtrącono w tajne ciemnice, dla nikogo niedostępne. Wszyscy zgodnie powtarzają, że wśród tych nieszczęsnych jest Szewczenko, Kulisz i Kostomarrow.

Nikt nie zna planu patriotów ukraińskich, nikt nie wie, jaki przyświecał im cel; zdania o tym są różne. Podobno chcieli wzniecić w Małorosji powstanie, przywrócić hetmańszczyznę i zupełnie oderwać ją od Rosji.

Zwolennicy despotyzmu, to jest obecnego porządku w Rosji, oraz wszyscy ludzie tchórzliwi — tak zwani ostrożni albo, inaczej, rozsądni — określają ten zamysł jako głupi, bezmyślny, niedorzeczny i małoduszny. W Rosji za małodusznych uważa się nie tych, co rze-



czywiście przejawiają małoduszność, lecz tych, co skutkiem braku doświadczenia albo szczególnych dyspozycji duchowych zbyt ufają bliźnim; tych, którzy liczą na przewrót w Rosji, na lepszy porządek rzeczy; jak również tych, którzy mają odwagę zerwać z głupimi światowymi konwenansami i nie stosują się do nich — w ogóle wszystkich tych, którzy mają nieszczęście wznieść się ponad przeciętny poziom w czymkolwiek, z wyjątkiem niewolniczej uległości i gorliwości dla tronu.

Niektórzy nazywają postępek Szewczenki szaleństwem, oznaką rozstroju umysłowego, głównie z tej racji, że plan jego wydaje się im nierealny, po prostu bezsensowny.

Małorosjanie zaś, bardziej obeznani z warunkami terenu, nawet całkiem nie aprobujący zamiaru Szewczenki — choćby dlatego, że się nie udał — sądzą, że plan jego wcale nie był taki absurdalny, jak się to może wydawać na pierwszy rzut oka.

Z chwilą wybuchu powstania w Małorosji poruszyłby się również Don, od dawna już niezadowolony z obecnych rządów. Polacy również skorzystaliby z okazji. Czyli że całe południe i zachód Rosji chwyciłyby za broń...”

Butaszewicz-Pietraszewski po rozmowach z wieloma członkami kółka wyraził pogląd, że wykryty przez władze spisek „zapaścił korzenie” na Ukrainie, że nastroje są tam nadal bardzo burzliwe i że dzieje się to wszystko głównie za sprawą Szewczenki, który utworami swoimi zrewolucjonizował umysły rodaków.

Wypadki w Galicji i nieudana rewolucja krakowska nie złamały ducha spiskowców polskich. We wszystkich trzech zaborach dalej trwały przygotowania do nowej

akcji orężnej, podsycane przez wieści o coraz to nowych sukcesach narodowego ruchu włoskiego.

Najsilniej prace konspiracyjne rozwinęły się w zaborze pruskim. Stamtąd usiłowano je przerzucić przez Prusy Wschodnie na obszar Litwy i Białorusi.

Ale żandarmeria carska działała z podwójną energią. Garnizony w miastach litewskich zostały wzmocnione. Rozrastał się aparat szpiegowski.

W przededniu wydarzeń tysiąc osiemset czterdziestego ósmego roku znaczna część organizacji spiskowych polskich została wykryta. Przywódców uwięziono.

A kiedy cała Europa stała w ogniu walk rewolucyjnych, rząd carski jeszcze bardziej wzmógł represje w stosunku do wszystkich osób zamieszanych w działalność spiskową.

I nawet, kiedy już przebrzmiały echa Wiosny Ludów, w Rosji dalej trwały aresztowania. Ofiarami ich padali głównie Polacy, oni bowiem największy brali udział w spiskach.

Najpierw w związku ze sprawą Roehra i Remiersa, którzy przyjechali na Litwę jako emisariusze poznańskich organizacji powstańczych, aresztowano Bronisława Zaleskiego i Apolla Hofmeistra. Obaj powędrowali etapem na linię turkiestańską.

Potem w Wilnie aresztowany został Eustachy Wróblewski, który prowadził „propagandę demokratyczną” wśród chłopów i rzemieślników. Znaleziono przy nim listy od kolegów z Charkowa i Petersburga, między innymi od Wacława Przybylskiego.

W Petersburgu żandarmeria aresztowała kilku studentów z otoczenia Sierakowskiego.

Wykryty został związek braci Dalewskich. Obaj pojechali w głąb Rosji.

Jeszcze później w ręce żandarmów wpadł Ludwik Narbutt. Wcielono go do szeregów armii kaukaskiej.

Najdłużej wytrwali Żeligowski i Podbereski, ale ich również dosięgła w końcu łapa caratu. Poszli na posilenie, jeden do Ufy, drugi do Pietrozawodzka.

W lecie tysiąc osiemset czterdziestego ósmego roku podczas próby przekroczenia granicy w okolicy Poczajowa na Wołyniu został aresztowany Zygmunt Sierakowski.

Generał Dubelt długo się zastanawiał, co zrobić z niesfornym studentem, z którego oczu biła inteligencja, prawość i męstwo, któremu żadnej poważniejszej winy nie udowodniono, który jednak mógł być podejrzewany o rzeczy najgorsze, gdyż był Polakiem.

Szef żandarmów na wszelki wypadek rozkazał wcielić go do szeregów Specjalnego Korpusu Orenburskiego.

Na pożegnanie rozmówił się z nim po ojcowsku i obiecał poparcie w zrobieniu kariery wojskowej, jeżeli młodzieniec okaże dobre chęci i lojalność.

Wkrótce Zygmunt Sierakowski, Apollo Hofmeister i Bronisław Zaleski spotkali się na pustynnej ziemi kirgiskiej.

Jeden z emigrantów rosyjskich, pochodzący z arystokracji, książe Piotr Dołgorukow, wyraził się, że panowanie Mikołaja Pierwszego „to wojna trzydziestoletnia wydana cywilizacji i zdrowemu rozsądkowi”.

Nie było w tym żadnej przesady. Mikołaj walczył z każdym słowem drukowanym, pisanim, a nawet wypowiedzianym, jeśli zawierało chociażby cień krytyki reżymu. Mikołaj bał się słowa, gdyż zostawiało ono w duszy ludzkiej ślad, którego niczym nie można było

wypalić. Dlatego właśnie taka straszna kara spadła na Szewczenkę.

Dlatego car zabronił mu pisać.

Za czasów Mikołaja istniało w Rosji dwanaście różnych, niezależnych od siebie, urzędów cenzury. Trzynastą, najgroźniejszą cenzurę stanowił sam car.

Cenzura Mikołajowska tępiła wszystkie objawy niezadowolenia nie tylko z rządu, ale nawet z tych, których rząd protegował czy forytował.

Taką uprzywilejowaną kastą byli w Rosji Mikołajowskiej czynownicy i oficerowie pochodzenia niemieckiego. Państwem, o którym nic złego nie śmiał nikt napisać, były Prusy.

Jeden z cenzorów wykreślił w książce historycznej wzmiankę o pobiciu przez Rosjan Fryderyka Drugiego w bitwie pod Kunersdorfem w osiemnastym wieku i decyzję swoją motywował tym, że dwór pruski jest spokrewniony z dworem carskim.

Kiedy słowianofil Jurij Samarin w swoich *Listach ryskich*, które rozpowszechniły się w odpisach, skrytykował politykę rządu wobec Niemców, osadzono go w twierdzy.

Car zwolnił go stamtąd, ale mu osobiście udzielił reprimendy:

— Niemcy położyli wielkie zasługi dla Rosji — mówił. — Samych generałów, poczynając od Pahlena, mógłbym wyliczyć ze stu pięćdziesięciu. A pan dowodzisz, że od czasów Piotra Pierwszego aż do mnie wszyscy otoczeni jesteśmy przez Niemców, a przeto sami jesteśmy Niemcami. Pan podburzasz opinię publiczną przeciwko rządowi!

Samarin zapamiętał tę nauzkę na całe życie.

Bakunin, wygłaszając w Paryżu przemówienie na obchodzie rocznicy listopadowej, miał nieostrożność powiedzieć o carze:

*„Souverain d'origine allemande, qui ne comprendra jamais ni les besoins ni le caractère du peuple russe.”*<sup>1</sup>

Za to został wydalony z Francji.

A w parę lat później rząd austriacki na stanowcze żądanie cara wydał rządowi rosyjskiemu Bakunina. I Bakunin powędrował na Sybir.

Największą obrazą było dla cara wytknięcie mu obcego pochodzenia. Mścił się za to z nieludzką zapamiętałością.

Szewczenko, który w swoich wierszach nieraz wyklinał ni m o t ę, mógł być pewny, że zemsta cara będzie go ścigać do końca życia.

### III

W pierwszym okresie pobytu w twierdzy Orskiej krzepił się Szewczenko świeżymi wspomnieniami serdeczności, jaką mu okazali ziomkowie w Orenburgu — Lewicki i bracia Łazarewscy.

Łazarewskich było trzech: Fedir, Michał i Wasyl. Wszyscy trzej prześcigali się w staraniach, aby ulżyć doli mieszcześniego ziomka-poety.

W miesiąc po przybyciu Szewczenki do Orska zjawił się tam Michał Łazarewski i stwierdził, że listy polecające od braci odniosły pożądaný skutek. Wspólny ich przyjaciel i ziomek Michał Aleksandryjski, zamieszkujący stale w Orsku, człowiek dobry i uczynny, opiekował się Szewczenką i ułatwił mu warunki egzystencji w „Parszywym Mieście”.

Przebywało tu również sporo Polaków. Byli to przeważnie ludzie kulturalni, inteligentni i wykształceni,

---

<sup>1</sup> Monarcha z pochodzenia Niemiec, który zgoła nie rozumie ani potrzeb, ani charakteru ludu rosyjskiego.

których nieszczęsny los, podobnie jak Szewczenkę, rzu-  
cił na dalekie kresy imperium. Wkrótce pomiędzy ze-  
słańcami polskimi a poetą ukraińskim zawiązały się  
bliskie, przyjazne stosunki.

Szczególnie cenną okazała się dla poety znajomość  
z Ottonem Fiszerem.

Był to człowiek, który duchowo górował nad innymi,  
który niejako za wspólną milczącą zgodą trzymał  
berło pierwszeństwa w kole wygnańców.

Otto Fiszer pochodził z Warszawy, gdzie za życia  
(jak powiadano) służył w sądownictwie. Zawdzięczał  
to stanowisko nie tylko wyższemu wykształceniu, ale  
też niezwykłej prawości charakteru. Wyrobił sobie  
opinię człowieka, który ostatniego grosza, ostatniego  
kawałka odzieży nie poskąpi, aby się podzielić z bliźnim  
w potrzebie. W kwaterze, którą zajmował Fiszer, zbiera-  
li się bracia-soldaci.

Drugie po Fiszerze miejsce zajmował w tym gronie  
Apollo Hofmeister, zwany „Braciszkiem”. „Miał on —  
jak o nim mówili koledzy — wielką poczciwość serca  
i niezrównaną słodycz charakteru, która jednała mu  
szacunek i poważanie”. Ze względu na te cechy lubili  
go nawet surowi przełożeni. Oszczędzano go. Pracował  
w tak zwanej komisji fursztackiej i wykonywał prze-  
ważnie roboty szklarskie i malarskie. Prześladował go  
tylko plac-adiutant Martynow, który chciał się przy-  
podobać Obruczewowi, a generał-dowódca korpusu, jak  
wiadomo, służył z polakożerstwa.

Oprócz Fiszera i Hofmeistra męznym charakterem  
i uczynnością wyróżniali się w gromadzie polskiej  
w Orsku Hipolit Zawadzki i Stanisław Królikiewicz.  
Obaj dostali się w żołdacy za próbę zorganizowania  
oddziału i wyruszenia z nim na pomoc rewolucji w Kra-  
kowie.

Byli poza tym: Konstanty Pawłowski i Edward Su-

licki, klerycy z Warszawy, Maurycy Kleczkowski, student medycyny, rodem z Wilna, Michał i Gwidon Chodorowiczowie z Wołynia, weterani wygnania, którzy przebywali tu już od dwudziestu lat, Adam Wasiuk, ślusarz, wilnianin, człowiek niezwyklej siły i gołębiego serca, Władysław Szkup z Podlasia, rolnik, żołnierz, powstania listopadowego, Karol Pogorzelski, Michał Bielikowicz, Konstanty Dobkiewicz, Justyn Skrzetuski i wielu innych.

Kółko to przygarnęło Szewczenkę jak swego, jak rodaka.

Fischer, który uczył dzieci komendanta garnizonu, generała Isajewa, wystarał się, by Szewczenke pozwolono zająć kwaterę na mieście. Była to dla poety ulga nadzwyczajna.

Niestety, major Mieszkow, dowódca piątego batalionu, dość swoiście rozumiał list polecający generała Fedajewa: postanowił zrobić z Szewczenki wzorowego żołnierza. I nie tylko przydzielił mu tak zwanego dziadźkę do nauki, ale sam osobiście doglądał musztry.

Biedny poeta musiał pięć godzin dziennie odbywać arakcejewskie tortury. Na domiar złego dostał zbyt ciasny mundur.

Prócz musztry musiał spełniać szereg innych czynności. Służba sołdacka zabierała wszystkim czas i zabijała w człowieku wszelki pierwiastek duchowy. Niełatwo było po niej uprawiać jakies zajęcia umysłowe.

A jednak Szewczenko zdobył się i na to, że w wolnych chwilach, głównie wieczorami, znowu pisywał wiersze — na cieniutkim papierze albo na bibułce, drobniutkimi literkami — i chował je za cholewę buta. Gdy się tego uzbierało więcej, zszył karteluszeki w małą książeczkę, którą nazwał „zachalawną”.

W jednym z wierszy, skierowanym do starego przyjaciela z Perejasławia, doktora Kozackowskiego, pisał:

I dowołosia znow meni  
Na starist' z wirszamy chowatyś,  
Mereżat' knyżeczky, spiwaty  
I płakaty u burjani...<sup>1</sup>

Zdawał sobie sprawę z kary, jaka go czeka za takie zlekceważenie zakazu cara, ale robił swoje.

W innym znowu wierszu, stanowiącym niejako wstęp do cyklu „niewolniczych” poezji, stwierdzał:

O dumi moi, o sławo zła!  
Za tebe marno w czużomu kraju  
Karajuś, muczusia, ałe ne kajuś!!<sup>2</sup>

Zaczął też pisać dziennik, a raczej sporządzał nieregularne notatki, w których utrzymywał różne myśli i wrażenia.

Pewnego razu napisał: „Za lat dziecięcych, o ile pamiętam, nie interesowali mnie żołnierze, jak to za zwyczaj bywa z dziećmi. Kiedy zaś zacząłem dochodzić do wieku dojrzałego, zrodziła się we mnie nieprzewyżczona odraza do tych obrońców wiary i tronu. Odraza wzrastała w miarę moich zetknięć z ludźmi tego rycerskiego stanu. Nie wiem, czy miałem takie osobliwe szczęście, czy też tak jest w istocie, jednak nie zdarzyło mi się nawet w gwardii spotkać porządnego człowieka w mundurze: jeżeli wstrzemięźliwy, to nieuk i samochwał, a jeżeli choć jako tako wykształcony i rozsądny, to też samochwał, a w dodatku pijak, cynik i rozpustnik. W tych warunkach odraza moja przeszła w obrzydzenie. I trzeba było, żeby przewrotny los tak złośliwie, tak boleśnie zadrwił sobie ze mnie,

---

<sup>1</sup> I przyszło mi znowu || Na starość z wierszami się chować, || Zszywać książeczki, śpiewać || I płakać w burzanie...

<sup>2</sup> O myśli moje, o sławo straszna! || Za ciebie w obcym kraju daremnie || Męcę się, cierpię, lecz się nie kajam!



strąciwszy mnie na samo dno tej śmierdzącej kasty! Gdybym był jakimś potworem, krwiożercą, to i wówczas nie można byłoby wymyślić dla mnie dokuczliwszej kary niż wysłanie na żołnierza do Korpusu Orenburskiego. Oto w czym leży przyczyna moich niewymownych cierpień”.

Prawie wszyscy oficerowie, z którymi Szewczenko miał do czynienia w Orsku, byli i nieukami, i pijakami. Jedyłą ich rozrywkę stanowiły karty i znęcanie się nad podwładnymi. Dowódca trzeciej kompanii, do której zaliczono Szewczenkę, kapitan Głoba, stale groził pocię chłostą, jeżeli „nie będzie się dobrze prowadził”. Dowódca batalionu, major Mieszkow, brzydził się wszelkim słowem drukowanym tak, jak inni brzydzą się brudem i robactwem. Kiedy Szewczenko zameldował się u niego po raz pierwszy, obejrzał go od stóp do głowy i powiedział:

— Jeżeli masz jakieś książki, natychmiast wrzuć je do prewetu.

Szewczenko miał tylko *Biblię*, którą mu dali żandarmi w Petersburgu.

Nieszczęśliwemu zesłańcowi wolno było korespondować ze znajomymi. Skorzystał z tego i wysłał listy do dwóch osób, których życzliwości był pewny: do księżniczki Warwary Repnin i do Andrija Lizohuba.

„Z pewnością roześmiałyby się pani — pisał do swojej przyjaciółki i opiekunki — gdyby mnie teraz zobaczyła. Proszę sobie wyobrazić niezgrabnego żołdaka, obdartego, nie ogolonego, z ogromnymi wąsiskami... Śmieszny widok, a łzy z oczu płyną. Cóż robić, taka wola Boga. Widocznie mało się nacierpiałem w życiu... Na domiar złego zabroniono mi rysować cokolwiek i pisać (prócz listów), a tu tak wiele nowości, Kirgizi tak

malowniczo wyglądają, tacy oryginalni i naiwni, aż się proszą pod ołówek; wprost szaleją, kiedy na nich patrzą... Patrzeć i nie rysować to taka męczarnia, którą może zrozumieć tylko prawdziwy artysta!”

W tym samym liście prosił księżniczkę, żeby mu przysłała ostatnią książkę Gogoła, *Listy do przyjaciół* oraz zeszyty Moskiewskiego Towarzystwa Starożytności, wychodzące pod redakcją Bodiańskiego.

Lizohuba zawiadomił Szewczenko pokrótce o swoich losach od czasu wyjazdu z Sedniowa i o żołdackiej służbie w kraju orenburskim.

„Ot wam i kobzar! — pisał z tragicznym humorem. — Pozabyraw hroszyky ta j szmorhnuw za Urał do kirhiza hulaty... Brożu ponad Urałom ta... ni, ne płaczu, a szczoś szcze pohansze dijet'sia zo mnoju.”<sup>3</sup>

Chociaż listy z Ukrainy do Orenburga szły bardzo długo, prawie cztery tygodnie, jednak korespondencja z księżniczką Warwarą i Lizohubem przynosiła Szewczence dużo radości i pomocy: dostawał książki, a w końcu nawet otrzymał (przez Fedora Łazarewskiego) trochę kredek, ołówków i papieru do rysowania.

Tymczasem nagle zmarł generał Isajew i poecie kazano wrócić do koszar.

Wszystkie koszary za czasów miłkołajowskich były straszne, często gorsze niż więzienie. Ale to, co się nazywało koszarami w Orsku, przechodziło ludzkie pojęcie.

Drewniany, zimny barak, kilka szeregów przy ustawionych piętrami, swąd i dym z pieca i żołnierskich

---

<sup>3</sup> Ot, macie kobzarza! Zabrał pieniążki i smyrgnął za Urał na hulankę do Kirgizów... Wałęsam się tu nad Uralem, no i... nie, nie płaczę, ale jeszcze coś bardziej obrzydliwego ze mną się dzieje.

fajek, para z suszącej się bielizny, wszystko to wieczorem oświetlone kilkoma nędznymi kagankami. A na tym tle — zbieranina z całego świata, wśród której nie brak zbrodniarzy i złodziei. Odór potu i brudu miesza się z wyziewami alkoholowymi. Soldaci, rozebrani prawie do naga, klną, wrzeszczą, śpiewają, grają w karty i piją śmierdzącą okowitę. Co chwila kłóć się i biorą za łby.

W takiej atmosferze poeta, artysta, wychowanek Akademii Sztuk Pięknych, człowiek o wielkiej wrażliwości i czułym systemie nerwowym musiał spędzać długie jesienne wieczory.

Często, nie mogąc już wytrzymać w tym przedpieklu, kupował butelkę wódki i wpraszał się do któregoś z oficerów, aby choć kilka godzin spędzić w bardziej cywilizowanych warunkach, w mieszkaniu prywatnym.

Surowy klimat, brak ciepłej odzieży, podle odżywianie się, przy braku jarzyn — wszystko to sprawiło, że Szewczenko zapadł na reumatyzm, a potem na skorbut. Dokuczały mu bóle mięśni, wypadały zęby i włosy. Tracił wzrok.

W grudniu pisał do Michała Łazarewskiego, który niedawno wyjechał do Petersburga: „Do lulok, smrodu i zyku staw ja potrochy prywykał’, a tut spitkała mene cynha lutaja i ja teper mow Jow na hnojiszczci, tilko mene nichto ne prowidaje. Tak meni teper tiazko, tak tiazko, szczo jakby ne nadija choc koły-nebud’ pobaczyt’ swoju beztałannuju krajinu, to błaław by Hospoda o smerti”.

Tak Dnipro krutoberehyj  
I nadija, brate,  
Ne dajut’ meni w newoli  
O smerti błałaty.

Inodi tak мене nud'ha za serce zdawyt', szczo (bez soroma kazka) aż zapłaczu." <sup>4</sup>

I znowu prosił o książki, o wiersze Lermontowa.

Zebrania u Fiszera nie mogły się odbywać często. Z wielu względów. Ale na każde zapraszano Szewczenkę.

Przychodził chętnie i kiedy pierwsze lody zostały przełamane, kiedy zawiązały się stosunki bardziej swobodne i szczerze, zabierał głos w dyskusjach.

Uczył się tutaj historii. Spotykał tu ludzi, którzy sami tworzyli historię, których pamięć sięgała daleko, w czasy jeszcze przedpowstaniowe.

Było tu również sporo uczestników powstania. Jeden z nich, Mostowski, artylerzysta, już w Orsku awansował na oficera. Rozmawiali o powstaniu, o Warszawie. Polubili się nawzajem.

Dzieje Polski i Ukrainy ożywały w oczach Szewczenki nowym, nie znanym dla niego czarem i sensem. I chociaż ciągle mu stały przed oczami obrazy zaczerpnięte z *Historii Rusów*, zaczął je teraz korygować, a niektóre nauczył się inaczej rozumieć.

Dzieje Polski i Ukrainy miały w sobie stałe wewnętrzzną więź i tragiczną równoległość.

---

<sup>4</sup> Do fajek, smrodu i harmidru zacząłem po trochu przywykać, a tu nagle dotknął mnie okropny szkorbut i teraz jestem jak ten Hiob na kupie gnoju, tylko że nikt mnie nie odwiedza. Tak mi teraz ciężko, tak ciężko, że gdyby nie nadzieja zobaczenia kiedyś swojej nieszczęśliwej ojczyzny, błagałbym Boga o śmierć.

Tak Dniepr urwistobrzeżny || I nadzieja, bracie, || Nie dają mi tu w niewoli || Modlić się o śmierć.

Czasami nuda tak mi serce ściśnie, że (bez wstydu wyznam) aż płacę.

Ukraińcy i Polacy od paru wieków szli nieprzerwanym łańcuchem na Sybir.

Cała linia południowosyberyjska była złożona z polskich jeńców wojennych i Kozaków ukraińskich.

Dwa ujarzmione przez carał narody połączyły się tutaj w męczeńskim pokrewieństwie.

Ale nie zatarły się jeszcze w ich pamięci ślady obustronnych krwawych krzywd i śmiertelnych uraz.

Czy się da zasypać przepaść, którą między tymi narodami wykopała historia?

Temat ów najczęściej się powtarzał w rozmowach u Fiszera.

Były one przeniknięte duchem pojednania.

Któryś z Polaków powiedział:

— Zadamy kłam szowinistom polskim i ukraińskim, którzy by chcieli wmówić swoim narodom, że każdy Ukraińiec to rozbójnik, a każdy Polak to szlachcic-pasōżyt.

Szewczenko łatwo mógł się zorientować, że prawie wszyscy zesłańcy polscy byli szlachciami.

Tym większe wrażenie sprawiały na nim słowa otuchy kierowane nie tylko do niego osobiście, ale i do jego ojczyzny.

— Nie było w dziejach przykładu — powiedział kiedyś Fiszer — żeby narody, które ducha swego nie zatraciły, żywcem pogrzebać się dały.

A inni mówili:

— Zbudzi się do życia naród ukraiński, który nie zechce być sługą ani polskim, ani rosyjskim.

— Skończą się kiedyś te przepołowione dzieje Ukrainy, które się zaczęły od ugody perejasławskiej.

Wszystkim bardzo się spodobał wierszyk ludowy zacytowany przez Szewczenkę:

Kateryno, sucza doczko, szczo ty narobyła?  
Zakuwała Ukraininu, ta j Polszczu zhubyła.<sup>5</sup>

Wprawdzie ukazywały się jeszcze tej nieszczęsnej gromadzie ludzkiej miraż historyczne — dawna Rzeczpospolita, obejmująca pod swoje opiekuńcze skrzydła Litwę i Ruś, a może nawet Wołochów i Tatarów... Choć rzeczywistość codziennie zadawała kłam tej fantazji. Jedynym realnym skutkiem rozważań, rojeń i obserwacji było stopniowe przenikanie w świadomość większości Polaków zasady poszanowania aspiracji narodowych ukraińskich. Przynajmniej w pewnych granicach.

Osobisty wpływ Szewczenki nie miał tu odegrać rolę. Urok jego męskiej postaci, wymowa gorąca i poetyczna, siła charakteru i przekonań, wreszcie nienawiść do caratu, której ukrywać nawet nie próbował — wszystko to zjednywało mu sympatię wygnańców polskich.

Zdawali sobie sprawę, że ogół Ukraińców na razie daleki jest od tego żywego poczucia narodowego, które od początku odznaczało wiek dziewiętnasty, a w szczególności Polskę tej epoki. Ale też rozumieli, mając na to wiele dowodów, że nie umarła jeszcze idea ukraińska, że iskra talentem Szewczenki wzniecona zdolna jest rozpaść i na pewno rozpaści w duszy narodu ukraińskiego żądze wolności, pożar buntu.

Szewczenko opowiadał im o życiu kijowskim, o bratczykach i wszechsłowiaństwie.

O *Księgach bytu*, pokrewnych Mickiewiczowskiemu *Księgom narodu i pielgrzymstwa polskiego*, słuchali z zapartym tchem.

Prawdziwy entuzjizm ogarnął ich, kiedy Szewczenko zaczął deklamować po polsku wiersze Mickiewicza.

---

<sup>5</sup> Katarzyno, sucza córko, coś ty narobiła? || Ukrainę ujarzmiłaś i Polskę zgubiłaś!

Najtrudniej było Szewczence dogadać się z Polakami w sprawach reform, zwłaszcza w sprawie chłopskiej. Z wyjątkiem stosunkowo nielicznych, jakobińsko nastrojonych jednostek, uparci szlachcice, którzy sami od dawna zrównali się z najbiedniejszymi chłopami, gdyż nie mieli nawet kawałka własnej ziemi, obawiali się zbyt radykalnych haseł społecznych. Zapatrzeni byli w ideał Polski Niepodległej, nie wystawiając sobie konkretnie, jaka ma być ta Polska. Nic poza nią nie widzieli. Wierzyli, że ta przyszła Polska nie będzie macochą dla ludu, szczerze chcieli dopomóc ludowi, dać mu należne prawa, ale odkładali to na później. — Wolna Polska — mówili — z łatwością rozwiąże każdy problem społeczny. Wywalczmy wolność, a potem ulepszejmy ustrój.

Obawiali się radykalnych haseł, gdyż nie ufali ludowi; ubolewali nad jego niezawinioną ciemnotą, nie widzieli jednak sposobu, żeby ten stan rzeczy poprawić w warunkach niewoli. Znali przewrotność rządów zaborczych i rozumieli, że owym rządóm na rękę są właśnie społeczne w Polsce. Mieli świeże doświadczenia z rabacji galicyjskiej. Jak ognia lękali się, że wysunięcie na plan pierwszy haseł gospodarczych nada działaniom powstańczym charakter „interesowny”, że je „zepchnie do rabunku”. Oni sami byli naprawdę bezinteresowni i jakby pozbawieni powłoki materialnej. I wciąż się uważali za żołnierzy — czasowo tylko przebywających w niewoli.

W Szewczence ta postawa Polaków budziła podziw, ale go też czasem drażniła. On sam, wieśniak z pochodzenia, który na własnej skórze odczuł dobrodziejstwa ustroju, nie mógł oddzielać sprawy zniesienia poddaństwa od sprawy niepodległości Ukrainy. Chciał je roz-

wiązać razem; a już raczej zacząć od walki z systemem pańszczyźnianym niż od rewolucji czysto narodowej. Zresztą w warunkach ukraińskich było to prawie niemożliwe. Ukraina nie miała tak jak Polska silnej warstwy oświeconej, patriotycznej i ofiarnej. Natomiast chłopci ukraińscy stanowili żywioł o wiele bardziej wyrobiony i bogatszy w tradycje wolnościowe niżli chłopcy polscy. Wiek siedemnasty, wojny za czasów Chmielnickiego, działanie Czarnej Rady, a nawet koliszczyzna w następnym stuleciu, nie mówiąc już o jeszcze późniejszych ruchawkach, jak partyzancka wojna Karmaluka — wszystko to wytworzyło w wieśniakach ukraińskich samodzielność i świadomość rewolucyjną. Z ludem ukraińskim w połowie dziewiętnastego wieku mógł się pod tym względem mierzyć tylko lud włoski.

Szewczenko przeniknął wygnańców polskich. Byli to urodzeni oficerowie rewolucji. Ich nieugiętość i wola walki były zdumiewające. Brakowało im jednak przewodniej jasnej myśli politycznej, współdziewającej z epoką, z dążeniami mas plebejskich, które wyszły na widownię dziejów w całej Europie.

Ale z nikim się nie rozmawiało tak serdecznie, szczerze, podniosłe, bez cienia nieufności, jak właśnie z tymi niepoprawnymi „buntowszczykami”.

Najbardziej rewolucyjne usposobienie mieli dwaj nieodłączni druhowie: Zawadzki i Królikiewicz. Obaj zanim się znaleźli w piątym batalionie, dwukrotnie przeszli zieloną ulicą złożoną z pięciuset żołnierzy.

Królikiewicz zawsze miał buńczuczną minę, jakby sobie drwił ze wszystkich potęg świata. Często powtarzał swój ulubiony wiersz:

Razem głosy, dłonie razem,  
A niepróżne dłonie;  
A ty zahucz nam na ucztę,  
Sycylijski dzwonic!



Szewczenkę i Królikiewicza złączyły węzły braterskiej zażyłości. Ukrainiec widział w szlachcicu polskim przyjaciela i obrońcę sprawy ludowej, a Polak podziwiał w ukraińskim chłopie ducha niepodległego i prawdziwie rycerską postawę.

Zresztą nie on jeden. Razu pewnego Szewczenko z zachwytem opowiadał w gronie przyjaciół polskich o czynach Karmaluka. Kiedy pożegnał się i wyszedł, któryś z wygnańców powiedział:

— A jednak Szewczenko to nie chłop, to Kozak, a Kozak to przecie rycerz, a rycerz to szlachcic. Szewczenko bliższy jest szlachcie niżli chłopom typu Karmaluka.

Szewczenko zapragnął dać wyraz uczuciom, jakie w nim wzbudziły rozmowy z wygnańcami polskimi.

Pierwszą myślą poety było jeszcze raz napisać *Hajdamaków*. Przypomniał sobie dawne petersburskie czasy, przyjaźń z Dębskim, zmiany, które wprowadził do poematu pod jego wpływem; potem rozmowy z Węgrzynowskim i księdzem Zielonką w Orenburgu, i tu, w mieszkaniu Fiszera.

Wziął się do przerabiania rozdziału o konfederatach. Ale robota szła mu niesporo. Z trudem zdobywał papier. Na dworze było zimno, a w koszarach — zgiełk i smród. Łatwiej mógł podczas przechadzki ułożyć w myśli krótki wiersz i potem przelać go na papier. Więc zaniechał pracy nad poematem.

I oto razu pewnego błysnęła mu idea wiersza poświęconego Polakom.

Przechadzał się nad Uralem i patrzył w daleki nieboskłon. Dzień był pogodny i w górze płynęły obłoczki — podobne do ukraińskich.

Słowa same zabrzmiały, jakby je wymawiał niewidzialny lirnik. Trzeba je było tylko zapisać.

Wieczorem Szewczenko w mieszkaniu Fiszera deklamował swój najnowszy utwór:

Szcze jak były my kozakamy,  
A uniji ne czut' buło,  
Otam to weseło żyło!  
Bratalyś z wolnymi lachamy,  
Pyszałyś wolnymi stepamy,  
W sadach kochałysia, cwily,  
Nenacze liliji, diwczata...<sup>6</sup>

Głos Szewczenki dźwięczał przyjazną nutą, a w pewnej chwili odezwał się żalem:

Aż poki imenem Chrysta  
Pryjszły ksiondzy i zapałyły  
Nasz tychyj raj. I rozłyły  
Szyroke more sloz i krowi,  
A syrot imenem Chrystowym  
Zamorduwały, rozpjały.<sup>7</sup>

Od tego wieczoru sława poetycka Szewczenki utrwaliła się wśród wygnańców orenburskich. Mieli coś niecoś do zarzucenia poglądom wyrażonym w wierszu, ale też wyczuwali w nim przyjazną intencję; ujął ich patriotyzm Szewczenki, jego duma narodowa.

A Szewczenko po wygłoszeniu wiersza uprzytomnił sobie, że nie wyraził w nim wszystkiego, co chciał wyrazić.

---

<sup>6</sup> Kiedyśmy byli Kozakami, || A unii jeszcześmy nie znali, ||  
Wesoło nam się wtedy żyło! —|| Brataliśmy się z Polakami, ||  
Wolnymi pyszniąc się stepami, || W sadach dziewczęta zakochane ||  
Jak białe lilie rozkwitały...

<sup>7</sup> Aż oto w imię Chrystusowe || Przyszli księża i zapalili ||  
Nasz cichy raj. Rozleli w krąg || Ogromne morze łez i krwi, ||  
I w imię Boże sierot krocie || Pomordowali, zamęczyli.

Kiedy Szewczenkę osadzono w koszarach, starał się na początku, jak przystało Ukraińcowi, „być łychom ob zemlu” i z humorem przyjmował doświadczenia losu. Stopniowo jednak straszna atmosfera koszar osaczyła go i omal nie zabiła w nim resztek chęci do życia.

Na szczęście po niedługim czasie zmienił się dowódca kompanii, w której służył Szewczenko. Na miejsce gburą i prostaką Głoby przyszedł niejaki Stiepanow, który, wedle wyrażenia Szewczenki, „czasami zachowywał się jak człowiek”.

Poza tym w gronie zapijaczonych i rozbestwionych oficerów znalazło się jeszcze oprócz Mostowskiego trzech innych, niezwykle porządnych i ludzkich: dwóch Rosjan — Guriew i Newelski oraz ziomek poety, kapitan Weryho, wyróżniający się łagodnym i miłym obejściem oraz sympatyczną ukraińską powierzchownością. Wszyscy czterej współczuli Szewczence i jak tylko mogli, w czym tylko mogli, przychodzili mu z pomocą.

Wszystko to jednak nie mogło uratować Szewczenki przed depresją, tak straszłą, jakiej dotąd nigdy nie zaznawał.

Mineła prawie cała zima kirgiska — kłębiąca się od wichrów i śniegów, obłąkańcza.

Pod koniec lutego, kiedy w Paryżu tłumy uzbrojonych mieszczan i robotników obalały monarchię lipcową, Szewczenko pisał do księżniczki Repnin:

„Trzynasty dzień już czytam Pani list, nauczyłem się go na pamięć, a dziś dopiero znalazłem czas i miejsce (w koszarach), żeby Pani odpowiedzieć, najlepsza i najszlachetniejsza Warwaro Nikołajewno. Jakbym się ze snu ciężkiego przebudził, kiedy otrzymam list od kogoś, kto się mnie nie wyrzekł, a Pani list przeniósł mnie z ponurych koszar do mojej ojczyzny —

i do pięknego Jahoty — co za rozkosz wyobrazić sobie tych, co o nas pamiętają...

Teraz jest najspokojniejsza i najwygodniejsza pora — jedenasta w nocy: wszystko śpi, koszary oświetlone jedną świeczką, przy której tylko ja siedzę i kończę swój nieudolny list. Obrazek w guście Rembrandta, nieprawdaż? Ale nawet największy geniusz poezji nie znajdzie w tym obrazku nic pocieszającego dla ludzkości. Od dnia mojego przybycia do twierdzy Orskiej prowadziłem dziennik. Dziś otrzymałem zeszyt i chciałem przesłać Pani chociaż jedną stroniczkę — i cóż: — treść była tak jednostajnie smutna, że sam się przestraszyłem i spaliłem swój dziennik na dogasającej świecy”.

Kiedy Szewczenko znalazł się już u kresu wyczerpania, kiedy znów był bliski jakiejś desperackiej decyzji, karta jego losów nagle się odwróciła.

W Orenburgu zjawił się młody, energiczny oficer marynarki, Aleksy Butakow. Miał polecenie admiralicji, aby zorganizować wyprawę na Morze Aralskie i opisać je łącznie z wybrzeżami.

Butakow był oficerem floty czarnomorskiej. Mieszkając przez pewien czas w Odessie, poznał tam księżniczkę Warwarę Repnin i Andrija Lizohuba. Opowiedali mu o Szewczence i jego tragicznym życiu.

W rozmowie z generałem Obruczewem, ustalając plan ekspedycji, Butakow zażądał rysownika do sporządzania szkiców wybrzeża. Wymienił nazwisko Szewczenki i oświadczył, że dla tak doniosłej sprawy można się będzie wystarać o cofnięcie zakazu, który ciążył na zesłanym artyście.

Dnia ósmego maja generał Fediajew zarządził przeniesienie Szewczenki pod rozkazy Butakowa.

Niedawno przedtem dostał Szewczenko od Lizohuba przesyłkę zawierającą papier, farby i ołówki.

Jednocześnie władze miejscowe na własną rękę zezwołyły mu rysować i malować.

Dnia jedenastego maja Szewczenko, pełen nowych sił i nadziei na przyszłość, wyruszył w składzie ekspedycji Butakowa do Raimu.

#### IV

Pod koniec lutego, kiedy Szewczenko pisał w koszarach list do księżniczki Warwary, ulicami Paryża przeciągały rozgorączkowane tłumy. Księża błogosławili drzewa wolności sadzone po placach. Zwyczaj ten rozpowszechnił się również w Italii.

Blanqui założył Centralny Związek Republikański, zwany powszechnie Klubem Blanquiego. Posiedzenia klubu zamykane były refrenem pieśni:

Chapeau bas devant la casquette!  
A genoux devant l'ouvrier!<sup>1</sup>

Blanqui urządzał demonstracje. W jednej wzięło udział dwieście tysięcy ludzi. Niesiono mnóstwo sztandarów. Między innymi — sztandar Polski, Zjednoczonych Włoch, Niemiec i Irlandii.

Później Blanqui przemawiał w Izbie Deputowanych. Zaczął od sprawy polskiej, a skończył na zagadnieniu pracy i nędzy.

Sprawa polska — tak samo jak włoska, niemiecka czy irlandzka — w gruncie rzeczy niewiele go obchodziła. Myślał kategoriami dalekiej przyszłości, w któ-

---

<sup>1</sup> Kapelusz zdjąć przed czapką! || Na kolana przed robotnikiem!

rej zagadnienia bytu państwowego poszczególnych narodów nie będą już odgrywać najmniejszej roli.

Dnia dwudziestego szóstego maja został aresztowany.

W miesiąc później do celi zamku w Vincennes, gdzie był zamknięty, dobiegło echo nowej kanonady: to bohatersko walczyła i padła cytadela stanu czwartego, przedmieście Saint Antoine. Sprawcą nowej masakry ludu był znany sprzed osiemnastu lat generał Cavaignac. Ta masakra była końcem republiki i wstępem do nowego cesarstwa.

Proces Blanquiego odbył się w dziesięć miesięcy później, w trybunale La Haute-cour de Bourges.

Blanqui miał lat czterdzieści dwa, a wyglądał na starca. Spędził w więzieniach dwanaście lat. Teraz skazano go na dziesięć i osadzono w Doullens.

W tym strasznym kamiennym grobowcu, mimo prześladowań, pogroźek i klątw codziennych, Blanqui rozwija swoje poglądy i utrwala je na papierze. Tu, w Doullens, powstały jego szkice krytyczne i wspomnienia o towarzyszach walki, poza tym obszernie zestawienie danych przeciwko Robespierrowi. Tu wyrzekł pamiętne słowa: „Cierpliwość zawsze i ciągle: rozpacz i rezygnacja — nigdy”.

W parę tygodni po tragicznych wypadkach czerwcowych Paweł Annienkow pisał do swoich braci: „Paryz był o jeden krok od ostatecznej zguby, od grabieży i zniszczenia wszelkiej społeczności. Uratował go generał Cavaignac, któremu wojsko ufa i którego lubi. W całym mieście zapanował straszny, ale — prawdę mówiąc, dobroczynny — terror. Taką niezmiernie pożyteczną naukę dostali paryscy buntownicy, którzy myśleli, że nikt sobie z nimi nie poradzi.”

Bieliński znał obydwóch braci Pawła Annienkowa i po powrocie z zagranicy często się z nimi spotykał w Petersburgu. Powtarzali mu wszystkie nowości zawarte w listach z Paryża.

Wiosna Ludów w jednych budziła niepokonany zapał rewolucyjny, a drugich popychała w kierunku wstecznym, napawała gniewem i nienawiścią do wszystkiego, co plebejskie.

Mickiewicz od pamiętnego lata, w którym rozgromiono bratczyków, przepowiadał wielką wojnę i przeobrażenia polityczne w Europie. „Wiele dróg prowadzi do Polski” — mówił. Za sprawą intuicji wybrał drogę przez Włochy, które przodowały w walkach narodowych i wyzwolenczych.

Dnia siódmego kwietnia w czasie nabożeństwa w Watykanie ku czci świętego Andrzeja, apostoła Słowiańszczyzny, papież pobłogosławił chorągiew legionu, którego twórcą był Mickiewicz. Oprócz poety brało w tej uroczystości udział dwunastu legionistów z Nepomucenem Siodońkiewiczem, starym żołnierzem napoleońskim, na czele.

Za sprawą Stanisława Worcella poznał się Mickiewicz z Mazzinim. Republikanin włoski był entuzjastą przymierza ze Słowianami i wspólnej walki przeciwko despotom.

A wypadki toczyły się z zastraszającą szybkością. Już w rok później na całym prawie półwyspie powrywano z korzeniami drzewa wolności zasadzone na placach.

Przyszła klęska pod Novarrą. Upadła republika rzymska, broniona po bohatersku przez garybaldczyków z udziałem legii polskiej. Mazzini poszedł na tułaczkę, by dalej prowadzić swe dzieło.

Armaty Windischgrätza zbombardowały Pragę, gdzie obradował kongres słowiański.

W Budapeszcie armaty Paskiewicza rozstrzelały niepodległość Węgier.

Mickiewicz wrócił do Paryża, by redagować „La Tribune des peuples”. W jednym z pierwszych artykułów zajął się Mazzinim. „Obywatel Mazzini — pisał — jest jednym z tych, którzy najwięcej zdziałali dla rozkrzewienia we Włoszech idei niepodległości. Dzienniki wrogie sprawie ludów, uderzając w osobę Mazziniego, spodziewają się zadać cios republikańskiej sprawie włoskiej”. „Oskarżają Mazziniego, iż źle się przysługuje rewolucji, ale w gruncie rzeczy obawiają się, że jej zbyt dobrze służy!”

Potem Mickiewicz napisał artykuł poświęcony sprawie procesu w Bourges. Bronił Barbèsa, Blanquiego i innych uczestników zamachu, socjalistów i republikańców.

Ale z literaturą piękną, z poezją wziął rozbrat. Przeszedł do tworzyć.

W lutym, na dziesięć dni przed rewolucją paryską, Polacy w Belgii czcili rocznicę rozstrzelania Szymona Konarskiego.

Przemawiał Lelewel i przy okazji ostrzegał Słowian przed panslawizmem carskim. „Nie brakuje — mówił — ludzi dobrej wiary, ale ciemnych i łatwowiernych, którzy, omamieni zwoźniczym blaskiem wielkości państwa, rzucają się na oslep w panslawizm, biją czołem carowi. Miejcie się na ostrożności, bracia Słowianie! Nieraz na publicznych zgromadzeniach starałem się odróżnić politykę carską, zwaną panslawizmem, od wspólnego interesu Słowian.”



A dalej tak propagował ideę zjednoczenia plemion słowiańskich: „Rosjanie, Polacy, Czesi, Serbowie, Słowacy, Kroaci, Bośniacy, Dalmaci, Raskowie, Bułgarzy, Iliryjczycy powinni się uważać za braci, za jedną wielką rodzinę. Braterstwo jest zasadą najściślejszego przymierza. Czy to je nazwiemy federacją, czy unią, czy konfederacją, czy stanami zjednoczonymi, na takiej zasadzie prędko stanie umowa towarzyska”.

Lelewel, wyliczając narody słowiańskie, nie omieszczał wspomnieć o Iliryjczykach i Raskach, pominął natomiast Ukraińców i Białorusinów.

Demokrata polski cenił i szanował te dwa narody, ale je mieścił na mapie obok Polaków, w obrębie jednej Rzeczypospolitej.

Niedługo potem z inicjatywy Polaka, Jędrzeja Moraczewskiego, odbył się w Pradze Czeskiej zjazd wszechsłowiański.

Na trzystu czterdziestu uczestników zjazdu było sześćdziesięciu Polaków i Rusinów galicyjskich, którzy jeszcze występowali razem.

Rosjanin był tylko jeden — Michał Bakunin.

Karol Libelt ułożył płomienny *Manifest do ludów zachodnich*.

Dzięki Polakom, a zwłaszcza Libeltowi, zjazd nie przybrał charakteru panslawistycznego w duchu polityki rządowej Petersburga, jak sobie tego życzyli niektórzy działacze czescy.

Według Libelta zjednoczenie Słowian miało się stać punktem wyjściowym dla powszechnej wolności.

Uchwały, które zjazd zdążył powziąć przed interwencją Windischgrätza, były jednak bardzo umiarkowane, oględne.

Program wszechsłowiański Bractwa Cyryla i Meto-

dego w Kijowie szedł znacznie dalej, nie mówiąc już o tym, że był gruntowniej opracowany. Udział bratczyków w zjeździe nadałby mu zupełnie inne oblicze. Mówiono o tym w kularach zjazdu.

Mógł to stwierdzić jakby z grobu zmartwychwstały Tomasz Padurra, dobrze zorientowany w planach kijowskiego stowarzyszenia.

Poeta, będąc kiedyś w Żytomierzu, wygrał na loterii piętnaście tysięcy złotych. Poczł w sobie dawną werwę i animusz. Wybrał się do Pragi. Wierzył, iż ta wygrana spadła z nieba po to, aby mu umożliwić spełnienie misji politycznej, którą uważał za główny cel życia.

Huk armat austriackich wyrwał go ze stanu o'wych błogich rojeń. Poeta ledwo uszedł z życiem. Zrozpaczony, poniechał dalszej podróży — do Włoch, gdzie miał się zobaczyć z Mazzinim.

Wrócił do Machnówki i znowu popadł w letarg.

Przyjaciół Tarasa Szewczenki, oficer gwardii, literat i dramaturg w jednej osobie, Aleksander Palm, był jednym z najgorliwszych uczestników zebrań piątkowych w drewnianym domku na Kołomnie.

W kwietniu tysiąc osiemset czterdziestego dziewiątego roku przeżywał chwile mocnego napięcia nerwów. Od roku już cała Europa stała w ogniu walk. Tylko w Rosji panował śmiertelny spokój. Wojska carskie miały lada chwila zgnieść rewolucję węgierską.

Palm układał powieść współczesną. Bohaterami jej byli rówieśnicy autora, tłem — wydarzenia historyczne ubiegłego roku.

„Cała siła młodych umysłów — pisał — zwróciła się ku badaniu tego świata, który się przed nimi otworzył, świata zagadnień bieżących, energicznych protestów, rozjątrzonych ran istotnego bólu i czarujących syste-

mów przysłego powszechnego szczęścia ludzkości. Rozpaliła się straszna odwaga myśli. A gazety z Paryża, poczynając od dwudziestego czwartego lutego, przynosiły jakieś nerwowe rozdrażnienie. Wyrywano je sobie i czytano w kawiarniach petersburskich; dochodziło często do tego, że ktoś chwycił gazetę, stawał na stole, otoczony przez tłum, i na głos czytał dekrety rządu tymczasowego i mowy Ludwika Blanca w Pałacu Luksemburskim.”

Palm widział: dekabryści chcieli urządzić Rosję na wzór współczesnych oświeconych państw europejskich, a kółko Pietraszewskiego marzy o przeobrażeniu Rosji i całego świata na wzór najbardziej radykalnych utopii Zachodu.

Palm określił to jako odwagę myśli.

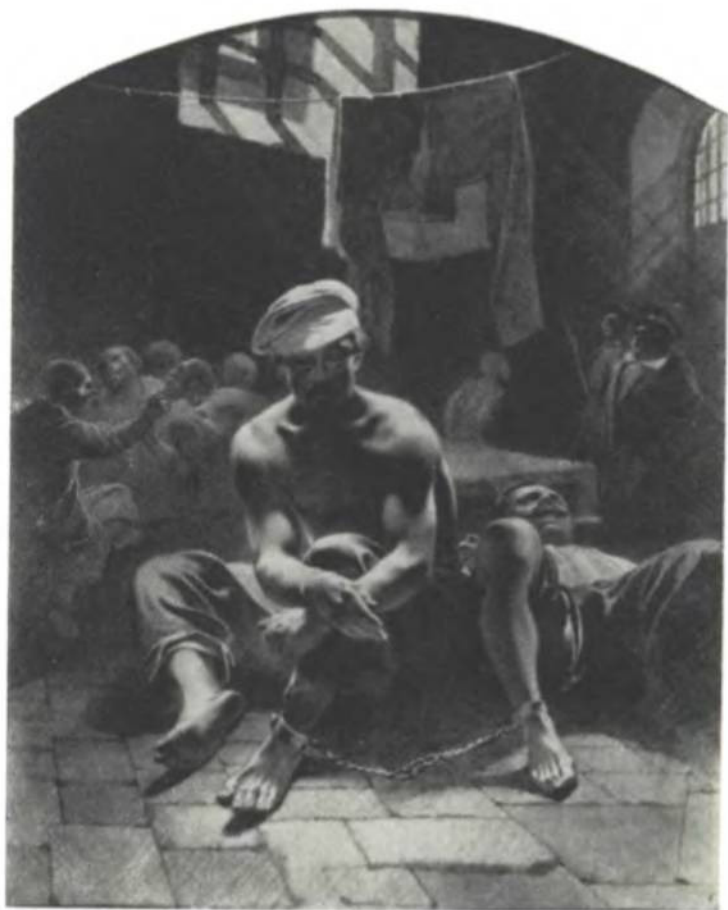
Dnia siódmego kwietnia, w rocznicę urodzin Karola Fourier, członkowie kółka Pietraszewskiego wydali obiad na cześć mistrza.

Zaproszonych było dwunastu. Ponieważ Danilewski nie przyszedł, brakło jednego do kompletu uczestników tej ostatniej biesiady furierystów.

Chanykow mówił o „nowym świecie, odkrytym przez nauczyciela, a stanowiącym kontrast obecnego stanu rzeczy”. Przewidywał, że wymagać to będzie walki i zniszczenia.

Achszarumow, który przemawiał potem, wyraził sąd, że konanie starego świata już się rozpoczęło. Ale trzeba ten proces przyspieszyć. „Zburzyć stolicę, miasta i cały materiał obrócić na inne gmachy i całe to życie mąk, klęsk, nędzy, wstydu, hańby przekształcić na życie piękne i bujne, na życie wesela, bogactwa i szczęścia oto nasz cel — mówił młody filozof. — My tu w naszym kraju zaczniemy przewrót, a skończy go cała ziemia.”

Dnia piętnastego kwietnia odbyło się kolejne piąt-



**W więzieniu. (Z cyklu: „Przypowieść o synu marnotrawnym”).  
Taras Szewczenko. Tusz, bistr, 1856—1857**



**Karanie różgami. (Z cyklu: „Przypowieść o synu marnotrawnym”). Taras Szewczenko. Tusz, bistr, 1856—1857**

kowe zebranie u Pietraszewskiego. Przyszło dwadzieścia osób.

Fiodor Dostojewski pełnym namaszczenia głosem odczytał korespondencję Gogola z Bielińskim. *List do Gogola* zrobił na wszystkich piorunujące wrażenie. Mombelli podjął się ten list przepisać w kilkunastu egzemplarzach.

Pietraszewski po wyjściu gości siedział jeszcze długo w nocy i rozważał: odwaga myśli jest, i to wielka; ale czy znajdzie się odwaga czynu? Od roku cała Europa stoi w ogniu walk; a w Rosji — spokój...

Antonelli wciąż zbierał nowe informacje i dwa razy dziennie sporządzał raporty, które pułkownik Liprandi przerabiał dla hrabiego Perowskiego, a ten z kolei — dla cara. Zarówno uczony-pułkownik, jak i hrabia-minister kładli nacisk na liczne powiązania pietraszewczyków z kółkami młodzieży studenckiej na Ukrainie, gdzie wciąż się utrzymywała fermentacja umysłów, wywołana „buntowniczym” posiewem Tarasa Szewczenki.

Minister radził ciągnąć dalej szpiegowanie, żeby wysupłać wszystkie nici spisku. Ale carowi nerwy odmówiły posłuszeństwa. Wściekał się zawsze, gdy słyszał, że wiersze tego „śmierdzącego chłopca” czytane są przez ludzi i budzą w nich uczucia niechęci, a nawet nienawiści do tronu, do dynastii. Kazał zlikwidować niebezpieczną „szajkę” i akta śledztwa przekazać Wydziałowi Trzeciemu.

Hrabia Orłow znowu zatryumfował nad hrabią Perowskim.

Dnia dwudziestego trzeciego kwietnia po mieście całą noc jeździły znane mieszkańcom Petersburga

czarne karety z zielonymi firankami i zwoziły aresztowanych do twierdzy Piotra i Pawła.

Wszystkich umieszczono w słynnym Aleksiejowskim rawelinie.

Pietraszewczycy zakończyli swoją działalność rewolucyjną, zanim ją jeszcze rozpoczęli.

W papierach, które zabrano aresztowanym podczas rewizji, znajdowały się dwa dokumenty, świadczące zdaniem komisji śledczej, o ich bezspornej i ciężkiej winie: deklaracja członkowska, opracowana przez Spieszniewa i odpis *Listu do Gogola*.

Poza tym w teczce z papierami Mombellego znaleziono dziennik oraz wiersz polski, zatytułowany *Do przyjaciół Moskali*, wraz z przekładem prozą tego wiersza na język rosyjski.

Urzędnik, który sporządzał opis dokumentów, ocenił wiersz jako „zawierający występłą treść”. A w dzienniku Mombellego podkreślił czerwonym ołówkiem taki urywek:

„W Rosji wszystko jest osłonięte tajemnicą i zakłamanie, toteż o niczym nie można mieć pewnych, dokładnych wiadomości. Niczemu nie można wierzyć. Polityka rządu polega na tym, aby różne rzeczy ukrywać i przedstawiać w fałszywym świetle. Niewolnicy, jako stworzenia spaczone, zawsze chcą nie chcąc starać się uprzedzić życzenia swoich ciemniejszych. Wskutek tego skłonność do sekretów i kłamstw zamieniła się u nas w zwyczaj. Rosjanin ze wszystkiego robi tajemnicę, a poza tym nie potrafi przekazać w takiej postaci, jak słyssał, obowiązkowo coś doda albo coś przekreśli po swojemu. Wśród Rosjan nie ma szczerości, nie ma prawości — i dlatego nie ma zaufania, nie ma współzycia, nie ma zamiłowania do prawdy. Rosja-

nin o wszystkim sędzi egoistycznie, wszystko ocenia zależnie od swoich korzyści. Mówię o Rosjanach niewolnikach, to jest o moich współczesnych, a nie o tych Rosjanach, którzy po usunięciu despotyzmu będą budzili podziw całego świata przykładami bohaterstwa i wzniosłości uczuć.”

Powołano specjalny trybunał, któremu przewodniczył niedoszły zdobywca Chiwy, generał hrabia Wasilij Perowski.

Pietraszewski złożył trybunałowi obszernie zeznania na piśmie, udowadniając, że organa śledcze poddawały zarówno jego, jak i innych więźniów niehumanitarnym torturom. Nic to nie pomogło. Trybunał skazał piętnastu podsądnych na śmierć przez rozstrzelanie.

Byli między nimi Pietraszewski, Dostojewski i Mombelli.

Na placu kaźni w ostatniej chwili adiutant cara przywiózł ulaskawienie.

Pietraszewski miał iść na dożywotnią katorgę. Mombelli na piętnaście lat. Spieszniw „za szczere zeznania” tylko na dziesięć. Inni dostali podobne wyroki.

Chanykowa i Pleszczejewa wcielono do orenburskich batalionów liniowych.

Kiedy skazańcy w styczniu następnego roku przybyli do Tobolska, już nazajutrz rano zamiast więziennego chleba i kapuśniaku otrzymali świeżutkie placzki, masło, wędzone ryby i wspaniałą prawdziwą herbatę.

Wartownik nieznacznie podsunął im kartkę. Był to serdeczny liścik, pod którym popisały się trzy żony dekabrystów — Murawiewa, Annienkowa i Fonwizina.



Przebywały tam już ćwierć wieku.

Drogę z Tobolska do Irkucka skazańcy odbyli pieszo. Tyle, że zdjęto im kajdany.

W Irkucku mieli możliwość porozmawiania z księciem Sergiuszem Wołkońskim i poetą Julianem Sałbińskim, który dzieci księcia uczył francuskiego.

Potem była kopalnia złota w Szyłce.

Tylko Spieszniw po pewnym czasie wrócił do Irkucka i został redaktorem miejscowej gazety gubernialnej, a potem nawet szefem kancelarii gubernatora.

## V

W połowie maja tysiąc osiemset czterdziestego ósmego roku, kiedy Blanqui urządził w Paryżu demonstrację polityczną na rzecz Polski, z twierdzy nad Uralem wyruszył w stronę Morza Kaspijskiego olbrzymi tabor, złożony z trzech tysięcy wozów i tyluż z górą wielbłądów. Oprócz zapasów żywności i narzędzi znajdował się na wozach rozebrany na części szkuner „Konstantyn”. Dowódca taboru, generał Schreiber, miał pod swoimi rozkazami kompanię piechoty, dwie sotnie kozaków, sześciuset konnych Baszkirów i baterię armat.

Zastępcą szefa ekspedycji, Butakowa, był kapitan sztabu generalnego Makszejew, który również niedawno dopiero przyjechał ze stolicy.

Szewczenko zaraz pierwszego dnia zemdlął z przemęczenia, skutkiem ciężkiej wielodniowej pracy przy ładowaniu wozów. Makszejew zabrał Szewczenkę do swojej dżelomejki. Odtąd drogę odbywali razem. Okazało się, że mieli wspólnych znajomych: Mombellego, Pleszczejewa i wielu innych. To ich zbliżyło. Obaj byli ludźmi wykształconymi, wysoce inteligentnymi; mieli

o czym rozmawiać w czasie długiej, uciążliwej drogi do Raimu. Szewczenko, mimo trudów podróży, odżył w towarzystwie Makszejewa.

Szewczenkę traktowano już teraz jak artystę, nie jak żołdaka. Nawet nie wkładał munduru, tylko lekkie płócienne ubranie. Zaczął malować.

Bezkresna, bezludna równina, przez którą jechano, pokryta była białym obrusem ostnicy. Nigdzie nie widać ani krzaczka, ani jaru. Nie słychać koników polnych ani świergotu ptaków. Cisza śmiertelna. Ciekawy, ale też nader pęsepnny obraz.

Razu pewnego Szewczenko zobaczył wśród stepu olbrzymią, samotną topolę, obwieszoną skrawkami materii i pasmami włosów końskiego. Było to święte drzewo Kirgizów, dżangiz agacz.

Innym razem poeta był świadkiem pożaru, wzniesonego na stepie przez koczowników.

I drzewo, i pożar zostały uwiecznione na akwarelach Szewczenki. Teka jego prac malarskich i rysunków rosła z dnia na dzień.

Ekspedycja przebrnęła jeszcze rozległy i straszliwy obszar Czarnego Piasku — pustynię Kara-kum i dotarła do Raimu.

Między dwoma dużymi jeziorami sterczał wysoki cypel, a na nim wznosiła się nędzna fortalicja. Była to właściwie długa drewniana szopa, kryta sitowiem i otoczona wałem. Za nią, spoza szerokiej smugi oczereców, błyszczła srebrzysta Syr-Daria.

Prawie cały garnizon raimski wyszedł na powitanie ekspedycji. Żołnierze mieli blade, wynędzniałe i apatyczne twarze.

— Czy tu panuje jaka epidemia? — spytał Szewczenko któregoś z oficerów garnizonu.

— Nie, chwalić Boga, wszyscy jesteście zdrowi — odpowiedział oficer.

Trzydzieści dni, od dziewiętnastego czerwca do dwudziestego lipca, trwało składanie szkunera, na którym lejtenant Butakow miał opłynąć nieznanne azjatyckie jezioro, Morze Aralskie.

Szewczenko czuł się dobrze. Bez przerwy malował zarówno widoki pobraża, jak i sceny obozowe. Warunki życia były trudne, we dnie dokuczał piekielny skwar, a w nocy chłód i robactwo — tarantule i skorpiony. Szewczenko wołał to wszystko niżli musztrę. Wzdrygał się na jej wspomnienie.

Mieszkał nadal z Makszejewem. Stykał się z Polakami, których tu również nie brakowało. Oprócz Mostowskiego i Królikiewicza był młody, sympatyczny geolog z Warszawy, też zesłaniec — Tomasz Werner. Szewczenko szybko się z nim zaprzyjaźnił.

Niemalą opieką otaczał Szewczenkę szef ekspedycji, lejtenant Butakow, którego poeta w liście do księżniczki Warwary Repnin nazwał swoim „dowódcą, towarzyszem i druhem”. Z zastępcą szefa, praporszczykiem Pospiełowem, wkrótce był na „ty”.

Fedir Łazarewski starał się „skomponować” Szewczence towarzystwo na czas wyprawy. Skojarzył go z lekarzem raimskim Bielowem oraz urzędnikiem Subchankułowem — bardzo miłymi i porządnymi ludźmi.

Wreszcie dwudziestego piątego lipca szkunery „Konstantyn” i „Nikołaj” odpłynęły z Raimu. Na „Konstantynie” była tylko jedna, dość ciasna kajuta, w której prócz oficerów — Butakowa, Makszejewa, Pospiełowa i Akiszewa — ulokowali się felczer Istomin, Szewczenko i Werner.

W ciągu sierpnia i września ekspedycja, licząca razem około pięćdziesięciu ludzi, opłynęła południowe wybrzeże morza, odkryła kilka nieznanych wysp i sporządziła dokładny opis zbadanych obszarów morskich

i lądowych. W sierpniu przetrwano na pełnym morzu silny kilkudniowy sztorm.

Pod koniec września szkunery wróciły do ujścia Syr-Darii i stanęły na kotwicy w zatoczce wyspy Kos-Arał. Ekspedycja miała tu zimować.

Z twierdzy Orskiej przyszedł do Szewczenki list. Pisał do niego Aleksandryjski:

„Nowin dużo, bardzo dużo, ale ponieważ są one bynajmniej nie miejscowe, orskie, i nie rosyjskie, tylko europejskie, a w dodatku polityczne, więc wykładać ich szczegółowo nie mogę. Wyłuszczyć jedynie główną ich osnowę: wszyscy chcą zmiany na lepsze! Stara to piosenka i zawsze na czasie ale teraz śpiewa się ją na nowy sposób — przy akompaniamencie dwudziesto-czterofuntowego kalibru! Zresztą zna pan zapewne wszystkie perypetie polityki europejskiej w ostatnich miesiącach”.

Szewczenko znał bieżące wydarzenia polityczne dzięki dobrym stosunkom z Butakowem i Makszejewem, którzy korespondowali ze znajomymi w Petersburgu, Moskwie i Odessie.

Zima na Kos-Arale była jeszcze posepniejsza niż w Orsku. Ale tu nie było koszar i musztry, więc Szewczenko mimo wszystko czuł się lepiej niż tam, w twierdzy nad Uralem.

Wykańczał swoje prace malarskie; znów układał li-ryki i poematy. Nową książeczkę, „zachalawną”, tak zaczął:

A numo znowu wirszuwał!  
(Zwyczajne, nyszkom!) ...Numo znowu  
Ludej i dolu prokłyntat'!...<sup>1</sup>

---

<sup>1</sup> Więc nuże znów układać wiersze! || Znów potajemnie!  
Nuże wreszcie || Ludzie i dolę swą przeklinać!...

A w innym utworze skarżył się:

Mow za poduszne ostupyły  
Oce mene na czużyni  
Nud'ha i ośiń. Boże myłyj!  
De ź zachowatysia meni?  
Szczu dijaty?...<sup>2</sup>

Na Kos-Arale przesiedział Szewczenko aż do końca stycznia, a potem wraz z Wernerem powędrował pieszo przez zamarznąłą zatokę do Raimu.

Zima była tu również straszna i ponura. Zamiecie śnieżne szalały bez przerwy, domy grzęzły w śniegu aż po szczyty dachów, wycie wichru powodowało samobójczą chandrę.

Komendantem fortelicji był teraz podpułkownik Matwiejew. Jego poprzednik pod wpływem chandry upił się i kazał ostrzelać z armat sąsiednią wioskę kirgiską: chciał się zabawić w Nerona i popatrzeć na pożar.

Wódka była nieodłączną towarzyszką zamkniętych w Raimie ludzi.

Kapitan Makszejew wyjechał do Orenburga. Szewczenko zamieszkał z Wernerem. Towarzystwo tego cichego, zrównoważonego człowieka, wykształconego i dobrego, wpływało kojąco na nerwy poety. Jako trzeci przyłączył się do nich miejscowy lekarz, Sylwester Kilkiewicz.

Doktor Kilkiewicz pochodził z Wilna. Studia odbywał w Wileńskiej Akademii Medyko-Chirurgicznej. Widział rozstrzelanie Szymona Konarskiego. Sam też został skazany na deportację w głąb Rosji za udział w spisku.

---

<sup>2</sup> Jak za poduszne, ogarnęły || Mnie oto na obczyźnie || Nuda i jesień. Boże drogi! || Gdzież mam się schować? || Co mam robić?...

Szewczenkę, Wenera i Kilkiewicza związała serdeczna przyjaźń i wspólna dola zesłańców politycznych.

W ciągu trzech miesięcy, które spędzili w Raimie, prawie na rozstając się, zdołali roztrząsnąć wiele kwestii dotyczących zarówno Polski, jak i Ukrainy.

Obaj Polacy, mimo iż byli przeniknięci tym samym duchem historyzmu państwowego, jaki cechował większość ówczesnej społeczności polskiej, mimo iż na ich usta wciąż powracała Polska wymarzona w granicach przedrozbiorowych, nie mieli żadnych uprzedzeń plemiennych. O Ukrainie mówili zawsze z sympatią i szacunkiem.

Szewczenko widział w nich dusze przyjazne. Razu pewnego odczytał im swój wiersz *Do Polaków*. Chwalili poezję, ale kręcili głowami na treść: czy to nie za wielkie uproszczenie zwałać wszystko na „ksiondziw”? No i co dalej? Jakie stąd wnioski?

Szewczenko nie dał się przekonać. Był nadal zwolennikiem poglądów zawartych w *Historii Rusów*. Odrzucając niektóre podane tam fakty, w ogólności szedł zawsze za myślą autora książki. Dla niego dzieje Ukrainy rozpadły się na dwa okresy: przed unią brzeską i po niej.

O trzecim okresie — od zniszczenia Siczy Zaporoskiej do chwili bieżącej — wiedział już po części z opowiadań dziadka, a po części z własnych doświadczeń.

— W ciągu tych strasznych miesięcy zimowych na Kos-Arale i w Raimie Szewczenko napisał blisko setkę utworów, przeważnie drobnych liryków, ale i kilka większych poematów liryczno-epickich.

Zdumiewająca była energia twórcza tego człowieka,

ciśniętego gdzieś na kraniec świata i przebywającego w warunkach najprymitywniejszych.

Na pierwszy rzut oka wydawać by się mogło, że Szewczenko wciąż niejako przeroślał, i to po kilka razy, tematy dawniejsze, już przedtem powtarzające się dość często w jego piśmarstwie: motyw uwiedzionej i porzuconej dziewczyny, motyw krzywdy wieśniaczek — poddaństwa i pańszczyzny — oraz motyw dawnej dzielności i chwały kozackiej.

Każda z wariacji na dany temat wnosila jednak nowe, cenne pierwiastki do dzieła Szewczenki, świadczyła o nieustannym poszukiwaniu coraz to innych rozwiązań tego czy innego zagadnienia, o ciągłym doskonaleniu formy.

W wierszach wzorowanych na poezji ludowej doszedł do mistrzostwa. Właściwie sam tworzył poezję ludową, wspanialszą i bogatszą pod każdym względem od wszystkiego, co dotąd istniało w folklorze ukraińskim.

Napisał taką na przykład smutną kołysankę:

Oj luli, luli, moja dytyno,  
Wdeń i wnoczi.  
Pidesz, mij synu, po Ukraini,  
Nas kłenuczy.  
. . . . .  
Jak pidesz w seła, u tiji chaty,  
To ne żuryś;  
A jak pobaczysz z ditkamy matir,  
To... ne dywyś!<sup>3</sup>

Albo taką niby wesołą piosenkę:

---

<sup>3</sup> Oj, luli, luli, moja dziecino, || I dzień, i noc || Będiesz szedł, synku, przez Ukrainę, || Będiesz nas kłać.

. . . . .  
Gdy pójdiesz na wieś, wejdiesz do chaty, || To nie smuć się; || A gdy zobaczysz matkę wśród dzieci, || To... nie patrz się!

Utopiała steżeczku  
Czerez jar.  
Czerez horu, serdeńko,  
Na bazar.<sup>4</sup>

I taką skargę dziewczyny:

Jakby meni, mamu, namysto,  
To piszła b ja zawtra na misto.  
A na misti, mamu, na misti  
Hraje, mamu, muzyka trojista.<sup>5</sup>

I taką humoreskę:

U peretyku chodyła  
Po orichy,  
Mirosznyka polubyla  
Dla potichy.  
Melnik mele, szeretuje,  
Obernet'sia, pociłuje  
Dla potichy.<sup>6</sup>

I wiele innych.

Niełatwo sobie wyobrazić człowieka tworzącego takie wiersze w zasypanej śniegiem osadzie, wśród dzikich stepów kirgiskich.

Mógł się na to zdobyć tylko poeta każdym włóknem duszy związany z ojczyzną.

Znamienne są utwory Szewczenki z tego okresu obracające się wokół tematyki chłopskiej.

Ani jeden z tych utworów nie ma w sobie nawet

---

<sup>4</sup> Udeptałam ścieżynkę || Poprzez jar. || Poprzez górę, serdeńko, || Na targ.

<sup>5</sup> Gdybym miała, mamu, namysto, || Zaraz jutro poszłabym na miasto. || A na mieście, mamu, na mieście || Gra muzyka, mamu, troista.

<sup>6</sup> Do przyłasku sobie poszłam || Po orzechy || I młynarza pokochałam || Dla uciechy. || Młynarz miele i szrotuje, || Obejrzy się, pocałuje || Dla uciechy.



śladu owego kaznodziejstwa czy moralizatorstwa, którym był nasycony dawniejszy *List przyjacielski do ziomków żywych, martwych i nie narodzonych*. Teraz Szewczenko swoje antypańszczyźniane poglądy wyraża w formie gwałtownej, biczuje panów-krzywdzicieli i nie widzi innego rozwiązania sprawy, jak tylko walkę z nimi na śmierć i życie.

Poemat *Maryna* kończy się sceną podpalenia dworu przez matkę uwiedzionej dziewczyny. Obecni przy tym wieśniacy pochwalają ten samosąd.

Pany do odnoho spekłyś,  
Nenacze dobri porosiata,  
Zhorily biliji pałaty,  
A ludy tycho rozijszlyś.<sup>7</sup>

W wierszu bez tytułu, zaczynającym się od słów: „Jakby tobi dowełosia...”<sup>8</sup>, opowiada Szewczenko o młodzieńcu, który panicza nastającego na cześć dziewczyny wiejskiej przebił widłami, „prosadyw mow tu żabu”<sup>9</sup>. Dziewczyna dobrowolnie idzie za swoim mścicielem na Sybir.

Obrazy życia w stronach rodzinnych wciąż się przesuwają przed oczami poety uwiecznionego w dalekim, obcym i pustynnym kraju. Obrazy te są przerażająco smutne:

...skriż na sławnij Ukraini  
Ludej u jarma zapriahły  
Pany łukawi...<sup>10</sup>

A ludzie jakby rozum stracili:

---

<sup>7</sup> Panowie wszyscy się upiekli || Niczym zażywnie prosiaki, || Spłonął piękny pałac, || A ludzie spokojnie się rozeszli.

<sup>8</sup> Jakby ci przyszło...

<sup>9</sup> Przedziurawił jak tę żabę.

<sup>10</sup> ...wszędzie na sławnej Ukrainie || Ludzi w jarzma powprzęgali || Chytry panowie...

Nimi na panszczynu idut'  
I ditoczok swoich wedut'!...<sup>11</sup>

Spoglądając na stepy kirgiskie, wiejące pustką i chłodem, poeta dochodzi do tragicznego wniosku:

Pohano duże, strach pohano  
W ocij pustyni propadat'!  
A szcze pohansze na Ukraini  
Dywytyś, płakat' — i mowczat'!<sup>12</sup>

Była to już najdalej idąca, radykalna konkluzja rozmyślań Szewczenki o sprawach społecznych. Znalazła ona jeszcze dobitniejszy wyraz w innym jego wierszu:

Oj wyostriu towarzysza,  
Zasunu w chalawu  
Ta pidu szukaty prawdy  
I tijeji sławy.<sup>13</sup>

Męczyły Szewczenkę pewne wspomnienia z Ukrainy. Gościł kiedyś na Połtawszczyźnie w majątku magnata, Pawła Skoropadzkiego. Zobaczywszy, jak gospodarz policzkuje chłopca, zerwał czapkę z głowy, cisnął nią w pomieszczyka i wyjechał. Fasada pałacu, w którym się to działo, nie wychodziła mu z pamięci. Teraz nad Morzem Aralskim wspomnienie to przeobraziło się w wiersz:

I dosi nudno, jak zhadaju  
Goticzeskij z czasami dom...<sup>14</sup>

---

<sup>11</sup> Niemi idą na pańszczyznę || I dzieci swoje prowadzą!

<sup>12</sup> Bardzo źle, strasznie źle || W tej pustyni ginąć! || Ale stokroć gorzej na Ukrainie || Patrzeć, płakać — i milczeć!

<sup>13</sup> Oj, wyostrzę towarzysza, || Wsadzę za cholewę, || Pójdę szukać prawdy || I sławy.

<sup>14</sup> I dotąd aż mnie mdli, gdy wspomnę || Gotycki dom z zegarem.

Właściciel tej cudownej budowli, „szczyryj pan, potomok het'mana durnoho”, udaje demokrate, pije wódkę z chłopami i w szynku popisuje się swoją wolno-myślnością; w gruncie rzeczy jest to zwierzę, „hodowanyj kaban, łedaszczo”. Więc poeta z żalem i oburzeniem zapytuje ludzi, dlaczego się z tym godzą, „czomu na joho ne plujut', czomu ne topczut?!”

Ten połtawski gotyk, skojarzony ze sceną dzikiego okrucieństwa, wciąż prześladował Szewczenkę.

Ale obraz innej budowli gotyckiej łagodził tamto bolesne wspomnienie.

O kościółku Świętej Anny w Wilnie lubił Szewczenko rozmawiać z doktorem Killkiewiczem.

I jeszcze jedno uczucie odezwało się echem wspomnień w ówczesnych poezjach Szewczenki.

Dwa wiersze poświęcił kobiecie, o której nigdy z nikim nie mówił, a której czar trwał nad nim mimo upływu lat i oddalenia.

Zamiast nagłówków postawił nad wierszami inicjały: „H. Z.”

Kiedy Szewczenko w niektórych wierszach, pisanych na Kos-Arale, wracał do tematyki dziejowej, patriotycznej, stwarzał sobie i swoim rodakom kompensatę za wszystkie krzywdy i niedole, dawne i współczesne. A jednocześnie jak gdyby polemizował ze swoimi nowymi przyjaciółmi-Polakami.

Jeden z takich utworów poświęcił wspomnieniom o Szwacze, uczestniku koliszczyzny. Było to coś w rodzaju historycznej pieśni ludowej. Ustami watażki kozackiego poeta wołał:

Oj ne pjetsia horiłoczka,  
Ne pjutsia j medy.  
Ne budete szynkuwaty,  
Proklati żydy.  
Oj ne pjetsia teje pywo,  
A ja budu pyt'.  
Ne dam że ja wrażym lacham  
W Ukrajini żyt'.<sup>15</sup>

I zakończył opisem sceny odjazdu do Bychowa, gdzie watażka zamierzał

Z Łewczenkom ukupi,  
Potoptaty żydiwśkoho  
J szlachet'skoho trupu.<sup>16</sup>

W innym przepięknym wierszu, o formie najzupełniej swobodnej, oryginalnej, opowiadał Szewczenko o wyborze hetmana Nalewajki, jak

Poważno ta tycho  
U ranniuju poru  
Na wysoku horu  
Schodyłysia półkownyky.

I wijsko, jak more,  
Z znamenamy, z bunczukamy  
Z łuhu wystupało.<sup>17</sup>

I wybrano „presławnoho zaporozcia, Pawła Krawczenka-Naliwajka” —

---

<sup>15</sup> Oj, nie leje się gorzałka, || Nie leją się miody. || Nie będziecie szynkowali, || Przeklećci karczmarze. || Oj, nie pije się tu piwa, || A ja będę pić. || Nie damże ja wrażym Lachom || W Ukrainie żyć.

<sup>16</sup> Z Lewczenką pospołu || Nakłaść żydowskiego || I szlacheckiego trupa.

<sup>17</sup> Poważnie i godnie || O rannej porze || Na wysokim wzgórzu || Schodzili się pułkownicy. || I wojsko jak morze, || Ze sztandarami, z buńczukami || Z łęgu wyruszało.

Szczob lakałyś wraźi lachy  
U swojij Warszawi.<sup>18</sup>

Kiedy Szewczenko te wiersze przeczytał w domu przyjaciółom, „wraźi lachy”, Kilkiewicz i Werner, ścisnęli mu ręce i wieszowali talentu poetyckiego.

Jakoś mimo krwawych scen i wojowniczych hasłał poezje Szewczenki chwytaly ich za serce.

No i taki urok rzucał na nich sam poeta-wygnaniec, podobnie jak oni patriota, człowiek nieposzlakowanej uczciwości i dobroci.

O zaletach jego charakteru przekonywali się na każdym kroku.

Do Szewczenki wciąż powracało wspomnienie Oksany. Było w nim ciepło i światło dzieciństwa.

Pewnego dnia zapisał w zeszycie ten dantejski wiersz:

My wkupoczi kołyś rośły,  
Malańkymy sobi lubyłyś...<sup>19</sup>

Płakał. Był stary, chociaż nie skończył jeszcze czterdziestu lat.

Znowu przyszła wiosna. Zrobiono przygotowania do nowej wyprawy.

Dnia piętnastego kwietnia, kiedy w drewnianym domku na Kołomnie odbywało się ostatnie piątkowe zebranie pietraszewczyków, kapitan Makszejew siedział w Orenburgu przy stole i pisał list do Mombelle-

---

<sup>18</sup> Żeby strach czuli wraźi Lachy || W swojej Warszawie.

<sup>19</sup> Rośliśmy razem w dawnych latach, || Kochaliśmy się od maleńka.



**Milo z Krotony. Taras Szewczenko. Sepia, 1856**



**Portret hrabiego Fiodora Tolstoja. Taras Szewczenko.  
Akwaforta, 1860**

go. Opisował zeszłoroczną podróż morską z Butakowem i napomykał o zainteresowaniach władzy orenburskiej w stosunku do Chiwy. „Tutejszy sztab generalny — pisał Makszejew — kilka razy wysyłał oficerów do Chiwy i Buchary i z pewnością lepiej zna drogi od niejednego kupca. W naszym archiwum, które spenetrowałem z ciekawości, jest dużo odnośnych map i planów.”

Kiedy list dotarł do Petersburga, Mombelli siedział już w twierdzy Petropawłowskiej. List dołączono do akt sprawy.

Makszejewowi upiekło się tylko dlatego, że służył na linii turkiestańskiej i był tam potrzebny.

Dnia ósmego maja szkuner „Konstantyn” pod dowództwem Butakowa odpłynął w kierunku zachodnich wybrzeży Morza Aralskiego. Pospiełow na szkunerze „Nikołaj” udał się na wschód. Szewczenko znajdował się na „Konstantynie”.

Ta druga wyprawa była o wiele cięższa niż pierwsza. Szewczenko wytrzymał jednak jej trudy i w ciągu pięciomiesięcznej wędrówki po morzu i jego wybrzeżach wykonał sto kilkadziesiąt prac malarskich i rysunkowych. Poza tym dzięki Wernerowi znakomicie rozszerzył zakres swoich wiadomości z przyrodoznawstwa. Przeczytał również dwa tomy *Kosmosu* sławnego Humboldta, który był właściwym inicjatorem ekspedycji Butakowa.

Na początku października szkuner powrócił do Kos-Arału. Butakow wystarał się w sztabie korpusu, aby Szewczenkę i Wenera zostawiono przy nim w celu wykończenia szkiców i rysunków. Razem wyruszyli z Raimu i pierwszego listopada stanęli w Orenburgu.



Znalazł się tu Szewczenko w warunkach bez porównania lepszych niżli w Orsku czy Raimie. Przedewszystkim mógł mieszkać prywatnie. Miał do dyspozycji dwie biblioteki, rosyjską i polską. No i towarzystwo ludzi kulturalnych, głównie Polaków. Poza tym — o wiele łatwiejszą korespondencję ze światem.

Fedora Łazarewskiego chwilowo nie było. Był natomiast Lewicki. Kiedy Łazarewski wrócił, dobrali Pospielowa i Lewickiego i zamieszkali we czterech.

Wszystko układałoby się dość dobrze, gdyby nie stały niepokój o to, jak się odniosą władze petersburskie do faktu, iż Szewczenko od dłuższego czasu zajmuje się malarstwem. Mimo przychylniej opinii szefa korpusu, Wydział Trzeci nie nadesłał zezwolenia.

W przykłej sytuacji był nie tylko Szewczenko, ale i Butakow.

Szewczenko dokuczało to napięcie nerwów, szukał odprężenia w towarzystwie przyjaciół i znajomych, zaczął nadużywać alkoholu. Zapadł na zdrowiu.

Coraz mniej znajomych pisywało do niego listy. Ludzie najwidoczniej unikali stosunków ze skazańcem politycznym.

Tym większą wagę miały dla poety nowe znajomości i przyjaźnie, które tu zawiązał.

Na początku stycznia Łazarewski wyjechał w podróż służbową do Guriewa, a Lewicki do Petersburga.

Dwa miesiące, które Szewczenko spędził z Lewickim pod jednym dachem, jeszcze bardziej ich zbliżyły. Obaj byli patriotami ukraińskimi. Stałym tematem ich rozmów były sprawy ukraińskie. Szewczenko wprowadził przyjaciela w krąg zagadnień, którymi w swoim czasie żyli bratczykowie kijowscy. Lewicki ogromnie się do tych rzeczy zapalił. Miał nadzieję, że w Petersburgu

znajdzie wielu rodaków, przy pomocy których będzie mógł pokusić się o kontynuowanie działalności Bractwa Cyryla i Metodego.

Szewczenko otrząsnął się z depresji i znowu zaczął żyć nadzieją, że los jego odmieni się wreszcie, że dane mu będzie wrócić do ojczyzny i zrobić dla niej choć część tego, co zamierzał.

## VI

Po wyjeździe Łazarewskiego i Lewickiego przeniósł się Szewczenko do Gerna, który miał własny domek na przedmieściu Orenburga. Siostra Gerna wyszła za mąż za Polaka, niejakiego pana Kirszę, urzędnika intendenty, człowieka bardzo gościnnego. W domu ich zbierała się liczna gromadka zesłańców polskich. Gern wprowadził tam Szewczenkę.

Już w kilka dni po przybyciu do Orenburga lejtenant Butaków przydzielił Szewczence do pomocy amatora-malarza, Polaka, Bronisława Zaleskiego. Zaleski ogromnie przypadł do serca poecie ukraińskiemu. Wychowank uniwersytetu w Doparcie, człowiek rozległych horyzontów umysłowych, uzdolniony literacko i malarz, stał się jednym z najbliższych przyjaciół Szewczenki. Spokojem i równowagą duchową dobroczynnie wpływał na wrażliwego poetę-zesłańca.

Jeden ze współtowarzyszy niedoły wygnańczej tak o Zaleskim powiedział:

— Dobroć serca nigdy nie pozwala mu wymówić się od tego, o co go ktoś poprosi, wysoka zaś prawość charakteru nakazuje mu dotrzymywać tego, co przyrzekł i do czego się zobowiązał.

Zaleski pozostawał w zażyłych stosunkach z Kirszami. Oprócz niego bywali tam często: Arkadiusz Wę-

grzyńnowski, ksiądz Michał Zielonka, Ludwik Turno, Jan Staniewicz, Eustachy Serebnicki, Julian Kowalski, Aleksander Popiel, Wiktor Domaradzki, Baltazar Kolesiński, Ludwik Lipski, Robert Koprowski; poza tym dawni znajomi z Orska — Fiszer, Hofmeister i Królikiewicz oraz aptekarz Michał Cejzik.

Aleksy Czernyszew namalował portret grupowy, na którym przedstawił Szewczenkę w gronie przyjaciół polskich.

Polacy byli dobrze zorganizowani, utrzymywali korespondencję z krajem, przysyłano im stamtąd pisma i książki. Dzięki stosunkom z Polakami mógł Szewczenko nieźle orientować się w bieżącej sytuacji politycznej w kraju i za granicą.

Drugim miejscem, gdzie Szewczenko często gościł na prawach przyjaciela, był dom doktora Majdela, naczelnego lekarza wojskowego, który przed rokiem wślawił się bohaterskim tłumieniem epidemii cholery w Orenburgu.

Doktor gromadził u siebie elitę kulturalną i „śmieszankę” miejscowego towarzystwa, między innymi był u niego generał-gubernator Obruczew i jego żona.

Niebawem Szewczenko został zaproszony i do generałostwa.

Szewczenko nikomu się nie narzucał, trzymał się z rezerwą, z godnością. Ludzie sami łągnęli do niego, szukali okazji, żeby z nim porozmawiać. Fedir Łazarowski jeszcze przed wyjazdem stwierdził z satysfakcją:

— Wszyscy cię tu na rękach noszą, Tarasie!

Za pośrednictwem Zaleskiego nawiązał Szewczenko korespondencję z Edwardem Żeligowskim. Żeligowski przebywał najpierw w Pietrozawodzku — zetknął się

tam z Wasylem Biłozerskim — a potem w Ufie. Znał Szewczenkę z jego utworów; zachwycił się nimi. Szewczenko zaś znał Antoniego Sowę z opowiadań Hułaka i lektury *Jordana*. Obaj poeci, nie znając się osobiście, poczuli wzajemną sympatię. Niebawem Żeligowski wziął się do tłumaczenia wierszy Szewczenki na język polski.

Tymczasem Zygmunt Sierakowski, wcielony do Korpusu Orenburskiego, służył w Uralsku.

Zaleski, który korespondował z Sierakowskim, powiedział pewnego razu do Szewczenki:

— Może niedługo poznasz jednego z naszych najlepszych ludzi. Jest to człowiek wyjątkowego hartu.

Wkrótce potem Sierakowski w jakiejś sprawie przyjechał do Orenburga.

W ciągu zaledwie kilku dni, kiedy Szewczenko i Sierakowski spotykali się i rozmawiali, zadzierzgnął się między nimi węzeł nie tylko wielkiej, dozgonnej przyjaźni, ale i głębokiego porozumienia ideowego.

Ich rozmowy stanowiły jakby kontynuację dysput, które Szewczenko prowadził z Polakami w Orsku. Teraz jednak miał do czynienia z człowiekiem, który górował nad wszystkimi swoimi rodakami trzeźwością i dojrzałością sądów i przewidywań, rozumem politycznym i odwagą myśli.

Sierakowski oczarował Szewczenkę. W mowie Polaka, w oczach, w całym wyrazie twarzy przebijało tyle zapału, tyle ofiarności, że Szewczenko nie mógł wyjść z podziwu: w twardej służbie żołdackiej, w koszarowej poniewierce, pod ciężarem karabina i tornistra, które mu dźwigać kazano, nie dał ten Polak zdusić w sobie ani jednej isierki patriotyzmu.

Szewczenko, który sam od dawna i nieustannie po-

chłonięty był myślami o służbie dla swojej ukraińskiej ojczyzny, dla swojej chłopskiej społeczności, obcując z młodym Polakiem, słuchając jego wywodów, nabierał otuchy i umacniał własne siły moralne, nadwątlone ciężkimi przejściami ostatnich lat.

Sierakowski zaś z podziwem patrzył na poetę, który w młodym wieku zrobił tak fantastyczną karierę, który z biednego pastuszka wiejskiego stał się wielkim, sławnym człowiekiem, który zaczął już odgrywać poważną rolę w życiu politycznym swojego kraju i który tak strasznie został doświadczony przez los.

Najbardziej chyba imponowała Sierakowskiemu nieugięta postawa Szewczenki wobec caratu. Sierakowski znał wiersze, za które poetę tak niewiarygodnie ciężko ukarano. Znał też utwory jego pisane już na zesłaniu. Poeta był zawsze wierny sobie i swoim przekonaniom. I nic nie wskazywało, aby kiedykolwiek zechciał od nich odstąpić.

Sierakowski potrafił dostrzec, że Szewczenko należy do rodzaju ludzi będących urodzonymi przywódcami: umiejącymi budzić posłuch, nakazywać dla siebie respekt.

Ludzi, których można złamać, ale nie można ugiąć.

Rozmowy Szewczenki z Sierakowskim trwały stosunkowo krótko, były jednakże pełne treści i znaczenia.

Sierakowski pierwszy raz w życiu napotkał człowieka, który tak trafnie ocenił i określił istotę panującego w Rosji reżymu.

— Car to nie osoba — powiedział kiedyś Szewczenko — to system, który z gwałtu powstał, na gwałcie wyrósł i gwałtem tylko da się usunąć.

Była to myśl, pod którą śmiało mógł się podpisać

Sierakowski. Z tej tezy wynikało szereg ważnych skutków.

Przede wszystkim — konieczność zjednoczenia wszystkich sił mogących przeciwstawić się caratowi i obalić jego władztwo.

Sierakowski dzięki temu, że znacznie dłużej niż Szewczenko przebywał w stolicy, oraz dzięki prowadzonej rozległej korespondencji był lepiej zorientowany w sprawach polityki europejskiej. Opowiadał Szewczence o wszystkich najświeższych wydarzeniach we Francji, we Włoszech, Niemczech i Austrii, tudzież w Polsce, streszczał zasady Legionu Mickiewiczowskiego. Stanowczo nie wierzył w możliwość skruszenia potęgi Rosji przez działanie sił zewnętrznych. Jego zdaniem, nawet koalicja państw europejskich nie byłaby zdolna zniszczyć caratu.

Było to możliwe tylko drogą akcji wewnętrznej. Jedną z sił powinny stanowić ruchy wyzwolencze narodów ujarzmionych przez carat, drugą — ruchy chłopskie na obszarze całego imperium.

Sierakowski snuł pomysły jak strateg układający plan długiej i trudnej wojny. Szewczenko, ze względu na swoją wieśniaczą genealogię i popularność w społeczeństwie ukraińskim, mógł być znakomitym sojusznikiem i towarzyszem broni w tej przewidywanej wojnie. Sierakowski umiał to ocenić.

Żeby jednak plan działań oprzeć na realnej podstawie, należało uzgodnić szereg spornych kwestii.

Przed rozmowami z Szewczenką, jeszcze w Petersburgu, Wilnie i Mińsku, w kółkach polskiej młodzieży niepodległościowej, Sierakowski, kreśląc projekty działań spiskowych, operował pojęciem państwa polskiego, takiego, jakie ukształtowało się w historii — obejmującego obszary zarówno rdzennej Polski, jako też Litwy i Rusi. Chciał wszystkich mieszkańców tych ziem wcią-

gnąć do wspólnej akcji na rzecz odbudowania wspólnego państwa, które swym obywatelom zapewniłoby lepsze, szczęśliwsze warunki życia. Co się tyczy Białorusinów i Ukraińców, uważał Sierakowski, że w warstwie górnej, oświeconej, stali się oni Polakami albo przynajmniej obywatelami-patriotami wspólnej Rzeczypospolitej, w warstwie zaś niższej, wieśniaczej, nie osiągnęli jeszcze tego stopnia uświadomienia narodowego, który pozwoliłby uznać ich za odrębne narody. W każdym jednak razie odrzucał teorie ich pokrewieństwa plemiennego z Rosjanami. Raczej skłonny był dopatrywać się bliższej więzi plemienną z narodem polskim.

Dyskusje z Szewczenką wniosły znaczną korektywę do tych zapatrywań Sierakowskiego.

Szewczenko kiedyś zauważył, że Polacy operując pojęciem „państwa”, naśladują zaborcze rządy w Europie. Rosja, która obcuje przy swoim absolutnym centralizmie, też się nie liczy z narodami przez siebie uciemienionymi. Austria we Włoszech i na Bałkanach też nic innego nie forsuje jak tylko uzurpacje państwowe — wbrew oczywistym interesom podbitych narodów.

Szewczenko zdawał sobie sprawę z różnicy pomiędzy centralizmem polskim a carskim. Polski był o wiele łagodniejszy; carski dążył do wynaradawiania, chciał wszystko nie tylko unifikować, ale i niwelować. Poeta ukraiński nie godził się ani z jednym, ani z drugim.

Szewczenko miał w sobie ducha epoki, która zrodziła Wiosnę Narodów.

Miał niejako we krwi ideę rewolucji.

I pod tym względem górował nad Sierakowskim.

Sierakowski szybko to spostrzegł.

Zrozumiał, że Szewczenko hołduje zasadzie, wedle której przecież i Polacy chcieli układać swoje stosunki

z innymi narodami — na zasadzie: „wolni z wolnymi, równi z równymi”.

Naród ukraiński pozostawał w tyle w różnych dziedzinach życia zbiorowego, ale to nie miało zasadniczego znaczenia: mógł przecie w sprzyjających warunkach nadrobić ten dystans.

Niełatwo przyszło Sierakowskiemu, szlachcicowi obciążonemu wielowiekową tradycją pojęć i wyobrażeń, a nawet uprzedzeń społecznych i politycznych, podążyć za lotną myślą Szewczenki — chłopca niedawno zwolnionego z poddaństwa, potomka dawnych wolnych Kozaków, wnuka hajdamaki, człowieka, który nosił w duszy żądzę wolności wyhodowaną przez jego kraj, przez jego lud; człowieka, który na świeżo niejako wchłonął cywilizację i kulturę europejską, zdobył wykształcenie i był szczególnie podatny na wszelkie nowe hasła. Idea narodowości, która przyszła na świat razem z wiekiem dziewiętnastym, była jakby stworzona dla Szewczenki. To była idea nowoczesna, tak jak on sam był nowoczesny.

Idea państwowości, która ożywiała myśli Sierakowskiego, mogła się wydawać Szewczence ideą mocno przestarzałą. Tkwiła w niej jednak zasada tolerancji narodowościowej. Szewczenko, rozmyślając o swojej przyszłej ojczyźnie, chciał ją widzieć wolną nie tylko od czyjejkolwiek przewagi politycznej i wojskowej, ale również od wszelkich żywiołów obcych wewnątrz kraju, zwłaszcza od Polaków. Ukraina była zapchana obcoplemieniami, którzy się w niej rzadzili jak u siebie w domu.

Szewczenko z tych wszystkich rozmów z Polakami, zwłaszcza z Sierakowskim, wyniósł wiele istotnych spostrzeżeń i myśli. Uderzało go przede wszystkim jedno: niesłychana energia rewolucyjna, jaką rozwijali Polacy — bez ustanku, wszędzie, gdziekolwiek los ich



rzucił. Ich ofiarność i odwaga, ich patriotyzm i wola walki były zdumiewające.

Szewczenko z bólem myślał o tym, że jego rodacy nie kwapią się do czynu. Jeśli chodzi o warstwę oświeconą — albo idą na pasku gospodarczym i kulturalnym Polaków, albo wysługują się carowi.

Wprawdzie chłopci ukraińscy stale pokazywali, co umieją: prowadził długoletnią wojnę z panami Ustym Karmaluk, obecnie zaś na Bukowinie — jak mu opowiadali zesłańcy polscy, którzy wciąż napływali do Orenburga — zjawił się nowy wódz chłopski, Łukian Kobylca. Chłopom potrzeba było jednak jeszcze dużo oświaty, żeby zdołali sobie uświadomić swoje cele narodowe i porwać się na bój o niepodległość, który byłby jednocześnie bojem o wyzwolenie społeczne.

Ledwo zaczęło Ukraińcom świtać, że muszą się organizować dla sprawy narodowej, ledwo się zebrało grono uczciwych i uzdolnionych patriotów ukraińskich, a już spadła na nich ciężka łapa caratu. Tragedia bractwów kijowskich była tragedią narodu ukraińskiego. Rozbicie bractwa odsuwało wszelkie możliwości, chociażby w zakresie autonomii narodowej, na długie lata.

Szewczenko rozumiał to wszystko. Widział, jaki ogrom pracy trzeba wykonać, aby wydobyć naród ukraiński ze stanu odrętwienia i niewoli. Wszystkimi siłami pragnął się do tego przyczynić.

W rozmowach z Sierakowskim wciąż się przewijała myśl zjednoczenia wszystkich sił rewolucyjnych na obszarze imperium. Walczyli przecie górale kaukascy, niedawno walkę stoczyli Kirgizi. Nie było roku bez buntów chłopskich.

Sierakowski był zdania, że trzeba za wszelką cenę dążyć do porozumienia z ruchem rewolucyjnym rosyjskim. Niektórzy z jego kolegów i towarzyszy ideowych nawiązali stosunki z kołem Pietraszewskiego. Niestety,

wkrótcie po swym aresztowaniu Sierakowski dowiedział się, że wszystkich pietraszewczyków uwięziono i zesłano na Syberię. Dwóch nawet znalazło się w batalionach orenburskich. Jeden — Pleszczejew — przed paroma tygodniami przybył do Uralska. Drugi — Chanykow — wcielony został do garnizonu twierdzy Orskiej.

Szewczenko był wstrząśnięty tymi wieściami. Pamiętał Pleszczejewa, pamiętał jego wiersze. Niezwłocznie napisał do niego serdeczny list.

Ze wszystkiego, co donosiły pisma i mówili ludzie, wynikało, że na wypadkach dwóch ubiegłych lat w Europie się nie skończy. Sierakowski bardzo liczył na nowe wstrząsy, które wytworzą również dla Polaków sposobność chwycenia za oręż i wywalczenia niepodległości.

I Szewczence, i Sierakowskiemu nasuwała się myśl współpracy rewolucyjnej Polaków i Ukraińców.

Co się tyczy Rosjan, należało wyjaśnić, czy wśród nich istnieją siły rewolucyjne, z którymi można byłoby paktować. Po rozbiciu grupy Pietraszewskiego sytuacja w społeczeństwie rosyjskim nie nastrajała na nutę optymizmu.

Była jeszcze jedna ważka okoliczność, którą należało wziąć pod uwagę: rewolucjoniści rosyjscy mieli nie tylko własną ojczyznę, ale i własne państwo, które chcieli jedynie zreformować; Polacy i Ukraińcy mieli ojczyznę, ale nie mieli państwa, musieli o nie dopiero walczyć.

W każdym jednak razie dwaj przyjaciele, Polak i Ukrainiec, prowadząc wielogodzinne rozmowy na dalekim krańcu imperium, wśród ośnieżonych stepów kirgiskich, doszli do wspólnego wniosku: trzeba zro-

bić rewolucję, obalić carat, dać chłopom ziemię i wolność, a zarazem wyswobodzić z jarzma wszystkie narody, nie wyłączając rosyjskiego.

Sierakowski był pełen wiary w przyszłość, pełen nadziei. Jego nastrój udzielał się Szewczence. Poeta odżył; postanowił nacisnąć wszystkie możliwe sprężyny, uzyskać prawo powrotu do kraju i tam wziąć się na nowo do pracy. Współ z nowymi przyjaciółmi. Z Sierakowskim. Z Zaleskim. Z Fiszerem. Z Żeligowskim. I wieloma, wieloma innymi.

Sierakowski zwierzył się Szewczence, że koresponduje z Dubeltem i stara się zasłużyć na opinię wzorowego żołnierza. Chce zostać oficerem, aby przyspieszyć chwilę ułaskawienia. Innej drogi nie widzi.

Pokazywał listy do Dubelta. Pełne były wiernopoddańczych wyrazów i zwrotów.

Kiedy Szewczenko zachnął się nieco, Sierakowski przypomniał mu słowa pisarza włoskiego umieszczone na karcie tytułowej *Konrada Wallenroda*.

Szewczenko po pewnym czasie spróbował ułożyć list do Dubelta z prośbą o wstawiennictwo u cara.

Ostatecznie jednak listu nie wysłał.

Polacy zgrupowani wokół Sierakowskiego i Zaleskiego postanowili uczcić Szewczenkę bankietem.

Zebrało się spore grono osób. Wiwatom i toastom nie było końca. Szewczenko był szczerze wzruszony.

Nawet ksiądz Zielonka, który najczęściej i najgłośniej się obruszał na niektóre „hajdamackie” pomysły w utworach Szewczenki, otworzył tym razem serce na oścież i okazało się, że poeta zajmuje w nim bardzo poczesne miejsce.

Szewczenko nie inaczej się do niego zwracał, jak tylko: księżu prefekcie.

Stary kapelan dobrotliwie i przyjaźnie się uśmiechał, nawet wówczas, kiedy Szewczenko deklamował o tym, jak to na Ukrainę „przyszły ksiondzy i zapaliły nasz tychyj raj”.

Szewczenko swój wiersz *Do Polaków*, napisany jeszcze w twierdzy Orskiej, zadedykował Bronisławowi Zaleskiemu i uzupełnił zakończeniem.

Teraz w uroczystym i miłym nastroju, jaki się wytworzył na bankiecie, mówił z werwą:

Otak to, lasze, druże-brate,  
Nesytyji ksiondzy, magnaty  
Nas poriznyły, rozweły;  
A my b i dosi tak żyły.  
Podaj że ruku kozakowi  
I serce czysteje podaj!  
I znowu imenem Chrystowym  
Wozobnowym nasz tychyj raj.<sup>1</sup>

Grzmiącymi oklaskami przyjęli zebrani ostatnie słowa poety.

Szewczenko znowu przeżywał okres wielkiego podniesienia myśli i uczuć. Rozmowy z Sierakowskim i owa niesłychanie serdeczna życzliwość, jaką okazowali mu wszyscy zesłańcy polscy, zbudziły w nim utajoną energię, natchnęły optymizmem. Poczul się tak dobrze, jak ongiś, kiedy po ukończeniu akademii przyjechał do Kijowa i miał objąć posadę w uniwersytecie.

Spory historyczne z Polakami, bardzo przyjacielskie zresztą, skłoniły go do ponownego zajęcia się lekturą

---

<sup>1</sup> Tak więc, Polaku, druhu-bracie, || Zachłanni księża i magnaci || Poróżnili nas, rozdzielili; || A przecie mogliśmy tak dalej żyć. || Podajże rękę Kozakowi || I serce czyste swoje daj! || I znowu w imię Chrystusowe || Wskresimy dawny cichy raj.

odpowiednich źródeł. Zwrócił się do Bodiańskiego z prośbą o przysłanie mu *Historii Rusów*. Jednocześnie porzysłał listy do różnych znajomych i przyjaciół, prosząc ich, aby mu wyjednali prawo do powrotu do kraju albo przynajmniej zezwolenie na zajęcie się malarstwem.

Na przyjęciach u doktora Majdela pokazywał się czasem w towarzystwie pięknej Tatarki, imieniem Zabarzada.

Pisał o niej:

I stanom hnuczym, i krasoju  
Preneporoczno-mołoduju  
Stariji oczi weselu.  
Dywłusia inodi, dywłuś,  
I — czudno! — mow pered swiatoju  
Pered toboju pomoluś.<sup>2</sup>

Generałowa Obruczew zamówiła u Szewczenki swój portret. Portret się udał. Pani była zadowolona. To jeszcze bardziej poprawiło sytuację poety w garnizonie orenburskim.

Chodził po cywilnemu, nie odbywał żadnej służby i starym zwyczajem wśród bliższych i dalszych znajomych deklamował swoje wiersze, które dygnitarzy petersburskich przyprawiłyby o apopleksję.

Nastrój Szewczenki jeszcze bardziej się podniósł po otrzymaniu listu Sergiusza Lewickiego. Lewicki przebywał już od trzech miesięcy w Petersburgu i widocznie dużo musiał zdziałać, gdyż z listu jego była ogromna radość.

---

<sup>2</sup> Twa kibić wiotka i uroda, || Taka niepokalanie młoda, ||  
Raduje stare oczy moje. || Czasem wpatrzony w ciebie stoję ||  
I — dziwną rzecz! || jakby do świętej, || Do ciebie modlić się  
zaczynam.

Przez znajomych dostał się obrotny rodak do generała Perowskiego. Dawny gubernator orenburski znał Szewczenkę ze słyszenia, rozumiał, jakie przysługi może oddać państwu zdolny rysownik w tamtych stronach, obiecał przeto wstawić się za Tarasem, gdzie tylko będzie można i trzeba.

Ostatni ustęp listu szczególnie ucieszył, chociaż i trochę zafrapował Szewczenkę. Lewicki ni mniej, ni więcej pisał, co następuje:

„Wielu jest tu naszych i jest między nimi jeden, Mikołaj Hołowko, magister nauk matematycznych z Charkowa, to dopiero szczerą duszą, jak się zejdzimy, to pierwsze słowo o Was, Tarasie Hryhorowiczu; współpracuje on z wieloma dziennikami i jest chłopcem bardzo rozumnym, szkoda tylko, że nazbyt otwarty; obawiam się, czy nie narobi tak, że go gdzieś zapędzą, bo i teraz już jest pod nadzorem policji, często bywa u Ostrogradzkiego, i ja się tam kiedyś wybiorę. Wielu jest tu takich, co wspominają Was, Tarasie Hryhorowiczu, a Hołowko powiada, że chociaż Was nie ma, to na Wasze miejsce może każdej chwili stanąć tysiąc i nawet więcej ludzi gotowych walczyć o to, co Wyście mówili i co mówią ludzie, którzy kierują się prawdą i nie zleknią się o niej mówić...”

Szewczenko parokrotnie przeczytał ten ustęp listu. Coraz bardziej cieszyły go słowa rodaka i coraz większy czuł w sercu niepokój.

## VII

Bieda zawsze się przyplącze do człowieka nie wiadomo skąd i nie wiadomo jak. Zwłaszcza do poety i artysty, człowieka z natury niefrasobliwego, nazbyt

ufnego, a przy tym nieostrożnego w słowach i uczynkach.

Szewczenko bardzo poważał i lubił kapitana Gerna. Nie mógł więc znieść, że jeden z młodych oficerów garnizonu, niejaki praporszczyk Isajew, nadskakuje żonie kapitana, kobiecie dosyć płoczej i nierozważnej. Oburzony, wyjawiał swoje spostrzeżenia kapitanowi.

W odpowiedzi na to Isajew złożył dowódcy korpusu raport, oskarżając Szewczenkę o niesubordynację, chodzenie po cywilnemu i nieprzestrzeganie zakazu monarchy: pisanie wierszy i malowanie obrazków.

Obruczew nie miał innego wyjścia, jak tylko nadać sprawie urzędowy bieg.

Gern, który jako adiutant Obruczewa wiedział o wszystkim, uprzedził Szewczenkę, że grozi mu rewizja.

Szewczenko oddał Gernowi na przechowanie cztery swoje zachwalane książeczki z wierszami, zniszczył trochę rysunków i spalił część listów. Spalił listy całkiem niewinne, od Warwary Repnin i Lizohuba, zostawił zaś list Sergiusza Lewickiego. W prostocie swojej nie pomyślał, że ten list właśnie należało zniszczyć przede wszystkim.

Dwudziestego siódmego kwietnia, w pierwszy dzień świąt Wielkiej Nocy, Szewczenko został aresztowany, a dwunastego maja z rozkazu generała Obruczewa odstawiony pod konwojem do twierdzy Orskiej. Tam, do czasu ukończenia śledztwa, siedział w zwykłym więzieniu karnym razem z pospolitymi złoczyńcami.

Śledztwo prowadził pułkownik Czygir, znany ze służbistości i bezwzględności, człowiek tępy i ordynarny.

Szewczenko po raz drugi w życiu stanął nad brzegiem przepaści.

List Lewickiego tak bardzo zaintrygował urzędników Wydziału Trzeciego, że niezależnie od śledztwa w Orsku wdrożono drugie śledztwo w Petersburgu. Żandarmi starali się wywęszyć ślady jakiejś ukraińskiej organizacji patriotycznej, na istnienie której miał, ich zdaniem wskazywać list.

Podejrzenia wzrosły, kiedy aresztowany Lewicki, wieziony w dorożce przez policjanta, wyrwał mu się na moście i skoczył do rzeki. Wyratowano go, ale w czasie badań robił wrażenie człowieka, który nie w pełni włada umysłem.

Jeszcze tragiczniej zakończyła się próba aresztowania Hołówki. Kiedy ekipa żandarmów z pułkownikiem na czele wkroczyła do jego mieszkania, uczony matematyk wyjął pistolet i strzelił do oficera. Chybiwszy, z tego samego pistoletu strzelił sobie w usta i zginął na miejscu, zabierając tajemnicę swoich konszachtów politycznych do grobu.

Żandarmi nie znaleźli żadnych innych nici spisku. Lewicki został po pewnym czasie zwolniony. Dano mu nawet jakąś skromną posadę. Co tydzień musiał się meldować w policji. Żył w wiecznym strachu i wkrótce umarł.

Szewczenko nie udowodniono nic poza tym, że prowadził rozległą i czasami dość podejrzaną korespondencję.

Car kazał go wysłać do którejś z „bardziej oddalonych” miejscowości i pilnować, żeby nie pisał nawet listów.

Niezależnie od tego hrabia Orłow wystosował specjalne, całkiem urzędowe pismo do księżniczki Repnin, „doradzając” jej, żeby się nie zajmowała losem takie-



go „przestępcy” jak Szewczenko. Księżniczka przestała korespondować z uwielbianym przez siebie poetą.

Dnia ósmego października odesłano Szewczenkę, znów pod strażą, do Nowopietrowska.

Był to fort założony ledwie przed czterema laty nad Morzem Kaspijskim.

Sztab batalionu, do którego wcielono teraz poetę, stacjonował w Uralsku. Tam więc musiał Szewczenko stawić się nasamprzód. Przybywszy do Uralska, ku swojemu wielkiemu zmartwieniu, dowiedział się, że Zygmunt Sierakowski, na krótko przedtem wyjechał do Orenburga.

Szewczenko dzięki rozgałęzionym stosunkom z zesłańcami polskimi i tutaj również znalazł przyjazną duszę w osobie niejakiego Jatowta, inaczej Gordona, literata rodem z Królestwa.

Gordon udzielił Szewczence miejsca na swojej kwaterze. Rozmawiali z sobą dużo i serdecznie. Po dwóch dniach Szewczenko puścił się w dalszą drogę, do Guriewa, a dalej statkiem-bajdakiem do Nowopietrowska.

Gordon prowadził zapiski; był przecież literatem. Po wyjeździe Szewczenki zanotował:

„Szewczenko nie lubił Lachów, a nie cierpiał Moskali, i bynajmniej się z tym nie taił. Niepodległa Ukraina była celem jego marzeń, rewolucja dążnością; rzec by można, że patrzył na świat przez czerwone okulary”.

Gordon niewątpliwie przesadził, uogólniając niechęć Szewczenki do dwóch bratnich narodów słowiańskich: Szewczenko wiedział, kogo ma nie lubić z Polaków i Rosjan. Żywym zaprzeczeniem wniosku Gordona były liczne przyjaźnie łączące poetę na zesłaniu i z Polakami, i z Rosjanami.

Gordon miał swój kąć widzenia na sprawy słowiańskie, zwłaszcza na stosunki polsko-ukraińskie. I pod

tym kątem widzenia traktował szczere wywody Szewczenki.

Ale to, co napisał o czerwonych okularach poety, dowodziło jego spostrzegawczości: Szewczenko stał się już zdecydowanym rewolucjonistą.

Nowopietrowsk był miejscem przerażająco dzikim i pustynnym. Niebieskie morze, szare kamienie, żółtawe piaski i rozległe, prawie bezbarwne solnisko — nic więcej. Ludzie mało odporni wpadali tutaj w chorobę psychiczną, gorszą niż chandra. Szaleli albo upodobniali się do zwierząt.

Szewczenko spędził w tym dzikim zakątku siedem lat.

Znowu zaczęły się tortury ćwiczeń wojskowych. Jego bezpośredni przełożony, sztabskapitan Potapow, okazał się zołdakiem pozbawionym ludzkich uczuć. Nie dość że zamęczał Szewczenkę musztrą, ale naigrawał się z poety. Ponadto wysyłał go na ciężkie roboty ziemne przy naprawie i rozbudowie umocnień.

Szewczenko z pewnością nie wytrzymałby długo tego piekła, gdyby nie życzliwość ludzka. I tu znaleźli się ludzie, którzy głęboko współczując nieszczęsnemu poecie, starali się ulżyć jego doli, a przede wszystkim wpłynąć na Potapowa, żeby złagodził swoje postępowanie z Szewczenką.

Oprócz Mostowskiego, który został przeniesiony z Orska, zyskał tu poeta innych jeszcze przyjaciół wśród Polaków służących w pierwszym batalionie. Byli to: Erazm Olszewski, Seweryn Przewłocki, Aleksander Chrapczyński i Feliks Fijałkowski. Przez nich porozumiewał się z polskimi przyjaciółmi, którzy pozostali w Orenburgu.

Bywał również częstym gościem państwa Zygmun-

towskich. Pan Konstanty pracował w jakimś biurze wojskowym.

Na święta Bożego Narodzenia młodzi oficerowie garnizonu postanowili wystawić nową sztukę Ostrowskiego: *Kruk krukowi oka nie wykole*. Zwrócili się o pomoc do Szewczenki, jako malarza i literata. Szewczenko zrobił dekoracje, a ponadto zagrał jedną z ról. Odniósł wielki sukces. Przedstawienie się udało. Dowódca fortu, major Antoni Majewski, zruszczony Polak, zaprosił na przyjęcie wszystkich oficerów z rodzinami. Jako jedyny szeregowiec został zaproszony Szewczenko.

Majewski polubił poetę i umożliwił mu nawiązanie korespondencji z przyjaciółmi i znajomymi: listy adresowano do komendanta. Była to rzecz zbawienne dla Szewczenki. Poczta przychodziła tylko raz na miesiąc, ale i to znaczyło wiele.

Po trochu Szewczenko oswajał się z kaspijskim odludziem. Próbował znowu po kryjomu pisać. Snuł mu się w głowie wątek poematu o neofitach — „niby to z dawnych dziejów rzymskich”. Stworzył w swojej poetyckiej wyobraźni postać Marii, Matki Bożej, innej niż ta, którą przedstawiały źródła oficjalnego Kościoła. Modlił się do niej:

Ty — matir Boha na zemli!  
Ty slozy materi do kraju,  
Do kapli wyłyła! Rydaju,  
Molu rydajuczy, posły,  
Podaj duszi ubohij syłu,  
Szczob ohnenno zahoworyła,  
Szczob słowo płamenem wzięłoś,  
Szczob ludiam serce roztopyło,  
I na Ukraini ponesoś,  
I na Ukraini swiatyłość.<sup>3</sup>

---

<sup>3</sup> Tyś matką Boga tu na ziemi! || Tyś łzy matczyne do ostatka || Wylała cierpiąc! I ja płaczę, || Zaklinam ciebie pla-

Cokolwiek Szewczenko obmyślał, tworzył, pisał — wszystko mu się zawsze wiązało i kojarzyło ze sprawą jego Ukrainy. Nawet historia obcych narodów.

Muza poezji opuściła jednak Szewczenkę nad Morzem Kaspijskim. Wszystkie pomysły, ledwo naszkicowane, częściowo rozpoczęte, odłożył na później. Zajął się prozą.

Z ostatniej rewizji zdołał ocalić trochę notatek podróżnych, trochę zapisanych myśli o ludziach; reszta odnalazła się w pamięci.

W ciągu pierwszych, tak trudnych, lat nowopietrowskich Szewczenko napisał około dwudziestu opowiadań. Niektóre z nich osnuł na wątkach autobiograficznych, inne na gawędach zasłyszanych lub zdarzeniach zaobserwowanych.

Tak powstały: *Księżna*, *Bliźniaki*, *Najemnica*, *Artysta*, *Przejażdżka z przyjemnością i nie bez morału*, *Kapitanowa* i inne.

Szewczenko znowu zaczęła świtać nadzieja pomysłu odmiany losu. Mówiono o chorobie cara, o amnestii, jaka zwykle towarzyszy wstąpieniu na tron nowego monarchy. Pogłoski wkrótce ucichły, ale nadzieja została.

Szewczenko, myśląc o spodziewanym powrocie do Petersburga czy Kijowa, rozważał możliwości opublikowania swoich opowiadań najpierw na łamach prasy, a później w wydaniu książkowym.

Dlatego wszystkie opowiadania pisał po rosyjsku.

Tworzył je urywkami, ukradkiem, przeważnie nocą

---

cząc: Natchnij, || Obdarz ubogą duszę siłą, || Żeby płomiennie przemówiła, || By słowa ogniem się zajęły || I ludziom serca roztopiły, || I nad Ukrainą przemknęły || I w Ukrainie się świeciły.

przy świetle łożówki, na lichym chropowatym papierze pakowym, skąpiąc sobie zaskłużonego i koniecznego odpoczynku po całodziennych trudach.

Nie miał pod ręką biblioteki, nie miał ludzi, którzy mogliby mu dopomóc radą lub wskazówką. Był sam ze swoimi dumami i łamiącą go coraz bardziej słabością fizyczną, spowodowaną nieodpowiednim odżywianiem i przemęczeniem.

Coraz częściej powracał Szewczenko myślą do sprawy, która była przedmiotem tak gorących sporów z Leonardem Dębskim i tytuł namiętnych dyskusji w kole orenburskich przyjaciół-Polaków.

Rozwagał bez ustanku, roztrząsał i oceniał dzieje osiemnastowiecznej Ukrainy.

Wiedział jedno: gdyby teraz pisał *Hajdamaków*, wymowa poematu była inna.

To nie znaczy, że Szewczenko miałby dużo więcej niżli wprzód do zarzucenia swoim rodakom. Duszą i sercem był nadal z nimi, podzielał ich uniesienia, ale bolał nad tym jak nad tragedią, której nie ma się co wstydzic, którą jednak nie należy się chwalić.

Pewnej nocy, snując jak zwykle gawędę o wędrownościach po prawobrzeżnej Ukrainie, zaczął opisywać znaną mu z dzieciństwa Lisiankę i po długich namysłach i wahaniach, wielokrotnie przerabiając napisany tekst, zostawił potomnym taką relację:

„Miasteczko Lisianka ma duże znaczenie w historii Małorosji. Jest to rodzinne miasto Mychajły Chmiła, ojca znamienitego Zenobiusza Bohdana Chmielnickiego. Słynie ono również (jeśli wierzyć miejscowym starcom) z nieszpórów, jakże na wzór sycylijskich odprawiał tu Lachom Maksym Żeleźniak w roku tysiąc

siedemset sześćdziesiątym ósmym. Ba, jeśli uważać wszystkie podobne wydarzenia, niegodne pamięci ludzkiej, za słynne, to nie tylko jakaś tam Lisianka, lecz każda wieś, każda pięćdziesiątka ziemi będzie słynna w Małorosji, zwłaszcza po prawej stronie Dniepru. Już bo pod tym względem moi nieżyjący rodacy wcale nie ustępowali żadnemu narodowi europejskiemu, w owym zaś pamiętnym roku zakasowali noc świętego Bartłomieja i nawet pierwszą rewolucję francuską. Jedno ich wszakże różniło od Europejczyków: u nich, u tych moich rodaków, wszystkie te krwawe rozprawy były dziełem całego narodu i nigdy się nie odbywały z woli jednej jakiegóż zbrodniczej jednostki, w rodzaju Katarzyny Medici, co nierzadko praktykowali u siebie zachodni demokraci”.

Cudowne to zjawisko, kiedy wśród pluchy i zimna, wśród dokuczliwej niepogody nagle rozerwą się chmury i błysnie promień słońca, ogrzeje człowieka, doda mu otuchy i serce jego napełni radością.

Takim cudownym zjawiskiem w nowopietrowskiej tułaczce Szewczenki był niespodziewany przyjazd Bronisława Zaleskiego i Ludwika Turno. Przyjechali na początku kwietnia i przywieźli pocie mnóstwo nowin ze świata, przywieźli słowa serdecznej pamięci od orenburskich przyjaciół i znajomych, a poza tym — dużo książek i czasopism.

Łatwo sobie wyobrazić radość Szewczenki.

Nie dość na tym: Zaleski i Turno wchodzili w skład ekspedycji, mającej na celu poszukiwania geologiczne na Półwyspie Mangyżłackim.

I Szewczenko z rozkazu generała Obruczewa miał im towarzyszyć jako rysownik!

A więc znowu będzie pracować jako artysta, nie bę-

dzie mieszkać w śmierdzących koszarach ani odbywać nienawistnej musztry!

Nowy duch wstąpił w poetę.

Już na początku czerwca Szewczenko, Zaleski i Turno zamieszkali razem w jednym namiocie, w tak zwanej kłibitce, na obszarze doliny Karatau, w pobliżu źródła Apazyr.

Zaleski pełnił funkcje rysownika; zaopatrzył się w Orenburgu we wszystkie przybory malarskie i mógł ich również użyczać Szewczence. We dwóch lub we trzech odbywali dalekie wycieczki konne; wracali z tekami pełnymi szkiców, które wykańczali w namiocie. Zaleski zarówno talentem, jak i wykształceniem malarskim nie dorównywał Szewczence, ten zaś chętnie pomagał polskiemu koledze, a nawet po prostu go uczył.

Bieda była w tym, że Szewczenko, mając tylko pół-oficjalną zgodę władzy na wykonywanie prac malarskich, nie mógł swoich obrazków podpisywać. Właściwie nie była to cała bieda — najwyżej pół. Grunt, że się tworzyło, malowało. Szewczenko był prawie szczęśliwy.

Przestał zupełnie pisać. Wypowiadał się poprzez linie i barwy.

Ówczesne rysunki, akwarele i sepie Szewczenki świadczą o nastrojach poety w czasie pustynnych wędrówek mangyżłackich.

Mimo obecności przyjaciół tak serdecznych, jak Zaleski i Turno, czuł się samotny. Zdawał sobie sprawę, że jego siły fizyczne są na wyczerpaniu, że rychło trzeba będzie „przysposobić zaprzęg do długiej i nieznannej drogi”.

Tymczasem rozpraszał smutki rozmowami o poezji i recytowaniem wierszy Bohdana Zaleskiego, Mickie-

wicza i Krasinśkiego. Z rosyjskich poetów najchętniej i najczęściej mówił wiersze Lermontowa.

Po pięciu miesiącach tej względnie szczęśliwej egzystencji Szewczenko wrócił wraz z ekspedycją do Nowopietrowska. Zaleski i Turno odjechali do Orenburga.

Ta nowa zmiana sytuacji życiowej wpłynęła na Szewczenkę bardzo przygnębiająco.

Pisał do Hułaka-Artemowskiego: „...gdzież mnie to licho nie nosiło w ciągu tych nieszczęsnych pięciu lat? Stepy kirgiskie całe od krańca do krańca schodziłem, Morze Aralskie wszere i wzdłuż przepłynąłem kilkakrotnie, a teraz siedzę w forcie Nowopietrowskim i czekam, co będzie dalej; fort zaś ten, musisz wiedzieć, leży na północno-wschodnim wybrzeżu Morza Kaspijskiego, w pustyni kirgiskiej. Prawdziwa pustynia! Patrzysz, patrzysz i taka czarna melancholia cię ogarnie, że powiesiłbyś się, tylko nie masz na czym. Długo pocieszałem się nadzieją, a potem machnąłem ręką. Doprawdy, ze szczęściem mi nie do twarzy. Urodziłem się i wyrosłem w niewoli, umrę też chyba żołdatem. Żeby już prędzej był koniec, jakikolwiek, bo istotnie mam już do diabła po uszy takiego życia”.

Powrót do fortu, do koszar i do musztry był dla Szewczenki sprawą wprost tragiczną.

Rok następny przyniósł mu jeszcze jedno ciężkie zmartwienie: umarł jego dobroczyńca i opiekun, komendant Majewski.

Na szczęście, odszedł brutalny Potapow i na jego miejsce nastał kapitan Kosariew, dość ludzki, chociaż nieokrzesany.

Nowy komendant fortu, major Uskow, żonaty z Polką, okazał się człowiekiem dobrym i uczynnym. Co mógł, to robił, aby ulżyć doli Szewczenki. Poeta stał



się częstym gościem w jego domu, wychowawcą jego dzieci.

Major Uskow pozwolił mi korzystać ze swojego gabinetu. Szewczenko w znośnych już warunkach pracował dalej literacko.

Po kryjomu rysował też i malował. Zrobił portrety komendanta i jego żony, pani Agaty, którą po rycersku uwielbiał.

Stworzył też wiele obrazków rodzajowych z życia ludu kirgiskiego. Między innymi niezwykły pod względem wyrazu artystycznego obrazek, na którym przedstawił zebrzące kirgiziatka-bajgusze.

Niebawem pisał do Bronisława Zaleskiego: „Z ostatnią pocztą posłałem *Bajgusze*, przytul je gdzieś, jeżeli można, a zanim puścisz do obcych ludzi, zrób mi, o ile to nie sprawi ci trudności, zdjęcia fotograficzne. Wczoraj dopiero dowiedziałem się od Mostowskiego, że Kolesiński przebywa w Orenburgu; kłaniaj mu się ode mnie i od Mostowskiego. Mostowski to jedyny człowiek, z którym mogę być zupełnie szczerzy; ale o poezji — ani słowa. Dziwna rzecz: człowiek spokojny, dobry, szlachetny, a pojęcia nie ma o pięknie! Dawno już pragnę nawiązać korespondencję z Sową, ale nie wiem, jak zacząć. Daj mi jednak na wszelki wypadek jego adres. Pisząc do niego, kłaniaj mu się i ucałuj go ode mnie. Cóż mam jeszcze napisać? Chyba nic więcej jak tylko to, żebyś ucałował serdecznie Cejzika i Ger-na, kiedy przyjedzie. Ucałuj rękę ojca prefekta, a jeżeli Serebnicki jest w Orenburgu, i jego też ucałuj. Gdzie się obraca Turno? Bądź zdrow, mój drogi przyjacielu. Jak będziesz pisał do Węgrzynowskiego, ucałuj go ode mnie. Napisz do S. i jego też ucałuj, a poza tym — wszystkich, co o mnie pamiętają, też ucałuj”.

S. to był Sierakowski.

Tymczasem w kraju orenburskim zaszły duże zmiany. Na miejsce Obruczewa przyszedł znowu generał Wasilij Perowski. Zaczęły się przygotowania do nowej wyprawy.

Po pewnym czasie wojska Perowskiego zdobyły Ak-Meczet, twierdzę położoną zaledwie o pięćset wiorst od Taszkientu, stolicy państwa Kokandu.

Odnaczyli się w tej akcji Polacy, zwłaszcza Bronisław Zaleski, mianowany niedawno podoficerem, i młody lekarz z Wilna, doktor Paweł Kroniewicz.

Generał Perowski cenił Polaków i odnosił się do nich nieco życzliwiej niż Obruczew.

Zwróciwszy uwagę na młodego i zdolnego żołnierza, Zygmunta Sierakowskiego, ujęty jego ambicją i gorliwością w służbie, mianował go po pewnym czasie oficerem.

Młody patriota polski osiągnął doraźny, przejściowy cel, który miał mu umożliwić powrót z zesłania do stolicy i dalsze studia wojskowe.

Studia zaś te potrzebne mu były do osiągnięcia głównego, najważniejszego celu w życiu — wyzwolenia Polski i innych ujarzmionych przez carat narodów. O tym jednak na razie poza Szewczenką mało kto wiedział.

A gdy Sierakowski tak wytrwale, krok po kroku, robił karierę w wojsku, jego ukraiński przyjaciel i sprzymierzeniec, Taras Szewczenko, z równą zaciętością czynił, co tylko mógł, aby nie zostać nie tylko oficerem, ale nawet szeregowcem. Znosił represje i kary, a jako żołnierz nie dał z siebie nic.

Wciąż był zamknięty w sobie, skupiony, mało towarzyski, a jednak zyskiwał coraz większą sympatię wszystkich. Zwłaszcza żołnierzy. Nie stronił od nich,

żył z nimi na stopie przyjaznej, braterskiej; żołnierze ogromnie to cenili; tym bardziej, iż widzieli w nim człowieka wysokiej kultury, wykształconego i wtrąconego przez los w fatalną sytuację. Za jego ludzki stosunek odpłacali mu tym, że w jego obecności nie przejawiali zwykłej żołnierskiej rubasznosci czy cynizmu, zachowywali się powściągliwie i traktowali go nawet z większym szacunkiem niż niejednego oficera.

Troskliwie pielęgnował poeta ogródek przy domu komendanta, czytywał książki polskie, między innymi *Estetykę, czyli umnictwo piękne* Karola Libelta. Prawdę mówiąc, nie był treścią tej książki zbudowany, ale cenił ją dlatego, że stanowiła dar Polaków z Uralska, a przyniósł mu ją stamtąd, wędrując pieszo całe pięćset wiorst, też Polak, niejaki Kulich, podoficer.

Gdy się nadarzyła sposobna chwila, prowadził Szewczenko długie i szczere rozmowy z Mostowskim. W rozmowach często zatracano o plany, które w swoim czasie szkicowali sobie po przyjacielsku Szewczenko i Sierakowski.

Szewczenko jeszcze całkiem nie stracił nadziei, że coś z tych planów da się urzeczywistnić i że on się do tego przyczyni.

Wybuch wojny pomiędzy Rosją a Turcją, Sycylią i Francją zdawał się zapowiadać nowe możliwości działania.

Przyszły wieści o zaburzeniach na Ukrainie, o „nowej kozaczyźnie”, jak nazwano ukraińską ruchawkę chłopską tego czasu. Szewczenką te wieści wstrząsnęły do głębi. Napisał i posłał Sierakowskiemu krótki, ale wymowny wiersz:

Mij Boże myłj, znowu łycho!...  
Buło tak lubo, buło tycho;  
My zachodyłyś rozkuwat'  
Swojim newolnykam kajdany.

Aż hulk!... I znowu potekła  
Mużycka krow! Katy winczanni,  
Mow psy hołodni za masłak,  
Hryzut'sia znowu.<sup>4</sup>

Wreszcie w marcu tysiąc osiemset pięćdziesiątego piątego roku umarł car o ołowianych oczach i kamien-  
nym sercu. Krążyły pogłoski, że się otruł. Jego na-  
stępca, Aleksander Drugi, dążył do jak najszybszego  
zakończenia wojny krymskiej, obiecywał ulgi, refor-  
my i łaski.

Zacząła się „wiosna posewastopolska”, która nawet  
siedzącemu w dalekim Londynie wielkiemu demokra-  
cie rosyjskiemu Hercenowi zawróciła w głowie: zaczął  
poważnie liczyć na wielkoduszność cara i napisał do  
niego serdeczny list, nawołujący go do przeprowadze-  
nia reformy włościańskiej. Nawet Bakunin, który tym-  
czasem zdążył z Syberii uciec na Zachód, podsuwał ca-  
rowi Aleksandrowi Drugiemu myśl stanięcia na czele  
chłopskiego ruchu agrarnego.

Mało kto jeszcze wtedy, wiedział, co się kryje pod  
liberalną maską młodego potomka dynastii pseudo-  
-Romanowów.

Polacy pierwsi się zorientowali. Już w rok po wstą-  
pieniu na tron ukoronowanego symulanta krążył po  
kraju następujący wierszyk:

Europa klaszcze, blichirem oszukana,  
„Car reformator!”, wrzeszczy skrybów zgraja,  
A Polsce jaka zgoiła się rana?  
Cośmy zyskali z śmiercią Mikołaja?

---

<sup>4</sup> Mój Boże drogi, znów nieszczęście!... || Było tak błogo, tak  
spokojnie; || Myśleliśmy, że rozkujemy || Kajdany swoim nie-  
wolnikom. || Aż nagle... znowu popłynęła || Krew chłopów! Ka-  
ty ukoronowane, || Jak psy zgłodniałe koło kości, || Gryzą się  
znowu.

Paskiewicz zniknął, lecz są inne sługi,  
Muchanow pastwi się nad biednym krajem,  
Choć imię cara Aleksander Drugi,  
Dla mnie on tylko drugim Mikołajem.

Na początku następnego roku na Korpus Orenburski spadła istna lawina ułaskawień i awansów.

Sierakowski dostał upragniony przydział do Brzeskiego Pułku Piechoty, stacjonującego w Ekaterynosławiu. To oznaczało nie tylko powrót do normalnych warunków życia, ale i pobyt na Ukrainie, która we wspólnych planach Sierakowskiego i Szewczenki miała odegrać doniosłą rolę.

Szewczenko niecierpliwie czekał na wieści od przyjaciela, szukał go przez Zaleskiego: „Dlaczego Zygmunt do mnie nie pisze? Gdzie się obraca i co się nim dzieje? Napisz ty bodaj kilka słów”.

Wreszcie na początku lipca przyszedł list z Orenburga; Sierakowski pisał:

„Baćku! Ten rok jest rokiem radości i szczęścia. Dziś słońce wzniosło się na niebie do zenitu — i nasze szczęście, o ile to możliwe w Orenburgu, jest największe. Bronisław nasz otrzymał dzisiaj zupełną amnestię — z prawem powrotu. Jutro (a najpóźniej pierwszego lipca) jedźcie do kraju, do naszej drogiej Ojczyzny. Czekam na niego, pojedę razem z nim albo go nawet wyprzedzę. Mam nadzieję po drodze z Moskwy wstąpić do Petersburga. I serce, i rozum, i Bronisław, którego słowo dla mnie święte, mówią: przede wszystkim twoja sprawa. Baćku! Bóg błogosławi moim zamierzeniom i utwierdzi moje słowo. Przebywaliśmy razem na Wschodzie, zrozumieliśmy głębokie znaczenie słowa: Bóg wielki — Ałła ekber! W imię Boże jadę do Petersburga, a potem nad brzegi Dniepru. Nie bój się, nie zapomnę, Dniepr przypomni mi o Tobie, Baćku. Pułk, do którego jestem odkomenderowany, stacjonuje w zi-

mie nad Dnieprem koło Ekaterynosławia — na miejscu Siczy. Na pierwszą wiadomość o tym (wszystko od Bronisława) napisałem orędzie. Otrzymasz je w tym roku; styl w nim słaby, ale myśl wielka; myśl nie moja, ale uczucie moje, najświętsze — o zjednoczeniu jednoplemiennych braci z obu stron Dniepru. Bądź zdrów, całuję ciebie, nasz Ojczyźnie drogi. Daj Boże, abym mógł ciebie ucałować na brzegach Dniepru albo w Petersburgu. Zygmunt”.

Wkrótce potem przyszedł drugi list, od Zaleskiego. Zaleski zegnał czule i zawiadamił Szewczenkę, że dostał przez Węgrzynowskiego wiadomość, że księżniczka Repnin wszczeła usilne starania o uwolnienie poety.

Do tego listu dał znowu dopisek Sierakowski:

„Bat’ku! Do widzenia w Petersburgu albo w Kijowie. Ała ekber! Bóg wielki — na pewno się zobaczymy. Jadę pełen nadziei, że polepszy się los nas wszystkich. Bóg wielki — car litościwy. Bat’ku! Wielcy ludzie wielkie znosili cierpienia. Jedno z największych cierpień to życie na dzikiej, bez wyjścia, pustyni. Na pustyni mieszkał piewca *Apokalipsy*, na pustyni i Ty przebywasz teraz, nasz Łabędziu. Twoje Kirgiziatka są przepiękne. Potrafisz ucieleśniać idee. Bądź zdrów. Całuję Cię. Do widzenia. Twój Zygmunt.”

Raptem generał Perowski postanowił odkomenderować Zygmunta do Akademii Sztabu Generalnego w Petersburgu.

Zamiast zwykłej służby na Ukrainie otworzyła się przed młodym oficerem droga wielkiej kariery wojskowej.

Niebawem Sierakowski znalazł się w stolicy i wpadł od razu w wir zajęć służbowych, tudzież stosunków towarzyskich i politycznych.

Nie zapomniał jednak o swoim ukraińskim przyjaciołemu: posyłał mu listy, paczki z ołówkami, farbami

i papierem, a ponadto wciąż czynił starania o wydoby-  
cie Szewczenki z niewoli orenburskiej.

Szewczenko zaś, w oczekiwaniu na łaskawsze losy, oddał się z całą pasją malarstwu; teraz jego władze patrzyły na to przez palce. Pracował z nadludzką energią, ratując się w ten sposób od rozpacz. Coraz bardziej czuł się osamotniony.

Tworząc swoim zwyczajem serie obrazów związanych jedną myślą przewodnią, skomponował dwa cykle: *Przypowieść o synu marnotrawnym* i drugi — bez nazwy, w którym przedstawił różne postacie z historii i z literatury, jak na przykład Telemaka na wyspie Kalipso, Diogenesa i Robinsona Cruzoe.

Ten drugi cykl stanowił jakby suitę samotności.

*Przypowieść o synu marnotrawnym* nie miała nic wspólnego z legendą biblijną, były to sceny z życia ludzi współczesnych: obrazy karciarstwa, pijaństwa, niedoli żołdackiej...

Pisząc o tym cyklu do Bronisława Zaleskiego, sam artysta określił te obrazy jako „rozdzierające”, a myśl przewodnią serii nazwał „tematem moralnym”.

## VIII

Nadeszła wreszcie i dla Szewczenki upragniona, długo wyczekiwana chwila powrotu.

Pierwszego maja tysiąc osiemset pięćdziesiątego siódmego roku minister spraw wojskowych wydał rozkaz zwolnienia Szewczenki ze służby w Korpusie Orenburskim.

W oczekiwaniu na formalności związane z uzyskaniem prawa wyjazdu do stolicy, poeta zaczął pisać dziennik.

W jednym z pierwszych zapisów wyraził taką uwa-

gę: „Gorzkie doświadczenia nie zostawiły we mnie żadnego śladu. Wydaje mi się, że jestem dokładnie taki sam, jak byłem dziesięć lat temu. W moim obrazie wewnętrznym nie zmienił się ani jeden rys. Czy to dobrze? Dobrze. Przynajmniej ja sam tak sądzę”.

Myśli Szewczenki najczęściej zwracały się ku Ukrainie. Pod datą czternastego lipca zanotował: „Tam biedny, nie uśmiechający się nigdy chłop otulił się wspaniałą, wiecznie uśmiechniętą przyrodą i śpiewa swoją posępną a rzewną pieśń w nadziei na lepsze bytowanie. O moja biedna, moja piękna, moja kochana ojczyzno: Czy prędko będę mógł odetchnąć twoim słodkim, ożywczym powietrzem?”

Utrwalił w dzienniku nawet niektóre sny. W jednym z fragmentów zapisał: „Dzisiaj śnił mi się kościół Świętej Anny w Wilnie, a w tym kościele modląca się droga Dunia, czarnobrewa Husakowska”.

Wspominał ulubionych pisarzy, zwłaszcza Sałtykowa, Gogola i Lermontowa. *Listy do przyjaciół* nie osłabiły jego entuzjazmu dla autora *Martwych dusz*. W tymże dzienniku powiedział: „Uwielbiam Sałtykowa. Gogolu, nasz nieśmiertelny Gogolu! Jakąż radością zapłonęłaby twoja szlachetna dusza, gdybyś ujrzał dookoła siebie takich genialnych uczniów swoich”.

Kiedy nie malował i nie pisał, lubił siadywać w towarzystwie jednego z żołnierzy, który śpiewał ukraińskie piosenki, szczególnie tę jedną, przypominającą mu tak miłe, a tak odległe czasy:

Tecze rzeczka newełyczka  
Z wysznewoho sadu.<sup>1</sup>

A kiedy rozmawiał z kimś godnym zaufania, i to w cztery oczy, deklamował znane mu jeszcze z lat młodzieńczych proroctwo Lermontowa:

---

<sup>1</sup> Płynie rzeczka maluteczka || Z wiśniowego sadu.



Nastaniet god, Rossii czornyj god,  
Kogda cariej korona upadiot.  
Zabudiet czerń k nim prieźniuju lubow'  
I piszcza mnogich budiet smiert' i krow'...  
I staniet gład siej biednyj kraj tierzat',  
I zariewo okrasit wołny riek.<sup>2</sup>

Ten wiersz pozwalał mu zapomnieć o własnym nieszczęściu, które na niego spadło z hojnej ręki carów.

Jeszcze przed wyjazdem odwiedził Szewczenkę podróżujący po Wschodzie pisarz rosyjski, Aleksander Pisemski. Wkrótce potem Szewczenko dostał od niego list z Astrachania. „Widziałem na jednym wieczorze — donosił Pisemski — około dwudziestu Pańskich rodaków, którzy czytając Pańskie wiersze płakali z zachwytu i wymawiali imię Pana z najwyższą czcią. Sam jestem pisarzem i nie życzyłbym sobie innej sławy niżli takie zaoczne uwielbienie. Niech to Pana pocieszy w Pańskim nieszczęściu”.

Te słowa były wielką pociechą dla Szewczenki. W osamotnieniu ostatnich miesięcy najbardziej gnębiła go myśl, że wszyscy zapomnieli o jego poezji.

I Bronisław Zaleski tak serdecznie odezwał się z Raczkiewicz na Białorusi: „W tej chwili otrzymałem list od Zygmunta; zawiadamia mnie, że jesteś wolny. Winszuję Ci, mój drogi przyjacielu, ściskam Cię, całuję, roniąc łzy radości. A więc wracasz do wszystkich dawnych praw — jesteś artystą, możesz jechać do Petersburga i tam dokończyć *Syna marnotrawnego*; możesz jeszcze pędzić dni szczęśliwe. Niech Ci Bóg ześle wszystko, co najlepsze. Do widzenia, przyjacielu! Ro-

---

<sup>2</sup> Nadejdzie rok, Rosji czarny rok, || Kiedy upadnie korona carów. || Zapomni tłuszcza swej miłości do nich. || Udziałem wielu będzie śmierć i krew... || I zacznie głód ten kraj nieszczęsny nękać, || I łuna zaczerwieni fale rzek.

dzice moi pozdrawiają cię z całego serca, brat również. Całuję Cię nieskończenie”.

Pierwszego sierpnia komendant fortu w Nowopietrowsku wydał Szewczenko bilet wolnej jazdy do Petersburga.

Nazajutrz wieczorem Szewczenko odplynął na małym stateczku rybackim i po trzech dniach znalazł się w Astrachaniu.

Przygnębiające wrażenie zrobiło na poecie to miasto, w którym nie było ani jednej księgarni.

Zły nastrój jednak natychmiast ustąpił, gdy poetę owacyjnie powitali dawni znajomi, byli studenci Uniwersytetu Kijowskiego, Polacy — Jan Kłopotowski, Stefan Niezabitowski, Karol Nowicki, Paweł Radziejowski, Tytus Szalewicz i Tomasz Zbrożek, oraz Rosjanie — Fiodor Czekow i Eugeniusz Odinczew.

Szewczenko był wzruszony i oszołomiony: ci ludzie poznali go, dość przelotnie, przed dziesięciu laty, a przecie pamiętali go, wiedzieli o jego tragicznych przejściach, cenili jego poezję.

Dowiedziawszy się, że Szewczenko pisze dziennik, oświadczyli, iż wyręcą go w tej pracy, aby mu umożliwić odpoczynek i pogawędkę.

Wszyscy kolejno wpisywali się do dziennika, w różny sposób wyrażając szacunek i uwielbienie dla poety.

Najobszerniej napisał Zbrożek:

„Krasomówstwo niewielu otrzymało w udziale; mnie zaś, pozbawionemu tego boskiego daru, pozostaje w milczeniu tylko podziwiać i hołdować twórczej twej potędze, Święty Narodowy Wieszczu, Męczenniku Małejrosji. Twoja dzisiejsza przytomność wśród nas zupełnie szczęśliwym mnie czyni i chwile obecne nigdy się w mej pamięci nie zatra. O, stokroć, stokroć bło-

gosiławię ten drogi dzień, w którym niebo pozwoliło mi osobiście poznać się z tobą, gorliwy i nieulekły opowiadaczu słowa prawdy. Niechże słów tych kilka przypominają Ci, Poeto-Malarzu, głęboką czią poważającego Ciebie Tomasza Zbrozka”.

Szewczenko upajał się tą życzliwością ludzką. Wróciwszy do domu, w którym znalazł chwilową gošcinę, cały wieczór śpiewał:

U stepu mohyla  
Z witrom howoryła:  
„Powij, witre bujneseńkyj,  
Szczob ja ne czornila”.<sup>3</sup>

Nazajutrz przepisał na czysto i z imienną dedykacją ofiarował Stefanowi Niezabitowskiemu swój wiersz *Do Polaków*.

Dnia dwudziestego drugiego sierpnia wyjechał na parostatku „Kniaź Pożarski” do Niżniego Nowogrodu.

Przypatrzwszy się, jak działa machina parowa, zanotował w dzienniku: „Wielki Foultonie! Wielki Watcie! Wasze młode, ale tak szybko, z godziny na godzinę, rosnące dziecię wkrótce pożre knuty, trony i korony, a dyplomatami i właścicielami majątków tylko przekąsi, pobawi się jak uczeńiak landrynką. Co zaczęli we Francji encyklopedyści, to dokończy na całej naszej planecie wasze kolosalnie genialne dziecko. Moje proctwo jest niechybne”.

W dziewięć dni później, w czasie postoju w Saratowie, odwiedził Szewczenko panią Kostomarow, matkę swojego przyjaciela. Wręczył jej wiersz do niego, napisany jeszcze w kazamacie. Staruszką się rozplakała.

---

<sup>3</sup> Na stepie mogiła || Z wiatrem rozmawiała: || „Powiej, wietrze bujnusięki, || Żebym nie czerniała”.

W parę tygodni później parostatek przepływał koło wsi Zimenki, gdzie niedawno chłopci zbuntowali się przeciwko pomieszczykowi. Szewczenko zapisał w dzienniku: „Ubiegłego roku, kiedy dojrzało żyto i pszenica, chłopków wypędzono tutaj na żniwa, a oni, żeby szybciej odbyć pańszczyznę, zapalili zboże ze wszystkich stron przy sprzyjającym wietrze. Szkoda, że jare nie wzrosło, bo je również mogliby wykończyć za jednym zamachem. Nader pocieszające wydarzenie”.

Dwudziestego września Szewczenko znalazł się w Niżnim Nowogrodzie. Tam okazało się, że musi uzyskać specjalne zezwolenie, aby móc zamieszkać w Petersburgu. Sprawa wlokła się pół roku. Szewczenko pisał, malował, bywał w teatrze, odwiedzał znajomych, i niecierpliwie czekał na zakończenie uciążliwych formalności.

Spotkał się tu z dekabrystą Iwanem Annienkowem, powracającym z Sybiru. U jednego z nowych znajomych (a było ich coraz więcej) dostał do przeczytania zeszłoroczny numer Hercenowskiej „Gwiazdy Polarnej” oraz pierwsze pisma z wizerunkami straconych dekabrystów. Zapisał w dzienniku: „Portrety pierwszych naszych apostołów-męczenników tak strasznie, tak smutno na mnie podziały, że dotychczas nie mogę się otrząsnąć z ponurego nastroju”.

Z przejęciem czytał stanowcze żądanie Hercena:

„Uwolnić słowo od cenzury! Uwolnić chłopów od właścicieli ziemskich! Uwolnić stan nieszlachecki od knuta!”

Z wielką radością powitał starego druha ze stepów kirgiskich, Królikiewicza, który, przejeżdżając przez Niżni Nowogród, dowiedział się o Szewczence, wstąpił do niego i wręczył mu cztery zachalawne zeszyty

z wierszami, które poeta w swoim czasie, w obawie przed rewizją, oddał na przechowanie Gernowi.

Potem znowu ogromną radość sprawił mu Szczepkin. Stary, niezawodny przyjaciel zjawił się przed Bożym Narodzeniem i przebył w Niżnim do Nowego Roku, spędzając czas na rozmowach z Tarasem i występując w miejscowym teatrze.

Szewczenko nie opuścił ani jednego przedstawienia.

W *Żołnierzu czarodzieju* partnerką Szczepkina była młodzieńca, szesnastoletnia, dosyć utalentowana aktoreczka Katia Piunowa. Kiedy wyszła na scenę w ukraińskim stroju narodowym, serce Szewczenki zabiło miłością. Zdawało mu się, że widzi Feodosję Koszycównę, swoją niedoszłą narzeczoną z Kiryłówki. Oświadczył się rodzicom Kati o jej rękę. Nie wziął pod uwagę wielkiej różnicy wieku oraz faktu, że po dziesięciu latach poniewierki zmienił się, zestarzał i prawie niczym już nie przypomina sympatycznego młodzieńca, w którym kochała się księżniczka Repnin i którego skrytym uczuciem darzyła Hanna Zakrzewska.

Rodzice Kati, nie chcąc urazić sławnego poety, odwlekali sprawę małżeństwa. Szewczenko zorientował się w sytuacji i przestał u nich bywać.

Te niefortunne oświadczyzny nadłamały jego odporność psychiczną. Zaczął prowadzić hulaszczcze życie. Nadużywał alkoholu.

Szczepkin odbył z przyjacielem szczerą rozmowę; starał się przekonać go, że musi szanować siły i zdrowie dla dobra społeczeństwa. Szewczenko odrzekł na pół żartem, na pół ze smutną powagą:

— Koły ne odrużuś, to oduriju.

Mimo tych wszystkich perypetii zdołał wykończyć w Niżnim pomyślany jeszcze nad Morzem Kaspijskim poemat *Neofici, czyli pierwsi chrześcijanie*. Rzecz niby

działa się w odległych czasach rzymskich, ale był to sposób ezopowy.

Poemat był dziełem prometejskim, rewolucyjnym, antyfeudalnym i antycarskim.

Szczepkin, któremu Szewczenko zadedykował swój utwór, powiedział po przeczytaniu:

— Nic się nie zmieniłeś, Tarasie.

Słowa te zabrzmiały jak najwyższe uznanie.

Szewczenko tak też je zrozumiał i przyjął wdzięcznym sercem.

Szewczenko nie znosił trywialności, nie używał ordynarnych wyrazów, umiał jednak jakimś mocnym słowem czy rubasznym zwrotem przeciąć węzeł niepoważnej dyskusji lub rozmowy.

W Niżnim Nowogrodzie mieszkał pisarz rosyjski Mielnikow, znany w literaturze pod pseudonimem Pieczerskiego. Lubił dużo mówić, nawet o rzeczach, o których nie miał pojęcia.

Spotkał się kiedyś z Szewczenką u Szrejdersa, wychowanka wszechnicy kijowskiej, i zaczął się rozwodzić o tym i o owym, aż wreszcie poruszył dzieje Małorosji. Mówił o nich jak nieuk, a przy tym z domieszką wielkorosyjskiej wyższości. Szewczenko słuchał w milczeniu. Mielnikow uderzony tym, w pewnej chwili zatrzymał się i spojrzał pytająco na poetę ukraińskiego. A Szewczenko rzekł:

— Cóżes tak nagle przerwał, Pawle Iwanowiczu, czemu nie ciągniesz dalej? Nasrałeś już tyle, więc sraj do końca. >

I najspokojniej wytłumaczył osłupiałemu pisarzowi, że nie powinien mówić o tym, czego nie zna.

Mielnikow wyszedł jak zmyty.

Ósmego marca Szewczenko wyjechał do Moskwy. Po drodze, we Włodzimierzu na stacji pocztowej, spotkał się z Butakowem, który jechał na nową wyprawę na Morze Kaspijskie. Szewczenko serdecznie powitał marynarza, któremu tyle zawdzięczał.

W dzienniku swoim zanotował: „Mnie na samo wspomnienie o tej pustyni serce lodowacieje, a on gotów boddaj na zawsze tam osiąść”.

Dziesiątego marca Szewczenko był w Moskwie. Spędził w niej siedemnaście dni. Niestety, po drodze już zachorował, dostał zapalenia lewego oka i jakiejś wysypki na czole. Musiał się leczyć.

Odwiedzał starych przyjaciół, Szczepkina, Bodiańskiego i Maksymowicza. Spotykał się z dawnym kolegą z akademii, Apollonem Mokryckim, który mu opowiadał o ostatnich chwilach Sternberga i o spotkaniach z Gogolem w kawiarni rzymskiej.

Poznał mnóstwo ludzi; między innymi księcia Sergiusza Wołkońskiego, o którym tyle słyszał w Jachotynie. Książę wyglądał majestatycznie, trzymał się krzepko. Syberia go zahartowała.

Z nikim Szewczenko tak bardzo nie pragnął się spotkać jak z księżniczką Warwarą. Jej wytrwałe i ofiarne uczucie budziło wdzięczność i najwyższy respekt. Ileż to lat się nie widzieli?

Ze wzruszeniem przekroczył Szewczenko progi małego pałacyku, położonego w centrum Moskwy.

Księżniczka, uprzedzona o jego wizycie, czekała w salonie. Serce jej biło jak młotem.

Kiedy się przywitani i przyjrzeni sobie, oboje doznali dziwnego rozczarowania.

Mężczyzna, który stał przed księżniczką w pozie pełnej szacunku, niewiele miał wspólnego z poetą, którego obraz nosiła w pamięci.

Był to człowiek stary, z dużą, posiwiałą brodą, z czarną opaską na czole, z odrażającymi krostami na twarzy, z oczami wpadniętymi, wyraźnie schorowany, blade, cuchnący jakimś lichym tytoniem.

Księżniczka wpadła w rozdrażnienie. Czuła się tak, jakby jej ktoś wyrządził krzywdę albo spletał niegodziwego figla. Zapomniała, że Szewczenko dopiero powraca z długiej, straszliwej niewoli. Jęła mu prawie morały, udzielać nauk religijnych, jak zajadła dewotka.

Szewczenko patrzył na nią z bólem i zdumieniem.

Rozmowa trwała krótko. Przebrzmiała jak fałszywy akord.

Kiedy Szewczenko wyszedł, księżniczka rzuciła się do drzwi. Chciała biec za nim, przeproszać, całować go po rękach.

Szewczenko zniknął tak szybko, że go już nie zobaczyła.

Wieczorem poeta w swoim dzienniku zapisał: „Księżniczka zmieniła się na awantaz, wypiękniała, nawet jakby odmłodziła... Czy aby nie znalazła w Moskwie dobrego spowiednika?”

Ostatnie zdanie było złościwością, której Szewczenko nigdy się nie dopuszczał w stosunku do kobiet. Był przecież tak rycerski.

Ale teraz wezbrało w nim rozgoryczenie. I wzięła górę odraza do dewocji; tego Szewczenko nie znosił.

Sława Szewczenki wciąż rosła. Mógł się o tym przekonać na obiedzie wydanym na jego cześć przez Michała Maksymowicza.

Zeszło się mnóstwo osób. Był nawet Hryhorij Hała-



han, który właśnie przyjechał z Ukrainy. Byli najwybitniejsi przedstawiciele literatury, nauki i sztuki. Porównywano to przyjęcie z uczcą, którą przed laty prawie trzydziestu wydano w Moskwie na cześć Mickiewicza.

Szewczenko dostrzegł w tłumie gości dwóch uczonych moskiewskich, pamiętających owe czasy: profesorów Pogodina i Szewyriewa. Miał chęć nawet wypytać ich o Mickiewicza, tak przedwcześnie zmarłego. I nagle uprzytomnił sobie, że obydwoj uczeni są filarami caryzmu. Machnął więc ręką na rozmowę z nimi.

Obiad stał się jedną wielką owacją na cześć Szewczenki.

Gospodarz odczytał ad hoc skomponowany przez siebie wiersz, w którym wysławiał Tarasa:

Oj jak duże za toboju tużyła Wkrajina,  
Use tebe wspomynała, jak ta maty syna.  
Twoji dumky tumanamy po łuhach wstawały,  
Twoji slozy rosyceju po stepach spadały,  
Twoji pisni sołowejkom w sadach szczebetały.<sup>4</sup>

Szewczenko był wzruszony. Szczepkin płakał.

Dnia dwudziestego szóstego marca poeta wyjechał do Petersburga, po raz pierwszy odbywając podróż koleją żelazną. Nazajutrz wieczorem znalazł się na miejscu, w objęciach swojego przyjaciela, opiekuna i ziomka, Michała Łazarewskiego, w jego mieszkaniu przy ulicy Morskiej.

---

<sup>4</sup> Oj, jak bardzo za tobą tęskniła Ukraina, || Wciąż cię wspominała, jak ta matka syna. || Twoje myśli mgłami po łąkach się snuły, || Twoje łzy niby rosa na stepy spadały, || Twoje pieśni słowikami po sadach kląskały...

Z samego rana Szewczenko wyszedł z domu i pieszo obiegł pół miasta, choć padał śnieg z deszczem i wiał zimny wiatr. Każda ulica, każdy niemal kamień przypominały dawne lata — „i młodeje teje łycho, i młodyj toj hrisznyj raj”.<sup>1</sup>

Wieczorem poszedł z wizytą do wiceprezydenta Akademii Sztuk Pięknych hrabiego Fiodora Tołstoja, który mimo że nie znał osobiście Szewczenki, najwięcej się przyczynił do przyspieszenia jego powrotu z niewoli orenburskiej.

Po wyjściu gościa, młodziutka córka hrabiego powiedziała:

„Jaki ten pan Szewczenko dobroduszny, łagodny i ufny! Jak dziecko. Każda rzecz go cieszy; kto tylko zechce, może go oszukać. Mimo krzywdy, jaką mu wyrządzono, mimo wszelkich niesprawiedliwości, których doznał, wierzy w dobro i wierzy w ludzi, nie ma w sercu ani kropli goryczy”.

Następnego z kolei wieczoru poeta odwiedził towarzysza niedoli więziennej, bratczyka, Wasyla Biłozerskiego. I tam od razu dostał się w objęcia przyjaciół-Polaków. Czekali tam już na niego: Sierakowski, Sowa-Żeligowski i Staniewicz.

Do późnej nocy rozmawiano i śpiewano pieśni ukraińskie.

Petersburg z miejsca zaanektował Szewczenkę. Poeta stał się wedle własnego wyrażenia „modną postacią”. Nie było dnia, żeby go nie zapraszano na koncerty, przedstawienia, rauty i kameralne przyjęcia towarzy-

---

<sup>1</sup> i to młode łycho, i ten młody, grzeszny raj

skie. „Naszego Tarasa wszyscy tu na rękach noszą” — mówił z podziwem Makszejew, który znów mieszkał w stolicy i pełnił jakieś wysokie funkcje wojskowe.

Na wszystkich bez wyjątku zebraniach i ucztach Szewczenko musiał deklamować swoje wiersze. Robił to zresztą chętnie i zawsze zbierał oklaski.

Wraz z innymi poetami występował na wieczorach literackich w tak zwanym Pasażu. I tu również wielkie triumfy święciła jego muza.

Wszystko to jednak fatalnie odbijało się na nadwątlonym latami zesłania zdrowiu poety. Spalał się jak świeca na wietrze.

Ani myślał wszakże rezygnować z działalności twórczej. Jego wielostronny talent doszedł do nie znanego przedtem rozwoju. W zakresie swojej ulubionej sztuki grawerskiej zdołał Szewczenko osiągnąć takie rezultaty, że już po roku za prace z tej właśnie dziedziny nadano mu stopień rzeczywistego członka akademii.

Poza tym wciąż pisał. Tworzył wiersze doskonałe w formie — czyste, dzwoniące jak szlachetny kryształ, niekiedy do głębi przejmujące smutkiem przeczuwanego bliskiego końca, czasem zaś pełne pasji i gniewu patrioty i społecznika.

Narodowe i społeczne troski pobudzały go do gorączkowej pracy; jak gdyby śpieszył się, żeby zdążyć z najważniejszymi sprawami, zanim nadejdzie chwila wyruszenia w ostatnią podróż — z Charonem.

Wziął się do układania bukwaru, czyli elementarza ukraińskiego. Bez takiej książki nie można było myśleć o szerzeniu oświaty wśród ludu, a bez oświaty lud ukraiński nie mógł spełnić nadziei, jakie w nim pokładali ludzie pragnący wskrzesić Ukrainę.

Opracowywał więc Szewczenko projekty założenia sieci szkół niedzielnych. Szkoły takie istniały w War-

szawie; stanowiły kuźnie patriotyzmu i demokratycznych idei.

Rozpowszechnić takie szkoły na Ukrainie, dać im nauczycieli-patriotów, a tym nauczycielom dostarczyć elementarż ukraiński — to był plan prosty i zarazem wielki.

O ile Szewczenko przedtem zajmował się w dużej mierze sprawami przeszłości swojego narodu, o tyle teraz wzrok poety niemal wyłącznie utkwiony jest w przyszłości. Myśl jego nieustannie pracuje nad tym, jak zbudzić rodaków z letargu, natchnąć ich wiarą we własne siły, wskazać im drogę, którą iść powinni.

Potrzebni mu byli sojusznicy. Gdzież miał ich szukać, jeśli nie przede wszystkim wśród przyjaciół, współrodaków „natchnionego Zygmunta”?

Szewczenko otrzymał prawo zamieszkania w Petersburgu, ale pozostawał pod nadzorem policji.

Zgodnie z obowiązującymi przepisami zgłosił się najpierw u policmajstra, hrabiego Szuwałowa. Hrabia potraktował go grzecznie, chociaż z pewną wyniosłością. Kazał mu zgolić brodę i złożyć wizytę w Wydziale Trzecim. Szefem korpusu żandarmerii był teraz książę Wasilij Dołgorukow.)

Książę-generał przyjął Szewczenkę w gabinecie, w którym ongiś miała miejsce pamiętna konfrontacja bratczyków.

Rozmowa trwała niezbyt długo. Książę ciepłym, niemal ojcowskim tonem ostrzegał poetę przed nadużywaniem wolności, której mu łaskawie użyczono. Wspominał nawet przelotnie, że w kraju orenburskim znajduje się zawsze dosyć zajęcia dla tych, co chcą pokutować za przewiny wobec imperatora. Radził kajać się, rzucić pychę z serca i kajać się do końca.

Szewczenko wysłuchał tego wszystkiego spokojnie i nic nie odrzekł.

Po wyjściu poety szef żandarmów wezwał adiutanta i kazał mu przygotować polecenia do wszystkich organów policji i żandarmerii, aby wzmocniły nadzór nad niebezpiecznym Ukraińcem. Kazał też wystosować poufne pismo do hrabiego Fiodora Tołstoja z prośbą o roztoczenie moralnej opieki nad Szewczenką na gruncie Akademii.

Niebawem Szewczenko dostał własne lokum w gmachu Akademii Sztuk Pięknych. Wystarał mu się o nie hrabia Fiodor Tołstoj.

Lokum składało się z jednej długiej i wąskiej komnatki o jednym oknie, przy którym Szewczenko umieścił stalugi. Oprócz stołu z książkami i niedużej kanapy, pokrytej ceratą, dwóch zwyczajnych stołków i skromnego parawanu, który odgradzał drzwi wejściowe od pracowni, nie było żadnych innych mebli. Za parawanem znajdowały się jeszcze jedne wazjutkie drzwi, które prowadziły po kilku równie wazjutkich stopniach na antresolę, opatrzoną kwadratowym oknem sięgającym aż do podłogi. Tu była sypialnia i literacki gabinet Szewczenki. Meble były tu jeszcze uboższe. Na prawo, w kącie, stał niewielki stół, służący poecie za biurko, poza tym — łóżko z tanią pościelą, a w nogach łóżka stolik, na którym zazwyczaj stała karafka z wodą, miednica i przybór do herbaty. Na parapecie okna, na ścianach i pod sufitem — porozkładane i pozawieszane — pęki suchych ziół i kwiatów, przeważnie ruty i barwinku, przywodziły na myśl Ukrainę.

W tej prostej, niemal zakonnej celi w ciągu jakichś ośmiu miesięcy, od jesieni pięćdziesiątego ósmego do

wiosny pięćdziesiątego dziewiątego roku, wykonał Szewczenko dziesięć świetnych akwafort.

Znajomi artyści-malarze, tłumnie odwiedzający Szewczenkę, nie mogli wyjść z podziwu: robota sztycharska wymagała nadludzkiej pracowitości. Jak zdołał Szewczenko wykonać w tym czasie taką ilość sztychów, było wprost nie do pojęcia. Tym bardziej, iż stale widywano go na mieście: i w Ermitażu, i w Operze, i na wystawie hortologicznej, i w słynnym francuskim zakładzie gastronomicznym. Szewczenko kochał kwiaty i cenił dobrą kuchnię.

Kiedyś w pracowni akademickiej odwiedził go Kostomarov. Spotykali się potem przez dwa tygodnie, dzień w dzień, i rozmawiali. Nie odnowiły się jednak pomiędzy nimi dawne stosunki przyjacielskie, oparte na wzajemnym zaufaniu. Kostomarov, stawiając nade wszystko w życiu karierę naukową, uznał za właściwe zostać lojalnym poddanym cara. No, i podwójnym patriotą: rosyjskim i ukraińskim. Najpierw rosyjskim.

W tej samej roli występował Kulisz, który niedługo potem również zjawił się w stolicy nad Newą.

Szewczenko pamiętał, że kiedy on sam i Hułak z całą wytrwałością odpierali straszliwy nacisk carskiej machiny inkwizycyjnej w pamiętnym roku śledztwa i zesłania, Kostomarov i Kulisz zachwiali się i padli do stóp absolutyzmu.

Zdawał sobie jednak sprawę z ich zasług na polu krzewienia i umacniania idei ukraińskiej. Odnosił się więc do nich z wyrozumiałością, na jaką tylko mógł się zdobyć.

Kulisz wprawdzie na początku próbował wrócić do dawnej koncepcji kierowania Tarasem, i jako człowie-

kiem, i jako poetą, ale Szewczenko szybko te jego zamiary powściągnął.

Tak oto Kulisz po raz drugi w życiu, ku swemu wielkiemu utrapieniu, zmuszony był zrezygnować z ambicji „hetmańskich”.

Odtąd, aż do końca życia, miały nim dwa sprzeczne uczucia: głębokie uwielbienie dla poezji Tarasa i obrażona duma niedoszłego króla-ducha kultury ukraińskiej.

Dla Kostomarowa miał Szewczenko poza tym dużo współczucia z powodu jego tragedii osobistej: wiedział, że pani Krahelska różnymi, niezbyt nawet godziwymi sposobami skłoniła córkę do zerwania z narzeczonym i kiedy Kostomarow przebywał na zesłaniu w Saratowie, wydała Alinę za mąż za niejakiemu Kisiela, ziemianina z Czernihowszczyzny. Kostomarow, podobnie jak Szewczenko, był samotny.

Poznał Szewczenko w tym czasie wszystkie prawie wybitne osobistości ze świata literackiego — Leskowa, Połońskiego, Szczerbinę, braci Kuroczkinów, Wasilija i Mikołaja, Aleksieja i Lwa Żemczużnikowów oraz ich kuzyna Aleksieja Tołstoja, wreszcie, najślawniejszego z nich wszystkich, Turgieniewa.

Turgieniew zaprosił kiedyś Szewczenkę, aby go zebrała ze Spieszniemem, który niedawno powrócił z Syberii.

Dawny pietraszewczyk wyglądał dobrze, zdrowo, niemal dziarsko. O swoim udziale w kółku furierystów mówił z uśmiechem.

Snując śmiałe plany na najbliższą przyszłość, również z uśmiechem przytoczył dewizę Pietraszewskiego: „Fais ce que dois, advienne que pourra”.

Gdy Spieszniem jechał z Irkucka do Petersburga,



**Portret Michała Szczepkina. Taras Szewczenko. Ołówek,  
kredka, 1858**





**Żebrak na cmentarzu. Taras Szweczenko. Akwaforta, 1859**

spotkał się po drodze z Pleszczejewem tak samo powracającym z zesłania. Pleszczejew od razu dał mu listy polecające do przyjaciół w Moskwie i Petersburgu, między innymi do Czernyszewskiego i Dobrołubowa.

Szewczenko, słysząc o dobrych stosunkach łączących Spieszniewa z gubernatorem irkuckim Murawiewem, patrzył na byłego zesłańca rewolucjonistę z niedowierzaniem i nieufnością.

Spieszniew spostrzegł to. Ku zdumieniu Tarasa powiedział po polsku dokładnie to samo, co ongiś w Orenburgu rzekł mu Sierakowski:

— Niech pan przeczyta włoskie motto na karcie tytułowej *Konrada Wallenroda*.

Butaszewicz tymczasem został przeniesiony na Daleką Północ, do wsi Bielskie — innymi słowy, za życia pogrzebany w śniegach i lodach Sybiru. Kiedy po drodze, przejeżdżając przez Irkuck, zobaczył Spieszniewa, zamienił z nim kilka słów, ale nie podał mu ręki.

Kiedy indziej znowu Szewczenko u swojego ziomka, niejakiego Tupyci, zastał pułkownika żandarmerii. Wprowadziło go to w niemałą konsternację, ale Tupycia powiedział uspokajająco: — To swój człowiek.

Pułkownik żandarmerii Gromeka, jak się okazało, był potajemnym korespondentem Hercenowskiego „Kołokoła”.

Różnymi drogami chadzały w owych czasach myśli, słowa i czyny ludzkie. Szewczenko dla swoich myśli, słów i czynów miał własną drogę. Nadzwyczaj prostą.

Sierakowski bywał niekiedy u księcia Suworowa. Wnuk bezwzględnego generalissimusa niczym nie przypominał dziadka. Był człowiekiem wysoce kultural-

nym, łagodnym w obejściu i ludzkim. Do Polaków odnosił się z niemałą życzliwością.

Sierakowski złożył mu memoriał w sprawie polskiej. Książę przeczytał rękopis i beznadziejnie rozłożył ręce: nie mógł się podjąć żadnej interwencji. Car Aleksander już przed dwoma laty zdażył oświadczyć Polakom: „Point de rêveries!”

Sierakowski opowiadając o tym Szewczenko nie omieszkał dodać:

— Oświadczenie cara stosuje się również do Ukraińców.

Młody oficer sztabu generalnego rozwijał nadal niezamordowaną działalność patriotyczną.

Podobnie jak w Orenburgu urządzał u siebie „wielkie mleka”, na które schodziło się wielu Polaków, oficerów, studentów i urzędników.

Sierakowski nie taił przed swoim ukraińskim przyjaciелеm, że ma już gotowy zrab organizacji rewolucyjnej. Kreślił zarysy wielkiego planu: chciał wywołać zbrojne, po wojskowemu kierowane narodowe ruchy wyzwolenicze na Białorusi i Ukrainie oraz rewolucję chłopską w głębi Rosji — wtedy dopiero powstanie na ziemiach polskich miałyby szanse powodzenia.

W kółku Sierakowskiego było dość ludzi gotowych wykonywać jego rozkazy, urzeczywistniać jego zamiary: Jan i Hieronim Staniewiczze, Tytus O'Byrn, Ferdynand Warawski, Józef Gałęzowski, Michał Heidenreich, Feliks Rożański, Ludwik Zwierzdowski, Karol Szalewicz, Władysław Pogorzelski, Maksymilian Czerniak, Piotr Choynowski, Leon Czechowicz, Władysław Miłodowski, Jan, Antoni i Wincenty Kiersnowscy, Mikołaj Waśkowski, Mikołaj Nowicki, Edwijn Wrześniew-

ski, Tomasz Wierzbicki, Ignacy Laskowski, Wiktor i Konstanty Kalinowscy, Witalis Opocki, Mikołaj Goliniewicz, Józef Hauke, Adam Jan Wyleżyński, Józef Karol Miniewski, Aleksander Majewski, Stanisław Glinka-Janczewski, Kazimierz Bobrowski, Jan Koziół-Poklewski, Władysław Kossowski, Euzebiusz Rydzewski, Stanisław Majewski i wielu innych.

W drugim roku pobytu Szewczenki w Petersburgu przybył tam jeszcze jeden młody oficer, który niebawem wysunął się na czoło organizacji polskiej na równi z Sierakowskim i Padlewskim. Był to Jarosław Dąbrowski.

Zaczęły się pamiętne „wieczory literackie”, na które kolejno zapraszali do siebie wtajemniczonych Sierakowski, Padlewski i Dąbrowski.

Stałym uczestnikiem tych wieczorów był Taras Szewczenko.

Sierakowski uważnie śledził londyńską działalność Hercena i Ogariewa. Pisma ich przychodziły dość regularnie do Petersburga i były rozechwytywane przez młodych adeptów rewolucji.

„Nam się zdaje — głosili wydawcy «Kołokoła» — że Polska i Rosja mogą ręką w rękę iść drogą ku nowemu, wolnemu społecznemu życiu.”

„Ja — pisał Hercen — szczerze, z całej duszy, pragnę nie rozrywu słowiańskiego świata, lecz jego wolnej federacji.”

Sierakowski mówił:

— Każdy rozumny człowiek powinien dążyć nie do zespolenia pokrewnych narodowości, ale do ich połączenia w federację, w której każda narodowość miała by swoich, wybranych przez ogół przedstawicieli. A skoro rząd rosyjski zaczyna tłumić ideę wszechsło-

wiańską, tym bardziej myśmy ją powinni szerzyć i utrwać.

Idea wszechsłowiańska sformułowana została już przed dwunastu laty w gronie cyryłowców.

Sierakowski tym większe nadzieje pokładał w Szewczence i jego popularności na Ukrainie.

Kiedyś, w czasie dysputy u Dąbrowskiego, ktoś wyraził obawę, czy w razie poruszenia mas ludowych ukraińskich nie odrodzi się wybujały, niepohamowany żywioł hajdamacki. Na to odezwał się inny z obecnych:

— Wybujały, niepohamowany żywioł hajdamacki nie jest dziełem Ukraińców, stworzyła go głupota rządów polskich i perfidia rządów rosyjskich. Od nas zależy, aby ten czarny płomień wygaś.

Powiedział to młody oficer, szlachcic polski rodem z Ukrainy, Zygmunt Padlewski.

Kiedy indziej znowu Szewczenko przysłuchiwał się ognistej przemowie młodzieńca, który dowodził konieczności narodowego rozbudzenia Białorusinów i uwłaszczenia chłopów.

Młodzieniec był kandydatem praw, szlachcicem i patriotą polskim. Nazywał się Konstanty Kalinowski. Z gromadką takich jak on sam entuzjastów tworzył ruch odrodzeniowy narodu białoruskiego.

Żeligowski napisał dalszy ciąg *Jordana*, pod tytułem *Zorski*. Autor odczytał go Szewczence u wspólnego przyjaciela, Wasyla Biłozerskiego.

Zorski, bohater dramatu, zrzeka się majątku i dzieli ziemię pomiędzy chłopów.

Szewczenko gratulował Sowie pięknej książki, ale powiedział: — To mało. — I zacytował ustęp z ostatniego numeru „Kołokoła”, gdzie Hercen, który już stra-

cił wiarę w „dobrego cara”, wołał zwracając się do chłopów: „Słyszycie, biedacy? Nie możecie liczyć na carską łaskę — tak mówi sam car. Więc w kimże macie pokładać nadzieję? W pomieszczykach? Ależ oni są po stronie cara, a car wyraźnie im sprzyja. Na siebie więc tylko liczcie, na krzepkość swoich rąk: zaostrzcie siekiery i do dzieła — siłą uchylajcie prawo pańszczyźniane.”

Żeligowski zapisał w dzienniku przyjaciela wiersz *Do brata Tarasa Szewczenki* i zakończył zwrotką:

Jak przed grotem słońca pryska  
Ciemnej nocy mrok i chłód,  
Tak zbawienia chwila bliska,  
Kiedy wieszczów rodzi lud!

Szewczenko odwzajemnił mu się ukraińską trawestacją śpiewki białoruskiej Jana Czeczota.

W Petersburgu od wielu lat już wychodził konserwatywny wybitnie ugodowy „Tygodnik Petersburski”. Sierakowski ze swoimi zwolennikami umyślił wydawać pismo o kierunku postępowym. Uzyskano stosowne zezwolenie i rozpoczęto wydawanie „Słowa”. Na jego czele stanął zdolny prawnik i historyk, dawny purysta z gimnazjum w Mińsku, Józefat Ohryzko. Grono najbliższych współpracowników stanowili: Sierakowski, Jan Staniewicz, Edward Żeligowski, Włodzimierz Spasowicz i Konstanty Kalinowski.

Przyjęcie wydane z okazji założenia pisma zgromadziło elitę demokratycznej inteligencji polskiej w Petersburgu.

Gościem honorowym był Szewczenko. Wszyscy obecni zwracali się do niego z najwyższą admiracją.

Szewczenko przyjmował te hołdy z wyraźnym laisser aller.

Czuł się reprezentantem swojego narodu. Wysokim reprezentantem.

Do Petersburga przyjechał znakomity aktor, świetny odtwórca roli Otella, zwany Roscjuszem afrykańskim, Murzyn, Ira Aldridge.

Hrabia Fiodor Tołstoj urządził u siebie przyjęcie, na które zaprosił i Tarasa.

Szewczenko i Aldridge zblżyli się od razu. Często się spotykali potem w gościnnym domu hrabiego. Nie mogli się z sobą narozmawiać. Tłumaczkami były po kolei obie młodziutkie córki Tołstoja, mówiące dobrze po angielsku. Szewczenko nazywał czarnego przyjaciela po prostu Otellem, a Aldridge mówił na Szewczenkę „The artist”, nie mogąc wymówić jego nazwiska.

Katia zostawiła kiedyś obydwóch przyjaciół w towarzystwie siostry. Kiedy po godzinie wróciła do pokoju, zobaczyła niezwykłą scenę: Otello siedział w fotelu i szlochał głośno jak dziecko, a Taras klęczał przed nim i pocieszał go.

Okazało się, że Taras dopiero co skończył opowiadać o swoim życiu.

Potem Szewczenko malował portret Aldridge'a. Po pewnym czasie przyjaciel przestał korzystać z uprzejmości małych tłumaczek. Zamykali się w pokoju i — jak mówiła pani Tołstoj — „Bóg wie jak i o czym z sobą rozmawiali.” Czasami towarzyszył im znany skrzypek-wirtuoz Apollinary Kątski. Obaj szczególnie lubili w jego wykonaniu *Requiem* Mozarta i mazurki Szopena.

Wkrótce potem poznał Szewczenko u Kostomarowa poetę gruzińskiego, studenta filologii orientalnej. Był

to Akaki Cereteli, który uwielbiał poezję Szewczenki, a jego *Kaukaz* umiał na pamięć.

Rozmowa przeciągnęła się do późnej nocy; tematem była wspólna niedola Gruzynów i Ukraińców, konieczność walki z caryzmem.

Później Cereteli mówił do Kostomarowa:

— Wspomnienie tej rozmowy zachowam do końca życia. Teraz dopiero, ze słów Szewczenki, zrozumiałem, jak trzeba kochać ojczyznę i swój naród.

Dzięki opiece lekarzy — doktora Bari i doktora Kroniewicza, bohatera stepów chiwańskich, Szewczenko trochę poprawił się na zdrowiu i nabrał zwykłego sympatycznego wyglądu.

Kroniewicz zdobył sobie nie byle jaką sławę jako lekarz, nadano mu nawet tytuł lejbmetyka. Opiekował się Tarasem jak bratem. Ale cóż mógł poradzić na to straszliwe wycieńczenie organizmu poety, które było spowodowane dziesięcioletnią niewolą orenburską? Doświadczonym okiem przejrzał zbliżającą się katastrofę: Szewczenko nosił już zaczątki ciężkiej choroby serca. Nie było na nią ratunku.

Tym bardziej, że Taras ani myślał rezygnować z tak bardzo wyęžonego trybu życia.

Szewczenko nosił się skromnie, ale nie bez pewnej elegancji. Czasem jednak lubił kontrast w ubiorze: wkładał kozuch i czapkę barankową.

Niektórych kłuło to w oczy. Na przykład Turgieniewa. Znakomity piewca niedoli ludu rosyjskiego poważał i cenił Szewczenkę, ale się nie mógł w stosunku do niego wyżyć pewnej protekcjonalności. No, a przy



stole biesiadnym wolał surduty i tużurki niżli siermięgi.

Szewczenko na prośzone obiady do Turgieniewa prawie zawsze przychodził w kozuchu i butach z cholewami.

Raz na takim obiedzie poznał Pawła Annienkowa. Krytyk opowiadał o swoich spotkaniach paryskich. O Polakach wyrażał się ze źle tajoną niechęcią, nawet z pogardą.

Szewczenko od razu zabrał się i wyszedł. Sam w wierszach nie skąpił mocnych epitetów pisząc o „wrażych Lachach”, ale to były rozrachunki historyczne albo społeczne, nie zawierały nawet cienia nienawiści plemiennej.

Szewczenko w swoich utworach piętnował karczmarzy i pachciarzy, którzy rekrutowali się niemal wyłącznie spośród ludności żydowskiej. Tak samo jak piętnował ekonomów i karbowych, którzy z reguły byli Polakami.

Kiedy jednak pisarz i historyk Włodzimierz Zotow na łamach „Illustracji” ogłosił artykuł antysemitki, Szewczenko wespół z najwybitniejszymi uczonymi i pisarzami, Turgieniewem, Niekrasowem, Kostomarrowem i innymi, jako jeden z pierwszych podpisał protest wydrukowany w „Russkim Wiestniku”.

Szewczenko był niezwykle prostolinijny, szczery i skromny, nie lubił stroić się w cudze albo w pawie piórka.

Stanowił pod tym względem fenomen wśród najślawniejszych ludzi epoki, nie mówiąc już o twórcach minorum gentium.

Razu pewnego przyszedł na jakieś przyjęcie błady, niewyspany; załatywało od niego winem.

Jakiś filut z gatunku małorusofobów, chcąc zażenować Szewczenkę, spytał go tak głośno, żeby usłyszeli wszyscy obecni:

— Gdzież to pan spędził dzisiejszą noc?

— U madame Gilde — odparł spokojnie Szewczenko.

I dłuższą chwilę patrzył na filuta, wzrokiem, który zdawał się mówić: „Ja opowiem dzień za dniem, godzina za godziną, całe swoje życie, nie ukrywając ani jednej myśli, ani jednego uczynku, a potem zrobisz to samo ty!”

Filut zmieszał się i spuścił oczy.

Maksymowicz zaprosił Szewczenkę do współpracy w słowianofilskim piśmie „Parus”, wydawanym przez Iwana Aksakowa.

Szewczenko przeczytałwszy artykuł programowy, w którym określone były cele i zadania pisma, kategorycznie odmówił współpracy. A Maksymowiczowi wyjaśnił: „W artykule programowym «Parusa» wyliczono wszystkie narody słowiańskie, tylko o nas nie wspomniano”.

Istotnie, była tam mowa o Rusinach, czyli Ukraińcach galicyjskich, a o wschodnich Ukraińcach wzmianki nie było.

Szewczenko zdawał sobie sprawę, że tryb życia, jaki prowadzi, przyspiesza katastrofę, która nie tylko lekarzom, ale i jemu samemu wydawała się nieunikniona i niezbyt odległa.

Powinien założyć dom, mieć koło siebie jakąś przyjazną duszę, która by nad nim czuwała.

W jednym z wierszy pisał:

Treba odrużytyś,  
Chocza b na czortowij sestri!  
Bo dowedet'sia odurit'  
W samotyni.<sup>2</sup>

Gdyby jeszcze mógł osiedlić się gdzieś nad Dnieprem, wtedy sam widok stepów ojczystych, samo powietrze ukraińskie przywróciłoby mu zdrowie...

Zaczął w tym kierunku czynić usilne starania.

Napisał nawet list do pani Michałowej Maksymowiczowej, która wtedy przebywała na Ukrainie, aby mu wynalazła wśród rodaczek jakąś kandydatkę na żonę, bo chciał koniecznie „żyty, jak wsi lude żywut”.

## X

Po wojnie krymskiej świat stał się widownią wzmożonej walki wyzwolenczej narodów.

W Azji siłoję blokowali twierdze kolonizatorów; dolinami wielkich rzek chińskich tajpingowie szli na Szanghaj.

W Europie, której znaczna część leżała w granicach Rosji, Austrii i Turcji, sejsmograf polityczny notował bezustanne wstrząsy. W górach Bułgarii grzmiały rusznice hajduków, rybacy na Krecie z bronią w rękę żądali przyłączenia ich kraju do Grecji, na równinach Mołdawii i Wołoszczyzny szerzył się ruch wielkonumuński. Naród włoski przygotowywał się do ostatecznej rozprawy z Habsburgami o wyzwolenie Lombardii i Wenecji i utworzenie zjednoczonego państwa włoskiego.

Na początku stycznia tysiąc osiemset pięćdziesiątego dziewiątego roku nowy król sardyński Wiktor Ema-

---

<sup>2</sup> Trzeba się ożenić || Choćby z siostrą diabła! || Bo przyjdzie mi oszaleć || W samotności.

nuel Drugi w mowie tronowej powiedział między innymi: „Pomimo szacunku dla traktatów nie mogę być nieczułym na krzyk bóleści rozlegający się w niektórych częściach Włoch”.

Wszyscy zrozumieli, że wojna jest nieuchronna.

W kwietniu stotysięczna armia austriacka przekroczyła Ticino. Francja wypowiedziała wojnę Austrii. Czwartego czerwca armia włosko-francuska pobiła Austriaków pod Magentą, a w trzy tygodnie później — pod Solferino. Garibaldi zbierał coraz to nowe laury.

W wojnie włoskiej walczyły przeciwko sobie nie tylko narody, ale również idee i kierunki. W poszczególnych krajach ludzie sprzyjali tej czy innej stronie wojującej, zależnie od przekonań politycznych. Reakcyjniści oświadczaali się za Austrią, demokraci za Włochami i Francją.

Wydarzenia te odbijały się żywym echem na ziemiach polskich, w Rosji i na Ukrainie.

Polacy czynili gorączkowe przygotowania do nowej walki orężnej. Demokratyczna młodzież polska w całym kraju tworzyła organizacje spiskowe. Szczególnie silnie i dobrze postawiono te organizacje w Kijowie i Petersburgu.

Duszą ich był Zygmunt Sierakowski.

Plany wojskowe i polityczne, układane w ścisłym porozumieniu z Padlewskim i Kalinowskim, ulegały modyfikacjom w zależności od biegu wydarzeń i rozmów z ludźmi bliskimi Sierakowskiemu pod każdym względem, z ludźmi, których poglądy i charaktery wysoko cenił.

Dwóch było takich ludzi: Szewczenko i Czernyszewski.

Czernyszewski wciągnął Sierakowskiego do współ-

pracy z redakcją „Sowriemiennika”, dając mu do prowadzenia dział wydarzeń zagranicznych. Dzięki Czeryszewskiemu zdołał młody sztabowiec zgłębić arkana współczesnej filozofii, wyrobić sobie pogląd na sprawę reformy agrarnej i opanować algebrę rewolucji.

Szewczence natomiast zawdzięczał Sierakowski zrozumienie problemu ukraińskiego. Przyjacielskie rozmowy z Tarasem ukazały mu ten problem w całej wyrazistości.

Szewczenko nie potrzebował uzasadniać Sierakowskiemu żądań, jakie mogli wysunąć Ukraińcy. Sama postać Szewczenki, jego twórczość i praca społeczna, jego gorący patriotyzm — były najlepszym uzasadnieniem. „Naród, który wydał Szewczenkę, nie może być wyzuty z własnej państwowości, naród ten żyje, będzie żył i będzie odgrywał w świecie coraz większą rolę. Któż może i powinien przyczynić się do tego, jeśli nie Polacy?” — oto myśl, która Sierakowskiemu często przychodziła do głowy, aż wziął ją za podstawę rozważań w sprawie przyszłych stosunków polsko-ukraińskich.

Sprawa współpracy z jakimś rosyjskim ośrodkiem rewolucyjnym, zsynchronizowania jego ewentualnych wystąpień z wystąpieniami polskimi, ukraińskimi i białoruskimi nasuwała się nieodparcie zarówno Sierakowskiemu, jak i Szewczence.

Próżnia, która w rosyjskich dążeniach rewolucyjnych wytworzyła się po zgnieceniu spisku dekabrystów, słabo wypełniona działalnością pietraszewczyków i jeszcze fatalniej ziejąca po ich zesłaniu na Sybir, zdawała się teraz zapępiać. Już sama praca redakcji „Sowriemiennika” miała w tym względzie nie byle jakie znaczenie. Wspomagała ją jeszcze zagraniczna działalność Hercena i Ogariewa.

Chodziło jednak o istotną, bojową siłę organizacyjną.

I taką właśnie siłę zaczynał tworzyć Czernyszewski. Miał już wokół siebie sporą gromadkę ludzi zdecydowanych na wszystko, świadomych celu, do którego trzeba dojść, ludzi o wysokich walorach intelektualnych. Jak na przykład Dobrolubow.

Sierakowski, Czernyszewski i Szewczenko nieraz debatowali nad wspólną sprawą.

Polak i Ukraińiec mieli wprawdzie niejedno zastrzeżenie. Czernyszewski był tajemniczy i nieprzenikniony. I tak dalece skrupulatny w zachowaniu środków ostrożności, że nawet najbliższym przyjaciółom nie wyjawiał swoich planów i nie ukazywał wszystkich konspiracyjnych nici.

Sierakowski i Szewczenko mogli stwierdzić, że Czernyszewski wprost znakomicie, każdą myślą, każdym słowem i uczynkiem reprezentuje ideę rewolucji. Ale czy w równym stopniu mógłby w czasie przewidywanych wydarzeń reprezentować ideę narodowości? Uznawał ją, to prawda, ale czy mógłby dla niej pracować z takim poświęceniem jak Polacy i Ukraińcy?

Jego wypowiedzi na temat wydarzeń włoskich dawały dużo do myślenia: Czernyszewski wyrzucał Włochom, że chcą odroczyć sprawę reformy ustroju do chwili uzyskania niepodległości.

Do Polaków i Ukraińców odnosił się Czernyszewski nad wyraz życzliwie, ale sprawa narodowa polska i ukraińska były dla niego tylko małym ogniwem łańcucha dążeń rewolucyjnych, których celem miało być społeczne przeobrażenie Rosji, a potem zapewne i całego świata.

Sierakowski i Szewczenko, jak również ich najbliżsi współtowarzysze ideowi, spiskowcy polscy, Padlewski, Kalinowski i inni — ożywieni byli kultem przeszłości historycznej swoich narodów: z ich dawnej chwały czerpali podniecie do działania, z ich klęsk

i upadków wyciągali naukę na przyszłość. Z historią byli związani nie tylko umysłem, ale i sercem.

Czernyszewski na historię patrzył okiem przyrodnika i filozofa.

Jeśli czuł w sobie płomień entuzjazmu, to tylko wówczas, gdy myślą architekta przebiegał obszary przeszłego życia ludzkości.

Kiedyś w kółku ludzi zbliżonych do Czernyszewskiego poznał się Szewczenko z młodym oficerem, sztabowcem, w randze podpułkownika. Oficer zaimponował Szewczence bystrym umysłem, rozległą wiedzą i patriotyzmem ukraińskim.

Nazywał się Andrzej Krasowski.

Jego ojciec jako carski generał w czasie powstania listopadowego dowodził dywizją i dzielnie walczył z Polakami.

Krasowskich na Ukrainie było dużo. Jedni mienili się Polakami, drudzy Ukraińcami. Andrzej Krasowski był przez ojca wychowywany na Rosjanina. Ukończył arystokratyczny korpus paziów w Petersburgu. Na wojnie krymskiej odznaczył się męstwem i zdolnościami. Szybko awansował. Otwierała się przed nim piękna kariera wojskowa.

Tymczasem nie wiadomo jak i kiedy obudziła się w nim miłość do nieszczęśliwej ojczyzny ukraińskiej. I życie Andrzeja Krasowskiego potoczyło się takim torem, jakiego przedtem nie wyobrażał sobie ani on sam, ani żaden z jego przyjaciół, kolegów i zwierzchników.

Andrzej Krasowski chętnie przestawał z Polakami, ceniąc w nich oddanie sprawie narodowej. Nauczył się mówić po polsku, pisał po polsku wiersze.

Zaprzyjaźniwszy się z Szewczenką powiedział mu pewnego razu:

— Mam polskie nazwisko, ale ukraińską duszę. I jako Ukraińiec chciałbym z tego nazwiska zmyć hańbę, którą je okrył mój ojciec walcząc z powstaniem polskim.

Krasowski i Szewczenko mówili często o ukraińskim odrodzeniu narodowym. Krasowski pozostawał pod urokiem Czernyszewskiego. Chciał do walki z carym poruszyć ukraińskie masy ludowe. Snuł plany założenia ukraińskiej organizacji konspiracyjnej, opartej na programie bardzo radykalnym — na programie Czernyszewskiego.

Szewczenko i Krasowski w rozmowach często wymieniali nazwiska wielkich patriotów włoskich, prowadzących nieustępliwą walkę o wolność i zjednoczenie swojego narodu. Nazwiska te zresztą stawały się coraz popularniejsze w całym imperium. Tam, na Półwyspie Apenińskim, działy się rzeczy, które rzucały płomienny odblask na całą Europę.

Krasowski niebawem wyjechał za granicę. Jako motyw podróży wskazał konieczność ratowania zdrowia w klimacie południowym. Właściwie zaś chodziło mu o to, aby się poznać z Garibaldim.

Sierakowski również wybierał się za granicę. Minister wojny zlecił mu zbadanie systemu penitencyjnego w różnych armiach europejskich, przede wszystkim angielskiej i austriackiej.

Sierakowski chciał na własne oczy zobaczyć Młodą Europę w przededniu wielkich wydarzeń dziejowych. Chciał się poznać i pomówić z jej przywódcami. W Londynie — nawiązać osobisty kontakt z Hercenem i Ogariem.



Zlecenie ministra wojny było mu bardzo na rękę.

Dużo już przedtem jeździł po kraju. Był w Wilnie, Kijowie i Warszawie. Wszędzie ponawiały nici stosunków spiskowych.

Życie patriotycznej młodzieży polskiej najsiłniej pulsowało w Kijowie. Tu się ta młodzież w największej masie skupiła. Nic dziwnego: Wilno i Warszawa nie miały już uniwersytetów.

Po gwałtach i barbarzyństwach okresu miłkołajowskiego nastąpiło niezwykle rozluźnienie, zapanowała łagodność i wyrozumiałość. Kuratorem okręgu szkolnego kijowskiego został jeden z najświetlejszych ludzi epoki, znakomity chirurg, profesor Mikołaj Pirogow. W Uniwersytecie Kijowskim zapanowała atmosfera entuzjazmu do wiedzy i pracy społecznej.

Stowarzyszenia młodzieży polskiej podniosły poziom życia akademickiego tak wysoko, jak nigdy dotychczas. Rej w nich wodzili trzej studenci: Władysław Henszel, Włodzimierz Miłowicz i Włodzimierz Antonowicz.

Idea ekspiacji polskiej za krzywdy wyrządzone Ukraincom, kiełkująca już od czasów konarszczyzny, zaczęła rozwijać się teraz na dobre. Powstały dwa równocześnie prądy świadczące o postawie moralnej większości studentów kijowskich: tak zwane ukrajinofilstwo i tak zwane chłopomaństwo. Inicjatorzy tych ruchów, Włodzimierz Antonowicz, Tadeusz Rylski, Leon Syroczyński, Mikołaj Zagórski, Władysław Kozłowski i Władysław Kamiński, przebrani po chłopsku, wędrowali po Ukrainie, badając życie ludu i krzewiąc poglądy demokratyczne.

Nieco później przyłączył się do nich i szczególnie gorąco współdziałał z nimi Antoni Jurjewicz, również student uniwersytetu.

Na jednym z zebrzań Jurjewicz powiedział:

— Jeżeli oddamy życie chłopom ukraińskim, to tak



**Szewczenko wśród przyjaciół (od lewej: Aleksander Łazarewski,  
Wasył Łazarewski, Szewczenko, Hryhorij Czeszachowski, Paweł  
Jakuszkin). Fotografia, 1859**



Taras Szewczenko. *Autoportret. Akwaforta, 1860*

jakbyśmy je oddali Polsce. Chłopi ukraińscy pracowali na nas przez długie wieki, teraz my musimy pracować dla nich.

Wszyscy ci entuzjaści rozczytywali się w poezjach Szewczenki.

Ze stowarzyszeń społecznych akademickich wyłoniła się organizacja polityczna. Na jej czele stanął Stefan Bobrowski, który w tym czasie powrócił z Petersburga do Kijowa. Współpracowali z nim: Edmund Rózycki (syn Karola, sławnego pułkownika jazdy wołyńskiej), Izydor Kopernicki, Aleksander Jabłonowski i Antoni Chamiec.

W toku jednej z tajnych narad podszedł do Sierakowskiego jakiś szlachcic, siwawy, dobrze już posunięty w latach, i przedstawił się:

— Gaspar Maszkowski.

A widząc zdziwienie oficera, dodał z uśmiechem:

— Tak. Dawny konarszczyk. Odsiedziałem swoje na Sybirze i znowu stanąłem do pracy.

W działalności konspiracyjnej zetknął się też Sierakowski z ojcem Zygmunta Padlewskiego, Władysławem. Dawny „wicekról bałagulów” wyglądał rzeško i gotów był w każdej chwili przypasać szablę i dosiąść konia. A trzech synowie „króla”, Antoniego Szaszkiewicza, już podrastali i o niczym innym nie myśleli, jak tylko o walce za wolność kraju.

Rózyccy, Maszkowscy, Padlewscy, Szaszkiewiczze... te nazwiska mówiły same za siebie.

Sierakowski o swoich spostrzeżeniach i nawiązanych stosunkach spiskowych, zwłaszcza na Ukrainie, skrupulatnie powiadamiał Szewczenkę.

Rozmawiając z nim, często zamiast „Ukraińcy” mówił „Kozacy”. Szedł tu niejako za przykładem Tarasa.

Kiedys tak powiedział:

— Musisz jechać na Ukrainę, Tarasie. Tam teraz twoja obecność jest konieczna. Nadchodzą wielkie wydarzenia. Myślę, że i Kozacy nie będą prążyć kądzieli, kiedy przyjdzie pora wybierać kłakol z pszenicy.

Zbiegła się ta przyjacielska propozycja z najgorętszym pragnieniem Tarasa: odwiedzić strony rodzinne i osiąść tam wreszcie na stałe. Trapił go też niepokój o siostry i braci, którzy wciąż jeszcze zostawali w poddaństwie. Pogłoski o rychłym uwolnieniu chłopów od pańszczyzny tylko gniewały i oburzały Szewczenkę. Z góry wiedział, jaka będzie ta carska łaska. W jednym ze swoich wierszy wołał:

...Dobra ne żdy,  
Ne żdy spodiwanoji woli —  
Wona zasnuła: car Mykoła  
Jiji pryspaw. A szczob zbudyt'  
Chyrennu wolu, treba myrom,  
( Hromadoju obuch stałyt', )  
Ta dobre wyhostryt' sokuru.<sup>1</sup>

Dość długo trwały starania Szewczenki, aż wreszcie w końcu maja szef żandarmów udzielił mu zezwolenia „na wyjazd do guberni kijowskiej, czernihowskiej i połtawskiej w celu poratowania zdrowia i malowania obrazów z natury”.

Jednocześnie z kancelarii szefa wyszło poufne pismo nakazujące żandarmerii kijowskiej roztoczenie ścisłego nadzoru nad Szewczenką w czasie jego pobytu na Ukrainie.

---

<sup>1</sup> Nie spodziewaj się nic dobrego, || Nie czekaj na obiecaną wolność — || Wolność zasnęła: car Mikołaj || Uśpił ją. Żeby zaś obudzić || Niemocną wolność, trzeba wspólnie || Całą gromadą hartować obuchy || I dobrze naostrzyć siekiery.

Szewczenko wyjechał koleją do Moskwy, a stamtąd w towarzystwie znajomego pomieszczyka charkowskiego, Rosjanina, Chruszczowa udał się rzemiennym dyszlem na południe.

Piątego czerwca był już w Sumach. Gościł kilka dni w Łychwynie, majątku Chruszczowa, potem w Łebedynie, u znajomych Ukraińców, braci Zaleskich, i wyruszył do Pyriatyna, gdzie odwiedził Piotra Mokryckiego, wreszcie zatrzymał się na dłużej w Perejasławiu, aby się narozmawiać z doktorem Kozaczkowskim. Wpadł jeszcze na kilka dni do Prochorówki do Maksymowiczów i pod koniec czerwca, przeprawiając się dubem do Kaniowa, pojechał do rodzinnej wsi.

W ojcowej chacie Szewczenki mieszkał jego starszy brat Mykyta z żoną Pałażką, dwoma nieletnimi synami i nie zamężną jeszcze siostrą.

Był dzień sobotni. Ranek. Wszyscy się gdzieś porozchodzili. W izbie krzątała się żona gospodarza. Usłyszała szczekanie psów. Wyrzała przez okno. Zobaczyła nieznanego starego wąsacza w surducie, szerokich płóciennych spodniach i brylu na głowie. Przybysz wszedł do chaty, stanął na progu i patrzył smutno. Wreszcie odezwał się:

— Ne piznajesz, Pałażko?

Wtedy dopiero gospodyni jakby przejrzała na oczy:

— Bratyku mij, Tarase! de ty wziawsia?!

Tarasowi łzy płynęły z oczu; słowa nie mógł wyrzec.

Poszedł potem obejrzeć zagrodę. Niewiele się w niej zmieniło. Ta sama chata z czarnym kominem, tylko jeszcze bardziej przechylona. Obok przyczółka nie ma już jabłoni — uschła, zrąbano ją na opał. Nie ma przy wrotach wierzby, na której krzekotała sroka białoboka. Wierzba też uschła.

Taras posiedział chwilę w sadzie nad ruczajem. Parczył na ścieżkę, którą ongiś wracał z wygonu razem z małą sąsiadką, córką Kowalenków. Ścieżka zarosła cierniem.

Poszedł do Jaryny.

Tak był pełen wspomnień sprzed trzydziestu lat, że nie poznał bezzębnej staruchy, która wyszła z izby i przyglądała mu się ciekawie. Ona też go nie poznała.

— Zdrastuj, sestro!

Napłakali się, zanim sobie opowiedzieli swoje zmartwienia.

Ludzie przychodzili odwiedzić Tarasa. Pytali:

— Czy skoro wyjde spodiwana wola?

Taras machał gniewnie ręką:

— Szcze, bratyky! Do toho ne raz was wybjut' na panszczyni!

Nazajutrz poszedł Taras do ojca Koszyca. Chciał zobaczyć Feodosję. Nie wyszła do niego, „szczob ne zadawat' serciu żalu”.

Z Kyrilówki pojechał do Warfołomiej Szewczenki, który mieszkał w Korsuniu i był ekonomem u księcia Łopuchina.

Szewczence bardzo się nie podobało zajęcie szwagra. Liczył jednak, że szwagier dopomoże mu kupić kawałek ziemi i wybudować domek. Zatrzymał się więc w Korsuniu na dłużej.

Wstawał raniutko o świcie i szedł do zamkowego parku. Przecięty na dwie części przejrzystą i wartką Rosią, pełną porohów i kaskad, o malowniczych granitowych brzegach, park ten był letnią porą jednym z najczarowniejszych zakątków Ukrainy.

Siódmego lipca Szewczenko wybrał się do Horodyszcz, gdzie zwiedził wielką, wzorowo urządzoną cukrownię Fedora Symyrenki, byłego chłopca pańszczyźnianego. Urzędnikom i robotnikom fabryki czytał swoje

wiersze. Byli zachwyceni. A kiedy im przeczytał *Sen*, entuzjazm ich nie miał granic. Poeta raz jeszcze przekonał się, jak silne wrażenie sprawia na ludziach jego poezja.

Jedenastego lipca Szewczenko prowadził już pertraktacje z Nikodemem Parczewskim, właścicielem majątku w Międzyrzeczu pod Czerkasami.

Sprowadzono nawet geometrę i odmierzono stosowny kawałek gruntu. Szewczenko postawił mohorycz, na który zaprosił również niejakiego Kozłowskiego, który z paroma swoimi znajomymi przyjechał niby na polowanie, a miał na sobie frak i dubeltówkę przewieszoną przez ramię, co Szewczenkę ogromnie ubawiło. Przy wódce poeta pokpiwał z wyfraczonego myśliwca. Kozłowski poczuł się obrażony. A że w toku rozmowy zdarzyło mu się usłyszeć dość wolnomysłne opinie Szewczenki na temat religii, nie omieszkął zrobić z tego użytku.

Piętnastego lipca Szewczenko po raz trzeci w życiu został aresztowany. >

Dwudziestego szóstego jechał już pod strażą dwóch policjantów do Kijowa.

Gdy sobie uprzytomnił, co już zdążył przeżyć w aresztach i więzieniach, ogarnęła go rozpacz. Zdrowie mu już nie dopisywało, jak przed laty; nerwy odmawiały posłuszeństwa.

Na szczęście dla Szewczenki, generał-gubernator kijowski, którym był teraz książę Wasilczykow, człowiek bez porównania łagodniejszy i rozsądniejszy niżli Bibikow, zorientował się, że donos na poetę jest przesadzony i złośliwy, toteż nakazał przeprowadzić krótkie śledztwo i sprawę umorzył. Szewczenko pozwolił zostać pewien czas w Kijowie i od razu „zgodził się” na



jego wyjazd do Petersburga. Wydziałowi Trzeciemu dał znać o wszystkim i doradzał, aby Szewczenko w przyszłości nie udzielano przepustek na Ukrainę, gdyż jego osoba jest tutaj zbyt popularna, a jego słowa mogą wywołać niepożądany oddźwięk w społeczeństwie.

Raport ten świadczył o nieprzeciętnej inteligencji i dużej przezorności księcia Wasilczykowa.

Szewczenko, opuściwszy areszt, udał się do swego przyjaciela z akademii, Gudowskiego, który prowadził zakład fotograficzny na rogu Małozytomierskiej i Chreszczatyku. Gudowski udzielił mu gościny.

Potem Szewczenko przeprowadził się do znajomego popa, Botwinowskiego, na ulicę Strzelecką, ale tam wkrótce zaczął go nachodzić Askoczeński, który tak fatalnie zapisał się w pamięci poety — jako zausznik Józefowicza i Bibikowa. Więc Szewczenko czym prędzej wyniósł się od popa i zamieszkał u nieznaomej rodziny na przedmieściu, zwanym Przeorówka, w małym domku z ogródkiem i sadem, nikomu nie podając nowego adresu.

Odpoczywał w cieniu drzew, bawił się z dziećmi, których cała chmara zlatywała się z ulicy do „dziadka” Tarasa, i codziennie po kilka arkusików papieru zapisywał strofami poematu *Maria*, rozpoczętego jeszcze w Nowopietrowsku.

Odwiedzał starego przyjaciela i opiekuna młodości Soszenkę, obecnie nauczyciela rysunków w Drugim Gimnazjum Kijowskim. Soszenko opowiadał mu o życiu kijowskiej młodzieży, ukraińskiej i polskiej. Wśród ukraińskiej rosło poczucie narodowe, wśród polskiej szerzyły się nastroje powstańcze. Stosunki wzajemne układały się dobrze. Soszenko z dumą mówił o tym, jak go lubią i szanują uczniowie, zarówno Ukraińcy, jak i Polacy. Sam zresztą ożeniony był z Polką.

W tymże gimnazjum wykładali dwaj nauczyciele, którzy uchodzili za patriotów ukraińskich i „wolnodumców”, ale w gruncie rzeczy wysługiwali się carowi. Jednym z nich był dawny bratczyk, Aleksander Tułub, drugim — niejaki Michał Czałyj, bardzo interesujący się twórczością Szewczenki, jednak oceniający ją z punktu widzenia lojalizmu rządowego.

Na szczęście, nie oni nadawali ton i urabiali świadomość młodego pokolenia kijowian. Byli prawdziwi patrioci ukraińscy, na przykład — Jakub Bekman i Mitrofan Murawski, którzy niedawno przyjechali z Charkowa, gdzie zostało wykryte ich tajne kółko studenckie; zapisali się na Uniwersytet Kijowski i znów podjęli szeroko zakrojoną działalność spiskową pod hasłami postępu społecznego. Był Polak, Mikołaj Zagórski, który współdziałał z nimi, z całym poświęceniem pomagając w zakładaniu szkół niedzielnych z językiem wykładowym ukraińskim.

Było wielu innych im podobnych. Rosło nowe pokolenie Ukraińców i Polaków jednakowo mienawidzących carskiego jarzma i dążących do zrzucenia go we wszelki sposób — na razie przez wpajanie w społeczeństwo poglądów antymonarchicznych, a później, gdy zajdzie potrzeba, nawet z orężem w rękę.

Wszyscy ci entuzjaści kijowscy, do których młodzież coraz bardziej lgnęła, uważali wiersze Tarasa Szewczenki za najlepszą broń propagandową.

Szewczenko widział, jakie się przed nim otwiera pole do pracy, ile może zdziałać — on, sławny już poeta i skazaniec za sprawę narodową, krew z krwi i kość z kości „ludu kozackiego”.

Opowiadał Soszence, jak to ongiś, chłopcem jeszcze będąc, w Warszawie, widział zrywających się do boju Polaków i jak mu wówczas przyszło na myśl, że

w Ukrainie może być tak samo. Myśl ta nie opuszczała go nigdy, a utrwaliły ją jeszcze rozmowy z wygnańcami polskimi w kraju orenburskim.

Konstanty Świdziński nie żył już od czterech lat, ale pamięć o nim żyła w społeczeństwie kijowskim. Próba organizowania współżycia i świadomości narodowej Polaków i Ukraińców na gruncie towarzyskim, podjęta ongiś i tak skutecznie urzeczywistniana przez Świdzińskiego, znalazła godnego naśladowcę i kontynuatora w profesorze anatomii, Izydorze Kopernickim.

Co tydzień zbierało się u niego liczne grono inteligencji kijowskiej, w tym znaczny zastęp młodzieży. Rozmowy i dysputy przeciągały się do późnych godzin nocnych.

Bywali tam starzy sybiracy, Kasper Maszkowski i Seweryn Syroczyński, pedagodzy, Aleksander Szumowski, Zygmunt Rupniewski i Michał Szembel, literaci, Aleksander Jabłonowski i Leonard Sowiński.

Bywał czasami Iwan Soszenko, wprowadzony przez Szumowskiego, profesora geografii w tym samym gimnazjum, w którym pierwszy uczył rysunków.

Bywali znami ukrajinofile: Włodzimierz Antonowicz, Tadeusz Rylski i Antoni Chamiec. Przyjeżdżało wielu działaczy polskich z Wołynia i Podola, jak Władysław Ciechoński, Antoni Dunin i Maurycy Drużbacki.

W roku tysiąc osiemset pięćdziesiątym dziewiątym główny temat rozmów w tym środowisku stanowiły wydarzenia polityczne w Europie. Jakoś pod koniec lipca przyszła wiadomość o zawieszeniu broni we Włoszech. Lombardia miała być przyłączona do Królestwa Sardynii.

Leonard Sowiński zaczął pisać poemat osnuty na dziejach włoskich. Tworzył go urywkami; najpierw

napisał zakończenie, które wśród studentów kijowskich wzbudziło entuzjazm:

Evviva! Evviva!  
Italia! Italia!  
Swobodna! Szczęśliwa!  
Italia! Italia!  
Evviva! Evviva!

Wszyscy, niezależnie od szczerzej sympatii do odradzających się Włoch, rozumieli ukrytą w tej zwrotce alegorię: „Italia” znaczyło „Polska”.

Łatwo było pojąć ten entuzjazm. Wydarzenia ostatnich kilku lat rzeczywiście mogły oszołomić niejedną patriotyczną głowę. Nie tak dawno na kongresie paryskim wskrzeszono Mołdawię, Wołoszczyznę i Serbię. W szybkim tempie dokonywało się zjednoczenie Włoch. Młodzież mogła się spodziewać, że i sprawa polska wypłynie na wierzch.

Te same wydarzenia oddziaływały również pobudzająco na wyobraźnię młodzieży ukraińskiej.

Umysły były wyraźnie podniecone. Tylko profesor Szumowski, który sam zresztą od czasów konspiracji Miłkowskiego nie wyrzekał się udziału w dalszych spiskach, doradzał ostrożność; lubił powtarzać czterowiersz ze swoich studenckich czasów:

Bracie mój młody, porzućmy tę ziemię,  
Lub tak głęboko myśli nasze kryjmy,  
Aby myślano, żeśmy pogłupieli,  
I brnąć wśród fałszu, prawdy zapomnieli.

Ale żadne przestrogi nie mogły ostudzić zapału młodych.

Studenci, zarówno Ukraińcy, jak i Polacy, woleli deklamować inny zgoła wierszyk, napisany przez jakiegoś anonima:

Jakby na misce fonaria,  
Jakyj wysyt' od nepohody,  
Rosijskoho powisyty caria,  
Zasiajaw promiń by swobody.<sup>2</sup>

Policja czyniła nadludzkie wysiłki, żeby wykryć autora tej buntowniczej zwrotki, ale na próżno.

Szewczenko, bywając u Soszenki, za jego pośrednictwem utrzymywał stosunki z wieloma studentami. Gdyby nie wzgląd na niedawne aresztowanie i nadzór policyjny, stosunki te nabrałyby rozmachu i znaczenia: młodzież uniwersytecka wiedziała o bytności w Kijowie dawnego profesora rysunków, poety i zesłańca, bojownika sprawy narodowej ukraińskiej. Chętnych zobaczenia się i rozmawiania z nim było aż nadto wielu. Szewczenko musiał jednak spotkania z ludźmi, zwłaszcza obcymi, ograniczać do minimum.

Kiedyś w mieszkaniu Soszenki zastał Taras niemłodego już Polaka, szlachcica z Kijowszczyzny, niejakiego Gawrońskiego, który przyszedł odwiedzić swojego czternastoletniego syna, Franciszka, ucznia Drugiego Gimnazjum.

Zgadało się o tym i o owym; oczywiście i o wydarzeniach włoskich. Omawiano nie tak dawną klęskę Włochów pod Novarrą i obecne ich zwycięstwo pod Solferino. Gawroński wyraził pogląd, że bez tamtej klęski nie byłoby obecnego zwycięstwa.

Soszenko wspomniał o Kałnyszewskim, ostatnim atamanie koszowym wojska zaporoskiego. Zdaniem Ga-

---

<sup>2</sup> Gdyby na miejsce latarni, || Która się buja od wiatru, || Rosyjskiego powiesić cara, || Błysnąłby wtedy promień wolności.

wrońskiego, to że Kałnyszewski poddał się wodzowi Katarzyny bez boju, na dłuższy czas przekreśliło wszelkie aspiracje narodowe Ukraińców. ✓

Gawroński wyrzekł wówczas znamienne słowa:

— Przegrana bitwa dla narodu w niewoli jest zawsze wygraną. Stokroć mniejsze są straty narodowe, gdy są następstwem niemożliwej walki o wielkie idee i ideały, niż wtedy, gdy narody zrzekają się swoich praw dla spokojnego przeżywania chleba, podanego ręką wrogów.

Tak, Kałnyszewski nie umiał zdobyć się na ryzyko klęski militarnej. I za jego fatalną decyzję zapłaciła cała Ukraina.

Książe Wasilczykow wiedział, co robi, „zgodzając się” na powrót Szewczenki do Petersburga i „doradzając” władzom centralnym, aby nie pozwalały pocie zamieszkać na Ukrainie.

Szewczenko czuł, że jest śledzony.

Już mając kartę drożną w kieszeni, wybrał się na miasto, aby nasycić się jego urokiem.

Był piękny dzień sierpniowy. Szewczenko poszedł drogą nad Dnieprem, wiodącą do Wydubiecza. Wracał przez Lipki. Odpoczął tam na jakimś omszałym gładzie w cieniu stuletnich dębów, a potem skierował się do centrum miasta.

Jakże się tu wszystko zmieniło od pamiętnych „cyrylowskich” czasów!

Miasto rosło jak na drożdżach. Chreszczatyk był już prawie cały zabudowany domami piętrowymi z cegły; parterowe drewniaki znikły. Zabudowały się też puste ongiś ulice, Żandarmska i Żyłańska. Mała Włodzimierska posunęła się aż do Łybedzi. Na wielkim placu przed uniwersytetem, frontem do szerokiego bulwaru, zało-

żonego jeszcze przez Bibikowa, wyrósł ogromny gmach Drugiego Gimnazjum Męskiego.

A Kozie Błoto ucywilizowało się na prawdziwie europejski zakątek: zaraz na wstępie, od strony Bazaru, na dwóch rogach stanęły dwie konkurencyjne traktiernie-hotele: „Paryż” i „Londyn”. Podchmieleni goście wychodząc z restauracji śpiewali piosnkę, której Szewczenko nie znał: „Na Koziem Błocie stoi łatarnia...”

Zajrzał na Besarabkę. Stanął na chwilę przy kramie z obrazkami. Na jednym z obrazków cwałował na czerwonym koniu czerwony jeździec.

Szewczenko zdawało się, że słyszy głos ojca mówiącego:

— Ce Kozak Mamaj.

Ze ściśniętym sercem poszedł dalej drogą wśród pól i nędznych ruder biedoty kijowskiej. Poszedł Psią Ścieżką.

Zobaczył zielone wzgórza pieczarskie, wysoką dzwonicę Ławry i jej wierzchołek błyszczący najczystszym złotem.

W połowie sierpnia wyjechał z Kijowa. Piętnastego było w Perejasławiu święto Preczystej, patronki tamtejszego soboru, połączone z dorocznym jarmarkiem. Szewczenko zatrzymał się tam na parę dni.

Tysięczne tłumy wieśniaków i wieśniaczek z bliższych i dalszych okolic, w barwnych strojach narodowych, napęłniły ulice miasta. Wśród tych tłumów panoszyły się czynownicze kaszkiety z bączkami, wysokie czapy stójkowych i ogoniaste giewery żandarmów.

Zamczysko przedstawiało obraz zupełnego zaniedbania.

Szewczenko przypomniał sobie wszystko, co wiedział o dziejach miasta. Serce jego raz jeszcze wzebrało oburzeniem na sprawcę nieszczęść Ukrainy. Niemal improwizując, napisał wiersz:

Jakby to ty, Bohdane pjanyj,  
Teper na Perejasław hlanuw!  
Ta na zamczyszcze podywywś!  
Upywsia b! zdorowo upywś!

· · · · ·  
Amiń tobi, welykyj muże!  
Welykyj, sławnyj! ta ne duże...  
Jakby ty na swit ne rodywś,  
Albo w kołysci szcze upywś...  
To ne kupaw by ja w kaluży  
Tebe przesławnoho...<sup>3</sup>

Z Perejasławia pojechał Szewczenko przez Czernihowszczyznę do Moskwy.

Wstąpił jeszcze do Kaczanówki. Tyle wspomnień wiązało się z tym miejscem. Syn Wasyla Tarnowskiego dał mu księgę pamiątkową i prosił o napisanie kilku słów.

Poeta drżącą ręką nakreślił dwie linijki z dawnego swojego wiersza; w tych dwóch linijkach zawarł wszystko, co chciał zostawić tutaj jako pamiątkę przed opuszczeniem granic ojczyzny:

I steżeczka, de ty chodyła,  
Koluczym ternom porosła...

---

<sup>3</sup> Gdybyś ty, Bohdanie pijanico, || Popatrzył teraz na Perejasław || I na zamczysko spojrzeł, || Upiłbyś się! porządnie byś się upił!

· · · · ·  
„Amen” ci mówię, mężu wielki! || Sławny i wielki! choć nie tak bardzo... || Gdybyś się wcale nie narodził || Albo w kołysce jeszcze schlał się... || To bym nie kąpał cię w kaluży, || Ty mój przesławny...



Młody Tarnowski kręcił głową, czytając potem te słowa. Nie mógł zrozumieć ich sensu.

A Szewczenko jechał dalej, do Petersburga, tą samą drogą, którą przed dwunastu laty odbywał w asyście oficera policji.

Plany osiedlenia się na Ukrainie na razie spełzły na niczym. Tak samo nie powiodły się na razie plany rozwinięcia tam działalności politycznej w porozumieniu z Sierakowskim i jego współtowarzyszami.

Szewczenko jednak z niczego nie rezygnował. Uważał tylko, że musi pewien czas przeczekać, aż uoichną odgłosy niefortunnego konfliktu z policją w powiecie czerkaskim.

Tymczasem wznowił swoje znajomości petersburskie w sferach rewolucjonistów polskich i rosyjskich. Jedni i drudzy zajęci byli przygotowaniami do stworzenia sieci organizacyjnej obejmującej całe imperium. Akcją kierował Czernyszewski, który wyraźnie dążył do oparcia całego ruchu na komitetach krajowych, narodowościowych, aby program walki o reformy społeczne wzmocnić hasłami patriotycznymi.

Sztabem centralnym i organizacją rosyjską miał kierować sam Czernyszewski. Komitet polski miał nadal pozostawać pod kierownictwem Sierakowskiego. Komitetem białoruskim faktycznie już kierował Konstanty Kalinowski. Na przywódcę komitetu ukraińskiego upatrzony był Andrzej Krasowski.

Krasowski właśnie powrócił z podróży zagranicznej. W ciągu kilku pracowicie spędzonych miesięcy — w Niemczech, Szwajcarii, Francji, Turcji i Włoszech — ponawiały liczne kontakty z polską i rosyjską emigracją polityczną. Przywiózł całą pakę książek, broszur i pism o treści rewolucyjnej. Odbył rozmowy

z Garibaldim i innymi działaczami włoskiego risorgimenta, ustalił z nimi zasady współdziałania spiskowców ukraińskich i patriotów włoskich.

Szewczenko znowu się spotykał z przyjacielem. Znowu snuli plany przeniesienia się poety na Ukrainę. To był konieczny warunek dokonania czegoś w społeczeństwie ukraińskim.

Szewczenko wciąż korespondował ze swym szwagrem Warfołomiejem co do nabycia kawałka ziemi. Umyślił ożenić się z jakąś prostą dziewczyną z ludu. Nabycie gruntu gdzieś w stronach rodzinnych i ożenek dałyby Szewczence doskonały pozór do czynienia starań o prawo powrotu na Ukrainę.

Zwrócił się listownie do szwagra i prosił, aby go ten wyswatał z Charytą Dowhopoienko, kripaczką księcia Łopuchina. Poznał ją podczas ostatniej bytności w Korsuniu. Charyta pracowała u Warfołomieja jako najemnica.

Dziewczyna nie chciała wyjść za Szewczenkę. Był dla niej za stary. Jego sławę poetycką miała za nic. Niebawem wpadł jej w oko młody pisarz prowentowy.

Szewczenko wciąż trwał przy swoich projektach matrymonialnych. Szukał innych możliwości.

W styczniu tysiąc osiemset sześćdziesiątego roku wyszło nareszcie drugie wydanie *Kobzarza*, mocno co prawda okrojone przez cenzurę. Szewczenko natychmiast przez jakąś okazję wysłał jeden egzemplarz Herceńowi do Londynu.

Zawiązała się w tym czasie Hromada ukraińska w Petersburgu i Szewczenko bywał na jej zebraniach. <Stał teraz na szczycie sławy. Po śmierci Puszkina i Mickiewicza był największym poetą słowiańskim.>

Przykrą niespodzianką było ukazanie się w emigracyjnym, i to demokratycznym, „Przeglądzie Rzeczy Polskich” paszkwilu na Szewczenkę. Anonimowy ko-

respondent z Kijowszczyzny złośliwie opisywał incydent z aresztowaniem Szewczenki w Czerkasach z powodu jego „błuznierstw”, twierdził, że „chęć rzezi jest w nim, rzekłbyś, instynktowna”, obrzucał poetę wyzwiskami.

Był to formalny donos. Kto wie, czy nie wyszedł spod pióra owego franta, któremu nie w smak poszły Szewczenkowe zarciki.

Jedynie jakiejś dziwnej nieuwadze żandarmów należy przypisać to, iż artykuł „Przeglądu” nie spowodował nowych, ciężkich dla Szewczenki następstw.

Poeta mieszkał nadal w swojej malarskiej celi w Akademii. Sam prowadził gospodarstwo i to go bardzo męczyło — serce miał coraz słabsze, a bóle w piersiach coraz dokuczliwsze.

Myśl o własnym domu stała się natrętna.

Znajomi z Ukrainy, państwo Kartaszewscy, mieli służącą, kripaczkę, Likerię Połusmakow. Szewczenke tak się spodobała, że zaproponował jej małżeństwo. Chciał ją uczyć. Przynosił kwiaty. Pisał do niej wiersze. Snuł idyllę, jak to będą mieszkać na Ukrainie:

Udwoch dywytysia z hory  
Na Dnipr szyrokyj, na jary  
Ta na łany żółtopoli...<sup>4</sup>

W kołach towarzyskich Petersburga owe zaloty sławnego pisarza stanowiły nie lada sensację. Przyjaciele Szewczenki byli tym szczerze zasmuceni. Inni gorszyli się, inni znowu powtarzali złośliwe anegdoty krążące po mieście.

Likeria porzuciła poetę dla jakiegoś fryzjera.

---

<sup>4</sup> We dwoje patrzeć z góry || Na Dniepr szeroki, na wąwozy ||  
I na żółciste łany...

Sierakowski wyjechał za granicę. Ale przedtem jeszcze zjawił się w Petersburgu najserdeczniejszy druh ze stepów kirgiskich, Bronisław Zaleski. W swoim powiecie na Mińszczyźnie, jako ziemianin, przewodniczył komisji do spraw włościańskich. Znalazł sobie uroczą towarzyszkę życia. Brał dalej udział w działaniach patriotycznych. I wkrótce miał się udać do Paryża.

Szewczenko opowiadał Zaleskiemu o swoich ostatnich przygodach, o planach, układanych wspólnie z Zygmuntem. Był zmęczony, nerwy miał rozstrojone. A te jeszcze rzeczy zostało do zrobienia.

Mimo to pracował nie dając sobie najmniejszej folgi.

W salach akademii wystawił w tym czasie pięć doskonałych akwafort i nowy olejny wizerunek własny w stroju ludowym, w kozuchu i barankowej czapce. Było to po rembrandtowsku wykonane popiersie groźnego, władczego wodza-rewolucjonisty.

Szewczenko był w tym czasie niejako sztandarową postacią w walce o przyspieszenie reformy włościańskiej.

Nowy autoportret Szewczenki stał się tematem ożywionych komentarzy i dyskusji w prasie.

Czernyszewski i Dobrołubow w swojej propagandzie rewolucyjnej posługiwali się motywami z życia i twórczości wielkiego barda narodu ukraińskiego.

Wiersze, które Szewczenko wtedy pisał, zdumiewały różnorodnością tematów, głębią myśli i doskonałym kształtem artystycznym.

Trawestował fragmenty *Słowa o pułku Igora*, tworzył intymne liryki, i, naśladując *Psalm Ozeasza*, głosem proroka wołał:

Pohybnesz, zhynesz, Ukrajino,  
Ne stane znaku na zemli,  
A ty pyszałasia kołyś  
W dobri i rozkoszi! Wkrajino!<sup>5</sup>

I tak jak Ozeasz, ukazując widmo zagłady, sam je odpędzał końcowym akordem wiary:

...prawda ożywe,  
Natchne, nakłycze, nażene,  
Ne wetcheje, ne drewno słowo  
Roztlennoje, a słowo nowe  
Meż lud'my krykom pronese  
I lud okradenyj spase  
Od łasky carskoji...<sup>6</sup>

W listopadzie umarła caryca Aleksandra, rzekoma wyzwolicielka poety z poddaństwa.

Szewczenko z pasją, która go zawsze ogarniała przy wspomnianiu ludzi godnych pogardy, napisał epitafium zaczynające się od słów:

Chocza leżaczoho j ne bjut',  
To i poleżať ne dajut',  
Łedaczomu. Tebe ż, o suko!  
I my sami, i nasi wnuky,  
I myrom ludy prokłenut'!  
Ne prokłenut', a tilko plunut'  
Na tych oddojenych szczeniat,  
Szczu ty szczenyła...<sup>7</sup>

---

<sup>5</sup> Zagłada, zguba cię czeka, Ukraino, || Śladu po tobie nie zostanie na ziemi, || A przecie ongi pławiłaś się || W przepychu i dostatku, Ukraino!

<sup>6</sup> ...prawda wskrzesi, || Natchnie, przywoła, przyprowadzi, || Nie stare, nie zgrzybiałe słowo, || Spróchniałe, ale słowo nowe, || Wśród ludzi krzykiem je rozniesie || I lud skrzywdzony uratuje || Od łaski carskiej...

<sup>7</sup> Choć leżące się nie bije, || Lecz i poleżeć się nie daje || Nikczemnikowi. A ciebie, suko! || I my sami, i nasze wnuki, || I wszyscy razem ludzie przeklną! || Albo nie przeklną, tylko pluną || Na te szczenięta wykarmione, || Które zrodziła...

W kilka dni później odwiedził Szewczenko rzeźbiarza Mikieszyna, pracującego nad pomnikiem tysiąclecia Rosji. Na widok olbrzymich postaci Piotra i Katarzyny wpadł Szewczenko w okrutny gniew, rzucił kilka obelżywych wyrazów pod adresem cara, a potem stanął przed figurą carycy i wygłosił napisane niedawno epitafium. Obecni przy tym inżynier Czernenko i powieściopisarz Pomiałowski sądzili, że odnosi się ono do Katarzyny.

Mikieszyn, który znał już epitafium, wyjaśnił im genezę tego utworu.

Czernenko opowiadał potem, że Taras, wypowiadając ostatnie słowa:

.....A ludy tycho  
Bez wsiakoho lychoho lycha  
Caria do kata powedut!<sup>8</sup>

„miał natchnione oczy i twarz proroka”.

Pomiałowski wyraził opinię, że epitafium Szewczenki jest nawet silniejsze niżli *Proroctwo* Lermontowa.

Jakoś na wiosnę Bronisław Zaleski odwiedził Szewczenkę w jego samotnej celi. Przyszedł się pożegnać. Wyjeżdżał razem z żoną do Paryża. Tam przenosił swoją działalność patriotyczną w przededniu spodziewanych wydarzeń.

Opowiadał Szewczence o zwycięstwach Garibaldi'ego. Nad Sycylią powiewał już narodowy sztandar włoski, „zielony jak łąki Lombardii, biały jak śniegi alpejskie i czerwony jak maki w Abruzzach”.

---

<sup>8</sup> .....A ludzie spokojnie, || Bez wielkiego zachodu, po prostu || Cara do kata zaprowadzą!

wicher wolności.

Szewczenko opowiadał przyjacielowi o swoich pracach i zamiarach, pokazywał wiersze, projekt elementarza ukraińskiego. Mówił o chorobie — czuł na szyi jej śmiertcionośny uścisk. I czuł na plecach dotyk żandarmskiej łapy. Śledzono każdy jego krok.

Kiedy się zgadało o smutnej roli, jaką w jego życiu odegrał najpierw student uniwersytetu Pietrow, a później bielą i amarantem. I nad Ukrainą zaszumi

Zaleski wyraził nadzieję, że niedługo i Polska zaniej praporszczyk Isajew, Szewczenko machnął pogardliwie ręką: na swoich zdrajców wydał wyrok niepamięci.

A potem, jakby sobie coś przypomniawszy, wyjął z szuflady tekę z rysunkami. Była to owa suita, którą rozpoczął opracowywać jeszcze w Nowopietrowsku, a wykończył już nad Newą.

Pokazywał rysunki i objaśniał:

— *To Telemak na wyspie Kalipso, to Robinson Crusoe, to Samarytanka, to Narcyz, to Święty Sebastian, to Umierający gladiator, to Diogenes.*

Zaleski oglądał rysunki i myślał: „To wszystko są postacie ludzi, którzy cierpieli i umierali w samotności. Jakże samotny czuć się musi twórca tego dzieła, chociaż mu nigdy nie zbywało i nie zbywa na przyjaznych sercach”.

Ostatni obrazek uderzył Zaleskiego niezwykłą siłą ekspresji artystycznej i dramatyzmem przedstawionej na nim sceny.

Mężczyzna o wyglądzie siłacza chce wyrwać ręce zaciśnięte w pniu drzewa. Na jego twarzy małuje się straszliwe, pełne rozpaczny natężenie. A z lasu biegnie w jego stronę drapieżny zwierz...

— Milo z Krotony — powiedział Szewczenko.

Nagle twarz mu się wykrzywiła z bólu. Chwycił go kolejny atak dusznicy. Gdy mu to przeszło, rzekł:

— Ręce mam związane, brak mi powietrza. Nie ma tu dla mnie ratunku...

I po chwili dodał:

— Na fińskim błocie.



## W STRONĘ UKRAINY

W jesieni odbyła się uroczysta promocja Tarasa Szewczenki na członka akademii w klasie sztycharstwa.

Przy dźwiękach surm i litaurów odczytano jego nazwisko.

Wkrótce potem zdrowie poety tak się pogorszyło, że doktor Bari zabronił mu wychodzić z domu.

— Hydrops — powiedział krótko do obecnego przy badaniu doktora Kroniewicza.

Oznaczało to puchlinę wodną. Chory mógł żyć jeszcze jakiś czas pod warunkiem najściślejszego przestrzegania higieny i odpowiedniej diety. Potrzebna mu była nieustanna opieka.

Na szczęście, dawny druh i protektor Szewczenki z czasów orenburskich, Michał Łazarewski, mieszkał w pobliżu. Często odwiedzał teraz poetę albo mu przysyłał służącego do pomocy w gospodarstwie.

Nie mogąc zajmować się innymi sprawami, które mu leżały na sercu, poeta wszystkim czas poświęcał na opracowywanie swoich pomysłów oświatowych. Oddał do druku *Bukwar* i kreślił śmiały program oświaty przed-szkolnej i pozaszkolnej. Chciał stworzyć nowy system

wychowania publicznego — wszechstronny i związany z tradycją narodową.

Kostomarow, który zaglądał od czasu do czasu, czytając zapiski pedagogiczne Szewczenki nie mógł wyjść z podziwu: Szewczenko w swoich pomysłach wyprzedzał teorie znakomitych ówczesnych pedagogów, Rosjanina Pirogowa i Ukraińca Uszyńskiego.

A poezje Szewczenki coraz szerzej docierały już do obcych czytelników: na język rosyjski przekładał je niestrudzony Pleszczejew, a na polski — Leonard Sowiński.

W Wilnie, w tłumaczeniu i ze wstępem Sowińskiego, miał niedługo wyjść poemat *Hajdamacy*.

Z Kijowa i Charkowa napływały pocieszające wiadomości o zakładaniu szkół niedzielnych.

W styczniu petersburscy Ukraińcy zaczęli wydawać „Osnowę”, miesięcznik poświęcony sprawom kultury ukraińskiej. Redaktorem został dawny bratczyk, Wasyl Biłozerski. Na łamach miesięcznika, prócz Szewczenki, Kostomarowa, Kulisza i innych, znanych już pisarzy, zjawiły się nazwiska nowe, jak: Marko Wowczok (właściwie Maria Wilińska, żona dawnego bratczyka, Opanasa Markowicza), Leonid Hlibow, Stepan Rudański, Anatol Swidnicki i Danyło Mordowec.

Szewczenko widział, że ukraiński dąb, osmalony piorunami burz, nadszarpnięty wichurą, wysuszony skwarem, stoi jednak dumnie i mocno.

A od korinnia tycho, lubo  
Zełeni parosti rostut' —<sup>1</sup>

napisał w jednym z wierszy, a następnie z całą mocą przekonania dodał: „I wyrostut.”

---

<sup>1</sup> A od korzeni wolno, ładnie || Zielone pędy wyrastają.

Aż do Bożego Narodzenia przestrzegał rad i wskazówek lekarzy — rzadko wychodził z domu. Na święta wyciągnęli go jednak znajomi; chcieli go trochę rozruszać, wyrwać z samotności i przygnębienia. Szewczenko „pokoladował” kilka dni i raptem poczuł się bardzo źle.

Wiedział, że niedługo umrze. Siedział w mieszkaniu i czekał na Kosiarza — tego, co „ponad polem ide...”

Cierpiał. Bóle w piersiach spotęgowały się tak bardzo, że chwilami tracił oddech.

Ale wciąż pracował.

W styczniu dostał wzruszający list od dawnego towarzysza niedoli wygnańczej, Feliksa Fijałkowskiego.

„Kochany Tarasie! — pisał po polsku Fijałkowski. — Pamiętasz zapewne nasze pożegnanie w Nowopietrowsku, kiedyś siadał w małą koczowózkę? Miłą była dla mnie ta chwila i zarazem smutną, kiedy patrząc za Tobą, w krótkim czasie straciłem Cię z oczu; dziś pozostało mi tylko miłe wspomnienie o Tobie, a z Twojej wierzby (pod którą w wiliją mego znów wyjazdu upiłem się z pocziwym Kulichem) zerwane listki przechowuję u siebie, jakby jaki skarb drogi...”

I zawiadamiał dalej:

„...już upływa dwa lata, jak jestem żonatym, mam niewielki majątek, wróciłem na powrót do Radomia i jestem w szpitalu Świętego Kazimierza intendentem, czyli smotrytelem, jestem dobrze widziany u władzy, odbieram piśmienne podziękowania, a nawet i gratyfikacje, słowem powiedziawszy, powodzi mi się dobrze. Mojej żonie opowiadam o Tobie, rada by Cię widzieć i pragnie, żebyś z nami mieszkał. Bądź zdrow, ściskam Cię serdecznie. Twój szczerze kochający Cię kolega Felix Fijałkowski”.

Szewczenko się zastanawiał: może by tak skoczyć



Pod koniec miesiąca, przesyłając życzenia imieninowe jednemu z przyjaciół, Iwanowi Mokryckiemu, pisał: „Jestem chory, już drugi miesiąc nie puszczają mnie nie tylko na ulicę, ale nawet na korytarz. I nie wiem, czym się skończy to moje pustelnictwo”.

Trzeciego marca Aleksander Drugi podpisał manifest o zniesieniu pańszczyzny, ale manifestu nie ogłoszono. Car bał się rozruchów — zdawał sobie sprawę, że chce oszukać ludzi.

Szewczenko rozmawiając na ten temat z inżynierem Czernenką, wyrażał gniew i oburzenie.

Pomstował na dziedzica Flonkowskiego, obecnego właściciela Kiryłówki, który niedawno zwolnił z poddaństwa rodzinę poety, ale nie dał im ani kawałka ziemi.

Tymczasem nadeszły z Warszawy wiadomości o krwawych zaburzeniach. Kozacy szarżowali na Krakowskim Przedmieściu. Uroczysty pogrzeb pięciu poległych zamienił się w wielką manifestację patriotyczną.

Michał Łazarewski opowiadał Szewczence o nabożeństwie żałobnym, które się odbyło w kościele katolickim w Petersburgu. Stawiła się tłumnie kolonia polska. Korporacja studentów polskich czuwała nad porządkiem. Przyszło wielu Ukraińców i Rosjan, między innymi profesor Kostomarow. Po nabożeństwie student Władysław Choroszewski zaintonował *Boże, coś Polskę*. Wszyscy uklękli i w ogromnym uniesieniu odśpiewali hymn.

---

Zmęczyliśmy się, nachodzili, || Rozumu jednak też nabrali. ||  
Dosyć już tego! — chodźmy spać, || Chodźmy odpocząć sobie  
w chacie. || Wesoła chata, mówię ci! wesoła!

Szewczenko ubolewał, że choroba nie pozwoliła mu przyjść na nabożeństwo.

Dziewiątego marca wypadały urodziny Tarasa Szewczenki.

Już dzień przedtem zaczęły napływać listy i depesze z życzeniami.

W dniu imienin pierwszy, z samego rana, przyszedł niezawodny Michał Łazarewski.

Szewczenko wiał się na łóżku — woda zalewała mu płuca i sprawiała straszliwy ból.

Gdy przyniesiono depeszę z Połtawy, ledwo mógł wykrztusić:

— Spasybi, szczo ne zabuwajut'.

Przyszli lekarze, Bari i Kroniewicz. Kazali choremu przyłożyć kantarydy.

Szewczenko poczuł się lepiej. Znow zaczął snuć projekty wyjazdu na Ukrainę. Mówił Łazarewskiemu, że na wiosnę koniecznie musi tam pojechać.

Wiedział, że niedługo umrze, ale pragnął, żeby to nastąpiło w ojczyźnie.

Wieczorem znowu przyszli lekarze — Bari i zaraz po nim Kroniewicz. Przyłożyli choremu kantarydy. To mu dało ulgę.

Na noc został przy nim służący Łazarewskiego.

Rano, o piątej, Szewczenko obudził się i poprosił o szklankę herbaty. Potem poprosił o posprzątanie antresoli, a sam zszedł na dół do pracowni.

W pracowni przy oknie stał Kosiarz. Wysoki, barczysty chłop w ludowym stroju ukraińskim. W ręku trzymał kosę, pobrzękującą metalicznie, srebrną.

Na podłodze leżały paczki z Bukwarem. Dziś należało je wysłać.

Szewczenko poczuł w piersiach ostry, przesywający ból. Dusił go gniew na tych wszystkich, co mu zmarnowali taki szmat życia i przeszkodzili w tylu zamierzeniach. Zamknął oczy.

Kiedy je otworzył, dekoracja nagle się zmieniła. Kosiarz odszedł.

Szewczenko znów był na Ukrainie. Na progu chaty ukraińskiej. Wnętrze składało się z podłużnej sionki, obszernej, ale niezbyt widnej izby, pobielonej kredą, oraz małej komory. W kącie głównym wisiał obraz, osłonięty ręcznikiem, wyszywanym czerwoną i granatową włóczką, a przed obrazem płonęła świeca. Pod oknem stał nieduży stół, opodal zaś bodnia. Ławki były czyste, ziemia dobrze ubita i zamazana gliną. Na policach sprzęt wszelki, starannie ustawiony. Skrzynia wzorzysta w jednym kącie. Na przypiecku dzieża chleba. Pęki ziół rozmaitych u belki pułapu.

W drzwiach komory stała dziewczyna. Ciemnowłosa. Czarnobrewa.

Uśmiechała się.

Była ciepłym i światłem, i ożywczym powietrzem ojczyzny.

Szewczenko wyciągnął ręce i szepnął:

— Oksana...

Zrozumiał, że nie umrze. Nigdy.

Zrobił krok naprzód i upadł.

Trumna stała w Akademii Sztuk Pięknych. Czerwone rolety w oknach kaplicy siały czerwonawy półcień na spokojne oblicze zmarłego.

Trzej artyści, Wereszczagin, Mikieszyn i Ejsner, malowali Szewczenkę w trumnie.

Tłumy Ukraińców, Rosjan i Polaków przychodziły z ostatnim hołdem.

Po trzech dniach odbył się pogrzeb.

Kondukt pogrzebowy wyruszył z akademii na cmentarz Smoleński. Za trumną szli prawie wszyscy profesorowie uniwersytetu, wybitni pisarze i olbrzymia rzesza młodzieży akademickiej.

Korporacja polska stawiała się gremialnie.

Trumnę nieśli na ramionach studenci ukraińscy.

Całe nadbrzeże Newy od mostu Pałacowego do Mikołajowskiego zapchane było ludźmi.

Prószył śnieg. Jakaś kobieta powiedziała:

— Ukraina płacze po swoim ojcu śnieżnymi łzami.

Na cmentarzu wygłoszono siedem przemówień; cztery w języku ukraińskim, dwa w rosyjskim i jedno po polsku.

Poeta Mikołaj Kuroczkin powiedział: „Całe jego życie było jednym pasmem udręk, zaledwie pod koniec uśmiechnęło mu się szczęście; ujrzał zaczątek tego dzieła społecznego, do którego dążył całą duszą. Nie o wiewielu można powiedzieć to, co o nim: spełnił swój obowiązek do końca. Teraz czeka go inne szczęście, pośmiertne — sława.”

Kostomarow zegnał się z poetą słowami pieśni ludowej, którą ongiś kobzarze śpiewali w lesie Motroneńskim:

Sława twoja ne wmre, ne polaże!  
Bude sława sławna  
Pomiż kozakamy,  
Pomiż druziamy,  
Pomiż lycariamy,  
Pomiż dobrymy mołodciamy!

Kulisz wygłosił dobrze, po literacku opracowaną mowę.



W imieniu studentów polskich przemawiał Władysław Choroszewski:

„Niech też polskie słowo, krótkie, ale serdeczne, zabrmi przy twojej trumnie, zacny rusiński wieszczu! Tyś kochał swój kraj ojczysty, swój Dniepr siwy, swój lud siermiężny, tyś tego ludu był dzielnym śpiewakiem; na łzę jego tyś zawsze łzą odpowiadał — cześć tobie! Tyś pono nie lubił Polaków, ale tę niechęć ku nim sprawiły w tobie dawne ich błędy, z których na lud twój, przez ciebie gorąco umiłowany, wielkie spłynęły cierpienia; więc tej niechęci przyczyna w tym leży: «Żeś kochał wielu, żeś kochał wiele». Niechże przy twojej trumnie wszelkie umilkną wyrzuty, niech tylko serdeczne brzmi słowo: Cześć tobie! Za błędy ojców nie odpowiadają synowie; nie poruszajmy więc tutaj starych waśni dawno upłynionej przeszłości; powiedzmy raczej przy tych zwłokach braterskie: Kochajmy się. Oby śmierć twoja, zacny Tarasie, i ten uroczysty a smutny obrzęd twojego pogrzebu nowego życia był początkiem! Oby na twojej trumnie kilka przynajmniej nienawiści ustało, oby ten mały początek zradzał w przyszłości coraz więcej wzajemnego zrozumienia się, braterstwa i dawnych krzywd zapomnienia, jak małe ziarnko do ziemi wrzucone obfity plon zradza. Byłby to najpiękniejszy wieniec na cześć twoją i najwspanialszy tobie pomnik, Tarasie”.

Wieczorem Michał Łazarewski zaprosił do siebie najbliższych przyjaciół zmarłego.

Postanowiono doczesne szczątki Tarasa Szewczenki, zgodnie z jego poetyckim testamentem, przewieźć na Ukrainę i pochować tam, gdzie poeta za życia chciał się osiedlić.

Szczob łąny szerokopoli,  
I Dnipro, i kruczi  
Buło wydno, buło czuty,  
Jak rewe rewuczuj...

W maju trumnę Szewczenki przewieziono koleją do Moskwy, a stamtąd końmi do Kijowa.

Koło mostu Łącuchowego studenci kijowscy wyprzęgli konie i sami pociągnęli karawan do cerkwi na Padole.

Rano do tej cerkwi przyszły tysiące mieszkańców miasta i chłopów okolicznych z wiankami i naręczami kwiatów.

Podczas nabożeństwa przez tłum przecisnęła się jakaś dama w grubej żałobie, zawoalowana, i złożyła na trumnie wieniec cierniowy.

Wszyscy obecni byli tym wstrząśnięci.

Policja zabrała wieniec.

W dwa dni później trumnę wniesiono na pokład parostatku „Krzemieńczuk”. Przedtem jeszcze wygłoszone zostały cztery mowy pożegnalne, po ukraińsku, po polsku, po rosyjsku i po serbsku.

Parostatek przybił do brzegu dwa kilometry poniżej Kaniowa. Odtąd ceremonią żałobną zarządzał jeden z najbliższych kolegów i przyjaciół Szewczenki z ostatnich lat jego życia, artysta malarz Hrihorij Czestachowski.

Całą drogę, aż do miejsca wiecznego spoczynku na wysokim brzegu dniewowym, dziewczęta ukraińskie wysłały liśćmi i kwiatami.

Przed trumną niesiono portret Szewczenki; za portretem szli teorbaniści i przygrywając śpiewali stare pieśni kozackie.

Za trumną postępowali najbliżsi krewni zmarłego,

bracia, siostry i szwagrowie z dziećmi, wszyscy w ludowych świtkach ukraińskich.

Dalej — tysiące ludzi, studentów, chłopów i mieszczan.

Nad samym grobem ksiądz prawosławny, Mackiewicz, powiedział:

— Dopiero przyszłe pokolenia będą mogły naprawdę ocenić, czym był dla Ukrainy Taras Szewczenko.

Po pogrzebie jakiś student wszedł na głaz przydrożny i obwieścił po ukraińsku i po polsku, gdzie i o której godzinie odbędzie się w Kijowie nabożeństwo za Polaków, którzy w lutym tego roku padli na ulicach Warszawy podczas manifestacji patriotycznych.

Potem wieśniacy i studenci pod kierunkiem Czestachowskiego przez kilka dni sypali ziemię na grób.

Kiedy wyrósł potężny kurhan, obłożyli go darnią i postawili na nim prosty dębowy krzyż.

Od tego czasu ilekroć ludzie, swoi czy obcy, zastanawiają się nad życiem i dziełem Tarasa Szewczenki, myśli ich biegną w stronę tego kurhanu nad Dnieprem, w stronę Ukrainy.

## EPILOG

### GŁĘBIA NOCY

Opowieść o Szewczence należy uzupełnić pobieżnym bodaj sprawozdaniem o losach niektórych przynajmniej ludzi i spraw, szczególnie związanych z jego osobą.

Ludzi tych było dużo; wielu odegrało wybitną rolę w dziejach umysłowych i politycznych Ukrainy, Polski czy Rosji, Słowiańszczyzny czy Europy. A sprawy społeczne i narodowe, których Szewczenko był nie tylko świadkiem i badaczem, ale też uczestnikiem, nie skończyły się, rzecz prosta, z chwilą jego śmierci. Trwały i rozwijały się, on zaś dalej brał w nich udział myślami wyrażonymi jeszcze za życia w twórczości literackiej i malarskiej oraz tym wpływem, jaki wciąż wywierał na współrodaków i na obcych, zwłaszcza z zaufanego grona spiskowego.

Rok śmierci Tarasa Szewczenki był rokiem wzmoczonej, niemal gorączkowej działalności publicystycznej i organizacyjnej trzech najwybitniejszych demokratów rosyjskich, rewolucjonistów — Czernyszewskiego, Dobrolubowa i Pisariewa. Wszyscy trzej jak gdyby prze-

czuwali, że pozostało im niewiele czasu na urzeczywistnienie swoich zamierzeń.

Rząd carski, który od czasów wojny krymskiej czuł pod sobą nader niepewny grunt, w obliczu wzrastającego niezadowolenia mas włościańskich z ogłoszonej reformy i w przededniu spodziewanego powstania na ziemiach polskich starał się stłumić zarzewie „buntu” i zlikwidować najgroźniejsze ośrodki rewolucyjne. Ze względów zrozumiałych zwrócił główną uwagę na centrum państwa tudzież na Litwę i Ukrainę.

Traf przyszedł rządowi z pomocą: w pół roku po Szezwence umarł, wycieńczony suchotami i nadmierną pracą, Dobrolubow. Zeszli ze sceny dwaj nieprzejednani wrogowie samowładztwa.

W roku następnym, w lipcu, prawie jednocześnie aresztowano Czernyszewskiego i Pisariewa.

Czernyszewski dwa lata przesiedział w twierdzy Petropawłowskiej, a potem, mimo iż mu właściwie nic nie udowodniono, został skazany na siedmioletnią katorgę i wieczne osiedlenie na Syberii. Spędził tam bez mała dwadzieścia lat. Kiedy mu pozwolono wrócić, był już niezdolny do jakiegokolwiek działania. Wkrótce zakończył życie.

Pisariew przesiedział w więzieniu pięć lat, a gdy go wypuszczono, niebawem utonął podczas kąpieli morskiej pod Rygą.

Tak zeszli ze sceny dwaj inni zacięci i niebezpieczni wrogowie caratu. Ruch rewolucyjny rosyjski został na długo sparaliżowany.

W cztery lata po Czernyszewskim umarł Blanqui. Miał lat siedemdziesiąt sześć. Z tego — czterdzieści spędził po różnych więzieniach.

Śmierć Czernyszewskiego i Blanquiego zamknęła osobny rozdział w biografii ducha rewolucyjnego Europy. Obydwaj — w różnych warunkach, pod różnymi długościami i szerokościami geograficznymi — odegrali podobne role. Obydwaj byli generałami bez armii, ale trudno sobie wyobrazić bez nich dzieje nowoczesnej społeczności europejskiej. Obydwaj byli potrzebni historii jak sól potrzebna jest morzu. Łączyła ich ta sama czystość moralna i to samo zapatrzenie w przyszłe losy świata. Obydwaj bardziej należą do wieku dwudziestego czy nawet dwudziestego pierwszego niż dziewiętnastego.

Już po aresztowaniu Czernyszewskiego powstało, oparte na jego poglądach tajne stowarzyszenie pod nazwą Ziemia i Wola. Nawiązało ono stosunki ze spiskowcami polskimi — Sierakowskim, Padlewskim, Dąbrowskim i Ohryzką — ale nie zdołało skupić większej ilości ludzi zdolnych i energicznych, nie rozwinęło szerzej akcji, nawet propagandowej. Wobec fali antypolskich nastrojów, jaka ogarnęła społeczeństwo rosyjskie po wybuchu powstania w Polsce, stowarzyszenie okazało się bezsilne, aby okazać istotną pomoc walczącym Polakom. Po dwóch latach dosyć jałowego istnienia rozpadło się i wkrótce nawet pamięć o nim zaginęła.

Zabiegając o pomoc demokratów rosyjskich, Polacy zwrócili się do Hercena. W delegacji, która udała się do Londynu, brał udział Zygmunt Padlewski.

Przedtem jeszcze z Hercenem konferował Sierakowski.

Polacy złożyli wodzowi demokracji rosyjskiej solen-

ne i formalne zapewnienie, że respektują prawa narodowe Ukraińców i Białorusinów.

Jarosław Dąbrowski został aresztowany jeszcze przed wybuchem powstania. Zdołał jednak z drogi na Sybir uciec i w kilka lat później ogłosił w Paryżu list otwarty do emigracji, w którym zakwestionował dogmat granic historycznych Polski i żądał uznania niepodległości Ukrainy./

Taki plon wydała przyjaźń i współpraca wybitnych patriotów, demokratów polskich z patriotą i czołowym przywódcą demokracji ukraińskiej, Tarasem Szewczenką.

Na gruncie francuskim i włoskim duże znaczenie dla tej problematyki miała również działalność publicystyczna, którą uprawiał eks-kijowianin, historyk Franciszek Duchiniński. Zwłaszcza w okresie wojny krymskiej nawoływał on przywódców emigracji, aby oprócz żądań w sprawie niepodległego państwa polskiego wysunęli też żądanie odbudowy niepodległej Ukrainy.

Duchiniński był znawcą, wielbicielem i popularyzatorem utworów Szewczenki. Jednym z argumentów, którymi uzasadniał swoją „tezę ukraińską”, było to, że naród szczytujący się tak genialnym poetą jak Szewczenko nie może być pozbawiony własnego życia państwowego.

Z najbliższych ukraińskich przyjaciół Szewczenki, którzy wychowali się na jego poezjach, najszerzej rozwinął skrzydła do lotu, najwyżej wzleciał i wkrótce potem najtragiczniej skończył podpułkownik Andrzej Krasowski.

W trzy miesiące po śmierci poety otrzymał upragnioną nominację do Kijowa — na posadę wychowawcy w Korpusie Kadetów. Jesienią tegoż roku ponawiały już nici poufnych stosunków z działaczami polski-

mi w Kijowie, w pierwszej linii z Izydorem Kopernickim.

Początkowo Krasowski pracował w jednej sieci organizacyjnej z Polakami, wprowadziwszy do niej spory zastęp Ukraińców, jak na przykład Eugeniusza Mossakowskiego, który właśnie opuścił mury uniwersytetu i również dostał posadę nauczyciela w Korpusie Kadetów.

W pierwszych miesiącach następnego roku z tej wspólnej organizacji wyłoniły się dwa samodzielne, ale najściślej z sobą współpracujące komitety: polski, pod przewodnictwem Kopernickiego, i ukraiński, pod przewodnictwem Krasowskiego.

Tajny polski komitet w Petersburgu, działający pod kierunkiem Józefata Ohryzki, wyznaczył Krasowskiego na korespondenta, czyli męża zaufania w guberniach ukraińskich.

W porozumieniu z emisariuszem tegoż komitetu, Stefanem Bobrowskim, który mniej więcej w tym czasie został oddelegowany z Petersburga do Kijowa, podpułkownik Krasowski rozwinął energiczną działalność propagandową, zwłaszcza wśród żołnierzy i chłopów. Bobrowski w murach Ławry Kijowsko-Pieczarskiej założył tajną drukarnię, w której tłoczono odezwy antyrządowe w języku polskim i ukraińskim. Zaczęto wydawać czasopismo rosyjskie „Wielkorus” i polskie — „Odrodzenie”.

Najbliższymi współpracownikami podpułkownika, poza wspomnianym wyżej Mossakowskim, stali się teraz Ukraińcy, Włodzimierz i Mikołaj Synehubowie, oraz Polacy, Antoni Jurjewicz i Mikołaj Zagórski.

Z Jurjewiczem urządził podpułkownik wyprawy agitacyjne na prowincję. Z Zagórskim współdziałał przy zakładaniu szkół niedzielnych. Jedną z nich nazwano Szkołą Tarasa. Uczył w niej sam Krasowski.



Zaprzyjaźnił się podpułkownik również z Iwanem Soszenką oraz ze szwagrem Tarasa, Warfołomiejem Szewczenką. Jeździł do niego do Korsunia.

W robocie agitacyjnej nie rozstawał się Krasowski z utworami Tarasa, zwłaszcza tymi nielegalnymi. Sam je przepisywał i dawał innym do przepisywania.

Miał już Krasowski liczną, dobrze rozgałęzioną organizację spiskową, kiedy nastąpiła katastrofa.

W lecie tysiąc osiemset sześćdziesiątego drugiego roku Kijowszczyzna stała się widownią licznych buntów chłopskich. W celu ich uśmierzenia z Kijowa wysłano wojsko. Krasowski natychmiast ułożył odezwę do żołnierzy, w której tłumaczył im, że nie powinni strzelać do bezbronych współbraci. Przebrany w ludowy strój ukraiński, sam tę odezwę rozpowszechniał na terenie koszar Żytomierskiego Pułku Piechoty. Poznano go. Dnia osiemnastego czerwca został aresztowany.

W mieszkaniu podpułkownika żandarmi znaleźli stos książek, broszur i papierów o treści rewolucyjnej oraz dwie duże fotografie: Szewczenki i Garibaldiego z ich własnoręcznymi podpisami.

Po paromiesięcznym śledztwie, które Krasowski zniósł jak najmężniej, nie zdradziwszy nikogo, sąd polowy skazał go na karę śmierci. W drodze łaski carskiej zamieniono mu ten wyrok na katorgę syberyjską. Reskrypt cara odczytano skazańcowi dopiero wówczas, kiedy już stał przed lufami karabinów. Obecna przy tej scenie żona Krasowskiego dostała pomieszania zmysłów.

Chory na suchoty i wycieńczony długotrwałym więzieniem Krasowski powędrował w kajdanach aż do Irkucka.

W dwa lata później spotkał się w jednej kopalni z Czernyszewskim oraz wieloma powstańcami polskimi z Ukrainy.

Na Syberii żył również poezją Szewczenki. Jego *Kaukaz* zapisał z pamięci łacińskim alfabetem i podarował swojej znajomej Polce, niejakej pani Krynickiej.

Krasowski popełnił samobójstwo podczas próby ucieczki z zesłania, nie chcąc się oddać żywym w ręce żołnierzy carskich.

Zostawił obszerny testament, w którym nakreślił zasady swojego programu politycznego: zniesienie samowładztwa, ustanowienie rządów republikańskich, wyzwolenie narodów.

W jednym z ustępów testamentu ten patriota ukraiński z dumą powiada, że car zabrał mu wszystko, ale musiał zostawić i zostawił „czysto polskie nazwisko”, splamione ongiś przez „waleczne czyny ojca na wojnie z Polakami”, lecz teraz przez cierpienia syna oczyszczone „z mongolskiej kary i bizantyjskiego brudu”.

Na zesłaniu syberyjskim Krasowski pisał dalej wiersze po polsku i po ukraińsku. Wyrażał w nich myśli o demokracji, o wyzwoleniu narodowym Polski i Ukrainy; gromił kolonialną politykę caratu.

Krasowski w całej swojej działalności rewolucyjnej był jakby żywym wcieleniem idei głoszonych przez Tarasa Szewczenkę.

Z Petersburga w ciągu krótkiego czasu różnymi drogami udało się do powstania około tysiąca Polaków, niemal wyłącznie oficerów, studentów i absolwentów wyższych uczelni. Niewielu z nich uniknęło kuli, stryczka albo tajgi syberyjskiej. Przyjaciele Czernyszewskiego i Szewczenki, Zygmunt Sierakowski i Zygmunt Padlewski, zginęli śmiercią rewolucjonistów: pierwszego powieszono w Wilnie, drugiego rozstrzelano w Płocku. W kilka lat później na barykadach Paryża padł Jarosław Dąbrowski.

Na Ukrainie ruch powstańczy objął prawie całą młodzież kijowską — studentów uniwersytetu i uczniów starszych klas gimnazjalnych oraz wielu urzędników, oficerów i rzemieślników. Z Kijowa w krótkich odstępach czasu wyruszyły do powstania cztery grupy, liczące razem przeszło tysiąc ludzi. Wojsko carskie rozbiło je i niebawem kazamaty fortecy kijowskiej tudzież więzienia we wszystkich większych miastach Ukrainy zapełniły się powstańcami.

W Kijowie w jednym z kazamatów spotkali się towarzysze broni, Polacy i Ukraińcy, przedstawiciele różnych pokoleń: Aleksander Szumowski, Julian Belina Kędrzycki, Włodzimierz Synehub i najmłodszy z nich wszystkich — szesnastoletni Franciszek Gawroński.

Ostatni dwaj byli uczniami Iwana Soszenki.

Ruch zbrojny na Ukrainie zamarł szybko, nie znalazłszy poparcia w masach ludowych. Masom tym brakło odpowiedniej miary przywódców.

Idea ekspiacyjna polska wobec ludu ukraińskiego znalazła ostatni, najtragiczniejszy wyraz w pamiętnej wyprawie Antoniego Jurjewicza. Młody ten entuzjasta-ukrainofil wraz z dwudziestoma kolegami studentami ruszył w kierunku Radomyśla, po drodze odczytując we wsiach tak zwaną *Złotą hramotę*, czyli manifest rządu powstańczego, przyrzekający ludowi ukraińskiemu ziemię i wolność. We wsi Sołowijówka pod Radomyślem zastąpili im drogę uzbrojeni chłopci, zaagitowani przez policję i popów. Powstańcy nie chcieli użyć broni, aby siłą utorować sobie drogę, nie chcieli przelewać krwi tych, za których sami gotowi byli własną krew przelać. Większość padła na miejscu pod ciosami cepów i kos. Kilku ciężko rannych wzięli na wozy żołnierze rosyjscy i odstawili do Kijowa. Jurjewicz, leżąc na ziemi, cały okrwawiony, z połamanymi

żebrami, zawołał jeszcze: „Koledzy! darujcie im, niech żyje Polska!”

W wielu miejscowościach Ukrainy powtarzało się to samo: powstańcy odczytywali chłopom *Złotą hramotę*. a chłopci pomagali wojsku i policji rozbierać i zabijać powstańców.

Policja carska mogła się poszczycić takim samym sukcesem, jaki siedemnaście lat przedtem przypadł w udziale policji habsburskiej: udało się jej wiekową nienawiść chłopów do swoich ciemżycieli-ziemian zwrócić przeciwko tym, którzy ludowi chcieli wywalczyć lepsze warunki bytu.

Masom ukraińskim brakło przywódców na miarę wielkich wydarzeń historycznych. Nie było Krasowskiego. Nie było Szewczenki.

Ze strony ukraińskiej zaznaczyły się jednak objawy sympatii dla sprawy powstania polskiego.

Utworzony przez podpułkownika Andrzeja Krasowskiego tak zwany Komitet Małorosyjski, mimo aresztowania przywódcy, działał dalej i w porozumieniu z polskim Komitetem Rusi przygotowywał się do wzięcia udziału w powstaniu. Na wiosnę tysiąc osiemset sześćdziesiątego trzeciego roku zbrojna grupa młodzieży ukraińskiej pod wodzą braci — Włodzimierza i Miłkołaja Synehubów oraz braci — Wiktora i Leonida Potockich udała się za Dniepr, w kierunku Perejaśławia, zamierzając wywołać tam ruchawkę chłopską; miała to być forma pomocy dla walczących Polaków, ustalona przez władze spiskowe petersburskie i kijowskie. Wszyscy uczestnicy wyprawy Synehuba zostali po drodze wyłapani przez wojsko i policję. Polacy jednak wdzięcznym sercem ocenili bohaterski wysiłek swoich ukraińskich kolegów.

Kiedy w listopadzie tegoż roku na wałach fortecy kijowskiej rozstrzelany został Władysław Padlewski, tuż po nim przed lufami plutonu stanął Ukrainiec, prawosławny, oficer kawalerii powstańczej, Płaton Kryżanowski.

Mimo iż masy ludu ukraińskiego zachowały obojętność wobec toczącego się powstania, wielu Ukraińców zaciągnęło się do szeregów powstańczych, pragnąc z własnej nieprzymuszonej woli wziąć udział w walce z ujarzmicielem narodów — caratem.

Poeta ukraiński, dawny „król bałagunów”, potem konarszczyk, Antoni Szaszkiewicz, sam już niezdolny do wojaczki, przyprowadził osobiście i oddał pod komendę generałowi Edmundowi Różyckiemu trzech swoich synów.

W szwadronach jazdy Różyckiego często rozbrzmiewała mowa ukraińska i dzwoniły pieśni ludu ruskiego.

Do tych młodych Ukraińców odnoszą się też słowa poety: „Miasto kroci dwiestu wstało, dwiestu będzie żyć; bo tych dwiestu rękę dało hańbę kroci zmyć”.

Zaraz po śmierci Tarasa Szewczenki wzmogła się i niebawem doszła do szczytu akcja rusyfikowania Ukrainy. Generał-gubernator kijowski zabronił rozpowszechniania utworów zmarłego poety. A władze petersburskie wydały zakaz kolportażu pism i książek z tekstem ukraińskim drukowanym czcionkami łacińskimi: chodziło o to, aby przeciąć dopływ literatury propagandowej i oświatowej wydawanej za kordonem, głównie w Galicji.

Rząd carski dobrze wiedział, że tę propagandę uprawiają Polacy. Żandarmi wyłapywali mnóstwo odezw politycznych o treści antyrządowej, ale wciąż ukazywały się nowe i siały niepokój w społeczeństwie ukraiń-

skim. Kiedy namiestnik Królestwa, wielki książę Konstanty, ogłosił orędzie do Polaków i wyliczył wszystkie łaski carskie, jakie na nich spłynęły, czyjeś ręce rozrzuciły po całej Ukrainie następującą odezwę: „Oddaj, carze, wszystko, co zagarnąłeś ze współnikami swej zbrodni, a i wtedy nie udzielisz żadnych łask! Wreszcie darzysz czymś Polaków, a za kogoż masz Ukraińców i Litwinów, których jednocześnie z największego ich dobra, bo z wolności odarłeś, że im nic z tych łask nie udzielasz — bo czekasz, aż będziesz zmuszonym”.

Władzom carskim rzucało się w oczy i to, że Polacy biorą udział w szerzeniu oświaty ukraińskiej. Urzędówki wydawane w języku rosyjskim — „Kijewskij Tielegraf” oraz „Wiestnik Jugo-Zapadnoj i Zapadnoj Rossii” — były na alarm. „Kto stara się — pisał «Wiestnik» — o wprowadzenie języka małosyjskiego do szkół ludowych? Polacy.” „W roku ubiegłym — pisał „Tielegraf” — zgłoszono do cenzury trzydzieści dziewięć rękopisów i książek ukraińskich. Większość z nich była napisana przez Polaków.”

W roku tysiąc osiemset sześćdziesiątym drugim na Ukrainie działało około siedemdziesięciu szkół niedzielnych, z tego dziewięć w samym Kijowie. Na kilka miesięcy przed wybuchem powstania władze carskie nakazały zamknięcie tych szkół, mimo że skarb państwa nie dawał na nie ani grosza.

Wielkie dzieło Tarasa Szewczenki i jego współwyznawców ideowych zostało zniszczone.

Jednocześnie rząd zabronił dalszego wydawania petersburskiej „Osnowy”, chociaż to pismo odznaczało się daleko posuniętym lojalizmem. Żandarmi jednak i tu zwęszyli „intrygę polską”.

W lecie tysiąc osiemset sześćdziesiątego trzeciego roku minister spraw wewnętrznych Wałujew wydał okólnik zabraniający drukowania książek naukowych

i podręczników w języku „małorosyjskim”. „Żadnego takiego języka nie było, nie ma i być nie może” — głosił sławetny okólnik.

W jedenaście lat potem Aleksander Drugi podpisał ukaz, którego mocą zabroniono w ogóle drukowania książek w języku ukraińskim.

Kulturze ukraińskiej zadano niebezpieczny cios.

Nawiasem mówiąc, cios ten był pomieknąd dziełem znanego Józefowicza. Stary renegat i oberszpicel młodzieży kijowskiej, zdrajca bratczyków, wciąż pełnił funkcje wicekuratora i w jednym ze swoich tajnych raportów zaalarmował władze o nowych postępkach „ukrainofilstwa”, niosącego, jak twierdził, „zamaskowany socjalizm” i kryjącego w sobie „zamach na jedność państwową Rosji”. Władze petersburskie uznały sprawę za tak dalece ważną, że ukaz antyukraiński posłały caratowi do podpisu aż za granicę, do uzdrowiska w Ems.

Władze carskie mogły się poszczycić jeszcze jednym sukcesem politycznym: grupa tak zwanych chłopomanów, z Włodzimierzem Antonowiczem, Borysem Poznzańskim i Tadeuszem Rylskim na czele, tuż przed powstaniem zerwała stosunki z Polakami i utworzyła odrębną ukraińską organizację, Hromadę. Polacy nie wzięli im tego za złe; potępili ich jedynie za to, że ci dość świeżej daty Ukraińcy poszli na służbę monarchizmu rosyjskiego, składali wiernopoddańcze adresy i pomagali władzom carskim w nagonce na Polaków. Antonowicz stał się po prostu zausznikiem policji i za zasługi na tym polu awansował na profesora uniwersytetu.

Jednak ruch odrodzeniowy ukraiński, silnie ugruntowany za sprawą Szewczenki, a po części również Kostomarowa i Kulisza, nie dał się zdławić. Punkt ciężkości ukraińskiego życia kulturalnego przeniósł się

na Ruś Halicką, do Lwowa, gdzie już od połowy stulecia działały organizacje ukraińskie, społeczne, oświatowe i gospodarcze. I znowu tutaj, tak jak przedtem w Kijowie, imię Szewczenki było znakiem, pod którym skupiali się galicyjscy patrioci ukraińscy.

Wśród Polaków, z wyjątkiem konserwatywnie nastrojonej sfery arystokratyczno-ziemiańskiej, osoba i twórczość Tarasa Szewczenki od razu znalazły i zawsze potem znajdowały gorących wielbicieli.

W rok po śmierci poety wyszła w Kijowie książka polskich przekładów z *Kobzarza*. Autor ich, Antoni Gorzałczyński, polemizując z tymi, którzy nie rozumieli Szewczenki albo źle go pojmowali, pisał w przedmowie: „I któż był ten człowiek, którego śmierć tak wielkie wrażenie zrobiła w całym kraju?! Czyż dlatego płacze cały naród, że on napisał *Hajdamaków*, czy dlatego, że lud uczył nienawiści i zemsty?! O nie!... Musi być wyższa tego przyczyna — miłością tylko za miłość się płaci!”

Gorzałczyński trafnie ujął ducha utworów Szewczenki: była w nich miłość do ludzi. Pogardę, uzasadnioną pogardę, miał Szewczenko tylko dla tych, co w ten czy inny sposób ciemnieżyli jego ojczyznę.

A w trzy zaledwie lata później ukazała się we Lwowie polska książka o Szewczence, którą napisał Gwido de Battaglia. Była to pierwsza obszerna praca o wielkim bardzie ukraińskim, zawierająca dane o jego życiu i rozbiór jego twórczości. Krytyk polski ocenił tę twórczość wysoko, nawet entuzjastycznie. Polemizował z tymi, którzy chcieli się w niej doszukiwać odgłosów nienawiści plemiennej.

Na emigracji pamięć swojego ukraińskiego przyjaciela i współwygnańca uczcił Bronisław Zaleski, ogła-



szając wspomnienia z Orenburga w paryskim „Roczniku Towarzystwa Historyczno-Literackiego”.

A patriarcha emigracji polskiej, Bohdan Zaleski, po śmierci Mickiewicza uważany za czołowego reprezentanta poezji i kultury polskiej na obczyźnie, napisał:

Ku nowej, nie znanej mi Mogile,  
Co świeżo wyrosła u Kaniowa,  
Z dalekich stron siwą głowę chylę:  
Przesławna Mogiła Tarasowa.

. . . . .

Tarasie, współpiewco mój kozaczy!  
Twój żywot był krótki, wielce twardy,  
Z trójziela nassałeś się rozpaczy,  
Używszy sieroctwa, ludzkiej wzgardy.

. . . . .

Tarasie! znalazłeś bodaj spokój  
Po znojach i bojach na Sybirze,  
Ku braciż z Mogiły dziś prorokuj  
W wieczystym z Lachami odtąd mirze!

Ten hołd Bohdana Zaleskiego był hołdem złożonym Tarasowi Szewczence przez naród polski.

Jeszcze w kilka lat później poeta polski, stale mieszkający we Lwowie, Bolesław Czerwieński, napisał wiersz pod tytułem *Śmierć Szewczenki*. W usta umierającego Tarasa włożył takie między innymi słowa:

O, święta matko moja, Ukraino!  
Przed tobą głowę i kolana zginam,  
Za tobą w niebo moje modły płyną,  
A wśród modlitwy katów twych przeklinam.  
Niegdyś te kłatwy na lutni mej struny  
Padaly, jakby krwi chciwe pioruny!

Tak — dziś umieram, bom był człowiek z ducha,  
Bom z dzikich zwierząt chciał porobić ludzi...  
Lecz jako śpiewu wiatru nikt nie słucha,

Aż go huragan warczący obudzi,  
Tak nie słuchano śpiewu mojej lutni...  
Bracia! Nie płaczcie! Czego wy tak smutni?

Śmiećcie się raczej, choćby takim śmiechem,  
Jak się syn śmieje przy zwłokach matczynej!  
Płacz wobec wroga największym jest grzechem...  
Zamiast tych płaczów, zamiast tych paciery,  
Rzućcie mu w oczy śmiechem, jakby głazem —  
I błyskiem oka — jak ostrym żelazem!

Bolesław Czerwieński dobrze odczuł i trafnie określił patriotyczny sens życia i dzieła Tarasa Szewczenki.

W Koziatynie u swego przyjaciela z lat młodzieńczych mieszkał Tomasz Padurra. Wyglądał jak widmo z innej epoki. Po raz drugi w życiu dane mu było oglądać klęskę i poniżenie dwóch narodów, z którymi był jednakowo związany myślą i uczuciem.

Już od dawna przestał układać wiersze. Wziął się do prozy. Chciał dla potomnych ocalić przeszłość historyczną Polski i Ukrainy. Napisał kilkanaście obrazków. Po upadku powstania styczniowego znów zapadł w jakiś letargiczny sen. Widział jednak rosnącą sławę Szewczenki i to go chwilami ożywiało: nie wszystko było stracone.

Umarł wśród najczarniejszej nocy narodowej polskiej i ukraińskiej, dowiedziawszy się o klęskach Francuzów i oblężeniu Paryża przez wojska niemieckie.

Wszyscy prawie cyrylowcy do końca życia zachowali głęboką cześć i uwielbienie dla Tarasa Szewczenki. Im bardziej oddalały się w przeszłość sprawy, które ich ongiś związały, im gęstszy był dokoła mrok teraźniejszości, tym jaśniej i potężniej rysowała się w ich pa-

mięci postać Kobzarza. Perspektywa czasu pozwalała określić wymiary tej postaci.

Mikołaj Sawicz, przez długi czas pozostający pod nadzorem policji, przeżył Szewczenkę o lat trzydzieści. Schyłek życia spędził w Odessie. Opanowany psychozą prześladowczą, uciekał, ilekroć zaczynano przy nim mówić o Bractwie Cyryla i Metodego. Tylko w domu, z dala od ludzi, niczym modlitewnik otwierał *Kobzarza* i rozczytywał się w wierszach uwielbianego poety.

Mikołaj Hułak po długich wędrówkach, nauczycielując po różnych miastach imperium, osiadł na koniec w Tyflisie. Był zawsze wzorem prawości i niezłomności charakteru. Kiedy mówiono o nim: „To przyjaciel Szewczenki”, przyjmował te słowa jako nie zasłużony, lecz miły sercu komplement.

Wasył Biłozerski po dłuższym pobycie w Warszawie, gdzie pracował w charakterze urzędnika sądowego, przeniósł się do Petersburga. Korzystał z każdej sposobności, aby wśród ziomków szerzyć wiedzę o Szewczence. Umarł w tym samym roku, co Hułak — ostatnim roku burzliwego i tak wiele obiecującego dziewiętnastego stulecia.

Najwięcej dla popularyzacji dorobku twórczego Szewczenki działał Kostomarow. Choć jego stosunki osobiste z Szewczenką w ostatnim okresie przed śmiercią poety bardzo się rozluźniły, nie ustawał znakomity historyk w rozpowszechnianiu dzieł i myśli autora *Kateryny*. Podjął rzucony przez Szewczenkę projekt krzewienia ukraińskiej oświaty ludowej, założył w Petersburgu wydawnictwo pod nazwą „Siłska Biblioteka” i zdołał wydać trzynaście książeczek. Zarządzenie ministra Wałujewa przecięło dalszą działalność wydawnictwa.

Niemal w trzydzieści lat po dramatycznym rozstaniu się z Aliną Krahelską wziął z nią Kostomarow ślub.

Alina była już wtedy wdową po obywatelu ziemskim Marku Kisielu i miała dorosłe dzieci. Przeżyła również drugiego męża. Za najdroższą pamiątkę po nim uważała jedną z jego książek, którą jej ofiarował przed ślubem i na której własnoręcznie po polsku napisał wyjątek z *Konrada Wallenroda*:

Lecz dotąd w moim zachowałeś łonie  
Też same oczy, twarz, postawę, szaty:  
Tak motyl piękny, gdy w bursztyn utonie,  
Na wieki całą zachowuje postać...

Zarówno Kostomarow, jak i Kulisz, nie żywili sympatii do Polaków. Jednakże Kostomarow w tej swojej niechęci, której zresztą nie ukrywał, nigdy nie wykroczył poza granice uczciwości i przyzwoitości; umiał nawet oddać Polakom, co im się słusznie należało. Kulisz natomiast w sądach o Polsce i Polakach doszedł aż do krańcowego szowinizmu, i to nawet nie ukraińskiego, ale wielkorosyjskiego. W trzy lata po powstaniu, już jako urzędnik carski w Warszawie, powziął zamiar wydania książki o sprawach polskich w duchu oficjalnej polityki rusyfikatorskiej i polakozerczej. Chciał do współpracy przyciągnąć Kostomarovą. Historyk na list Kulisza w tej sprawie w ogóle nie odpowiedział. Od tego czasu stosunki między nimi zostały zerwane.

Wreszcie Kulisz ogłosił swoje największe dzieło, pisane po rosyjsku: *Istorijskoe sozjedinenie Rusi*. Książka była przeniknięta ideą zlania się narodu ukraińskiego z rosyjskim. Ostro zaatakował w niej Kulisz poglądy historyczne Kostomarovy, a muzę Szewczenki nazwał „pijaną”, gdyż poeta ośmielał się w swoich utworach potępiać Piotra i Katarzynę; zdaniem Kuli-

sza, byli to dwaj najwięksi dobroczyńcy narodu ukraińskiego.

Tak Kulisz w trzynaście lat po śmierci Tarasa dał upust żółci, która go potajemnie trawiła. I odtąd już nigdy w opinii ukraińskiej i polskiej nie odzyskał uznania, jakim go dawniej otaczano. Toteż gdy dosyć późno przyszedł do wniosku, że Ukraińcy powinni iść ręką w rękę z Polakami, i udał się do Lwowa, aby na tamtejszym gruncie realizować projekt ugody, nie znalazł takiego poparcia, jakiego się spodziewał — ani u jednych, ani u drugich.

Chociaż myśl o ugodzie była wówczas bardzo żywa. Zasady pojednania zwaśnionych pobratymców najzwzięle i najpiękniej nakreślił wtedy w liście do Kulisza sędziwy już podówczas Józef Ignacy Kraszewski: „Z przeszłości co dobrego, to zachowajmy, co złe, starajmy się zapomnieć. Jeśli były winy, trzeba przebaczyć i ku lepszemu iść. Niestety, daleko może od nas idealna przyszłość, ale do tych ideałów, choćby nam burza skrzydła łamała, lećmy”.

Zabiegi polityczne Kulisza spełzły na niczym, ale słowa Kraszewskiego przetrwały wszystko.

Kulisz, podobnie jak wielu innych, skądinąd mądrych i uczciwych Ukraińców, Polaków i Rosjan, ulegał fascynacji caratu. Jedni wszakże potrafili się ustrzec od przesady i zachować jaką taką godność, drudzy zaś gięli się w służalczych pokłonach lub nawet bili czołem o ziemię jak za Iwana Groźnego.

Do tych drugich między innymi należał dawny wielbiciel Szewczenki, były rektor Uniwersytetu Kijowskiego, Michał Maksymowicz. Wyśługując się caratowi, w dwanaście lat po śmierci Szewczenki wygłaszał o poecie zdania, które wstyd przytaczać.

Wśród Polaków smutne echa wywołała sprawa z Michałem Czajkowskim, głośnym ongiś pisarzem, uczestnikiem powstania listopadowego, a później, w czasie wojny krymskiej, dowódcą „kozaków ottomańskich”. W roku tysiąc osiemset siedemdziesiątym drugim, już jako starzec, ukorzył się Czajkowski przed carem, wrócił do Rosji i nawet przyjął prawosławie.

Carat umiał deprawować i łamać charaktery ludzkie

Szewczenko należał do tych, co nigdy nie schylili głowy przed potęgą carów. Kto jak kto, ale on właśnie, on przede wszystkim mógłby za swoje uznać słowa zawarte w pismach jednego z najwybitniejszych myślicieli polskich epoki popowstaniowej, Stanisława Szczepanowskiego: „Historiozofia, prowadząca do opuszczenia rąk i poddania się przemocy, jest największym bluźnierstwem, bo w dogmatykę dla całego rodu ludzkiego przetwarza niedołęstwo i nikczemność ludzi biernych i niewolniczych”.

Szewczenko tę właśnie ideę: walki, zachowywania postawy czynnej, przewycięzania marazmu w sprawach społecznych i narodowych — urzeczywistniał całą swoją twórczością, całym swoim życiem. On tę ideę, mówiąc słowami Sierakowskiego, „potrafił ucieleśnić”.

Toteż później znakomity pisarz i działacz ukraiński Iwan Franko mógł powiedzieć o Szewczenko:

„Był synem chłopca, a stał się władcą w królestwie ducha. Był pańszczyźniakiem, a stał się jedną z najwybitniejszych postaci w dziejach kultury ogólnoludzkiej. Był samoukiem, a wskazał uczonym i profesorom nowe, odkrywcze szlaki. Dziesięć lat cierpiał od rosyjskiego żołdactwa, a zrobił dla wolności Rosji więcej niż dziesięć zwycięskich armii. Los prześladował go

przez całe życie, ale nie pokrył śnieżką złota jego duszy, nie zamienił jego miłości do ludzi w nienawiść, a jego wiary — w rozpacz”.

Pod koniec lipca tysiąc osiemset sześćdziesiątego trzeciego roku przy wyjeździe z Żytomierza aresztowany został ziemianin podolski, Maurycy Drużbacki. Znalaziono przy nim papiery świadczące o jego przynależności do spisku. Największą jednak sensację wywołała pieczętka z trzema na tarczy herbowej wizerunkami: Orła Białego, Pogoni i Michała Archanioła, czyli godłami Polski, Litwy i Rusi-Ukrainy, oraz napisem „Rząd Narodowy”.

Oficer żandarmerii w Żytomierzu długo kręcił głową na widok tej pieczętki, wreszcie wybuchnął śmiechem.

Drużbackiego odstawiono do Kijowa; ponieważ odmówił jakichkolwiek zeznań, po paru miesiącach śledztwa rozstrzelano go, jak wielu innych, w rowie fortecznym.

Niemniej sprawa pieczętki nadal trapiła mózgi żandarmów i śledowateliw carskich. Podejrzewano istnienie jakiegoś tajnego porozumienia polsko-ukraińskiego, ale nie było na to dowodów.

Dopiero w drugim roku powstania udało się policji wykryć i aresztować prawie całą petersburską delegaturę Rządu Narodowego z Józefatem Ohryzką na czele.

Murawiew zażądał przeniesienia akcji śledczej do Wilna. Tam sprawę ujęli w swoje doświadczone ręce dwaj oficerowie wchodzący w skład tak zwanej „wileńskiej komisji śledczej”, Mikołaj Gogel i Wasilij Ratsch.

Sprawa wlokła się długo. Ohryzko trzymał się mężnie i nikogo nie wydał. Poszedł na Sybir.

Znaleźli się jednak tacy, którzy odsłoniли szereg tajemnic spisku polskiego na gruncie petersburskim i kijowskim.

W parę lat później zarówno Gogel, jak i Ratsch, parający się jak wielu innych żandarmów historiografią, wydali drukiem książki o powstaniu polskim, oparte na materiałach śledczych. Dość często powtarzają się tam nazwiska Sierakowskiego, Padlewskiego i Kalinowskiego. Nie brak i Szewczenki.

Jest tam mowa o szkołach niedzielnych, które miały być rozsadnikami propagandy antyrządowej.

Jest mowa o kółku Pietraszewskiego, o udziale w tym kółku Polaków i o stosunkach Spieszniwa z emigracją polską.

Jest mowa o zabiegach, jakie czynili spiskowcy polscy, aby dla swojej sprawy pozyskać Czernyszewskiego i Hercena.

Jest nawet mowa o tym, że Polacy zamierzali obudzić uspięone poczucie narodowe Białorusinów, aby ich porwać za sobą do walki z caratem, i że do spełnienia tej misji wyznaczyli ni mniej, ni więcej tylko Polaka, i to szlachcica, Konstantego Kalinowskiego.

Jest wreszcie mowa o szeroko zakrojonym planie powstania, opracowanym przez oficerów polskich w porozumieniu z Szewczenką, o ruchawkach chłopskich, które miano wywołać na Ukrainie i nawet w głębi imperium.

Ratsch pisze: „Sierakowski i Padlewski chcieli za wszelką cenę zrobić z Szewczenki bohatera narodowego Małorosji, jej sztandar, aby później zawładnąć tym sztandarem”.

A Gogel powiada: „Polacy długo obserwowali i usidlali Szewczenkę”. I w oparciu o zeznania jednego z aresztowanych spiskowców polskich dodaje: „...nie-



nawiść do Polaków zaczęła po trochu zanikać w Szewczenke, odkąd wrócił do Petersburga i zbliżył się z Sierakowskim i Padlewskim; przekonał się bowiem, że wśród Polaków są ludzie gorąco sympatyzujący z Małorusami”.

Zarówno Gogel, jak i Ratsch starali się, jak mogli, wytropić wszystkie „intrygi polskie” i udowodnić, że Polacy są naturalnymi wrogami Rosji tudzież zakałą Słowiańszczyzny. Toteż i Szewczenkę, który spiskował z nimi, przedstawiali w najgorszym świetle, jako zwyrodnialca i prostaka. Nie zapominali przy tej okazji i o Mickiewiczu: był on dla nich uosobieniem fałszu i zdrady.

Niemal w tym samym czasie — w jakieś trzy lata po powstaniu — półurzędowe „Moskowskije Wiedomości”, kierowane przez osławionego szowinistę Katkowa, ogłosiły artykuł oskarżający ukraińskich działaczy kulturalnych, między innymi Szewczenkę, o przyjaźń i konszachty z Polakami.

Szewczenko już nie żył, sprawa była co najmniej przedawniona, chodziło jednak o to, aby dać hasło do nowej nagonki na Polaków i Ukraińców.

W roku tysiąc osiemset sześćdziesiątym trzecim istotnie zaszło wiele wydarzeń mogących być częstkami jakiegoś wielkiego, z rozmachem nakreślonego planu, o którym pisali później żandarmscy historycy: marsz Topora-Zwierzdowskiego na Hory-Horki w guberni mohylowskiej, próba zawładnięcia przez Sierakowskiego twierdzą w Dynaburgu, spisek kazański Czerniaka i Kieniewicza, wyprawa zadnieprzańska braci Synehubów, rozpowszechnianie *Złotej hramoty* na Kijowszczyźnie...

Twórcy tego śmiałego planu albo przedwcześnie ze-

szli ze sceny, albo zginęli w pierwszych miesiącach powstania.

Przed wszystkim — zabrakło Szewczenki.

A on jeden był naprawdę genialnym organizatorem świadomości narodowej Ukraińców.

Wielki zamysł zniweczyła obca przemoc i ślepa siła losu.

Wiek dziewiętnasty nie dla wszystkich był wiekiem nie spełnionych nadziei.

Odrodziły się do nowego życia Włochy, Bułgaria, Serbia, Grecja, Rumunia.

W imperium carów zapanowała jeszcze ciemniejsza noc.

Zgasły nadzieje patriotów ukraińskich.

Ale jak słup ognisty przyświecała im i wskazywała drogę do przyszłości poezja Tarasa Szewczenki.

Aż w otchłań dziejów zapadła straszna czarna głębia nocy.

## OD AUTORA

Książka niniejsza opiera się na bogatej literaturze przedmiotu, drukowanej i rękopiśmiennej, zwłaszcza pamiętnikarskiej, znajdującej się po części w archiwach.

Elementy fikcji literackiej i domysłu zostały w niej ograniczone do minimum, a wszystkie cytaty zaczerpnięto z odpowiednich źródeł. Wypowiedzi samego Szewczenki, w szczególności wyjątki z jego utworów i listów, podane są zgodnie z wiarogodnymi publikacjami: należy tu przede wszystkim wymienić ostatnie, najzupełniejsze wydanie pism poety, które ukazało się w jubileuszowym, 1964, roku pod egidą Ukraińskiej Akademii Nauk w Kijowie.

Wychodząc z założenia, że dotychczasowe przekłady polskie utworów poetyckich Szewczenki nie oddają w pełni ich artyzmu, a czasem nawet zmieniają ich sens, przytaczam te utwory w oryginale, w transkrypcji fonetycznej, i dołączam tłumaczenie prozą.

Wszystkie inne teksty ukraińskie i w ogóle obcojęzyczne tłumaczę tylko w trudniejszych i szczególnie ważnych przypadkach.

Materiał ikonograficzny książki składa się niemal wyłącznie z fotografii po raz pierwszy publikowanych w Polsce.

J. J.

## SPIS ILUSTRACJI

1. Taras Szewczenko. *Fotografia z roku 1860*
2. Popiersie kobiety. *Taras Szewczenko. Ołówek, 1830*
3. Portret Pawła Engelhardta. *Taras Szewczenko. Akwarela, 1833*
4. Portret Karola Briułowa, *Taras Szewczenko (?)*, *Ołówek, 1835*
5. Śmierć Bohdana Chmielnickiego. *Taras Szewczenko. Tusz, piórko, 1836—1837*
6. Portret Eugeniusza Hrebinki. *Taras Szewczenko. Akwarela, 1837*
7. Uczta kozacka. *Taras Szewczenko, Ołówek, 1838*
8. Kateryna. *Taras Szewczenko. Olej, 1842*
9. Taras Szewczenko. *Autoportret. Tusz, piórko, 1843*
10. Portret Hanny Zakrzewskiej. *Taras Szewczenko. Olej, 1843*
11. Portret księcia Michała Repnina. *Taras Szewczenko. Olej, 1843*
12. Sąd wiejski. (Z cyklu „Malownicza Ukraina” *Taras Szewczenko. Akwaforta, 1844*
13. Dary w Czehryniu. (Z cyklu „Malownicza Ukraina”) *Taras Szewczenko. Tusz, 1844*
14. Monaster Wydubiecki. (Z cyklu „Malownicza Ukraina”) *Taras Szewczenko. Akwaforta, 1844*
15. W Kijowie. (Z cyklu „Malownicza Ukraina”) *Taras Szewczenko. Akwaforta, 1844*
16. Album wierszy Tarasa Szewczenki z ilustracjami Jakuba de Balmain i Michała Baszyłowa. Karta tytułowa, 1844
17. Album wierszy Tarasa Szewczenki z ilustracjami Jakuba de Balmain i Michała Baszyłowa. Strona pierwsza, 1844
18. Monaster Motroneński. *Taras Szewczenko. Akwarela, 1845*
19. W Reszetyłowie. *Taras Szewczenko. Tusz, sepia, akwarela, 1845*
20. Taras Szewczenko. *Autoportret, Ołówek, 1845*

21. Cerkiew Bohdana Chmielnickiego w Subotowie. *Taras Szewczenko. Akwarela, 1845*
22. Czehryń (widok z drogi subotowskiej). *Taras Szewczenko. Akwarela, 1845*
23. Cerkiew Wszystkich Świętych w Ławrze Kijowsko-Pieczarskiej. *Taras Szewczenko. Sepia, 1846*
24. Kościół katolicki w Kijowie. *Taras Szewczenko. Akwarela, 1846*
25. Ławra Poczajowska od strony południowej. *Taras Szewczenko. Akwarela, 1846*
26. Portret księżnej Elizawieży Kejkuatow. *Taras Szewczenko. Olej, 1847*
27. *Taras Szewczenko. Autoportret. Ołówek, 1847*
28. Szewczenko maluje portret przyjaciela, Tomasza Wenera. *Taras Szewczenko. Sepia, 1848*
29. Portret Tomasza Wenera. *Taras Szewczenko. Sepia, 1849*
30. Szewczenko wśród zesłańców polskich w Orenburgu. (Od lewej: Bronisław Zaleski, Julian Kowalski, Aleksy Czernyszew, Tomasz Werner, Eustachy Serednicki, Ludwik Turno, Aleksander Popiel, Stanisław Domaradzki, Ludwik Lipski, Taras Szewczenko, Baltazar Kolesiński). *Aleksy Czernyszew. 1850*
31. Dalisman-Muła-Aulie. *Taras Szewczenko. Akwarela, 1851*
32. Szewczenko i towarzysze zesłania (Bronisław Zaleski i Ludwik Turno). *Taras Szewczenko. Sepia, 1851*
33. W jurcie kirgiskiej (inaczej: Trio). *Taras Szewczenko. Sepia, gwasz, 1851*
34. *Taras Szewczenko. Autoportret. Ołówek, 1851*
35. Żebrzące dzieci kirgiskie — bajgusze (z autoportretem Szewczenki na drugim planie). *Taras Szewczenko, Sepia, 1853*
36. Noc nad brzegiem Morza Kaspijskiego (inaczej: Skala Mnich). *Taras Szewczenko. Akwarela, gwasz, 1853*
37. W koszarach. *Taras Szewczenko. Sepia, 1856—1857*
38. Bajgusze pod oknem. *Taras Szewczenko. Sepia, 1855—1856*
39. Dziewczyna kirgiska. *Taras Szewczenko. Sepia, 1856*
40. Zakuty w dyby. (Z cyklu: „Przypowieść o synu marnotrawnym”) *Taras Szewczenko. Tusz, bistr, 1856—1857*
41. Zgrał się w karty (Z cyklu: „Przypowieść o synu marnotrawnym”) *Taras Szewczenko. Tusz, bistr, 1856—1857*
42. W więzieniu (Z cyklu: „Przypowieść o synu marnotrawnym”) *Taras Szewczenko. Tusz, bistr, 1856—1857*

43. Karanie różgami (Z cyklu: „Przypowieść o synu marnotrawnym”) *Taras Szewczenko. Tusz, bistr, 1856—1857*
44. Milo z Krotony. *Taras Szewczenko. Sepia, 1856*
45. Portret hrabiego Fiodora Tołstoja. *Taras Szewczenko. Akwaforta, 1860*
46. Portret Michała Szczepkina. *Taras Szewczenko. Ołówek, kredka, 1858*
47. Żebrak na cmentarzu. *Taras Szewczenko. Akwaforta 1859*
48. Szewczenko wśród przyjaciół (od lewej: Aleksander Łazarewski, Wasyl Łazarewski, Szewczenko, Hryhorij Czestachowski, Paweł Jakuszkin). *Fotografia, 1859*
49. Taras Szewczenko. *Autoportret. Akwaforta, 1860*

Zdjęcie 16 i 17 wykonano w Instytucie Literatury Ukraińskiej Akademii Nauk w Kijowie, zdjęcia 33 i 36 — w Muzeum Narodowym w Warszawie, pozostałe zaś — w Muzeum Tarasa Szewczenki w Kijowie.



## SPIS TREŚCI

Prolog	—	Przedwiośnie . . . . .	7
Część pierwsza	—	Obłoki nad Kiryłówką . . . . .	13
Część druga	—	Dróg skrzyżowania . . . . .	129
Część trzecia	—	W kole bratczyków . . . . .	277
		Step orenburski . . . . .	423
Część czwarta	—	Na fińskim błocie . . . . .	433
		W stronę Ukrainy . . . . .	582
Epilog	—	Głębia nocy . . . . .	593
Od autora . . . . .			616
Spis ilustracji . . . . .			617





Wyd. I. Nakład 6 000 + 290 egz. Pap. druk. sat. kl. III,  
65 g, 82 × 104 z fabryki w Kluczach. Oddano do skła-  
dania 26. VIII. 1965 r. Podpisano do druku 18. III. 1966 r.  
Druk ukończono w marcu 1966 r. Ark. druk. 39 + 3 ark.  
ilustr., ark. wyd. 26,75 + 2 ark. ilustr.

Zakłady Graficzne w Toruniu

Nr zam. 1876. F-12

CENA ZŁ 53,—



chonow, M. Rylski i G. Leonidze.

Na scenach teatrów polskich wystawiono dotychczas w przekładzie Jędrzejewicza kilkadziesiąt sztuk takich pisarzy, jak A. Ostrowski, M. Bułgakow, C. Goldoni, C. Gozzi, G. E. Lessing.

Pod redakcją Jędrzejewicza wyszedł zarys monograficzny Radomia pt. *Radom. Szkice z dziejów miasta*.

Jest on również autorem wielu drukowanych w prasie literackiej artykułów z historii literatury rosyjskiej i ukraińskiej oraz teatru włoskiego.

Jędrzejewicz wczesną młodość spędził na Ukrainie, do gimnazjum chodził w Ekaterynosławiu (Dniepropietrowsku); zarówno w owych czasach, jak i znacznie później, przemierzył wszerz i wzdłuż Ukrainę. Z krajem tym wiążą go głębokie uczucia i zainteresowania.

*Noce ukraińskie albo rodowód geniusza* — to wynik wieloletnich studiów autora nad dziejami Ukrainy, próba nowego spojrzenia na życie i twórczość jednego z najwybitniejszych poetów i rewolucjonistów XIX wieku, próba wpisania Szewczenki w prądy kulturalne i wydarzenia polityczne epoki, zwłaszcza z lat bezpośrednio poprzedzających powstanie styczniowe.

Cena al 53,-



Gen. 21 53.—

